PAMIĘTNIKI
Józefa Drzewieckiego.



PAN SZEF LEGIONISTĄ.

710

PAMIĘTNIKI JÓZEFA DRZEWIECKIEGO,

spisane przez niego samego.

(1772—1802.)

---

tudzież

RESZTY PAMIĘTNIKA TEGOŻ,

(1806—1851).

Z PAPIERÓW PO NIM POZOSTAŁYCH ZEBRANE,

Z PRZYDANIEM WIADOMOŚCI O ŻYCIU AUTORA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Et haec olim meminisse juvabit.

Z trzema portretami litografowanemi.

W I L N O.
Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1 8 5 8.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złeżenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 31 Grudnia 1857 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

WSPOMINEK

o

Józefie Drzewieckim.

WSPOMINEK O JÓZEFIE DRZEWIECKIM.

Boleśnie pomyśléć o stratach jakiemi nas Bóg dotyka, codziennie zabierając ludzi, co byli wielkim przykładem, którzy najpiękniejszą zdaje się cząstkę żywota, tak już od nas oddalonego, przedstawiali sobą i uosabiali swą cnotą. Zgon młodych, odbiéra tylko nadzieje niepewne, starcy unoszą do mogiły pamięć lat, których posiadanie niejako z niemi tracimy. Czém-że jest martwa książka, zeschła szmata papieru, przy żywéj postaci, przy słowie żywém, co nas tak czarodziejsko przenosi w czasy ubiegłe? Ogromna zmiana, któréj uległa w krótkim stosunkowo przeciągu czasu społeczność nasza, stratę tych ludzi co żyli z przeszłością, czyni boleśniejszą jeszcze. Z niemi tracimy ostatnie podania cnót starych, ostatnie ich przykłady! Cóż gdy śmierć jeszcze odbiéra jednego z tych ludzi wybranych, których cześć powszechna wyświęciła. Co nagrodzi ich utratę? Nie-

wiem, ale Bóg wiele ma środków w swéj mocy, więcéj niżeli myśl ich ludzka odgadnąć potrafi.— Do takich właśnie ludzi wybranych należał ten, któremu kilka słów tych poświęcamy, szef Józef Drzewiecki, zmarły dnia 20 stycznia b. roku w Hajsyńskiém, w dobrach swoich Kunce; bo cały jego żywot zamknąćby można w jedném słowie: poświęcenie. Cześć powszechna, żal głęboki, jakieś wzruszenie nieokreślone w sercach, towarzyszyły do grobu starcowi ośmdziesięcioletniemu, którego żywot był nieustanną myślą, pracą i pragnieniem dobra powszechnego i ofiarą zawsze chętną dla bliźnich.

Byliśmy tak szczęśliwi, że skłoniony prośbami rodziny i obcych, zmarły szef, napisane przez siebie pamiętniki, (obejmujące tylko część jego życia)— powierzył nam do wydania. Ukazały się one w Atheneum i odbite osóbno, a ci co je czytali, musieli w nich ocenić najszlachetniejszą rycerską duszę, serce pełne najpoczciwszych uczuć, myśl jędrną i zdrową. Są to, rzec można, poufałe pogadanki, gawędki wieczorne wojaka, którym staranie o efekt, o wytworność zupełnie są obce, którym prostota ich i żołnierska szczerość, nadają nienaśladowaną barwę i wdzięk zupełnie właściwy. To też, jak w nich niewielą słowy, kilku śmiałemi zarysy, maluje się dobitnie, gorąco i uprzytomnia przeszłość! jaka z nich bije prawda! Nie znamy z ostatnich czasów nic, coby z temi pamiętnikami, co do oryginalności, w porównanie iść mogło, a oryginalność zależy właśnie na zupełném zapomnieniu siebie i prostocie. Inni piszą, ten opowiada, nie rachuje na słuchaczy swoich, i dla tego musi ich ująć za serca. Nie ma tu nic przydanego dla wywdzięczenia, nic wymuszonego, nic coby zdradzało pisarza.— Słyszemy opowiadanie żołniérza i wspomnienia jego, z całą siłą piérwszego rzutu wylane, szczére jak spowiedź, często prawdziwsze od tego, co cię historyą nazywa.

Ale ocenienie Józefa Drzewieckiego jako pisarza, ledwie nas może na chwilę zatrzymać w obec daleko ważniejszego obowiązku, przedstawienia żywota jego jako obywatela i wzoru nieustannego poświęcenia.— Młódsze swe lata i piérwsze kampanie sam nieodżałowany szef skreślił w pamiętniku, który nam zostawił; do niego więc po żywszy ich obraz odsyłamy czytelników, tu napomkniemy tylko, że się urodził w roku 1772, w powiecie Krzemienieckim, we wsi Juśkowcach, z ojca Felicyana, matki Anny z Błędowskich. W roku 1781 wszedł do szkół Krzemienieckich, które ukończywszy zaledwie, delegowanym został na Sejm; i to był piérwszy krok jego w życie publiczne. Następnie służył w wojsku, a że mu kassa wojskowa powierzoną była po rozsypce wojska, zwycięzko wyszedł z przygotowanych nań zarzutów, składając w całości co mu zaufaném było. Jakiś

czas bawił w Galicyi, ucząc się chciwie i ludzi i kraju, a żadnéj nie tracąc chwili bez owocu dla drugich i siebie; choroba ojca do kraju go nazad wrócić musiała. Wypadki nowe wywołały w młodzieńcu chętne zawsze poświęcenie, którego o mało ciężko nie przypłacił; zaledwie potrafiwszy ujść z Galicyi, z rozkazem Naczelnika poszedł powtórnie. Powróciwszy do wojska, znajdował się w bitwie pod Maciejowicami, gdzie z innymi w niewolą wzięty, za wstawieniem się przyjaciół uwolnionym został. Nie długo zabawiwszy w kraju, wyjechał potém za granicę, uczestnicząc w pierwszém zawiązaniu się legii we Włoszech, i z téj epoki właśnie, najobfitszemi w pamiętnikach obdarzył nas wspomnieniami.

Nie będziemy ich tu powtarzali, spiesząc do epoki, która tylko z opowiadań zmarłego jest znana; w niéj równie maluje się człowiek poświęcenia i pracy, gorliwy uczestnik wszelkiego dobro publiczne obchodzącego przedsięwzięcia (*).

Z pamiętnikami kończy się wojskowy zawód szefa Drzewieckiego (nazwanie to do śmierci mu zostało). Pojechał do Paryża, jak w nich wspomina, po dymissyę, którą mu wręczył Berthier, naówczas mi-

(*) Odtąd następuje prawie dosłówny wypis z listu pana Karola Drzewieckiego, syna szefa i godnego spadkobiercy poczciwości i cnót jego, pisanego do nas z Kunki, dnia 10 lutego b. roku.

nister wojny, z chlubnym dopiskiem, i wsparty pieniężnym z kraju zasiłkiem, jako podróżny puścił się do Włoch z Fiszerem. W Imola odwiedzili dawnego znajomego, tamecznego biskupa, późniéj Piusa VII, który im dał listy rekomendacyjne do kardynała Ruffo. Z temi spokojnie do Neapolu przybyli. Wrócili przez Rzym i Florencyę, odwiedzając znajomych, zwiedzili Szwajcaryę i w Strasburgu spotkali się z jenerałem Kniażewiczem, który tam osiąść w zakupionéj winnicy zamierzał. Z nim razem w 1802 roku, przez Drezno i Poznań do Warszawy ruszyli. Tu, pod rządem pruskim, wesoło i szumnie schodziły chwile bez celu, bo jeszcze rok szósty i dziewiąty były daleko. Jakiś czas zabawiwszy w gwarze tego świata dawnéj stolicy, wzmocniwszy stosunki z Czackim, bo ci dwaj ludzie, jednako pojmujący obywatelstwo, pokochać się i połączyć musieli, udał się szef na Wołyń do domu. Jechali w jednym powozie z jenerałem Kniażewiczem, z majorem Tomaszewskim (dotąd żyjącym) i Cypryanem Godebskim. Godebski od komory im uciekł.

Szło naprzód o wynalezienie przyzwoitego położenia Kniażewiczowi; rzucił tedy pan szef podróżnych, u matki swojéj w Juśkowcach, a sam zbiegł do Zasławia. W drodze na szczęście spotkał księcia wojewodę wołyńskiego, który przez Cesarzowę Katarzynę II mianowany był jenerał-lejtenantem, ale

służby nigdy czynnéj nie pełnił, choć mundur lubił. Dowiedział się książe o co idzie, i mocno połajał pana szefa, że niewiedzieć gdzie szuka, co znaleźć najłatwiéj było.— Mospanie, rzekł,— nam wojskowym za ręce się trzymać!— Zaprosił tedy wszystkich podróżnych do Sławuty, przyjął ich w mundurze, mappy strategiczne porozkładał przed niemi, ale co lepsza, pańskiém i szlacheckiém sercem, o które nie łatwo!... Jenerałowi Kniażewiczowi wieś Zieleńce na bardzo lekkich warunkach w dzierżawę wypuścił.

Pozostawał drugi obowiązek do spełnienia zacnemu synowi, pielęgnowanie matki, staruszki już dobrze podeszłéj. I życiem długiém obdarzył Bóg pana Szefa, bo święcie zachował czwarte przykazanie— Czcij ojca i matkę twoją. Z łagodnym ojcem obowiązek ten łatwym był do spełnienia; ale matka codzień dumniejszą, codzień dziwaczniejszą się stawała; tu pokory i cierpliwości wielkiéj potrzeba było. Dzisiaj już trudno nam pojąć, w jakie to formy przeradzały się dziwactwa butniejszych przodków naszych, bo dzis cnoty i wady skarłowaciały. Zgięta staruszka przechadzała się z laseczką w ręku, lub pajukom na wozku wozić się kazała, a laseczki nie rzadko używała i na dorosłych synów swoich. Pan szef z pokorą całował rękę zbyt porywczą matki, która z przekąsem mawiała czasem do mniéj cierpliwego starszego syna:

—Widzisz waść, to szef a cierpliwie stoi!— Przyszedł jednak czas, że z domu matki wyjechać musiał, bo wręcz mu oświadczyła, że był u niéj Duch Śty i przestrzegł ją, że się na nią z panem Derzyską zmawiają. Tejże nocy z majorem Tomaszewskim wyjechać musieli do Odessy, ledwie lat kilka wieku naówczas mającéj, gdzie staraniem Czackiego i kilku możniejszych obywateli ukraińskich, zawiązywała się handlowa kompania polska.

Myśl ta, aby właściciele produkta swoje sami do Odessy prowadzili, i tam je większym negocyantom krajowym lub zagranicznym sprzedawali, dziś jest powszednią i w pełném wykonaniu, lecz wtedy była to śmiała jeszcze nowość. Bo choć kilku właścicieli odważało się o własnych siłach do Odessy je prowadzić, były to wyjątki; ogół zostawał pod monopolem żydów i kilku greków. Stowarzyszenie właścicieli możniejszych, z których każdy obowiązał się kilka tysięcy czetwerti pszenicy rocznie dostawiać, mające swoje magazyny, stosunki z zagranicznemi domami handlowemi, zdawało się wiele rokować. Pan szef, świeżo przybyły z Włoch i Francyi, (naówczas pani Malty i jak zawsze, wielką majacéj ochotę, choć małą możność zawładnięcia handlem Śródziemnego morza)— człowiek wymowy łatwéj i pojednawczéj, zacności wielkiéj, charakteru pociągającego, postawiony został na czele. Za nim przybyli ludzie polityczni

i rachunkowi, Michał Sobański, Antoni Jaroszyński, możni właściciele ziemscy; a Czacki, tu jak wszędzie gdzie o dobro publiczne chodziło, czynny i przeważny brał udział.

Ale w handlu, rutyna starsza od najlepszego rozumowania, wytrwałość zaś któréj nam zawsze braknie, piérwszym egzystencyi warunkiem. Odessa, plac zupełnie nowy, żadnéj wybitéj drogi i rutyny nie miała; a w kraju naszym, wszelkie stowarzyszenia trudno idące przy najpomyślniejszych okolicznościach, za pierwszém niepowodzeniem ustać muszą. I tu się tak stało, przy handlowéj stagnacyi, któréj powodem była wojna turecka, kompania się rozwiązała, zwyczajem naszym, bez żadnych strat dla obcych, a szczęściem i bez znacznych strat dla stowarzyszonych. Pierwszy krok jednak był zrobiony.

W czasie téj chwilowéj karyery handlowéj, zachciało się panu szefowi i na innym punkcie zrobić coś pożytecznego dla kraju. Dziś galar na Dniestrze jest rzeczą niedziwną; wtedy od niepamiętnych czasów nikt galaru ze zbożem, bojąc się porohów nie spuścił. Książe de Nassau wprawdzie przepłynął sam biegiem rzeki, sondował i zapewniał że spławna, o czém i dzieje od lat kilkuset świadczyły; ale szło o to żeby się kto piérwszy na straty

narazil i myśl widocznie znowu dokonał, i drogę otworzył. Najęto w Galicyi flottę statków rzecznych, przez cesarza Józefa na Dniestrze górnym zaprowadzonych, naładowano je pszenicą w górnym Podolu i zwycięzko salutowana przez działa tureckie w Chocimiu, minęła bez szwanku Jampolskie owe porohi, wylądowując w Majakach pod Odessą. Obchodzono świetnie tryumf bankietem, na którym był przytomny Richelieu i spełnił kielich przyszłéj pomyślności handlowéj miasta, siedząc na worze przybyłéj niezwykłą drogą pszenicy. Statki najęte były tam i na powrót; trzeba więc było towarów na połowę ładunku z którym odejść miały, a na to osóbnego kapitału, administracyi i t. d. Poradzono zakupienie ładunku okrętu tureckiego, który przybył właśnie z rożkami. Była to rzecz tania, którą bardzo łatwo nawet po wsiach nadbrzeżnych, na pszenicę miara za miarę, z ogromnym zarobkiem wymieniać można. Tak projektowano; ale nadzieja zamiany spełzła na niczém, bo do urzeczywistnienia jéj, potrzeba było nawykłości do zamian, któréj tu nie znaleziono. Rożki przypłynęły aż na górne Podole i tu przepędzone zostały na spirytus. Na całéj téj żegludze strata była niewielka, a skutek główny zdobyty; dowiedziono spławności Dniestru, możności przepłynienia nim tam i nazad; nieposłużyło to jednak, bo blisko trzydzieści lat potém dopiero, gali-

cyanie, tąż samą puściwszy się drogą, utorowaną ją nareszcie zostawili.

Około tego czasu przypadło ożenienie szefa z siostrą towarzysza broni, Jana Ostrowskiego, osobą żywą, wesołą i do przyszłego męża przywiązaną. Wesoło jakoś a ochoczo przebyły się trudności zamężcia tego, jak i dalszych familijnych stosunków— trudności ze strony podeszłéj matki pana szefa, kaprysnéj trochę matki przyszłéj żony, pani podkomorzynéj Ostrowskiéj i najkapryśniejszéj babki, kasztelanowéj Czarneckiéj. Dodać do tego potrzeba jéj wuja, bardzo światłego lecz bardzo dziwacznego także człowieka, pana Ignacego Czarneckiego, a odkrylibyśmy bogatą kopalnię anegdot, których dzisiejsze pokolenie niezrozumiałoby może, tak obyczaje zmienione, tak rzeczy różne.

Potrzeba je było słyszéć doskonale opowiadane przez tych, co składali ówczesne wesołe i świetne wołyńskie towarzystwo: Czackiego, Ignacego Ledóchowskiego, Kropińskiego, Bystrego....

Nadszedł wreszcie rok 1809 i wojna z Austryą otworzyła pole do nowych poświęceń; pan szef udał się do Krakowa i Warszawy, gdzie wierny, stary przyjaciel jego Fiszer był szefem sztabu przy księciu Józefie, a kapitanowie dawnych legii dowódzcami półków. Książe Józef prosił sam przybyłego, żeby do wojska nie wstępował i drugim oficerom, co

chleba niemieli, nieodbiérał go. Powrócił więc na Wołyń, gdzie nowe czekały go prace. Za łaską cesarza Aleksandra, za staraniem otaczających go, rozwijać się poczynały jego myśli około wychowania publicznego w guberniach zachodnich. Wilno, oświecające Litwę, nie dostateczne rzucało blaski na trzy południowe gubernie. Otwierał się Krzemieniec, potrzeba było funduszów. Cesarz obdarzył go wspaniale znacznemi dobrami pojezuickiemi; trzeba je było wybrać, urządzić i nowemi wesprzéć datkami. To działanie Komissyi Edukacyjnéj spełniło się z zapałem obywatelskim. Najczęściéj niezmordowany Czacki porywał z sobą pana szefa i ubranego w mundur francuzki woził z sobą, dla *zebrania*, a jak żartownisie wówczas mówili dla *żebrania* ofiar na szkołę Wołyńską. W tych zajęciach zbliżył się rok 1812, w którym duma chociaż na geniuszu sparta, rozbić się miała. Z tym rokiem rozpoczęło się pasmo nieszczęść dla pana szefa, bo nieszczęścia nie idą same; stadem się wloką jak wilcy. Do publicznych przybyły dla niego bolesna śmierć żony, zabicie Fiszera, śmierć Czackiego. Czarne to były chwile; w nich się urodziła późniejsza niechęć i nieufność do spraw politycznych, która go nieopuściła już nigdy. Spytany o nie,— kuglarstwo!— odpowiadał tylko i milczał. Ze wszystkiego jedne się tylko zostały szkoły, a ze szkół najbliższy sercu Krzemie-

niec; jemu się tedy poświęcił. Tam, jakie było znaczenie jego, działanie i wpływy? Są co pamiętają jeszcze, jak w rozerwanym przez śmierć Czackiego ciele edukacyjném, zgodę i jedność utrzymał. Po roku 1815, nowe odkrywały się widoki dla kraju tego;— chciały osoby przeważny wpływ mające, aby obieralne urzęda marszałków ludźmi zasłużonymi zajęte były; podał się tedy pan szef i został obrany marszałkiem Krzemienieckim. Przyjął on ten urząd tém chętniéj, że go od Krzemieńca i opieki szkół nie oddalał, owszem nową mu nadawał powagę i siły.— Jakkolwiek widoki inne spełzły, ale wpływ na los Krzemieńca, ulubionego dziecięcia Czackiego, wydał znakomite owoce. Potrzeba było młodzież kształcić, rodziców ściągać, a gdy to, niestety, nie dało się robić ponętą nauki ale zabawami, więc i do zabaw szło się z całym popędem poczciwych dla kraju chęci.

Czém były przez lat kilkanaście krzemienieckie szkoły? wieleby o tém mówić. Czy mogły być specyalne i tworzyć ludzi specyalnych? czy też w piérwszém pokoleniu, (bo nie odejmując zasługi niektórym w pokoleniu poprzedzającém, massom brakło oświaty)— musiały być ogólne, a więc od razu widomych owoców nie przynoszące— to rzecz nie nasza. Zastanawiając się tylko nad moralną stroną Krzemieńca, przyznać potrzeba, że ta trocha zacności, bezinteresowności, wylania dla ogółu, wstrętu od wszelkiéj niepoczciwości i trudu, która dziś między nami świeci, ztamtąd idzie i jest odbiciem zacności Czackiego, zacności tych co go otaczali! Łatwo to krytykować teraz, owe szumne, ale nie treściwe w wyrazach, bez widocznego celu idące i często w środkach niepraktyczne, bujne pokolenie owe, ale gdy stracim, (co nie długo nastąpi) te zacności i uczciwości szczątki, dopiéro się dowiémy cośmy mieli i lekceważyli, nie pomni, że to bujanie było i we krwi naszéj, i w czasie owym i w saméj pełności życia tego pokolenia, któréj mu nikt nie zaprzeczy.

Po marszałkowstwie znowu zasiadał pan szef w Kommissyi Edukacyjnéj, i tak spłynęło szybko kilkanaście lat ciągłych poświęceń, dla wychowania publicznego, dla Krzemieńca. Dom jego był gospodą dla wszystkich przedniejszych gości, przybywających oglądać to dziecko Czackiego, tak szybko wyrastające, tę młodzież tak się nadzwyczajnie pomnażającą; był gospodą i dla tych wielu, co zabawami bawić się chcieli i dla tych, co obyczajem czasu, szydzić z tego wszystkiego przyjeżdżali tylko. Ale szyderstwo roztrącać się musiało o pokorę i poświęcenie.

Ludzie tego rodzaju co Czacki, co pan szef, muszą z natury swojéj być nieoględni w wydatkach i rządzie majątku.— Nagromadziły się interesa, oble-

gła go proza życia i w ciężkich latach około 1822 roku zwaliły się na niego całym ciężarem, przerażającym groźbą upadku. W piérwszéj chwili zdawało się koniecznością nieuchronną oddać majątek pod rozbiór, zniósłby to szef spokojnie, ale nie jednemu potrzeba było powiedzieć:— Tyś mi dał w dobréj wierze pieniądze, twoją lub ojców twoich pracę; jam ci zaręczył oddanie, a oto nie powiedziałem prawdy i oddaję ci za nie kawałek ziemi z którym nie będziesz wiedział co robić.

Ciężka to była ostateczność— upadł na zdrowiu, na swobodzie myśli; przyjaciele wołyńscy równie jak on nieoględni, nie mogli mu pomódz; ukraińscy twardzi, żądali tego co może było jedynym środkiem ocalenia, przesiedlenia, przejścia w inną strefę, wyrzeczenia się swoich stron i starych związków. Ciężkie to były do przetrwania chwile, gdy przyszło opuścić rodzinny kąt i nawykać do nowego, gdy przyszło tęsknić... Często szef uciekał do lasku w ogrodzie i do znużenia ściągał motyką ziemię ze skały, aby utrudzeniem fizycznem przemódz ból serdeczny; zmówił modlitwę i Bóg wracał zbolalemu choć chwilowy spokój. W tych chwilach smutku i boleści, zaszło mu serce goryczą i prywatne stosunki poszły pod kategoryę kuglarstwa.

Pan szef powtórnie się ożenił, a Opatrzność zawsze na niego łaskawa, dała mu przyjaciela, opie-

kuna, stróża, co troskliwą ręką pielęgnował długą jego starość i szczęście całéj rodziny. Bez rozbioru majątku obeszło się, wierzyciele zostali zaspokojeni, a zaczęła się spokojna starość, po pracy spoczynek.— Ale w roku 1832 nie było kogo wybrać na urząd w Hajsyńskim powiecie; ruszono starców i pan szef został znowu Kuratorem szkół gubernii Podolskiéj. Młodzież owego czasu przypomni sobie zapewne poważnego starca, którego sam widok był zachętą do dobrego. I na osoby u władzy będące, wrażenie robiła ta sędziwa postać, ta slodka wymowa, to czyste i bezinteresowne wylanie się dla dobra powszechnego. Zrobił i tu pan szef, co na tém stanowisku mógł uczynić.

W następném trzechleciu zmieniły się nieco okoliczności, ale nie zmienił się jeszcze brak kandydatów na urzęda, i pan szef w Hajsyńskim powiecie marszałkiem obrany został. Urzędnikowi co go przyjechał wybadać, czy zechce przyjąć urząd, hierarchicznie niższy stanowiskiem, od tego które dopiéro piastował, odpowiedział z sobie własciwą słodką ironią:— «Mój panie, ja w osiemnastym roku życia byłem Brygadyerem, a odtąd coraz niżéj idę.»

Nareście dorośli młódsi i mógł rzeczywiście spocząć na późną starość. Tu Bóg coraz więcéj począł go powoływać ku sobie, pobożność jego wzma-

gała się codzień. W piérwszéj czerstwiejszéj starości żył przeszłością i Bogiem; wtedy to utworzyły się pamiętniki— ostatniemi laty samym Bogiem tylko. Już to że go i Pan Bóg dotknął więcéj— córka w dójrzałym wieku, wnuka w samym lat kwiecie; żona, dwódziestopięcioletni przyjaciel— wszystko to jak sen przeszło i z oczów mu znikło; to też odtąd jego życie było nieprzerwaną modlitwą; miał zwyczaj chodzić wiele i chodząc modlił się, potém spoczywał i modlił się spoczywając, czasem głośno, a wtedy w duszy słyszącego odzywały się z duszy wychodzące... *Parentes mei, proximi et amici mei, miseremini mei...* Szły długim szeregiem żałobnym pacierze za umarłych przyjaciół i dobroczyńców, których kości rozrzucone po obu światach, daleko... Było ich osób kilkadziesiąt, nigdzie nie spisanych, w pamięci tylko. Potém za żywych— tych mniéj codzień zostawało, ale nikt, gdziekolwiek był, w modlitwie nie był zapomniany.

I tak szło spokojnie klasztorne życie; coraz daléj i obojętniéj dla świata, coraz bliżéj Boga. Wnuki tylko zajmowały go zawsze; często igrał z niemi, a wieczora każdego pobłogosławił z osóbna każde. Zdawało się jeszcze, że na lat kilka przynajmniéj sił mu stanie, ale Pan postanowił inaczéj. Po osiemdziesięciu leciech czerstwego zdrowia, niedopuszczając go do zgrzybiałości i zdziecinnienia, dziwnie łagodnemu w życiu, dziwnie też łagodną śmierć zgotował.

Dziewiętnastego stycznia, zwyczajem swoim uszedł jeszcze werst kilka, z południa uczuł trochę ziębienia; przyjechał lekarz, ziębienie trwało, kaszel się do niego przyłączył. Że febry panowały, zdawało się, że to febra.— «Już to zębami kłapać nie będę, bo ich nie mam; ale niech no jutro przyjdzie, znowu swoje dziesięć werst odchodzę.» Rzecz dziwna, że myśl śmierci, którą miał tak często, tą razą ani mu się nawet zamarzyła. O północy odprawił synowę i lekarza, mówiąc, że się już ogrzał i chce zasnąć. W rzeczy saméj puls był spokojny, sen przyszedł. O piątéj z rana spał jeszcze z oddechem spokojnym o siódméj już nie żył. Jedną rękę miał pod głową, drugą trzymał kołdrę, którą się przykrywał; położenie ciała jak najspokojniejsze; widać mu Bóg, w nagrodę cnót chrześcijańskich, zupełnie uczucia śmierci i konania oszczędził. Nie śmierć przyszła, ale się życie skończyło; lampa dopaliła i zgasła.

Na obrzędzie pogrzebnym kapłan z ambony zacytował wiersz z ksiąg Machabejskich: «Widziałem męża dobrego, łaskawego, wstydliwego wejrzenia, skromnych obyczajów i wymowy ozdobnéj, wyćwiczonego w cnotach w dzieciństwie etc.»

Taki jest krótki rys życia człowieka, który nas zgonem swoim zasmucił. Piękne zaprawdę to życie. Od początku do końca jedna myśl ożywiająca, chrześcijańska, wytrwała, przebiega je i uzacnia; zniechęcony nawet cierpieniem, dla posługi współbraciom ofiaruje się do końca; wezwany do niéj, nie cofa się nigdy przed świętym obowiązkiem. Kiedy pracować dla dobra ludzi nie może, modli się za nich jeszcze.

J. I. Kraszewski.



PAN SZEF DZIECKIEM.

PAMIĘTNIKI
JÓZEFA DRZEWIECKIEGO.

Przeżyłem przeciąg lat długi, łzawém okiem widziałem schodzących ze świata rodziców, dobroczyńców, przyjaciół moich; opłakałem zgon żony, traciłem dzieci;— dla czegoż przecie z roskoszą o przeszłości wspominam? ku przeszłości się zwracam, i dopóki mi jeszcze siły i pamięć służą, chcę zbiérać nawet wspomnienia moje, i z życia mego zdać sprawę przed sobą?

Jestli to religijne uczucie wyznania swych błędów, z chęcią odpokutowania za nie, albo raczéj wpływ towarzystwa i wieku, co tak chętnie wygrzebuje i wymarza nawet historyę przeszłości?

Jesienną porą, chroniąc się od przykrego zimna, siedziałem przy dębowym kolbuszowskim stole, który usługiwał jeszcze ojcu mojemu, a może i dawniejsze dowiódłby pochodzenie; siedziałem czytając ze skru-

chą modlitwy, które nam Woronicz i Dunin w pobożnéj zostawili puściźnie, gdy mi niespodziany gość przybył. Krewny to mój, średnich lat jeszcze człowiek, głośny w świecie z pism swoich. Patrzałem na młode jego lata, ceniłem potém talent pisarski. Jakby zgadywał myśl, z którą walczyłem, odezwał się do mnie:— Czy to się godzi, żebyś dożywając ósmego dziesiątka, w pośród najważniejszych zdarzeń krajowych zrodzony, świadek tych epok nadzwyczajnych, co tyle na los rodaków wpłynęły, nie zostawił po sobie śladu istnienia? Za cóż ci zostawiła Opatrzność jeszcze niezamilkłą pamięć? czyliż nie dzieliłeś szlachetnych uczuć tych olbrzymich postaci, co pod ten czas żyły; czyż się z nich wielu nie przypatrywałeś zblizka i z rozwagą? Wszakże to ze szczegółów ogół się tworzy, one to są materyałem, z którego umysł dzielniejszy snuje osnowę swoją, a wreszcie i w domu nie zostawiszże pamiątki istnienia? może kiedyś potomek znajdzie tę ramotę twoją, w niéj obraz czasów w których żyłeś, a które się długo zapomnieć nie dadzą; i z wdzięcznością cię wspomni, z rozczuleniem powie:— Mój to dziad tam był i patrzał na to!

Te słowa przejęły mnie i ducha rozgrzały, wzbudziły ochotę, choć nie wlały zapewne zdatności; bądź co bądź, piszmy.

Urodziłem się w roku 1772, w powiecie krzemienieckim, we wsi Juśkowcach, gdzie mieszkali podówczas rodzice moi, Felicyan i Anna z Błędowskich Drzewieccy. Dobrzy to ludzie byli, żyli z sąsiady, ojciec się wysługiwał obywatelstwu i przechodził powiatowe urzędy; a że był synem podkomorzego, wnukiem sędziego tego powiatu, miał więc dziedziczne zaufanie współobywateli. Niezbyt majętny i nieubogi też przecie; jego majątku nie powiększyły włości przez drugich zmarnowane, a tém mniéj żeby w nim czyja krzywda być miała: wioski były dziedziczne, były i posagowe, bo matka moja, do majętniejszych rodzin należała. Życie nie było z oglądem, więc podzielano je chętnie; i choć się już było wycieńczyło pomału, brat ojca co był także sędzią krzemienieckim, i na ten urząd po dziadzie swoim nastąpił, zostawił dość silną spuściznę, która się przydała do prowadzenia swobodnego i popularnego rodzaju życia.

Na łonie téj dobréj rodziny wziąłem życie, a piérwsze wrażenie moje, ojcowie Jezuici, stali domu przyjaciele, (bo dawniéj, fundusze dla ich Zgromadzenia w Krzemieńcu, z hojnością nawet szafowane były), po swym upadku dzielili z nami spokojne życie;— późniéj nawet, już w Warszawie, ten stosunek sprowadził na mnie dobroć biskupa Naruszewicza i Piramowicza. Obadwaj nie zapomnieli przyjaźnego domu, w którym przepędzili swą młodość.

W Krzemieńcu samym mieliśmy część sporą ziemi, zwaną Drzewieczczyzną, i na niéj dom niemały, zamieszkały przez pradziada, dziada, ojca i stryja mojego, którzy w nim urzędowali. Był to budynek wielki, dębowy, w nim sień potężna, a w téj nad olbrzymim kominem, wymalowany kredencerz, co zapewne lat wiele ugaszczał przybyłych: bo na jego obrazie wysokie wazy, przybór do kawy i napojowe naczynia, a wskazywał ręką na wejście do jadalnéj komnaty;

na bokach dwa wielkie wchody do sypialniów, a nad każdemi godła malowane. Nad drzwiami izby, gdzie właściciel przebywał, dwie złożone pobożnie ręce z napisem: *Deo sic;* nad jadalnią, przyjacielskie dłonie: *sic amico;* na wychodnich, ręka złożona jak nazywają w figę, z napisem: *et sic inimico.*

Były to godła wiary, przyjaźni i siły.

W domu tym jak zapamiętam, brzmiały uczucia konfederacyi Barskiéj, narzekania na złe czasy i t. d.

Brat mój starszy przebywał w Warszawie i zadziwiał nas ozdobnością powozu i koni; raz, gdy zajeżdżał z trąbką, ojciec mój wyszedł w czarnym żupanie, podwiązany paskiem Ś. Franciszka, podśpiewując: Tra ta ta, tra ta ta— ne ma hroszy u tata.

Siostry moje dawno już były zamężne; miały nawet dziatki odemnie starsze; starsza za Nowowiejskim starostą bracławskim. Dziwak to był niepospolity. Na pamiątkę piérwszéj żony zapuścił brodę, i długo urosłe włosy; jeździł karyolą całunem pokrytą, konie miał z błękitnemi grzywami albo tarantowate, na burtach trupie główki. Rajtarów czarno ubranych, laufra podobnież poprzedzającego ekwipaż; często wioski całe, gdy przejeżdżał przez nie, uciekały, powiadając o przejeździe jakiegoś ducha przez sioło. Były w téj ciężkiéj żałobie ślady i ziemskich passyj: i tak, pasy karyoli podtrzymywało cztérech, snycersko-wyrzniętych żydków z przykazaniem na głowie: była to pogardliwa zemsta na arendarzu co się z nim procesem borykał. Sam był wesół i żartobliwego humoru: pamiętam jak raz w nocy, pomalował konie nasze na

srokato, i stajenni zbudzili ojca, że diabeł przebrał im konie po starościńsku.

Druga siostra była za Czarneckim starostą duńczewskim silnym na Polesiu właścicielem; przy nim dwór złożony z poleszuków, którzy w naszę czeladź wmawiali, że szyje obwiązują wężami, a ręką łapią kule na nich wystrzelone. I zajazd jeszcze pamiętam, w którym i oni, i kozacy starosty bracławskiego występowali. Szło o to, iż gdy Zuzulińce i kilka innych wsi Ostrogskiéj ordynacyi, w zastawném posiadaniu stryja i ojca mego zostające, na mocy Kolbuszowskich tranzakcyj we własność Sapiehów przeszły, i ci milicye swe do zajęcia onych wysłali: rzecz naturalna, że i rodzice ze swéj strony zbrojno wystąpić musieli. Wojska tedy zajęły pastewnik na pustiaku przy stawie, i miało nazajutrz przyjść do walki, gdy szczęściem w nocy, stadko osłów ojca mego, przyszedłszy jak zwykle na paszę, a zastawszy jakichś niezwykłych towarzyszów, zaryczało przeraźliwie. Wojska porwały się ze snu: Sapieżyńscy pomni, że poleszucy i węże i kule zamawiają, że i kozacy pod względem czarów, nie lepszéj używają reputacyi— w nogi. Nasi słysząc tumult, także sobie w nogi; a nazajutrz wspólni przyjaciele jak zwykle, polubownie spór prawny zakończyli.

Daléj, staje mi przed oczyma olbrzymia postać starosty kaniowskiego, co przed koronacyą Matki Boskiéj w Poczajowie, ojca mojego odwiedził, na ten obchód jadąc; potém przechód regimentarza Stempkowskiego, który też nie minął domu naszego.

Pamiętam jeszcze Jubileusz w Krzemieńcu, i księ-

dza missyonarza Chojeckiego, co mu przewodniczył; mniéj mi przytomne religijne nauki, bom był dzieckiém; więcéj figura podpiłego pana podkomorzego Stempkowskiego brata regimentarza, który mieszkał pod Krzemieńcem. Ksiądz missyonarz wiedząc, że źle z nim żonie w domu, skarcić go publicznie zapragnął. Mówił o potrzebie poszanowania dla żon, i gdy właśnie, podkomorzy podpiły wchodził w progi kościoła, porwawszy krzyż, który stał przed nim, zawołał głośno:— Między pogan go poniosę, gdy chrześcijanie z przepisów swojego Zakonodawcy, korzystać nie umieją. Tu z ambony schodzić się zdawał. Wtém podkomorzy wielkim głosem zawołał:— Zostałbyś tatku na swojém miejscu; tu nie ma pogan, a na rynku są tylko żydzi, którzy źle cię przyjmą zapewne, jeśli im co utargować nie dasz. Śmiech patetyczność zastąpił, a urażony kapłan opuścił ambonę.

W roku 1781, oddano mnie do szkół w Krzemieńcu. Malarz domowy, na tym sexternie, na którym pisać zaczynałem, odmalował winietę, i rok umieścił na niéj: pamiętam ją jak gdybym dziś oglądał, tak piérwsze wrażenia są mocne, i trwają do późnego wieku.

Czaplic łowczy koronny, co miał za sobą siostrę ojca mojego, przysłał mi gdańszczanina za guwernera. Jego nazwisko Jenc i professura w gimnazyum Krzemienieckiém, synowie co starań ojcowskich nie zawiedli, będą dla niego najlepszém świadectwem: ja źle korzystałem z nauki, bom się języka nie nauczył, a wstręt jaki w domu do niemczyzny był, zapewne największym tego powodem. Kommissya Edukacyjna

publiczném wychowaniem zajęta, ogarniała kraj wpływem swoim; szło to z trudnością. Jezuici z wyższemi zdolnościami inne sobie przedsiębrali cele; młodzi z ich zakonu alumni, lub starcy niedołężni pozostali tylko. W Krzemieńcu pozostał był tylko ksiądz Leszniowski, który się wyłącznie wychowaniem Ignacego Leduchowskiego zatrudniał. Ksiądz Wedykowski nauczyciel wymowy, ksiądz Mysłowski fizyki, Dramiński języka łacińskiego; Synhajewski był kaznodzieją, a Gilawski spowiednikiem. Ostatni człek już bardzo późnego wieku, żółciowego składu, łzał często i przy ołtarzu, jeśli mu nie do rzeczy służono, i przy konfessyonale za niestosowną odpowiedź; dobrze pamiętam jeszcze postać jego. Spodziewano się, że wkrótce akademia Krakowska ze swéj szkolnéj Bursy, wyda sposobniejszych nauczycieli.

Tu mi się przedstawia przyjazd Stanisława Augusta do Wiszniowca, dla spotkania Cesarza Pawła z jego małżonką dostojną. Brzmiały poezye, z tych jednéj resztki w pamięci mi zostały:

Ozwij się lutni,
Suty wiérsz utnij,
Śpiéwaj pochwały,
Na wjazd wspaniały
Monarchów....

Reszta uciekła. W Krzemieńcu pod przyjazd pamiętam także ciekawy transparent z napisem:

Najjaśniejszy Panie,
Masz na powitanie;
Składając poddanki,
Zwane Cyrynianki.

Poezya podobno nie tęga.

Przy drugiéj króla bytności, miałem i ja po łacinie mowę, którą mi ksiądz Dramiński napisał; została mi z niéj jedna myśl tylko, co mówił o zdolnościach Monarchy: *Rex fueras antequam fieras.* Częścią komiczną były dla mnie wówczas dwie damy, co o wyższe dobijając się krzesło, walczyły posuwając się rogówkami. Król usunął się do gabinetu przyległego, póki się te amazonki bitne nie uspokoiły.

Tu dla mnie nowe zdarzenie następuje. Po wyjeździe króla, możni rozjechali się z Warszawy: książe Jabłonowski kasztelan krakowski przybył z żoną do Annopola. Żona jego, córka Czaplica łowczego koronnego, urodzona z siostry ojca mojego, chciała odwiedzić dom wuja. Brat mój, co w ich domu w Warszawie przebywał i większych godów miał pojęcie, pośpieszył do rodziców, aby urządzić przyjęcie po swojemu. Jako też urządzone zostało. Mięszały się do odgłosów i moździerze, z których na Wielkanoc strzelano w Krzemieńcu; wyszły na jaw i dawne domu kobierce i staroświeckie powyciągano makaty; wszystko nową przybrało postać; było to wielkie święto, obchód dowodzący, jak magnaci nasi szanować umieli familijne z bracią szlachtą stosunki. Gdy księżna pani odjeżdżała, cała ją familia odprowadzała: karety, półkrytki, kolebki, bryczki, mnóstwo powozów składało kawalkadę dnia tego. Gdyśmy blizkie miasteczko Jampol przejeżdżali, był w niém podtenczas, skromnym węgierskim wózkiem jadący, adjutant cesarza Józefa II. jadącego do Kaniowa. Widząc ilość pojazdów, dowiadywał się o przyczynie takiego ich zgromadzenia;

a o przejeździe księżnéj zasłyszawszy, znajomy jéj położenia na Wiedeńskim dworze, sam jéj osobiście znany, pośpieszył do powozu, wzywając aby się na moment na przyjazd cesarza zatrzymała, że mu w tym kraju dawną znajomość znaleźć będzie najmiléj. Ale księżna, któréj i powóz był podróżny i ubiór zapewne nie taki, jakiego na dworze używała, i tumult koło niéj różnokształtnych powozów, kazała ruszyć śpiesznie, mnie tylko zostawując w swojéj karecie. Dogonił nas w polu, jadący śpieszno cesarz, wzywając mocnym głosem księżnę, że się z nią widzieć pragnie, i toż samo wymijając powtarzał. Nakoniec stanęliśmy i wysiedli do rozmowy; a gdym się usuwał na widok cesarza, księżna mu mnie, jako kuzyna swego polecała. Przywołał mnie, wpadając na myśl zobowiązania księżnéj, biorąc na wychowanie w Teresiańskiém Kollegium w Wiedniu, gdzie mówił, nie zabraknie na środkach wydoskonalenia. Była to chwila, w któréj życie moje nowy mogło wziąć i niespodziany kierunek, ale rodzice moi nie życzyli sobie tego. Widziałem tedy i monarchę co się kraj swój odrodzić starał, skromnie jednym powozem jadącego na spotkanie Cesarzowéj Katarzyny, z którą wspólnie losy państw może, rozstrzygać mieli. W życiu prywatnego człowieka, stanowi to pamiątkę, któréj niepodobna pominąć.

Odtąd kończyłem szkoły w Krzemieńcu. Akademia Krakowska przysłała nam swoich wychowańców, a piérwszymi byli, Antoni Jarkowski, któregośmy nazwali, pan Prawa, Mirowski professor matematyki, a Oczwiejowski fizyki; reszta do późniejszego transpor-

tu należała. Zjawienie się młodych akademików w pończochy i trzewiki ubranych, z zawieszonemi na plecach płaszczykami, zasępiło twarze ex-jezuitów, obudziło różne domysły i mniemania. Wkrótce jednak, przyjazd poważnych wizytatorów, księdza Boguckiego i Garyckiego Akademii professorów, oblekł młodych niejakąś powagą w oczach rodziców; osobiste ich prowadzenie się oswoiło z niemi obywateli, i wyrobiło się zaufanie wzajemne. Późniéj przysłano więcéj nauczycieli, ci tańczyli nawet! to im nadało cechę towarzyskości; zacniejsze domy wzywały ich na zgromadzenia, a akademickie płaszczyki unosił wietrzyk, gdy z panienkami walcowali. Chmurzył się na to stary Jezuita, ale ojcowie familij już się nie zrażali ich świecką postawą. W uczących się nie było może wielkiego postępu, lecz nowa forma naukowa przyswajać się zaczęła. Alwar utracał na powadze, Kopczyński jéj nabierał; fizykę i mechanikę wykładali z kajetów, które z sobą przywieźli; matematykę podług Luilera. Wychodzić też zaczynały z druku książki elementarne, jako, Nauka moralna Piramowicza, która się ogólnie podobała i rodzicom i uczącéj się dziatwie. Ekonomję polityczną wykładano ze Strojnowskiego; łacina była nizko; prawo natury ze swego kajetu wykładał Jarkowski, a w ustach jego codziennie jedno brzmiało słowo, że nie ma powinności bez swéj należytości, (point de droits sans dévoirs).

Jak powszechnie bywa przy zmianie publicznego wychowania, myśmy się za mądrzejszych mieli, a Jezuici i ich wychowańcy łaciną wyżsi od nas, zdawali się nad losem naszym litować. Młodzi nauczyciele

w dniach świąt większych, korzystali z Jezuickich zwyczajów, mieli rozprawy w swych przedmiotach, kiedy się tamci szczególniéj duchownym rzeczom tylko poświęcali. Nauka języków była zupełnie w kolebce.

Taki był stan rzeczy, kiedy ruch polityczny przebiegł iskrą elektryczną województwa nasze. Warszawa obsypywała nowemi myślami o potrzebie reformy w rządzie, a kraj na różne mniemania i partye podzielony został. Przypominam sobie, że gdy wyszły Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego, nie było zakąta, gdzieby nie mówiono o nich. Wystąpiły potém na czytelnię powszechną, Życie Chodkiewicza i sławnych Polaków; była to jutrzenka, co zwiastowała przyjście Wielkiego sejmu w Warszawie. Fakcye wyłączne, swoją rozwijały działalność; nazywano u nas jednę królewską, drugą hetmana Branickiego, któréj Kurdwanowski przewodniczył. Wybór posłów na sejm był w Łucku; pojechał nań ojciec mój, jako podkomorzy powiatu. Prowadzenie partyi zwanéj królewską, powierzono damie, księżnie Sanguszkowéj, żonie strażnika Koronnego. Fakcya przeciwna miała wyborową zręczność, miała za hasło wolność szlachecką, poiła, brzmiała i obfita w drobną szlachtę uzbrojoną w zuchwałych przewodników, nawet osobom zagrażać się zdała. Był w Łucku Młocki kasztelan wołyński, był i Zagórski, podkomorzy łucki; do nich supremacya i prowadzenie wyborów należały. Złéj przecie usłuchali narady; wynieśli się do Czeknia własności partykularnéj, tam obrady założyli i posłów swoich wybrali. Oburzeni nielegalnością pozostali obywatele,

otoczyli ojca mojego, wzięli go za przewodnika wyborów, i posłów podwójnych naznaczyli.

Wybór to był legalny, lecz mu stronnictwa dano cechę, bo wyższy urzędnik w Czekniu przewodniczył. Upadł dobry obywatel pod ciężarem potwarzy i w powrócie z Łucka, nocując w Krzemieńcu w méj studenckiéj chatce, apoplexją ruszony, ratowany natychmiast, skończył na sparaliżowaniu prawéj strony ciała od głowy do nóg, co mu do śmierci pozostało. Sejm się zebrał, skasowano Czekieńskie wybory, wiedziano los ojca mojego i wezwano królewskiéj dla niego nagrody, który mu przez ręce Mniszcha marszałka Koronnego, order Orła Białego przysłał. W chęci publicznego dobra, zaczęli się bliżéj przyglądać obywatele wołyńscy duchowi fakcyi, opatrywać jéj cele i Wołyń odszczepieńcem ogłoszony; on przecie pojął, co krajowi szlachetniéj sprzyjało, i z dobrem jego przyszłém było zgodne, lecz wybrani wprzódy posłowie w części znacznéj, dzielili przesądy fakcyi swojéj. W dniu pamiętnym Uchwały z dnia 3 Maja, część posłów wołyńskich, przy opozycyi została; wzięto zatém środek przedstawienia narodowi do potwierdzenia, co już uczynioném było. Zwołano sejmiki w Krzemieńcu, wezwano mego schorzałego ojca, aby im przewodniczył. Poźna to była jesień, a dla mnie był to rok ukończonéj szkoły; dano mi medal złoty do srébrnego, com go był sobie wprzódy zasłużył. Brat mój był w Warszawie, assystując sejmowi; jam tedy ojcu mojemu towarzyszył. Lecz siły jego chorobą zwątlone, język paraliżem osłabiony, uczyniły mu trudném głośne wysłowienie się w liczném zgromadzeniu; ka-

zano mi mówić w imieniu jego; i on sam dał mi zlecenia swoje. Czułem stanowisko starca, który spełnił co mu nakazywało prawo, padł potém ofiarą bojaźliwego sumienia, i życiem je przypłacał, którego postępowanie Sejm Wielki usprawiedliwił, król wynagrodził obelgę, a teraz obywatele do przewodniczenia wzywając, reprezentantem województwa uczynili. Musiałem przemówić z serca; przyczynił się do wrażenia i widok osłabionego starca, bo mnie jednomyślnie delegowanym wybrano na drugi roczny dzień 3 maja, zatwierdzeniu Uchwały poświęcony. Józef Wyleżyński do tego wyboru należał.

Piérwszy raz uczułem szczęście, zaczynając obywatelskie życie wyborem w mych oczach, w świetnym czasie dopełnionym. Brat mój przyjechał z Warszawy, bo go kommisarzem cywilno-wojskowym wybrano, a tegoczesny wybór, przyjmowały najznakomitsze województwa osoby. Był prezesem Przyłuski kasztelan, Sanguszko strażnik i starosta krzemieniecki jéj członkiem, Kaczkowski biskup z duchowieństwa. Brat mój tedy do stolicy mnie odwoził; i piérwszy to raz po ukończeniu szkół, miałem widzieć Warszawę, i ten sejm, który w méj młodzieńczéj wyobraźni z senatem Rzymskim, jedynie równałem. Ruch umysłów w całym podniesiony kraju, rozżarzał się ogniskiem w umysłach młodzi; zjawienie się dziennika, któremu Niemcewicz przewodniczył, śpiewy narodowe, widoki teatralne, przyjęcie uprzejme, jakiego od króla i znakomitych osób delegowani doznawali, wszystko to powiększało uniesienie.

Odchodziłem od siebie, czując się jednym z akto-

rów tak wielkiéj sceny, i dziś o tém, choć w przeszłości spełzłem, bez uczucia wspomnieć nie mogę. Czémże to była w owym czasie Warszawa! Kraj się zbiegał, aby ją widział; cudzoziemcy, pobyt w niéj uważali za najbardziéj podobny do Zjednoczonych Stanów Ameryki; codziennie przychodzili posłannicy od ludów, co się pod nowe prawa kraju tego przesiedlać pragnęli. To uszczęśliwienie mieszczan, których stan się podnosił; ubieganie się szlachty, aby ofiarą przywilejów, wzmogła się krajowa siła; dobijanie się o szczęście zostania członkiem średniego stanu, który tak lekce przed kilką laty ważono, z zapałem i z nowo pozyskaném przekonaniem: dziwnym i poruszającym były widokiem. Żadnego śladu rozhukanych namiętności, zazdrości żadnéj; jedynie dobro publiczne na widoku, a chęć służenia krajowi na celu. Świetne czasy! czemużeście dłużéj nie potrwały; jam was widział w kwiecie życia i siły, a pamiątka ta rozjaśnia czoło, choć już do grobu zbliżone. Breza, późniéj ministrem za czasów Saskich mianowany, a do działań Uchwały czynnie wpływający, przedstawiał mnie królowi. Ten mnie przyjął, jak ojciec rodziny przyjąłby odległego krewnego, który mu się przedstawia raz piérwszy; zachęcał do poczciwego obywatelskiego życia, jakie się z nowéj Uchwały rozwinąć miało; chciał nawet ozdobić mnie znakiem zasłużonych, alem w oczach jego zadrżał na wspomnienie nagrody, któréj jeszcze godzien nie byłem. Wszedł w uczucia moje i pochwalił je.

Że się dzień reprezentacyi zbliżał, wygotowałem bakalarską mowę, w imieniu województwa mojego:

było w niéj uczucie, które chwasty przesadnego wysłowienia pokrywały. Przerobił ją Breza na krótkie przymówienie się, gdzie pozostało, co młody obywatel czuł, a co student figurami retorycznemi oszpecił, wyrzucono. Wyszedł nakoniec program uroczystości, gdzie dwóch tylko mówić miało, a reszta złożyć głosy swoje. Sandomiérskiemu i Krakowskiemu mówić przeznaczono. W kościele Świętego Krzyża zbierano się na ten narodowy obrzęd: po prawéj i po lewéj stronie nawy urządzono stopniowe ławy, dla senatu, posłów, delegowanych i dla widzów. Najwyżéj w głębi, świetniał tron króla, otoczonego zagranicznemi posłami; bliżéj mieścił się dwór jego. Korpus kadetów przez księcia Adama Czartoryskiego przyprowadzony, był tronu stróżem; kapłani okrywali boki wielkiego ołtarza. Zdawało się, że Rafael tę nawę tak świetnie ozdobił, tak uszanowaniem przejęci, nieporuszeni, w cichości oczekiwali wszyscy ofiary Bogu poświęconéj, Bogu, z którego łaski, tak wielkiego spodziewali się daru. Chór śpiewaków i muzyki był liczny, a w mém piérwszém na świat wyjściu, niezliczony być się wydawał; na olbrzymi ich odgłos, wstrzęsłem się cały i nie postrzegłem się, jak mój przeskoczyłem przedział, aż mnie ostrzegł poseł, że to moje miejsce nie było. Nigdy podobno wiara i ufność mocniéj w mém sercu nie biły: odchodziłem od siebie. Po skończonéj ofierze, któréj król ukląknąwszy słuchał; wrócił na stopnie swojego tronu i do narodu przemówił; pokrótce wyliczył dobrodziejstwa Uchwały, poświadczone ogólném przyjęciem, i szczęściem, które czytał na twarzach reprezentantów. Mówili jeszcze dwaj wyzna-

czeni; a później wszyscy do ucałowania ręki jego wezwani, złożyliśmy na piśmie przymówienia się nasze, i dane nam od województwa umocowania. Zabrzmiała pieśń pochwalna Bogu, i zdawało mi się, że ją miljony śpiewały na cześć Najwyższego. Król ruszył w wyznaczonym porządku zakładać kościół Opatrzności. Od Świętego Krzyża aż do tego miejsca wznosił się pomost w łuk urządzony, co czyniło malowniczy widok. Przewodniczyli litą szatą okryci kapłani, Prymasa mając na czele; kawalerowie orderów w bogatych strojach, senat; za niemi ministrowie krajowi, i zagraniczni; król, za nim Izba poselska; delegowani województw zamykali ten pochód, który kadeci dzielili od reszty ludu, twarzą i postawą dającego oznaki radości. Lecz wśród tryumfalnego przejścia wicher nadzwyczajny, zerwawszy się, nie wiedzieć zkąd, smutne obudził przeczucie, choć silnéj nie osłabił woli. Po modlitwach kapłanów, król kielnią złotą narzucił wapno na piérwszy kamień, rzemieślnicy kładli materyały, a koleją każdy do budowli należał. Po ukończeniu, król oddał złocistą kielnię panu Chojeckiemu, z województwa Kijowskiego delegowanemu; w jego bowiem instrukcyach województwo na budowę kościoła, znaczny przeznaczyło fundusz. Trzy kolory, błękitny, pąsowy i biały, jako narodowe, były ubiorem całéj płci pięknéj; zdobiła ona zrobione dla niéj umyślnie w ulicy przechodowéj loże, a wieść niosła, że pan Ch....... który piérwszy przewidział dążność do tych barw, został panem, przedając wcześnie sprowadzone w tych kolorach materye.

Prymas ugaszczał delegowanych; nazajutrz do królewskiego stołu wezwani byliśmy. Po zebraniu się naszém, gdyśmy okolili króla z rozkazu jego, on mówiąc do nas, przypomniał dzień wczorajszy; — «Powiedźcie obywatelom, że wśród narodowego obchodu, spotkała nas burza okropna, myśmy ją wytrwałością zwyciężyli. Będzieli tak istotnie, powstaną burze? przejdą, a my będziemy szczęśliwi.» Co się działo na teatrze! Krakowiaki i Powrót Posła, grano wśród ciągłéj wrzawy oklasków; godziny przeciągały się znacznie, a zdawały krótkie; dla mnie przynajmniéj było to piérwsze wielkie uczucie, którego doznałem.

Dniem później już eśmy widzieli, że się zanosiło na zapowiedzianą burzę. Wojsko zebrane, odbywało królewski przegląd; jednę część jego, wiódł książe Józef Poniatowski w Ukraińskie stepy, drugą książe Wirtemberski, do Litwy miał odprowadzić; artyllerya także szła na miejsce przeznaczenia; a stara kolasa, wiozła poważnego Kalkreutha przybywającego z Berlina. O nim różne krążyły mniemania: myślano, że armja pruska w pomoc przychodzi; inni utrzymywali, że on jedynie obejrzéć przyjechał, i przekonać się o krajowych siłach, a jeśliby dostatecznemi je osądził, ofiarować pośrednictwo swego pana, aby je sparaliżować do reszty. W miarę odmiennych przekonań, rozsiewano rozmaite wieści. Tymczasem mnie do pana podkanclerzego Kołłątaja przywołano: opór niektórych wołyńskich posłów nie był jeszcze zwyciężony; jeden z posłów naszych, później senator Strojnowski, miał mnie wieźć do nich, i okazać instrukcyę moją. Nie zapomnę miny tych panów na moje do nich przybycie, bo mnie wszyscy jeszcze studentem zostawili.

Żarty odpierałem żartami, a umocowanie w imieniu prawa przemawiało. Mój poważny przewodnik nie mógł w nich obudzić przekonania; milczeć jednak musieli; wkrótce zaś w konfederacyę Targowicką wcieleni, osobiste popierali przekonanie.

Smutny był powrót z Warszawy; właśnie obywatele zebrani byli w Krzemieńcu na wybór Sądów granicznych w myśl prawodawczéj ustawy. Zdałem sprawę ze skromnego posłannictwa mojego; obrano mnie kommisarzem cywilno-wojskowym, bo mój brat do Kommisyi pogranicznéj wezwany został; polecono mi, abym w przechodach wojska przez Wołyńskie województwo w imieniu Kommisyi paletami rozporządzał, nawet mu towarzyszył dla ułatwienia przejścia i wskazania stanowisk. Wkrótce zabrzmiała wieść o wejściu Kochowskiego w granice; piérwszy wojsk tych przechod materyalnie nawet dotykał każdego nadto, żeby się z niego mógł weselić. Nowy zapał przykrzejsze jeszcze obudził uczucie, a młodzież nawet zapragnęła wojennéj chwały. Szły rzeczy śpiesznie i nic się rozwinąć nie mogło. Kościuszko jak powiadał, życzył wysłać partyzancki oddział, dla obudzenia współczucia w dawnéj braci; odrzucono myśl jego. Szczeniowski obywatel bracławski, co raz do obozu się udał, aby w nim obywatela powinności z bronią w ręku spełnił, twierdził, że go lud Ukraiński wzywał mówiąc: na co wam paniczów przeciwko chłopom posyłać, nam dajcie broń w ręce i dobrego przewodnika, a my się poborukamy z niemi, nasze plecy nie węższe od nich. Przekładał to księciu Poniatowskiemu, ale ten się więcéj poruszenia ludu, jak przytomnéj wojny

lękał; było to także przekonaniem Stanisława Augusta, któremu sejm rozwiązujący się, swoją powierzył władzę. Sołtyk mówił wskazując mu jego obowiązki: głos jego rozczulił, ale przekonania nie złamał; wspaniałość Rossyjskiéj monarchini i wdanie się zagranicznych dworów, uznano za dostateczny środek ocalenia. Tymczasem konfederacya Targowicka miała w ustach przywileje szlachty, pewność, że kraj i piędzi ziemi nie utraci, że tu idzie o zwalczenie zuchwałéj partyi, co w Prusiech, a nie w Rossyi szuka ocalenia kraju, a tym sposobem sławę wielkiéj monarchini czerni; że lepiéj ufać potężnemu mocarstwu, któremu cnota i wspaniałość przewodniczą i t. d. Trudniéj było pokonać ducha, co wojsko ożywiał; obmyślono cofanie się porządne, aby ocalić honor żołnierza, który wśrod małoznacznych walk, przemagającéj sile ustępował. Środek ten zaspokoił miłość własną wodza, drażliwość umysłów złagodził, lecz do niczego doprowadzić nie mógł.

Nie moja rzecz mówić o tém, czegom nie widział i dla tego, zkąd to wiedziałem, umieściłem. Trwoga nastąpiła w prowincyach, do których się wojsko obce zbliżało; umykano z żonami i dziećmi do Galicyi; wsie i miasteczka pełne były ukraińskich rodzin. Bitwa pod Zieleńcami, krótką była pociechą, bo się wojska cofały ciągle; i myśmy się też do Podkamienia schronili.

Tam poznałem księdza Marka sławionego w konfederacyi Barskiéj; nie był to fanatyk i prorok, za jakiego go brano; był to człek rozsądny i gorliwy, który przyjął to godło, aby z niém pożyteczniejszym

zostać. W dziecińistwie mojém jeszcze widziałem, jaką w nim ufność miała rodzina moja; stare jego habity przerabiano na sukienki dla dzieci, mniemając, że ich od wszelkiego złego ocalić miały; ja sam nawet w ubiorze karmelity z habitu jego, piérwsze przepędziłem lata. Dzielił on nasze pomieszkanie, przewodniczył modlitwie, lecz nic w tém nadzwyczajnego nie było. Przychodzono do niego po uzdrowienie; on się modlił z proszącemi, i w modlitwie dla nich upatrywał ocalenia. Widziałem młode, podobno niesforne małżeństwo skarżące się, że nie miało dzieci. Był on po obiedzie przy skromnym kieliszku wina, który w ręku trzymał; dał im obojgu napić się z niego, mówiąc: pijcie z jednego naczynia, łamcie jeden kawał chléba, miejcie oboje jedne stosunki, oboje pilnujcie domu, razem błagając Boga, a on was i dziećmi obdarzy. W tym rodzaju były wszystkie odpowiedzi, które przychodzącym dawał. Tu się wstecz cofnąć, proszę szperaczów przeszłości; proszę Nowoszyckiego co akta przegląda, aby na to zwrócił uwagę. W czasie wielkiego Sejmu, trwoga opanowała Wołyń; w Kuryłówce, wsi pani Pruszyńskiéj pod Ozohowcami, uknowano spisek na jéj życie. Wkrótce wieść ogólnéj rzezi przyjętą wszędzie została; do Krzemieńca zwożono wielu i księży i z pospólstwa o to posądzanych. Księża zamknięci w kaplicy, a późniéj sali Gimnazyalnéj, ciągle śpiewali swe modły; myśmy się przechadzając z uczuciem litości ich słuchali. W Dubnie, w znacznéj ilości zatrzymano zwoszczyków. W Krzemieńcu sąd grodzki, któremu Zagórski sędzia przewodniczył, na dwóch wyjazdach z miasta wzniósł

po dwie szubienice i wisielcami napełnił. Przywożono z Warszawy złowionego Kuryłę, co miał być spisku autorem; woził go i odwoził jenerał Kniażewicz, będąc natenczas porucznikiem fiuzyljerów; przejeżdżał z Warszawy poseł Świętosławski; utworzono milicyę konną, którą zebraną i uzbrojoną widziałem; lecz to wszystko znikło z usunieniem się wojska. Możeby inkwizycye odczytane z tych, co ich wieszano, rzetelne rzuciły światło. Przed mojém usunieniem się z Krzemieńca, odesłałem jak było przepisano, pieniądze pod opiekę wojska; przyjął je pułkownik Pakosz, który przy taborze wojskowym pod Włodzimierzem zabity został. Zdało mi się, z urzędu wówczas wzywać obywateli w odezwach do duchowieństwa, do ludu i szlachty czynionych. Powinność przedewszystkiém, to zawsze było hasło moje.

Znajome są reformy Józefa II, przeznaczone dla Galicyi; znajomy skutek podobnych w Belgiach i potężny wpływ adwokatów tego kraju. Imiona Vanderburcha i kolegów jego, odbiły się w sercu galicyjskich prawników, którzy także zapragnęli wznieść się. Przy każdéj gwałtownéj zmianie prawodawstwa, gotuje się obfite żniwo dla prawników, co je pojąć umieli. Adwokaci galicyjscy poszli zaraz w górę pod względem materyalnym: a pojąwszy ducha czasu, z belgijskiemi iść chcieli w zawody. Wielkie ich stowarzyszenie we Lwowie, już moralnéj nabierało siły; a ci co do postępu rościli prawo, do nich się z ochotą garnęli. Pragnąłem zajrzeć do téj nowéj świątyni; z niéj mnie nie odpychano, bośmy posiadali nad Seretem majętność Bilcze, kupioną wprawdzie z zastrzeżoném prawem

dziesięcioletniego wykupna, co nas w końcu, w bankructwie papierów krajowych zamięszało. W tym rzeczy stanie, związek z adwokatami, stał się nieuchronny: Dzierzkowski, Węgliński we Lwowie, Antoni Bieńkowski w Stanisławowie, byli stróżami naszego majątku, a po części i opinii przewodnikami. Hafniarski błyszczał dorobkiem, Nowakowski wziął Radziwiłłowę.

U nich to zbierało się poważne towarzystwo literackie, u nich składy pomników starożytności, przy zmarnotrawieniu bibliotek zakonnych zgromadzone, w ich progach ludzie niegdyś możni stawali z prośbą, przez nich działali nabywcy dóbr krajowych lub wymieniający dobra swe solne za obszerniejsze ziemie; dla nich był wyłączny wzgląd władz rządowych i opieka dla uciekających się obywateli naszych, tych szczególnie, coby się z prowincyj naszych wynieść pragnęli, albo w dwóch krajach mieli swe posiadłości. Słowem był to klub dla widoków wyższych z polecenia władz protegowany, o którym późniéj mówić mi obszérniéj wypadnie. Już natenczas Dubienka, została ostatnim błyskiem chwały oręża, pod Markuszowem zginął Iliński w szermierce z kozakami, kiedy książe Józef wolę króla oznajmił, i wejście wojsk rossyjskich do stolicy kraju, za niezbędne zapowiedział.

Każdy wtedy pomyślał o swém i majątku ocaleniu, a cała emigracyjna karawana do swych się skierowała domów; i myśmy z ojcem wrócili. Nadciągnęła konfederacya Targowicka: w Dubnie Puławski rozpoczął sądownictwo, i mnie się stawić nakazano. Byłem pewny, że pamięć na ojca mojego dla mnie tarczą zostanie; lecz dotkliwszego na mnie użyto środka, bo

mi kazano dostawić kassę, jaka się przy Kommisyi cywilno-wojskowéj zostać była powinna, gdyż ostatni ją opuściłem. Pakosz zabity co ją w opiekę przyjął; zresztą rzecz szła o pieniądze, i mógła różne wywołać mniemania. Nadszedł czas kontraktowy; liczni obywatele przybyli do Dubna, a w przyległym pokoju JWW. konsyljarze zasiedli na sądy! W kłopocie moim pobiegłem do księcia Michała Lubomirskiego, w którego komendzie był Pakosz, w czasie ich marszu, i z jakąż nie usłyszałem pociechą, że kiedy inne drobne zbiory na potrzebę wojska użyto, kufer dostawiony przezemnie, w całości pozostał!

Stawiłem się wtedy zuchwale. W izbie kontraktowéj dość było powiedzieć, że jestem przed sąd Konfederacyi zapozwany. Nie mogę zapomnieć szlachetnéj twarzy księcia Czartoryskiego właściciela Korca, z jakiém mnie uściskał uczuciem, jak biegł słyszeć tłumaczenie się moje. Stawiłem się przed sąd ów, i rzekłem:— Panowie ukształciliście się w sądowniczą na mnie magistraturę, kiedy ja w imieniu aktualnéj magistratury, wyborem obywateli zaszczyconéj, a z prawa sejmu exystującéj, przychodzę nie jako obwiniony, ale jako urzędnik tylko, co was zainformować pragnie. I tego nie uczyniłbym może, gdyby tu nie szło o piéniądz, z którego zdać kiedyś musicie także rachunek w oczach publiczności tu przytomnéj, a o stanie kwestyi oświeconéj. Lecz że zdaję sprawę w imieniu magistratury, proszę o przyzwoite miejsce.

Świętosławski przyjaciel ojca mojego, natychmiast mi usunąwszy się przy Puławskim, wskazał siedzenie, a jam dokończył:— Chciała Opatrzność nawet od lek-

komyślnéj obmowy mnie ocalić; oddałem kassę pod opiekę wojska, bo mi tak kazało prawo; los ją ocalił, i zdaję ją na odpowiedzialność waszą. Tu wręczyłem świadectwo księcia Michała Lubomirskiego.

Wychodziłem, gdy w izbie kontraktowéj powstały odgłosy uściskania, powinszowania; tak się skończył mój ambaras, bo zamilczano o cyrkularzach. Jednak mój ojciec życzył mi uchronić się na czas; wyjechałem więc do majątku jego w cyrkuł Zaleszczycki; a będąc w Stanisławowie dla interesu naszego, korzystałem z téj przejażdżki, pozyskując sobie życzliwość Antoniego Bieńkowskiego, który tam prowadził obywatelskie interesa. Z nim odwiedziłem przyległe Karpackie góry od Delatyna i Nadwornéj; widziałem wodospad Prutu i Doboszczukowe skały: słyszałem powiastki o tym niepospolitym opryszku na którégo całe regimenta używane były. Lud go błogosławił, bo obdziérał niżéj położone miasteczka, a zdobycz dzielił między ubogich górali. Podziwiałem tam piękność nietrwałą kobiét, które nikną wcześnie, w skutek słabości, którą tam wojska Rakoczego dziedziczną prawie uczyniły; tak mi przynajmniéj opowiadali podróżujący. Śpiéw górali pasących swe trzody miał cóś zachwycającego, przez echa gór powtarzany; zdało mi się być w kraju koczującego ludu, lecz uczucie odmienne mżeli to, którego doznajem na widok naszego stepu. Tu natura chroni mieszkańca w skałach od burzy, okrywa od skwaru cieniem jodeł, czyni go zwinnym i lekkim bo przebiega góry, a głos piszczałki jego znany, u każdego prawie różny, rodzinie i znajomym rozpoznać go daje; po nim poznają obróty je-

go. Pól tu uprawiają mało, dziki je często spasają bezkarnie; na wierzchołkach gór wypasy Połoniny zwane, wypasają bydło. Séry ich jak w Szwajcaryi z całéj razem trzody zbiérane, późniéj do podziału idą; a serwatka jest skutecznym dla zdrowia napojem, na którą przybywają latem liczne rodziny, wioząc z sobą schorzałych; sami też górale obficie ją piją dla polepszenia zdrowia. W tę porę i ja z zebranemi znajomemi przybyłem. Jesienią hucuł zabiéra woły, ładuje mażę solą, i wymienia ją na zboże w obfitych żniwach galicyjskiego Podola; tak przynajmniéj wtenczas bywało.

Wracać mi do słabego ojca, i powinność i serce kazało; zastałem go osłabionego, niedołężnego, lecz spokojność i pogoda duszy łagodziła cierpienia. Prowadzono natenczas nową granicę od Polski, zostawując jéj część tylko Wołynia od granicy galicyjskiéj położonego. Wkrótce jednak zaszła zmiana, a majątek rodziców moich już do przyłączonego kraju należał. W miasteczku Lachowcach stał jenerał-lejtnant Lewanidów i tam obywatelom miejsce do przysięgi naznaczył; chciał żeby się ta odbywała w kościele. Ksiądz przeor stosowne przygotował przymówienie się; lecz jakież było zdziwienie wszystkich, gdy inny kapłan wszedł zamykając za sobą ambonę i klucz biorąc do kieszeni, i począł od przekleństw, klątwy i najgwałtowniejszych wyrzutów.

Jenerał zdziwiony, posyła aby przestał mówić; ambona zaparta, mówiący korzysta z czasu, aby się pozbył swéj żółci. Drzwi odemknięto nareszcie, on zszedł; był to nieszczęśliwy co zwaryował, wkrótce nawet

ukończyły się dni cierpień jego. Mój ojciec stawić się osobiście nie mógł, bo się na śmierć gotował; zjechał zatém przysłany półkownik, który stan jego obejrzał i z największą dyskrecyą spełnił polecenie swoje. Czuły ojciec miał litość nad rodziną, znał jéj boleść i oszczędzić jéj pragnął. Przypadał za dni dwa dzień Porcyunkuli, który razem był dniem imienin księżnéj Sanguszkowéj w Zasławiu. Dla nas był to dzień pamiątek: księżna z domu zacnego Leduchowskich, była wprzód za dziadem naszym już w późnym jego wieku. Szlachetna jéj dusza przyjaźną była całéj swojéj niegdyś rodzinie; przy świetnéj zmianie losu, zachowała pamięć piérwotnego związku, a cześć jéj winna, była potrzebą serca całego naszego domu. Drogi mój ojciec powziął ztąd zamiar oddalenia nas wszystkich z domu, bo już swój zgon przeczuwał; kazawszy napisać list winszujący, odwieźć nam go do Zasławia polecił. Jego siła duszy wycieńczona cierpieniem, opierała się boleśnemu oddaleniu naszemu; my przeczuciem, pośpieszaliśmy napowrót nazajutrz rano do domu, gdy płacz biegnącego ku dworowi ludu wiejskiego wskazał nam, że już nie żyje. Co się ze mną działo, ten tylko pojmie, kto kochał rodziców i miał tak dobrych dla siebie; znalazłbym w pamięci obraz tego uczucia, lecz go zostawuję sobie, niech mi towarzyszy do grobu. Zwyczajem dawnym, mieliśmy grobowiec nasz familijny przy kościele księży Franciszkanów w Krzemieńcu; tameśmy go odwieźli; lecz z jakiémże zdziwieniem naszém w miasteczku Katerburgu, gdzie czasowo granica przechodziła, wymagano pasportu od jadących z Rossyi do polskiego kraju,

a ścisłość była już taka zaprowadzona, że Czosnowski, starostwo mający z tamtéj strony, za to, że siedząc rekollekcye u księży Reformatów w Krzemieńcu do wsi na termin nie powrócił, miał sobie wieś Ceceniówkę odebraną.

Po téj stracie wyjechałem do Galicyi, jako poddany dwu krajów; podwójny smutek z położenia mego wynikły, wszystko mi okrywał. Tułałem się, a mając z sobą Jana i Piotra Kochanowskiego, uczyłem się ich pieśni na pamięć, własne nawet wymarzyłem treny, które doznały losu, jakiego, bodaj i to pismo nie zasłużyło. Wkrótce wieść o rewolucyi w Krakowie doszła do nas. Major Błędowski po rozwiązaniu wojska, jednéj ze mną myśli będący, razem ze mną do Lublina się udał. Tu zastałem jenerała Grochowskiego z wojskiem już pod Szczekociny ciągnącém, i okalających go wiele poważnych osób. Doniesiono raportem o przybyciu naszém, a że zwiększanie wojska było w widoku Naczelnika, przysłał mi patent na półkownika wołyńskiéj milicyi i formować ją natychmiast polecił. Udałem się zatém do Lwowa pod opiekę tam stowarzyszonych ziomków, bo między nową granicą a galicyjską, mniemałem tę czynność za ułatwioną dla siebie. Już wtedy stowarzyszenie Lwowskie, przybrało pewniejsze formy: Dzieduszycki stanął na czele; Dzierzkowski, Leszczyński, Walewski, Węgliński, Strzałkowski poradzcami byli. Krieger deputowany miast, łączył ich z Warszawą; stosunki z Stambułem jenerał Rymkiewicz tam bawiący utrzymywał, Wegetynowski pseudonym, z Francyą i Włochami, Ogiński senator z Paryżem, Prozor z Litwą, Kociełł z Wenecyą. Do-

stałem u tych panów posłuchanie, dali mi radę, nie taić mego posłannictwa rządowi. Byłem wprowadzony do jenerała Arnokur komenderującego w Galicyi; uznał, że robię roztropnie powierzając mu missyę moją, że póki tylko to ze spokojnością Galicyi mieć nie będzie związku, rząd nie weźmie za złe mych zamiarów; mówił mi, że przysposobienie siodeł uskutecznić można przez Brody, kosy są rzeczą handlu, broni głośno szukać nie należy, lecz cząstkowo ją dostawać, na co będą zamknięte oczy, dopóki nie tkniemy spokoju kraju. W tychże prawie wyrazach była odpowiedź Kalemberga gubernatora, z dodatkiem tylko: może WPan zabierzesz z sobą tutejszą na bruku wojującą młodzież, która nam tylko niepokoju przymnaża.

Pośrednictwo powyższych osób zdawało mi się być rękojmią skutku i bezpieczeństwa ze strony rządu. Udałem się do Brodów; nasłano mi zaraz kilkunastu młodych ludzi, co się rozbiegli po kraju szukając związku z gorliwszemi; lecz gdzie lud opinii nie dzieli, ruch wielki być nie może, i idzie tylko w stosunku siły, która go w piérwszém zbieraniu się osłaniać jest w stanie. Jedyna nadzieja była w determinacyi, jaką weźmie wojsko, do którego rozbrojenia na Ukrainie przystępowano; lecz jego rozkład był tak ułożony, że go regimenta rossyjskie systematycznie przedzielały, i dla tego ta strona Wołynia ogołoconą z nich była. Zaczęła się wiązać młodzież, a nawet obywatele wiekiem i majątkiem znaczniejsi: major Błędowski, Czosnowski strażnik koronny i Orła Białego kawaler, przystąpili do związku, i każdy wrócił do domu, aby się uzbroić był w stanie. Młodzież pojedyńcza kryła się w Radziwiłłowskich lasach nad granicami Galicyi zebrania swoje; było już pareset związkowych. Głównokomenderujący jenerał Sołtyków, miał w tę stronę obrócone oczy, ściągnął strzelców i kawaleryę do nich, aby te lasy splondrować; tymczasem przegrana pod Szczekocinami, odmieniła na czas i rządu austryackiego postępowanie. Kazano mnie uwięzić; Rossyanie w lasach patrolować zaczęli, zabito kilku broniących się, a reszta wciskjąc się w granice Galicyi, lekko tylko poszukiwaną była. Jednéj nocy weszli do domu mojego Austryacy, a przy łóżku postawiwszy szyldwacha, zapowiedzieli szydersko, że panu półkownikowi straż honorową stawią. Z brzaskiem dnia, pokazał się w mieście strażnik Czosnowski, i równego ze mną doczekał się honoru; za nim majora Błędowskiego ten sam los spotkał. Posłałem do Lwowa; przybiegł hrabia Leszczyński, lecz przyjechał i jenerał Schnejdauer, jako prezes wojennego na nas sądu, a mnie lekko okuć kazano. Leszczyński nas uspokoił, że to jest satysfakcya, którą rząd daje na wezwanie księcia Sołtykowa, ale że ta nie poprowadzi za sobą ostrości większych. Przed sądem tłómaczyłem się, że nic nie przewiniłem przeciwko krajowi, bom uwiadomił wprzód o moich zamiarach. On mi odpowiedział, że pan Lechnicki werbował w kraju, a prawa wojskowe śmiercią karzą tego rodzaju werbunek: że zas Lechnicki wyznał, iż do mojego werbuje półku, zatém ja jego występek podzielam.

Poszedł wyrok Kriegs-rechtu pod rozpoznanie; uznano, że sąd cywilno-wojskowy był właściwszym do tego rodzaju sprawy, sądownictwem, a zatém nas do

Lwowa przeniesiono; lecz tu powstanie w Warszawie, przyjściem wojsk pod nią wzmocnione, znów osłabiło ścisłość względem nas rządu austryackiego. Po przywiezieniu nas do Lwowa, osadzono w domu i otoczono Kroatami, z którymi się rozmówić nie mogłem; lecz ciągły ruch powozów, dam i osób poważnych, cieszył mnie współczuciem miejscowém. Wkrótce wieczorem wychodzić mi pozwolono za biletem policyi, który sobie osoby przychylne wyrabiały, a to w assystencyi żołnierza; potém już mnie samemu ten bilet powierzano, i moje Kroaty zapomnieli nawet o twarzy więźnia, i nieraz tym co u mnie byli utrudniali powrót, myśląc, że ja wychodzę. Stosunki moje zwiększały się codziennie, i gdybym wtedy mój pisał dziennik, byłby interesowniejszy rozmaitością samą. Raz, dozwolono mi wyjechać do Tarnopola, dla zbliżenia się do matki i zasiągnienia wiadomości o niéj; dowiedzieli się współaresztowani i pozazdrościli téj swobody. Posłano za mną, odebrano pozwalający papier, łajano nawet, jak gdybym bez wiadomości wyjechał; lecz wieczornemi wychody osładzano tę przykrość tak dalece, że mnie nieraz spotykał gubernator, który udawał, że nie poznaje kto jestem. Kościuszko pisał żądając oswobodzenia naszego; przyszedł nakoniec z Wiednia oczekiwany wyrok: kazano nam wyjechać za granicę, a mnie w granice państwa powracać zabroniono. Dano mi jednak pasport na wszystkie osoby na którem go mieć żądał, ośmieliłem się prosić go dla szesnastu, a tak na koniach, w mundurach jechaliśmy do Lublina, będąc ciekawym przedmiotem dla armii austryackiéj, która się też ku Lublinowi posunęła, i wysłała nas z eskortą

do forpocztów awangardy, trzymanych przez półkownika Urbanowskiego, który tam półk kozaków formował.

Zdałem sprawę Naczelnikowi z całego niepowodzenia, i co mi poradzcy lwowscy powierzyli: Kościuszko będąc uprzedzony, ostróżności moje z rządem i stosunki moje z obywatelami za dobre uznał. Wiedział, że były składki które go nie dochodziły, potrzebował je wydobyć i wemnie upatrywał skutecznego agenta. Tłómaczyłem się zapadłym na mnie wyrokiem. On mi powiedział:— Wydalono cię na żądanie jenerała Sołtykowa; jako syn galicyjskiego obywatela, masz prawo pobytu, który ci ułatwią naszéj sprawy przyjaciele, i wielką oddasz usługę. Nie śmiałem jéj odmówić.

Mało byłem w Warszawie, lecz byłem właśnie na ów święty Ignacy u jenerała Kamińskiego, gdzie prosto od stołu na koń i na bateryę szwedzkie uderzono; był tam i Leduchowski Ignacy, a że na wielkim siedział koniu, choć sam malutki, Prusak nie dostrzegłszy jeźdźca myślał, że koń swobodnie bieży, i złapać go pragnął, lecz postrzegł z zadziwieniem maleńkiego pana, dopiéro gdy ten strzelił do niego. Był też i książe Jabłonowski, co przyszedł z brygadą Łaznińskiego, śmiały, ubrany dziwacznie zawsze: w tym dniu miał długą karmazynową szarfę, siedział na zuchwałym koniu od Sierpieńskiego pożyczonym, który go niósł mimowolnie przed batalion pruskich strzelców. Szarfa rozpuściła się długo, a on przeleciał szczęśliwie jak kometa z ogonem, choć ją rozrywały kule. Koń się spostrzegł, że to nie jest jego zwyczajne stano-

wisko, zwrócił się tąż samą drogą nazad pod temiż strzały, a wojsko nieprzyjacielskie, awanturującego się rycerza oklaskami okryło. Było to przecież dzieło kasztanowatego rumaka pana Sierpieńskiego, którego żaden nie przełamał jeździec, a on go jak mówiono naówczas, na figiel księciu ofiarował.

Dwa obozy stanęły pod bronią, każdy myśl nieprzyjaciela odgadnąć pragnął. Gdy się rzecz wyjaśniła, Naczelnik przywołał do siebie, karcił zuchwałość, do karności wzywał, a po téj ojcowskiéj przestrodze, słuchał każdego co mu swoje opowiadał przygody. Więc brygadyer Zwizda, którego głos cieńki był każdemu znany, skarżył się, że pod nim cztéry konie ubito w téj sprawie. Możnaż być tak nieuważnym, odrzekł Naczelnik, żeby cztérma końmi na bateryę wjeżdżać. To się już przykleiło do wszystkich; powtarzano w obozie całym, i pamiętne były głośne imieniny jenerała i dowcipna odpowiedź Kościuszki.

Dawał się już widzieć naówczas duch skrytych towarzystw, które się do nas z Francyi wcisnęły tchnąc demagogicznemi zasadami: z tego to źrzódła rozszerzało się mniemanie, uwłaczające wielkim przymiotom Kościuszki, podnoszące talenta Kołłątaja i dzielność Jasińskiego, uznające ich zdolniejszymi do prowadzenia rządu rewolucyjnego. Niejaki pan Zdanowski wnęcił się do mnie, i pod swój zaciąg usposobić pragnął; nie pojąłem jego teoryi, a mając polecenie stosowniejsze dla siebie, chciałem je spełnić należycie. Przywołano mnie na nowo do Kołłątaja; mówił on lecz z ostróżnością, jakby należało rozegrzać wszystek naród, aby się razem chwycił do oręża; lekko namienił, że i na Galicyę przychodzi pora, za podsunieniem się zbrojnéj siły aż pod Lublin; mówił o odebraniu środków rządowi rewolucyjnemu, działania nawet w jego dawnym obrębie; że wysłanie na Wołyń Liberackiego, równie spełzło jak moje, że jednak o Wołyniu zapomnieć trudno, że z Liberackim przybył pan Joachym Denysko, człek mężny, który się téj podejmuje wyprawy, że trzeba abym i ja temu nowemu poświęcił się przedsięwzięciu; że mnie Naczelnik nie w samym tylko zapowiedzianym celu tam jechać każe, lecz da mi słówne polecenie jak się mam sprawić; i że z korpusu Ponińskiego stosowny oddział powierzony zostanie Denysce, a gdy on brygadyerem wołyńskiéj brygady zostaje, mnie patent na vice-brygadyera z woli jego wręcza. Tak tedy dwie missye razem gorliwości mojéj powierzono: zresztą już były posłane wezwania do galicyjskich obywateli, o których mnie oni zainformować mieli; a takąż samą wyprawę w pomoc obywatelom poznańskim, Dąbrowski miał przedsięwziąść.

Opuściłem Warszawę właśnie kiedy przyszła wiadomość, że pod Jarosławkiém, Mniecki kasztelan powstał, i zatopił amunicyę do armii pruskiéj przeznaczoną. Ze mną przybyłe konie mych ludzi, i wyprowadzonych z Galicyi ochotników, poruczyłem panu Denysce, a sam do Galicyi się udałem. Byłem w drodze woźnicą, późniéj lokajem, i tak nakoniec we Lwowie stanąłem, jako służący pana hrabiego Leszczyńskiego, tak wchodziłem do klubów. Widziałem zebranych znajomych mi obywateli, co wiedzieli o mnie, lecz kiedy którego nie zastałem w domu, potrącali służebni źle ubranego lokaja. Panie najczęściéj dziwi-

ły się, co za interes do ich mężów mieć mogę, a mocniéj jeszcze, gdy za ich przybyciem śmielszéj nabierałem postaci, i na narady mnie brano. Wyexekwowałem pozalegałe grosze, które zaraz przez Strzałkowskiego półkownika królewskiéj gwardyi do Warszawy odesłałem; mówiłem w klubach o ogólnéj potrzebie i środkach zbliżenia się do ludu, aby przyszedł w pomoc sprawie ogólnéj. Zapał był powszechny, lecz się nad środkami do wykonania oglądano; mnie uważano za zapaleńca, ale nie wątpiono, że to mówię, po co mnie wyżsi wysłali.

.......Był wówczas we Lwowie książe Jabłonowski kasztelan krakowski, od którego najszczersze odbierałem przyjęcie. Kiedym się jednego wieczora u niego znajdował, odźwierny doniósł, że Kalemberg gubernator przyjechał do niego.— Ach! zapomniałem, zawołał książe, że on tu u mnie dzisiaj być przyrzekł— schroń się do przyległego pokoju. Lecz niecierpliwemu księciu, za długiém zdało się potém moje odosóbnienie, i zawołał:— Wyjdź tu panie Józefie, drzwi otworzywszy. Jak to ta młodzież ubiéra się teraz, rzekł, kiedy w lokajskiém wszedłem stroju. Zmarszczył brwi gubernator, przypomniał wydany na mnie wyrok, i co tu porabiam, zapytał.

— Tam mi niedobrze, odpowiedziałem, a że jestem bez grosza, wcisnąłem się do znajomych po pomoc.

— Niech i tak będzie, odpowiedział gubernator; byłoby dla waćpana nieszczęściem, gdyby cię policya odkryła, lecz ja nie chcę jego zguby; winszuj sobie, że cię w domu księcia spotykam. Nie widzę innéj ra-

dy: daję ci dwie doby czasu, umykaj sobie, bo cię wszędzie potém szukać każę. Książe mu odpowiedział:— Ja go odeszlę do mojéj żony do Zamościa, a ztamtąd go kobiéty przeprawią. Uśmiéchnął się na to gubernator; książe kazał mi dać świadectwo jako służącemu swemu, poczta zaszła i Lwów opuściłem. W Zamościu stało się jak przepowiedział; księżna przetrzymać zdołała wysłane rozkazy, ja wjechałem w armię austryacką jak miejscowy, i znalazłem się na drodze do Warszawy.

Już wtedy Sierakowski, co pod Krupczycami zyskał wojenną sławę, stracił ją pod Brześciem-Litewskim, cofał się ku Okrzci i Żelechowa, żeby Ponińskiemu co stał w Dęblinie dać potrzebną siłę do oparcia się przejściu Fersena, który podtenczas lewym brzegiem Wisły od oblężenia Warszawy ustępował. Po odejściu Prusaków, po cofnieniu się Rossyan, Naczelnik mając siłę do rozporządzenia, urządził wyprawę Dąbrowskiego do Wielkopolski. Nominował jenerałem Kniażewicza, i do korpusu Sierakowskiego z posiłkami wyprawiwszy, sam w towarzystwie Niemcewicza i Fiszera, w tęż co oni puścił się drogę. Z téj strony Warszawy, lecz nie pamiętam miejsca, spotkałem ich jadących; zdałem sprawę z missyi jaka mi przeznaczoną była, i oddałem papiery, które mi wręczono; śmiałem się też zapytać, czy półkownik Strzałkowski dostał się z zebranemi pieniędzmi.— Odebrano je, i umiałem ocenić wćpana delikatność, że swego dołożywszy starania, powierzyłeś ich oddanie więcéj zasłużonemu. Z zwykłą sobie zimną krwią zapytywał o szczegóły, i śmiał się jak wpadłem w ręce gu-

bernatora. Kazał mi jechać z sobą.— Podjazd co na Wołyń idzie, i gdzie wćpana przeznaczyłem, o tyle będzie skuteczny, o ile go moje powodzenie ułatwić zdoła; będzie dosyć czasu do tego abyś się tam stawił. A wezwawszy oficera od posterunku miejscowego, co dla mnie konie przygotowywał, prosił o jednego więcéj dla niego. Był to właśnie Przesmycki, co późniéj Lubomlem, późniéj Białocerkwią pożytecznie i tak poczciwie rządził 1826 roku, kiedym z Warszawy przez Luboml wracał, od niegom się o tym detalu dowiedział. Pośpieszaliśmy skoro, a w czasie sfolgowanéj jazdy, Naczelnik badał mnie ciągle o Galicyi; czasem lubił wśpiérać uwagami swemi, które od niego w umyśle młodym wrażając się, dotąd zatarte nie zostały; już dając mi wyobrażenie prawdziwego szczęścia, które zakładał w spełnieniu powinności.— Wszystko jest zresztą podrzędne; chwała najczęściéj podnieca próżność, a nawet z drogi obowiązków sprowadzić może. Pełń twoje przeznaczenie z ochotą, a reszty czekaj, sumienie stanie ci za szczęście; nie szukaj zbytku, bo go znajdziesz w mierności; chcesz miłego spoczynku, nabądź go pracą— jak się to wtedy odpoczywa z roskoszą! Jeśli dobry stół cię łechce, po trudach i głodzie użyj pokarmu, to jest najlepsza przyprawa. Sądź ciągle twoje postępowanie, a jeśli cudze złém się wydaje, powiedz sobie, że twoje odmiennem być powinno. Nie sądź ostro drugich, oni cię sądzić nie będą i nie obudzisz zawiści. Pracuj o ile możesz, strzeż się próżnowania, a resztę powierz Bogu: jeśliś przeznaczony do szczęścia, ono ci się samo nastręczy, jeśli masz cierpieć, żadnym obrótem nie

wykręcisz się z tego. Sumienie jest jak koszula przy ciele, od niego szukaj porady i w niém miéj świadka i stróża spokojności twojéj.

Zbiegali się ciągle posłannicy od komend, które o jego wiedziały ruchu; doniesiono mu, że złapano oficera z małym oddziałem, który go w Żelechowie czeka, a tam już i korpus Sierakowskiego dochodzi. Powiększył pęd konia, i wkrótce widzieliśmy formujący się obóz, do ktorego wstąpił wysłany jenerał Kniażewicz z posiłkiem z Warszawy wyprawionym. Wkrótce po przyjeździe stawiono pojmanego oficera: był to polak inżynier w służbie rossyjskiéj, miał przy sobie stan armii Fersena, bo jego przeznaczeniem było odkrywać drogę, którą udać się miano dla połączenia z armią Suwarowa. Nad wieczór dnia tego, przyjechał półkownik Radzimiński, co półk Lubelski formował, od księcia Ponińskiego wysłany.

Radzimiński rozprawiał o obronie przeprawy na Wiśle, wyliczał arcydzieła odwagi, i straty pewne korpusu Fersena, o czém i raport jenerała twierdził; lecz nakoniec doniósł, że się już Fersen przeprawił, że szuka Suwarowa, że ucierpiał w przeprawie, że jest obciążony, bo ma działa do szturmu Warszawy użyte, że Poniński utrudniać będzie pochód jego.

Korzystać z tego wypadało, i nazajutrz pod Maciejowice marsz nakazany; przyszliśmy nakoniec w to miejsce, gdzie się nasz zaczął upadek. Na prawém skrzydle zameczek był główną kwaterą. Leży on na wzgórku, błota go od niedalekiéj Wisły dzieliły; wyższe położenia zostały obozem pieszych regimentów, na lewém skrzydle usypano bateryę, którą osadzono ar-

matami i w komendę jenerałowi Kniażewiczowi oddano; resztę artyleryi na wzgórzu między piechotą umieszczono, z kawaleryą, dla któréj rozwinienia zamało było miejsca; na lewém skrzydle dragony Mirowskich regimentu. Brygada zaś Kopcia, regiment ułanów królewskich, milicya Brzeska były na odwrótnéj pochyłości wzgórka umieszczone i nieprzyjacielowi i armatom jego ukryte tak, że tylko rykoszujące kule do nich się dostać mogły. Płaszczyznę na przodzie obozu okoloną siwym borem od strony nieprzyjaciela, zajmowała awangarda z półku księcia Józefa Lubomirskiego, którą jenerał Kamiński komenderował. Że to był mój znajomy z Wołynia, jam się do jego udał szałasu, i tam moję kwaterę miałem. Ponieważ dniem przed tém, był mu nadzór obozu powierzony, ogół wojska naszego był mu znajomy. Mieliśmy wszystkiego sześć tysięcy dwieście ludzi, i dwadzieścia cztéry działa. Z tego zaś, co nam późniéj wiedzieć nie było trudno, oprócz wielkiéj ilości armat, jaka była potrzebna w oblężeniu Warszawy, korpus Fersena 18,000 liczył. W dniu 10 października o godzinie siódméj zrana, widzieliśmy wychodzące z lasu kolumny Fersena; wszędzie przed piechotą brzmiała wojskowa muzyka, lecz postęp ich był bardzo powolny, bo nas przez skrzydła okolić chciano, a na lewém naszém obchód był długi. Na prawym faszynami sobie uściełano drogę; nasze działa znacznie wyniesione, zdala raziły ich mocno, co dawało widomie ruch niesforny całéj linii, lecz dla ułatwienia armatnim strzałom, półk Kamińskiego już się do obozu cofał: tak trwało do południa prawie. W tym czasie kawalerya była nie-

czynną; wszyscy potrzebę cofania się widzieli; inni nadzieję w przejściu na lewe nasze skrzydło Ponińskiego, i w nim przewagę naszéj strony upatrywali. Byłem z wielu przy Naczelniku do przenoszenia rozkazów jego, a on już lewego skrzydła pilnował, gdy z prawego Sierakowski przybiegł, i o przedzieraniu się Rossyan przez błota, a odcięciu od Wisły mówił. Te jego pamiętam słowa: Już mnie tam kula w grzbiet uderzyła, wszystko własnemi widziałem oczyma, zdaje mi się, że jeszcze czas do cofania się mamy.— Nie masz tu miejsca rejterady, tu się zagrzebać albo zwyciężyć potrzeba, odparł Naczelnik. Wtém nadbiegł Kopeć, schwycił go za nogi, i ze łzami do cofania się wzywał, mówiąc, że od lewego skrzydła przebieżeni jesteśmy, i silno kozacy i kawalerya następują. Naczelnik zbliżył się do linii bojowéj; kula armatnia szła blizko jego boku i między nami, a on z zimną krwią do Niemcewicza powiedział:— Szczęściem że nie bliżéj, o mało nie zginąłem. Wtém mu donoszą, że półk królewskich ułanów ruszył cały do Warszawy, a pan Wojciechowski półkownik oświadczyć kazał, że mu sumienie każe go odprowadzić królowi, bo tu by zginął niezawodnie. Za jego przykładem pojedyńczo kawalerya gnała w też strony, wołając jeden na drugiego: Bójcie się Boga, zatrzymajcie się, zbierzmy się, bo nas pojedyńczo wykolą. Naczelnik obrócił się do nas.— Biegnijcie wćpanowie, zbierzcie tych tchórzów, bo to właśnie czas, gdzie kawalerya uderzyć może. Puściliśmy się w tę stronę; Niemcewicz zaraz w rękę postrzelony, kazał mi ją ścisnąć chustką, aby go ujście krwi nie osłabiło. Spełniłem jego żądanie; chciwy pa-

miątki po sobie, rozkazał mi jeśliby zginał, zawiadomić każdego, że go piérwsza rana spotkała, gdy Brześcian do ataku prowadził. Pośpieszaliśmy towarzyszeni krzykiem uciekających, którzy wołali na tych, co przed niemi byli, aby się zatrzymali, kiedy nas samych już Dońcy obstąpili. Prosił o pardon Niemcewicz, do niego się rzucono; mój koń zuchwalszy przebił się daléj, i między głogi uniósł mnie znacznie; lecz zdrapawszy twarz i odzienie i mnie taż sama spotkała koléj. Odarto mnie do koszuli, a gdy chustka ciasna z szyi zdejmować się nie dawała, dobrze przyduszono. Opiekuńczym moim aniołem w téj chwili, był szef sztabu Fersena półkownik Tołstoj, który mnie obronił: i jakem mu powiedział, że byłem przy sztabie Naczelnika, związano mi w tył ręce, i nie zsadzając z konia, prowadzono brzegiem lewego skrzydła, gdzie piechota zrąbana i wystrzelana prawie w bojowym szyku, na swych padła szeregach. Dragoński półk Czeczeryna złamał ją ostatecznie. Naprzód był się wysunął półkownik Krzycki mąż odważny, który kossynjerów prowadził, i zginął, a kossynjerowie własni piechocie broniącéj się zawalili drogę.

Jako więzień Tołstoja, prowadzony byłem za nim, bo chciał Naczelnika znaleźć i ze mnie spodziewał się w tém mieć pomoc. Byliśmy na jednéj polance w lesie, na któréj wiele trupów leżało; mówił do mnie:— To są jenerałowie wasi, proszę mi ich każdego wymienić; lecz w nich nie znalazłem żadnego. Po wąsach szukałem Kamińskiego, po otyłości Sierakowskiego, bo na krwią oblanych trupach, a tém bardziéj mnie nieznajomych, téj tylko oznaki upatrywałem; gdy mnie

groźnie zapytał Tołstoj o Naczelniku co się tam miał znajdować. Przez czas tego poszukiwania, prowadzono połapanych więźniów; między niemi jeden z regimentu Mirowskim zwanego, boleśnym wykrzyknął głosem:— Naczelniku mój! naczelniku i ty już nie żyjesz! Tołstoj spójrzał na mnie ostro, żem go dostrzedz nie chciał; powiedziałem mu, że w téj stronie łąki nie byłem, i on mi się przybliżyć kazał.

Leżał trup z większego odzienia odarty, głowa na ręce oparta, krew nasączyła włosy jego długie, bo był w głowę ranny, kaftan jesienny ciemnego koloru był jeszcze na nim, bóty nawet były zdjęte, tém bardziéj zegarek co go na złotym łańcużku nosił, a na ręku miewał zawsze kilka pierścieni z napisami stosownemi, któremi jako jedyną nagrodą, walecznych na placu boju obdarzał. Nic tego nie było, ale po omytéj twarzy, smutna przepowiednia żołnierza zdała mi się niezawodną. Tołstoj natenczas rozwiązać mnie kazał, zalecił zostać, a żołnierzom i oficerowi polecił mieć wzgląd na położenie moje. Uklęknąłem szukając w nim śladu życia, pytałem co mi rozkaże: piérwsze życia świadectwo było, że słabo wymówił— szklankę wody. Prosiłem o nią, lecz się im zdało, że wódka byłaby skuteczniejszém lekarstwem; przynieśli mi ją w naczyniu, ale jéj użyć nie śmiałem. Wkrótce sprowadzono wóz parą wołami aby go zabrać, gdy stary kozak, co miał ochotę podnieść jego powieki i oko zobaczyć, zawołał, że się tak jenerała choć nieprzyjacielskiego nie posyła. Związano zatém po kilka ratyszczów kozackich, pasami je przewiązano, siana nasłano, ja mój płaszcz stary, który mi kozak za roz-

kazem Tołstoja wrócił, rozesłałem; nieśli kozacy, a mnie związawszy w tył ręce znowu gdym wsiadł na konia, w tyle tych noszów za cugle prowadzono. Tak wjechaliśmy przed zameczek; tymczasem wynoszono rzeczy jenerała, aby umieścić Kościuszkę w tejże saméj izbie, gdzie dniem wprzódy jako naczelnik wojska kwaterował. Dół cały domu był poświęcony rannym oficerom, a żem był mocno pokrwawiony od cierniów, i mnie tam wtrącono.

Prosiłem felczera o wodę, i krew obmywałem gdy wszedł Tołstoj; zawołał mnie i na górę poprowadził. Pytano mnie o szczegóły osoby Kościuszki tyczące, jakie mógł mieć przy sobie sprzęty, gdzie są papiéry jego, a nakoniec jak był w tym dniu ubrany. Mówiłem, że miał szarą czamarkę krakowską, zielonemi sznurkami obszytą. Czyż to był mundur? jeden mnie z boku zapytał.— Odpowiedziałem, że tego koloru i kroju był ubior ludu, który się najpiérwszy uzbroił, a zielone sznurki kolorem nadziei, które po zbiciu Tormansowa kazał sobie ponaszywać. Słuchający rzucił się do mnie z gwałtownością, aż mnie swą osobą Fersen od niego zasłonił, pytając, czybym kiedy jenerała Tormansowa widział. Przekonał się, że go nawet znać nie mogłem. Jenerał łajał i złorzeczył mi zaciskając pięści; ja zaś nie wiedziałem wcale kogo mam przed sobą, domyślając się tylko po gniewie, który obudziłem niechcący. Zweryfikowano na osobie Kościuszki będące sprzęty, wedle mego opowiadania, i natychmiast do kwatery głównéj zniesiono; wszystkie się w całości znalazły, mnie odejść kazano. Oddzielono w tym dniu jeszcze Kopcia brygadyera, jenerałów

i wyższych oficerów, między któremi był Niemcewicz; tych odprowadzono do osóbnego mieszkania. Niemcewicz żądał, żeby go każdy majorem nazywał, bojąc się jako cywilny przykrego z sobą obejścia. Naczelnicy pułków rossyjscy ubiegali się, ofiarując namioty swoje jenerałom; Daszków półkownik Kijowskiego grenadyerskiego półku wziął jenerała Kamińskiego, półkownika Sobeckiego, i mnie do kwatery swojéj; przy sztabie zostawiono Niemcewicza, Sierakowskiego i Fiszera. Tak się dla mnie skończył ten dzień nieszczęsny. W piérwszych chwilach, niebezpieczeństwa przebyte, widoki okropne, późniéj ludzkość zwycięzcy, a najwięcéj nadzieja, co zwykle pociesza nieszczęśliwych, dość silnie osłaniały położenie, w jakiém zostawaliśmy.

Naczelnik nabierał siły, jenerałowie skarżyli jeden na nieudolność drugiego, jakto powszechnie bywa. Mówiono, że i Naczelnik skarżył na Kamińskiego i kawaleryę, która nie była dość czynną; na Ponińskiego, którego przyjście na tył wojsk przeciwnych, zwycięztwo przeważyć by mogło. Mówią, że w Warszawie badał to sąd wojenny, lecz bez skutku się skończyło, bo każdy myślał o swojém ocaleniu.

Nas dni kilka zatrzymano w spoczynku: z Warszawy przyjechał Lafontaine lekarz, co pragnął Naczelnikowi w losie jego towarzyszyć; przysłano dwa tysiące dukatów, które on z nami podzielił i trochę kosztowniejszych ofiar w sprzętach, które jego niedostatek podpierać mogły. Spisano etat zabranych: było nas dwa tysiące, w tém wyżéj stu oficerów; dru-

gie tyle poległo w polu, reszta zbiegła do warszawskich obozów; konssynierowie rozeszli się ku swoim domom. Dokąd nas poprowadzą, nie było jeszcze rozporządzenia; mniemało wielu, że ku Litwie i Smoleńskowi. Nie było nam bardzo dobrze, strawa ledwie do utrzymania służyła; lecz ci, których na swoją porękę wyżsi oficerowie pobrali, nawet uskarżać się nie mieliby prawa, bo się z niemi po ludzku i bez żadnéj pogardy obchodzono. Piérwsze dni były spokojne; wielu pieszo gnano, bo w kraju wojną zniszczonym, gdzie się rozbiegli i ukrywali właściciele, z położenia samego było to konieczném. Kilku znacznych uchroniło się ucieczką; wzięto ten krok za powód zbytniéj ostróżności, inna wszakże mogła być przyczyna. Podjazd Denyski na Wołyń wysłany, o którym wyżéj wspomniałem, przebywał w swym marszu blizkie okolice; wieść się rozniosła, że huzarów formowano z przybywającéj majętniejszéj młodzieży, a gwardyą Naczelnika nazywano, że ta z wielą ochotnikami przebijała się, uwolnić go pragnąc. Zdaje mi się, że takie wieści przechodem Denyski podniecone, były rzetelną większych względem nas ostróżności pobudką. Tak nas prowadzono przez Okszeję ku Włodawie, gdzieśmy rzekę Bug przebywali; ten kierunek co mnie oddalał od części Wołynia, w któréj od rodziny jakąś pomoc mieć mógłbym, smutniejszy był dla mnie. Ale już nasze przeznaczenie zmienione zostało; w miejscu Smoleńska, wyznaczono nam Kijów, droga wiodła na Łuck i Zasław. Jenerał Chruszczow był komendantem oddziału: prowadził nas półk Kijowski grenadyerski piechotny, a jego półkownikiem był Daszków. Bagrejów

komenderował półkiem Kimburskim dragońskim, trochę przytém było kozaków.

Daszków był człowiek ludzki, dzielił z nami swój stół i zachował dobroduszność żołnierską, szanując w drugich niedolę. Naczelnik zawsze jechał w swym koczu, co go mu z Warszawy przysłali, w towarzystwie majora Tytowa, który troskliwie z nim się obchodził. Z tyłu murzyn, co był na jego usługach; inni w powozach w kraju zabranych, w dobre opatrzonych konie. Spotkali nas z wycieczek wracający kozacy, przepełnieni zdobyczą; niektórym zawadzały książki, które najczęściéj im większe były, tém je za lepsze uważali. Znudzeni nakoniec niemi, ciskali nam je w powozy, a jeśli kto dostał guza lub łapczywie chwytał, było dla nich szczerego śmiechu powodem. Nie chcąc, wielką nam uczynili przysługę na długie jesienne wieczory: był to gojący balsam na tęsknotę naszą. Niektóre z tych ksiąg, nosiły cechę biblioteki puławskiéj, niektóre z nich do maciejowickiéj należały.

Wkrótce opuścił nas Daszków, bo choć w późniejszym wieku, miłość była w nim jeszcze przemagającém uczuciem. Stojąc w Warszawie garnizonem, pokochał tam osobę piękną pannę Sycz, córkę architekta królewskiego; ta go odpierała całą siłą, na jaką się mogła zdobyć, kochając innego. Dla państwa Sycz, półkownik był partyą dobrą, dla ich córki oficer młody i rodak sercu był luby. Nastąpiło zdobycie Pragi i odwet za rewolucyę Warszawską. Suwarów był w Warszawie, kochanek zagrzebł się w ruinach Pragi, półkownik sądził, że miał prawo ze zwycięztwa ko-

rzystać, i udał się do Warszawy. Oddano mu panienkę za żonę, ale konwulsye, których dostała, najlepiéj świadczyły o miłości jéj dla zabitego. Wrócił z nią do nas, kochał ją mocno, lecz mało który dzień przeszedł, żeby nią nie rzucały spazmy, a w nich trzymających ją grenadyerów, odpychała od siebie z łatwością. Była to osoba starannie wychowana, służyła mężowi znajomością języków, i gdy się późniéj dosłużył jenerał-gubernatorstwa w Taganrogu, była dla niego sekretarzem do korespondencyj zagranicznych. Co do nas, stanąwszy w Kisielinie, jużeśmy współczucia doświadczać zaczęli; żona jenerała Kamińskiego, przyniosła mu śliczne działki. Niemcewicz zawsze żartobliwy, kolega jenerała w korpusie kadetów, prosił ją, aby gdy jeszcze jednę młodziutką mieć będzie, darowała mu dla pociechy. I mnie tam lepsza spotkała dola. Brat mój przyniósł mi skromny zapas, a w pomoc dwa zegarki, które się znalazły w domu, oba repetiery; cieszyłem się niemi jak dziecko, kiedy piérwszą zabawkę odbiera, zasnąć nie mogłem, przyciskając kolejno, aby mi wybijały godzinę.

W tém właśnie miasteczku, przybyła sześciokonna kareta z młodym człowiekiem i przed jenerała Chruszczowa zajechała. Był to mieszkający w okolicy syn podstolego koronnego pan Kar...; żądał od jenerała, aby mu pana Kościuszkę widzieć pozwolił. Nie odmówił mu tego myśląc, że jest znajomy; ale Kościuszko gdy przed nim stanął, spytał go o cel wizyty, a gdy w niéj jedynie ciekawość widzenia go spostrzegł, odpowiedział:— Że czas długi krajowi służąc, tam na znajomości czekał i z pociechą poznawał się z przyby-

wającemi; w dzisiejszém zaś przykrém położeniu potrzebuje spokoju, a zatém go żegna. Obejrzał się młody, że nierostropnie postąpił; a gdy co najprędzéj odjechać pragnie, dońcy mu już cug siwych wyprzęgli i do stajni jeneralskiéj zaprowadzili.

Nie darował tego wieczorem jenerałowi Niemcewicz; lubił z nim niekiedy mówić i dysputować Chruszczow; ostro mu więc porównaniem ze Spartanami przyciął, za co nie tylko, że się nie pogniewał, ale żadnéj niegrzeczności nie dopuścił. Poszliśmy ztamtąd do Łucka, gdzie ja zapomożony, oporządziłem się trochę. Przed dójściem do Zasławia nic sobie przypomnieć nie mogę.

W Zasławiu przyszedł rozkaz, aby Naczelnika i Niemcewicza wieźć wprost do Petersburga; zwołał on nas do siebie, którzyśmy się z nim liczyli i los z nim chcieli podzielać. Wybrał Fiszera, mówiąc do mnie:— Tyś jeszcze młody, możesz się szczęśliwszych doczekać kolei, niżeli te, które są przed nami. Pożegnajcie odemnie towarzyszów oręża, bo mnie sądzę, że się z niemi widzieć nie będzie wolno. Jakoż wkrótce, wywiezieni zostali do Łabunia, gdzie stał Sołtyków główno-komenderujący, który go osobiście widzieć pragnął. Staliśmy dni kilka w Zasławiu; dostojni gospodarze starali się osłodzić nam pobyt: bawiono jenerała, aby nam w zamku bywać dozwalał, a jenerał Sierakowski zyskał ich przychylność, że mu dozór wychowania synów powierzyć pragnęli. Za mną posłali prośbę do feldmarszałka Romanzowa, żeby na ich poręce do domu matki powrócić, i w nim zamieszkać mi dozwolił. W końcu, nas oficerów w okolicy Ber-

dyczowa rozlokować, a jenerałów do Kijowa zaprowadzić, odebrano polecenie. Jakoż udaliśmy się w tę drogę. Litewscy więzniowie dążyli w nasze strony; jenerał Izydor Krasiński był posłany do Romanzowa. Młody wtenczas, a najmniéj z naszych jenerałów usposobiony, nie zrobił na nim wrażenia, i reszty widzieć już nie żądał. My na nowych naszych kwatérach, doświadczaliśmy życzliwości, a w Berdyczowie ochotnego przyjęcia. Zjeżdżały się znakomitsze damy, aby nas widzieć, ofiarowali się obywatele dawać za nas rękojmie dla przebywania w ich domach, a chociaż sam książe, wychowaniec Petersburskiego korpusu kadetów, sympatyi dla nas nie miał, żona jego czyniła wszystko co mogła, by nam współczucia dowieść, i dom ich był rodzicielskim dla nas przytułkiem. Nie wiém, czy nam jenerałowie umieszczeni w Kijowie, położenia naszego nie pozazdrościli.

Kiedy w tém piśmie zbieram moje wspomnienia, sądzę, że mi i o sobie mówić się godzi. Ojciec księcia Radziwiłła wiekiem i pedagrą zmęczony, zamyślał o ożenieniu. Na Wołyniu bywał w domu Kamieńskich obywateli wychowanych w domu Radziwiłłów i im przyjaźnych; w ich też rodzinie, żonę sobie upatrzył. Byli to blizcy nasi krewni i sąsiedzi dziada mojego. Radziwiłł, jako majętny a bezdzietny, obudził zawiść spadkobierców, którzy na ożenienie jego zezwolić nie byli radzi. Tak nawet szły rzeczy, że się napadu na dom Kamieńskich spodziewano; w téj obawie, uwieziono narzeczonę, jako blizką krewnę, do domu dziada mojego, i tam ją z Radziwiłłem poślubiono. Syna odumarł ojciec w dzieciństwie, matka z sierotą oddaliła się do Warszawy; a że potęga posłów rossyjskich była wyższa nad familijne krajowców usiłowania, poseł przyjąwszy dziécię w opiekę monarchini, za jéj rozkazem do korpusu kadetów do Petersburga odesłał, a siłą znaczenia swego, majątek od napaści spadkobierców zabezpieczył. Z takiego to skolligacenia, Radziwiłł kuzynkiem mnie nazywał, więc nienatrętnie mogłem korzystać z ich dobroci. Książe Mateusz niedawno pojął był żonę z domu poważnego i majętnego obywatela jenerała Zakrzewskiego, co w czasie koronacyi Stanisława Augusta już swego znaczenia i brawury probował, i o nim Segur w dziele swojém wspomina. Miała ona i siostrę, któréj piérwsze w sercu uczucia były dla półkownika Krzyckiego zabitego pod Maciejowicami; przyjemnie było tym damom okazywać współczucie dla tych, co bój z nim dzielili, w którym on szlachetne ukończył życie. Dom ten zatém ani był dla nas obojętnym, ani my obcemi dla niego. Ztąd powstało wiele stosunków między obywatelami, którzy uczęszczali do jedynego w prowincyi miasta, w którém się zbierano liczniéj, a oficerami przebywającymi tam z położenia swego, w skutek wyższych rozkazów. Mało który z ówczesnych plennych nie miałby co przydać do pamiętników czasu tego, i poświadczyłby, że się dla nas dobre wróciły czasy, a do korzystania z nich, ze strony komendy najmniejszéj nie mieliśmy przeszkody.

Lecz wracam do mojego osobistego położenia, o którém pisać założyłem sobie. Na mocy wysłanéj z Zasławia prośby, przyjęto wstawienie się domu książąt, i mnie być w Taszanach u feldmarszałka kazano. Pręd-

ko a cicho odbyłem tę podróż, bo mi tak polecono; widziałem tę wspaniałą postać olbrzymiem podtenczas znaczeniem wsławioną; oddałem listy równie domu książąt jako i wuja mojego Łukasza Strutyńskiego, u którego kiedyś przed feldmarszałkowstwem, Romanzow w Lipowcu kwaterował. Człek ten poważny, miał w spodniéj szczęce osłabienie i podwiązywał ją czarną chustką na wierzchu głowy związaną; postać znacząca, lecz dobroci pełna. Po odebraniu listu przypomniał sobie swe dawne stosunki i powiedział z łagodnością:

— W Lipowcu stałem w wygodnym parocha domu, na jednéj stronie ja, z drugiéj strony kancellarya moja; nigdy lepiéj usłużony nie byłem, z łatwością mi było przywołać każdego i przypilnować wykonania rozkazów. Miałem spokojność i w domu i w duszy; nie znałem zazdrośnych, pełniąc tylko moją powinność. Dobre to były godziny życia mego, i pamiętam je jeszcze. Pytał mnie potém o szczegóły bitwy, jak był Kościuszko wzięty; i kiedym mu to ze łzami opowiadał, rzekł z uczuciem:

— Gdyby tam skończył życie, kazałbym zrobić portret jego i umieściłbym na pamiątkę u siebie; lecz żyje, jest więźniem, jak dotrwa i co się z nim stanie, zagadką jeszcze, a cnoty człowieka po śmierci dopiéro najpełniéj poznać się i ocenić dają.

W téj chwili uwiadomiono go, że nowo mianowany feldmarszałek Suwarów odwiedzić go przyjeżdża, a niedaleko złamał się jego powóz. Romanzow natychmiast swój podesłać rozkazał, gdy przez okna na dziedziniec wychodzące, ujrzano już Suwarowa wjeż-

dżającego na koniu zwoszczyka z chomątem na szyi, w wielkim swéj godności mundurze i orderami okrytego. Feldmarszałek cofnął się do swego pokoju; wszedł Suwarów, i co chwila niespokojny, dopytywał kiedy wyjdzie. Wyszedł nareszcie nie w surducie, w jakim był przed chwilą, ale w rodzaju szlafroka z sobolami.

— Przepraszam, rzekł do gościa swego, nie wdziałem munduru, bom chory; a to odzienie zaszczyt mój, bo mi go w nagrodę cesarzowa pani, dawnym zwyczajem narodowym, za przejście Dunaju przysłała.

Rozmawiali, a tymczasem z usilnością i pośpiechem, powóz jego naprawiano. Suwarów niecierpliwie przez okno wyglądał. Próżno go prosił gospodarz, ofiarując gościnność; jak tylko wymówiono że skończony, pożegnał i w dalszą puścił się drogę. Mnie oddano już napisane uwolnienie na porękę, a feldmarszałek dodał:— jeśliby jenerałowie mogli mieć porękę, wolno im będzie oddalić się z Kijowa.

Było to wielką dla nich pociechą: ja tém bardziéj zasłużyłem na ich względy, że jako wolny do odbycia podróży, wyjednać im takowe poręczenia byłem w stanie, byle mnie uwiadomili na kogo liczyć mogą. Sierakowski wskazał mi dom książąt Sanguszków; Kamieński księcia Józefa Lubomirskiego; a Kniażewicz kolegę wychowania i służby, pana Dulskiego podolanina. Zająłem się tą posługą z przyjemnością; dopełniono jéj uprzejmie, a oni wyjazd z Kijowa za wielką łaskę poczytywali. Odtąd moje z niemi ugruntowały się stosunki, a przyjaźń jenerała Kniażewicza pozyskałem na dalszy bieg życia. Niemcewicz nas Kastorem i Poluxem nazywał; do grobu mi przyjaźń tę do-

chował i ja go do śmierci opłakiwać nie przestanę, bom w nim stracił przewodnika méj młodości, wodza któremum lat tyle towarzyszył, człowieka co mi wskazywał jak spełniać miałem włożone na mnie obowiązki, który mi dał stosunki chlubne i dnie najmilsze życia późniejszego ozdobił, jak niżéj opiszę.

Wtedy nam zabłysły przyjemności towarzyskiego życia z obywatelami, którzy nas w swych domach szczérém sercem witali, z hojnością ugaszczali i szacunku dawali dowody. Ztąd mnóstwo stosunków nowych, i nowych wspomnień źródła, a nawet i komicznych nie brakło.

Poważny starzec, człek możny i obraz istotny już ubiegłych czasów, był jenerał Zakrzewski. Mieszkał on w Szepetówce. Poufały, gościnny, otwarty, przyjął nas jakby jeszcze za czasów ostatnich Sasów. Dom jego pobożny i staropolski wspaniale obdarzył podróżnych, szczególniéj oficerów, których ilość znaczna bez chleba pozostała. Na ten rachunek cisnęli się oszuści, co z jego wspaniałości korzystali. Przyszedł jeden z nich natenczas.— Z pod Maciejowic jestem, a dziś wspomożenia proszę. Wesoły jenerał kazał mu sobie o tym boju mówić. Oszust zaczął od tego:— zdrada panie, zgubiła nas, jenerałowie nas zdradzili. Zadrżeli przytomni; lecz mu nie przerywali.

— Znałżeś jenerałów swoich! spytał go gospodarz.— A jakże nie znałem, oni mnie czasem do swéj rady wzywali, nawet i pan Naczelnik; bom ja dawny wojak, bo takiemi nie pogardzają; doświadczenie za naukę stanie.— Mówże nam waść o téj przygodzie; ciekawe to rzeczy.— Oto tak było: oprócz Naczelnika, wszyscy już przekupieni byli; on się tego tylko domyślał, a myśmy to dawno przewidzieli.— Cóż tam porabiał Sierakowski?— Wyniósł się natychmiast.— A Kamieński?— Za nim— A Kniażewicz?— To tchórz wierutny już mu w łeb strzelić miałem, kiedy nas opuszczał.

Ze wszystkich najniecierpliwszy Kniażewicz, posłyszawszy to, rzucił się do niego ze swą olbrzymią postacią:

— Kłam sobie co chcesz, ale łżesz kiedy mnie tchórzem wystawiasz. Gdzieżeś ty był, kiedy nas spotkała niewola? widzisz tu nas wszystkich, co cię do rady wzywali, a żadnego poznać nie mogłeś, mów kto jesteś?

Zmięszany odpowiedział:— Jestem trębacz z półku Karwickiego.— Wszakże ten półk z nami nie był?

— Ja to mówię co się pod Dubienką działo.— Zarabiasz żeby wziąść w trąbę, trutniu; trąb kiedy umiész, ale zamknij gębę, bo nią bezbożności głosisz. Gospodarz osłoniwszy go, dał mu jałmużnę; mówiąc: To waści za Dubienkę, ale więcéj nie przychodź do domu mojego.

Od rządu żadnéj przykrości nie doświadczaliśmy; zdobywcy łagodnością uspokajali umysły. Czas jakiś nie naglono o podatki; żołnierzy wzywano do służby, oficerów przyjmowano jednym stopniem niżéj, mówiono o formacyi półków nowych pod nazwiskiem dawnych województw, i w nich nas pomieścić obiecywano. Iliński, późniéj senator, a którego pamiętniki

z tych czasów na szczególnąby zasługiwały uwagę, przynosił te obietnice. Tymczasem Tutulmin reprezentujący monarchinię, otwierał gubernie nowe w Żytomiérzu, Kamieńcu i w Litwie. Ze zjazdów tych, na które zapraszano i naglono osobliwie damy dla dodania im świetności, najpiérwszy był w Żytomiérzu. Znalazł się tu i Fersen nasz zwycięzca; on nas swoją okrywał opieką ile razy przykrości w domu Tutulmina dostrzegał. Syn młody Tutulmina, niesforny i niespokojny człowiek, widząc mnie w moim mundurze dobrze widzianego w towarzystwie, chciał mi wyrządzić jakąś policyjną psotę. Nie uszło to oka Fersena: wśród sali zbliżył się do mnie poufale, i radził mi abym go nie opuszczał, mówiąc: ci panowie cywilni co nie wąchali prochu, lekce sobie ważą żołnierza; uważałem, że wćpan nie chybiasz nikomu, a że cię swoi przyjmują z dobrocią, toby nawet dziwić nie powinno. Bądź jednak ostróżny, a w każdym razie odwołaj się do mnie jako plenny; ja ich ostrzegę, że cię pod moją biorę opiekę. Dziękowałem mu szczérze, chciałem się usunąć nawet; ale nikogo co na bal wszedł z kobiét i mężczyzn, stojące warty przed skończeniem balu nie wypuszczały. Wtedy gubernatorem zwyczajnym był Szeremetjew, z którego obchodzenia wszyscy kontenci byli. Że się w Żytomierzu nie znajdował jenerał Zakrzewski, i za złe mu to poczytano, chciał być w Kamieńcu; a że część Wołynia, w której zamieszkałem do Kamieńca należała, i mnie za towarzysza podróży wezwał. Widziałem więc i ten obchód; bale były świetne; jedna tam tylko okoliczność szczególna mi się przedstawiła. W Kamieńcu mie-

szkali dawni tłómacze do interesów tureckich używani; wyprawiono ich do Chocima, i polecono wyprawić do Tutulmina poselstwo. Prośbą i staraniem zebrano na ten cel kilkadziesiąt osób; ci na nędznych szkapach, mizernie wreszcie odziani do Kamieńca przybyli. Tu dla nich świetne zgotowano przyjęcie, wezwano kobiéty, proszono o wspaniałość w ich ubiorze, i w dwa rzędy na sali postawiono. Za niemi umundurowani obywatele oczekiwali; weszła zaproszona zgraja; przechodząc środkiem kobiét, będąc pewna, że to jest jeneralski seraj, podziwiali piękność kobiét blizko im w oczy zaglądając. Tłómacze mieli trudność zwabić ich do podnóżka tronu, na którym Tutulmin, jako zastępca monarchini, przed jéj portretem siedział. Obojętném to dla nich było, choć tłómacze w ich imieniu prawili, a z tronu im Tutulmin odpowiadał; zostali pod wpływem mniemanego seraju, przekonani, że na oglądziny jego ich wezwano; poczém obdarzeni, nazad do Chocima powrócili. Do podziękowania za zajęcie tych prowincyj w ich imieniu, wyznaczeni byli, o ile przypominam sobie, wojewoda bełzki Potocki z synem, i Iliński już podówczas szambelan dworu; reszty nie pamiętam. Gubernatorem był Werderowski, którego powierzchowność zdradzała nowe dla niego położenie. Gdy mu z kolei i mnie prezentowano, przyjął mnie w szczególny sposób, mówiąc, że piérwszą osobą, którą ukochał, była gdzieś w Rossyi krasawica panna Drzewiecka; z tego tytułu i mnie za przyjaciela mieć pragnął, pytając, czyby to nie była siostra moja. Nie miałem wcale ochoty przyznawać się do tego pokrewieństwa.

Jenerał Tutulmin oddawał wizyty wszystkim w ogólności, posyłając tylko karetę ośmiokonną, która z prystawem opatrzonym w regestr, kwatery objeżdżała... Jenerał Zakrzewski niecierpliwił się sposobem życia jaki prowadziliśmy, wyglądał momentu wyjazdu, a jak tylko było podobna, wyruszyliśmy z Kamieńca. Już wtenczas przypominam sobie, że mówiono o zbiéraniu się powstania w lasach pod przewództwem Denyski, już przypinano do domów kartki—kto kocha ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę. Być też mogło, że tę ambassadę jako antydot urządzono, grożąc, że zbierający się wydani zostaną rządowi. Nastąpiła jesień i kontrakty, te już z Dubna do Zasławia przeniesiono; wielu z oficerów naszych do wojska rossyjskiego przeszli i hojnie obdarzeni zostali. Był między niemi Lubowidzki brygadyer, już wtedy jenerał, i ozdobiony gwiazdami błyszczał. Kiedy na drugą stronę szmer się rozchodził o Wołoszczyznie i legiach, co się we Włoszech formować zaczynały, byli śmielsi co się na narady zbiérali, byli ciekawi co wieści roznosili, zawsze to jednak pod sekretem powierzając. Chodziły listy, proklamacye, ale do nich jeszcze nie przywiązywano wiary. Przyszedłem na kontraktową salę źle ubrany, bo w wytartym płaszczu do którego przywiązywałem wartość; był to ten sam, którym był rannego na placu boju Naczelnika podesłał, co krwi jego miał na sobie ślady, tém samém relikwia dla mnie. Ruchy moje były śmiałe, powitania kamrackie, każdy je wedle swego usposobienia przyjmował; błyszczący swym mundurem jenerał, nierad był sympatyzować ze mną, chociaż mnie przystojnie odzianego, często jak

kuzyna witał. Ja zbliżyłem się do niego, on szyderskiém okiem mnie zmierzył. Ja go jak krewnego witałem.

—A toż kuzynku, rzekł, wszedłeś tu między ludzi ubrany, jakbyś żebrać przyszedł. Sąsiednie twarze zwróciły się ku nam, na czém się to skończy. Odpowiedziałem— żem przyszedł sprobować, kogo z nas dwóch piękniéj ubranym znajdą, dodając, że płaszcz mój, krew Kościuszki zbroczyła.

To mówiąc pokazałem dużą plamę, która na nim była; twarze otaczających nas zajaśniały; jenerał zakręcił się i wyszedł z sali, a szlachetnéj postaci mężczyzna nieznajomy mi, przyszedł poznać się ze mną. Był to Michał Sobański. Żem z nim póżniéj tyle lat przepędził, żem go poważał, dzień ten piérwszy naszéj znajomości jest mi żywo pamiętny; on mi go też wiele razy przypominał potém. Młodzież hulała i ja z nią; znamienitsze imiona towarzyszyły biesiadom, Seweryn Rzewuski dostarczał rubasznych śpiéwów: a że takowe uczty często ogałacały z młodzieży poważne zamkowe wieczory, krzywiono się na nas, i mnie jak domowego, nie raz kobiéty połajały. Wszak to są prywatne wspomnienia, za cóż i o tém zamilczeć miałem!

Powiém nawet i ten żart późniejszy, co mnie mógł drogo kosztować. Latem, księstwo z zamku na blizką się wieś przenieśli; zbieraliśmy się tam na wieczory, i poufałą rozmowę, która do poufalszych doprowadzała żartów. Była tam osoba poważna, człowieka znamienitego żona, gorliwa lecz łatwowierna matka dzieciom; synowie jéj ze mną się wychowywali, starszy

już był w służbie majorem, a równie jak nasza, była to rodzina przychylna i poufała domowi właściciela. Jednego wieczora mówiono tęskno o przygodach krajowych; ona się do łez litowała nad młodzieżą, mówiąc: Drzewiecki i mój, tak są często smutni, tak się zdają biédni, że mnie strach przechodzi żeby nie powaryowali. Młódsze kobiéty myśl tę schwyciły i do mnie, żebym waryata udawał. Przyjąłem rolę do któréj mi piękne towarzyszki wtórowały. Za piérwszą sposobnością gdy mówiono o miłości kraju i o żalu jaki nas trapił, ja usiadłszy na ziemi, zacząłem na wpół śpiéwając, mówić z Krasickiego: Święta miłości....

Na to sędzina: a nie mówiłam, że się to na tém skończy, że nasze dzieci poszaleją. Towarzysze wieczoru zaczęli jéj myśl popiérać, a we mnie chęć dokończenia téj zabawy wzniecać. Powiedziałem jéj, że się udam ze skargą do Boga Ojca i zamyśliwszy się długo, potém jakby z natchnienia zawołałem, że mi rozkazano pozarzynać jéj córeczki, bo od Abrahama Bóg także ofiary żądał. Że to było lato, a okna blizko ziemi, matka je przez okna wyrzuciła, a sama po stróżów zamkowych pobiegła, żeby mnie do kwatery mojéj odprowadzili. Nauczyłem coby wracającéj mówić miano i sądziłem, że się tak ukończy nasza zabawa. Lecz z piérwszym dnia brzaskiem, całe miasto o mojéj mniemanéj wiedziało niedoli: zaczęto przez lekko otwarte drzwi przezierać, czy spokojnie siedzę, czém mocno wzruszony zostałem. Daléj poważne osoby na trybunał, który był do Zasławia przeniesiony, zebrane, po kolei przyszły; przyszli i panowie sędziowie,

a w ostatku i też same damy, które mnie do tego żartu namówiły. Słowem, że sam wierzyć swemu nieszczęściu poczynałem. Proszono mnie w imieniu książąt, abym z niemi na wieś wyjechał, co rad przyjąłem; lecz wszyscy mówili do mnie z nieufnością, starali się mnie nie drażnić, a obejście to mięszało mnie do ostatka. Po przyjeździe moim na wieś, nadbiegł powóz i doktór Kitel ze Sławuty; że był mi znajomy, witając mnie na stronę odprowadził, abym sam na sam z nim został, i wszyscy nas odstąpili. Z trudnością myśl mi zebrać przyszło, ostrzegłem go zaraz wszakże, iż to był żart umówiony; on z nieufnością słuchał, krew puścić radził, potrzymał za puls, a mnie do ostatka nieufnością swą i ostrzeganiami domęczał. Całę dnia resztę mnie naziérał, kazał pić rzeczy chłodzące, a gdym się uspokoił, zdrową dał radę nie wdawać się nigdy w podobne żarty, tém bardziéj, gdy wzburzony umysł łatwo tę słabość przyjąć jest w stanie,

---

Cóżby daléj do wspomnień przyłączyć można? chyba same drobnostki prywatnego życia; bo już mi wolno było wzywać towarzyszów broni do domu mojego. W blizkości też zamieszkał jenerał Kamiński we wsi Butyniu pod Wiszniowcem, i nas razem kilku bawiło: półkownik Sobecki, Kamiński brat jenerała, major Tomaszewski z placu boju przyjaciel i przyjaciel do śmierci, Węgrzecki syn prezydenta Warszawy, i Szmid oficer od artylleryi. Jeździliśmy kulikiem po znajo-

mych i hulaliśmy z niemi. Raz na takiéj uczcie u brata mojego, byli między innemi: Bazylian z Poczajowa i człek młody, dzielny jeździec, a zawsze krótko i w ostrogi przybrany. W starym a obszernym domu były ustronne komnaty. Ksiądz i młody jeździec pijąc, piérwsi z nóg spadli, a zebrani hulacze radzili, żeby ich rozebrać i jednego za drugiego przestroić, czekając przebudzenia. Zupełnie się to udało; przeszła noc, jużeśmy powstawali wszyscy, gdy nam czeladź doniosła, że się i oni ruszają. Myśmy tam pośpieszyli i spokojnie w przyległym osiedli pokoju. Bazylian piérwszy się rozmarzył, spójrzał, że obok niego zakonnik leżał i to jeszcze z jego klasztoru, i pomruczał pod nosem: ksiądz kassyer, niewierny Tomasz, wczoraj mnie tu po procent wyprawił, i zaraz za mną przyjechał. Niechże go sobie odbiera kiedy nie wierzy drugim. Wtém obejrzał się po sobie, że był kuso ubrany, poruszył nogą, i poczuł ostrogi na niéj; przeżegnał się, obrócił i zasnąć pragnął.— Sen mara, Pan Bóg wiara, sprawa to diabła, cóś mi się zamarzyło. Lecz się i drugi rozbudził.

— Ja Bazylianem! kiedyż to być mogło— wilk w owczéj sukience! to niepodobne do mnie, sen to być musi! Niecierpliwi zaśmieli się słuchacze w drugim pokoju, a śpiący rozbudzili się należycie, gdy pan Szaciński przyjaciel domu zawołał:— Klin wybijać klinem, napijcie się gochy, bo już i śniadanie na stole. Węgrzecki miał się za poetę, tłómaczył sielanki Gessnera, czytał i o nich ciągle rozprawiał. W dniu jednym przedsięwzięliśmy przy mrozie i śniegu, odwiedzić jenerała Kamińskiego we wsi Butyniu.

Ochoczo ze stron wszystkich obsiedliśmy sanie, ile tylko miejsca wystarczyć mogło. Niedaleko już miasteczka Wiszniowca, spotkaliśmy podeszłą wieśniaczkę idącą z garnkiem mléka i pękiem jagód kaliny, który na targ niosła. Rozczulił się poeta Węgrzecki jéj położeniem, ofiarując jéj swojego miejsca ustąpić, a z tyłu sani stanąć. Wstrzymano się, baba wsiadła dziękując dobroczyńcy swemu; lecz wkrótce w zatokę poszły sanie, i wywracają się z nami (gdyż Węgrzecki przeważył je sobą), a baba kozła daje, padając twarzą przyciska jagody, garnek z mlékiem rozlewa! Twarz jéj czérwona zdawała się grozić kalectwem, a tém się Węgrzecki nanowo rozczulił; lecz baba myśląc, że to jéj umyślnie przygotował, resztą garnka i przekleństwy go okryła. Zaspokoiliśmy jéj szkodę, a między sobą mieliśmy dobry powód do żartów z zawsze rozczulonego poety.

Był pomiędzy nami pan Szmid oficer od artylleryi; z ciężkością on znosił pamięć mogącego go spotkać losu, bo ubogi, nie wiedział dokądby się udał. Był to marzec i dzień świętego Józefa; po dniu pięknym wyjechali koledzy na koniach użyć cieplejszego słońca; ja zostałem bom odpisywał bratu, który mi przysłał parę kuchenrejterskich pistoletów na wiązanie. Szmid wchodzi, broń ogląda i pyta mnie czybym jéj nie chciał sprobować. Sam zatrudniony, prosiłem go, aby to uskutecznił; on mi uszczypliwie odpowiedział.

— A pan się boisz?

— Dla czegoż to pytanie? odparłem, wszak do sprobowania potrzeba jednego tylko, a pan to zrobisz zręczniéj odemnie.

Twarz mu się rozogniła mówiąc:— Ja bo się chcę z panem strzelać, rzekł, ale w dobrym bycie jesteś i wymódz tego od ciebie niepodobna.

— Czym panu w czém uchybił?

— Niech się pan o to nie pyta, a jeśliś nie tchórz to wychodź zaraz.

— Może choć na kolegów poczekamy?

— Pan w nich ufasz, odpowiedział z gniewem, a ja właśnie pragnę żeby ich nie było.

Musiałem mu zadość uczynić, i on mnie za dom ścieżką wiszniami osadzoną wyprowadziwszy, pistolety nabił i wtąż:

— Zaczynaj boś wyzwany.

Odpowiedziałem mu, że nie widzę żadnéj do pojedynku przyczyny, ani się obrażonym być sądzę; chcę mu tylko dowieść, że się kuli nie lękam i zaczynać proszę. On mnie od stóp do głowy zmierzył, wołając znów:

— Zaczynaj! bo późno będzie jak ci w łeb zapalę.

Wtém wracający z przejażdżki postrzegli nas i domyślili się, że się na coś zanosi; półkownik Sobecki zdaleka zawołał:— Stój Szmid póki nie przyjadę; zbrodnia bez sekundanta!

On rękę opuścił, lecz mnie ciągle do wystrzelenia wzywał. Gdy się zbiegli, pytali o przyczynę obrazy.

— Obraza jest w moim losie, chciałem lepiéj z jego ręki, niż późniéj z głodu umiérać. Gdyśmy tę rzecz rozbierali, już go nie było i gdzieby się podział, niewiadomo. Późniéj powracając z legionów spotkałem go w Uściługu, a w roku 1809 w Krakowie, w tejże broni służącego, o czém niżéj.

Był to rok 1796, w którym Cesarzowa JM. Katarzyna II. skończyła życie, a Cesarz Paweł zajaśniał dobrodziejstwem Kościuszce wyświadczoném, i nas po nim uwolnił. Już Dąbrowski legie zbierać zaczynał, a Wołoszczyzna werbowała do siebie. Szły odezwy ze stron obudwóch; dochodziły one do kraju; myśmy się naradzali, co nam począć należało. W znacznéj liczbie koledzy zebrali się u mnie w czasie kontraktów; spokojni obywatele źle to widzieli, a Walewski wojewoda ostro nas karcił za tę nieroztropność, która obrażała dobroczynną dążność monarchy, i nas wszystkich narazić miała niezawodnie. Z taką radą powróciłem do domu, gdy mnie jenerał Kniażewicz zjechał, powiadając, że ma już paszport w Lubelskie do Wojcieszkowa, gdzie miał dawniéj possesyę od kasztelana Suchodolskiego, i gdzie dotąd macocha, którą on jak matkę kochał, przebywała. Wydobyłem aby mu pokazać z ukrycia różne pisma, których mi nasłano, zgromił mnie za lekkość w przyjmowaniu ich okazaną, że się narażam na kłopot a może i zgubę, ostatecznie radził mi się do Galicyi wynieść, a jeślibym znalazł dostateczny fundusz odjechać do Włoch, aby tam rzeczy zblizka zobaczyć, a wreszcie, jeślibym chciał, i pozostać. W ostatku powiedział, że i on toż samo uczyni, a mnie bierze z sobą, miejsce zjechania się zostawując mi do wyboru. Wtedy właśnie wyjeżdżał do Kamieńca mój przyjaciel i szwagier Przybyszewski, jemu tedy wyrobienie mi paszportu poleciłem. W rozmowie z vice-gubernatorem Werderowskim, widząc, że jest jakieś podejrzenie, niesprawdzone dotąd, na jakiegoś vice-brygadyera zbierającego dawnych wojsko-

wych dla narad, Przybyszewski wskazał Dederkałę mieszkającego w okolicy, dawnego kawalerzystę. Zanotował go sobie gubernator, a mnie jako dwukrajowemu mieszkańcowi, podpisał paszport. Kiedy Dederkało zdziwiony do Kamieńca jechał, ja granicę przebyłem i wprost się do Lwowa udałem. W klubie podtenczas wszechwładnie opinią kierującym, rozbierano szkody i pożytki z napadu zebranych na Wołoszczyznie, których Aubert du Bayet poseł francuzki w Konstantynopolu, naglił do téj wyprawy. Pisał nawet do stowarzyszonych przez Ogińskiego, najściśléj jednak polecając, żeby nie naruszyli posiadłości cesarza Rossyjskiego, którego łagodne rozporządzenia, mogą zbliżyć ścisłe stosunki z Francuzami. Ten list przeraził galicyjskie zebrania, i szczérze temu, lecz ostróżnie przeszkodzić byli radzi. Widzieli we mnie jako szwagrze Denyski sposób do porozumienia się z nim, lecz jechać wprost odmówiłem; pisałem tylko z ich polecenia, posyłając mu złocistą karabelę sprzęt po ojcu wzięty, który przywiozłem z sobą.

Zgromadzenie wołoskie było z terrorystów złożone i niepewne dla spokojnych obywateli; dało tego dowód na Sierpińskim, którego uważając za przysłanego szpiega od Stanisława Augusta, bo on się jego młodością opiekował, zamordowano hufnalami w głowę zabijanemi, zyskawszy wprzód pozwolenie osadzenia go pod wartą ludzi przy konsulu francuzkim w Jassach będących. Zadrżał każdy na gwałtowność taką, lecz odpierać jéj nie śmiano. Gdym nakoniec myśl jechania z jenerałem Kniażewiczem im odkrył, i że miejsce zjechania się naszego do mego zostawił wy-

boru, przyrzeczono mi wyrobienie nam pasportu, jeśli go do Lwowa sprowadzę. W istocie było ich zamiarem postawić go na czele, i uczynić jenerałem aktualnym, jeśliby do zaburzeń przyjść miało. Chciano w ten sposób zapobiedz pretensyom Wołochów do zawładania wojskową siłą. Wyrobiono mi pasport do Warszawy tak dla widzenia się z jenerałem, jak i dla pewności stosunków z dawną stolicą. Niespodzianie udać się musiałem w tę stronę, zalecono mi jednak nic o przedsięwzięciu dalszém jenerałowi nie mówić. Tymczasem przysłani z Wołoszczyzny rozwijali swą działalność. Krieger opatrzył mnie wiadomością z kim w Warszawie traktować mogłem; przejechałem do Warszawy, a dzieląc rzecz na dwie strony, założyłem w księgarni Nowarskiego klub miejski. Poważny starzec Krasiński co miał za sobą Ossolińskę, otworzył był swój dom ku téj potrzebie. Przystępujący, związani byli przysięgą i zostawioną im organizacyą, którą oddawszy, do Wojcieszkowa pojechałem, naznaczając wioskę naszą pod Lubieniem, Leszniowice, za punkt zebrania się naszego; wody Lubienia za pozór dostateczny służyły. Ja sam do Lwowa wróciłem. Zjechał jenerał, lecz w żadne towarzystwa wchodzić nie chciał; rząd austryacki przygotował ostróżności od Czernijowiec. Denysko Dniestr przepłynął pod ich oczyma, choć tylko we dwieście koni. Sznejdauer miał dwa tysiące, lecz zgromadzona obława z ludu, więcéj znacznie uczynić mogła. Oni się cofnęli na powrót zaraz, połapanych zaś siedemnastu powieszono. Kapitan Melfort do powieszonych należał. Wieść ta gdy doszła jenerała wściekał się na mnie; wyrobiono pa-

sport do Wiednia. Pseudonym służącego był dla Kniażewicza osłoną. Pani Pilichowska na dewocyi będąca, tysiąc mi dukatów pożyczyła, i w śpieszną ruszyliśmy podróż, nie spotykając żadnéj przeszkody. W Krakowie zastałem prezesem Trybunału pana Wojnę, ministra dawniéj polskiego w Wiedniu; przyjął mnie ostróżnie, lecz jako krewnemu żony nie odmówił rady. Wskazał księżnę Jabłonowskę podtenczas tam zamieszkałą za tarczę bezpieczną. Z Kniażewiczem poznawać się nie chciał, i tak nie bawiąc udaliśmy się w dalszą drogę. Kniażewicz niecierpliwił się rolą podrzędną służącego, bo na każdéj poczcie bryczkę przepakować i nasz tłumoczek przenosić musiał, w czém go rzadko pocztylion jaki zastąpił. Jużeśmy w Wiedniu stanęli na Leopolsztacie; Kniażewicz udał się na Jozefstadt do księcia Józefa Poniatowskiego, ja do domu księżnéj Jabłonowskiéj. Odwiedził nas nazajutrz książe Sapieha marszałek Litwy na wielkim sejmie, i wielu tam będących. Tak pareśmy dni przebyli, a które najwięcéj w domu księżnéj strawiłem. Dnia trzeciego weszła pani Alexandrowiczowa, któréj dawniéj nie znałem, i opowiadała jéj o przyjeździe naszym. Mówiła, że rząd zawsze łaskawy chce im naprzód ofiarować służbę; a jeśliby jéj nie przyjęli, to już będzie ich wina, bo się oni zapewne do Włoch przebierają, ale to im się nie uda.

Rozmowa skończyła się nie powiadając, że byłem osobą interesowaną w niéj; wzięto natychmiast paszport odemnie. Lekarz ordynaryusz domu napisał swą konsultacyę, w któréj sądził, że na moją słabość korzystać należy z pory i do wód Karlsbadzkich jechać; tak

w kilka godzin paszport upoważniający mnie do téj podróży przyniesiono. Uważano bowiem, że Karlsbad mający przybylców z tylu stron, a od Saxonii blizki, wskaże nam najłatwiejszy środek do przejazdu. Wróciłem do naszéj oberży i znalazłem jenerała niespokojnym. Policya przyprowadziła nam lenlokaja na usługę, powiadając, że to było z ostróżności aby nas obcy nie oszwabił. Zdałem sprawę jenerałowi z tego com słyszał, i domyślaliśmy się, że dla nadzoru był nam dodany; przyjęliśmy go z zapłatą dzienną, którąśmy mu dali z góry, a że był wieczór, nasz zamiar odłożyliśmy do rana. Jenerał napisał list do księcia Józefa odlegle na Józefsztacie mieszkającego, którego nasza spokojność interesowała, sam poszedł na pocztę naznaczywszy godzinę przyjścia koni; wyprawił z listem lenlokaja, a gdy ten się oddalił, my w naszę puściliśmy się podróż. Nie przypominam sobie nic w niéj ważnego, aż przyjechawszy do Pragi paszport do głównéj policyi zanieść wypadło. Tam dyrektor wdawszy się w rozmowę z Kniażewiczem, zdawał się powątpiewać żeby to mógł być prosty sługa choremu towarzyszący. Długo się nad nim zastanawiał, ale że w paszporcie nic nie było wątpliwego, powiedział mu tylko:— Zdaje mi się, że nie jesteś pospolity człowiek, chyba niepospolity oszust.

W Karlsbad zastaliśmy mnóstwo rodaków. Ignacy Potocki i marszałek sejmu Małachowski, byli znamienitsi; poszliśmy do nich po radę, jakby daléj postąpić należało. Życzyli aby się udać do Lipska, tam powziąść informacyę miejsc, w których był natenczas rozciągniony kordon neutralny, a jeślibyśmy go prze-

bywać nie chcieli, łatwo jechać do Frankfurtu nad Menem, gdzie nam przejazd, osoby tam będące urządzić mogły. W tym celu wyjednano nam paszport do Frankfurtu; a nim on się dał wyrobić, obie te znakomite osoby mówiły nam o swém położeniu, o nadzorze nad sobą i o przyrzeczeniu, jakie złożyć musiały, że z kraju się nie oddalą. Myśmy nie tracąc czasu do Lipska wyjechali. Już wtedy Kniażewicz przybrał rolę kupca jadącego na jarmark do Frankfurtu w nadziei sprzedania tam futer, które za nami prowadzono, i połączył się z czechem jadącym z Pragi w tęż drogę dla sprzedania kamieni i kosztowności. Ja nieznający języka, byłem z kolei ich sługą: oni zasiedli w landskoczu, mnie ledwie na imperyale skromne zostawili miejsce. Takeśmy ku Erfurtowi ruszyli. Lecz w kraju górzystym i leśnym, spotkaliśmy dużą lipską brykę, na któréj, gdzie kto mógł, siedziało z ośmiu polaków, w tęż samę udających się stronę. Każdy z nich prawie inaczéj ubrany, forma czapek z różnych okolic, niektórzy w kaszkiecikach, co je w Ukrainie kusznierze suwarowskiemi nazywali. Gdzieś to im powiedziano, żeśmy się my przebierali i radzi byli połączyć się z nami. Kiedy kupcy w landskoczu poważnie o handlu rozprawiają, ja do jadących zaledwiem przemówił, rzucili się ze swéj bryki na powitanie jenerała; a koledzy jego wzięli to za napad rozbojników. Zaspokoił ich trwogę Kniażewicz, mówiąc: że to są handlarze, za któremi konie prowadzą na jarmark; potém prosił ich powitawszy, aby dla naszego i swojego bezpieczeństwa więcéj się z nami nie łączyli, póki swego nie dopniemy celu, a mnie potężnie za nieostróżność wyłajał.

Stanęliśmy nareszcie w miejscu, zkąd się dwie do Frankfurtu rozchodziły drogi, jedna bliższa gdzie się na posterunku francuzkim meldować potrzeba było, i którą jako krótszą lubili furmani, druga znacznie dłuższa, ale samemi austryackiemi posterunkami zasłoniona, na któréj kupcy więcéj upatrywali bezpieczeństwa. Na popasie zyskał Kniażewicz ufność furmana, powiedział mu, że gorąco pragnie widzieć francuza, a że i furman nic w tém nie znajdował złego, a wziął za to talara, chętnie go przewieźć przyrzekł drogą krótszą. Część passażerów miała potrzebę zostać w tém miasteczku gdzieśmy popasali; czech jeden tylko z brylantami odbywał z nami wespół drogę.

Na posterunku francuzkim, zrobił się szmer, kiedyśmy powiedzieli o naszém przeznaczeniu; wysłano raport do jenerała brygady Soulta, do Lauterbach, a nam dwóch szasserów do konwojowania dano. Gdy jenerał z oficerem straży rozmawiał, czech się od furmana dowiedział, że on go na tę drogę uprosił, płakał i łajał niezmiernie, najbardziéj konwoj dodany zobaczywszy. Gdyśmy do jenerała wchodzili, była obiadowa godzina; posadzono nas do stołu, ugoszczano hojnie wraz z czechem, bo go za jednego z oficerów brali. Gdy wszystko szło wesoło, a jenerał opowiadać zaczął jak się pod pozorem kupca futer przyłączył do jadącego z Pragi handlarza, Soult tém grzeczniéj przyjmował czecha i ująć go sobie pragnąc, nazwisko sobie zapisać kazał, przyrzekając, że gdy wejdą do Pragi, u niego jako u znajomego gościnne sobie przyjęcie zamawia; teraz zaś bezpieczny przejazd do Frankfurtu zapewni. Ucieszył się czech z tak poważnych znajomości, i szczé-

rze za łajanie Kniażewicza przepraszał; niedługo wszakże trwała radość, bo gdy się chwalił w mieście, i nauczono go, że pan jenerał tak wspaniale żyje kosztem gospodarza swego, wolał żeby o nim zapomniał.

Tu wspomnieć mogę, że mi się wiele przypomina, z jakim szacunkiem i czcią był marszałek francuzki dla Kniażewicza, a trwało to do śmierci. W wigilię zgonu jeszcze, był ugaszczanym przez niego, były to ostatnie gody, jakich użył na ziemi. W powrócie skończył wieczór w domu rodaków, a nazajutrz już nie żył.

Nazajutrz nas skierowano do Giessen, gdzie jenerał dywizyi Championnet miał kwaterę; ten nas zatrzymał, bo rewia korpusu jego odbywać się miała. Jenerał en chef Hoche, zjechał na nią. Piérwszy to raz widzieliśmy armię, która się za niezwyciężoną miała, i artyleryą konną jeszcze nam nieznaną dotąd. Osobista uprzejmość wodzów i ich dla nas sympatya, nadewszystko zajmowała i wzbudzała wdzięczność. Obiadowi większa część oficerów korpusu towarzyszyła; zaczęto od toastu na naszą intencyę. Z wielką energią dotykały się kielichy z mussującym szampanem; w końcu był toast braterstwa i uroczyste zobowiązanie się posiłkowania nam.... Taka armia, taki wódz na jéj czele, jakżeśmy otuchy i nadziei nabrać nie mieli? Nakoniec jenerał en chef wezwał nas do swojéj kwatery do W.... zkąd nas miał daléj wyprawiać, obiecując swym rozognionym towarzyszom broni, że w ich imieniu do Bonapartego pisać będzie za nami, czego i dotrzymał dając list na ręce nasze.

Wkrótce doświadczyliśmy, że nowe we Francyi knuły się zamięszania.

Bytność u Hoch'a była gościnna; jego pismo w podróż nam dane, obejmowało dla nas najkorzystniejsze warunki. Płaca podług rangi, rozkaz gościnnego przyjmowania nas w armii, wezwanie do innych korpusów, którebyśmy przejeżdżali we Francyi i za jéj granicami, gdzie się tylko wojska francuzkie znajdują. To nas ośmieliło, żeśmy część fortec belgijskich widzieć zapragnęli, i naprzód do Koblentz, potém do Luxemburga, Tionville i Landau, na których swą sławę opierał Vauban, wstępowaliśmy. Słusznie zdziwić się musieliśmy, gdyśmy przejeżdżając w Grassie granicę Francyi, całkiem odmiennego doświadczyli przyjęcia.

Nie tylko, że nam odmówiono doświadczanych wygód i pomocy, ale nawet drogo płacąc, ledwie ich dostać od niechętnych mogliśmy. Gdyśmy się odwoływali, że jesteśmy republikanie, z gniewem odpowiadano: jeśli podobni naszym, to bodajbyście nie przyjeżdżali do nas. Był to skutek gotującego się w kraju zamięszania; niechęć do dyrektoryatu, zbliżanie się emigrantów do Szwajcaryi i przeczuwanie rewolucyi, na któréj czele stanąć miał Pichegru. Po takim wjezdzie do kraju, trzeba było myśléć jak się z niego wyrwać najśpieszniéj; lecz że widzenie Lunevillu i Nançy bardzo dla nas polaków pożądanem było, tą drogą ku Szwajcaryi skierowaliśmy podróż naszą. W Nançy szukaliśmy napróżno pamiątek, jakie rządność Leszczyńskiego zostawiła: dom jego ozdobny był zrabowany, grób zgwałcony, a zwłoki wyrzucone, place z dawnych ozdób odarte. Zajechaliśmy do oberży, nie wiedząc,

że tam było zebranie nowo-rozpoczętego klubu. Co za postacie srogie, jakie hałasy nieprzystojne, namowy do powstania gwałtowne, potwarze na rządzących, krzyki o zwalenie istniejącego porządku!! opisać trudno. Nie powiedzieliśmy zkąd jedziemy, lecz z porządku posłaliśmy nasze papiery do jenerała Balon, komendanta placu i wojska, prosząc, aby nam wskazał godzinę widzenia się z sobą. Już po obiedzie rozeszli się zebrani, a myśmy ze strapionym gospodarzem rozmawiali, kiedy on podniósł się na powitanie jenerała w cywilny surdut przybranego. Wziął on naprzód informacyę od gospodarza o klubie, potém zbliżywszy się do nas, mówił o grożących nowych rozruchach, o osobach z ostatnich klass społeczeństwa, jakie się do związków wciskają, o przykrém swojém położeniu, bo mu się najostróżniéj z niemi obchodzić polecano. Radził nam żebyśmy się mieli na ostróżności, nie mówiąc o celu podróży, a drogę na Zurich do Włoch za najlepszą nam wskazywał. Dodał nareszcie, że gdy Augereau z Włoch wyprawiony dójdzie na ochronę Paryża, wrzaski po departamentach same z siebie upaść muszą. Jeszcześmy tu spotkali osoby i imiona z polskich przekształcone, pamiątki rządów Leszczyńskiego nie wygasłe, osobliwie w majętniejszych rodzinach. Lecz narzekania wszystkich rozczarowały naszą ułudę, z jakąśmy Francyę ujrzeć się spodziewali; a w ogólności, powszechne były przeciwko rewolucyom żale.

Ponieważ jużeśmy się nie spodziewali podobnego jak w początku przyjęcia, skromniéj dalszą obmyślaliśmy podróż. Stanąwszy na saméj granicy Francyi,

gdzie od emigrantów najściślejsze środki ostróżności przedsiębrane były, wprowadzono nas do osóbnéj izby, dla odbycia rewizyi nawet w odzieniu naszém, i najpiérwsze zrobiono pytanie, czy mamy pieniądze? Ja to nierozsądnie wziąłem za bojaźń, żebyśmy od nich przyrzeczonego nie żądali wsparcia; część co na wierzchu była okazałem, z gniewem mówiąc, że nie potrzebujemy nic od nich. Lecz zdziwiłem się niepomału, gdy mi je skonfiskowano, pod pozorem, że to się może dla emigrantów przewożą zasoby; tłómaczyłem się, że to było nie krajowe ale zagraniczne złoto. Odpowiedziano, że wjeżdżając należało o tém oznajmić ministrowi spraw wewnętrznych, a onby na nie wydał pozwolenie. Po przeglądzie papierów naszych, przegląd osób porzucono i świadectwo na wzięte pieniądze dano, a że szczęściem nie był to nasz cały fundusz, pozostała do jechania nadzieja.

Zupełnie odmienną miało dla nas postać społeczeństwo w Zurich z massy emigrantów złożone, których długi czas główną kwaterą było Dubno; przekręcali oni najchciwiéj imiona nasze, wiosek, miejsca a nawet dam, z któremi mieli znajomość.

— Co się dzieje z rodziną Czaki (Czackich?) Czy w Biskupipsi (Biskupiczach) zawsze się dobrze bawią? Czy pani Wilgi (Wilżyna) jest w Lokaczy? (Łokaczach) i t. p. Wziąwszy potrzebne do podróży informacye, ledwieśmy ztamtąd ruszyli, gdy nas stara niemiecka spotkała kareta. Była to żona jenerała Dąbrowskiego, jadąca z synem i córką swoją do niego. Już nam o jéj przejeździe mówiono w kwaterze jene-

rała Hoch'a, ale ona z saskim paszportem przez Salzburg się udała.

To spotkanie utrudziło naszą podróż; naprzód, że powóz był ogromny, a potém, że jenerałowa na odgłos nowego położenia męża, nie z funduszem ale po fundusze wyruszyła do niego za lekko, a podobno nawet nie na jego zaprosiny. Należało jéj być usłużnym, i toby się bardzo było przydało, co nam na komorze zabrano. Jechaliśmy przy jéj karocy razem.

W okolicy Lausanny, uderzył mnie wielki wodospad, Pisse-Vache zwany, bom wprzódy podobnych nie widywał. Było to w czasie popasu weturyna; pobiegłem na górę aż do miejsca zkąd się poczyna, cieszyłem się nowością, która mnie nowym miała nabawić kłopotem. W spodniach, po prostu mówiąc, miałem pojedyńczo pozaszywane rulony, fundusz mojéj podróży składające; nie zrzucałem ich nigdy z siebie, żeby straty nie doznać. Jeden z nich, przedrzéć musiał płótno swym ciężarem, bo mi się w biegu wysunął, czegom nie spostrzegł nawet. Powróciłem szczęśliwy z mojéj wycieczki; pojechaliśmy w drogę dalszą i w Lauzannie zastaliśmy jarmark na spędzone z gór Szwajcarskich bydło. Gdy furman oberżę wybierał, jam oglądał olbrzymie krowy jakich nigdy nie widziałem: pytałem o wartość potężnych kręgów séra, który w Polsce w kawałkach tylko, lub cieńko pokrajany na pańskich widywałem stołach. Tą nowością znowu zajęty, nie wiedziałem co się koło mnie działo i szukałem oberży, w któréj weturyn nasz nocleg przygotował. Przedemną ktoś się znalazł co z moim krokiem mierzył swój pośpiech i dwóch żołnierzy szło za

mną, to mnie nie dziwiło wcale, lecz obok wielkiego domu, gdzie municypalność miała swe posiedzenia, wstrzymał mnie idący przodem i do domu wejść kazał. Spytałem go, czy tu weturyn stanął; odpowiedziano, że wnijść muszę. Wszedłem; po zdanéj na boku sprawie, odszedł ten co mi niewidomie towarzyszył, a mnie do stołu sądowego przystąpić kazano. Na pytanie ktobym był, odpowiedziałem jak było, ale szyderski uśmiéch ujrzałem na twarzach i jeden z nich przerwał mi, że napróżno łamię sobie język udając cudzoziemca, bo oni wiedzą kto jestem, i wiedzą, żem eskamotował woreczek z pieniędzmi wexlarza, koło którego przechodziłem. Tum się oburzył— ale mi odpowiedziano, że bezpieczniéj jest wyznać winę, jak się napróżno gniewać i lepiéj mówić czyściéj po francuzku będąc francuzem. Myślałem, że się nie zbędę kłopotu i prosiłem, żeby mnie z wartą do oberży wiedziono, gdzie się papierami potrafię usprawiedliwić. Ale na moje szczęście porwano i przyprowadzono winnego; był on w istocie zupełnie jak ja ubrany i nawet wzrostem podobny. Przepraszał mnie ten co wprowadził i municypalni z swojéj strony, pytając czy mi jakiéj nie uczyniono przykrości; a za przypadek prosząc o przebaczenie. Tak jakoś uszedłem biedy, na jaką mnie moja ciekawość naraziła. Staliśmy z jenerałową w jednéj oberży i wieczor na rozmowie przechodził; maleńka jéj córeczka podziwiała piękność bydła, mówiąc: gdybym taką miała krówkę, tobym ją sama doiła dla papy do kawy, którą tak lubi. Ja blizko siedząc Kniażewicza, szepnąłem do ucha: to ja jéj krowę kupię.

— Kiedyś goły, od komory mało ci zostało.

— Zostało jeszcze! i macnąłem zaszyte rulony, a wtém spostrzegłem, że mi już jednego brakowało. Żal mi się zrobiło, lecz Kniażewicz resztę pod swój dozór zabrał, abyśmy bez grosza nie osiedli.

Nazajutrz gdyśmy w Lausannie stali, nadjechało kilku oficerów polskich w tęż samą udających się drogę, a gdy każdy swe podróżne opowiadał przygody, jeden począł o swojém szczęściu, że kiedy już nie miał o czém dojechać i od kolegów prosił pomocy, a i ci mało zamożni byli, poszedł zwiedzić kaskadę i tam fundusz znalazł. Tu mu przerwał jenerał— nie powiadaj wiele. Potém kazał mi o méj stracie mówić i jak był ułożony ładunek. Powiedziałem, że było sto dukatów w ładunku z papieru od cukru sklejonym.— Ten sam, odpowiedział szlachetny oficer, i ja do niego nie mam prawa.

Lecz jenerał inaczéj rozsądził, życzył, żebyśmy go rozłamali co się komu dostanie. Takeśmy uczynili; godny człowiek starał się, aby najmniejszą dostał połowę, jakoż mu się tylko trzydzieści kilka dukatów odłamało, lecz że i to wystarczyć mogło, przyjął z wdzięcznością za dar przyjaźnego losu.

Wzięliśmy się na drogę przez górę świętego Bernarda; myśmy ją na mułach przebyli porzuciwszy powóz, którego przenoszenie wartość by jego przechodziło. Jenerałowa koniecznie swą starą karetę z sobą mieć chciała, co też wiele kosztowało. Doszliśmy do klasztoru zmęczeni, zmokli i radzi gościnnemu, jakiego doświadczyliśmy, przyjęciu. Powszechnie tu wszystkich tak przyjmują; dziwiłem się jak na to wystar-

czyć mogą, najwięcéj jest bowiem ubogich, co tamtędy przechodzą. Odpowiedzieli mi, że mają na to zapisane folwarki korzystne, osobliwie w Szwajcaryi, i w przybocznych krajach obfite wspomożenie. Rzadko gościnność bywa tak korzystną, osobliwie w krajach, gdzie jest ogólnym mieszkańców przymiotem. Trudno też niepamiętać tak potrzebnéj podróżnemu gościnności, bo bez niéj częstoby życiem przypłacił. Jadąc bowiem, zaczyna się od krainy winogron, późniéj są lasy, daléj pustynie i skały stérczą marmuru lekko różowe; wierzchołki ich pokrywają śniegi, tu kuropatwy białe i zające jakby w głębokiéj Północy. Psy mnichów są podziwienia godne; nie wdając się zkąd pochodzą, wiém że ich zmyślność, zbliża się do wspaniałego uczucia litości. Zawieszają na ich szyi butelkę małą wódki; one idą i tropią nieszczęśliwych węchem, a opodal dążący zakonnik ma na oku ich drogę. W czasie naszéj podróży, leżał jeden przejeżdżający w powrócie ze Szwajcaryi do Novaleza; bałwan śniegu z koniem go ze ścieżki zrzucił, obwinął sobą i zagrzebł w przepaści. Nim koń nie zdechł, ogrzewał go swém ciepłem; ciepło nawet ich obu, przetopiło w śniegu mały otwór, przez który go psy zwąchały. Odgrzebano go z téj bryły z wielką trudnością i zlokowano w klasztorze. W mniejszych zdarzeniach pies pozwala sobie zdjąć z szyi wódkę i nią pokrzepić siły, a sam bieży szukać przewodnika swego, aby mu ofiarował pomoc. Rozmowa z zakonnikami bardzo zajmująca, bo o wielu przygodach mają co mówić; miłeśmy z niemi czas pędzili, a tymczasem odzienie nasze przy ogniu suszono. Damy na noszach pojedyńczo przenieśli, lecz

to wiele kosztuje; pod powóz potrzebowano dość mułów, które trudniący się najmem ich dostarczyli. Założycielem tego szpitala, miał być święty Bernard, którego zwłoki w Vercelli spoczywają. Leży to miejsce ze strony Włoch, i ku niemu naszą obróciliśmy podróż. Tam weturyna najęliśmy; szło o przeprawę Tagliamentu, rzeki dużéj z gór Alpejskich płynącéj. Do niéj dojeżdża się długą groblą wpośród zarośli i miejsc trudnych do przebycia, bo tam już włoskie włóczęgi zasiadają. Nasz weturyn spocząć chciał koniom w oberży na téj stronie położonéj, tam zastaliśmy kuryera do armii dążącego. Mała karetka na dwóch kołach dowodziła, że to nie był człowiek lekko wyprawiony; on właśnie nabijał broń, którą potrzebną być mniemał, i nas bezbronnych wzywał, żebyśmy pod jego opieką przebywali niebezpieczne miejsca. Ale weturyn popasał jeszcze, a on się zatrzymywać nie mogł.

Późniéj nadjechaliśmy na niego; szedł pieszo i obdarty prosząc od nas pomocy, a bardziéj prosząc abyśmy go podwieźli do przewozu, gdzie się straż wojskowa znajdowała. Pytaliśmy się jak się to stało. Dwóch strzelców otroczonych płastwem szło z dwóch stron jego powozu; pocztylion skoczył aby cóś poprawić, gdy z obu stron już były dwie bronie przy piersiach jego i krzyk ażeby wysiadł, jeżeli zabitym być nie chce. Łatwo się na to zgodził; broń mu i pieniądze zabrano, pocztylion z końmi uciekł, a napastnicy schronili się od mogącéj ich ścigać pogoni. Myśmy tedy przejechali spokojnie i przewieźli tego, co nas niedawno pod swą opieką przeprowadzać się ofiarował.

Z naszą wielką pociechą znaleźliśmy oficera krajowca i naszych oddział przy przeprawie rzeki. Tuśmy dopiéro zapragnęli i znajomości z nim, i szczegółów od niego. Jenerałowa szczególniéj o powodzeniu męża wiedzieć była rada, ale mało on co wiedział i powiedzieć jéj mógł, bo jenerał znajdował się w Bolonii i on go dawno widział. Jenerałowéj bardzo szło o byt jego materyalny, pytała czy ma karetę i jak wielu ludzi na usłudze swojéj. Odpowiedział, że widział go na dobrym koniu, lecz huzar z którym przyjechał służył piechoto, ale mu już się podobno podjezdka postarano. Zapłakała jenerałowa, a myśmy przeczuli, że mu przywozim ciężar, jego i tak ciężkie położenie utrudnić mający. Tak ciągnęliśmy do Medyolanu, gdzieśmy zastali jenerała Wielhorskiego i wielu oficerów. Był między niemi Konopka i Dębowski, których w Warszawie w kancelaryi Kołłątaja widywałem, a których posądzano, że należeli do ruchu ludu, kiedy Kossakowskiego biskupa i hetmana Ożarowskiego wieszano. Tu dopiéro mogliśmy się dowiedzieć co się z legiami dzieje. Co tylko umundurować zdołano, zaraz Dąbrowski do armii poprowadził. Były to trzy bataliony: piérwszym Białowiejski, drugim Forestier, a trzecim Zabłocki komenderował; wtedy pod Wenecyą w Mestri kwaterowały, bo było zawieszenie broni. Opowiadali mi także o losie Liberackiego, który po mnie przyszedł na Wołyń ze swym oddziałem; ja go w powrócie przez Galicyę poznałem. Utkwiło opowiadanie w pamięci mojéj.

Liberacki był rodem z Podola i miał przez całą młodość stosunki z domem Grabianki człeka mo-

żnego, który się osiedzieć nie mógł i całe życie podróżował. Mistycyzm naprzód opanował mu głowę, a późniéj do Illuministów się wcielił. Że wtenczas Avinion był ich ogniskiem, i on tam z niemi przebywał, mając wiarę a szczególną ufność w marzeniach jednego z ich proroków, o którym mówiono, że przepowiedział, jakoby Francuzi do pewnego doszedłszy punktu, z Avinionu się cofną i więcéj w nim nie postaną, co się przy pokoju tolentyńskim zupełnie miało sprawdzić. Czy Liberacki równie wiarę przykładał do tego, czy tylko przy możnym przyjacielu zabawić pragnął czas dłuższy, nie wiém, ale w Avinionie siedział. Był on w Polsce majorem kawaleryi, użyty późniéj do prowadzenia wyprawy po któréj się spodziéwano stanowczych skutków. Słowem, oficer o którym mówiono wiele, żołnierz którego imię brzmiało za życia i pamięć po niém została. Nie był on skory do wzięcia na się nowych obowiązków, ale go korciło przecież zobaczyć dawnych towarzyszów broni, widzieć formujący się korpus, a może i potentować szczęścia dla otrzymania wyższego stopnia.

Lecz prorok złowieszczył i przepowiadał mu, że od piérwszéj zginie kuli, a pan Grabianka nie chciał puszczać przyjaciela. Stanęło na tém nareszcie, że on tylko jako podróżny zwiedzi Włochy i powróci do nich. Przyjechał on do Medyolanu wtedy, gdy Bonaparte był już pod Wiedniem, a dla utrudzenia czynności jego, jenerał Laudon puścił się z Tyrolu ku Włochom i do Werony się zbliżał. Mieli tam Austryacy swoich stronników; Werona się podniosła, a za nią i po całych Włoszech poruszeń się obawiano. Jenerał ko-

menderujący w Mantui, obmyślił środek udając się do Medyolanu, gdzie się zbiérali oficerowie którzy pragnęli w legiach służyć, żądając aby tacy, których imiona wyższy za sobą miały odgłos w Kościuszkowskich wyprawach, przybyli do niego. Polscy żołnierze zabrani przez Austryaków w czasie rozwiązania się, w znacznéj liczbie byli między niewolnikami; tych jako już sposobnych żołnierzy zawerbować i do téj nagłéj wyprawy użyć można było. Imion w wojsku znajomych nie było wtenczas, bo je Dąbrowski z sobą pozabierał; Liberacki był najgłośniejszy i do niego się udano. Ten miał właśnie list od proroka z Avinionu, który spodziewając się, że go ostrzeżenie zawczasu dójdzie, powtarzał jaki go los czeka i od służby odstręczał. Potrzeba nagła, postrach bez zasady, kapitulują więc i zgadzają się, żeby tylko dla werbunku pojechał. Werbunek był skuteczny, wiarusy znalazły się i znajome. Nie chce gwałtownie w służbę wziętych, więc ruch między 24 tysiącami niewolników, którzy tam zamknięci byli, i 2,600 naszych występują. Dają im broń z arsenału, a komendę Liberackiemu, z rozkazem aby Weronę attakował. Chciał się wzbraniać, ale mu się ufność żołnierza podobała; wzniósł się nad pogróżki proroka, wszedł do Werony, i tam zabity zarobił na pomnik, który mu w Mantui postawiono na tymże samym placu, na którym stoi pamiątka rzymskiego niegdyś wieszcza. Chwała pamięci, która naszéj przysporzyła sławy. Myśmy podróż naszą daléj rozpoczęli, a zostawiwszy jenerałowę w Bolonii, pośpieszyliśmy do Mestri nad brzeg morskiego wylewu, który to miasto z Wenecyą łączył, a

gdzie natenczas legia odpoczywała. Z tego to punktu, jak mi poważni świadkowie twierdzili, odbyło się dzieło zniszczenia tyle wieków istniejącéj rzeczypospolitéj, tylą znakomitemi dziełami sławnéj, zadziwiającéj swém położeniem, a za pamiętnéj wyprawy Jana Sobieskiego pod Wiedeń, sojuszem z nami związanéj.

Armie francuzkie już były nad brzegami morza, czekały na Brencie barki do ich przewozu; nie był wysłany żaden z przeważnych wodzów, Sułkowski tylko, przy boku Bonapartego adjutant i przyjaciel jego. On samotrzeć do Wenecyi pojechał z niezłomną tylko wolą; kapitulowano, a późniéj jak do swojego miasta armia francuzka wysiadła bez najmniejszego oporu.

W czasie kiedyśmy do Mestri przybyli, ruch był wielki z powodu przybycia wielu oficerów z kraju. Uwolnienie przez Cesarza JM. Pawła brańców maciejowickich i ich kierunek do Włoch, zagrzał krajowców, zwłaszcza młodzież, która się z wielu stron ruszyła. Doniósł o tem Dąbrowski głównéj kwaterze stojącéj pod Campo-Formio. Pisał Sułkowski, że jest życzeniem Bonapartego widzieć nowo-przybyłego jenerała, i my natychmiast naszą przedsięwzięliśmy podróż. Przybywszy do Passiniano, mundurem i czapkami różni od drugich, spotkaliśmy w surducie jadącego oficera, który nas spytał z jakiego miejsca jedziemy i wskazał gdzie się udać i oczekiwać na jenerała en chef mamy. Weszliśmy na piętro do obszernéj sali; mnogość jenerałów z korną postacią oczekiwała z nami, przy kominie tylko dwóch adjutantów zkądciś przybyłych, osuszało zmokłe podróżne odzienia. Z nich jeden widząc nasz mundur, zapytał jenerała o nazwisko jego i oświadczył, że był pożądanym. Że po polsku mówił, zgadliśmy, że to był Sułkowski; dostrzegliśmy tu i zagranicznych, bo ich nieznane wówczas we Francyi ordery zdobiły; a kilku w albańskim i greckim stroju. Otwierają się podwoje, wchodzi Bonaparte ten sam właśnie, który nam pokazywał przed chwilą gdzie się udać mamy; zimno przywitawszy zagranicznych, pozdrowiwszy jenerałów, wprost się do Kniażewicza zbliżył i w głęboką framugę okna go poprowadził. Z uszanowaniem wypróżniła się ta część pokoju, kiedy się rozpoczęła rozmowa.

— Wiém o ruchu w waszym kraju, rzekł, świadczy go licznie przybywająca młodzież i Wpan, co z wnętrza jego tu dążysz; radbym dopomódz szczérze, ale żadnéj reprezentacyi nie widzę, z nikim traktować nie mogę. Gdzież jest Małachowski, Sapieha, gdzie członkowie ostatniego sejmu, pragnąłem ich zebrać w Medyolanie.— Wszyscy nie swobodni, rzekł Kniażewicz; Małachowskiego i Ignacego Potockiego w Karlsbad pod nadzorem widziałem, Sapiehę w Wiedniu. Insi zapewne równego doznali losu.

— Wkrótce zawieszenie broni wychodzi, postąpię do Węgier które nas wzywają, równie jak Grecya i wyspy; widzisz tu Wpan ich posłanników. Mogę brzeg Karpatów opanować.— Na to jenerał: druga ich strona sama się podniesie niezawodnie.— Dobrze, lecz zkądże broń, artylerya; choć wprawdzie Turcy może nam je przesłać dozwolą, ale czy się to da w jednym czasie uskutecznić?— Broń dostaniem z rąk nieprzyjaciela, imię twoje dopomoże do zwycięztwa.— Poszlę

was w awangardzie, a jenerał B....... który nią komenderuje, zrobi wasz przegląd, z tą wiadomością wracajcie do swoich. Po nas, Greków i Węgrów przywołał.

Oddał mu jenerał list Hoch'a, przebiegł go oczyma:

— Na tego to liczyć można, ja go szczególniéj poważam.

Chwilę zatrzymaliśmy się w sali; pytałem o nazwiska osób: byli tu Kleber, Dessaix, Bernadotte, Massena, Augereau, Murat i inni. Z cudzoziemców Kobenzel i Austryaccy posłowie do zawarcia traktatu umocowani. Zbliżył się do nich Bonaparte, cisnął papier, który trzymał w ręku i na cały głos zawołał:— Co to za warunki? nie masz pokoju aż go w waszéj stolicy podyktujemy. Lekki szmer poszedł po sali; każdy wierzył w nowe boje i w zwycięztwa nowe, w nas także żołnierska krew zawrzała, radzi byliśmy nowinę wojny jak najrychléj zanieść swoim. Pośpieszaliśmy; przyjazd nasz pełen był nadziei i zaraz się do zaleconego przeglądu gotowano. Było czém zapełnić szereg oficerów nad liczbę ustanowioną kommisyą pod prezydencyą jenerała Wielhorskiego, dla porządku w ich przyjmowaniu. Kniażewiczowi komendę piérwszéj legii oddano; drugą w Medyolanie rozpoczęto. Półk formujący się artyleryi pieszéj dano Axamitowskiemu; jeden batalion w Coni z Kosińskim, drugi w Medyolanie z Dębowskim zaraz się rozpoczynać miały. Za nami przyszedł i rozkaz wyruszenia legii; w jéj marszu Bereguedilliers przyjechał; towarzyszyła mu piękna żona chcąca z nim dzielić przygody. Rewia przy niéj cóś czarującego miała; mówię to z faktów, bo Tremo

adjutant Dąbrowskiego w nią się wpatrując, zapomniał, że stał nad kanałem, wpadł z koniem w wodę i z trudnością został uratowany. W ciągu marszu, co za zmiana! Jednego wieczora przylatuje adjutant Bonapartego z własnoręcznym jego listem.— Ja pokój zawieram, zapewne krótko-trwały; wojsko wasze jest z żołnierzy austryackich złożone, na ten odgłos możeby swoje chorągwie opuściło; w chwili odebrania rozkazu wyruszaj Wpan forsownym marszem i aż w Bolonii się zatrzymasz, i tym się sposobem ocalisz.

Jenerałowie potracili głowy: puszczano krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski, Kniażewicz z połowę swéj energii utracił, legią jednak poprowadził. W tym odwrócie żal mi było Wenecyi nie widzieć; dostałem urlop i pośpieszyłem do niéj. Słaby był w niéj garnizon, a z naszych w części złożony: były to kompanie strzelców pod komendą majora Chłopickiego. W mieście niepokój, garnizon pod bronią, w jednym prawie czasie dwa zdarzenia. Zamknięto teatra, na plac świętego Marka nie puszczano nikogo, a przeznaczeni do tego, z pomocą żołnierzy naszych spuścili konie przed frontem kościoła stojące, bronzy wielkiéj sławy z pięknych czasów sztuki. Wenecyanie w Konstantynopolu je byli zabrali. Że niebezpieczeństwo groziło, wszyscy oficerowie, których sprowadziła ciekawość, byli przy wojskowéj acz skromnéj sile, która się na placu znajdowała. Zamknięto drzwi kawiarni w godzinach, w których najliczniéj do nich się zbierano. Działa stały na wstępie ulic; jak się to bez rozruchu obeszło, pojąć nie mogliśmy. Wtém jakaś osoba znamienita przyszła z rozkazem, aby kilkuna-

stu pewnych żołnierzy i kilku oficerów dać pod jéj rozkazy, czego jeśliby nie spełniono, groziła najsroższa odpowiedzialność. Ciekawość téj tajemniczéj wyprawy dała mi ochotę towarzyszenia jéj. Prowadzono nas do gmachu gdzie władze rządowe miały posiedzenia, lecz tak ciasnym wchodem, że ledwie jeden za drugim mógł postępować. Oficer wprowadził do przedpokoju w którym nikogo nie było, wymagając od nas, aby zaraz opanować tego, którego wyprowadzi, związać mu ręce w tył i wtrącić na wschody gdzie stali żołnierze, którzy już go mają sprowadzić do przygotowanéj gondoli, a nią do zamku świętego Michała na jednéj z wysepek w lagunie będących odwiozą. Było też i ustronne miejsce w którem nas umieścił, aby wychodzący przy otwarciu drzwi nas nie postrzegł, a sam do sali dyrektoryatu poszedł.

Niedługo tam zabawiwszy, wyprowadził olbrzymiego wzrostu mężczyznę w płaszczu dyrektorskim i kapeluszu z piórami; był to ubior zwyczajny tych co rząd najwyższy sprawowali. Gdy drzwi zamknął za sobą, pomocy naszéj zawołał; wybiegliśmy z ukrycia; lecz że sala przyległa była pełna weneckiego żołnierza straż przy Dyrektoryacie pełniącego, wyprowadzony całym głosem:— Do broni! zawołał, nas odpychał, a do swoich przedrzéć się usiłował. Lecz nie puściliśmy go, a wbiegli żołnierze dokończyli. Ten, który nas przyprowadził, wbiegł do żołnierskiéj sali i broń złożyć rozkazał, mówiąc, że zdrajcę biorą. Poszedł więzień i niósł prawie na sobie tych, co go jak pijawki obsiedli, tak siła jego była wielka i postać olbrzymia, a wysiadając zaświadczył, że choć go pokonano, nikt ani kosztownych jego pierścieni, ani złota, które unosił z sobą nie pragnął. Był on rodem z wysp Sklawońskich; myślał o zamięszaniu, i ilość znaczną ludzi w tym celu dniem przedtém zgromadził; dalszéj jego historyi nikt mnie nauczyć nie umiał.

Marsz do Bolonii, był obrazem zniechęcenia i nieładu; żołnierz się rabunku dopuszczał, mieszkaniec własności bronił. Najwięcéj winogrady od przechodzących ucierpiały. Na tę wieść, miasto i wieś wzięły się do broni; myśmy się zdemoralizowali potężnie. Lecz Bonaparte z żoną do Medyolanu jechał, kazał stanąć pod bronią, pokarcił i zakończył pochlebną dla nas, acz trochę oddaloną nadzieją odprowadzenia nas do kraju. Sama oderwała pióro od kapelusza męża, i oficerów niém na pamiątkę dzieliła. Dobre i to było w braku lepszego; oficerowie z których już każdy myślał którąby drogą do swego powrócił domu, zebrali się w koło, zaręczając sobie nawzajem, do lat trzech czekać i służby nie porzucać. Dąbrowski do Medyolanu pojechał za jenerałem, a Kniażewicz legię do Rimini odprowadził. Bonaparte swą osobą do Leoben wyjeżdża, komendę przy jenerale Bertier zostawuje. Dąbrowski bierze od niego instrukcye, kończy układy z rządem Cizalpińskim o formacyę drugiéj legii i sam do Rimini powraca. Powiększono go postronném wojskiem włoskiém Cisalpińskiém, które pojedyńczo jenerałowie Triulci i Julien komenderowali, bo minister obu legii połączać, żadną miarą dozwolić nie chciał.

W przygodach ważnych, może się godzi i drobnostkę umieścić, kiedy ta ma barwę swemu wiekowi właściwą. Przyjechał w te strony z Paryża szarlatan niejaki pan Zaremba. Jak on potrafił ludzi zwieść w Paryżu, tego nikt nie pojmował; miał przecie posłannictwo jako admirał polski, i w tym charakterze przez Rimini do Ancony jechał, a tam flotę oglądał. Rozkazy wyższe musiały go do tego upoważniać, kiedy mu na posterunkach polskich winne jego randze oddawano honory; chocieśmy wiedzieli dobrze, że Polska admirała nie miała, należało spełniać wyższe polecenia. Późniéj już stojąc załogą w stolicy państwa papiezkiego, widzieliśmy go nizkiéj rangi oficerem francuzkim. Mówiono, że oszust ten był wprzódy księdzem; gdy się objaśniono, że admirałem być nie mógł tam, gdzie admirała nie było, wałęsał się po Rzymie ubiegając po kościołach za mszą płatną i takich, mówię, kilka każdego dnia odprawiając, utrzymywał się niemi. Jakiemi drzwiami potém do służby trafił, nie wiém; musiał mieć wyższe usposobienie na oszusta, kiedy mu się tak udawało. W Rimini kwaterowaliśmy długo. Niedaleko wzniosła góra Apeninu na swym grzbiecie nosiła osadę historyczną, od wielu wieków głośną, która udzielnéj rzeczypospolitéj San-Marino nosiła imie. Kilka tysięcy ludności składało ją całą; ustawy oddzielne różniły ją wybitnie od sąsiadów. W téj epoce gdy Włochy dzielono na nowe państwa, drżała słusznie o swe istnienie, leżąc między papiezkim krajem, a nowo postanowioną rzecząpospolitą Cysalpińską. Biła czołem zwycięzcy, i jego opieką ocalona, przy swych została się prawach. Przysłała ona

delegacyę do Dąbrowskiego, witając wojsko nasze i pochlebiając sobie, że my na naszą przeszłość pomni, nie dopuścim się użyć na osiodłanie ich. I nie zawiodła się na tém; oficerowie bowiem głośno się oświadczyli, że do zagłady San Marino przyczyniać się nie chcą. Dąbrowski zaś nie mając polecenia przeciwko nim, i chcąc się im odpłacić wzajemnością, a uczuciu oficerów swoich dogodzić, posłał mnie do nich zlecając podziękować za ufność i zapewniając, że groźnych nie ma rozkazów. Puściłem się na tę górę, na którą drogi powozowéj nie było, na osiołku, który na mnie czekał u jéj spodu; wysłani mi towarzyszyli.

Znalazłem na grzbiecie góry szpaler lip przez któryśmy na plac publiczny weszli, gdzie się i cała ludność zebrała. Kościół S. Marino podług nich w końcu trzeciego wieku (?) przez ich patrona zbudowany, jako ozdobę miał obraz jego przez Guercino da Cento malowany, wreszcie wszystko bardzo skromne i jeszcze uboższe niż w naszych żebrzących klasztorach. Dzwon przy nim wielki, był hasłem czy do zebrania ludności, czy na wybory urzędników lub na naradę w ogólnéj sprawie. Byli też i zamożniejsi trochę mieszkańcy, ale wszyscy prawie odzienie mieli jednakowe, a wzajemne ich stosunki okazywały równość zupełną, a nie grubiańską. Statut ich prawodawczy w drewnianéj szafie w kościele złożony, każdy przychodzący uczcił. Dwaj urzędnicy władzę wykonawczą piastowali; wreszcie lud zgromadzony rozwiązywał spory. Po skończonych przymówieniach, pokazano mi księgę w któréj się podróżni wpisują. Liczne tam by-

ły nazwiska Anglików, Amerykanów i Polaków, a rodzina podczaszego Czackiego była ostatnią.

Proszono mnie na skromny obiad, który tém się od zwykłych różnił, że żadnéj widocznéj służby nie było. Stół miał wszystkie półmiski na sobie; a na przyległym, sztućce, napoje, farfurki, które każdy w potrzebie brał i odmieniał. Zdało mi się żem do dawnych przeniósł się wieków, i że pierwotnych respublik widzę zarody. Rozmowa szła z zapałem; mówili prawodawcy o prawach, o znamienitych ludziach swego kraiku, o przygodach, o wojnach z wojskiem papieżów, co ich podbić pragnęli.

Lecz ostatnia chwila była dla mnie tryumfem; przyniesiono pismo przyjmujące do obywatelstwa i kopię statutu przez najwyższych urzędników podpisaną. Pieściłem się z tym darem, lecz gdy nas Neapolitanie z Rzymu wygnali, straciłem go, bo był złożony u pewnéj rzymskiéj matrony, która przy wyszukiwaniu wszelkiéj własności francuzkiéj, oddała go wraz z rzeczami memi. Nazad wracałem już w potężną i chłodną ulewę, która mnie febry nabawiła.

Płynął pod miastem Rubicon, tak znany w dziejach, co go przechodząc Cezar, depcząc prawa narodu, kończąc życie obywatela, zapragnął wszechwładztwa; gdzie z bohatéra panem być zaczął, a skończył potém od sztyletu Brutusa, niegdy wychowańca swojego. W mieście, pamiątką wieków średnich z panowania Malatestów, pozostał kościół wspaniały gotycki, który wiele

zajmujących zawiérał pamiątek. (Tu się zjazd duchowny odbywał pod nieprzychylnym Kościołowi wpływem i wywołał emigracyę do poblizkiéj wioski, która odtąd Catolico przybrała nazwisko).

Wiele napisów kościelnych z nazwiskami podobnemi słowiańskim i naszym polskim, cieszyły nas swém na *ski* zakończeniem. Morze Adryatyckie dotykało miasta. Ogromne działa osadzone na jego brzegu, niegdyś potrzebne być musiały, lecz znaków portu nie było. Mówiono, że się odcofnęło Adryatyckie morze i tylko pozostał zalew. Od niego barki rybackie odpływały i jak łabędzie snuły się po morzu z białemi żaglami. Jedna Apeninu odnoga dzieliła ten kraj od Rzymskiego państwa. Nad wysokie góry wyższa jeszcze Stromi, zdaleka nad nie wznosiła swój wierzchołek. Nad nią spiętrowały się skały w postać podobną koronie i mieszkańcy ją też *Koroną Cesarską* zwali. Lud tam mieszka ubogi lecz swobodny; od końca trzeciego wieku przetrwał wewnętrzne burze włoskiéj ziemi, i obronił się papieżom którzy go podbić chcieli. Założyciel osady téj, dawniéj w liczbę świętych przyjęty, i odludne jéj położenie, kazałyby się domyślać, że tam naprzód jacyś pustelnicy mieszkać musieli — Od San Marino opodal na wysokich górach błyszczały mury zamku, który dawniéj za niedobyty uważano; takim go skaliste góry czyniły. Była to twierdza papiezka S. Leo. S. Marino i San Leo, oba miejsca z imionami świętych, jakże się charakterem różniły! S. Leo przeznaczone było na więzienie: podziemne jaskinie w skale kute służyły na zamknięcie winowajców; lecz właściwiéj, miejsce to było składem oręża,

środkiem utrzymania w posłuszeństwie górali i przednią czatą Rzymskiego państwa.

Ludność S. Marino nie przechodziła kilku tysięcy; możniejsi mieszkańcy mieli swe ziemie we Włoszech, a co więcéj, wpływ osobliwszy między ludem uboższym, bo wszyscy znajdowali współczucie u mieszkańców S. Marino w czasach rozruchów. W czasie zaburzeń Gwelfów i Gibelinów, oni byli użyteczni unieważniając wpływ kościelnego państwa, siłę jego, siłą i położeniem swém odpiérając. Że byli ubodzy, nie obudzali chciwości; zostawiono ich przy niepodległości, za którą krew przelewali, i tak przetrwali do czasu gdyśmy przyszli w ich sąsiedztwo. Lecz w końcu już były nowéj wojny obawy i przygotowania do niéj. W dniu jednym widziałem jak kilka nadmorskich dział stawiono na koła i tam je przyrządzano. Kazano stawać pod bronią, zapowiedziano marsz nocny, nieoznajmując o jego celu. Szliśmy po dróżkach do naszych ścieżek podobnych, darliśmy się na góry ponad przepaściami. Prowadzenie ogromnych dział najczęściéj odbywało się siłą żołnierza; wielu z nich z pracy omdlewało, lecz ich innymi zmieniano. Z brzaskiem dnia, ujrzałem moją ulubioną rzeczpospolitę, któréj mogłem być obywatelem; zadrżałem czy to nie na nią nasza idzie wyprawa, lecz mnie wkrótce pocieszył widok San Leo. Jużeśmy się z gór przebierali, potrzeba było spoczynku, póki się nie ściągnął pojedyńczo wlekący żołnierz, póki nie doszły działa. Uszykowano nas dobornie: grenadyerom kazano zawiesić z wysokiemi pąsowemi kitkami ozdobne czapki na bagnetach swoich i przeznaczono kompanie co do szturmu iść

miały. Była w ich liczbie i ta, w któréj byłem kapitanem; poszedłem do niéj, a żem wówczas służył przy sztabie, w wolnych godzinach składałem śpiewki dla naszych wiarusów. Downarowicz jeden z kolegów zawołał:— To właśnie miejsce dla ciebie poeto, bo to jest coś nakształt parnasu, ale za wysoki trochę.

— Wejdziemy na niego, wdrapiemy się kolego, bo nas tu honor wzywa, a na wierzchołku zaśpiéwamy swoją piosnkę....

Z hałasem wielkim szliśmy do szturmu, a czapki na bagnetach, olbrzymią wojsku nadawały postać. Strzelono kilka razy z zamku, lecz we dwie godziny późniéj wywieszono białą chorągiew i do kapitulacyi przystąpiono. Był to już wieczór, opatrzono bramy, a myśmy na wzgórku obozem stanęli. Weszliśmy do twierdzy rano, a gdy spisywano pozostałość zamku, który nam szwajcar oficer zdawał, z nas niektórzy i ja z niemi puściliśmy się na oględziny znamienitych więzień. Na ten raz sami prawie złoczyńcy i kilku tylko było żydów; jeden z nich, żyd polski, przybył aby koniecznie dysputować w Rzymie z teologami Kościoła, co mu dozwoloném było w nadziei nawrócenia. Dni kilka odbywała się ta dysputa religijna, a gdy żyd uporu więcéj jak przyczyn miał za sobą, wzięto go w areszt i do San Leo odesłano. Zostawując innych późniejszemu rozporządzeniu, jenerał Dąbrowski uwolnić go kazał. Widzieliśmy i miejsce gdzie Cagliostro odbywał więzienie; ściany jego były rysunkami okryte; nadzwyczajne postacie, koła i gwiazdy, napisy nawet nic nas nie nauczyły. Wreszcie mało co było do widzenia w zamku, gdzie szczęśli-

wy wybór miejsca całą stanowił ważność, bo oprócz jednego obronnego wjazdu, reszta była sterczącą wysoką skałą. Tak tedy nasza skończyła się wyprawa, i myśmy do Rimini wrócili.

Był szmer cichy, że mimo przedugodnych punktów, do nowéj wojny przyjść może. W Rastadt zwlekano przy traktowaniu o pokój. Neapol uzbrajał się widocznie i wojsko do 80,000 zwiększone, silnie w materyalny przybór opatrywano. W Rzymie, brat Bonapartego był posłem rzeczypospolitéj Francuzkiéj. Jego posłańcy czasem się i o Dąbrowskiego ocierali. Kiedy najmniéj spodziéwać się należało, nadjeżdża poważny prałat z Rzymu do Medyolanu wysłany, który urzędownie Dąbrowskiego pyta, czy go wyższe rozkazy do napadnienia na fortecę i kraj papiezki upoważniły.

Zdawało się, że przynajmniéj to nie było od Cysalpińskiego rządu, który zadrżał na postępek jenerała i tłumaczyć mu się z téj wyprawy nakazywał. Przyjazd rzymskiego posłannika i rozkazy ministra zbiegły się razem. Dąbrowski powiedzieć mógł posłanemu, że wiedząc o tém, iż się papież wzbrania uznać exystencyę polityczną rzeczypospolitéj Cysalpińskiéj, potrzebował przedsięwziąść kroki ostróżności, bo późniéj więcéjby to ludzi i starań kosztowało. Rzeczą jest rządu kazać mu z zabranéj fortecy ustąpić. Zaledwie prałat wyjechał, myśmy wyszli pod samą granicę Rzymskiego państwa, którą z naszéj strony miasteczko Catolica stanowiło, i tegoż jeszcze wieczora następny obmyślono środek wojennego podejścia. W Peza-

ro, piérwszém mieście papieskiego kraju, przemieszkiwał kardynał Saluzzo, ten sam co przed niewielą laty był nuncyuszem w Warszawie, nawet cały dom jego oswojony był z językiem naszym. Dąbrowski z pomiędzy włoskich żołnierzy, kazał wybrać najzręczniejszych do tego i ubrać w odzież na ten cel od wieśniaków zebraną. Dał im za naczelnika Bagutego felczera w drugim batalionie w służbie naszéj będącego z potrzebną informacyą; był bowiem znajomy z miejscowością. Nie było trudno obejść posterunek rzymski; wpadł on do miasta, zaśpiéwał piosnkę może już nawet nie obcą góralom księztwa Urbino, których reprezentował, wstrząsnął tym sposobem miasteczkiem i opanował wprzód bramę, którą garstka tylko wojska przeciwko nas strzegła. Gdy wszystkich opanoła trwoga, zmienił rolę; dostał się do pałacu do kardynała jako miejscowy, prosił aby mu z nim widzieć się było wolno. Przypuszczony, opłakiwał swą niedolę, narzekając, że już był zrabowany i zna okrucieństwo i złość dowódzców zamięszania i wié co się z miastem stać może, gdy w ostatku i żołnierze właśni połączą się dla rabunku z powstańcami i dodał, że jeden tylko widzi ratunek, aby kardynał wezwał jenerała Dąbrowskiego, by miasto przyjacielskiego kraju od zniszczenia osłonił. Zebrani u kardynała mieszkańcy miasta, którzy najwięcéj do stracenia mieli, wołali żeby to uskutecznić bez zwłoki, i wysyłać co najprędzéj do Dąbrowskiego. W mieście prócz hałasu nie było żadnych gwałtów; kardynał Saluzzo list do Dąbrowskiego gotował, i z nim swego, w Polsce jeszcze sekretarza, wraz z Bagutym wyprawił. Znalazł

czas Baguti ostrzedz swoich aby swą drogą zemknęli, lecz zawsze w mieście myślano, że się tylko w inną jego przenieśli stronę. Ledwie Baguti z sekretarzem w Catolica stanęli, jenerał który z niecierpliwością oczekiwał skutku tak się zdradził, że Bagutego ucałował. Natychmiast stanęliśmy pod bronią wziąwszy sekretarza z sobą w jeneralskim jadącego powozie; przeszliśmy słaby posterunek papiezki, odesławszy wprzód list do posłannika papiezkiego do Medyolanu wraz z listem kardynała, wskazując dla czego gwałtowne przedsięwzięto środki, bo i potrzeba gwałtowna była. Pojechał z tém kuryerem wysłany oficer. Jenerał stawił się kardynałowi; znikła już była obawa, zostało podziwienie tylko. Wieść się rozeszła o naszém na ratunek ich przybyciu, karność dowodziła dobrych chęci, a mieszkańcy byli w téj ułudzie, że to ich Austryacy nie Francuzi osłaniają. Wielkie ztąd dla nas okrzyki. Jenerał wysłał posterunki do innych miast, do Urbino nawet, bo zapragnął zająć razem historyczne i ważne stanowisko nad jeziorem Trazymeny, gdzie niegdyś Annibal obozował. Niżeli przyszła odpowiedź z Medyolanu, wstrzęsła się papieska ziemia; w stolicy nawet napadnięto na francuzkiego posła. Zginął w tém zamięszaniu jenerał Dufort, pomnikiem uczczony; książe Józef Bonaparte przez Ankonę się usuwał i Dąbrowskiemu za ten marsz podziękował, bo pod jego zasłoną cofnąć się już mu nie było trudno. Tak się tedy ta napaść odbyła; rząd się jéj Cisalpinski wyrzekł, a niespodziewane okoliczności usprawiedliwiły. Już tedy Dąbrowski nie opuścił swych pozycyj które zagarnął, a że go lud sprawcą swéj

spokojności być mniemał, nie byliśmy od nikogo napastowani, aż do następnych zdarzeń.

Jenerał posunął kwaterę swą do Fano, aby być jak najbliżéj Urbino. W dniu jednym, kiedyśmy właśnie u obiadu siedzieli, szmer w mieście powstaje, i zajeżdża Bertier, jenerał główną armią włoską dowodzący. Natychmiast jenerała Dąbrowskiego do osóbnego z sobą wiedzie pokoju i groźnie zapytuje, co go do tego przywiodło, by bez odnoszenia się do niego zajmował państwo papieskie?

Jenerał pismo posła francuzkiego złożył i o wezwaniu siebie przez kardynała donosi, dodając, że ważne militarne pozycye zajął bez krwi rozlewu. Mówił Dąbrowski, że na twarzy Bertier nie gniew, ale uczucie zazdrości czytał; wkrótce Bertier znowu surową przybrawszy postać, za nierostropność go karcił, dodając w końcu jakby z szyderstwem:— Czy to się wćpan zostawszy naczelnikiem tak niewielkiéj garstki, na zdobycze puszczać myślisz? Nie rozważyłeś, ciągnął daléj, że 80,000 Neapolitańczyków mogli wkroczyć i połknąć cię od razu; skompromitowałbyś armię całą dotąd niezwyciężoną.

Na co Dąbrowski odparł, że się takich wyrzutów nie spodziewał od towarzysza broni Bonapartego, który dowiódł, że kraje się zdobywają nie liczbą wojska, ale zręcznością i odwagą.

Po téj rozmowie wrócili do nas; Dąbrowski przedstawiał Bertiemu jenerała Kniażewicza i zebranych oficerów, ale on jakby niespokojny, o pokój dla siebie prosił i tam rozkazy dyktował. Kazano Dąbrowskie-

mu ani krokiem nie posuwać się daléj, czekać na będącą w ruchu armię włoską, którą pocztami wieziono, a gdy ta zabrane przez nas miejsce opanuje, wrócić natychmiast do Rimini na dawny swój posterunek i tam nowych oczekiwać rozkazów. Tak nasze nadzieje i owoce zręczności naszéj spełzły dla nas. Biegli Francuzi marszem gwałtownym na etapach; już dla nich pieczono woły, przygotowywano wina dla pokrzepienia sił straconych; za niemi zbierano podwody aby podwozić słabszych. Pocztą także trochę dostawiono dział. Myśmy po przyjściu ich spełnili dany rozkaz cofając się na dawne stanowisko; lecz lud sfanatyzowany ścigał w nich odszczepieńców, i każdy co się znalazł oddzielony od kolumny swojéj, mógł być pewnym strzału, od piérwszego mieszkańca, byle zręczność była po temu.

Jednak opór przeciwko ich męztwu, zręczności i sławie był nadaremny; stolica ubieżoną została; a my ciekawi słyszéć co się tam dzieje, posłyszeliśmy o losach Rzymu. Mówiono, że Rzym gnusnością rządu znudzony, przechowywał w sobie wielu zwolenników Francyi nawet między najznakomitszemi; Borghezowie i liczni książęta miejscowi tchnęli żywą dla Francuzów sympatyą. Na Kapitolińskim placu przypięto trójkolorową kokardę posągowi Marka Aureliusza, wśród śpiewów jasnego bardzo znaczenia. Papież cofnął się do Sienny; rząd konsularny z osób dostojniejszych złożony, zawładał zaraz miastem. Urok pamiątki dawnéj Rzymu świetności zawrzał we krwi wszystkich; byli zapewne i tacy co płakali, widząc przygotowany upadek wiary. Wszystko to słyszałem tylko z opowiadania. To zaś było pewnością, że przysłani od Dyrektoryatu ordynatorowie, gdy nawet kościelne bogactwa spisywać mieli, wojsko się na to oburzyło. Bertier i Massena z wyższym sztabem z Rzymu do Monterossi umknęli; byłoby zaszło daléj, ale lud zbrojny zebrany pod Terracino szedł do Rzymu, potrzeba bezpieczeństwa wskazała jedyny środek wybrać z pomiędzy siebie dyktatorów, aby utrzymać się w Rzymie. Wysłano przeciw powstaniu potrzebną siłę, a dyktatura exystowała dopóki jenerał Gouvion-Saint-Cyr z instrukcyami nie nadjechał z Paryża, nie ujął armii w kluby karności. Winniejsze nawet pół-brygady ucierpiały i późniéj do wyprawy do Egiptu płynącéj przez Civita-Vecchia wysłane były, i tak się piérwsze zdobycie odbyło.

Podobno to było skutkiem téj wyprawy, że Rzym ogołocony z wojska, potrzebował załogi, którą formować na naszą legię przyszła koléj. Jakoż, w marsz ruszyliśmy natychmiast; wielu z nas pocieszyła nadzieja widzenia kraju i nieśmiertelnego miasta, którego i dawne znamienite ostatki przeszłości i nowe gmachy do najwspanialszych na świecie się liczą. Piérwsze wrażenie jakie o nas powzięto, nie znikło zupełnie; miano nas przynajmniéj za chrześcian i pojedyńczo nie zabijano; szliśmy wolnym marszem; niektóre zdarzenia nie wygasły jeszcze z pamięci mojéj. W Pezaro przyjął nas gościnnie kardynał Saluzzo; on i ci co go otaczali pamiętali Warszawę; przypominali nazwiska osób, gościnność polską wielbili, bogobojność podziwiali, siebie i Rzym polecając jako dawnym znajomym, licząc na wyniesione z kraju uczucia. Lud

po kościołach nas widział, do których jednego domowa pobożność, innych sztuk pięknych zamiłowanie kupami wiodło; dawano nam listy do znajomych w Rzymie. W każdém miasteczku cóś uwagę naszą ściągało.

W Pezaro chłodnik z kunsztownie urządzonych wytrysków wody, tak, że pod nią przechodzić było można, a woda spadała obok nie maczając przechodzącego, bo ją siła sztuki parła w tę stronę. W Fano teatr wielkością znamienity; daléj grota Forli, którą wykuli w skałach Rzymianie dla wygodniejszego przejazdu;— wszystko to nowe dla nas było i ciekawe. Takeśmy doszli do miasteczka Immoli, gdzie przebywał człek, późniéj z wielu względów znakomity i wielki: był to kardynał Claramonti, późniéj papież Pius VII. Tam nas zatrzymano na czas, bo jakieś poruszenia ludu w téj stronie wymagały téj ostróżności; dano nam kwaterę w pałacu kardynała. Poważny kapłan mieszkał w obszernym gmachu, tak, że się nas tam wielu pomieścić mogło, oprócz kwaterującego jenerała. Bał się on niespokojności ludu w okolicy, który się w tłumy zbierać zaczął; przewidywano napad; wiedział, że jego imię było głośne i od wyższych władz szanowáne; nas uważał żeśmy z kraju wynieśli ducha wiary i uszanowanie Kościoła; czuł się bezpiecznym, bo siebie broniąc i jegośmy zasłaniali. Spokojny dom jego był dla nas przyjacielską kwaterą: ukochał Dąbrowskiego, a nas często do siebie wzywał, w miarę jak się z kim bardziéj oswoił. Dla mnie kardynał był uroczą postacią, i widział to w méj twarzy i w sercu mém czytał. Okiem pasterza spoglądającego na o-

wieczki swoje, rad był wiedzieć co chwila o ich losie. Ja, żem był najbliższy jenerała, gdy go każde uderzenie bębna trwożyło, o wszystkiém odemnie chciał wiedzieć; z każdego ruchu, odemnie żądał zdania sprawy. Z uszanowaniem zaspokajałem jego wolę; on zaś ze swéj strony przy rozmowie okazywał przyjacielskie uczucia, najczęściéj na filiżankę czekolady zapraszał, a zawsze cóś o losie Polski mówiąc, rad był swoją sympatyę dla nas okazać. W obszernéj, lecz nie bogato przystrojonéj sali, przy wielkiego marmurowego komina ogniu, stało wygodne jego krzesło; blizko stojący taboret był dla wezwanego. Fioletowa mycka jedyną była cechą wyłączną ubioru jego; bo choć dawniéj był mnichem, nosił frak czarny, nawet fioletowych pończoch nie przypominam sobie. Nigdym od niego nie słyszał nic twardego o nieprzyjaciołach wiary, lecz gdy o rozwolnieniu obyczajów mówił, często dodawał:— Widzę skutki lekceważenia wiary, znikła ufność między podwładnemi a rządem, który w każdym widzi niechętnego, a ów w każdéj władzy ciemięzcę. Wiara tylko spoić ich mogła, rozróżniając co jest wolą Boga, a co namiętności ludzkiéj dziełem; ta uczy jak piérwsze znosić, i jak drugie z serca każdemu wykorzeniać należy, czy on wielką czy małą posadę na téj ziemi otrzymał.

Przyszedł nareszcie rozkaz dalszego marszu, myśmy go żegnali z czułością i on nas po ojcowsku błogosławił. Zjechałem na bok dla widzenia wodospadu Terni, najświetniejszego z tych jakie we Włoszech widzieć można. Przed wieki, rzeka Velino stała się jeziorem tam ręką Rzymian skierowana; przebito skały i

otworzono kanał którym do morza toczyć się miała z wysokości wielkiéj. Z wodami jéj uniesione części alabastrowe wyższych pokładów, w tysiącznych latach osadzając się potworzyły sople podobne do tych, jakie u nas zima na krajach dachu zawiesza. Wiekami massowały się one w skały i rozmaicie piętrzyły. Rzeka lecąc z góry rozbija się o te skały i w mgłę przemienia, w któréj promienie słońca wyrabiają tęcze, czarownie przedstawujące się oku. W końcu rzeka uderza w wody płynącéj pod samą skałą Neri, ta się jéj opiera, pieni i sroży, lecz ulega sile i w kręte smugi wywijając się, wraca znów do swego dawnego łożyska, płynąc daléj rozkoszną łąką.

Wielkie i miłe na nas uczynił wrażenie ten najpiękniéjszy, bo najwięcéj malowniczy wodospad włoskiéj krainy. Lecz wracam do marszu naszego; opuszczając jeszcze Rimini każdy swą przyszłość z innego widział stanowiska: jedni pragnęli widzieć Rzym dawny, inni pamiątki kunsztu jakie się w nim zebrały, inni wielkie miasto, w którém tyle uciech przemieszkiwa; chciwi roskoszy słuchali jak ona tam łatwo przychodzi. Każdemu się zdało, że go już piękna Rzymianka wybiera, bo słyszał, że jasno-włosy młodzieniec północy najłatwiéj im do serca przemawia. To było i w kwaterze jenerała, bo i on w uczuciach gwałtowny, ufny w swe wyższe położenie, jeszcze w swym kraju zalotny, sądził, że to go ominąć nie może. Wszakże nie chciał się puszczać na lada miłostki, chciałby znaczenia w kochance, którego w boju szuka; choć postać marsowa, głos mocny co zawsze rozkazywać pragnął, nie był dla kobiet włoskich zaletą.

Był też z nami z Ukrainy zamożny młodzian, poszukiwany po możnych dworach, w których go do towarzystwa wciągano jako dostatniego człowieka; a gdy on o córkach domu marzył, podstawiano mu protegowane urodziwe dziewczęta, aby ubogim los zabezpieczyć. Rzucił się on w ten emigracyjny odmęt; jechał na Paryż by z większego przybywać świata i przywieźć z sobą ozdobną garderobę, najświeższe przybrać formy i tak dopiéro po Włoszech bujać. Był to niebezpieczny dla jenerała rywal, bo i młody i strojny i wymówniejszy od niego. W zawodzie swoim on na nas wcale nie zważał, a gdy jenerał wzywał, aby mu w jego zalotach nie przeszkadzał, gniewał się szczerze, bo w tém gwałt swobody osobistéj i ślady feodalnego ucisku postrzegał. W takich myślach szliśmy do Rzymu, a ja z wycieczki do kaskady w Terni stanąłem półową dnia przed niemi. W Terni szukam kwatery jenerała; kwaterujący mi ją wskazuje, dodając: dogodziłem jenerałowi, wdówka i mieszka w Rzymie. Przejrzałem listy któreśmy od znajomych do znajomych mieli; znalazłem na jednym podpis, którego by się i Ariosto wymyślając imiona swym bohaterom nie powstydził: *Pandolfina Companioni Szeripanti;* oddałem list głuchemu starcowi, który przyszedł na moje usługi, niezgadując żem trafił na jéj powiernika. On mnie wkrótce do swéj pani przywołał; zaczęła się rozmowa poufała, jakbyśmy sobie od wieków przeznaczeni byli. Mówiła zaraz, że jéj przyjaciel tak jéj opisał jenerała i otaczających go, jakby ich sama widziała— Wasz jenerał wąsaty, jak Mars srogi, a szuka przecie miłości kobiét, choć ją lekce waży; jest tam i drugi młody

przy nim, pewny, że go każda pokochać musi, a on tylko wybierać będzie. Ja mój list z nich wszystkich najskromniéj oddałem, dodając:—jesteś pani bez Cavaliero servente, życzę ci go wybrać. Śmieliśmy się oboje z naszego przeznaczenia. Powiedziałem jéj, że nie chciałbym jednak ani z moim jenerałem, ani z kolegą się poróżnić, choć widzę jakoby mnie uszczęśliwił bliższy z nią stosunek.— Ja to biorę na siebie, odpowiedziała, i zrobić potrafię. Potém pytała mnie o zwyczaje i humor jenerała i czémby próżność kolegi mego zaspokoić najlepiéj. Po ratyfikacyi naszych układów, dano znać, że nadeszło wojsko, a jenerał do kwatery jedzie. Wyszła zaraz do niego zręczna wdowa i powiedziała mu, że jedzie do Rzymu, że chce sobie zaskarbić przyjaźń jego i szczęśliwa jest, że takiego człowieka w swym domu przyjmuje. Wszedł za jenerałem i mój kolega, tego ugrzeczniła także: a gdy jenerał mówił jéj o krótkim pobycie swoim w Terni, odparła:—jeśli marsz nie jest gwałtowny, możeby tu znalazł swobodniejszy spoczynek, a ja przyjemność bliższego z nim poznania. Że dowódzca nasz był wówczas w Spoleto, polecił jenerał memu koledze napisać do niego, a ten z grzecznością paryską porwał się zaraz chcąc wolę gospodyni spełnić; jam się usunął z pokoju, przeze drzwi tylko na ich ruchy spoglądając. Wdowa wysłała sztafety, zapewniając, że odległość nie była wielka, a jenerał Dąbrowski dwa dni dla wypoczynku tu naznaczył,

Gdyśmy się do siebie cofnęli, jenerał szwarcował wąsy, a mój kolega szukał w garderobie najkształtniejszego munduru; jenerał już swą przyszłą zdobycz

uwielbiał, a kolega mówił z przekąsem, że mu się także podobała.

—Sądzę że mi przeszkadzać nie będziesz, rzekł jenerał; ten się zmarszczył— miłość nie ma żadnego związku ze służbą, w niéj szczęśliwszy zwyciężcą.

Gdy tak się z sobą ucierali, mój głuchy powiernik pani, niewidziany od nich, wskazał mi żebym szedł za nim, co mi nie było trudno, bom się nie przebierał; wprowadził mnie do niéj skrytemi drzwiami. Zastałem ją śmiejącą się, że jéj tak dobrze poszło na téj piérwszéj probie. Układała plan życia w Rzymie, obiecywała mi że karetę da na moje usługi, że z nią razem obiady, przechadzki podzielę, że mi da starożytnika coby mnie po mieście obwodził, że ma architekta przyjaciela, co mi okaże gmachy i piękności sztuki wskaże i oświeci o nich. Tak mi to dogadzało niezmiernie, że chociaż serce w rodzinie i kraju zostawiłem wyłącznie, nie gniewałem się wcale na to zdarzenie, bo ono mi do méj chęci nauczenia się i poznania sławnego Rzymu, wielką obiecywało być pomocą. Nazajutrz wielki obiad u mojéj wdowy: piérwsi mieszkańcy proszeni, jenerał ze czcią ugoszczony, twarz ma pogodną i rozbiera w myśli następne przyjemności. Sam na sam z nią będąc, opowiada jéj o swém szczęściu do kobiét w kraju, idealizuje swe stosunki z niemi, oświadcza ognistą miłość któréj i ona spodziewać się może. Pomimo to wszystko, włoszka dotrzymuje umowy; wybór był jeszcze nadto świeży, żeby go tak rychło porzucić miała. Jenerał do swéj wojskowéj potrzeby już mnie nie wzywa wcale, bo ma na widoku utrzymać kolegę mego w ciągłém zatru-

dnieniu, aby mu nawet czasu do mówienia z wdową nie zostawić. Kiedy on do swego powracał pokoju, schodzili się naczelnicy batalionów dla odebrania poleceń od niego; Grabiński był szefem trzeciego, dworak, bywalec, miał oko bystre na odkrycie miłośnych intryg. Po rozejściu się naszém, głuchy pani powiernik, dał mi znak, że mnie jejmość prosi; wyszedłem do wielkiéj sieni, a ztamtąd na ukryte wschodki, któremi służba do niéj przychodziła. Grabiński mnie dostrzegł, jam go nie widział. Udał się do jenerała potém, kolega mój pisał rozkazy, a oni weszli do osóbnego pokoju.

— Grabiński, trafia mi się gratka, któréj się nie spodziewałem; wdowa ta ma nawet pałac w Rzymie, już jéj zawróciłem głowę, mówi, że majętna i żyje dobrze, będzie z nią wygodnie. Dotąd te łajdaczki włoszki uciekały od moich wąsów i marsowatéj twarzy, ale ta się jéj nie ulękła wcale. Będzie przynajmniéj gdzie czas wolny od służby przepędzić.

— Ej! czy ona sobie nie upatrzy młódszego!

— Już ja dałem na to radę! O... zaczął się przysuwać do niéj, alem go do roboty zasadził i nie puszczę, aż ztąd nie ruszymy.

— A Drzewiecki?

— Wyszedł zapewne, i gdzieś się nad pięknym kościołem zagawronił.

— A on by jenerałowi nie mógł figla wystroić?

— On fryc do tego, wyjechał z kraju jak szalony, i marzy o piérwszych miłościach z których i tam korzystać nie umiał.

— Lecz go nauczyć mogą; niech no jenerał pójdzie

ze mną, ja na to wszczwany, może się co ciekawego dowiémy.

Wyszli po cichu na te wschodki gdzie mnie widział wchodzącego i pod drzwiami stanęli. Wdowa donośnym głosem opowiadała zaloty jenerała i śmieliśmy się oboje; jenerał zniecierpliwił się i wrócił z chęcią odwetu. Mało mówił z wdową i na jéj prośby zatrzymania się już z przegryzkiem odpowiadał, a mnie także do jakiejś roboty zasadził. Trwało to do późnego wieczora; rozchodzili się z salonu, a mnie głuchy powiernik znakami swemi doniósł, że mam się udać za nim. Czekałem aż uśnie jenerał, a on żeby mnie oszukał, chrapać nieznośnie począł. Pewny swojego, poszedłem na pożegnanie: mówiliśmy o Rzymie, o środkach poznania go dokładnie, o gotowych dla mnie pomocach i uprzyjemnieniach pobytu, jakie mi przygotować myśli. Skończyliśmy nakoniec, obietnicą zobaczenia się jeszcze przed wyjściem. Cicho wróciłem, i zabierałem się do spoczynku, by w nim siły znaleźć do długiego i niewygodnego marszu; gdy jenerał przeczekawszy pókim smaczno nie usnął, zbudził mnie nagle, dał rozkaz w ręce i zaraz jechać, dla obejrzenia następnych kwater wszystkich batalionów rozkazał. Dowiedziałem się, że koń i ordynans byli przed progiem; noc choć kwietniowa ale chłodna, droga nieznajoma i niebezpieczna, nawet deszcz kropić zaczynał. Pytałem o przewodnika, odpowiedziano mi— Znajdziesz go na końcu języka; należało milczeć i wykonać rozkaz. Zaledwiem z miasta wyjechał, aż mnie tam i przewodnik czeka i to samotrzeć z ludzi wybranych i uzbrojonych. Domyśliłem się po trochu jak się rzecz miała

i szczerze żałowałem przygody, co nas do wzajemnéj nieufności przywiodła. Spełniłem wszystko co mi rozkazano i wyjechałem naprzeciw jenerała na miejsce, gdzie się bataliony rozłączać miały.

On mnie tam zastawszy po przyjacielsku powitał, i rozporządziwszy wojsko, śmiał się szczerze z oddanego odwetu.

Kierunek drogi prowadził nas do Loretu, a chrześcijańska dusza cieszyła się oglądaniem jego. Gdyśmy tam stanęli, już był i jenerał Dąbrowski, przygotowano narodową fetę o któréj nikt z nas wprzódy nie pomyślał. Gdyśmy się w czworobok sformowali, wywieszono z kościoła chorągiew Mahometa i ten sam pałasz, co go Jan III po wygranéj pod Wiedniem, zwyciężca swéj opiekunce w hołdzie ofiarował, a rząd francuzki legiom polskim, jako narodową pamiątkę oddać polecił. Nie mógł być już trafniejszy środek obmyślony dla rozognienia umysłów, jak wznowienie pamiątki narodowéj sławy. Jakoż był to dzień wielki, obchód narodowy choć na cudzéj ziemi, i szczérze, szczérze zapłakaliśmy naszéj przeszłości. Piersiami całemi zaśpiewaliśmy pieśń naszę; głos to był ludu co miłosierdzia żebrał u opiekunki swojéj.

Zbliżaliśmy się do Rzymu. Już się kończył kwiecień, a myśmy przecie nie spostrzegli, że oprócz Rzymu nowy nas oczekiwał urok. Staraliśmy się przybrać okazałą postać, nowe mundury oblekły na się bataliony, broń wyczyszczona błyszczała; każdy twarz swą poważnym marsowym wyrazem zdobił, silną nogą stąpając po gruzach znakomitéj przeszłości. Pragnęliśmy być widzianemi, jakoż na widzach nie zbywało;

nowy to lud przychodził, inny język brzmiał w jego ustach niżeli dotąd słyszany, różne o tém chodziły między ludem wieści. Motłoch nas za wojsko cesarza rzymskiego uważał, kapłani za lud kościołowi przychylny, a zawsze zbierający się pod chorągiew Maryi, inni za pogrom Muzułmanów, za towarzyszów ostatnich krzyżowych wypraw, teraz przychodzących na obronę krzyża i wiary jego. Byli i zasmuceni, jakby mówić chcieli: dopełniają ucisku naszego! ale to byli ludzie co myśleli, a takich w tłumie niewielu. Dzień był najpiękniejszy, ozdobny włoskiém słońcem, okna kobietami strojnemi ubrane; myśmy szli w trzech kolumnach na kapitolińską górę, troje wejść na nią: każdy batalion oddzielnym wchodził i rozwinęli się w szeregi, a w środku posąg Marka Aureliusza z podniesioną ręką zdawał się naszym wodzem. Gdyśmy się do koła niego uszykowali. Dąbrowski mówił do nas:

— Stanęliście na szczycie góry, na któréj tylu wieków sława błyszczała, ona i wam towarzyszy. Pomnijcie w jakim to dniu wstępujecie tutaj, w dniu drogiéj dla was pamiątki. Niech godło sławy i miłości kraju, w sercach waszych na zawsze pozostanie.

Nikt nie wejdzie na tę górę bez wzruszenia, komu dzieje Rzymian świadome; w nas podwójne obudzało się wspomnienie, i każdy uczuł się głęboko przejętym. Klasztor Ara Coeli dany na koszary żołnierzom, w pałacu senatorskim, Kniażewiczowi naznaczono mieszkanie dla bliższego służby dozoru, i tak odbyło się wnijście nasze do Rzymu.

Pałac zajmowany przez nas był bardzo obszerny; wchodziło się do niego wschodami marmurem wysłanemi; ogromny posąg wyobrażający Tyber, oparty na naczyniu z którego wylewał swe wody, leżał tuż blizko; z boku zaraz ślady Tarpejskiéj skały, z któréj Rzymianie zdrajców kraju strącali; na prawéj stronie widać było wielkie muzeum starożytności, przed którego drzwiami wilczyca, Romula i Rema karmiąca piersiami i brązowe gąski co Rzymian o Gallów napadzie ostrzegły; w sieniach kolumna rostralna na pamiątkę ich morskiéj siły; wnętrza już opisywać nie będę. Z drugiéj strony klasztor Ara Coeli ze wschody marmurowemi, wytartemi kolanami pobożnych pielgrzymów, którzy je na klęczkach przebywali; gmach ten na koszary jakem powiedział oddano. Z piątrowych sal widok pełen przeszłości się odkrywał: tu miejsce owéj legendy, gdzie bohatér wskoczył aby sobą zaprzéć otchłań co miała pochłonąć braci; tu ruiny pałaców cesarzów, dwa Łuki Trajana i Konstantyna, tam kolumny świątyni Pokoju, a w pośrodku piętrzyły się ruiny Colosseum. W lewo Mamertyńskie więzienie, w którém piérwsi opowiadacze wiary kończyli męczeńskie życie. Całe wieki występują przed oczy myślącego człowieka. Znajdźże wspanialszą kwaterę na świecie! przecież wcale wygodną nie była. Gmach ten mógłby pomieścić tysiące, a w nim nas trzech tylko i przy każdym jeden żołnierz co mu posługiwał. Dwa tylko konie całéj parady; jeneralski dość lichy, cóż powiedzieć o moim? każdy nasz ekonom na lepszym się po polu ugania. Sale potężne szły rzędem i jeśli się pożartować godzi, powiém jak nam tam było. Jak

się jenerał znudził i rozgdérał, można było w drugim końcu nie słyszéć nawet, że na nas woła; często się puścił za nami, a niepewny czyśmy w kwaterze mruczał wracając daremnie, kiedyśmy szli spełnić rozkazy jego. Sprzęty wyniesione, słowem były to murowane stepy, opustoszone już przed przybyciem naszém; taka to sprzeczność zarazem! Wiele pamiątek, a wygody nic. Ale za to po odbytéj służbie ile widoków, ile ciekawości dla nas; a potém jak się koledzy zeszli, ile opowiadań o pałacach w których mieszkali.

Dnia jednego przybiegł do mnie pan Swistacki kossynier z pod Racławic, a podporucznik w kompanii mojéj i uskarżał się na swoją niedolę, że mu w pałacu dano kwaterę. Wodził go lokaj po obszernych pokojach i pokazywał łóżko do spania, lecz gdy go opuścił szukał łóżka nadaremnie i w pokojach go znaleźć nie mógł, a rozmówić się nie umiał. Poszedłem mu w pomoc, pokazano łóżko znowu.

— Tak to i wprzódy było, odezwał się, a jak pan mnie opuścisz, znowu łóżka nie stanie. W istocie, łóżko było w niszy, którą blejtram jednego ze ścianą pokojów koloru zasłaniał, a Swistacki pojąć tego nie mógł.

Zaczęliśmy się obeznawać z Rzymem, a uczucia religijne obudziły się w sercu każdego żołnierza. Co za szczęście gdy się do kościoła świętego Piotra dostali, tém więcéj jak się dowiedzieli, że tam ksiądz polski spowiada, a potém dotyka laską na znak odpuszczenia grzechów. Dawno w obcych krajach nie było sposobności dopełnić tego obowiązku religijnego, szli też tłumem do niego. Włochy zdziwieni zbiegali się

aby to widzieć, a że nas więcéj jak Francuzów na załodze było, pomyśleli, że się ludzie pobożni złączą z niemi. Spowiednikiem był ksiądz Falęcki franciszkan, i nieostróżny człowiek począł wykładać, że oni nie wiedząc własną uciskają wiarę, że mieszkańców chrześcijan-katolików nienawidzieć się im nie godzi, kochać raczéj należy. Aż po kilku dniach spowiedzi, żołnierze nasi między sobą naradzać się zaczęli i pójść z tém do jenerała umyślili koleją. Wchodził jeden po drugim i wszyscy jedno powtarzali. Meldują jenerałowi, że ksiądz na spowiedzi kazał kochać Baurów (bo tak mieszkańców zwali), bo oni lepsi chrześcijanie od Francuzów. Po długim takim meldunku, jenerał uznał potrzebném uspokoić tę obawę; pojechał do jenerała en chef, przełożył mu nie skarżąc nikogo, że widzi potrzebę oddalenia polskiego spowiednika, bo to mogłoby usłać drogę propagandzie fałszywych wyobrażeń. Przyjęto uwagę, a jenerałowi wręczono rozkaz, aby się ksiądz Falęcki przeniósł do Loretu. Posłał mnie z tém jenerał do niego, ze skromnym zasiłkiem na podróż. Ale ksiądz był zapaśniejszy od nas i rzecz zrozumiawszy co by go czekać mogło, szczérze za ocalenie dziękował, a natychmiast wyjechał. Ta myśl jednak upowszechniać się zdawała między mieszkańcami, że Polaków odłamać należy, bo późniéj było wielkie poszukiwanie do którego naszych przywoływano żołniérzy, i kilku mieszkańców rozstrzelano. Dla tych nieszczęśliwych było mocne współczucie, bo po ich śmierci rzucano chustki w zakrwawione miejsca i rozdzierano je, jako po męczennikach za wiarę relikwije.

Jużeśmy się osiedzieli nakoniec; a Polacy z kraju przybywali. Ci co jechali na Paryż mieli najczęściéj skrzywione pojęcia naszego położenia; gdyż ci co tam mieszkali, zwyczajem czasu na dwa się kluby dzielili, a każdy rad był przodkować. Bars, adwokat z Warszawy, którego jeszcze Kościuszko jako swego posłannika upoważnił, przez czas długiego pobytu utorował sobie niejako oficyalne drogi, i za agenta polskiego był uważany. W każdéj tedy potrzebie, gdzie szło o wsparcie w potrzebie lub informacyę o przejeżdżających, udawano się do niego; rząd nawet miał wzgląd na jego położenie. Jenerał Dąbrowski miał w nim korrespondenta. Po przyjeździe swym do Paryża, Wybicki z nim się połączył, i ich razem agencyą nazwano. Lecz że zamieszkał podtenczas i Mniewski, obywatel znamienity w rewolucyi zniszczeniem amunicyi pruskiéj pod Jarosławkiem i kasztelan, człek zacny, koło niego skupili się wielkopolanie; Niemojewski i Wojczyński jenerałowie, późniéj jenerał-inspektor Grabowski i ksiądz Dmóchowski, uczynili związek między sobą i miano deputacyi polskiéj przyjęli. Sekretarzem wybrali Szaniawskiego; obszerne stosunki z klubami wśród kraju znajdującemi się zawiązując, a pomaleńku chcieli i legiami zawładać. Dąbrowski co wojskowéj karności potrzebował, a legie za jedyny na przyszłość dźwignienia się środek uważał, krzywił się na to przywłaszczanie, bronił się zręcznie od moralnego ich wpływu i niechętnie przyjmował osoby, które z niémi miały związek. Stosunki dla tego pozostały i były silne, bo dobroczynne składki, jakie gorliwsi obywatele w kraju czynili, na ich stronę przeważały. Je-

nerałowie bezczynni co z niemi mieli stosunki, zazdrościli położenia Dąbrowskiego i jego niepodległość za brak patryotyzmu uważali. Postanowiono w deputacyi wyprawić do Włoch posłanników zręcznych, którzyby oficerów połączywszy w klub porządny, związali ich z tą narodową władzą. Przyjechali do Rzymu Neyman późniéj półkownik i Turski co się téj missyi podjęli, a za niemi Grabowski jenerał-inspektor i Jabłonowski wychowany w jednéj szkole z Bonapartem, a nawet dobrze usposobiony. Dąbrowski widział w tém wszystkiém dla siebie powody obawy; ażeby je zniszczyć w zarodzie, sprosił do siebie na obiad tych właśnie sztab-oficerów, których się lękać miał prawo, i ugościwszy proponował, żeby z nim razem jenerała en chef odwiedzili. Radzi oni byli z nim się poznać, a może w tém i widoki jakie wyższe mieli. Gdy się znaleźli w salonie główno-komenderującego, Dąbrowski go na bok odprowadził, rzecz objaśnił i o niebezpieczeństwie podkopania karności wojskowéj ostrzegł. A że to za radą najlepszych oficerów był przedsięwziął i ich z sobą przywiódł, jenerał chciał z niemi o tém mówić, ale żaden się po francuzku z łatwością nie tłumaczył. Podziękował im zatém, za to ich do służby przywiązanie i gorliwość o zachowanie spokoju w legionach. Oni to za dobrą monetę wszyscy wzięli, aż gdy z Dąbrowskim wrócili, dopiéro się dowiedzieli, że Neymana i Turskiego żandarmami aż za Alpy odprowadzić rozkaz mieli. Przyszli jenerałowie od władzy narodowéj wybrani, jak na lodzie osiedli i z biédy w służbę rzeczypospolitéj Rzymskiéj powchodzili. Lecz rzucona iskra tlała powoli i wzajemna nieufność piérwszym jéj była skutkiem. Jenerał Dąbrowski miał przy sobie przy zawiązaniu legiów, z polskiéj jeszcze wyprawy towarzysza, półkownika Zabłockiego i jemu trzeci batalion powierzył, zaczynając go formować. Późniéj nadjechał Grabiński, który z kraju miał jakieś stosunki z Sułkowskim adjutantem Bonapartego; on tak usilnie Dąbrowskiego za Grabińskim prosił, że mu odmówić nie śmiał, a że miejsca innego nie miał, dał mu trzeci batalion którym Zabłocki dowodził. Dla Zabłockiego zaś nową rangę uprosił majora legii; i ta mu bez jego wiedzy dana została. Ztąd między nim a Grabińskim iskra się zazdrości zajęła. Grabiński był służbista i zręczny, Dąbrowski liczył na jego osobistą przychylność, wynosząc go kosztem usunionego przyjaciela. Do tego batalionu posyłał na oficerów przybywającą dostatniejszą i dobrze wychowaną młodzież i ten batalion odróżniał się piękniejszą powierzchownością, nawet większą oficerów grzecznością. Tuby dodać należało, że przy formacyi legii włoskiéj były widoki jéj rozwinięcia, i że każdy batalion miał oddzielny mundur, z kolorami odrębnemi regimentów polskich. Ten o którym mowa, miał kołnierz i okłady paliowe, a Dąbrowski go swoją *polentą* nazywał. Wkrótce ten żart poufały narobił biédy, niechęć bowiem Zabłockiego do szefa batalionu, wzburzyła nowo-przybywających oficerów. Raz w kwaterze jenerała, przywitał ich major:— Jak się masz Polento! Odpowiedział mu kapitan Hauman, że to od jenerała znoszą, bo on ich tak z przychylności nazywa, a jego prosząc o to co do służby należy, żartów żadnych nie przyjmują.

Zabłocki wyzwał go natychmiast; mówią, że Grabiński rozdmuchiwał ogień. Villa Borghezi była miejscem wyznaczoném; Chłopicki sekundował. Zabłocki śmiertelnie ranny kazał mnie do siebie przywołać, prosząc bym o tém doniósł jenerałowi, a kolegom powiedział, że ostatnią jego prośbą jest, by się strzegli nienawiści osobistych, pomnąc na święty cel swego zebrania. Wkrótce potém życie skończył; zdawało się, że krew kipiała w sercu oficerów, tak, że jenerał nie znalazł innego środka uspokojenia, jak Grabińskiego, Haumana i sekundanta Szumlańskiego ze służby oddalić. Żeby zaś nie stracić zdatnych oficerów, przedstawił ich do służby w armii odpływającéj do Egiptu, gdzie przyjęci zostali. Nazajutrz i Haumana i Szumlańskiego powszechnie żałować zaczęto, ale oni obrażeni pozostać w legii nie chcieli. Na miejsce Grabińskiego postąpił Sejdlitz, co niegdyś w kraju pułkiem Działyńskich dowodził.

Na pogrzebie Zabłockiego mówiłem mowę: łatwa była, bom w niéj niósł pamiętne jego słowa ostatnie, do zgody i miłości zachęcające; ofiara niechęci leżąca na marach silnie za mną przemawiała. Pogrzebiony został w ruinach niegdyś świątyni Pokoju. Nie wiém z pewnością czy jenerał pomnik mu wystawić kazał, lecz zdaje mi się, że exystuje. Oprócz uszykowanego wojska, mnóstwo ludu włoskiego zbiegło się na ten obrzęd; każdy się słowom przysłuchiwał, jak gdyby język nasz rozumiał, a gdy ich późniéj pytano com mówił, odpowiadali, że wyrazów nie pojmują, ale czytali w twarzach i dobrze, w powtarzaném imieniu *Marya*, zachęcanie do modlitwy wyrozumieli. Upowszechnione o naszéj pobożności mniemanie nie jedne-

go z nas może od sztyletu ocaliło. Co się tycze czytania w twarzy, w istocie Włosi między sobą mówiąc, tyle ruchu fizyognomii nadają, że z niéj łatwo myśl wyrozumieć można.

Już się choć w Rzymie znudziło. Jenerał Dąbrowski wyprawiał do Medyolanu Chamana i majorem legii na miejscu Zabłockiego naznaczył; a że zatwierdzenia od ministra wojny potrzebował, samemu po nie jechać radził. Byłem mu dodany do téj podróży, i uprosiłem sobie żeśmy nowym dla mnie krajem przez Florencyą jechali. On już wiele po świecie jeździł, pięknie po francuzku mówił, bo ród jego pochodził z tego kraju i młodość przepędził w wojsku i z Kniażewiczem w regimencie fizyljerów służył. Lubił mówić i dobrze mówił; podróż była ożywiona wielą powiastkami z jego młódszego wieku. «Znasz Kniażewicza,— opowiadał mi,— jak jest żywy, cóż dopiéro gdy był młody; myśmy razem służyli i w jednéj izbie sypiali czas długi. On biegał po mieście i grać nawet lubił, jam był samotny, kochałem się i wierszem klecił; Kniażewiczowi po śmierci ojca spadł drobny zasób pieniędzy, który mu wiernie macocha odesłała. Zdało mu się, że pohulać może, wlazł między bywalców, a ci go oszwabili porządnie; w nocy powraca do domu, kiedy ja przy stoliku piszę i na niego nie zważam choć się silnym krokiem przechadza. Właśniem wtenczas wiersze moje układał, czy jego wejście czy moja zła głowa, ale do ulubionéj myśli końcówki mi zabrakło

i wyszukiwałem jéj, gdy Kniażewicz czule się na los swój skarżąc cóś zamruczał, co mi do ukończenia wiersza wybornie przypadło. Prosiłem go aby słowa powtórzył.— Dla czego? ostro mnie zapytał. Boś mi dał końcówkę, któréj w méj głowie nie znalazłem, alem jéj nie dosłuchał dobrze. Kniażewicz porywa mnie za ramię:— Ty szydzisz z mojego nieszczęścia, mnie do ostatniego zgrano, a ty się naigrawasz jeszcze, przypłacisz za ten żart srogi, bij się ze mną zaraz. Mimo żeśmy kamracką przez czas długi zachowali przyjaźń, tłómaczenie łatwe nie było, i z trudnością go uspokoić potrafiłem.» Korzystałem ze zręczności, by się dowiedzieć o początkach życia jenerała Kniażewicza, do któregom się namiętnie przywiązywał, a on mi je opowiadał. Ojciec jenerała był przystojnego majątku obywatel z okolic Mittawy, stracił żonę i pojął drugą, bo matki dla swojego syna potrzebował. Dobrze też trafił, bo mu najczulszą była. Miał wiele rozumu, lecz i nieumiarkowaną spekulacyi żądzę, rzucił się do towarzystwa assekurujących żeglugę, poszło mu to nieźle z początku i to go zrobiło nieostróżnym; podszedł go oszust znaczną obiecując korzyść i wziął zabezpieczenie formalne na okręt, którego podobno przewidział zagubę i do niéj się przygotował; bo po zatonieniu nielitościwym go processem obarczył i majątek mu zabrał. To w grób wpędziło piérwszą żonę. Potém książę Stanisław Poniatowski będąc w Rydze szukał człowieka do zarządu dóbr, które miał w Kurlandyi, ale człowieka ze sprytem i znajomością handlu miejscowego. Zalecono mu do tego Kniażewicza, on go z całą zabrał rodziną i

zaraz wpływem swoim syna w korpusie kadetów umieścił. Nie umiał on słowa po polsku i szło mu twardo w początku, lecz pracą przemógł trudności. Potém go porucznikiem u fizyljerów zrobiono, co mu także szło twardo, bo twardy był charakter. W czasie piérwszéj wojny wziął go był Kościuszko do swojego sztabu, i to jakoś spełzło bez korzyści, gdyż nazad do regimentu powrócił. Bił się jak lew pod Boruszkowcami, co na niego oko zwróciło; pod Dubienką był użyteczny i do rangi majora podniesiony. Lecz z piérwszą wojną skończoną, gdy wszystkich na ich wracano miejsca, i on w dawnéj randze do fizyljerów powrócił. Kościuszko co go znał osobiście, kiedy Izydorowi Krasińskiemu regiment formować polecał, dał mu za podpółkownika Kniażewicza, a późniéj go Zajączek do swego wezwał sztabu i w czasie bitwy pod Gołkowem wyższe w nim przymioty ocenił. Naczelnik po pobiciu Sierakowskiego, jenerał-majorem go naznaczył i z sukursem wyprawił. Daléj wiész lepiéj odemnie, bo was niepróżno Wybicki Kastorem i Polluxem nazywa. Tu opowiadałem mu mój w Wojcieszkowie pobyt i czułe macochy i pasierba przywiązanie; on mnie pytał czy byłem w domie kasztelanów, i co tam było tajemniczego, bo on jéj rysy co chwila wystrzygał, nawet nie patrząc na swą robotę, a zawsze bardzo podobnie; a ona macochę jego wypiastowała do śmierci przy sobie. Była to dobra i czuła osoba, a on był ladaco.

Przerwał rozmowę, bośmy nad jezioro Bolsena jechali, gdzie stérczące skały całe złożone z lawy, o bytności dawnego wulkanu świadczyły; towarzysz po-

dróży opowiadał mi powiastkę ludu, który wierzy, że na niém łabędzie śpiewające słyszano, a wkrótce widzieliśmy Monte-Fiascone, gdzie wino wyborne i mój półkownik posilić się niém pragnął. Niż nam cóś w oberży przygotowano, zaprowadził mnie pod okazały pomnik; był to grób jednego z biskupów niemieckich, co miał zwyczaj nakazywać gońcowi żeby mu tam kwatérę wybiérał, gdzieby najlepsze wino upatrżył, a na znak zostawiał na drzwiach oberży *Est*, aby tam biskup halt sobie naznaczył. Ten wybór słusznie padł na Monte-Fiascone, biskup trochę sobie pozwolił i tu życie skończył; a ten co go pomnikiem obdarzył, napisał na nim:

Est. Est. Est.

Propter nimium Est, Dominus meus mortus est.

Takie przynajmniéj jest tłómaczenie napisu.

Z tego miejsca dążyliśmy do Sienny, do któréj listy polecająceśmy mieli. Noc całą byliśmy w drodze, a z brzaskiem dnia letniego w miastośmy wjeżdżali, bośmy się papieżowi Piusowi Braschi w tym dniu prezentować pragnęli. Jakież nas ogarnęło zadziwienie, gdy o tak rannéj godzinie ujrzeliśmy tłumy ludu uganiające się po ulicach; zaledwie okryte, kobiéty każda w ręku z tém co pochwycić mogła na prędce, mężczyzni jak który z łóżka wyskoczył. Wołaliśmy na pocztyliona aby się wstrzymał, on blisko znał oberżę i do niéj czwałem popędził. Z niéj spokojny wyszedł szwajcar i zagadał do nas po francuzku: zastanowiło nas żeśmy go piérwszego nie przejętego

trwogą ujrzeli. Opowiedział nam, że okropne trzęsienie ziemi przed godziną wstrzęsło gmachami miasta; rysy ich zapowiadają upadek jeśli się, jak to bywa, jeszcze raz powtórzy. Niedawno, dodał, wyniesiono papieża na ten plac wielki przed kościół świętego Augustyna, patrzcie jak go lud okolił i płacze. —Dla czegoż tyś jeden tak spokojny? spytaliśmy.

—Bo wierzę w przeznaczenie, odpowiedział, i spytał zaraz, czy śniadanie mieć chcemy. Bardzo się one nam przydało. Poszliśmy tymczasem na plac, gdzie na krześle siedział Ojciec święty, aby go zdala przynajmniéj widziéć. Lecz nowy wtém popłoch: postrzeżono ogromną szczelinę, jaką zrządziło wstrząśnienie na bardzo wysokiéj wieży, niegdyś w czasie domowych zatargów, do obrony miejsca służącéj. Pobożni naprzód o papieżu pomyśleli, bo był w niedalekiéj od wieży odległości; nie wiedziano gdzieby go schronić. Ktoś zapewnił, że dom Galeranich nienaruszony i tam go mimo nas przenieśli. Był wzrostu znacznego i dosyć otyły; z trudnością obracał głowę, lud jednak błogosławił ciągle; twarz późny już wiek oznaczała, ale rysy jéj były spokojne. Zapewne nie o przeznaczeniu dumał, ale w litości Najwyższego miał zaufanie. Już też i każdy ku domowi dążył ocenić straty i zobaczyć czy w nim bezpiecznie przebywać może; a myśmy do oberży wrócili. Wypadkiem trafiło się, żeśmy właśnie listy polecające do Galeranich mieli, aby oni nam prezentacyą u Ojca świętego wyjednali; odesłaliśmy je natychmiast, a samiśmy ledwie mundury przywdziawszy, wkrótce odebrali odpowiedź, że nam się papież widziéć dozwala, ale się śpieszyć

należy, bo się natychmiast do Acertosa wybiéra; korzystaliśmy z tego i zaraz nas do niego wpuszczono. Mówił on z żalem, iż tego przynajmniéj nigdy pomyśléć nie mógł, aby Polacy, których ojcowie żyli w miłości Maryi, co Jéj tyle postawili świątyń, o których i teraz go zapewniano, że w wierze katolickiéj żyją i władzę głowy Kościoła uznają,— mieli z tak daleka lecieć, o broń prosić i walczyć z Rzymem, który ich tyle razy wspiérał.......

Jakby urok jaki spadły Ojca świętego słowa na nas; przez część podróży żaden nie przemówił, i słowa te tylko powtarzały się w uszach naszych, bośmy nie wiedzieli jak je tłómaczyć sobie, czy były klątwą czy błogosławieństwem zawieszonėm nad naszą głową?

Jużeśmy we Florencyi stanęli, a mnie się wynijść nie chciało, ale nas zawołano. Manfredini minister księcia Toskanii chciał widzieć się i pomówić z nami. Cóż bo to za rząd patryarchalny, jaka ludzkość, jakie wyrozumienie swego położenia! Szliśmy jak do ministra, ale on siedział przy bramie pałacu swego, a tysiące ludu go okalało. Godził zakłóconych, opatrywał nieszczęśliwych, dawał rady i pomoce artystom, z uczonemi rozmawiał, bez okazałości, bez próżnego blasku pracując dla dobra kraju. Gdyśmy przyszli, powitał nas poufale, przeprosił, że nas utrudzał i jak ze znajomemi rozmawiać począł. Wyście stali w Fanno w domu moim, jest to moja ojczyzna, wiém co was po świecie goni, uczucie piękne, ale je zaspokoić trudno. Byłem na Wiedeńskim dworze w czasie podziału. Jakeście w Rzymie stali, miałem was na oku, bo nie wiécie co mówiono? że chcecie sobie zdobywać

kraj nowy, nową ojczyznę, straszono Toskanią waszym napadem; śmiałem się z tego. Toskania nadto jest pięknym i ukochanym nam krajem byśmy ją obcym oddali. Wszystko to przeszło, mówim otwarcie jak przyjaciele. Powiedzcie mi czy kiedy ta myśl przeszła wam przez głowę?

—Nadtośmy słabi żebyśmy zdobywcami krajów być chcieli; a swój kochamy tak, że gdyby to uczucie wymazać z serc żołnierskich, nic by nas w służbie zatrzymać nie zdołało.

—I ja tak myślałem, cieszę się żem się nie mylił. Włochom zawsze się snują ich wrażenia, innych mieć nie umieją; we wszystkich widzą swych dawnych wodzów, co z najemnym żołnierzem wojując, księstwa postwarzali. Zapominają, że to byli knechtowie najemni; a wy wzdychacie do waszego kraju, milszego nad nasze wysadzane pałacami.

Nie bez wrażenia opuściliśmy ministra; a Chaman wyrzekł z ostróżnością, że do Korfu jeździł jeszcze przed wejściem w służbę, bo się to Francuzom marzyło, że nas morzem do kraju zbliżą. Dąbrowski jednak téj myśli nie przyjął, gdy mu ją powierzono. Powiedziałem, że jednak Zawadzki takąż samą odbywał podróż.

—To było tylko żeby się nie sprzeciwiać marzeniom starszych. Wiedziałem, że Chaman był powiernikiem Dąbrowskiego w początkach zakładu legii, a jako francuz rodem i język swój doskonale posiadający, do korrespondencyi był użyty;— każde jego słowo utkwiło mi w pamięci i przetrwało w niéj przez lat cztérdzieści kilka, gdy te wspomnienia pisać zaczą-

łem. Mówił mi w ciągu rozmowy:—Jakież to towarzyszyły trudności, w uskutecznieniu myśli którą powziął Dąbrowski, osnucia zakładu do któregoby się mogli ściągać rozproszeni ziomkowie. Myśl ta od samego upadku rewolucyi poczęła się rozwijać w głowie jego, i w tym celu napisawszy rozprawę o wyprawach swoich, chciał w niéj okazać obraz swoich zdolności. Że ją po niemiecku napisał chętnie od wojskowych czytaną była; dawszy się już poznać, co mu się udało, chciał korzystać z nieporozumienia jakie przed spełnieniem rozbioru między dwóma mocarstwami powstawało. Suwarów był go przy sobie zatrzymał w Warszawie; a gdy jenerałowie pruscy przyjeżdżali do niego, sadzał Dąbrowskiego wyżéj od nich mówiąc, że to mu się należy, boć był waszym zwycięzcą. Jenerałowie pruscy poznawszy się z nim, życzyć mu poczęli, żeby do Berlina jechał; a on im myśl poddał, że formując pod swą opieką wojsko krajowe, całe współczucie mieliby za sobą. Uważano to na chwilę za podobne do uskutecznienia. Pojechał Dąbrowski do Berlina, łudzono go dość długo, nareszcie odprawiono z niczém. Śmiała myśl jego doradzała mu puścić się do Francyi; odległość stała na przeszkodzie projektom. Lecz gdy się do jenerała Hoche dostał, oprócz politycznych własnych powodów, wskazał mu tę korzyść dla Francyi, że uformowanie legii, mogło w wojsku austryackiém wywołać znaczną dezercyą; wszystkich gwałtem zaciągnionych z Galicyi mianowicie, którzyby woleli służyć z krajowcami razem, mówić własnym językiem w obozie, koszarach i służbie, nie tak srogiéj ulegać karności i współuczestniczyć w zwycięz-

twach armii francuzkiéj. Hoche który zrozumiał to przedsięwzięcie, chciał był go w Niemczech rozwinąć, bo w nich wojował; lecz zarazem widział trudności jakie miał spotkać w rządzie i opinii; we Francyi bowiem same narodowe wojsko mieć chciano.

Zrzucił więc spełnienie téj myśli na Bonapartego, który nowe we Włoszech tworząc państwa, mógł ten ciężar na ich koszt złożyć, a one by go łatwiéj przyjęły, bo Włosi wstręt do służby wojskowéj czują i do żołnierza obcego od wieków przywykli. Opatrzywszy Dąbrowskiego listem, Hoche wyprawił go do Bonapartego. Stanęliśmy na miejscu, mówił Chaman daléj, młody bohatér pojął i ocenił myśl głęboką, w któréj przyszłości widział nasiona; lecz chciał niedługiego wprawdzie czasu do ogłoszenia swéj woli. Zniósł się zapewne z władzami, może i Dyrektoryat chciał o tém uwiadomić, a do nas często Sułkowskiego przysyłał. Sułkowski był człowiekiem wyższych pojęć i zdolności, obszernéj nauki, słowem do ludzi znamienitych swego wieku liczyć się mogący; mówiono przecież, że uczucie przywiązania do kraju oziębło w nim trochę. Ten krótko wystawiał Dąbrowskiemu przykładami z dziejów jak każde przedsięwzięcie nasze, z zapałem rozpoczęte, niknie wytrwałości brakiem; co tu tém bardziéj miejsce mieć musiało; bo w obcym i odległym kraju, zkąd się zasilać by trwać dłużéj, zkąd mieć oficerów, coby przy wojskowych francuzkich cieniem tylko nie byli, i szacunkiem wyjednanym dla siebie współczucie okazane ugruntowali? Lecz Dąbrowski wytrwały w swéj myśli, znalazł na to odpowiedź—między zabranymi Austryakami znajdziemy współziom-

ków, jest ich też dosyć w służbie książąt włoskich; w Polsce też nie ma spokoju, każdy oficer będzie się starał do nas dostać. Kazał wygotować swoje do rządu włoskiego odniesienie, mówił nawet o formie układów i podyktował legie auxyliarne Rzeczypospolitéj Cyzalpińskiéj. Przyjęty projekt wewnętrznéj organizacyi, nas do Medyolanu wyprawiono: toczyły się układy, a wieść o nich rozbiegła się po świecie. Wielu oficerów co we Francyi napróżno służby szukali, przylecieli do Włoch, z nich wybrano umocowanych rozkazami, którzy po księstwach się rozbiegli. Stawiono im książęce wojska, wzywali krajowców, a każdy chętnie z szeregów wyskakiwał i z nimi się łączył. Tak czarodziejską ręką powstał stworzony batalion grenadyerów, i ubrany, zbrojny pokazał się francuzkiéj armii. Lud to był olbrzymi, bo werbownicy wybierali ich z grenadyerów austryackich po większéj części. Piérwsze lody były przełamane; nie tylko uwierzono w legie nasze, ale nawet przesadzano w nadziejach; dezercya w wojsku austryackiém obudziła się; biegli wszyscy ku nam i co się Francuzom podobało, w boju nawet wołali, że są Polacy aby ich nie zabijano. Nie myśl jednak, mówił Chaman, by tak dobry początek przyszedł Dąbrowskiemu bez wielkich przykrości; przygotowano dla niego potwarz szczególną. Przejmują Francuzi poczty nie przebaczając i ministeryalnym pismom; jeden z jenerałów łapie przechodzącą do ministra, jednego z potężnych lecz w wojnie jeszcze nie będących dworów, depeszę, i otwiéra ją. Dziwne lecz w całéj formie urzędowe znajduje polecenie: uda się do Wpana jenerał Dąbrowski o pie-

niężną pomoc; jakaby ona wielką być mogła zważać nie masz, ani na koszta w dosłaniu nie wzdrygaj się, ale spełń najściśléj i sekret zachowaj, bo taka jest wola monarsza. Jenerał wykrzyknął — zdrajcę odkryłem! i pośpieszył do głównéj kwatery; tam wprzód o tém zebranym jenerałom opowiedział, którzy się wszyscy potężnie wzruszyli. Bonaparte spokojnie depeszę przeczytał i rzekł do przynoszącego ją:

— Bardzo to wszystko niezręcznie sklecone; gdyby tak było w istocie, depesza nie szłaby przez posterunek Wpana, bo wiedzą, że ich pieczęci łamiesz. Wrażenie jednak pozostało, i każdy go miał ochotę podejrzewać. Kiedy pod Leoben zawieszenie broni stanęło, przyjechał do nas Zajączek. Jenerał z uszanowaniem go przyjął i wezwał do obejrzenia żołnierza. Nie chciał Zajączek by dla niego występowano i w spokojnych koszarach pragnął tylko zobaczyć wiarusów, a dopytać się u nich o starych towarzyszów broni. Udał się tam sam z oficerem niższéj rangi. Żołnierz leżał w obszernym kościele, a na jego marmurowéj posadzce rosół sobie i kaszę warzył, dla przybywających zaś pozostał obojętny, bo często ich widywał. Oficer towarzyszący chcąc wydobyć hura! dla jenerała, rzekł do żołnierzy: — Wiecież wy wiara kogo przed sobą macie? jest to piérwszy nasz po Kościuszce jenerał, zowie się Zajączek, zapewne go pamiętacie, którzyście pod nim służyli, zbierzcie się do niego; jedzie od Bonapartego i z wami widzieć się pragnął.

Ta przemowa przeciwny i niespodziéwany zrobiła skutek, zamilkli wszyscy, a na dalsze wezwanie, ktoś jeszcze zamruczał:

— Pięknie on obronił Pragę, może nam go dać myślicie? ale my się bez niego obejdziemy; z Dąbrowskiegośmy kontenci i innego nie chcemy. Odgłos ten powiększał się coraz śmieléj, a jenerał powrócił milczący i zasępiony. A że u nas nic po prostu jak jest widzieć nie chcą, puszczono wieść, że Brzechwa co był tego dnia w koszarach przy naglądzie, taką jenerałowi przygotował scenę. Wrażenie téj chwili uczyniło jenerała Zajączka nieprzychylnym dla nas; i ile razy jako dowódzca w służbie francuzkiéj stykał się z nami, nie rad był gdy go jenerałem polskim nazywano.

Dojechaliśmy w końcu do Medyolanu; oprócz własnego, Chaman miał sobie powierzone interesa legii, którym minister oddał się sumiennie, naradzały się z nim osoby rządowe; pisałem jego zdanie sprawy. Wszystkim się zdawało, że do zupełnego ukończenia formacyi batalionów i artylleryi, przydłuższa jego bytność była koniecznie potrzebną. Dzień zbiegał na obchodzie osobliwości miasta, a dla mnie wieczór schodził na pisaniu, bo po trudzie dziennym włóczyć mi się nie chciało. Chaman miał tu stosunki.

Raz już utrudzony spocząć chciałem, gdy Chaman powrócił i śmiechem mnie wielkim przebudził; spytałem go o przyczynę. Miał mopkę bardzo swawolną, która za nim wszędzie wybiegała tak, że jéj zawrócić już nie mógł; tego dnia wyszedł w mundurze i ciasnym kapeluszu stosowanym na głowie. Gdy już do salonu znajomych sobie miał wchodzić, a widząc drzwi otwierające się, chciał kapelusz zdjąć co prędzéj, sprzączka mu utrzymująca perukę pękła, peruka spadła na ziemię, a swawolna mopka, pochwyciwszy ją wleciała do salonu niżeli odebrać jéj zdołał. Wejść już mu wtedy wypadło i samemu się wytłumaczyć, co tém bardziéj rozśmiészyło wszystkich, że go nikt w początku nie poznał, bo o łysinie jego nie wiedziano. Choć poważniejszą poczynano rozmowę, kobiéty ciągle się śmiały, a księżna Lamertini śmiech swój tłumacząc opowiadała, że nie z Chamana już ale z Wielohórskiego się śmieje. Wielohórski w czasie, gdy przypodobać się jéj starał, choć młody jeszcze, mocno siwieć począł; księżna często żartowała z jego szpakowatych włosów a osobliwie z siwiejącego wąsa przy młodéj twarzy. Będzie on czarny, jeśli się tak księżnie podoba, rzekł Wielohórski i nazajutrz udał się do jednego szarletana o czarną pomadę czy wodę, coby włos siwy ubarwić mogła na długo. Ten dał mu kosmetyk jakiś, który twarz poczerniwszy, do włosów nie przystał i wąs na dnie hebanowym został rudy, a biédny jenerał w wielkim był kłopocie, by choć do dawnego siwego powrócić. Śmiano się naówczas z nieboraka, lecz był to człowiek tak dobrego towarzystwa, tak wymówny i dowcipny, że go księżna zapomnieć nie mogła pomimo śmiészności.

Śpiesznie powracaliśmy do Rzymu; skarb Cyzalpiński był wycieńczony; a Francuzi wybraną kontrybucyę, na wyprawę Bonapartego obrócili; nas nie płacono, żołnierz sarkał po trochu. Dąbrowski chciał zaradzić temu, wiedząc, że były ogromne zbiory zboża na gruntach wyrobionych z pod dawnych błot Pontyńskich, i że tam po talarze pracującym dziennie płacono; chciał z kolei wszystkich tam dopuścić żołnierzy

naszych do wiejskich robot wprawnych, aby się nieco zapomogli. To mu się zdawało być arcydziełem administracyi, lecz wcale inaczéj okazał skutek. Łakomy tak znacznego zarobku, żołnierz nie dbał na południowe skwary, nużył się przesiloną pracą i gorączki naszych zmiatać poczęły. Myślano, że przyczyną tego był brak kwasów do których Polacy przywykli, nakupiono kapusty i buraków, kwaszono je w olbrzymich kadziach; poczęto otwierając umierających śledzić przyczyn śmierci i w żołądkach razem z kapustą i kwasami znaleziono gangrenę. Hałas w mieście, a Dąbrowskiemu nieprzyjaźni, Bóg wié co gadać poczęli. Ściągniono żołnierza do koszar; tu znowu zdrowi narzekają by sobie co zarobić mogli.

Jedno tu szczególne zdarzenie wspomnieć nie zawadzi. Przyjechał do Rzymu wprost z Litwy, Chack....cz, człek zepsuty, lecz wyższych zdolności; zapomógłszy się w Wilnie znaczniejszą w karty wygraną, chciał jéj za granicą użyć. Jasiński w czasie wileńskiego powstania skutecznie go tam używał, podpółkownikiem i adjutantem swoim mianował. Gdy w Wilnie K....... wieszano, on do Warszawy z raportem go wysłał; tu Chac.... między ludem się kręcił, podburzał, zajątrzał i pytając:— Czy to wam konopi brakuje, to ich Litwa dostawi— przyczynił się do zamieszek warszawskich. Jego przybycie, zamożność, przeraziły Dąbrowskiego, może nawet większe wzbudziło podejrzenia; od służby zręcznie się go starano pozbyć tém, że stosownego dla niego nie było miejsca, bo nacisk oficerów był wielki. Chac.... wkrótce wyszukiwał znajomych co z nim w Polsce grywali, między niemi półkownika Au., którego dość bezwstydnie ojcem swoim ogłaszał, bo się pozbył wszelkich uczuć skromności i przyzwoitości. Au. miał tak skromną i łagodną postać, że by go prędzéj za naczelnika mnichów, niżeli przewodnika graczów uważać było można. Chack... w dni kilka porozumiał jakie kto miał myśli, pojął, że przybyli bez miejsca jenerałowie, pragnęli pokazać się światu rzymskiemu, jako możni polscy obywatele. Sam potrzebował także do większego dobrać się świata, by bogatszych w grze obłowić. Przekładał więc Grabowskiemu, że tu Polaków za lichotę mają, i że on to uwłaczające mniemanie zniszczyć może; otworzywszy dom i zbratawszy się z jenerałami armii i książętami Rzymu; że Dąbrowski i Kniażewicz pójdą na dół, bo nie ma patrzéć na kogo, a jego wezwą na czoło legii, jako dostatniego a starszego w kraju jenerała. Ta myśl rozeszła się i między naszemi, bo ją na dobrych poddawano obiadach. Grabowski z początku szlachetną ostróżność pokazywał, choć obraz ten okazały, chętce popularności jego pochlebiać się zdawał. Chack.... w oczach jego momentu tylko słabości upatrywał; mówił mu:— Ty się bronisz jenerale myśląc, że gdy koszt na twą okazałość wyłożę, korzystać z tego zapragnę, daję ci więc słowo honoru, że karty w rękę nie wezmę. Na zebraniu u siebie, pozwól mi piérwszą urządzić próbę, a ja wyłożę na nią, bo mam z czego.

Propozycya przyjętą została; jenerał Grabowski stał w pałacu książąt Borghezych, pozwolono mu świetnych pokojów, on zaprasza do siebie znakomitych mieszkańców Rzymu; jenerałowie francuzcy nie odma-

wiają także zaproszeń. Młodzież chciwa zabawy sama się nastręcza, kobiéty sprzyjają zebraniu, bo go już dawno nie było; znakomity cudzoziemiec możny w swym kraju, wysypuje hojnie zapasy, każdemu to miło, wielu nawet uważa za środek zbratania się z narodem otaczającym. Chack.... nie szczędzi grosza, a w Rzymie nie zbywa na środkach, by to pięknie i dobrze urządzić. Z naszéj młodzieży ci co w kraju używali i używać mogli, kupią się do towarzystwa, w którém piérwsze znajdują osoby, a pod hasłem gospodarza i z panem Ch.... się bratają. Ten dobry kamrat, człek dowcipny, wesoły, umié pogodzić uprzejmość dworaka i trafność gospodarskiego pomocnika z uszanowaniem dla wyższych, z rubasznością która oswaja młodzież. Dąbrowskiego tam nie ma, ten zatrudniony w domu, może nawet przeczuwa na co się to kroi; Kniażewicz z żołnierzem w koszarach, albo manewrów swoich oficerów uczy— to ludzie nie towarzyscy wcale i tak też o nich na balu mówią. Jenerał Grabowski najwięcéj gry się boi, lecz trudnoż parę stolików nie zastawić dla tych co nie tańcują? sam nawet jenerałów z sobą do gry prosi, ale się coraz ogląda co tam z drugiemi się dzieje, nie widać przy nich Chack... rad już że mu dotrzymał słowa. Większa część nocy na ochoczéj przeszła zabawie i już się starsi cofać pragną; jenerałowie grę porzucili, młodzież w swoje wstępując prawa trochę hulać zaczyna; ci co do gry przywykli, z ukosa patrzą na porzucone karty, które dotąd do poważnéj i umiarkowanéj służyły zabawy. Półkownik Au— okiem ich tylko mierzy, a gdy któryś założył banczek, skromnie się do stolika zbliża.

Młodzież się zbiega bank rozchwytany, że on najwięcéj wygrany na niego wypada koléj; do wygranéj dorzuca złota, łatwy więc rewanż. Każdy się odegrać pragnie, lecz nie tak łatwa wygrana; wtém i drugi stolik nie próżnuje, już przy nim Mirosławski siedzi; bal się ukończył, rozeszły się damy i gospodarz opuścił salon. Rano mu dopiéro powiedziano, że zgrano rzymską młodzież i wielu odeszło niechętnych, bo jakieś w nich podejrzenie utkwiło. Jenerał Chack.... przywołuje; on nie grał, cóż mu powiedzieć? Ale ci panowie może to wpana towarzysze. Oni do gry gotowéj przyszli. Uniósł się jenerał i coś mu niegrzecznego powiedział. Chack..... do którego właśnie po zapłatę przychodzili kupcy, skończywszy rozrachunki, które trzysta dukatów wynosiły, jenerałowi je przedstawił do zaspokojenia. Hałas za podejście, ale kapitulować było potrzeba; a pan Ch..... grę za warunek położył. Grabowski nie chciał mu na to swego pożyczać imienia i tak się skończyły bale; gra do Chack..... się przeniosła i na amatorach nie zbywało.

Ważniejsze zatrudnienia spadły na jenerałów. Od Terracino do Albano prawie, zuchwali mieszkańcy wzięli się do broni; przebycie błot Pontyńskich niepodobném się stawało; wysłanym nawet do rozproszenia powstańców oddziałom naszym, stawiono czoło. Piérwszą ofiarą, oprócz żołnierza padł oficer od artylleryi Podoski, w rewolucyi Kościuszkowskiéj słynny. Marsz był w zasadzkach cały, obok kanałów murowanéj Pontyńskiéj drogi błota i chrósty kryły zbuntowanych którzy idących razili swemi postrzałami. Wysłano kilka kompanii do Velletri a Terracino szturmem nawet zdo-

bywać musiano; choć nie bez wielkiéj szkody rzecz się oczyściła z większego; lecz lada nieugaszona iskra nowy rozpoczynała pożar. Brak sił chciano zastąpić postrachem; kara śmierci na każdego którego schwytano z bronią w ręku, na każdego spiskowego. Ztąd naturalnie weszły nadużycia. Objeżdżając posterunki w Velletri, gdzie stał pan porucznik Wilner, zastaję go zajętego bardzo; szukam, a on na sąd wojenny się zbiéra i do mnie poważnie mówi:

— Od dni kilku nie mam spokoju, bo mi po nocach dzwonią; posyłałem do arcybiskupa; odpowiedział mi, że to są dni, w których corocznie obchód poświęcenia kościoła okazale się i uroczyście odbywa. Nie czekałem aż się baury zgromadzą, dałem księdzu wartę, bo on zapewne myśli o powstaniu, a jak mu w łeb strzelę to się ukończy wszystko.— Bój się Boga, zawołałem, jakże to ośmielasz się spełnić bez wyższéj władzy.— Ta władza przy mnie.— Gdzie sąd?— Ja i mój feldfebel jużeśmy go złożyli.— A to i ja do niego należę, bo tu po służbie przyjechałem i zaraz do Rzymu posyłam, a odpowiedzialność na siebie biorę. Jakoż posłałem zaraz i przysłano oficera francuzkiego adjutanta od głównego sztabu, mnie z nim połączywszy. Rzecz się wyjaśniła, i warty od biskupa ściągniono. Pan Wilner był to dragon z regimentu Mirowskich; w braku początkowym oficerem zrobiony, zresztą służbista, lecz na mieszkańców zawzięty, i takich było wielu między Francuzami nawet.

Następował dzień świętych Piotra i Pawła; jenerał Macdonald objął był komendę; a jenerała Championet jako główno-komenderującego co chwila się spodziewano,

bo się cóś na wojnę zabiérało. Jenerał Macdonald zapragnął widziéć świetność dnia tego i odmówić mu nie śmiano. Najpiérwszéj tylko brakowało mu ozdoby, bo nie było papieża, ani tego ożywczego ducha, który w tym dniu mieszkańców Rzymu unosi. Illuminacya tutejsza jest wspaniałością swą całkiem odrębna, i podobnéj jéj w żadném z wielkich miast Europy nie widziałem; usposobienia do niéj powstać musiały zdaje się z samym kościołem świętego Piotra. Gdzież użyć można kilkuset ludzi dla zrobienia czarodziejskiego effektu, uderzającego, gdy nagle w mgnieniu oka prawie, zapala się świateł tysiące wielkością i kolorem różnych? Wszystkie linie téj olbrzymiéj budowy, silnemi naprzód lampami się oświecają. W przemianie ogni drobne a niezliczone lampy, każdy gzémsik, każdą ozdobę architektoniczną w najdrobniéjszych załamaniach jakby nicią światła obwodzą; światła te w wodotryskach blizkich i rozbitych w parę wodach czarodziejsko błyszczą, wspaniały tworząc widok, na który poglądając ledwie mu wierzy zdumione oko. W trzeciéj zmianie, lecący piorunem ogień na wierzch zamku świętego Anioła, zapala razem fejerwerk, z którego rac tysiące spadają w wody Tybru i tonąc w nim gasną. Most wielkich rozmiarów wiodący do zamku, kolosalnemi ozdobiony posągami, około których najznakomitsi mistrze pracowali, jaśnieje nagle jakby w świetle dnia najpiękniejszego i powiększa obraz uroczy, Słusznie illuminacyę świętego Piotra, podróżni liczą do najwspanialszych widowisk; miasto i jego ludność wylewająca się na ulice, ruch powszechny do ożywienia przyczyniający się, nieporównaném je czynią.

Dla nas musiało i to być na uwadze, czy się z tego natłoku i ruchu zamięszanie jakie nie wykluje; pod pozorem manewrów różnych, bataliony były ciągle pod bronią, a najczęściéj manewrowały na placu świętego Piotra, aby lud o przytomności wojsk pamiętał i burzyć się nie śmiał. Część kraju co od Terracino się rozciągała, ciągle była w poruszeniu; w końcu zbliża się wojna, już i wojska francuzkie ze środka Włoch nadchodzić zaczynają, lecz nie przez Rzym, ale po trochu od strony Abruzzo idą; zamek świętego Anioła francuzkim garnizonem osadzony, nasz jeden tylko batalion pozostaje na miejscu, dwa do Terracino wychodzą. Właśnie jenerał Dąbrowski był wtedy do Medyolanu przywołany, a bataliony przy Kniażewiczu zostały, kiedy go Macdonald do siebie przywołał.

— Mój jenerale, miło mi powinszować wam ducha jaki między wami panuje; wyszedł dopiéro odemnie oficer z nieumieszczonych jeszcze, ma dowody, że podpółkownikiem służył, chce przecie jak podporucznik z nami kampanią robić, prosi tylko by go natychmiast do służby wprowadzić, a on jeszcze kompanią jedną własnym kosztem odzieje. Jak można najprędzéj, bo czasu do tracenia nie mamy, proszę jenerała umieścić go natychmiast.

Tak się tedy wejście Chack.... do legionów odbyło; ruch wielki w mieście, krawcy szyją mundury, a zazdrośni żołnierze głośno wołają:— Czemu nam Dąbrowski takich z kraju nie wypisuje oficerów, a nie tak jak nasi gołych, od których się zapomódz ani mieć można nadziei.

W Rzymie tymczasem, rozwija się wyraźniéj nie-

chęć podburzonych mieszkańców, tłumy się zbierają, krzyczą ale bezbronni. Dnia tego byłem właśnie na pożegnaniu u Duca d'Altamis komendanta gwardyi narodowéj sekcyi Brutusa, blizko placu Navonna, gdzie obok i moja mieszkała wdowa; wracałem sam jeden przez plac del Governo zwany, gdy mnie mnóstwo pospólstwa otoczyło wrzeszcząc:— Uciekaj łotrze, bo zginiesz! Z okna mojéj damy widać było co się na placu dzieje, a w niém ona stała; pobiegła zaraz do Duca, ten do swéj gwardyi pośpieszył, wdowa na plac wybiegła. Widziałem, że bylebym się ruszył, w ucieczce utracę życie, stałem więc spokojnie i zacząłem mówić do ludu. Z drugiéj strony wdowa wołała:— To chrześcijanin, jeśli się go tkniecie, biada waszym domom, bo je Francuzi zburzą. Przetrwałem burzę, gdy d'Altamis z wartą z placu nadbiegł i ze swéj strony do ludu o spokojność zawołał, a tak ocalonego mnie wypuścił bocznemi uliczkami, aż do Kapitolińskiego pałacu. Sądziłem się bezpiecznym, gdy widzę, że nasi pod bronią i krzyczą, że ognia dadzą. Wśród téj wrzawy wsunąłem się jakoś do swoich i zastałem rozkaz wychodzenia z miasta do obozu; szliśmy jak w boju w czworobok sformowani; gdzie otaczającéj nas mniejszéj sile stawiliśmy bagnety, większą ogniem straszyliśmy. Ściany ulic były nam obroną, bo pałace zamknęły się spokojnie. Zuchwalsi mieszkańcy uprzedzili nas wyjściem z miasta i od bram się w massie stawili, ale strzałów nie było; naczelnicy tego poruszenia nie chcieli się bić z nami, ale tylko usprawiedliwić się żądali przed nadchodzącymi Neapolitańczykami, że i oni cóś ze swéj strony zrobili także. Za-

wiedli się, bo z bramy uderzyła na nich kawalerya ostróżnie z obozu podesłana, a myśmy ich bagnetami rozpędziwszy, cali z Rzymu wyszli. Nie długo staliśmy w obozie, bo przeciwko kilku tysiącom naszych, osiemdziesiąt tysięcy Neapolitańczyków szło pod wodzą samego króla, któremu dodany był jenerał Mak od dworu Wiedeńskiego dla pilnowania, aby ogólny plan kampanii téj dochowany został. Oni już byli przeszli granice, lecz radzi nie zaczynać boju, wzywali do ewakuacyi Rzymu jako kraju sąsiedzkiego państwu Neapolitańskiemu, który oni wojskiem swém osadzić chcieli. Słabi liczbą Francuzi nie mieli ochoty ryzykować potyczki, posiłków z armii włoskiéj nie mogli się rychło spodziewać i kapitulacya została podpisana. Francuzi na czas niedługi zatrzymać mieli zamek świętego Anioła, tam szpitale swe i składy zostawując, Rzym zaś natychmiast ewakuować obowiązali się. Rozkazy natychmiast wydane nam iść przez Rzym i nad Tybrem pod Civita Castellana wziąść pozycyą; Francuzi po za Rzymem do tegoż samego dążyli miejsca. Weszliśmy wieczorem w mury miasta nie zaglądając nawet do własnych kwater, ciągnęliśmy na plac Navonna zwany, z którego z zamkiem świętego Anioła mieliśmy komunikacyą. Miasto całe krzyczało na wchodzących, lecz byli przy nas jenerałowie neapolitańscy, do wzięcia w posiadanie Rzymu wyznaczeni. Jenerał Kniażewicz zajął kwaterę w pałacu wdowy, a przez noc całą wśród zamięszania między ludem trwającego, czuwaliśmy nad bezpieczeństwem własném, lub zbierali prowizye potrzebne do wygody.

Już do Monterossi dochodząc widzieliśmy, że jenerał Championnet główną bierze komendę, Kellerman na czele brygady przybywa i ze dwudziestu tysiącami wojska francuzkiego zbliża się do obozu naszego; dnia drugiego pod tém przyjaźném godłem obóz nasz stał się weselszym; my piérwsi doszliśmy do niego. Kniażewicz potrzebę zmiany uważał, Macdonald słuchał przedstawienia, za słuszne uwagi jego uznał i wykonanie ich mu powierzył. Prawe jego skrzydło ku Toskanii obrócono, nam się dostało środek trzymać, lewe miały przychodzące zajmować wojska. Ledwieśmy się doczekali zbliżającego się wojska, kiedy już się rzeczy zmieniły. Kellerman z dziesięciu tysiącami ludzi wstecz ku Rzymowi podchodzi, królewskie wojska w marszu pod Monterossi spotyka, rozbija awangardę, a nie zapuszczając się daléj do obozu powraca, na który z trzech stron nieprzyjaciel wymierzył attak. Jakoż z prawego skrzydła Chevalier de Saxe od Toskanii przychodzi i już się naszych posterunków dotyka. Championnet do naszego przejeżdża obozu i do Kniażewicza mówi:

— Nie będę wchodził w rozporządzenie i to Wćpanu zostawuję. Masz zrobić jak jenerał Kellerman, pójść, pobić i nazad powrócić; lecz nas i z lewego skrzydła obejść pragną.

Z jednym batalionem piechoty, szwadronem jazdy i dwóma armatami lecimy pod Falari, gdzie ośmiotysięczny obóz w kolumnie jednéj kilkunastu armatami mocny, obejść nas pragnie; przeznaczeniem jego było nas okolić. Z tyłu Kniażewicz w jeden szereg batalion stanowi, a na skrzydle kawaleryą, z lewego boku armatki. Jeszcze nieprzyjaciel się nie rozwinął, aż

go chmura tyralierów natarczywie otacza; natenczas dowodzący kolumnę swą rozwinąć i armaty w czynność wprawić zamierza. Kniażewicz tyralierami dowodząc zagrzéwa; a żołnierz neapolitański słabego ducha pod tak blizkiemi strzałami rozwinąć się nie umié. Szuka w nim Chevalier de Saxe śmielszych i tyralierów usiłuje rozproszyć. Na czele szwadronu leci Kniażewicz, bo to była chwila stanowcza rozwiązującego się na jednę stronę zwycięztwa; jeden z tyralierów naszych przychodzi mu w pomoc, kula jego Chevalier de Saxe rani, spada z konia, koń sam ucieka ku nam, a wojsko strwożone, co w nim pokładało nadzieję, łamie się i dzieli. Artyllerya ucieka jaką przyszła drogą bo ją nie ma gonić komu; piechota zbija się niespokojnie w wiry i za nią pod zasłoną swéj kawaleryi się cofa. My mając jeszcze w tym dniu do walczenia, uporządkowani do naszego obozu wracamy. Cel dopięty, rozkaz spełniony i dotrzymane słowo, ściągnęły uwagę francuzkich jenerałów i następnie mniemanie dobre o Kniażewiczu spowodowały.

Został jeszcze nieporażony nieprzyjaciel w tyle naszym pod Maliano, który nawet napadł na złożony tam szpital i z nim się obszedł okrutnie; rozpoznać go należało. Lecz na lewém skrzydle obozu, które rzeka Teverone oblewała, z obu stron olbrzymie skały, z tamtych wrzawa pojedyńczych strzałów słyszeć się daje, nasz się tam batalion uciera; nie wiadomo czy się nieprzyjaciel z téj strony dobiéra, czy nasi tę dolinę oczyszczają. Jenerał en chef po naszym przyjeździe z pod Falari, każe mi dotrzéć, dowiedziéć się co nasz batalion czyni, a do tyralierów francuzkich posłać.

W tym celu dodaje mi dwóch ordynansów. Wdarliśmy się z końmi z trudnością gdzie się piechota ucierała, nieprzyjaciel znalazłszy miejsce postawienia armaty, któréj strzały skupionemu batalionowi szkodziły, chciał go ztamtąd wyparować; batalion się rozsypał w strzelców i po armaty darł się. Już było podobieństwo, że leżąc za skałami bez wielkiéj straty zdobędzie je nakoniec, rażąc kanonjerów z ręcznéj broni. Armaty kartaczami sypały, gdyśmy się ku miejscu zbliżali, a kartacze ślizgając się po skałach dochodziły do nas. Jeden w piersi mnie uderzył, jam się pochylił i krzyknąłem z bolu, ordynans cugle złapał i koniem powodził, bo rękami chwyciłem się za miejsce uderzone. Drugi tymczasem ordynans pobiegł zdać sprawę z tego jak zabity zostałem. Przez parę staj przekonany byłem żem silnie raniony, ale krwi nie widząc, odsłoniłem ręce jedna po drugiéj, abym się przekonał lepiéj. Ból od kontuzyi był mocny, kartacz zapewne oziębił się lub odbity od skały dostał się do mnie i nie wiele mi szkodził. Powróciłem po doniesieniu żem zabity i zdałem z posłannictwa sprawę. Tejże nocy, major Chłopicki wysłany z kilku kompaniami na rozpoznanie wojska pod Maliona stojącego, że już wprzódy rozpoznał piérwsze posterunki, obszedł je manowcami ubocznemi i sformował się przed obozem podszedłszy aż podeń cicho. Tu dawszy nagle ognia wpadł z krzykiem na obóz. Skutek był niepospolity, uciekał Neapolitanin od swych ognisk przy których dostatnie pożywienie gotował, tak, że z trudnością po nocy zebrać ich znów było można. Zdobywcy obozu powrócili z niemałą zdobyczą kociołków, kołder nawet

które do obozu naszego przynieśli; a późniéj nie wiedząc co z tém robić między kolegów dzielili i rzucali je nawet, bo ciężar wożenie się z tą zdobyczą utrudniał. Po téj tak ważnéj próbie przedsięwzięto na ich wyprawę, uwolniono nasze lewe skrzydło od naciskającego nieprzyjaciela, który obejść nas zamierzał. Jenerał en chef sam przyjechał do nas i z Kniażewiczem się rozminął, który wprost do niego po rozkazy pojechał. Nie czekając powrótu jenerała, sam się u nas rozporządzał; kazał Sejdlitzowi z trzecim batalionem iść wprost do szturmu miasteczka, a Sejdlitz to zrozumiawszy — *Bon, mon Général* odpowiedział. Jenerał mu długo tłumaczył, że z tyłu batalion francuzki ma okolić i z nimże do wyprawy należéć. Tego już nie zrozumiał, ale śmiało swoje *Bon* wyrzekł. Jenerał chcąc ukarać miasto, które się na lazaret rzuciło, żądał je spalić i już narzędzia do podpalenia ciągnęły za nim. Chack — przyjął ten komiss na siebie. Rad był jenerał odbyć to Polakami. Wtém Kniażewicz nadjechał i Chack — do niego mówi: — Mam rozkaz oświecić mieszkańców téj ziemi, aby zdolni byli do przyjęcia oczekujących ich swobód. Wyprawa doszła przeznaczenia swego następnéj nocy. Sejdlitz szedł do szturmu, lecz o niewiele go Francuzi uprzedzili, a wojsko neapolitańskie już uciekało przed niemi. Sejdlitz w prostocie ducha, biorąc Francuzów za Neapolitanów ogniem ich raził i podobno nieobeszło się bez szkody, choć się zrozumieli nakoniec. Jenerał en chef chciał ukarać Sejdlitza, że tak źle spełnił polecenie jego, ale późniéj dowiedział się, że nie mógł go zrozumiéć, bo języka nie umiał. Gdyby był powierzył swą wolę Kniażewiczowi, byłby

uszedł pomyłki. Z tego powodu polecił, aby mu wybrano oficera język francuzki dobrze rozumiejącego i do swego boku dodać rozkazał, z tém żeby miał dobre konie do téj posługi. To właśnie wielu przechodziło możność. Chack — jeden co wyjechał z zapasem, nie tylko konie miał, ale swój furgon ładowny winami i przysmakami nawet, któremi się z adjutantami głównéj kwatery dzielił; ich tedy głos był za nim i jenerał en chef wybrać go sobie za przybocznego rozkazał.

Wojsko neapolitańskie co nas okalać i zabrać miało, pod Falari i Maliano spędzone, awangarda królewska odparta przez Kellermana; król który w Rzymie na okolenie wojska oczekiwał, widząc się zawiedzionym, chciał odparte korpusy połączyć z sobą i dopiéro na Francuzów uderzyć, gdy ci znaczny z Włoch środkowych odebrawszy posiłek, wojnę już zaczepną wieść przedsiębrali.

Ruch przez Abruzzo był znaczny i myśmy naprzód dla połączenia się z niemi, z lewéj strony Rzymu posuwać się zaczęli; potrwożone wojsko neapolitańskie słabo się tylko opiérało, a król co się korpusowi Chevalier de Saxe przez Rzym cofać kazał, na niego jedynie oczekiwał. Widząc jednak, że marsz jego przez nas przecięty być może, przyśpieszył trochę ewakuacyą Rzymu i w swoich granicach stanąć miał do swéj obrony. Ledwieśmy się zrównali z Rzymem, jenerał chcąc korzystać z przestrachu miasta, z jednym batalionem Francuzów i szwadronem kawaleryi wszedł do niego, zaledwie po wyjściu z głównéj kwatery króla; ale połączył się zaraz z słabym wprawdzie garnizo-

nem u zamku świętego Anioła zostawionym. Korpus Chevalier de Saxe tymczasem nadchodził i już był blizki Porta del Popolo; król uwiadomiony o tém marsz swój wstrzymał i silny oddział do Rzymu wyprawił. Ratowała wtedy liczna drużyna osób do komissoryatu należących, która się za jenerałem puściła i wielu Francuzów co mieli konie do zboczenia z drogi. Nie byli tam wprawdzie przeznaczeni, ale sam nieporządek w marszu przydał się natenczas. Jenerał nie tracąc przytomności i odwagi, postawił w bramie do Neapolu wiodącéj, przybyły z nim batalion i do upadłego bronić mu się polecił; a z garnizonem, z szwadronem i z tłumem jeźdźców nie wojskowych wyszedł za bramę del Popolo, i sam dobywszy pałasza, poprowadził do boju. Niespodziana obrona miasta, w którém się króla z wojskiem zastać spodziéwano, a może sam widok znajdującéj się tu już głównéj kwatery, poddały myśl cofnienia się drogą do Livorno, do którego morzem z Neapolu przybyli. Jenerał postrzegłszy odwód, attakował zuchwale, a cząstkę tyralierów i kawaleryi zostawiwszy, aby naglądała na ich poruszenia, z resztą konnych udał się do bramy, do któréj oddział królewski szturmował. Ta rzecz szła zawzięcie z jednéj i z drugiéj strony, już nawet artyllerya neapolitańska dochodziła, gdy niespodziane zdarzenie, niespodzianie ją rozwiązało. Od Abruzzo generał Rusca dwa regimenta kawaleryi prowadził; mówi, że do Rzymu przed wojskiem dostać się gorąco pragną, bo już o cofaniu się armii królewskiéj dowiedział. Droga, którą szedł forsownym marszem łączyła się z tą, którą artyllerya neapolitańska biegła do Rzymu. Napadłszy na armaty, nie pozosta-

wało mu jak uderzyć na nie; dwa regimenta assekurujące armaty biły w oczy. Rozbiwszy je i osłaniających zabezpieczywszy strażą, leciał ku bramie, gdzie się zawzięcie potykano. Championnet właśnie przyszedł z kawaleryą swoją, kiedy ich z tyłu jenerał Rusca napadał. To zwycięztwo ukończyło dzień, w którym Rzym na nowo zajęty został.

Kawalerya zaraz ścigać króla wyznaczoną została, i kiedy on w Albano do zastawionego przystępował stołu, musiał od niego uciekać; mówiono nawet, że Francuzi nakrytym go jeszcze znaleźli i dostatnie sobie sprawili gody. Myśmy nie byli w Rzymie i szliśmy pogonią, która się ciągłym bojem odznaczała. Przyszliśmy nareszcie do téj znakomitéj drogi, którą Pius VI swoje panowanie uświetnił, którą Rzym uzdrowił a podróżującym ułatwił pośpiech, jedyny środek ocalenia zdrowia a często i życia nawet. Obrona Neapolitańczykom łatwiejszą była tém bardziéj, że im lud miejscowy sprzyjał. Dwa kanały drogę otaczające do przebycia nie łatwe, zarosłe i za niemi do zasadzek sposobne miejsca. Z początku dobrzy strzelcy miejscowi wybierali oficerów za cel wystrzałów, lecz na to wynaleziono środek. Dwa lekkie działa kartaczami nabite oczyszczały zasadzki, a przeprawieni tyraljerowie później nawet szkodę w tylnéj straży neapolitańskiéj robili. Aż do Terracino ciągleśmy się bili doznając oporu; Terracino kończy Pontyńskie błota, a za niém niedaleko pasmo gór trudnych do przebycia panuje. Odwieczne dawniéj wojny wprowadziły pewne i użyteczne urządzenia; każda osada ludu miała grzbiet gór przeznaczony do obrony — prawo to przez

czas długi w zwyczaj się zmieniło i korzystném było bardzo; lecz pokój dłuższy, nawykłość zatarł w pamięci ludzi, a zmiękczenie obyczajów, wpływ może fakcyi, w tak nagłym razie z dawnego obyczaju korzystać nie dozwalał. Ta ustawa nosiła nazwę *Lega forcata*, że do niéj zmuszano; przypominało to świetne niegdyś nasze pospolite ruszenie, późniéj niezgód i nieporządków zwykłe ognisko. W Terracino był punkt dójścia wojsk naszych i kilkodniowe ich obozowanie. Już też nas i jenerał Dąbrowski dogonił. Każdegoby to może zastanowiło, co mi nieraz naówczas przychodziło na myśl: Francuzi mieli za godło swobodę ludów, lud przecie był z ich nieprzyjaciółmi; oni u siebie arystokracyą zgnębili, a do ich fakcyi najznakomitsze imiona w państwie Neapolitańskiém należały. Mogło się to nieco tłumaczyć tém, że królowa i Acton, który jéj przewodniczył, mieli osobistą do osób możniejszych odrazę; a możni przesiąknieni nienawiścią i nowych wyobrażeń chciwi, z cudzoziemcami i z filozofiją się bratali. Acton chciał ich upokorzyć pochlebiając ubogiemu ludowi, chciał może i ducha partyi neutralizować; budzono lud prowadząc na ich dostatki, a napady gwałtowne często się w saméj stolicy i po willach okolicznych (po naszemu folwarkach) zdarzały.

Lecz powróćmy do wojennych działań. Przejście prowadzącą do kraju Neapolitańskiego drogą, wiodło między dwie strome skały z łańcuchem Apeninu złączone; tam baterya działami wielkiego kalibru zbrojna, broniła komory i zwyczajnego przejazdu. Tu Neapolitanie zamierzali dać silny opór, jakby mówili sil-

nemu morzu:— Tu przyjdziesz i rozbijesz wzburzone wały swoje.

W czasie pobytu w Terracino zastanawiano się nad usunieniem téj przeszkody; major Chłopicki z strzelcami batalionu swego podjął się tak trudnego działania; skutek podobnym być musiał, kiedy nań armia pod bronią czekała. Jakoż o samym brzasku zorzy już z tyłu bateryi łamali się bohatérowie nasi z małym odwodem zasłaniającym Neapolitanów; bo armia królewska już się ku Kapui wolnym marszem posunęła. Zaczęli Francuzi ze swych armat do bateryi strzelać; bomby ich w środek jéj wpadały a trwoga opanowała obrońców. W miarę jak się ogień zmniejszał bieżono do szturmu bramy, i ledwie słońce oświecać zaczęło okolicę, jużeśmy ją petardą otworzyli. Neapolitanie zostawili działa swoje zagwożdżone, a garnizon drogą do Kapui się puścił, bo drugą co do Gaety prowadziła, nasi strzelce zatarasowali niezłomną piersią swoją. Armia francuzka przeciągnęła za idącemi do Kapui, a naszym jenerałom iść pod Gaetę kazano. Szczęśliwym dla nas losem i skutkiem ostróżności majora Chłopickiego, wieść nawet nie doszła do nich. Myśmy szli nad brzegiem morza, patrzali na maszty okrętowe i doszliśmy nie spotkawszy nikogo aż do przedmieścia, kiedy ruch na morzu gotujących się do odpłynienia okrętów postrzeżono. Dano nam dwa działa, z tych Kniażewicz do okrętów ognia dać kazał, a Dąbrowski na rozpoznanie położenia się puścił, i tam dopiéro do niego strzelać poczęto. Nasze bataliony zasłoniły się budowlami przedmieścia, aby nie stać na celu i nie były od nikogo spędzane,

tymczasem Dąbrowski trębaczy wysyłał, do poddania się wzywał i do szturmu razem gotował. Było to szczególniejsze zdarzenie w dziejach wojny, żeby piérwszego rzędu twierdza, którą w późniejszych latach Massena po kilko-miesięcznym dopiéro wziął oblężeniu, dostać się miała kilku tysiącom naszych, dwóma tylko armatkami opatrzonym. Było to skutkiem nierozsądnego zarozumienia powziętego w początku wojny: osiemdziesiąt tysięcy Neapolitanów wchodząc w państwo Rzymskie, ledwie osadzone garnizonami tylą, ile potrzeba było na utrzymanie w spokojności mieszkańców, wcześnie się mieli za zwyciężców. Wielka przeciw północnym Włochom koalicya wymagała zebrania tam sił całych; wszyscy się w datach pomylili. Armia co się do koalicyjnéj wojny obok sprzymierzeńców dopiéro kształcić miała, upadała pod orężem doświadczonego w boju żołnierza. Jakież było zdziwienie nasze, gdy nas tylko o kilkogodzinny rozejm proszono, aby okręta rządowe odpłynąć mogły spokojnie, a wieczorem dnia tegoż oddano nam bramy i kapitulacyą podpisano. Nie weszliśmy do środka miasta nieufając naszéj sile. Rano dopiéro widok obszernéj twierdzy i rozległego morza, tyle pobożnych i bohatérskich wspomnień, jakie temu miejscu przyznają, szlachetnym nas owionęły zapałem. Zdawało mi się, że z Czarnieckim jestem na szwedzkich bojach, gdy do spisania pozostałych okrętów i ogromnego zapasu wojennego przeznaczony zostałem. Uwiadomiono o tém nieodlegle idącą armią, z któréj na garnizon dnia tego przyszedł wysłany oddział z jenerałem komenderującym. Żołnierze neapolitańscy zaraz się z żołnierzami

francuzkiemi pokątnie zbracili. Szwajcar bowiem, co nam fortecę oddawał, potrzebował parę dni czasu, aby z garnizonem wyjść podług kapitulacyi i ze swą armią się połączyć. Z tego się złodziejski zawiązał spisek; ci co tak dobrze znali miejscowość, bo długi tu trzymali garnizon na przewodzców się udali. W nocy Francuzi rabować poczęli Gaetę. I do naszych trafiono; lecz że sprytniejsi byli na czele spisku, oddano naszym zapasy słoniny, garnizonowych kołder i grubego sprzętu, a sobie kościoły i domy możniejszych mieszkańców na zdobycz zostawili, naszych naprzód przy zaczęciu wyprawy zatrudniwszy. Alarm w mieście od mieszkańców się zaczął, lecz wkrótce w bębny uderzono, aby każdy żołnierz stawał pod bronią; a oni spełnili to łatwo, bo przy rabunku nie spali. Na placu już byli jenerałowie, kiedy się żołnierz powoli jeszcze ściągał. Nasi, co połciów słoniny i broni razem unieśćby nie mogli, powyrzynali dziury, przez które głowy powysadzać mogli, żołnierz francuzki miał matelzaki zapięte i trochę oddęte płaszcze. Sprzeczka powstaje między jenerałami, którzy jedni Francuzów, drudzy naszych o rabunek obwiniają. Nie potrzebuje sprawdzać podejrzenia na swoich Kniażewicz, bo wszystko widzi na wierzchu, do zupełnego zebrania odwołuje się i tego mu odmówić nie śmieją. Po odczytaniu kontroli prosi o pojedyńcze obrewidowanie; Francuzi krzyczą, że to hańbi żołnierza, na co szukać winowajców gdy ci widoczni! Na to nadjeżdża Dąbrowski i w téj chwili będąc wyższy stopniem rewizyi się domaga. Zaczęto od prawego skrzydła gdzie Francuzi stali. W piérwszym matelzaku kielich i pa-

tyna, w następnym worek ze złotem, daléj wtroczona monstrancya; tak poszło i daléj; wściekał się komendant Francuzów, i do rewizyi naszych rad był przystąpić jak najprędzéj. Lecz tu rabunek na wierzchu: połec słoniny na szyi, kołdra z koszar w matelzaku, a ani grosza w kieszeni; szło tak i u następnych: para butów lub prześcieradło najdroższą były zdobyczą. Zbiegali się i ci, co ich odarto, poświadczając, że w swych domach albo Neapolitanów lub Francuzów widzieli. Zebrani Neapolitanie jak się do kija wzięto nocną konspiracyę wyśpiéwali. Tak tedy myśmy od rabunku czyści pozostali, i wrócić nam za armią kazano, a Francuzi załogą tu pozostali.

Poszliśmy do Traettu; tam nasza kwatera była u poważnego lecz trwożliwego biskupa, który nas z ludzkością przyjmował, a drżał na odgłos powstania. Ja mém uszanowaniem zarobiłem na jego ufność, która mu się fatalną stała i mnie napełniła smutkiem. Myśmy już do Séssi postąpili, kiedy okoliczni górale na to miasteczko napadli, jako do obrony sposobne, i mieszkańcy się z niemi połączyli. Tremo, poufały adjutant jenerała Dąbrowskiego, mniemał, że mieszkańcy nie chciwi powstania dopomogą do wypędzenia postronnych, a miasteczko obok wielkiéj drogi na górze osiadłe, mogło i wojsku a więcéj podróżnym robić psoty; on prosił o kilkunastu jedynie dragonów, bo resztę przekonaniem uskutecznić pragnął. Widząc tak małą siłę, przybylcy zbuntowani do miasta go wpuścili, a

nie bacząc na prośby mieszkańców, powiązali w ciasnych uliczkach, pod pachy przez okna rozciągnęli sznurami, a spodem ognie zapalili. Tak się ich zbrodnia spełniła; uciekający mieszkańcy opowiadali to nieszczęście. Jenerał en chef kazał nam wyruszyć z Sessi, a z drugiéj strony od Gaëty atakować, zniszczyć całą osadę i położyć pamiątkę na głazie:— Tu była Traetta; wzburzyła się przeciwko francuzkiemu wojsku i już jéj nie ma. Mnie się chciało biskupa ocalić, a zbuntowani myśleli, że o ich postępku z Tremonem nie wiémy i mały jakiś oddział schwytaćby radzi. Kiedym się z trębaczem zbliżył, wysłali do mnie bym z tém, co im mam mówić wszedł do miasta byle z niewielu ludźmi, bo oni napastować nie myślą, ale bronić się będą. Chciałem mówić z jednym biskupem; żądali by przy téj rozmowie uzbrojeni stali z daleka z każdéj strony. Zezwolono. Mówiono późniéj, że przybylce pozbyć się go chcieli, bo im nie dopomagał wcale, owszem mieszkańcom spokojnemi być radził. Wkrótce zszedł z góry szanowny kapłan, a ledwo o rzeczy opowiedział, chciał abyśmy mówiąc szli ku posterunkom naszym. Okiem zmierzył za sobą odległość, chciał abym przywołał w pomoc ludzi, a sam zdobywszy się na siły biegł co mógł wystarczyć. Uszliśmy z nim nienapastowani; uwiadomił nas, że lud obcy w wielkiéj massie czeka zasłoniony murami, i że bez pomocy dział i jakiego wyłomu, wiele, zdobywając miasteczko, utracilibyśmy ludzi. Jenerał francuzki co z Gaëty na wykonanie rozkazu był wysłany, radził biskupa do Gaëty odesłać i działa sprowadzić. Lecz się rzecz źle skończyła.

Biskup nie potrzebował mocnéj eskorty, bo i sam jechać pragnął. Pospólstwo zburzone otoczyło go dokoła, a obaczywszy powóz łatwy do zrabowania, rzuciło się do niego; jadący z nim podoficer obawiając się by mu biskupa nie odebrano,— życie mu skrócił.

Uspokojenie Traetty powierzono Francuzom, a myśmy się do Sessi wrócili. Armia francuzka łamiąc zdezorganizowane wojsko neapolitańskie, na karku mu siedziała i zostawiwszy oddział któryby Kapui pilnował, nie wstrzymała się w swym tak korzystnym napadzie. W Neapolu trwoga, a zamięszanie w tyle francuzkiego wojska. Do tego czasu odnosi się następne zdarzenie. W Rzymie między stronnikami francuzkiemi same tylko najświetniejsze błyszczały nadzieje; podróżni śpieszą słuchając przysłowia: *Vedi Napoli e poi muori.* Zobaczyć tylko Neapol i choćby umrzeć potém. Żony oficerów i z prawéj i z lewéj ręki, śpieszą za mężami swemi i w niebezpieczeństwo podróży nie wierzą. Chack... co w tyle pozostał mając sobie zlecone konie, wraz z jednym komissarzem ordynatorem puszczają się w drogę. Kilka powozów kobiét uprzedza ich przejazd przez jedną nadmorską wioskę i w wielkiéj części od rozhukanego ludu padają ofiarą. Wojsko ostrzeżone, że się tam ruch wznieca i mordy spełniają, śpieszy od przeciwnéj strony chcąc skarcić powstanie, lud całą gromadą w tę stronę ku obronie leci; wjeżdżają podróżni do pustéj wioski i zastają trupów po drodze. Źle koło nich; wchodzą do pustego domu, gdzie tylko dwoje starców zastają w komnacie piérwszego piętra; dom ze środka zatarasso-

wują potężnie, kładą swą broń przy sobie, a wtém lud, chociaż odparł przysłany oddział, spodziewając się silniejszego napadu, struchlały powraca do domu. Widzi opuszczony powóz i do rabunku się nie bierze, lecz nowe dla nich zjawisko: widzą dwie głowy starców a z po za nich głos silny Francuza. Ten się im oznajmuje jenerałem wiodącym za sobą silne wojsko, i przepowiadającym nieszczęścia i zemstę; ocalenie osób szukających schronienia za jedyny środek przebaczenia całéj osadzie przedstawując. Zaręcza im to jeneralskiém słowem. Przybiegają naczelnicy fakcyi i przystają na te warunki. Odwieziemy ich, powiadają, przynajmniéj królowi, niech widzi gorliwość naszę, ztamtąd Francuzom; wezmiemy przynajmniéj zakładników, że nas nikt napastować nie może. Dowódzca powstania bierze na siebie tę powinność. Barka nad morzem stoi jedna; kobiéta z poprzedniego morderstwa o litość dla siebie prosi. Trzy te osoby do Neapolu morzem odwożą. Stanęli tam podróżni gdy dwór i monarcha strwożeni wyjechać przedsiębrali. Przybycie było szczęśliwe; wysławszy parlamentarza z pojmanemi jenerałami do wojsk francuzkich, proszono przy téj zręczności o rozejm. Parlamentarz neapolitański wiózł z sobą jenerałów mniemanych, a za nim szli co im życie ocalili. Kobiétę przy dozorczyni teatru S. Carlo zostawiono. Gdy w obozie Championet'a stanęli, rad był ich ocaleniu, a może i missyi z którą przybyli; pochwalił ich zręczność i odwagę. Z Francuzem rozmawiając, odwrócił się Championet do Chack....— Ażeby nagrodzić ci niebezpieczeństwo na jakie narażony byłeś, pozwalam zrób z temi włocha-

mi co was dostawili, co-ci się podoba. Na biédę włochów, Chack.... postrzegł na jednym z nich kamizelkę, którą swemu ojcu półkownikowi Au był dawniéj ofiarował, bo bagaż półkownika znajdował się podobno w powozach wprzódy zrabowanych. Tém rozjątrzony, prosił o kilku grenadyerów, i obu włochom w łby postrzelać kazał; a parlamentarza odesłano z wiadomością, że wprzód Neapol wziętym być musi, niżeli do jakiego przystąpi rozejmu.

W Neapolu panowała trwoga; rząd rzucił się w objęcia i pod opiekę ludu, lud obawiając się zdrady wojska, leci tysiącami na obronę kraju. Ruszają nadmorskie do swéj potrzeby osadzone działa. Kół przy nich nie było; sprowadzają z okolicy dwukolne wozy i na nich je kładną. Że ich kilkaset było, wiozą je na drogę od Kapui wiodącą i po dwie stawią w odległościach takich, by jedne drugim nie przeszkadzały. Lud zgromadzony oczyszczał drogę wołając na wojsko:— *Traditori!* było ich tysięcy siedémnaście do téj wyprawy. Gdy się o tém w obozie dowiedziano, jenerał Mack od cesarza Austryackiego przysłany, naprzód zwątpił o sobie, i rzecz rozebrawszy wolał być więźniem Francuzów jak ofiarą wściekłości neapolitańskiego ludu; uciekł po prostu i sam się oddał w niewolę. Odesłano go zaraz do Sessi gdzieśmy załogę trzymali, polecając winną cześć dla niewolnika co się z zaufaniem nam powierzał. Był on podówczas chory, i doznawał niejakiéj ulgi, gdy nogi jego zwieszone były, cośmy mu natychmiast przyrządzili. Po dwudniowym spoczynku pozwalał bywać u siebie, opowiadał ile dwór austryacki zadał sobie pracy, aby go do tego

skłonić, nie tail, że to miało związek z koalicyą monarchów. Lecz kiedy rozpoczynał, był pewny że się drugie armie poruszają, że Francuzi z Włoch północnych jednego człeka ruszyć nie będą w stanie, że on nas okoli i zabierze, że surowa armia tym sposobem nabierze ducha i posuwając w tył armii północnych Włoch, ułatwi działania koalicyi całéj. Lecz zróbże co z tchórzami, dodawał, choćbyś im najlepsze podawał rady! Mówił ochoczo o swych wielkich wiadomościach, o pomysłach wojennych, które jego rząd przyjmował ale wykonać nie umiał; porównywał Francuzów z Niemcami, piérwszym genialność i bohaterską odwagę przyznając; drugich w wyrachowaniu środków i części administracyjno-wojskowéj nierównie wyższemi być sądząc. Ganił zwyczaj mięszania narodowości, tak, że się oficer z żołnierzem zrozumieć nie mogą i dla tego jeden dla drugiego żadnéj nie czuje sympatyi; uwielbiał kawaleryę austryacką, Węgrów największą podporą armii rachując, a to w każdéj broni i w artylleryi, gdzie nauką i wprawą najwyżéj połączonemi, podług niego piérwsze w Europie miejsce zajmowali. Rad mówił o swych stosunkach z dworem i ministrami, rozbiór naszego kraju naganiając swoim. Mniemał, że sam się dobrowolnie poddawszy zyska prawo do powrótu, ale go w Paryżu przez całą przetrzymano wojnę, nawet wkońcu podobno się ucieczką ratował. Odesłano go po oczyszczeniu dróg w dni kilkanaście do Rzymu, a ztamtąd do Paryża.

Tymczasem wojsko francuzkie niweczyło działalność olbrzymich armat, bo tyraljery szli bokami, albo się rowów przybocznych trzymali, a kolumny w pe-

wnéj postępowały odległości. Brzmią ogromne kule, a jeśli gdzie znajdą zawadę odskakują szalenie; biada kto na ich drodze, ale wkrótce umilkły. Piérwsza armata już wywrócona. Lud ile razy naprzód przed nie się wysforuje, mięsza się z Francuzami i działa milczeć muszą, by swoich nie raziły; ile zaś razy posuną się naprzód Francuzi, działa odbierają. Tak szła rzecz powoli ale szła ciągle, a po kilkudniowym boju, już się Francuzi na brzegu Neapolu znajdowali i tu się skupili razem. Zamek grał armatami swemi, a kule jego nie Francuzów, lecz cofających się lazzaronów raziły. «Nie poznają naszych, za Francuzów ich biorą! woła lud— ale mniemana omyłka nie ustaje, bo książe Molitorno co zamkiem dowodził, był z Francuzami w stosunkach. Trwoga do miasta biedz radzi; a gdy przebiegły chmury ludu i wystrzały z zamku ustały, lud ciśnie się na domy, napada je, okna i dachy osadza. Francuzi ze swéj strony w jeden szereg pod linię domów się cisną, przeciwległą stronę gradem kul osypują gdzie kogo tam zajrzéć mogą, i tak ciągle posuwają się naprzód. Lud straciwszy nadzieję ucieka; zamki kapitulują, a Molitorno na czele fakcyi staje, uspokaja, godzi i radzi jak lazzaronów na swoję przeciągnąć stronę. Jest to szczególniejszy odłam ludności wielkiego miasta, który z niém nic się wspólnego mieć nie zdaje. Oni mają nad sobą pałace, pod niemi i gołém niebem leżą, a własnéj chaty zapragnąć nie zdolni; patrzą na dostatki a żyją byle życie utrzymać; handel ich otacza, oni biegą do portu, porywają na głowę ciężary z nieposzlakowaną wiernością je odnoszą, lecz jak tylko

skromne, dzienne zarobią utrzymanie, gdybyś go obsypał złotem, nie pójdzie pracować aby więcéj zarobił. Religia mu nawet w znoszeniu ubóstwa nie przewodniczy, bo czyni wszystko z zastarzałych tylko i niezrozumianych przesądów, ślepo się niemi kierując. Zgub kieskę złota, on za tobą biegnie by ci znalezione powrócił; nadgradzaj, zda mu się że szydzisz z niego; ma jakieś wyższe o sobie uprzedzenie, lekce sobie bogatych waży, czci tylko między sobą wybranych, po pańsku jeden z nich drugiego wizytuje wzajemnie, pyta się nawet czy jego wizyta nie jest niewczesną; choć pod gołém niebem, pod wystawą pańskich pałaców leży, nikt go nie ruszy, bo by go okryły kamienie. Nie zna praw, a religia w jednym się dla niego cała świętym zamyka, a tym jest Ś. Januariusz. On do innego nie wchodzi kościoła, bo jemu wyłącznie służy; kiedy krew jego się burzy to godłem szczęścia dla niego, jeśli zastygnie to rozpacz. Rzuca się wtedy zuchwale na wszystko, co burzeniem krwi poświęconém nie jest; tą drogą prowadzą go do boju, ani go ustrasza utrata życia, bo je lekce waży.

Francuzi poszli w tę stronę, zyskawszy naczelników kilku, zapisali się na sąd świętego i ich świadkami swéj dobréj strony mieć chcieli. Wezwano biskupa aby do téj przystąpił próby. Championet jechał w królewskim powozie ośmią końmi ciągnionym, a obok niego stary lazzaron w długiéj koszuli z pałką ogromną w ręku, lecz na koszuli miał jeneralski mundur i kapelusz, trzykolorową kitą błyszczący. Weszli do kościoła, klękli przed ołtarzem pokornie; po prawéj stronie stała dziwaczna postać lazzarona. Chociaż

wojsko francuzkię kościół okala, ale wszystkie obrzędy jakie wojsko krajowe w tych zdarzeniach zachowuje, spełnia uroczyście. Wychodzi drżący biskup, bo wie, że jeśli rzecz źle pójdzie rozstrzelanym być może, odbywa świętą ofiarę; dobywa naczynie krwią świętego napełnione choć drżącą ręką, ale je jak może ściska; tysiące ludu patrzy wyglądając i oczekując wyroczni. Krew zakipiała nakoniec, lud zadziwiony, a Molitorno ze swojemi woła:— Vivat Rzeczpospolita Partenopy i Francuzi co nam ją dają! Lud był w osłupieniu, lecz stronnictwo z nim się łączy i korzyści nowego położenia dowodzi; jenerał do pałacu powraca, a postawieni krzykacze, imie nowéj rzeczypospolitéj ogłaszają. Kazano przyjść jednemu z batalionów naszych, z nim przymaszerowaliśmy z Kniażewiczem i podług zwyczaju rozbiłem wielką kartę jako znak mieszkania jenerała.

Nazajutrz zrana wchodzą dwie kobiéty i o posłuchanie proszą: jedna poważna i kształtnéj postaci, była to Prima Donna teatru S. Carlo, druga młoda i piękna, która mi się z twarzy znajomą już dawniéj być zdała. Była to żona porucznika Dz.... żona legalna bo pod drzewem swobody szlubowała mu wiarę i miała na to urzędowe świadectwo. Rzewnie płakała pytając, gdzie się jéj ukochany Dziu.... znajduje, błagała i zaklinała aby go o niéj uwiadomić albo odesłać do niego, opowiadała o morderstwach jakie popełniono w miejscu gdzie kommissarz ordonator z Chack... później wzięci byli; o swym losie, że jéj ocalonéj z niemi odpłynąć dozwolono, o litości jakiéj w Neapolu doznała, kiedy ją w opiekę téj pani zlecono i t. d. Przy-

rzekłem jéj, że ją mężowi dostawimy, który wedle rozporządzeń wojskowych, zapewne w Gaëcie kwaterować musi. Wrócił Kniażewicz z kwatery głównéj i ja mu o tém mówiłem, radziśmy się naśmieli gdzie się to młodéj i pięknéj osoby miłość umieściła! A że była wolna chwila, opowiedziałem jenerałowi jak się to zawiązało. Pan Dziu..... był synem jednego z sukienników pierwiastkowo do Korca sprowadzonych; doszedłszy przyzwoitego wieku, poszedł na wędrówkę rzemieślnikom zwykłą do Niemiec, bo ten język nie był mu obcym i miał też do nauczenia się języków niejaką mechaniczną łatwość. Wpadł na komendę werbującą i ta pociągnęła go z sobą; od wojska do wojska przechodził; był w Hiszpanii i w wojsku księcia Parmeńskiego, jakiś czas i przy Francuzach wisiał, aż się do legii dostał. Że mówił kilką językami był użyteczny, został oficerem, pełnił swój obowiązek dobrze, lecz się po trochu napijał. Związał się z podporucznikiem Zdorą i z nim kamrackie pędzili życie. Po naszém przyjściu pokazała się i ta piękna osoba, mówiono, że jeden sztabs-oficer francuzki zdobył ją sobie w klasztorze na granicach Toskanii, gdzie przez swych rodziców na wychowanie oddaną była. Francuz co ją do Rzymu przywiózł, przetrawiwszy swój zasób na jéj utrzymanie, gdy mu się stała ciężarem, awansował do pół-brygady we Francyi konsystującéj i gdzie rodzice jego mieszkali, uciekł nie zostawiwszy jéj żadnego sposobu utrzymania się. Ta z rozpaczy nie wiedząc co czynić, po kościołach biegała litości Bożéj wzywając, bo do rodziców powracać i wstyd jéj było i kara oczekująca wstrzymywała od tego kroku.

Zdało jéj się, że pocieszoną wyszła z kościoła, choć cieszyć się nie było z czego; na ulicy spotkała Dziu.... i Zdorę oba ubrani na nowo ze śniadania podochoceni wracali. Dziu.... mówiący po włosku, powiedział jéj, że jest zakochany, że jak ją w tym oto przyległym kościele widział, serce mu i rozum opanowała. Był to istotnie kościół, z którego od modlitwy właśnie wychodziła, zawołała:— Otoż i pociecha moja. Spytała potém czy jest oficerem i czy ją utrzymać jest w stanie i czy ślub formalny zaraz nastąpić może. Gdy to Dziu.... załatwił, już się z nim została. Nieuwierzysz jenerale dodałem, ilu tam z naszéj młodzieży probowało szczęścia nadaremnie, teraz gdybyś wiedział jak szlocha za nim szczérze!— Wiém, odparł jenerał, że to łotr kobiéciarz, ale zkąd mu tak piękna żona. Stary, koszlawy, podobno się upija, szkoda téj biédnéj. Wyrobiliśmy dla niéj powóz i do Gaëty odesłaną została.

Od tego czasu Championet zdobywcą się królestwa mienił i o swych tryumfach w Paryżu mówił; zazdrość trawiła podrzędnych jenerałów. Championet chciał sam jechać, ale bez pozwolenia z Paryża się lękał; posyłać boi się by nieprzyjaciele nieubliżali zazdrośni jego sławie. Przedstawia mu się znowu ilu to w zdobytém mieście dostatków jest panem, któreby mógł sobie przywłaszczyć; ale sto oczów patrzy na niego, a tu tajemnicy potrzeba. Na to znalazł się środek: do niego użyto pewnego francuza przybocznego Chack..... Oto jest gotowa lista, którą fakcya republikancka w Neapolu ułożyła: na niéj ci wszyscy co z królem uszli zapisani, na niéj przyjaciele ubiegłego dworu, a

podobno wszyscy co do téj fakcyi nie należeli. Każdego dom, mienie i co w niém najkorzystniejszego i najpiękniejszego do zebrania zanotowaném było. Chack.... miał sobie daną kompanią polską pod bezpośrednie swe władanie; w nocy otacza domy, obwinionego zatrzymuje, zarzuty mu czyta a tymczasem co lepszego w domu ze ścisłością zabiera i wiernie oddaje. Żołnierz ani wié celu ni środków użytych, ani tego Francuzom nieumiejąc języka zwierzyć się może, kara śmierci każdego zastrasza i wykupić się woli; trafiały się wprawdzie i omyłki o których późniéj mówiono. Przychodzą naprzykład do gospodarza, co go być z królem sądzono, on powiada, że przed niemi stoi, że nie wyjeżdżał nigdzie, że jest ten sam i tak się od urodzenia nazywał. Na to krótka odpowiedź: wiémy że gospodarza nie ma, tyś oszust i imie jego tylko przybiérasz. Żegnał się włoch i do przysięgi zabiérał, gdy tymczasem kosztowne jego sprzęty od fakcyi przygotowani ludzie zabiérali i pakowali, a żołnierze w przeznaczone odnosili miejsce. Działo się to nocami i tak cicho z początku, że nikt z mieszkańców obdzieranych, w początku głosu podnieść nie śmiał; mało o tém mówiono, a wyżsi jenerałowie chociaż paryzkich przyjaciół ostrzegli, dla swéj zniewagi, jednak wieści te zdawały się nie zasługiwać na wiarę i jak fałszywe je odpierano. Mówiono jednak, że jenerał Augereau w Medyolanie stojący zasiadł się był na te dostatki, jeśliby do Francyi kierować je miano; chciał się sam zbogacić, Championetowi tylko winę bez korzyści zostawując, ale mu się to przecie nieudało, o czém niżéj. W tych zatargach jenerałów chociaż po-

krytych wzajemnéj grzeczności formami, główno-komenderujący wziąwszy za powód uczestnictwo w boju i legii zasługi, posłać jenerała Kniażewicza ze sztandarami do Paryża umyślił i tak na czas wzajemną zawiść uspokoił. Były to liczne trofea i znaki królewskie zdobiące władzcę, któreśmy odwieźć mieli. Jenerał Dąbrowski powierzał nam syna, który w Paryżu potrzebnéj mu ogłady nabyć pragnął. On zatém, Kosecki i ja jako świta jeneralska ruszyliśmy do Rzymu; silna eskorta towarzyszyła bogatym upominkom sławy, nowém zwycięztwem nabytym. W Rzymie badaliśmy co się po naszém opuszczeniu działo; król jednego z państw włoskich swe wojsko w Watykanie rozłożył, żołnierz kładł ognie w wspaniałych jego salach i okurzał dymem pomniki geniuszu Rafaela i Michała Anioła. Co tylko błyszczało odziérano, i widzieliśmy stół kosztownéj roboty od Józefa drugiego ofiarowany, ze złocistych odarty bronzów i wiele innych szkód arcydziełom kunsztu poczynionych. W bibliotece kosztowne ksiąg okłady obdarto, wszędzie ślady niekarności wojska i małéj dbałości zwierzchniéj władzy. Spotkałem smutnie przechadzającego się przyjaciela mojego architekta Massy ze łzawém okiem mówiącego: Francuzi przenosili arcydzieła, ci jak barbarzyńcy je niszczą.

Odwiedziłem i moją wdowę szczérze ucieszoną, że cały z wojny powracam; żaliła się że w téj chwili nie miała za co odbyć od dawna pożądanéj do Francyi podróży, a instynktem życzyła abym wziął z sobą co z jéj kosztowniejszych sprzętów, mówiąc: w przygodzie w banku to zastawić można a potém wykupić;

wiém że mi to oddasz, bo ja do was przyjadę, wreszcie i ja wtedy nie będę bez grosza, gdyby go tobie brakowało. Po długim z mojéj strony oporze, dała mi dwa dość kosztowne pierścienie mówiąc:— Czy będziesz w teatrze, czy na zgromadzeniu, włożywszy je, nikt cię za potrzebnego i ubogiego nie weźmie. Powierzonych mi w ten sposób klejnotów pilnowałem szczérze, a że mnie póżniéj nabawiły trwogi, dla tego o nich wspominam.

Opuściliśmy Rzym; w Ronciglione zastaliśmy jenerała Grabowskiego, który z nowo-formowanym wojskiem rzymskiém tu kwaterował. On nas uwiadomił o powstaniu w kraju, który przebywać mieliśmy i że biskup w Viterbo miał niém kierować, że zabijano Francuzów ale podróżnych oszczędzano. Pocztą nam jechać nie radził, i schować stroje wojskowe jako jedyny środek choć i tak niepewnego przejazdu. Dostano nam koni do powozu z ludźmi zabezpieczonemi, że nas nie wydadzą, bo właściciele zamieszkali tam za zakładników służyć mieli. Cofać się już było trudno i myśmy się puścili tą drogą, bo państwo Toskanii niedaleko było. Ażeśmy do podróży mieli cywilne odzienie, pochowaliśmy wszystko coby nas za Francuzów wskazać mogło. Widzieliśmy po drodze smutne ofiary pojedyńczych mordów, a zbliżając się do Viterbo śmierć zajrzała nam w oczy, gdy się nagle zatrzymał powóz i krzyk, aby nie jechać daléj dał się słyszeć. Człek to jakiś w odzieniu kościelnego sługi zatrzymał nas, lecz że był jeden, pokonać go nie było trudno. On się do karety zbliżył, mówił, że wié kto i dokąd jedzie, a biskup o tém zawiadomiony, przodem go wysłał, aby

przestrzedzby się jenerał posłem hiszpańskim jadącym z Rzymu nazywał i jego tak zwać będą przed zbrojnym ludem, który miasto napełnia. Miał nas doprowadzić do biskupa, jakoż usiadł na koźle z nami. Widzieliśmy gdzie niegdzie ciała pobitych, mówiono powszechnie, że biskup stał na czele powstania, myśl przychodziła, że w nas zapewne szukać będzie znakomitszéj ofiary. Otoż i miasto, pokazują się zdala uzbrojone tłumy, wjeżdżamy w nie, a nasz organista zapewne większéj części znany woła ciągle:— Poseł hiszpański z Rzymu do biskupa.— Ustępują, ciekawsi się nam przyglądają, aż do drzwiczek się cisnąc; wchodzimy do pałacu biskupiego wszyscy. Nie mieliśmy służących coby nas obcym mówiąc językiem zdradzili, furmani byli pewni, lud się od nich o niczém dowiedzieć nie mógł. Biskup się zmarszczył— próżny był sekret, powiada, wiém o waszém przeznaczeniu; i jenerała na osóbność wyzwał.— Jenerale, rzekł, obudwu nas fałszywe położenie, rzekł, co ciebie dziś, to mnie jutro czekać może, ratujmy się wzajemnie. Ja się o wasze bezpieczeństwo postaram, jeśli mi podpiszecie świadectwo, żeście mnie jedynie winni życie. Sądzę, że gubić mnie jenerale, nie zechcesz, rozgłaszając żem cię ocalił, lecz tajemnie tylko o tém jenerała en chef uwiadomisz. Zaprzężono nam pocztowe świéże konie, wyszedł biskup i widząc Kosseckiego młodziuchnego i mizernego, wziął go za przebraną kobiétę, przyniesiono dla niego cukierków i mniemanéj dziewczynce radził, aby przestraszona napiła się wody, upewniając, że jéj się nic złego nie stanie. Podpisawszy cyrograf który ubezpieczał nasz przejazd, z organistą dodanym

nam, zawsze jako Hiszpani gnaliśmy aż do granicy księstwa Toskańskiego. Mieliśmy znowu przed sobą zbrojne kupy, ale przebywszy główną ich kwaterę, spokojnie resztę odbyliśmy drogi.

Cóż to było za szczęście stanąć na spokojnéj i gościnnéj ziemi, po takim trwogi upale. Powóz nam wytrzymywał dotąd, lecz już potrzebował naprawy, stanęliśmy w tym celu w Siennie. Rzemieślnicy jęli się gorliwie roboty, my tymczasem pożywić się musieliśmy. Było wielu u tegoż co my stołu, z nich jeden z jakąś szczególną spoglądał na nas bacznością. Przyniesiono regestr popraw jakich nasz powóz potrzebował, a oddający nam go widocznie był zakłopotany. Ucieszeni pośpiechem jużeśmy wcale o ceny się nie spierali, kiedy jeden z towarzyszów stołu zbliżył się do jenerała i o pokazanie regestru prosił. Rzemieślnik co go przyniósł podchwycił, że na nagłość roboty mieć wzgląd należy a podróżni wcale się na ceny nie skarżą. Pomimo to, dobył nieznajomy ołówka i cyfry zmienił, a o znaczną część zmniejszony rachunek podał jenerałowi do zapłacenia. Był to urzędnik umyślnie wyznaczony do zachowania podróżnych od zdzierstwa i na to jedynie postawiony. Jenerał wybrał środek, a obracając się do nas po polsku powiedział:— Krakowskim targiem przeciąłem po połowie, co ten pan ujął rzemieślnikowi. Trwała czas jakiś rozmowa z urzędnikiem, który nam o wielu podobnych rozporządzeniach mówił dodając:— Na naszego księcia podróżny skarżyć się nie będzie.

Udaliśmy się do Florencyi, w któréj że dotąd jenerał nie był jeszcze, dzień cały obejrzeniu miasta

został poświęcony; tameśmy w domu Roncionich, który nas gościnnie przyjął, znaleźli możnego rodaka a domu tego przyjaciela, marszałka Rzewuskiego. Mieszkał on wówczas w Pizie, ale się we Florencyi czasowie znajdował. Miło nam było go poznać, prawdziwie polskiém przyjął nas sercem. W późniejszych latach byłem z nim zbliżony, dla tego nie zapomniałem piérwszego z nim poznania. Ztamtąd na Bolonią obróciwszy drogę, zastaliśmy tam jenerała Moreau; znany nam był ze sławy, aleśmy go jeszcze nigdy nie widzieli. Był on inspektorem armii włoskiéj, bo popadł w niełaskę, przyjął choć niższe miejsce, bo je podnieść był pewnym; jakoż gdy się kampania zaczęła, ocalił armią rozbitą po zabiciu jenerała Joubert'a. Oddaliśmy mu uszanowanie, a on nas także natychmiast odwiedził i dość długo bawiąc, mówił o kampanii neapolitańskiéj z tak drobnemi szczegółami o położeniu miejsc, jakby się tam urodził. Każdy ruch, każdy wzgórek na którym armaty rozstawione byłyby przyśpieszyły skutek, z największą opisywał dokładnością, tak, że się Kniażewiczowi choć z boju powracał, mało co do powiedzenia zostało. Mówił wiele jenerałowi o użyteczności legionów, okazywał zalety Kniażewicza, które mu słuszną robiły sławę, oglądał nasze trofea i wiedział już nawet które przy Championecie zostały, napomykając o wzburzonéj przeciw niemu zazdrości w Paryżu, która mu upadkiem grozi. Mówił i o fakcyi która go wspierała, a jeśli ta górę weźmie, przepowiadał, że z sobą go wynieść zapragnie; słowem więcéj nam daleko mówił, niżeliśmy w piérwszych czasach, w Paryżu usłyszéć mogli. Przejęci dla

niego czcią na jaką zasługiwał, ruszyliśmy ztąd do Medyolanu; tu się cześć rządowi należała, bośmy byli z legionów auxyljarnych cizalpińskich. Minister wojny przyjął nas z godnością, pochwalał naszą użyteczną służbę, lecz żeby coś powiedziéć więcéj, wspomniał, że nadto wolno jedziemy, bo już gazety paryzkie piszą o naszéj z Neapolu wyprawie, gdyśmy dopiero w Medyolanie stanęli. Dla zaspokojenia jego troskliwości mniemanéj, wyjechaliśmy natychmiast nie zatrzymując się wcale. Stanęliśmy w Turynie; tu widziałem arcydzieło cierpliwości, ogromny czas kosztujące. Pracowity artysta lat dwadzieścia poświęcił wyrobieniu drzewa, którego pień był starą Europą, gałęzie narodami, a listek każdy miał na sobie troskliwie wyrobiony medalion osób panującéj rodziny. Wykonano z największą dokładnością wizerunki według medalów królewskiego gabinetu i ułożono to w sposób, że drzewo całe historyą Europy przedstawiało. Czas, praca i nakład artysty w oczach jego podnosił wysoko cenę téj sztuki, za którą rząd francuzki dawał sto tysięcy liwrów; ale on to miał za małą zapłatę. Co się z tém późniéj stało, nie wiem.

Alpy przejechaliśmy przez Mont-Cenis. Niżeli karetę rozebrano na muły, spotkałem kilku ludzi z Novalese, którzy mnie w krótkim czasie z góry spuścić obowiązywali się. Śnieg na wierzchołku Alp i na odwrótnéj ich stronie był wielki; rozpytywałem czy tu bezpiecznie; mówiono mi, że bywały zdarzenia zasypania lawiną, ale jeszcze niezawiało zbytecznie śniegami i z gór nie lecą bałwany, śmiało więc puścić się można. Chciałem sprobować téj podróży, którą tam

nazywają *se ramasser en traineau.* Wyciągnął przewożący na miejsce najwyższe góry drobniuchne saneczki, na których usiadłem, a on na nogach moich, abym się ani ruszyć nie mógł. Dwie jego nogi ustrojone były kramponami, nakształt podkówek naszych, każda z nich trzema kolcami opatrzona; nogi jego kierowały podróżą, drugi jego towarzysz wyciągnął sanki na wierzchołek i zepchnął nas z góry. Ostrzeżony, że trwogę śmiercią przypłacić można, a ruch gwałtowny przynajmniéj kalectwem, siedziałem jak martwy. Ciężko tu wszystkie opisać wrażenia: często gwałtowność lotu oślepiała niewprawne oczy, często przepaście o cal tylko od sanek widziane niesłychaną przerażały trwogą, zdawało się, że im miejsca zabraknie, chce się krzyknąć lecz kara śmierci lub kalectwa zapowiedziana wstrzymuje; wtém niebezpieczeństwo lotem błyskawicy mija, następuje nadzieja, przychodzi drugie, lecz już widzimy miejsce przeznaczenia i żądamy zbliżyć do niego. Stanęliśmy nakoniec, kilka minut zastąpiły godziny zwykle téj drodze poświęcone; jaki tryumf z niebezpieczeństw przebytych w tak nadzwyczajnéj podróży, gdy mi jeszcze przewożący powiedział, że w przyległéj wiosce zimował Anglik dla tego jedynie przybyły, żeby każdego dnia sposobnego wyjechawszy na mule na wierzchołek, mógł podobną drogę odbyć na powrót. Z czém to się oswoić nie można, dodawszy silną wolę w wykonaniu. Nasza podróż była nagła; wjeżdżając do Francyi, otaczano nas, jako podróżnych już z gazet wcześnie wiadomych; byli wprawdzie i tacy co chwały narodowéj niesyci cóśby dowiedzieć się chcieli z krainy zwycięztw, lub o swo-

ich, o znajomych dopytać. Tych mało zaspokoić byliśmy w stanie. W Lyonie zapał ten zdawał się być tylko w osobach rządowéj służby, a mieszkańcy głuchemi się okazywali na odgłosy wojennéj chwały. Tam piérwszy raz spocząć zapragnęliśmy; jeden z młodych ludzi dobrego towarzystwa chciał mnie na teatr zaprowadzić i chętnie skorzystałem z zaproszenia. W przerwie aktów chciał bym był z nim w loży krewnych jego i tam mnie zaprowadził, jako jadącego z Włoch prezentując. Uprzejma rozmowa dam zagrzewała mnie abym ją utrzymywał, zdało mi się, że mi to dopomoże, gdy powiem o naszém świetném przeznaczeniu do téj podróży.— *Vous êtes donc de l'armée Monsieur?* i konwersacya zlodowaciała natychmiast, a mój towarzysz o blizkiém poczęciu następnego aktu wspomniawszy, dał mi uczuć wyjścia potrzebę. Potém mi w drodze mówił, jak wyższe towarzystwo chroni się stosunków z osobami do armii należącemi.

Jechaliśmy już niezatrzymując się do Paryża; zaledwie tu stanąwszy, grzecznością francuzką otoczeni byliśmy; niżeli nam urzędowe wizyty czynić polecono, obaczywszy, że się ubieramy w mundury, proszono, abyśmy się nie żenowali i byli we frakach podług miejscowego zwyczaju. Tak nas do osób Dyrektoryat składających, ministrów miejscowych i posłów ściśléj sprzymierzonych mocarstw zawieziono.— Byli to reprezentanci nowych rzeczpospolitych Hollenderskiéj, Szwajcarskiéj, Cyzalpińskiéj, Rzymskiéj, Partenopejskiéj i potém do hiszpańskiego posła pana d'Azara, dla którego osoby szczególne miano względy. Skończywszy

co wymagało od nas położenie służbowe, udaliśmy się do jenerała Kościuszki, w domu dawnego swojego agenta Barsa stojącego i znaleźliśmy się między rodakami, co się tam ciągle zbierali. Rodzina kobiét polskich, patryarchalny naczelnik i osób kilkanaście, których imiona obce nam być niemogły, cóś dla nas miały uroczystego: Prozor, Majewski, familia brata jenerała Zajączka i jego żona, Sokolnicki i Fischer świéżo z niewoli przybyły, Dmóchowski i Szaniawski i co tylko było Polaków w Paryżu, zbierali się tutaj. Z podróżnych byli bracia Czapscy, Mikołaj Sapieha i Wielkopolanów dosyć. Tu mi wspomnieć należy, że zaraz po przyjeździe Kościuszki do Paryża, jenerałowie nasi wygotowali solenny adres do niego, z Rzymu przez nich i oficerów podpisany, gdzie mu wyrazili co czuli tylko i co wypowiedzieć mogli; ten adres posłany został Kościuszce przez Zawadzkiego adjutanta Dąbrowskiego. Przy nim odesłali mu pałasz Jana III, legiom z Loretu oddany z wyznaniem, że jego tylko ręka władać nim jest godna. Wzruszył się do łez starzec widząc w Kniażewiczu dawnego adjutanta swego i żołnierza, którego ocenił zdolność i jenerałem uczynił. Okoliło go towarzystwo, a ci co stosunków z Dąbrowskim nie mieli, widzieli w nim człowieka co ich szlachetne cele pojmie, oceni, i z legionami połączy duchem jednym. Słowem był to dzień dla nas uroczysty, był moment połączenia odłamów, które opinie różne lub miłość własna rozdzieliły. Wszyscyśmy wezwani na skromną ucztę, która im stół dawnego naczelnika narodu przypomniała, łamali chleb radośnie, sami tylko będąc ze swemi. Zaraz z obiadu udano

się do naszéj kwatery; a towarzystwo deputacyjnego odłamu, o którym wyżéj wspomiałem, kazało Szaniawskiemu złożyć akta zbierania się swego, co też on natychmiast dopełnił.

Tymczasem nadchodził dzień naszego publicznego posłuchania; w dawnym pałacu Burbonów okolono wzniesionemi na wiele stopni ławami siedzenia Dyrektoryatu, z którego nas miał przyjmować. Miasto odgłosem dnia tego przepełnione było, a każdy pragnął być widzem uroczystości. Chciano nas poznawać wprzódy, i ci cośmy u nich z obowiązku byli, i ci co z Kościuszką trzymali, przyjaciele amerykańskiego oswobodzenia, towarzysze lub zwolennicy Lafajetta. Był też i podeszły Kelerman co w Polsce wojował. On do swéj pierwotnéj sławy, do piérwszych wrażeń swéj młodości jakby do piérwszéj kochanki, rad zwracał uczucia swoje; znał i pamiętał imiona co mu w konfederacyi Barskiéj towarzyszyły; czasem i o wadach mówił, lecz w żarcie jego wesołość i pamięć na ubiegłą przeszłość się przebijała jedynie. Wielu Francuzów co w Warszawie ostatniéj ambassadzie towarzyszyli i z przyjaźnią rozstali się ze znajomemi: Vido, D.... z ambassady Konstantynopolitańskiéj świéżo przybyły, który tam staroście szczerzeckiemu był znajomy, co interessów naszych się wyuczył i ze znajomoscią rzeczy o nich mówił, a Kościuszkę kochał z zapałem; Segur co znał Kniażewicza w Białymstoku, kiedy u pani Ogińskiéj gościł, byli to nasi codzienni towarzysze, przewodnicy na nieznajomym nam politycznym świecie i sprawy naszéj obrońcy. Tak szczęśliwy nasz się tu pobyt otwierał. Czemuż nie wtenczas te pamiętniki pisałem!

Nie jedno wspomnienie, nie jedną myśl wytrąciła połowa prawie wieku spędzona w odmiennych sprawach choć w jednych zawsze uczuciach, lecz to są okruchy z przeszłości i jako okruchy je podaję tylko.

Przyszedł dzień prezentacyi trofeów, proszono jenerała Kniażewicza, aby dał wiedzieć co mówić pragnął; mowa jego była energiczną, a przygotowana na nią odpowiedź Barrasa, zaledwie wspomniała o nas z daleka. Niezaspokoiło to serca, ale trudno się było ucierać. Rozdano rodakom naszym miejsca aby dzielili piękny widok téj uroczystości: Kościuszko między ministrami posadzony został. Myśmy weszli z ministrem wojny, a nasz odrębny strój wojskowy, nasze czapki trójkolorowemi kitami ozdobne, srébrne szarfy, błyszczące ładownice, swą nadzwyczajnością wielce się ludowi podobały. Po przymówieniu się Kniażewicza i odpowiedzi Barrasa, huczna orkiestra odezwała się hymnem narodowym francuzkim, a przy wyjściu oklaski huczne zebranych widzów, pochodowi naszemu towarzyszyły. Nastąpiły popisy okazałości i ogromne uczty szły koleją: zacząwszy od Dyrektoryatu, ministrów i posłów mocarstw sprzymierzonych. Trwało to niedziel parę, w ciągu których za wysoko postawionych mniemać się mieliśmy prawo; pomału to ostygło i czas ogólnego ochłodzenia należało zużytecznić u osób rządowych. Podany został projekt upowszechnienia legij naszym podobnych, przy innych armiach, okazując wynikające z nich korzyści.— Rząd go przyjął, na téj co i włoskie zasadzie, aby one auxyliarnemi u utworzonych rzeczpospolitych na ich koszcie pozostały, i w tym celu do traktowania jenerała Kniażewicza z ministrami pełnomocnemi upoważniono. Zaczęto od Szwajcaryi, rzeczpospolitą Helwecką zwanéj, poszły wzajemne noty. Rząd téj Rzeczypospolitéj tłómaczył się, że oni własną ludność do wojny zdatną w cudze wysyłali kraje, aby się tam umieścić mogła, a ubóstwo Szwajcaryi niedozwalało jéj podobnéj przyjąć myśli. Pan Schimmelpfenig poseł hollenderski zdawał się sprzyjać naszemu celowi, długo korespondencya trwała nimżeliśmy stracili nadzieję, stosunki jenerała z tym ministrem były ściśle bardzo.

Tu kilkomiesięczną przestrzeń czasu sprawami ówczesnemi zapełnić wypada. Rząd, Championeta wyzuł z jego komendy, a on się do Delfinatu na mieszkanie usunął. Na oczekiwane jego dostatki próżno się jenerał Augereau oglądał, gdy tymczasem one się już do Paryża zbliżały i fakcyą z samym ucierającą się rządem, wkrótce miały wynieść do najwyższéj potęgi. Z drugiéj strony koalicya siłami rossyjskiemi zwiększona, gotowała się na podbicie Włoch całych i nadzwyczajnego potrzebowała wysilenia w kraju, gdzie rząd swą powagę, a finanse kredyt widocznie traciły. Kwiat armii był w Egipcie, był tam i bohatér co urocze prowadził wojny. W Rastadt niekończono rzeczy, a napad i śmierć posłanników francuzkich, wojskom austryackim przyznawana, zemstę narodową wywoływała. Trzeba też było ocucić martwego ducha ludu co się już nużył co chwila odnoszonemi zwycięztwy. Armia już opuszczała świéżo zdobyty Neapol, Suwarów miał stanąć na włoskiéj ziemi.— Myślałbyś, że to wzruszało lud paryzki? bynajmniéj. Chłopcy co roznosili gazety, piérwsi postrzegli obojętność ludu i

wielu ich zmieniwszy się razem, wołać zaczęli, że roznoszą nowiny o zupełném armii włoskiéj zniesieniu, choć nic o tém słychać nie było; ciekawość ogólna, nowość dawno niesłychana, każdy kupuje i czyta, a przedający zmyka w inną stronę. Po przeczytaniu każdy ciska papier z gniewem, poznając, że z niego zażartowano, a chłopcy zbierają gazety, by niemi daléj tę samę sztukę na przedmieściu rozpocząć mogli.

Zabójstwo posłów w Rastadt obrócono w dramatyczną scenę i wspaniały dla nich pogrzeb gotowano, gdy tymczasem fakcye wewnętrzne głoszą, że ich zamordowali podstawieni umyślnie na to przez samych Francuzów; ci co Bonapartego widoki popierali, mniemanie to w obieg puszczali. Przychodzi dzień pogrzebu uroczystego: wojsko się zbiera na placu Marsowym i szykuje, w środku dla Dyrektoryatu wysokie rusztowanie nad poziomem się wznosi. Gdy karawany z ciałami męczenników idą, przed niemi muzyka śpiewem żałobnym opłakuje ich straty, skrwawione suknie leżą na wierzchu i o morderstwie świadczą; za nimi żony i dzieci trochę za nadto harmonijnie płaczą, o wielką brązową machinę uderzają młotem, aby jęk doszedł uszów każdego. Mówi jeden z dyrektorów żałobną mowę, wlatują gońcy z sztandarami na których napis: Wojna! wojna bez przebaczenia angielskiemu rządowi, twórcy nieszczęść Europy! składają te chorągwie na ołtarzu kraju, porywają aby je rozwieźć armiom francuzkim, a ulice obleczone w afisze powtarzające napis: wojna Anglii! wojna Anglii! Tak się ukończyła scena, a lud jakby z teatru powracał. Niektórzy między płaczkami chcieli dziewczęta z opery

i baletu upatrywać, ale tak może tylko niechętni mówili.

Podniósł się i w Kościuszce zapał zrzucenia z siebie ciężaru wdzięczności, jaką wspaniałości Cesarza Pawła był winien; ciężył mu najwięcéj na sercu dar pieniężny znaczny, który przy jego skromném życiu, mógł mu materyalną zabezpieczyć niepodległość; ten dar zwrócić zapragnął. Sam uczynek, jakkolwiek go sądząc, okazywał człowieka wyższego nad losy, lecz redakcya listu towarzyszącego mu nie do niego należała. Revéillière le Pau, jeden z dyrektorów, był jego powiernikiem. Styl tego listu spełzły, bo od lat kilku już Francya innym językiem mówić zaczynała, wyrażenia twarde i niestosowne dla uszu władzcy co w swym czynie szlachetną wspaniałomyślność widziéć miał prawo, obraza niemała; i czas nie był po temu, aby tak atletyczną walkę rozpoczynać, gdy we Francyi wróżono sobie pozyskać właśnie polityczne z Cesarzem stosunki. Nie mojéj to siły rozwiązywać zagadki; zdawało mi się przecież, że dyrektor, co na ministra wojny Dubois Crancé wprowadził, który jeszcze z Septembrystów pozostał, pragnął obudzać uczucia któreby wróciły i piérwszą tęgość i nienawiść, jaką upadający we Francyi republikanie mieli do istniejącego rzeczy porządku, który w reszcie Europy trwał jeszcze. Wkrótce też i wstrząśnienie w samym Dyrektoryacie nastąpiło; Reveillière le Pau wyrzucony, a na jego miejsce zręczny Sieyés, poseł przy dworze Berlińskim, przywołany został; Talleyrand do interesów zewnętrznych wzięty, a Dubois przez Bernadotte zastąpiony. Byliśmy, kiedy się Sieyés jako dyrektor

publiczności pokazał: Barras po innych, prezentował mu jenerała Kniażewicza, jako polaka z armii włoskiéj przysłanego, co się tam ze swemi dystyngwował. Sieyés na te pochlebne słowa odpowiedział grzecznie, że w Berlinie także powziął z opinii powszechnéj przekonanie o talentach wojskowych naszych ziomków, i że w każdéj służbie tę im oddają sprawiedliwość. Jenerała zabolała ta odpowiedź, bo wtenczas właśnie przypuszczano podobieństwo, że nas na koszcie francuzkim formować miano, zawsze jednak z auxyljarności znamieniem.

Po téj w rządzie przemianie, Championet oczyszczonym został, nawet do zaufania wrócony, bo go komendantem Paryża naznaczono. Tu mi wspomnieć wypada o drobnostce mającéj z tém związek. Chack...... zyskał był sobie względy jenerała, bo mu wiernie i użytecznie usługiwał, kiedy się jenerał z Neapolu z dostatkami swemi cofał, a Augereau na nie zasiadał. Dąbrowski właśnie mundury dla legionów w Medyolanie przygotował i wszystkie wojskowe furgony po nie wyprawiał, Chack.... mu w tém swoje ofiarował posługi; być mogło, że i jenerał en chef użyć go jako zręcznego życzył. Wiedziano po cechach do kogo one należały i wiadome było ich przeznaczenie. Przeszły kraj bez podejrzenia; mówiono przecie, że z niemi razem przewiezione zostały Championet'a dostatki. To było niezawodném, że on przed zmianą w rządzie już się w Paryżu znajdował, a jako polecony od jenerała en chef odbiérał nawet pewne wziętości oznaki. Mówiono, że przez niego się odbywały z Championet'em stosunki; było nawet mniemanie, że Wołodkowicz któ-

rego późniéj w służbie francuzkiéj jenerałem Henri zwano, jako jadący do Włoch polak niepodejrzany policyom, odwiózł mu stanowczą odpowiedź. Tośmy tylko pewno wiedzieli, że zaledwie nastąpiła zmiana, znalazł się jenerał Championet, i Wołodkowicz, którego znać wprzódy nie mógł, przy jego świcie jako jenerał polski figurował, niżeli go w aktualnéj służbie francuzkiéj umieszczono. Chack.... zaś jako domowy i powiernik, poufałości nawet odbiérał oznaki: a tak oni przy jednym ogniu, jak przysłowie niesie, i swoje pieczenie upiekli. W tym czasie i Kościuszko i Kniażewicz niepewni czy na formacyę nowéj legii zezwolą, mistyfikowani przez Chack... dręczyli się napróżno. Dla niego łatwo przychodziło otrzymywać rządowe pasporta, około niego zbierali się gry towarzysze, on ich rozsyłał do wielkich miast kraju za grą jedynie, a brał dla nich paszporta jak dla oficerów polskich przeznaczonych do werbunku swoich, jeśliby się tam znajdowali. On takie paszporta pokazywał tym, co u jenerałów bywali i dawał do zrozumienia, że legią formować będzie!!! Jakaż to była bojaźń dla nich, że się cóś ukrytego przed niemi knuło! Po powierzchownych oznakach i w stanie rzeczy istniejącym, zdawało się to być podobne; trzeba się było do ministra udawać, a Bernadotte odpowiedział, że żadnéj o tém nie miał wiadomości, że nie wiedział jak to komu do głowy przyjść mogło.

Już też się wielkie boje zaczęły w Hollandyi. Rossyanie z Anglikami wysiedli, Francuzi ich napadli, Anglicy na okręta wsiedli, a znaczna część Rossyan dostała się do niewoli. Rząd chciał uspokoić Paryż

pokazując mu tego żołnierza północy, o którym lud miał wysokie pojęcie; komenda Paryża już wówczas w ręce Lefèvr'a była przeszła. Gdy więźnia do Paryża przywiedziono, chciano oficerów ich ugościć i oswoić z sobą; zażądano od jenerałów naszych, aby dali wybranych oficerów, którzyby gościnność rządu francuzkiego okazali. Myśmy kilku przyjęli to polecenie, a oni w Saint-Cloud umieszczeni być mieli. Kazano nam wozić oficerów po teatrach i okazywać osobliwości miasta, pilnować dostatecznéj żołnierza wygody. W piérwszym celu mieliśmy assygnacyę do kass rządowych w Paryżu; lecz w przygotowaniu do wojny, tak one wyczerpane zostały, żeśmy próżno do komendanta jenerała Lefevre wrócili, a on nam ze swoich wyliczyć kazał. Nazajutrz więźniów do Paryża wprowadzono, tak marszem kierując, aby ich na ważniejszych ulicach miasta widziano. Wezwano Kościuszkę i Kniażewicza aby się na balkonie domu Kościuszki znajdowali, gdy oni przechodzić będą, i ostrzeżono prowadzonych, kto tam miał na nich poglądać; jakoż mu się z uszanowaniem i ciekawością przypatrywali, bo tam oddziały ich, jakby dla krótkiego wypoczynku zatrzymywano.

Jednego z poranków, któreśmy powszechnie nad jaką robotą do nowéj formacyi potrzebną, w kwaterze spędzali, wszedł rządowy urzędnik i oświadczył, że był od Dyrektoryatu posłany, który jenerałowi Kniażewiczowi broń honorową przysyła. Był to wówczas jedyny sposób wyższego wynagradzania i oznaka zadowolnienia rządu. Pałasz miał na sobie napis, świadczący, że go Dyrektoryat w nagrodę zasług ofiarował; przy

nim była para pistoletów umieszczona w pięknéj szkatułce z takimże napisem. Dar ten pochodził z fabryki rządowéj w Wersalu, gdzie arcy-dzieła na dary dla monarchów sprzymierzonych służące wykonywano.

Piérwsza ta nagroda którą rodak odbiérał, była wielką pociechą dla nas wszystkich mieszkających w Paryżu. Zebrał nas Kościuszko na skromny obiad, radość była powszechna, a przy spełnionym toaście, naczelnik się odezwał:— I ja z méj strony ten dzień uczcić pragnę; gdym z niewoli przez Sztokolm powracał, wysłano przeciwko mnie szalupę, którą do portu odpłynąć miałem; majtkami na niéj byli oficerowie marynarki co na ten raz swych stopni się wyrzekli i służbę najniższą pełnili dobrowolnie. Gdy mnie przed królem stawiono, dał mi w podarunku pałasz, mówiąc o dawnym narodu swego z naszym związku. Kościuszko zakończył na tém, że się spodziewa, iż mu jego sprzęty wkrótce z Ameryki nadejdą, a on pragnie tym orężem Kniażewicza obdarzyć i ten mu dziś w obec przytomnych ofiaruje. W jednym dniu dwa tak piękne dary Kniażewiczowi ofiarowane, zbyt głęboko utkwiły w mojéj pamięci i sercu były miłe, bym o nich mógł zapomnieć. Zdaje mi się jednak, że czy to z powodu nienadejścia rzeczy z Ameryki, czy dla osłabienia stosunków między jenerałami, czy z jakich innych powodów, ale żyjąc lat wiele z Kniażewiczem poufale, nigdy u niego pałasza tego nie widziałem. Wyszukaćby go należało, jako szacownéj pamiątki.

Między rodakami naszemi znajdującemi się w Paryżu, mało natenczas było osób, coby się wyłączniéj naukom poświęcały; późniéj jenerał Sokolnicki był

najczynniejszym w tym względzie, i miał nawet zaszczyt zostać członkiem korrespondentem Instytutu Narodowego. Uważano go wówczas jedynie za podróżnego i przejeżdżającego; usposobiony wychowaniem, później w artylleryi służąc postąpił w matematyce; architektura i rysunek były mu ulubioném zatrudnieniem, w Paryżu, nauki fizyczne wyłącznym jego przedmiotem. Niegdyś z akademii Krakowskiéj wysłany przez prymasa Poniatowskiego, Maliszewski, osiadł w Paryżu; ożenienie dało mu stosunki, był kommissarzem ordonatorem przy armii; ale i naukami się zajmował, do pism peryodycznych pisał i artykuły jego chętnie przyjmowane były. Markowski w sztuce lekarskiéj (od akademii Krakowskiéj dla nauki przysłany), zaczął swój zawód przed rewolucyą; przeznaczony do dozoru politycznych więzień, zasłużył na uwagę tych, których pielęgnował i zyskał sobie ich szacunek, który mu i cesarzowa Józefina przed wyniesieniem swém okazywała. Człek łakomy nauki, przechodził od jednéj do drugiéj, szacowali go uczeni; pamiętam, bom był tego świadkiem, jak go Fourcroy z naleganiem wyzywał na examinatora swych dzieci wracających z Londynu, o ile w naukach postąpiły. Później był professorem chemii w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Z wojskowych Fiszer i Kossecki, ciągle oddani naukowéj lub służebnéj na przemian pracy, posuwali się do swego wyższego później stanowiska. Gawroński podpółkownik artylleryi do nich się zaliczyć może; obyczaje łagodne, charakter uprzejmy ale bez tęgości ducha, nawykły do wygodnego bytu, zbyt łaskotliwym okazywał się na niedostatek, który drudzy ze stoiczną

znosili cierpliwością. Później dla braku energii, tragiczny spotkał go koniec.

Sokolnicki pragnął coś wykonać nowego, w czémby jego pomysły i uzbiérane wiadomości zabłysnąć mogły; zajął się w tym celu ułożeniem planu fantastycznego domku, w którym nauką zdobyte czary, miejsce dawnych zastąpić miały. W nim i codziennego życia potrzeby, obok naukowych zajęć nie schodziły mu z oczów. Wieżyczka nad nim zamykać miała teleskopy i zwierciadła, w którychby widział jak czeladź jego rolę uprawia; w domu ukryte w ścianach wklęsłości odnosiły mowę ze wszystkich zakątów mieszkania do uszu pana, któryby nie potrzebował doniesienia o tém co się u niego działo; mnóstwo podobnych inwencyj czyniących ten domek zaczarowanym, wyszły mi już dziś z pamięci. On, o nich mówiąc, pieścił się temi wynalazkami, i obszernie tłómaczył ich cele i sposób dokonania. Wolno mi czasem było podzielać z nim godziny; wyzywał mnie nawet bym mu upatrzył kogo możnego, coby swym nakładem myśl jego do skutku przyprowadził, a ja mu staranie moje uroczyście przyrzekłem.

Wtenczas właśnie improwizator Gianni pracował nad poematem: *Bonaparte in Italia;* jam z nim był ściśle związany, bom chciał skorzystać z jego społeczności. Fantastyczność rozwinięta później w XIX wieku literaturze, tlała już w duszy włoskiego wieszcza. Zaniosłem mu o tym domku nowinę, postrzegł, że do wątku wypadków jego poematu przydać mu się ten pomysł może. Uprzedziłem Sokolnickiego, że jest bogacz co jego pracę chce rozwinąć i urzeczywistnić, i

artystę z magnatem zapoznałem. Im lepiéj Gianni uczył się nadzwyczajności wynalazków Sokolnickiego, tém to wynalazcę więcéj cieszyło. Gianni istotnie zastosował myśl jego do poematu i w krótkim czasie przeczytał mu swój domek czarodziejski wykonany z planu Sokolnickiego. Mówiono mi potém w Warszawie, że po powrócie do kraju, siostra Sokolnickiego wykonać go chciała i całe swe mienie w to włożyła; lecz co poeta opisał, mularze i artyści polscy dokonać nie mogli, i tak się tylko na stracie przez nią poniesionéj skończyło.

Ten to Gianni pobratał mnie z emigrantami włoskiemi, którzy w Paryżu natenczas mieszkali. Ceracchi znakomity rzeźbiarz, Morosi geniusz w mechanice, mieli tu poważenie i wielkie stosunki. Lucyan Bonaparte był ich protektorem: przebywali często w domu Letycyi matki jego. Arena należał do ich towarzystwa. Jakże z ludźmi takiemi nie miało mi być miło zbliżyć się i zawiązać stosunki, codzień stające się silniejszemi. Mówili mi, że są członkami Europejskiego Klubu, który miał drogą poszanowania wszystkich narodowości, połączyć je w jedno ciało, że każdy już naród ma w nim przedstawujących go członków, i że mnie także przyłączyć do siebie pragną. Jakoż wprowadzili mnie z sobą; najgłębsza tajemnica była duszą czynności, jam nie był gadatliwy. Widziałem Lucyana Bonaparte, który przyjmował, Arenę który rzecz wykładał, Ceracchi co Filadelfię reprezentował, Engeströma który w imieniu Szwedów mówił, jakże mi to pochlebiać nie miało? Każdy z członków mógł dwóch tylko assocyować i tak wszyscy następnie; oprócz głó-

wnego zebrania, nikt więcéj jak ze swemi dwóma nie miał mówić o rzeczy.

Zdawało mi się, że w ten sposób urządzona propaganda była zupełnie bezpieczną; lecz gdym późniéj do Paryża wrócił, już Arena i Ceracchi, jako konspiratorowie rozstrzelani zostali, a mój Gianni choć ocalony, na czwartém piętrze zamknął się od ludzi daleko, i z trudnością widzieć się z nim mogłem. Żem się między swemi nie wydawał z niczém, skończyło się to na mojéj własnéj trwodze. Co do naszych rodaków, ci się ciągle skarżyli na Dąbrowskiego, że z niemi ściślejszych unika stosunków, wołali o potrzebie aby Kościuszko na czele legionów stanął. Zajączek mianowicie, brat jenerała, ciągle o tym predykował, a nawet wiele rządowych osób tą myślą się przejmowało.

Pod tę właśnie porę, Sokolnicki do Wielkiéj Polski jeździł do rodziny swojéj; wiózł z sobą cóś tokarskich robót naczelnika, bo to była najmilsza Kościuszki rozrywka, wiózł też i wiele portretów Jeffersona wytłoczonych blachą z rysunku naczelnika przez niego wyrzniętą, bo Kościuszko pragnął w ten sposób pamięć przyjaciela zachować i zespolić ze swoją. Sokolnicki nie zapomniał poozdabiać w Paryżu robót Kościuszki, poświęcając je nawet niektórym wyłącznie w kraju osobom i powiózł je z sobą; ztąd wieść urosła, że obudzone współczucie podbudziło do znacznych składek, z któremi Sokolnicki miał powrócić. Sama wieść o tém nieprzyjemne na naczelniku sprawiła wrażenie, cóż dopiéro gdy potrzebniejsi zbierać się zaczęli, dowodząc, że w tych składkach i dla nich powinien

być udział. Kościuszko oświadczył, że nic nie pragnie dla siebie; inni oczekiwali przyjazdu Sokolnickiego niecierpliwie, z wierzycielami drobnemi do tego się czasu układając. Mógł był Sokolnicki mniemać, że go otaczało tak wielkie przywiązanie, tylu się zbiegło na odgłos jego przybycia, towarzyszyli mu nawet do mieszkania Kościuszki, i zdziwieni, że już summ zebranych pomiędzy nich nie dzielą, odeszli zniecierpliwieni. Nazajutrz wysłali brata jenerała Zajączka, który mieszkając z liczną rodziną, zapewne do potrzebniejszych należał; ten na Kościuszkę silnie nalegał, jak o własność publiczną domagając się. Kościuszko kazał prosić Sokolnickiego, a gdy ten przyszedł, oświadczył, że ze składek nic korzystać nie ma potrzeby ani zamiaru, i że je do podziału między potrzebniejszych przeznacza.

— Do jakich składek? spytał Sokolnicki.

— Do tych, które dla naczelnika zebrałeś.

— Byłem u mojéj rodziny, i co mi ta w pomoc ofiarowała, to dla siebie przywiozłem. Zawiedzione nadzieje łatwo do zarzutów przywiodły, może też do zupełnie urojonych. Lecz to Kościuszkę od Sokolnickiego przykro odepchnęło, bo mu zadawano, że nie kilka naczelnika prac, ale wiele podstawionych ubocznych robót, użył za upominki od niego, i że się one nie samym osobom przez Kościuszkę wybranym dostać miały. Tę przykrą między naszemi wrzawę przerwała wiadomość, że uroczystym prawem formować mają legią. Nakazano ją złożyć ze cztérech batalionów po 1,200 ludzi, z kompanii artylleryi konnéj i regimentu kawaleryi; wodzem jéj naznaczony był jenerał Kniażewicz. Cały więc ruch krajowców naszych obrócił się w tę stronę. Jednym szło o umieszczenie osób, wielu o polityczne jéj znaczenie: znajdowano, że chybiono nie zowiąc ją auxyljarną RP. francuzkiéj, a bardziéj jeszcze wołano na nazwanie jéj naddunajską; inni za złe mieli, że nie jest ciągiem dalszym legiów włoskich, że się nie łączy z niemi i odszczepieństwo zaprowadza. Dokonanie jéj legalne winniśmy byli wpływowi jenerała Joubert, pracującego gorliwie około uorganizowania sił krajowych, któremu powierzoném było zebranie sił francuzkich, wielu bitwami rozproszonych; nad niemi nawet główno-komenderującym był mianowany.

Odtąd był wielki nacisk do umieszczenia przy początkowéj pracy; jenerał Kniażewicz z własnych widoków zaspokojony wyższemi zdolnościami Kosseckiego, mnie z Fiszerem do formowania piérwszego depo, jako szefów batalionu przeznaczył. Formacya ta otwierała wrota ocalenia dla wielu szlachetniejszych osób wznioślejszego ducha, co nędzę znosić wolały jak prosić u kogo, a w jakiém milczeniu i z jaką to czynili wytrwałością, niech mi się przykładem objaśnić to godzi. Fiszer szacowany od wszystkich, towarzysz w dniach niedoli Kościuszki, zawsze w zgromadzeniu wesoły, lecz nauce swego rzemiosła poświęcony, wielce był zamknięty i nigdy obiadów cudzych dzielić nie pragnął. Przyznawano to jego naturalnym usposobieniom lub w niewoli nabytéj mizantropii; miał on dla mnie wiele przyjaźni, żem z jego światła korzystać pragnął. W bibliotece publicznéj albo w jego domu nad książką lub nad pracą przepędzaliśmy wiele godzin w milcze-

niu. Ja tłómaczyłem regulamin wojska francuzkiego, lub to co do służby polowéj oficera ukształcać mogło, on chętnie moję przeglądał pracę. Mało kiedy do przechadzki z sobą wzywał, szedł zamyślony, a ja mu nie przeszkadzałem. W jednéj z przechadzek zrobiło się słabo Fiszerowi, jam nie dochodził przyczyny; lecz że to było na ulicy fiakrów, jeden cośmy go mijali zawołał:— Pan jesteś osłabiony, oto powóz na usługi.

Fiszer mu odpowiedział porywczo:— Jam dwa dni nie jadł, a ty chcesz abym ci za przejażdżkę płacił. Doszło to uszów moich, lecz się już Fiszer poskromił i cóś pogodniejszego do mnie przemówił; zachowałem milczenie, a wróciwszy mówiłem jenerałowi o zdarzeniu.

—Źle umieszczona delikatność, odparł, ale on zawsze był takim. Niewiele mamy, podzielić trzeba, ale jak zrobić żeby on to przyjął? I wyniósł ładunek ze stu talarami. Masz, a jak to zrobisz, zostawiam tobie. Zdawało mi się żem wynalazł środek: poszedłem do znajoméj apteki, gdzie pieniądze obwinięto z napisem:— «Do użycia Fiszera mieszkającego przy ulicy... w domu...» Odniesiono do dozorcy bramy, aby mu to wręczył; ja zaś o zwykłéj godzinie przyszedłem z tém, com wygotował w domu z tłómaczenia mojego.

Na moje wnijście rejwach— To twoja niechybnie sprawka być musi! Postawiłem się zimno, a on zmięszany opowiedział mi, że go ktoś za jałmużnika bierze.

—Czekałem na ciebie, bo świadka mieć pragnąłem; pójdziesz ze mną do szpitala Ś. Łazarza, tam

są potrzebniejsi odemnie, niech się za dającego modlą, kiedy ja jałmużny odesłać nie mogę, bo nie wiém śmiałka, co mnie nią potraktował. Ofiarowałem mu towarzyszyć i to go wyprowadziło z podejrzenia. W drodze przedstawiłem mu, że są i nasi w potrzebie i przypomniałem podpółkownika Gawrońskiego. Ale on nie przyjmie! zawołał:— Co to szkodzi, sprobujmy, rzekłem. Gdyśmy do domu weszli, Fiszer z takiém się skarżył oburzeniem jakby mu się sroga krzywda stała; pomiarkował Gawroński, bo znał przyjaciela i kolegę z drażliwości jego.

—Istotnie, rzekł, potrzebuję i przyjąłbym, bo to się zapewnie uczciwy człowiek z nami dzieli, ale kiedy ty to sobie uważasz za krzywdę, jakąż mnie czynisz, jakbym ja zarówno z tobą niedostatku znieść nie umiał? Fiszer ochłonął i spytał:— Cóż chcesz żebym z tém zrobił?— Przełam ładunek przez połowę, nie miéj się za lepszego od drugich, bo jak potracimy siły w niedostatku, to się później na nic nie przydamy. Będziemy jeszcze mieli, to i my się z biedniejszémi podzielim. Ostygnąwszy przełamali ładunek i niejakoś spokojniejsi się rozeszli.

Później zbliżywszy się do Fiszera przekonałem się, że on już od miesiąca żył jeden dzień chlebem z sérem, a drugi chlebem i wytłoczynami winogradu. Nikt się przecież nie domyślał jego położenia, ani on je odkrył komu.

Źle szły rzeczy we Włoszech, gdzie się koalicya zgromadziła; Dąbrowski widział niknące legie, lecz ani energii nie stracił, ani nadziei ich odbudowania.

W Marsylii uformowawszy depo, zgromadził co pozostało, i to co się uzbiérać dało, i odrodził je znakomicie, bo w miejscu sześciu tysięcy, dziewięć na nowo sformował. Ważna epoka, zbliżał się powrót Bonapartego; chociaż zostawił w Egipcie Kleber'a i Dessaix, sam wystarczał na odrodzenie pomyślności. Co do nas, mając o wszystko do traktowania co do zaczęcia legii było nieodbicie potrzebném; wysławszy po zakładach gdzie niewolników wojennych mieszczono, by między niémi wyszukiwać rodaków, sami bawiliśmy w Paryżu, przypatrując się pilnie miejscowym wypadkom. Przybycie jenerała Berthier uprzedziło o niewiele powrót Bonapartego: byli co go u pani Visconti widzieli, bo z nią miał bliższe stosunki, i zapewnić mogli, że wieść o powrócie nie jest czczą pogłoską tylko. Nakoniec jest już w Paryżu; biegną najcelniejsi jenerałowie, co późniéj nosili buławy marszałkowskie, na walną z nim naradę. Wielki militarny obiad przez radę pięciuset ma być dany; na niego Kościuszkę i Kniażewicza wezwano. Tymczasem Bonaparte Dyrektoryat odwiedza; jedzie na zgromadzenie Rady pięciuset; ztamtąd prosto do Kościuszki wieźć się każe. Była to godzina, gdyśmy właśnie u niego byli; wszedł bohatér do naczelnika naszego, a piérwszém jego słowem było:— Chciałem usilnie poznać bohatéra Północy. Kościuszko odpowiedział mu skromnie, że jest szczęśliwy z widzenia zwycięzcy Europy, bohatéra Wschodu. Niedługo zapewne bawić miał potrzebę, a powiódłszy po nas oczyma, witał Kniażewicza jako znajomego sobie. Ztąd dopiéro do Rady starszych i do ministra wojny pojechał.

Zwyczajem znanym w Paryżu, przekupki od składów żywności, korporacyą całą wizytować zwykłe, przyszły i do niego. Naczelnicy fakcyj powszechnie przyjmowali je z uprzejmością, bo one w tłumnych zaburzeniach Paryża wielką grały rolę; tu piérwszy raz zapewne zawiedzione zostały. Bonaparte odparł je niespodzianie mówiąc:— Wyście witały z poklaskami Robespierra, i przed Burbonami równie ochotnie płaszczyć się będziecie. Krótko potém Bonaparte mianowany został komendantem Paryża; skarb był wycieńczony, wojsko w upadku. On co znał nadużycia w nieporządku popełniane i bogactwa krajowe w ręku administratorów zagrzęzłe, ścisłe ich dostatków uczynił u siebie obliczenie i wyznaczył proporcyę, wedle któréj na ratunek kraju udzielić się byli powinni. Zapowiedział, że zażąda obwołania niebezpieczeństwa ojczyzny, które dawało prawo do dyktatury, a ta do majątku i życia każdego. Tą drogą wycisnął przecie ogromne summy, a na uzbrojenie nieodbicie potrzebne, i temi zaraz rozporządził dla armii, co pod Marengo zwyciężyć miała. Tymczasem posiadłszy Radę starszych, miał rozporządzenie od niéj, aby Rada pięciuset od któréj doznawał oporu, do Saint-Cloud przeniosła posiedzenia swoje. Wigilią przeniesienia tego, które się tajemnicą jeszcze być zdawało, kazano garnizonowi stanąć pod bronią i każdemu wojskowemu co się znajdował w Paryżu, być tam przytomnym. Garnizon nie był wielki, ale oficerów liczba znaczna bardzo. Z większą częścią tych jenerałów, których imiona świetnie błyszczały, zdawało się, że Jourdan był fakcyi przeciwnéj dowódzcą. Na tę myśl napro-

wadzony zostałem z tego, co nam jako dowódzca w Turynie późniéj mówił.

Garnizon pod bronią. Gdy cały Paryż był zwykłym domowym swym codziennym zajęciom oddany, same tylko wojsko w ogrodzie Tuillieries, żadnéj nie zapowiadało niespokojności. Patrzyliśmy na zwycięzcę, co się spokojnie przed szeregami przechadzał, nie przeglądając jego przyszłości. Piérwszy Sieyés jeden z dyrektorów, jak prywatny człowiek z nim się przechadzał naradzając godzinę może. Dopiéro adjutant wielkim głosem zawołał:— Barras w drodze do Belgii aresztowany na wyjeździe z Paryża, jak z nim daléj postąpić należy? zdało się, że rzecz poszła już w układy. Puścić! odpowiedział Bonaparte, tak żeśmy to nawet słyszéć mogli. Potém rozkaz dzienny, że armia ma natychmiast do Saint-Cloud maszerować, i obecni oficerowie są wezwani. Takeśmy ruszyli pytając się wzajemnie, coby to znaczyć miało; gazeta wieczorna doniosła każdemu, że się tam władze prawodawcze, na dzień następny przenoszą.

Nazajutrz z rana, pałac Saint-Cloud był otoczony obozem; sala Rady pięciuset miała i nas spokojnemi widzami, a Lucyan Bonaparte, był naówczas jéj prezesem. Przed dyskussyą nawet już wrzawa i niespokój panowały między członkami; Bonaparte był na Radzie starszych, gdzie rozwiązanie Rady pięciuset i nową konstytucyę konsularną układano. Po jéj ukończeniu, z papierem w ręku zbliżał się już piérwszy konsul ku sali; wrzawa w izbie do rozruchu się zbliżała, a Lucyan dla uspokojenia wedle formy nakładał kapelusz, bo gdy prezes się nakrył, podług exystu-

jącego prawa nikt mówić ani się ruszyć z miejsca legalnie nie mógł. Nasze oczy ku drzwiom zwrócone oczekiwały sceny.

Wszedł Bonaparte, lecą ku niemu z wściekłością deputowani i Arena z puginałem w ręku. I tu się biédny polak zamieszał. Bawił w Paryżu niejaki pan Szalcer polak, utrzymywany z Warszawy hojnością niewiadoméj nam osoby; on się najbliżéj znalazł, i piersią swoją Napoleona zasłonił. Bonaparte wchodził pieniąc się na ten napad, nie był krwi zimnéj wcale, ale bębny do szturmu biły i Murat na czele grenadyerów z bagnetami do sali leciał. Był to napad legalny; prezes bowiem nakrywszy głowę widząc izbę w takim rozruchu, zszedł dobrowolnie z krzesła do wchodzącéj warty i z nią się połączył.

Deputowani łamali okna wychodzące na otaczający izbę ogród. Każdy z nich swój płaszcz, ubranie obrzędowe, i piórami ozdobioną czapkę ciskał, a sam szukał schronienia. Wojsko pod bronią stojące nie ścigało nikogo, rozrzucano tysiącami biulletyn opowiadający o zmianie rządu przez Radę starszych ogłoszoną. W Paryżu spokojnie to przyjęto, a nas powracających, pytano tylko o część dramatyczną téj politycznéj sceny. O poświęceniu się Szalcera żadne opisanie urzędowe nie wspomniało, choć o puginałach pisano wiele.

Paryż pozostał spokojnym, a wkrótce wystawa płodów krajowych w Luwrze nastąpiła, którą rząd nowy uświetnił swą przytomnością. Na niéj użyto wszelkich ostróżności po tak świéżéj zmianie: docisnąłem się przecie, abym ją widział. Konsulowie w pąsowym haftowanym stroju, wyfryzowani, mieli głowy odkryte

z potrzeby zachowania utrefienia swego. Piérwszy konsul ze swym czarnym krótkim włosem, sam jeden miał kapelusz wojskowy, frak jego był axamitny, kiedy tamtych sukienne były i wyglądał na jenerała, którego kancellarya otaczała z uszanowaniem. Jego wojskowi adjutanci wprzódy każdy oddział trzęśli, czy się w nim kto niepotrzebny nie znajduje, a po ich dopiéro wyjściu publiczność z widoku wystawy korzystać miała pozwolenie. Tyle się dziś tylko w mojéj pamięci pozostało, ale za to następna okoliczność, do któréj się cóś naszego przymięszało, lepiéj mi jest przytomna. Dom Kościuszki był zawsze zbiorem osób, które republikancki miały pociąg; musiały się czasem wkradać indywidua szlakujące coby o nowéj zmianie myślano i mówiono. Kościuszko pozwalał sobie otwarcie o tém mówić, i choć widział korzyści téj zmiany, w wykonaniu zawsze przywłaszczyciela upatrywał. Miał on osobiste stosunki z osobami Dyrektoryatu, może nawet upadek ich był mu boleśny; to przynajmniéj pewna, że stosunki jego z nowym rządem nigdy przyjaźnie zawiązać się nie dały, ubocznie tylko i przez pośrednie osoby, co następne dowodzi zdarzenie. Senator Garat chciał się zbliżyć do naszych ziomków i o tém z Barsem mówił, że radby ich u niego zebranych widział. Dano mu obiad, na którym nam być pozwolono, uczta odbywała się przyjaźnie; kwestya była z siebie ważna. Mówił Garat, że piérwszy kosul widzi prędki środek odrodzenia dla nas i nam go powierza,— wszyscyśmy bacznie słuchać poczęli.

—Wojny mają różną kolej, odległości są trudną do zwalczenia przeszkodą, lecz geniusz ma nadzwy-

czajne środki przed naszym prostym ukryte wzrokiem, i dla panów ich użyć pragnie. On pojął uczucia, energię i widoki cesarza Pawła; widzi, że pragnie uczynić cóś wielkiego, coby jego panowanie uświetnić i wywyższyć mogło. Piérwszy konsul pozyskać go pragnie, chce go ogłosić pośrednikiem pokoju Europy, jako monarchę który sojuszu z sąsiedniemi ludy, nie podbojów pragnie. Konsul pewien jest dobrego skutku swoich zamiarów, w których wykonaniu wam najważniejszą rolę poleca, jeśli ją szczerze spełnić zechcecie. Ma około trzydziestu tysięcy (?) niewolników, ubierze ich, uzbroi i odeszle cesarzowi na znak przymierza. Jeśli myśl jego przyjąć zechcecie, on i was odeszle równie uposażonych, a we wspaniałomyślności cesarza widzi rękojmię waszego przyszłego bytu. Anglia, którą cesarz równie z nami uważa za przeciwniczkę, ujrzy nasze wspólne siły połączone, grożące głównemu siedlisku ich bogactw, a może nad brzegami Indu roztoczone obozy nasze; resztę Europy, umiarkowana polityka do ogólnego związku doprowadzi. Wyznajcie, że tak obszerną myśl, jedynie tak wielki człowiek do skutku doprowadzić może....

W końcu już téj mowy rumieniła się twarz naczelnika, gdy Kniażewicz błyszczał nadzieją; zniecierpliwiony Kościuszko nie mogąc stłumić niechęci, wybuchnął gorąco sprzeciwiając się téj myśli. Wtém i Kniażewicz się burzy— Jenerale, nie sam jesteś całym narodem, pozwól nam o tém pomyśléć, i własne miéć także mniemanie. Tak się skończył obiad i powszechne nastąpiło milczenie. Garat nie rzekł i słowa, poże-

gnał się grzecznie, a reszta spokojnie rozeszła. Naczelnik mnie i Fiszerowi pozostać z sobą kazał.

Powszechnie ludzie wielkim poświęceni zamiarom, kiedy im się los sprzeciwia, szukają w przeszłości świadectw zemsty, jakiéj nad tylą znakomitémi ludźmi przeciwnicy się dopuszczali, i widzą około siebie zdrady, zabójstwa, trucizny. Pod wpływem tak smutnego wrażenia, naczelnik zostawał. Dzień piękny wyprowadził i kobiéty nawet z domu, samiśmy tylko przy nim z Fiszerem zostali, kiedy się do nas odezwał:— Liczę na was jako na ludzi uczciwych, a sam dyskrecyi waszéj, i wyłącznie wam się powierzam; upakujcie jak najprędzéj co tu jest mojego, najmijcie fiakrów, wynoszę się z tego domu. Tu nawykli do mojego pobytu skierują zapewne środki jakie do pozbycia się mnie ułożą; zróbcie to natychmiast dopóki nikogo nie ma. Najmniejsze spóźnienie dla mnie straszne; spieszcie się i milczcie jakbyście o mnie nie wiedzieli. Gdyśmy się krzątali on się niecierpliwił niezmiernie, a gdy już wszystko było w gotowości, wynieśliśmy do najętego powozu. Wtenczas odezwał się naczelnik:— lepiéj jest żebyście i wy nie wiedzieli o mojém mieszkaniu, lecz ja z wami stosunków nie zrywam i każdego dnia o trzeciéj z południa, chcę się z wami spotkać na innym umówionym bulwarze, a na dzień jutrzejszy naznaczam schadzkę koło pałaców rządowych na bulwarze Magdaleny. On się wieźć rozkazał, a myśmy do naszych mieszkań odeszli. Gdy Bars do domu z rodziną powrócił, zastał dom ogołocony z człowieka co był jego ozdobą; znosił zapytania odwiedzających osób, nie wiedząc jaką im dać

odpowiedź. Wieść obiegła ziomków naszych i znakomitych przyjaciół Kościuszki; wniósł ją do domu jenerał Kniażewicz, a moje położenie okropném się stało. Przetrwałem to spokojnie, on się domyślać nie mógł żebym co wiedział i łajał mnie, że tak spokojnie tego słuchałem.

— To nie może być tylko skutkiem zdziwaczenia, nie ręczę, że już jest może u jakiego portu, skąd się do Ameryki ambarkuje; tak jak wprzód, gdy wyjeżdżał ze Stanów Zjednoczonych nikomu się nie zwierzył, porzucił Niemcewicza co jego niewoli towarzyszył. Nawet Washingtonowi nie zaufał, bo mu się zdawało, że i on do stronnictwa przeciwnego mu należy. Tak możę teraz o nie jednym z nas mniema. Któż mu winien, że płochemu francuzowi dał za siebie pisać do cesarza; tamten z bruku pozbierał demagogów wyrażenia, albo wykrzyki ówczesnych dramatów i to napuszone w liście umieścił.

Był ktoś z naszych, co się chciał ze swéj strony do rozmowy wmięszać i odesłanie pieniędzy ganił, dowodząc, że gdy ich naczelnik nie przyjął, one do innych jego współ-ziomków należały.— WPanowie tylko na pieczone gołąbki czekacie, odparł Kniażewicz; macie dwie legie, co was wyzywają i z bruków ciągną, macie broń, sławę i nadzieje, a czekacie zkądby wam jeszcze na restauracye i teatra dostarczono. Cesarz Paweł dał wspaniale, wolno było Kościuszce daru nie przyjąć, ale nie należało zapominać, że winien był wdzięczność.

W dniu następnym byliśmy na schadzce nam wyznaczonéj z Fiszerem: zastaliśmy Kościuszkę pewnego,

że go nikt nie pozna, bo to nie było miejsce ogólnych przechadzek i rzadko w téj się znajdował stronie. Kazał wyszukać garkuchni, w któréjby było osóbne miejsce, gdziebyśmy we trzech odłączeni obiadować mogli. Pytał nas co o nim mówią?—Mniemają, że się może do Ameryki puścił nie opowiedziawszy nikomu, odpowiedziałem.— Gdyby to był Niemcewicz, byłbym pewien, że to jego domysł, bo ja go zostawiłem samego; wyznaję żem nieufny, ale dziwnaż to po tylu doświadczeniach! W Petersburgu gdym był w niewoli, przyszedł do mnie Samoiłów prokuror senacki, i dał mi zapytanie, com robił tajemnie w Paryżu, po rozwiązaniu sejmu i armii. Tak byłem pewien, że o tém nikt nie wiedział, że się śmiało wszelkiéj czynności zaparłem. Wtém on dobył papier moją pisany ręką, który ministrowi sam na sam wręczyłem; z naszych nikt nawet o tém w Paryżu nie wiedział, oprócz Maliszewskiego, co mi do układania pomagał. Gdyby się rzecz na słowach była skończyła, byłbym jego o lekkość posądził, ale to było własnoręczne pismo moje. W Ameryce byłem ostróżny, słabością tłómacząc odludność; tam się z całego świata włóczą ludzie ciekawi, są to mimowolne szpiegi, to mówią i piszą co widzieli i słyszeli. Niemcewicz jako literat był ich ciągłym towarzyszem; oni mniemali, że on jest moim poradźcą, a drudzy że mentorem, i wyznaję, że mnie to znudziło: i gdy Jefferson osądził, że do porozumienia ich z Francyą mógłbym być najdzielniejszym środkiem, przyjąłem tę missyę, bez urzędowego upoważnienia. Liczyłem na pryncypia Jeffersona przyjaciela mojego, stojącego na czele rządu od którego się Wa-

shington usuwał. Nakoniec, my oba z Washingtonem podobną mieliśmy rolę: jego szczęśliwym uwieńczona skutkiem, moja upadła. Wyższość z jego strony, obudzała ciągle porównania łaskotliwe dla miłości własnéj... Po wielkich miastach, dodał, łatwo o łotra co za małą kwotę podejmie się występku. To mnie i teraz zmusiło usunąć się do domu w którymby na czas o mnie zapomniano. W niewoli leżałem dzień cały jak na nogi kaleka, albo na krześle siedząc toczyłem sobie, a w nocy uganiałem się po mojéj izbie, aby tem brak ruchu nagrodzić. Dobre jest towarzystwo ludzi przy szczęściu; w złéj doli, biada temu co sam sobie dostarczyć roztargnienia nie jest zdolny. Wreszcie środki moje coraz mniejsze, oszczędniejszego potrzebują życia, bo to tylko mam, co za darowaną w Ameryce ziemię, którą teraz sprzedałem przysłano, i chcę poprzestać na swojém.....

W ostatku przekonali się wszyscy nasi, że Kościuszko tylko przeniósł mieszkanie: odwiedzano go nawet, on nikogo, i szło o to ciekawym, jak czasem swym rozporządza. Pytano się, badano, niewiedząc nic przecie. Nasze z nim schadzki trwały i coraz w innéj stronie; dla Fiszera były dogodne, dla mnie kłopotliwe. Oddałem się pracy przykuty do izdebki mojéj, przez cały czas, który jenerał poświęcał swym w mieście zatrudnieniom. Dnia jednego, wybrał taką godzinę Kościuszko, do drzwi moich zapukał, kto jest powiedział. Uczułem całą wielkość łaski i biegłem, aby mu otworzyć; lecz wszedł, nie żeby mnie odwiedził, ale wyłajał. W życiu przykrzejszego nie miałem wyrzutu, ani go też mocniéj uczułem.— WPan

zdradziłeś moje zaufanie, rzekł, rzuciłeś kość niezgody, zrobiłeś plotkę z tego co dla mnie jest potrzebą i t. d. Zbladłem, lecz ust otworzyć nie umiałem.— Panu jenerałowi Kniażewiczowi żartobliwie opowiedziałeś zapewne moję dla was ufność, już z tego dramatyczne osnują powiastki; mówią, że się rodaków boję, że się po przedmieściach kryję, że z wami po gargotach jadam. Fiszer niewiduje nikogo, to WPan sam mogłeś porobić podobne zwierzenia.

—Nie mówiłem nic i nikomu, i zapewne na groźniejszy zarobię wyrzut od jenerała z którym przyjechałem, a tamten słusznie mi się należeć będzie. Tu zaś sumiennie ręczę, że dochowałem danego słowa święcie.— Nie spodziewałem się tego od rodaka, i takiéj zapłaty za zaufanie moje.

Były to ostatnie słowa, które mnie śmiertelnie raniły; z niemi naczelnik odchodził. Zrobiłem rachunek sumienia, a to mnie o nieostróżność, ani o wielomówstwo nie obwiniało. Po parze godzin męczarni wchodzi Kniażewicz do swéj izby: grzmi podłoga pod jego olbrzymim krokiem, kilka razy zbliża się i cofa od drzwi moich, wchodzi nakoniec i jeszcze nic nie mówi, ja wolałbym stokroć żeby już łajał.

—Gdzie WPan jadasz?

—Gdzie najtaniéj jenerale, żeby ci nie być ciężarem.

—Głupie pieniądze oszczędzasz, a zaufanię kaleczysz. Wszedł to mówiąc do siebie, gotował się zapewne na perorę i powrócił zaraz; miałżem za swoje!

—Zasłużyłemże na to, rzekł, żebyś odemnie uciekał, żebyś się wzbraniał ze mną łamać chleba? On

dziwaczy, a WPan przyjmujesz to za rzecz słuszną i utwierdzasz go w tém postępowaniu, będąc w stosunkach ze mną w kraju, w podróży, we Włoszech. Możeszże tak źle o mnie trzymać, kryć się przedemną; między drzwi wtykasz palce, a późniéj skarżyć się będziesz, gdy ci je przycisną.

—Zrób jenerale co sądzisz przyzwoitém; jestem w położeniu o którém objaśnić się nie jestem w stanie, o tém tylko upewnić cię mogę, że równo was obu szanuję i kocham i do rzucenia kości niezgody nie jestem sposobny. To mówiąc cofnąłem się do siebie; zabolałem po tak mocném wrażeniu. Serce przyjaźne mi Kniażewicza, rozrzewniło się z łatwością, przyszedł aby mnie uspokoić.

—To się jakieś babskie komeraże porobiły, rzekł. Fiszer i ty uciekacie odemnie, ja nie widzę temu przyczyny, i to mnie boli. Dziś byłem u Kościuszki, mówiłem żeś słaby, powiadał, że cię odwiedzić przyjdzie. Jakoż w tém samém dniu przyszedł do mnie naczelnik.

—Jeślim się przyczynił wyrzutami mojemi do słabości twojéj, to z serca tego żałuję. Wiek to podobno najwięcéj do podejrzeń poduszcza, wyznaj, że nas trzech tylko wiedziało o naszéj umowie; Fiszer odosóbniony, ty zaś w towarzystwie jenerała, łatwiéj ci się wygadać było, a ja chciałem aby nikt o tém nie wiedział.

—I nikt też o tém pewnie, nie wiedział odemnie, odpowiedziałem. Na to wchodząc Kniażewicz usłyszał ostatnie słowa— Nic my od niego nie słyszeliśmy rzekł,

i mnie to właśnie zabolało; zmyłem mu głowę, ale jakem chorego zobaczył, byłbym dał wiele, żebym zamilczéć był umiał.— Możeśmy się obadwa do tego przyczynili, bo i ja okryłem go wyrzutami dni kilka temu, rzekł Kościuszko— Ja go prosiłem żeby mnie objaśnił, i nie wydobyłem i słowa, a to mnie najmocniéj rozgniewało, dodał Kniażewicz.— No kiedyśmy już do tego przyszli, począł naczelnik, zkądże ta wieść roznieść się mogła, że ja się z niémi na ustroniu widuję?— Przed nikczemnémi nic się nie skryje; to już rzecz moja, abym powiedział jak się to stało. Znasz może panie naczelniku tego Szalcera, co głosi, że piérwszego konsula osłonił w Saint-Cloud piersiami swemi? Jego to wieść doszła, żeś się umieścił w domu Cettnerów, którzy o tém milczeli.

—Milczeli, bo tego po nich wymagałem.— Szalcer o brzasku dnia stanąwszy tak, żeby cię wychodzącego widział, dzień cały potém czuwał nad tobą. Koło trzeciéj po południu widział cię wychodzącego, szedł w pewnéj odległości, spostrzegł gdyście się z Fiszerem i Drzewieckim zeszli, i tam na dole siadł do stołu, tak aby każdego przechodzącego widział. Jakoż w powrócie wziąłeś Drzewieckiego pod rękę, ode drzwi go puściłeś przodem, aby cię swym wzrostem zakrył i tak wyszliście na ulicę.

Na to naczelnik— talent i cierpliwość doświadczonego szpiega. Przyznajcie, że można zostać podejrzliwym, kto się nad takiemi zastanowi zdarzeniami, a ja wiele podobnych widziałem. Tu dopiéro oba pocieszyli mnie zapewnieniem przyjaźni, i lepszego nie potrzebowałem lekarza; było dla mnie dość tego że-

bym wyzdrowiał. Nigdy tak przyjaźnych nie doświadczyłem uczuć, jakie odtąd połączyły mnie z niémi.

Lecz już w Falzburgu dzień przeznaczony, na który zwerbowani zgromadzać się mieli, i myśmy tam z Fiszerem wyjechali; Kniażewicz wsparty zdolnościami Kosseckiego, z nim pozostał w Paryżu. Żyliśmy odtąd jak członkowie jednéj rodziny: nasz grosz, bielizna, stół i skromne potrzeby, z jednego odbywały się worka. Fiszer poświęcił się administracyi, mnie dozór koszar i musztry się dostał, a do téj instrukcyi żołnierzy dodaliśmy wiadomość regulaminu i służby polowéj, których tłómaczenie w Paryżu przygotowałem. Na pracy dzień cały przechodził, wieczór na oświecaniu siebie i swych podkomendnych. Koszary obszerne, ztąd nietrudny dozór. Młodzież wielkopolska już się zbiegała z zapałem, byli dobrze wychowani i usposobieni: Suchodolscy, Suchorzewscy i t. d. Pamiętano o nas w Paryżu, abyśmy się na dobrych kraju obywateli ukształcili, i Wybicki do nas się przeniósł. Był to prawdziwy ojciec młodzieży, stróż dobrego publicznego ducha, obywatel, który służył jak anioł stróż legionom we Włoszech, podrzucał swe pisemka nieustannie, aby Francuzów z naszém oswajać położeniem. Gdy się legie włoskie reformować poszły, przeszedł do nas, chcąc utrzymać jednostajność celów, ducha i moralność prowadzenia się. Gdyby to jego wyszły pamiętniki, tamby się owego czasu ludzie i wypadki w całém okazały świetle. Żalby było

także, jeśliby zaginąć miały protokóła, zostające w ręku Szaniawskiego, co był w Paryżu sekretarzem deputacyi; tam rozliczność mniemań zawsze najcnotliwszych, ale najsprzeczniejszych i wiele ciekawych objawiłoby się okoliczności. Czytałem je wtenczas z uszanowaniem, kiedy Kniażewiczowi po jego do Paryża przyjeździe były przedstawione; jedna we mnie myśl utkwiła, to delegacya w interessie kraju do Napoleona. Ofiarowano mu jako nagrodę starostwo Białocerkiewskie, leżące na krańcach naszego kraju. Były to marzenia tylko, bo dolą naszą są czcze podobno marzenia.

Lotem orła szło do skutku przedsięwzięcie nasze; zwycięztwo pod Zurich, dało wysłanym przez nas, wielką do werbunku łatwość. Znajdowali się i Małorossianie, którzy się do nas garnęli, było ich podostatkiem. W Palatynacie przechadzał się książę Karol, a jego dezerterowie z polskich prowincyj, powiększali naszę liczbę. Szło to dobrze co do ludzi; lecz mały zasób środków ze strony rządu, wielkiemi natenczas wydatkami na armię włoską obciążonego, opóźniał urządzenie się. Jużeśmy mieli wyżéj dwóch tysięcy ludzi, kiedy jeszcze mundurów, koszul i trzewików nawet nam nie dostawiono; często żołnierze, aby się z koszar za drzwi wychylić mogli, w kołdry się swoje obwijali. Wkradały się choroby skórne, rozszerzały potężnie, a łazaret nie dostarczał do zapobieżenia jéj środków. Miejscowi obywatele byli nam przychylni, i pomagali bielizną, lecz to miasteczko małe. Był tam urzędnik cywilny Parmentier, który nas szacował i ze swéj strony przedstawiał położenie na-

sze; słowem, w ciężkich dość obrótach mieliśmy przyjemność pozyskać przynajmniéj współczucie mieszkańców. Ale nam materyalnych pomocy brakło, i to robiło obawę, aby kto o dezercyi nie pomyślał. W takim rzeczy stanie chciano nas do Metz przenieść. Dla ułatwienia marszu przysłano jakieś kurteczki, któreby późniéj pod mundury służyć mogły, dostarczono zaś płóciennych spodni i trzewików tyle tylko, co ledwie dwóm częściom pokryłyby nogi, i tak nam przejść do Metz polecono, kiedy pora była zimowa i ostra gruda panowała. Ponieważ część koszar i służby powierzona mi była i prowadzić ich należało, stanęliśmy na placu, aż tu narzekanie powszechne. Wyszedłem przed front, wołają— My bosi! Przywołałem piérwszego co się skarżył i rozzuć siebie kazałem.— Ubierz się w moje bóty, mam jedne i te są twoje rzekłem, a pełń powinność twoję. Zakomenderowałem i sam przed frontem boso idąc, wprędce od grudy do krwi się pokaleczyłem. Żołnierze bóty moje odbierają, a ja ich przyjąć nie chcę.

Zebrałem skrzypków, dudziarzy i wszystkich których po koszarach grających widziałem, rozstawiłem aby grali, i nietylkośmy nasz marsz pomyślnie zaczęli, ale po dniach kilkunastu w Metz bez dezerterów stanęliśmy. Miasto przez swego naczelnika zapłaciło nam adressem pożegnania w gazetach ogłoszonym, porównywając nasze poświęcenie się z emigrantami francuzkiemi, rozumie się korzystnie dla nas, gdy nas pochwalić chciano. Życie w koszarach pracowite, jednostajne, chęć poznania swéj służby i obowiązków czas zajmowała. Wybicki starał się godnie o utrzymanie

ducha i uobyczajenie żołnierza. Chowam z uszanowaniem jego własnoręczne prace, w których mi metafizyki usiłował dać pojęcie; dobroć jego do śmierci mi będzie pamiętną. W wielkiém zebraniu i bez scen dziwacznych się nie obejdzie; przypominam sobie pojedynek Chryzantego Krasińskiego z Szerszeniowiczem. Strzelali się na wałach fortecy z pistoletów, od depo karabinierów pożyczonych. Nie na zaletę ich broni i zręczności, bez sekundantów po razy siedm do siebie strzelali, a mimo najlepszéj woli, żaden przecież nie trafił. Miałem czas przeszkodzić dalszemu marnotrawieniu ładunków; których mieli po paczce; a że zejście to spowodowane było raczéj drażliwością, niż obrazą osobistą, i chodziło im tylko o okazanie osobistéj odwagi, któréj dali dowody, łatwo się od krwi rozlewu powstrzymać mogli. Pamiętam i to, że oświeceńsze tego miasta niewiasty zaludniły nasz kraj guwernantkami, których późniéj w zacnych domach spotykałem, lecz tylko panien Fix imię zatrzymałem w pamięci.

W Metz rośliśmy w siłę i w organizacyi postąpili: tam przybył nam późniéj jenerał Sierawski i Wasilewski, a z kraju Jerzmanowski, Zdzitowiecki, Husarzewski, Narbut; wielu nie pamiętam. Dnia jednego zbiegły się dzieci do idącego powozu, oglądając go z zadziwieniem; był to maleńki koczyk Danglowski, a żyd go polski z brodą, maleńkiemi naszemi końmi powoził: zajechał wprost w bramę koszar. Był to półkownik Burzyński, jadący do Paryża ze znaczniejszym zapasem pieniędzy, któremi księżna Aleksandrowa Sapieżyna zaspokoić chciała potrzeby naczelnika.

Pamiętam to dobrze, bo wiedząc żeśmy niepłatni, naczelnik przysłał nam ich połowę. Ścieśnieni w piérwszych życia potrzebach nawet, wszyscyśmy dobroczyńcom błogosławili. Uzbrojono nas w części przecie, umundurowano i do Strazburga wyprawiono. Bataliony postawione były w szańcach w Kiel, a depo w Strazburgu; odtąd zaczęło się wojenne nasze życie. Wojna z Austryą, armię naszę ku rzece Inn posunęła. Sama długość linii dodawała sposobność wysyłania podjazdów w Palatynat, i te się aż pod Ren posuwały, tém bardziéj, że forteca Filipsburg miała koalicyjny garnizon i była punktem oparcia. Nasze przeznaczenie w Kiel było dla dania im odporu, ale małośmy zbyt mieli kawaleryi, abyśmy się za niemi po kraju uganiać mogli. Nie daleko brzegów Renu, chodziła ulotna kolumna pod komendą hrabiego Mira półkownika, polaka, uważanego w wojsku austryackiém za wybornego partyzanta. Wszędzie go było pełno, wszędzie szkodził i zręcznie się od boju wywijał, a na wygnanie go z okolicy znacznegoby potrzeba było oddziału. Żeśmy kawaleryi mało mieli, dano Fiszerowi batalion piechoty z jednym szwadronem kawaleryi francuzkiéj, i z temi puścił się on ku Altenburgowi. Migał mu się przed oczyma nieprzyjaciel, ale się doścignąć nie dał; dotarł na miejsce gdy go już nie było, a w powrócie znalazł go już w tyle, bo go od Kiel odrzynał. Fiszer czworobokiem strącić go ze swéj drogi mniemał; szef szwadronu kawaleryi francuzkiéj, o swojém tylko myśląc bezpieczeństwie, gdy piechotę otaczać poczęto, bój opuścił i miał sobie za dość, że swój szwadron uprowadził. Ujście kawaleryi zmniej-

szyło odwagę piechoty: Fiszer nadstawiał się z życiem, lecz lekko tylko raniony w niewolę się dostał. Energicznym językiem, jakiego w rozmowie z jenerałami austryackiemi używał, i pogardą dla Polaków w służbie ich będących, pogorszył sobie— i już niejako więzień wojenny uważany, do więzień stanu w Czechach odesłany został. Ta piérwsza nasza wyprawa źle nam poszła; strata Fiszera nie łatwo nagrodzić się mogła. Sokolnicki zastąpił jego miejsce, a myśmy się do fortyfikacyi w Kiel cofnęli. Już też i jenerał Kniażewicz przybył do Strazburga; już formacya kawaleryi ściągnęła się dla organizowania półku. Rożniecki szwadron podnosił, a kompanią Jabłonowski i Ostrowski formowali. Przybył i Gawroński z Paryża z rangą majora legii pieszéj; wcisnął się Turski, co jeszcze w Warszawie process polityczny przeciwko Ponińskiemu rozwinął, późniéj służył pod Dumouriez i jenerałem został; nareszcie był wysłany do Konstantynopola z mającemi formować wojsko tureckie oficerami, i na rachunek tego we Francyi położenia, szefem brygady kawaleryi naszéj mianowany. To wszystko było w Strazburgu, a piechota jedynie w bateryach Kielu kwaterowała za Renem. Tameśmy cztéry bataliony doformowywali, Kniażewicz dobijał się mieć ich szefem Chłopickiego; ten legii włoskiéj odstąpić nie chciał; Kościuszko Gawrońskiego utrzymywał. Lecz wkrótce nasze dwa bataliony poszły pod Frankfurt nad Menem, który wprzód zdobyć chciano, aby przy blizkiém rozejmie, mieć dostatniejsze miejsce w posiadaniu i rozejmem go zabezpieczyć. Kniażewicz poszedł z nami, S.... francuzami komenderował. Wielu oficerów usu-

wali się od téj wyprawy, jedni źle wróżąc o niepłatnym i odzianym licho żołnierzu, drudzy oczekując odmiany w legii, jeśli się jéj nie powiedzie. Myśmy przeszli Moguncyę, stanęliśmy pod Nero, bój przy jéj przejściu był gorący i żołnierz go wytrzymał z zapałem. Mój batalion, kawalerya attakowała na polach, lecz dobrze prowadzony ogień odepchnął ją w stronę. Dzień ten do korzystnych dla nas zaliczony. Pod Berghem zdobyliśmy armaty, pod Bornhejm znieśliśmy Austryaków, nazajutrz wzięliśmy Offenbach. Frankfurt kapitulował, a gazety miasta ogłosiły imiona i czyny. Przy wzięciu Offenbach nocą, drobną okoliczność wspomnieć nie zawadzi. Weszliśmy przed zaczęciem dnia, a przed wschodem jużeśmy się na placach jego zbici w kolumny znajdowali, gdy z wielu okien zawołano:— Wyście rodacy, wy nam nie zrobicie krzywdy! Nie byliśmy świadomi rzeczy, i zdziwiliśmy się nie pomału. Nauczono nas, że we Lwowie i w Warszawie wielu ochrzczonych żydów, od Franka swego naczelnika przyjąwszy imię Frankistów, i nową założywszy sektę, po świecie się rozbiegli. Oba Testamenta równie dla nich prawém Bożém zostały, święta z obu obchodzili. Żydzi dostatni upodobali sobie tolerancyą, która ich do obu stron zbliżała, i tak się wzmogli, że rząd za sprawą biskupów, pomyśléć musiał o ukróceniu rozszerzającéj się ich sekty. Mówił mi ksiądz kanclerz Kołłątaj, że zaczynając swą karyerę duchowną, sam się znajdował na zebraniach, gdzie się z niemi księża łacińscy łamali; mówił także, że odłam ten byłby może drogą, przez którą żydów przeprowadziwszy, nie byliby tak oporni do połączenia się z Kościołem. Prze-

śladowani, ponieważ to byli po większéj części ludzie możniejsi i kupcy, wynieśli się do Niemiec i w miasteczku Offenbach szczególnie zamieszkali. Żyli dworno, zachowując ubior swój dawny polskich żydów.

Syn tylko Franka już im przewodniczył; siostra jego bogata, wielkie ze stolicą Rossyi miała stosunki, chlubiąc się niemi; przyjmowali nas jak rodaków, a jenerałów ze wspaniałością.

Jedno zdarzenie z tego czasu, utkwiło mi w pamięci. Walka mogła się rozpocząć na nowo, a jenerał Laborde chciał szukać chluby z ubieżenia Filipsburga. Przywołał mnie w tym celu do siebie, okazał mi najściślejsze uczynione badania wojenne, dowodzące; że polowe fortyfikacye dopiéro w lewém skrzydle przed fortecą robić zaczynano. Od zniszczenia ich zacząć myślał. Że to miało być dziełem batalionu którym komenderowałem, chciał żebym się z planem jego oswoił, a jeśli będzie można wprzódy miejscowość opatrzył. Kazał mi wygotować swe skargi do Ringrafa Salm komenderującego w Filipsburgu, dla czego on, wbrew opisom w zawieszeniu broni przyjętym, łazarety z miasta wyprowadza, myśląc pewnie, by tém choroby wojsku francuzkiemu komunikować; dodano, że byłem w tym celu upoważniony domagać się widzenia miejsca umieszczenia chorych, i o to urzędownie się zgłaszał Laborde. Cel właściwy był, abym mógł widzieć nowe roboty i łatwiéj trafić do założonego celu ich zniszczenia. Jakoż istotnie takie mi wskazano ścieżki, żem nie tylko do nich się dostał, ale do bram fortecy dojechał niepostrzeżony. W bramach mnie dopiéro aresztowano i przed

Ringrafem Salm stawiono. Widziałem w nim osłabionego starca z silną jednak wolą na twarzy wyrytą, w głosie mającego cóś rozkazującego. Strwożył mnie zapytaniem:— WPana oddział w Graben, WPan tu przyjechałeś szpiegować, i pod prawo szpiega podpadasz; jesteś wojennym jeńcem, dopóki wyrok sądu wojennego o jego losie nie postanowi. Oddałem mu expedycyę jenerała, on ją z uśmiechem szyderskim czytał, spoglądając na mnie:— Młody jesteś i rozkaz dany ci spełniłeś, ale twój jenerał niezręczny wynalazł środek do oszukania starego wodza. Powiém na jego zawstydzenie, że więcéj wiém co w waszéj głównéj kwaterze się dzieje, niżeli on, co mnie ma oblegać. Gdyby mnie attakował, odparłbym go niezawodnie, mimo finesów jego: nie zbywa mi ani na żywności, ani na amunicyi dostatecznéj. Umocowuję WPana abyś mu doniósł o tém coś na oczy swoje widział. Rozkazał półkownikowi, aby mnie po fortecy oprowadził.

Gdyśmy obchodzili, przywołano nas nazad na rozkaz jego. Innego już znalazłem w nim człowieka, szlachetnego i łagodnego starca, który mnie postacią i mową swoją oczarował. Jakbym go wczoraj widział jeszcze. Mówił mi, że ma obszerne dobra we Francyi zebrane, że gmachy jego Paryż zdobią, żądał żeby mu to wszystko oddano. Nie zdradzę przeto Rzeszy Niemieckiéj, która mnie zaszczyciła swoją ufnością i dała w straż twierdzę swoję. Powiadał potém jak Bernadott'a od niéj odparł i jak nas sobie lekce ważył, dając do zrozumienia, że cesarz Austryacki poświęci Filipsburg interessom własnym. Każe go zapewne oddać, rzekł, ale Salm go nie odda; Bóg mu dozwoli

umrzeć wprzódy i téj hańby nie doczekać. Szpitalów nie cofnę, bo mi je ludzkość w miejsca dla nich stosowniejsze wyprowadzić kazała, był to obowiązek sumienia. Krótko tam one pobędą, bo Filipsburg może w tych godzinach nowego rozejmu pada ofiarą. WPan, którego może z armii francuzkiéj ostatniego widzę, powiedz Francuzom odemnie, żem ich kochał i szacował; ale dla nich, honoru mojego nie splamię.

Z tém odprawić mnie kazał. W dni kilka przyszła wiadomość o jego śmierci z jednéj strony, gdy z drugiéj rozkaz odebrania Filipsburga. Postąpiliśmy naprzód, aby oddać cześć zwłokom znakomitego człowieka, a ten sam półkownik, który mnie zapasy fortecy pokazywał, zdawał ją wykomenderowanym, między któremi i ja byłem. Widząc mnie z oczyma zapłakanemi, rzekł:

— WPan go dzień jeden widziałeś, jam pod nim lat dwanaście służył! i zalał się łzami.

Tak przed zdaniem nam Filipsburga, przeznaczeni na strzeżenie téj fortecy, zajmowaliśmy kraj od Karlsruhe do Manhejmu, pod komendą jenerała Laborde, który stał w Bruxelli; ja czas jakiś stałem w Szwejsingen, sławnym ogrodem swoim, późniéj w Heidelbergu. Chodziły kolejno bataliony do strzeżenia Filipsburga, a wtedy wioska Graben w Badeńskiém była kwaterą moją.

Opuścić i tego nie należy, o czém już wyżéj napomknąłem, że kiedyśmy Strasburg a bardziéj Kiel opuszczali i do wzięcia Frankfurtu biegli, wielu z naszych oficerów, co się za bieglejszych mieli, szukali środków uwolnienia się od téj wyprawy, przewidując

złe jéj skutki. Nagość żołnierza, łatwość dezercyi nieukontentowanych, była pozornym powodem, a istotnym niechęć do jenerała Kniażewicza. Podobno byli i tacy, co liczyli, że się im miejsce jego należy, jeśliby go niezdatnym uznano— posądzano o tę myśl jenerała Rożnieckiego. Gawroński się usunął; batalionem Fiszera Sierawski komenderował, Sokolnickiego lekce ważono. Mówiono nawet, że te uwagi aż do głównéj kwatery się dostały. Lecz żołnierze ci pod Berghem i Bernhejmem bili się przeciwko przewyższającéj sile, mrówia tyraljerów przedzierały się przez kawaleryą nawet. Korzystali z krzaków, kiedy ich rozbiła, z nią uciekającą przeszli Nerę, most na niéj utrzymali w swém władaniu, tak, że ich jenerał S.... z Kniażewiczem wstrzymywać musieli. Kawalerya w porządku napadła batalion drugi w czworogran zbity i przełamać go nie mogła, musiano sprowadzać działa, a przed ich przyjściem, batalion korzystając z padającego mroku, w porządku cofnął się opodal od strzałów kartaczowych, jakiemi go okryć pragnęli. Kawalerya ścigała go po nocy, zastała gotowym do boju i rażona silnym ogniem uciekła, a dwie armaty zdobyte zostały. Kniażewicz wszędzie jak wódz i jako żołnierz przewodniczył. Świadectwa te doszły razem głównéj kwatery ze smutnemi przewidzeniami, jakie ze Strasburga przywieziono, a jenerał Moreau okrywszy nas pochwałami, radził jenerałowi Kniażewiczowi pośpieszyć do Strasburga i zniszczyć gnieżdżące się tam nieprzyjaźnie; nas zaś nie już do Strasburga, ale pod Filipsburg odesłał.

Kniażewicz w istocie do Strasburga wrócił i doznał

przykrego uczucia, bo w tym dniu Gawroński w Ren wskoczył i ten wojskowy komeraż życiem przypłacił. Wszystko się na tém skończyło: oficerowie malkontenci ochoczo z infanteryi do kawaleryi, którą Rożniecki szef szwadronu organizował poprzechodzili, i gorliwemi się okazali.

Po oddaniu Filipsburga Francuzom, wzięto bataliony nasze i niedaleko Branau rozkwaterowano; było to w celu użycia nas na piérwszą linią bojową. Przyszły też i dwie kompanie składające szwadron kawaleryi, a swą postawą, doborem ludzi i nieznanemi w armii francuzkiéj lancami tak zabłysnęły, że oficerowie kawaleryi przyjeżdżali z miejsc odleglejszych, aby ich manewrujących widzieć. Żołnierz wzięty z wyrobionych ułanów austryackich, oficerowie pod księciem Józefem wyćwiczeni, konie piękne, mundury nowe— nic nie brakło prócz liczby. Jabłonowski i Ostrowski kompanie prowadzili.

Rozejm ten nie trwał długo: Francuzi oczyściwszy zawady, jakie im nad Renem stawiono, przyszli nad brzegi Innu, które Ludwik XIV za ostatnią granicę zwycięztw francuzkich uważał, przejście jego za trudne lub niepodobne sądząc. Brzegi jego przez czas długi fortyfikowane, stawiały w każdym punkcie opór, a związek między niemi wyczerpał wszystkie środki obrony, jakie teorya i doświadczenie do zabezpieczenia z téj strony kraju przedsiębrać nakazywały. Lecz już bohatér z pod Marengo dowiódł, że wszystko sile geniuszu ulega, i wskazał pole wsławienia się jenerałowi Moreau, który armią komenderował. Jenerał Moreau miał na widoku wyprowadzić Melasa z téj twierdzy

dla całéj armii przygotowanéj, czego nie dokazał. Żałował nieraz, że nie książę Karol komenderował....

Rada wojenna wiedeńska ułatwiła mu jego przedsięwzięcie: wybrała ona arcyksięcia Jana na głównokomenderującego i ułożyła plan kompanii, który miał Francuzów przegnać za Ren niezawodnie. Siły ich nizko ceniono, sądząc, że piérwszy konsul utrzymanie swych zwycięztw włoskich mieć będzie na głównym celu. Pragnęli jednak, aby Moreau piérwszy ruszył do boju. Utwierdził on ich w tém mniemaniu, czyniąc ruch wielki w wojsku swojém, tak, że uwierzono, iż nie chcąc przechodzić tak mocno bronionéj rzeki, udaje się ku jéj źródłom, a tam ją przeszedłszy w górach, w środek kraju biedz będzie musiał na zwycięztwa, zostawiwszy Wasserburg i Milsdorf, na których Austryacy mieli przedmostowe szańce i tam swe siły skupiali. Ta ułuda zupełnie się powiodła. Austryacy widząc słabe tylko wojsko przed sobą, uderzyć na nie zapragnęli, Francuzów w górach góralami otoczyć myśleli, a sami iść w Palatynat i ten kraj opanować byli pewni. W tym celu dwóma się szańcami przedmostowemi puścili; Francuzi bronili się ze zwykłém sobie męztwem, ale z tak małą garstką, że odparci zostali.

Gdy się armia na tę stronę przebrała, już armia francuzka, którą w marszu na przejście źródeł Inn być sądzono, niedaleko cała zebraną była. Radbym jeszcze czytał ten rozkaz dzienny, jakiśmy w wigilią bitwy pod Hohenlinden mieli sobie dany. On cały sekret manewruby objawił; a co dziwniéj, cały dzień bitwy i nieprzyjacielskich poruszeń tak ściśle opisał,

iż nam się zdawało, jakby oba wojska działały wedle umówionego planu.

Dzień był śnieżny i pochmurny. Austryacy szli na pewno, na opanowanie kraju. Dwie armie, każda po sto tysięcy ludzi liczyły, każda po kilkaset armat miała: wyciągały się one na linii mil kilkunastu, którą wódz władał całą z przewidywaniem wszelkich wypadków. Korzystać ze zdarzeń było duszą całego działania, i powiodło się, bo instrukcye dane wszystko przewidziały. Największa siła pod Hohenlinden rozwinięta, miała przed sobą znaczniejszą część armii austryackiéj, która się tamtędy z Wasserburga przebierała; cofano się powoli przed nią, bo miano na celu oddalić się od przedmostu ośmdziesiąt sztukami armat osadzonego. Moreau tu był na czele; na prawém naszém skrzydle, jenerał D.... leciał z dwudziestą tysiącami lasami, zwanemi świętego Krzysztofa. Jego przeznaczeniem było, przebić się tylko chociażby zostawując nawet odłamy swe opiece naszéj, bo i my za nim w pomoc ciągnęli i one z sobą zabiérali. Szedł więc szybko mając okolić Austryaków od Wasserburga, a Kniażewicz pomoc mu zabezpieczał. Spotykamy się z różnemi w różnych kierunkach idącemi oddziałami, i rozwijamy się do cząstkowego z niemi działania, lub ich od armii odcinamy. Były liczne częściowe utarczki, a bój główny pod Hohenlinden czekał rozstrzygnienia z poruszeń naszych. Tam dym od wystrzałów działowych był tak wielki, że się armie nawet widzieć nie mogły. Moreau patrzy godziny, którą za stanowczą uważał, a gdy ta nadeszła, chce widzieć jéj skutek, lecz mu ćma tyralierów i dym armat nieprzyjaciela zasłania.

Leci przed regiment saperów konnych, bo ten był na czele. Lafont, co już widział boje i do wielu zwycięztw prowadził; woła:— Za mną bracia, spójrzymy w oczy nieprzyjacielowi! Sam naprzód się posuwa, oczyszcza plac z tyralierów i postrzegają, że w armii austryackiéj odmianę frontu rozpoczęto. Na ten widok wszystko w ruchu, biją w bębny i trąby, do ataku wiodą, bo poznają, że od Wasserburga już odcięci zostali Austryacy. Żołnierz austryacki przejęty panicznym strachem, pojedyńczo uchodzi. Decamp rozkazuje swoim biedz razem aż w otwory przedmosta i zdobyć go jeśli się uda. My porzuciwszy błąkające się kolumny, przychodzimy w bojowym porządku osłonić tę strzelecką wyprawę.

Tumult wielki uciekających, którzy już nawet nie strzelają. Francuzi nie strzelają także, lecz z niemi do szańców biegną, nakoniec armaty szańcowe do całéj massy ognia dają, a oficerowie austryaccy na swoich wołają, że się armia inną drogą cofa. Tyraljery nasze formują się przy nas w odległości, i od nowego z okopów wypadu formujemy zasłonę. Dzień się kończy, wojsko cofa zostawując część dział i jeńców. Najwięcéj pochwyconych było z idących różnemi drogami komend, które nie mogąc sobie wybrać kierunku, szły wskazaną rozkazem drogą i na wojsko francuzkie natrafiając, chętnie się mu poddawali. Takich trzydzieści tysięcy liczono. Armia francuzka potrzebowała się uporządkować, a nie będąc w stanie opanować przedmostu w Wasserburgu, potrzebowała obmyślać sposób przejścia Innu, stosownie do obrótu, jakiby armia nieprzyjacielska przedsięwzięła.

Przeprawiła się ona w Milsdorf i ku Salzburgowi wzięła kierunek; nasza stanęła nad Inn, a tymczasem prawe skrzydło posunęło się w stronę Tyrolu, po swéj przeprawie, przeciąć nieprzyjacielowi przejście przez rzekę Traun pod Lambach zamierzając. Nieprzyjaciel przewidywał to zapewne, bośmy z téj strony miasta mieli spotkać świéże siły, nawet i wodza nowego. Tam się już książę Karol znajdował, i z sobą miał półki ułanów, które w Czechach przez niego uformowane, z takim wodzem miały odżywić męztwo skołatanego bitwą i marszem strudzonego wojska. Jenerał Decan i Kniażewicz, przez Milsdorf przechodzić mieli; most był zniesiony wprawdzie, lecz na przeciwnym brzegu materyały jego złożone były, i barki, które przeciągniono za sobą. Straży silnéj nie było, bo armia poszła już z pośpiechem, wielkich za sobą nie zostawując oddziałów. Jenerał Decan zawołał na regiment strzelców:— Przechodźmy! Po prawéj stronie było tylko kilka belek niezrzuconych bez pomostu. Jenerał siadł na nie jak na konia; myśl ta strzelcom się podobała i ruszyli. Armaty tymczasem z téj strony dosięgając drugiego brzegu, słabą straż uprzątnęły; przebrała się z jenerałem kompania, wsiadła zaraz na rybackie barki i przewoziła swoich z dwiema armatami. Wprawdzie przybyła od straży odwodowéj jakaś pomoc, aby ich odpędzić, ale zastawszy armaty dobrze obsadzone, usiłowania swe próżnemi sądząc, cofnęła się. Natychmiast zniesiono dyle, zrobiono kładkę, a zostawiwszy bagaże, do wieczora wszyscy już na drugiéj byliśmy stronie, w ściśnione kolumny uformowani. Szliśmy noc całą; straż tylną dognaliśmy

nakoniec i parliśmy ją bagnetami, czasem trupy deptać potrzeba było. Nieprzyjaciel usuwał się powoli, tak aż do Salzburga, gdzie w skale wykuta droga działami osadzona na dłuższy czas zatrzymać miała. Armia ruszała się w różnych kierunkach jednocześnie; boczne kolumny nie znalazły téj przeszkody, te które spotkali przeparli, i do odcięcia od Lambach nieprzyjaciela dążyły; on licząc na tę silną posadę, cofał się ku niéj. Nie wiém jaki był los inszych kolumn, lecz nasza je uprzedziła i do nas miały należeć bój i zwycięztwo. Przyjechał jenerał Montrichard, aby nas prowadził: bataliony nasze zastał w porządku. Wyjechali z Kniażewiczem obejrzeć położenie obozu: książę Karol rozwinął sześć tysięcy ludzi okalając niemi lewy brzeg rzeki, na któréj most się jedyny znajdował. Na drugiéj stronie były rezerwowe magazyny, nie tylko żywności, ale i wojennych zapasów, w wielkich budowlach nad brzegiem rzeki położonych, których bronić przedsięwzięto. Wielość dróg wiodących do miasta, potrzebowała rozciągnienia wojsk pieszych, a cała kawalerya na przeciw ich w skrzydle umieszczona, miała przeznaczenie atakować z boku kolumny infanteryi, gdyby się ku miastu puścić zapragnęły. W pomoc kawaleryi, kilka sztuk armat miały nas razić, ułatwiając jéj napadnienie. Z naszéj strony cała baterya artylleryi konnéj była przy awangardzie naszéj, z samych batalionów polskich złożonéj. W locie znalazła sobie stosowne położenie, zmuszając słabnąć i zamilknąć nakoniec armaty nieprzyjaciela. Od nas wymagano byśmy szli w ściśnionych kolumnach, nie wstrzymując się dla własnéj obrony i przebili w jednym

punkcie austryacką piechotę, i most zdobyli wprzód, niżeli rozciągnione austryackie wojsko ściągnąć się do niego będzie mogło. Tymczasem Montrichard awangardę rozwijał w całéj swéj sile. Widzieliśmy na lewéj stronie lasek, około którego przechodzić nam było trzeba, lecz nie wiedzieliśmy jaki być może z niego użytek. Kawalerya nasza już go zajmowała, i odważny Lafont czekał w nim na ułanów, którzy nas atakować mieli. Szliśmy rażeni kulami działowemi, na czele prowadził Kniażewicz, po stronach flankiery chcieli opoźniać marsz batalionów, które im odpowiadać strzałami nie myślały; bębny podwójny krok biły, i wkrótce byliśmy na płaszczyznie, kiedy armia nieprzyjacielska uciekała. W jéj miejscu, porządnym szykiem szli ułany uderzyć w bok kolumn naszych, które się dla nich nie zatrzymały. Ułani byli Galicyanie i Czechy, słyszeliśmy ich słowiańskie krzyki z pogardą dla nas sypane. Kiedy Lafont pędem orła już ich flank atakował, krzyk ten zmienił się w trwogę, i francuzkie szasery oddawali im za pogardę naszę. Myśmy i jednéj nie posłali kuli, bośmy już pod most podchodzili, a nasze bagnety złamawszy ich słaby opór, już nas panami mostu czyniły. Brano niewolników ułanom. Lichtenstein znakomitego rodu, co ich prowadził, już do niewoli się dostał; Montrichard całą atakował siłą: Kniażewicz bagnetami od mostu odpierał. To co się wpław nie rzuciło, poszło w niewolę, a Lichtenstein zyskał uwolnienie, jeśliby Fiszera w zamian za niego oddano z więzienia. To przyrzeczono; lecz tak skierowano jego drogę, że dopiéro od granicy pruskiéj do Francyi wjechał. Choć mini-

ster z Paryża o przedstawienie naglił, nikt z kolegów nie chciał zabrać miejsca szefa infanteryi aż do powrótu jego, i on wróciwszy natychmiast je zajął z tém większą pociechą, że je szacunkowi współtowarzyszów był winien. Po przejściu Traun, była gonitwa wyprzedzających się kolumn. Co do nas, chociaż byliśmy na czele aż po opactwo Sehlerbach, które broniono jeszcze, gdyśmy jednak pod opactwo Kremsmünster podstąpili, zastałem już tam jenerałów francuzkich, co mnie uprzedzili. Wprost z przed frontu poszedłem im donieść, że awangarda na to miejsce przyszła i dalszego od nich czeka rozporządzenia. Jenerałowie byli w bibliotece, właśnie w sali, gdzie się mappy znajdowały i wynieśli mi mappę Polski, ofiarując w podarunku. Przyjąłem ją, i późniéj do zbioru kart jenerała Dąbrowskiego odesłałem, jako świadectwo żeśmy na przodzie bywali. Opactwo Kremsmünster i jego okolice, mają dla mnie wiele wspomnień. Naprzód, kamień przy założeniu jego wmurowany świadczył, że był kładziony przez Polaków, kiedy Jan III był pod Wiedniem, i tu huk armat téj wielkiéj walki miał być słyszany. Ztamtąd też był wysłany adjutant jenerała Moreau, Lahorie, dla przyjęcia rozejmu, ten sam co późniéj w Paryżu w 1812 roku narobiwszy zamięszania został rozstrzelany. Był to żołnierz pełen talentu i mocnéj woli, zdawał się od losu spodziewać innego, niżeli go spotkało przeznaczenia. Właśnie z rąk jego otrzymałem tę mappę, o któréj wyżéj wspomniałem. Tu Sokolnicki stanął kwaterą, bo Kniażewicz zawsze skromny, bał się kwaterować w miejscu, gdzie jenerałowie z dostatkami swemi się popisywali. Zaraz

się usunął bliżéj kwatery głównéj i depo formującéj się kawaleryi, aby swe dalsze spełniać przeznaczenie, a być widzianym z blizka, że z wojny unosząc laury, dochował i ubóstwo jako domową swą cnotę. Tu się napatrzyłem na olbrzymie dostatki zakładu i zgromadzenia duchownego.

Na wierzchu budowli były wybite blachą metalową sadzawki, gdzie w świeżych z gór sprowadzonych wodach, rącze igrały pstrągi; osóbno pływały do rąk karmiącego przywykłe karpie i różne inne ryby, przeznaczone na stół poszczących prałatów. Woda z tych sadzawek zbiegała na dół, i w obszernéj sali jadalnéj wytryskała fontaną dla letniéj ochłody; szła także w naczynia, które w korytarzach smokami dawały ją na potrzeby zakonników, i dostarczała się kuchni. Mieli także zwierzyniec i bażantarnią; piwnica zaś dość była zasobną dla wystarczenia oficerom całéj armii po jéj przyjściu. O ilości zapłaconéj przez księży kontrybucyi, różnie mówiono. Byłem przy jenerale Moreau, kiedy ztamtąd jeździł na parę godzin do księcia Karola po zrobionym rozejmie, wziąwszy z sobą oficerów wszelkiéj broni, i widziałem księcia, który talentami swemi przynosił zaszczyt cesarskiemu nawet domowi.

Sokolnicki używał skromnie, lecz roskosznie wygód klasztoru. Zakonnicy dla rozrywki zaprowadzili go do bażantarni, gdzie on jeden strzelał, a oni szerokiemi sutannami naganiali mu ptastwo ochotnie, bo byli kontenci ze swego postojalca, który od nich nie wymagał nic więcéj tylko rozrywki. Ja stałem w Hall, Szwabskim zwanym, gdyż kilka być musi tego nazwania. Były to dobra jednego z magnatów; stałem kwaterą u burmistrza. Opowiadał mi zdarzenie, które dowodziło wysokiego poszanowania miejskiéj władzy przez wojska austryackie. W nocy, kiedy ten urzędnik spokojnie odpoczywał, i co się działo z ich wojskiem nie wiedział, szturmują do domu jego, aby im rozkład na kwatéry dawał.— Nie mam od krejsamtu rozkazu, odparł; to swawola! ja ją uskromię: zaraz do krejsamtu piszę! Zgiełk, i gdy do wyłamania drzwi przychodziło, a on ciągle krejsamtem straszył, pokazało się, że to już był regiment francuzkiéj kawaleryi z Alzatów złożony, z którego mowy, on ich wziął za Austryaków. Wyciągniono burmistrza, który nie pojmował takiego z urzędnikiem postępowania. Myśmy go szanowali, a on wygody nasze dostatecznie i z ochotą zaspakajał; mieszkańcy chętniéj też przyjmowali rozporządzenia znanéj sobie władzy, i byliśmy przez ciąg cały tak dobrze z mieszkańcami, że trzewiki, których nam brakło, swoim kosztem batalionowi ofiarowali. Mnie zaś wyjednali z Wiednia od grafa swego list dziękczynny, za spokojność batalionu w jego dobrach stojącego. Już po urządzeniu konsystencyi i nas z tego miejsca ruszono, a jenerał Moreau do Strasburga pojechał i Kniażewicza wziął z sobą. Kiedy Ren przejeżdżać mieli, wyszedł lud Strasburski powitać zwycięzcę, a piérwszego dostojeństwa kobiéty niosły upleciony przez siebie wieniec, który mu ofiarować przedsięwzięły. Odbyło się to po wymównem przymówieniu się krajowców; przyjął ich jenerał z uszanowaniem, a w swéj odpowiedzi dodał:— Winienem odwadze wojska, zdolnościom jenerałów, tak pochlebny dla mnie szacunek wasz. Widzicie obok mnie

jednego ze współuczestników, pozwólcie abym z nim podzielił wieniec. Niech on przyjmie część jego i podzieli się nim także ze swoją bracią.

Mówiono późniéj, że nam wyszła na złe ta odpowiedź, bo się domyślano nieporozumienia między piérwszym konsulem a świéżym zwycięzcą. Wprzód już się tego dorozumiewano z drobnego zdarzenia: piérwszy konsul uformował regiment kawaleryi z ochotników paryzkich, którzy go za szefa swego uważali. Dostatnia młodzież co go składała, błyszczała mundurami i końmi. Po uformowaniu odesłał konsul regiment ten do armii Moreau, aby się w boju wyćwiczyli. Jenerał użył ich zaraz do gorętszéj wyprawy, gdzieby się z męztwa swego sprawić mogli w oczach armii, co tyle już wytrzymała bojów. Ucierpiała strojna paryzka młodzież, a ten co jéj przewodniczył, dopuścił się wyrzutów, że ich chcą wygubić, bo są przez Bonapartego uformowani. Doszło to jenerała, a ten natychmiast wyłączył ich z obozu, mówiąc, że kiedy tylko do parady są przeznaczeni, mogą powracać do Paryża, bo w jego armii bić by się ciągle musieli. Pocieszyła ta odpowiedź towarzyszów broni; lecz jeśliby iskra niezgody od niéj poczynać się miała, żałować by jéj przyszło. Jednakże pokazywano w głównéj kwaterze, list piérwszego konsula do jenerała Moreau po bitwie pod Hohenlinden pisany; zapamiętałem jedno z niego wyrażenie:

«Ja wygrałem bitwę pod Marengo z ogniem i odwagą młodości, ty swoją pod Hohenlinden dowiodłeś wytrawnego wodza, co wszystko przewidzieć umiał.»

Już się do Luneville zjeżdżać zaczęli umocowani dworów o pokój traktujący; wielu przejeżdżało przez miasteczko w którém stałem z batalionem; nieostróżność naraziła mnie na szczególną przygodę.

Zawsze rad byłem nie tylko nie dokuczać, ale nawet mieszkańców zobowiązywać sobie. W miejscu gdzie wtedy kwaterowałem, lubiono towarzystwo moje, młodzież szczególniéj otaczała mnie. Nie odgadłem, że to byli członkowie towarzystwa demokratycznego, którzy przy wojnie, prędzéj zamiary swe do skutku doprowadzić myśleli. Mówili mi ciągle, że ucieszyłbym swój batalion stawiąc drzewo swobody na pięknym placu, któryby służył razem na ćwiczenia i musztry batalionu, żołnierz miałby więcéj ochoty obok tego znamienia francuzkich zwycięztw ostatnich. Przechadzka dam miejscowych i ochocze zgromadzenie się młodzieży, mnożyłoby między nami a mieszkańcami stosunki; żeby zaś uroczystość okazalszą była, ofiarowali na to łożyć sami. Nie zdawało mi się to od rzeczy, bośmy to dawniéj i własnym czynili nakładem: śpiesznie wykonano wszystko. Jam w dniu dekady zebrał batalion, muzykę wojskową, zagrano pieśń francuzką, a plac napełniał się ciekawémi obu płci mieszkańcami. Wtém przed pocztę zajeżdża wielki powóz, a w nim dyplomata któregoś z książąt, mający jakieś państwo w kongressie Lunewilskim przedstawiać. Prędko wyskoczył z karety i do nas się zbliżył; w nas ochota się zwiększyła na widok świadka uroczystości naszéj, a młodzież miejscowa coraz głośniéj śpiewała. Podróżny na pocztę powrócił, a że był pewny, iż ten znak zdobywczy postawiono dla następnego przy-

własczenia kraju, posłał protestacyą kolegom zbiérającym się w Luneville. Ztąd rejwach między dyplomatami, o zdradę się posądzają, wreszcie postanawiają wysłać do jenerała en chef, aby ich o stanie rzeczy objaśnił. On nic nie wiedział o tém, i przypadkowa mistyfikacya przeniosła się do kwatery jenerała Kniażewicza, z surowémi rozkazami do niego, których także zrozumieć nie mógł. Kossecki, co był szefem sztabu jenerała, ostrzegł mię nakoniec i zły skutek zapowiadał. Jam się tłómaczył, że żołnierz w dniu dekady był przywykły do takich obchodów i biesiady, którą ja sporządzić mu chciałem, tém bardziéj, że mieszkańcy kontenci z nas nie odmawiali kosztu, dla sprawienia téj przyjemności swéj załodze. Dyplomaci niemieccy napsuli sobie głowy nad tém zdarzeniem napróżno. Obalać drzewo postawione urzędownie, było rzeczą jeszcze nieznaną; kazano mi naprzód odmienić kwatery, a w czasie niebytności wojska, w nocy je sprzątniono jak najostróżniéj. Tak się skończyły kłopoty moje. Już wtedy w Paryżu rodacy nasi zaczęli utracać nadzieję, żeby zamyślany pokój powszechny mógł być dla ich interesu przyjaźnym; wieść się szerzyła, że legia włoska w służbę rzeczypospolitych włoskich, a nasza w służbę króla Etruryi przejść miały. Można sobie wyobrazić ile to nas strapiło, a jenerała oburzyło; przedsięwziął natychmiast do Paryża jechać i rzeczom przypatrzyć się zblizka. Po jego odjeździe, odebraliśmy rozkaz gotować się do marszu wprost przez Szwajcaryą, brzegiem Konstancyeńskiego jeziora, przez Zurich, Bazyleę aż do Genewy; zkąd przez Mont-Cenis do Włoch nam kazano. Fiszer, co wtedy

piechotą dowodził, szedł przy piérwszym batalionie, i w ciągu marszu wyciągnął od oficerów francuzkich wiadomość, że dwa regimenta kawaleryi nas okalały na oku mając, a gdyby nastąpiło wzburzenie jakie między nami, dopiéro okazać się miały.. Nie mogło to nas nie poruszyć do żywego, lecz honor kazał odprowadzić w karności żołnierza, a zbliżenie się do legii włoskiéj, dawało zręczność porozumienia się z niémi, jakby w takim razie postąpić należało. Szliśmy ponuro w marszu, mimo tak pięknych jakieśmy przebywali krajów. Marsz był dosyć nagły, i żołnierz strudzony podróżą nie miał dosyć czasu, aby się poznać z miejscami które przebywał. Spotkaliśmy korpus Baraguay w środek kraju uprowadzany. Byliśmy od niego ze współczuciem przyjęci, tak dalece, że na spotkaniu stawały w linii ich brygady i oddawały honory przechodzącym chorągwiom naszym. W Genewie spotkaliśmy korpus Macdonalda wracający z Tyrolu, który nas także powitał jako dawnych towarzyszów oręża; a gdyśmy w całém zebraniu oficerów cześć mu złożyć przyszli, dopuścił się nawet lekkiego wyrzutu, że o nas w ugodzie Lunewilskiéj zapomniano. Wojsko, rzekł, dzieli uczucia nasze, ale dyplomaci zapomnieli ileście nam użyteczni byli.

Przechodząc Alpy, w marszu batalionu mego, osunęła się z szystu złożona góra, prawie przed nogami naszemi; bylibyśmy zagrzebani, gdybyśmy się na tém miejscu znaleźli. Dwa dniśmy czekali, nim nam mieszkańcy zdołali otworzyć drogę. Zaszliśmy w ubogą krainę, w któréj St. Jean de Marien, miasteczko leży. Lud tutejszy ubogi i ubodzy też urzędnicy jego.

Wszedłem z mym rozkazem do magistratu, od którego nam się żywność należała. Urzędnik w trzewikach bez pończoch nawet, przeglądał papiery moje i gotował swe polecenia do miasteczka, kiedy od powracającéj do kraju kawaleryi francuzkiéj sztabs-oficer, w podobnym-że przybył celu. W krajach górzystych, krótkie pospolicie naznaczano marsze; ten że był niewygodny, oficer chciał dwa przestanki w jednym umieścić ruchu, i wziąwszy tam żywność, korzystać z drugiéj jakaby mu się na noclegu należała. Spójrzał okiem pogardy na ubogiego urzędnika i groźnie prędkiego zapotrzebował rozporządzenia. Poznał się na tém urzędnik, dobył z ubogiéj szafy trójkolorową szarfę, w nią swój nędzny przystroił ubior, a po przejrzeniu papierów:— Dziś tu dla Wpana miejsca nie ma, jutro go prawnie mieć będziesz. Oficer się oburzył; podniósł czoło urzędnik, a gdy mu oficer wzięcie siłą kwater zapowiadał, odparł:— Każę uderzyć w dzwony i lud mój was wypędzi; jeśliby do nieszczęścia jakiego przyszło, odpowiesz głową swoją, boś się porządkowi sprzeciwił. Wchodzili właśnie podrzędni, polecił im najskwapliwsze batalionu mego rozkwaterowanie.— To wojsko karne, rzekł, i szanowane być powinno. Oficer znalazł się w ambarasie i cofnął marsz do miejsca z którego przyszedł, klnąc Szwajcarów za zuchwały opór, jakiego dawali dowody.

Przeszliśmy Mont-Cenis i aż do Turynu nie znaleźliśmy wojskowego posterunku. W tém mieście, jenerał J...... komenderował; widziałem go w Paryżu w dniach ustanowienia Konsulatu, i gdzie nas spotkał, wszędzie z uczuciem dla nas się odzywał. Prosiłem

go, czy korpusowi oficerów żądającemu złożyć mu uszanowanie, nie zechce naznaczyć dogodnéj pory. Przyjął to z uprzejmością, mówiąc, że żałuje mocno, iż się jego położenie zmieniło od czasu reformy rządu, na którego czele umieścić go chciano.— Wtedy rzekł, jabym był rozporządzał w Paryżu, a Bonaparte byłby komenderował w Turynie; nie udało mi się, dodał, podnieść dawniejszéj ustawy, od któréj położenie kraju i moje zależało. Wtedy nie poszłyby układy na korzyść koalicyi....

Szliśmy do naszego dalszego przeznaczenia. Zastaliśmy Dąbrowskiego w Medyolanie, gdzie stały bataliony legiów naszych. Z pociechą powitaliśmy swoich, zaczynali oni wątpić o bycie legii, jak my o naszym. Obawa zniszczyła niechęć tę drobną, jaką w nich odłączenie formacyi naszéj wzbudziło; każdy opowiadał swoje przygody, spotykał dawnych towarzyszów broni; myśmy im przyprowadzili nową jeszcze młodzież, która bliżéj nas mając, ku nam się garnęła. Tu dostaliśmy rozkaz udania się do Florencyi pod komendę Murata; bo w nowym rzeczy stanie, już i politycznéj świetności nabywał, która go późniéj do korony doprowadzić miała. Szczególniéj uderzała w oczy kawalerya polska, do któréj we Włoszech przyjść nie zdołali, chociaż się o to kuszono. Wejście do Florencyi było świetne, główno-komenderujący nie szczędził uprzejmości. Zaraz naznaczył sztabsoficerów na komendantów placu: Fiszerowi Liwurno, mnie Sienna, a Lukka..... się dostała. Były to posty materyalnie korzystne: chciano nam dać uczuć, że to jest dowód nie tylko ufności, ale nawet względów

ze strony komenderującego. Lecz nie było to dla nas tak dalece wielkiém i miłém jak sobie wyobrażano. Myśmy pragnęli okazać mieszkańcom, że dla nich nie będziemy ciężarem; każdy z nas zostawiwszy koszta kancelaryi dość licznéj na ich utrzymaniu, żył ze swéj racyi i gaży jaką mu ranga jego przynosiła. Obywatele uczcili nas szacunkiem powszechnym. Jenerał en chef to postępowanie nasze za szkodliwe uważał, i kazano nam się stawić do głównéj kwatery. Słusznie nas zdziwiły wyrzuty jakie nam uczynił.

—Panowie, rzekł, chcecie powiększać krnąbrność i nieukontentowanie mieszkańców. Ofiarowałem panom miejsca, któreby się zacnym francuzkim oficerom należały; znaleźliby w nich byt okazalszy jaki zwycięzcom przystoi; może nie jeden ma ubogą we Francyi rodzinę, którąby zasługi jego w armii przyzwoitym bytem opatrzyły; a wpanowie udajecie Spartanów. To nie jest w duchu czasu, ani obecnéj służby; strzeżcie się nadużyć, pracujcie gorliwie, ale sobie wygody nie odmawiajcie i nie wprowadzajcie nadzwyczajności, bo te tylko liczbę nieukontentowanych powiększać będą. Jeśli mojéj nie usłuchacie rady, pomimo najlepszych chęci, zmienić was będę zmuszony.

W ciągu kilku miesięcy nie zmieniono nas przecie, a bataliony kolega na służbę do głównéj kwatery prowadził.

Gdyśmy do miasta wchodzili raz piérwszy, przy brzmieniu muzyki wojskowéj, wiedziano żeśmy byli z dalekiéj krainy i z ludu nieznanego krajowcom, bo tam nasze legie włoskie nie zawitały;— przyjście więc nasze było uroczystością. Sam jenerał en chef nas

wprowadzał: widok lanc trzema kolorami ozdobnych, artylerya konna, wszystko to mieszkańców bawiło. Rozwinąłem mój batalion na obszernym placu przed najozdobniejszym kościołem Panny Maryi, a jednéj z najpiękniejszych świata budowli. Tu oczekiwałem rozkwaterowania, gdy piękny zaszedł ekwipaż i galonowani spytali lokaje, czy to jest drugi wojska batalion. Zdziwiło mnie to zapytanie, a tém bardziéj żądanie służących, którzy mówili, że jedna z dam miejscowych, potrzebuje widzieć się ze mną. Tłómaczyłem się nieprzyzwoitością przyjmowania kogoś przed frontem, a że mi i listę kwater przyniesiono, powiedziałem gdzie mieszkać będę. Odszedł ekwipaż zostawując mi zadanie, którego rozwiązać nie umiałem.

Zaledwie się rozkwaterować zdołałem, kiedy mnie o przybyciu okazałego ekwipażu doniesiono, którego właścicielka miała potrzebę widzieć się ze mną. Prosiłem aby weszła nie mogąc jeszcze rozplątać w méj myśli, powodu jaki ją przyprowadzać może. Jéj postać, ubior, wszystko uprzedzało o wyższém położeniu w społeczeństwie miejscowém. Zapytanie zadziwiło mnie mocniéj jeszcze.

—Wszak w tym batalionie znajduje się kapitan Dziurbas? Czy jest tutaj?

—Jest w tym batalionie, odpowiedziałem, lecz dla własnéj wygody uprzedza nas, kwaterunek batalionu zabezpieczając; w téj chwili jest na drodze do Sienny, gdzie stale kwaterować mamy.

Spostrzegłem łzy w oczach damy. Bojąc się czy w zapisywaniu kwater nie dopuścił się jakiéj niezgrabności, żałowałem żem się tak łatwo przyznał do niego.

Wtém scena czulszą się jeszcze stała. Zaczęła płakać, że go widzieć nie będzie mogła, otwiéra mi się z zaufaniem, że go sprowadzić mogę, i że to natychmiast uczynię; nakoniec dodaje:— Ja go ukochałam, był tak dobrym dla mnie, w mojéj złéj doli sercem mu ślubowałam, a terazbym go widzieć nie miała. Tu dopiéro przypomniałem sobie neapolitańską scenę, kiedym ją do Gaëty odsyłał, i natychmiast rzuciłem się aby zaspokoić jéj żądanie, a ona z poleceniem mojém sztafetę do Sienny do Dziurbasa wyprawiła. Ciekawość przemogła we mnie nad delikatnością i towarzyskiemi względy; przypomniawszy jéj, że mi nie były obce piérwsze jéj stosunki, prosiłem aby mi opowiedzieć raczyła koniec ambarasów swoich. Powiedziała mi, jak z opuszczeniem Neapolu i Rzymskiego państwa, od Dziurbasa odłączoną była i z bagażami armii pozostała; po zniesieniu armii Macdonalda, w opuszczonym kraju nie widziała nadziei ratunku. Gdy się ku granicy Toskańskiéj zbliżyła, udała się szukając schronienia u dzierżawcy majątku ojca swego, do czasu otrzymania od niego przebaczenia. Ten o przybyciu uwiadomiony, zamknąć ją kazał w klasztorze, w którym wychowaną była i z którego ją porwano, a sam o wydaniu jéj za mąż uczynił starania. W tym właśnie czasie bywał w domu jego, kawaler hiszpan, syn jego przyjaciela, z którym ją za pozwoleniem duchowieństwa poślubił; ona z nim do Madrytu wyjechała i do usług królowéj u dworu umieszczoną została. Tu zasłużyła nie tylko na ufność, ale na powiernictwo królowéj i względy księcia Pokoju, który jéj męża protegował. Jednéj królowéj zwierzyła się

nieszczęść przez jakie przechodziła, i swoich z Dziurbasem stosunków, gwałtownéj jego miłości a swéj wdzięczności dla niego. Pokazywała mi nawet bilety królowéj pisywane w uciskach serca, wzywające współczucia jéj lub współdziałania i pomocy. W nich ją zaklinała na pamięć własnéj niedoli i kochanka; myśleć by można, że go królowa sobie jako północnego Apollina wystawiała. Mówiła w końcu, że ją oprócz chęci widzenia ojca, tęsknota do Włoch przygnała, w celu dopytania się między wojskami, co się z Dziurbasem stało. Przed kilką dniami odebrała była z Medyolanu wiadomość, że w przechodzącym wojsku, w batalionie drugim, podobnego nazwiska oficer się znajdował, a odemnie dopiéro dowiedziała się, że swego nie chybiła celu. Ośmieliłem się zapytać jéj, co na to mąż powié?

—On się podniósł u dworu przez stosunki moje, odpowiedziała, winien mi wiele i wszystko mu wyjawić mogłam. Chce żebyśmy Florencyą opuścili, ale wierzy, że mam tylko uczucie wdzięczności dla tego pana. Ja zaś sama nie umiém rozróżnić jakiego doznam, gdy go zobaczę na nowo.

Odtąd codziennie przychodził wysłany z zapytaniem, czy jéj znajomy nie przybył. W końcu stanął pan Dziurbas; mały, trochę ułomny, mocno siwy, twarz często rozogniana napojem miała kolor płonącéj miedzi, nos pokrywały wyrostki liczne, chwiały się nogi, a źle uwiązana szabla, brzękała wlokąc się po ziemi; choć czapkę na bakier nosił, nie nadawało mu to postaci zuchwalca, ale raczéj podochoconego wojaka. Ja nie pisałem mu o jego szczęściu, bo w ca-

łéj służbie nad Dunajem na nowe jego patrzałem zaloty, i z jéj tylko oczu pragnąłem zdjąć ułudę, bom ją cierpiącą widział. Dniem przed jego przyjazdem, dama poznała mnie ze swoim mężem; ten zdawał się we mnie pokładać ufność, że pracować będę z méj strony, aby uwolnić żonę jego od spazmatycznych cierpień, jakie ją na wspomnienia Dziurbasa napadały. Mogłem się podjąć tego, nazywając chorobą przesadzonéj wdzięczności, jéj szczególne cierpienie. Mąż prosił mnie abym go wprzód mógł poznać z kapitanem, niżeli o przyjeździe żonę jego uwiadomię. Znam się z Lavaterem, rzekł, i umiém czytać w twarzach, poznam jakie uczucie wzbudzić jest w stanie.

Na to obejrzenie wstępne nieprzyjaciela, wybraliśmy Wenecką kawiarnię, gdzie ja z wielu oficerami przybyć miałem, a on odgadnąć rywala. Dawszy Dziurbasowi dobry obiad i dostatkiem wina, poszliśmy do kawiarni umówionéj. Był tam już hiszpan, wziął mnie na stronę i bystrym wzrokiem przychodzących mierzył, a gdy go Dziurbas mijał, rzekł:— przynajmniéj nie za tym żona moja spazmuje. Jakże się zdziwił, gdym mu powiedział, że za nim właśnie. Tak to miłość dziwaczyć umié: pytał mnie czy nie żartuję, alem go zapewnił; targał dłonią piękny włos czarny, namiętnie w języku swoim złorzecząc. Przyrzekłszy żonie, że się z nim widzieć dozwoli, pośpieszył do swego domu, a wychodząc szepnął mi:— Dopomoż mi pan, wyśmiejem ją obadwa, to będzie najlepsze lekarstwo.

Przybyła z mężem w okazałym pojeździe owa dama, gdy nieświadomy jeszcze swego losu Dziurbas,

spokojnie wychylał szklanicę dobrego wina. Zdrętwiał ujrzawszy ją; ona się z wejściem ociągała, potém raptem śmiało zbliżyła się do niego, pytając:— Czy ją poznaje? Dziurbas się do łez rozczulił, lecz uczucie a może ostatnie szklanice, zamknęły mu usta, drżał tylko i rad się był skryć pod ziemię.— Przeszliśmy koleje dziwnego losu rzekła ona, chciałam ci podziękować jeszcze żeś mnie wyrwał z okropnego położenia; choć twardą przeszłam drogę, Bóg mię ocalił nakoniec. Kościół i nowe śluby zniweczyły nasze dawne związki, mąż mi przebaczył przeszłość, zostaje mi zapytać ciebie, w czém ci wzajemnie użyteczną być mogę.

Zdobył się Dziurbas na odpowiedź:— Chyba przeszłości powrótu mógłbym żądać, a gdy to nie podobna, dość dla mnie, że ciebie widzę szczęśliwą.

— Choć bardzo nieładny, ale to jakiś uczciwy i szlachetny człowiek, rzekł hiszpan; widzę to po odpowiedzi jego. Nie przywodź go pan jednak do nas, dodał, boby się młodzież wyśmiéwała z takiéj farsy. My jutro opuścimy miasto, a jeśli to zdarzenie powróci jéj spokojność, miło nam będzie wspomnieć, że w części winni to będziemy panu.

Na tém się skończyło.

Zapowiedziano nam z kwatery głównéj, że Toskania będzie królestwem, i córka Hiszpańskiego króla, zamężna synowi księcia Parmy, osiądzie z nim na nowo utworzonym tronie; a jeśli powrócone zostaną rządowi francuzkiemu nakłady na legią naszę, przejdziemy w służbę tego nowego króla, jako jego gwardya, i jako zakład stosunków Francyi. Bo rząd liczy nas za

Francuzów prawie, pomnąc sympatyę, jaką legie niejednokrotnie mu okazały. W nas przykre to obudziło uczucie; zdawało nam się, że się nas pozbywano, że nas zaprzedawano. Każdy myślał tylko jakby opuścić służbę, i do kraju powrócić. Rozpoczęte panowanie cesarza Alexandra I; łaskawość jaką okazał wielu z naszych rodaków, były nam rękojmią spoczynku na rodzinnéj ziemi. Mówiono, że traktat Lunewilski ma być ogólnym Europy pokojem.

Murat komenderował nami i całą włoską armią; kwatera jego była we Florencyi. Mój batalion, którego część w Orbitello w końcu błot toskańskich stała, przesiąkniony zgniłém powietrzem, tracił ludzi na febry, jakie tam panują. Starałem się o przeniesienie jego, i do Florencyi nas przeprowadzono. Zbliżał się nowy stan rzeczy: Toskania królestwem zostać miała; dla córki króla Hiszpańskiego potrzeba było, żeby obrzędy religijne nabrały świetności, a może to i z przekonaniem piérwszego konsula się zgadzało. Przed przyjazdem królestwa, Murat szukał starych oficerów, którzyby go nauczyli, jak się to za czasów monarchii katolickiéj dopełniało. Nie łatwo to przyszło, lecz znalazł się bogobojny starzec, co uroczystym obrzędom przytomny był w Paryżu, i pamięć mu ich została. Wezwani byliśmy do nauczenia się manewrów, nowemi przepisami nie objętych, świętym obrzędom towarzyszyć mających. Murat był téj szkole przytomnym, bo i sam wyuczyć się jéj starał. Było to cóś w początku teatralnego, maszerowaliśmy, klękali, wstawali, prezentowali broń, a Murat poddawał się temu wszystkiemu, choć niekiedy szydersko się rozśmiał.

Starzec oparty na dawnym zwyczaju, nic z niego ustąpić nie chciał. Wielu z oficerów francuzkich usuwali się od tych manewrów i od obrzędu dnia koronacyi; na nas się tedy skończyło, byśmy jego dopełniali. Do otoczenia w czasie processyi najbliższego kapłanów miejsca, wykomenderowałem kapitana Bolestę, co po mnie miał ten batalion otrzymać. Przy wyższych przymiotach, miał on wzrost tak drobny, że na siebie obracał nim oczy. Kawalerowie orderu Ś. Stefana w swych bogatych strojach, podług miejscowego zwyczaju, monstrancyą w dniu tym otaczali; niektórzy byli mi znajomi, i wyrzucali mi, żem tak niepokaźnego naznaczył oficera. Upewniłem ich z największą seryo, że to jest członek familii naszego ostatniego króla. Ta myśl arystokratyczna niezmiernie im pochlebiła, i umówili się, że gdy ich wedle zwyczaju salutować będzie, każdy go pozdrowi słowy:— *E viva il sangue reale!* Nie myślałem wcale, żeby się to, co powiedziałem, tak dobrze przyjąć miało; nie mogłem ostrzedz Bolesty wprzódy, a gdy kilkudziesiąt ozdobnych kawalerów, mijając go krwią królewską zaszczycili, on kręcił głową, aby im wskazać, że się omylili; ale wzięto ruch ten za dziękczynienie. Poźniéj wcale się już nie wzbraniał, choć go wszędzie krwią królewską, przy każdém spotkaniu witano.

Królestwo wjechali w miasto, wprowadzani przez Murata, otoczeni ściskiem pospólstwa i najętemi krzykaczami, którzy ich dostojność wielkiém ogłaszali wołaniem, a pociechę powszechną wykrzykami swemi do objawienia pobudzali i zastępowali. Niewiele to musiało kosztować, jak się zdaje. Powozy były obywa-

teli miejscowych, damy dawnego dworu, albo same przytomne, albo przynajmniéj swych litych sukień pożyczyły nowo wybranym. Nowy król blady na twarzy, słusznego wzrostu, zdawało się, że przyjął dostojność, ale jéj nie był pewien. Sama królowa ożywiona, mówić zdawała się, że królestwo dla niéj utworzone zostało. Murat, władzca poprzedni téj krainy, ubiegał się dla niéj z grzecznościami; mówiono w kwaterze głównéj o hojności jego podarków, ofiarowanych królowi w koniach, i błahém obdarowaniu się ze strony monarchów, których na tronie osadzał. W dni parę chciano uczcić armią w jéj oficerach; wielki był obiad u dworu dla kwatery głównéj i sztab-oficerów garnizonu; ale skromnie bardzo wystąpiono, i bankiet wcale nie był królewski, a daleki od tych, jakiemi dotąd Murat przyjmował. Czekaliśmy na przyjście królewskie, a z naszego patrząc stanowiska myśleliśmy, że trzy wyższe zostawione miejsca, zapewne dla N. Państwa i wprowadzającego ich na tron, armii reprezentanta Murata przeznaczone były. Weszli królestwo, a Murat i legat papiezki z niemi; królowa między sobą i mężem wskazała mu miejsce, Muratowi narożne zostawiwszy. Niespokojność we wszystkich była widoczna, lekce ważono obecność królestwa i kamradzkie rozpoczęto rozmowy, brzękały nieskromnie naczynia, Murat to wzrokiem poskramiał tylko. Prałat bawił królowę, czasem się do marszałka obracając; był on duszą konwersacyi w ciągu obiadu całego, po którym ukończonym ledwieśmy salę opuścili, pełno dowcipnych żartów na tron nowo zjawiony, po wylaniu tyle krwi francuzkiéj, żartów z samych siebie, co

niedawno wszystkie trony obalać chcieli. Były podobne i w czasie processyi na Boże Ciało, bo Francuzi wołali, że ich chcą na zakrystyanów obrócić, a armią w pobożne bractwo zamienić i t. p. My, cośmy się dowiedzieli, że król z zubożałego królestwa opłacać nakłady na formacyą naszę uczynione, nie był w stanie, i przyjąć nas za swą gwardyę nie pragnął, więcéj na mieszkańcach niż na nas polegając — pomyśleliśmy pilniéj o sobie.

Ja udałem się do Fiszera, który był komendantem placu w Liwurnie, aby się z nim naradzić; pisaliśmy oba do Paryża prosząc o uwiadomienie, czy do nas jenerał Kniażewicz powróci. Stała wtenczas w Liwurnie na kotwicy fregata szwedzka, mająca na Wschód żeglować. Kapitan jéj, powziął nie tylko szacunek, ale nawet przyjaźń dla Fiszera. Gdyśmy mu mówili o naszéj chęci porzucenia służby, zachęcał nas, abyśmy z nim na Wschód płynęli, odbyli całą podróż, a gdy do Sztokolmu dopłyniemy, będziemy już blizko własnego kraju, lub w Szwecyi przytułek znaleźć możemy. Nie byliśmy dalecy od przyjęcia jego wniosków; ale Fiszera męczyła żądza widzenia Rzymu i Włoch południowych, w czém mu przyrzekłem towarzyszyć. Wtém się i wojenna odkryła potrzeba. Na wyspie Elbie, Porto-Ferrajo Anglicy posiadali, a na drugim jéj końcu, Porto-Longone francuzkim garnizonem osadzone było. Anglicy użyli portu, co był silnie uzbrojony, na korzyść handlu swojego, jak zawsze zwykli. Zasypali go towarami, a tysiące barek rybackich przewoziły towary do różnych nieobronnych przystani, tak dalece, że kontrabandowy handel, za-

stępował wszelki inny. Francuzi żadnéj siły morskiéj w tych stronach nie mieli, i przeszkodzić temu nie byli w stanie. Murat chciał wylądować i siłą Porto-Ferrajo zdobyć, składy towarów zabrać, i niemi koszta wyprawy sobie nagrodzić; brak portu byłby zniszczył handel korzystny. Lecz Porto-Ferrajo od strony lądu silnie uzbrojone, wiele kosztować mogło, gdy od strony morza wielką upatrywano łatwość. Murat zażądał z Tulonu dwóch fregat, któreby port zaatakowały, a nam zdobycie miejsc warownych od strony wyspy polecił. Przyszły dwie fregaty nowe i z całém uzbrojeniem, wzięły kilka kompanii mojego batalionu; barki zresztą, zebrany mój i Fiszera batalion do Porto-Longone wysadzić były przeznaczone. Dano nam stosowną ilość dział, a wylądowanie żadnéj nie doznało przeszkody. Usypaliśmy nawet bateryę odpowiednie bateryom angielskim, które broniły dosyć jeszcze długą groblę, przez którą jedynie dostać się można było. Wiedzieliśmy dobrze, że naszém było przeznaczeniem, odwrócić siłę nieprzyjacielską w tę stronę, a fregaty reszty dokonać miały i wysadzić wojsko, które niosły. Garnizon angielski był tak mały, że na dwie strony do obrony nie wystarczał. Myśmy zaczęli działanie, a on się zwrócił ku nam. Z jakąż pociechą widzieliśmy z rozpiętemi żaglami świetne dwie fregaty podpływające ku wyspie! Zdawało się nam, że one zwycięztwo zapewnić miały. Dla ludzi, co morskiego nie widzieli boju, cóż to za powabny widok ujrzeć płynące te ogromne budowy, wirowym obracające się ruchem, z jednéj strony zionące ogień z dział swoich, gdy drugą do wystrzałów gotują; ich żagle białe, ich liny, drabinki ze sznurów, któremi są opatrzone, i majtków zręcznych z zapałem przebiegających je, słuchających głosu, wedle którego kierują żagle, niemi łapią wiatry i na rozkaz wodza się posługują. Gdyby nie ruch, nie armaty, które nam często zabiérały towarzyszów broni, możnaby na ten widok oddać się całkiem właściwéj ciekawości. Dla żołnierza, co tylko lądowych bojów był świadkiem, rzecz była nowa i zajmująca. Nagle na tych pływających twierdzach ujrzeliśmy nadzwyczajne poruszenie; zdawały się gotować do odwrótu, choć dla nich żadnego nie widzieliśmy niebezpieczeństwa. Zdaleka cóś tylko migało, jakby wyłażący z łona morskiego potwór, jakby drobne statki rybackie. Oni to lepiéj poznali, była to flota angielska, co do Gibraltaru wracając, chciała Porto-Ferrajo zabezpieczyć. Drobne jéj żagle wzrastały coraz w oczach naszych: były to liniowe okręta, przy których zdrobniały fregaty francuzkie; lot ich szybki nie zostawiał nawet cofnięcia się nadziei, ani ich Porto-Longone ocalićby mogło. Komenderujący fregatami wysadził na pokład piechotę naszę, oni wyprowadzają swoich; my na brzeg ciągniemy działa, sądząc, że one ich oddalić zdołają, lecz brzegi były opodal płytkie, fregaty zbliżyć się i z pomocy naszéj korzystać nie mogły. Patrzymy, na co się ta broń stojących na pokładach przydać może, przy mnóstwie armat, co się zdala sięgają. Idą ku sobie okręta, nadęte żaglami jak łabędzie, kiedy z sobą igrają; ryk kilkuset armat, dym prochu, piekło żywe na małéj przestrzeni przedstawia. Zaczyna się i broń ręczna odzywać, majtkowie postrzeleni zlatują lub opuszczają liny,

okręta się chwytają bokami, mężniejsi wskakują na nie; boczne żywym ogniem jeszcze pomnażają zniszczenie. Zwycięzcy naprzód odziérają żagle, potém obalają maszty, a uwięziwszy ludzi, przywiązują fregaty jak drobne łodzie, i piękne te budowy, któreśmy nie dawno podziwiali, włoką za sobą. Myśmy się do Porto-Longone cofnęli, a oni ani dbali o nas. Nasi towarzysze broni, co na fregatach byli, poszli w niewolę. Wspomógłszy Porto-Ferrajo, poszła flota do swego przeznaczenia, a nas statki do Liwurny odstawiły. Po takiéj stracie żołnierzy z batalionów, posłałem prosząc, aby mię od służby uwolniono, lecz to się nie zdało czynić bez wyższego zezwolenia. Toż samo i Fiszer uczynił, położywszy mi za warunek, jeśli razem powracać mamy, żebym mu do Włoch południowych towarzyszył, które widzieć pragnął. Wzięliśmy uwolnienie témczasowe, i udaliśmy się do Rzymu. Tam niegdyś stałem, tam się za poznaniem starożytności i kunsztów więcéj roku ubiegałem, wiele mi się tam stosunków towarzyskich pozostało jeszcze; wreszcie Pius VII panował, przy którego niedobréj doli, byłem mu w Imola dodany, i mojém uszanowaniem łagodziłem położenie jego, na ufność zarabiając sobie. Kraj był już uspokojony, podróż przyjemna i ułatwiona, a tak szczęśliwie stanęliśmy w Rzymie. Tam miałem protektorem duka Al... w służbie nadwornéj Piusa VII zostającego; było się o kogo oprzeć. Piérwsze dni spędziliśmy na poznaniu miasta i pomników jego. Śmieszne tu dwa wspomnę zdarzenia. Byliśmy ubodzy aby hojnie opłacać wnijście do pałaców, gdzieby co do widzenia było; jam to dobrą miną,

jako oswojony z językiem, zastąpić usiłował; a Fiszer ciągle się niepokoił, bojąc się przykrego zawodu. Na ruinach pałacu Pompejusza, dziś stoi pałac Barberinich, którymeśmy obejrzeć pragnęli. Nie wiedzieliśmy do kogo on należał; oświadczyłem służącym nasze żądanie, a jako cudzoziemcom grzecznie to ułatwiono. Prowadził nas człek podeszły, którego obejście niekoniecznie włoskiém nam się zdawało. Fiszer się niepokoił, że go przyzwoicie nie wynagrodzimy, i o tém do mnie po polsku mówił:— Jam nadgrodzony, odpowiedział włoch, i to wiele już lat temu.— Odezwanie się po polsku choć nieco złamanym językiem, niezmiernie nas zdziwiło; gdy on dodał:— Jego świątobliwość kardynał Saluzzo, jest tego domu właścicielem; ja, rządzca jego domu, byłem z nim i w Warszawie, gdzie jako nuncyusz przebywał. Jakże to u was gościnni dla cudzoziemców, jam rad, że się choć w części odwdzięczyć wam mogę; kardynał mi to za najlepsze poczyta.

Lecz się tak miła przygoda, cierpkiém, choć nieszkodliwém doświadczeniem zatarła. Gdyśmy stali w Rzymie, moją było rzeczą zastępować *cicerone* dla rodaków. Robiąc to po wiele razy, nabyłem wprawy, język mi nie był obcym, a wielu przyjezdnych dopiéro się do niego przykładali. Właśnie zjechał był Wybicki, tak starożytności żądny, tak z dziejami oswojony; jam się mu starał towarzyszyć, aby się czegoś nauczyć od niego. Oglądając ruiny pałaców cesarzów, weszliśmy w miejsce zwane kąpielą Livii; w prostego gbura było dozorze, a on za swoję fatygę jak mógł najdrożéj zdzierał. Dostawszy się do lochu pod-

ziemnego, po swojemu począł nam tłómacz myśl alfresców wykładać; Wybicki ją uczenie sprawdzał, jam się im przypatrywał, ale ząb miałem do chłopa, który mi wchodzącemu powiedział:— Mniéj jak za skuda wam nie pokażę. Trzeba było nagotować; chciał traf, żedym dobywając skuda z kieszeni, gdy się już przewodnik oglądał i głową kiwnął, dobył razem bajoka. Przyszła mi myśl odmienić go na tę miedzianą monetę, albo ją w papier obwinąć. Natenczas rzecz się wyśmienicie udała, i myśmy się spokojnie oddalili, gdy on te groby zapiérał. Gdym we dwa lata poźniéj z Fiszerem przyszedł, spójrzał na mnie ostro i swą latarnią najwięcéj Fiszerowi służył; zapłaciliśmy go, ale wychodząc on Fiszerowi wynijść z groty pomagał, a jam się w tyle pozostał. Gdy na mnie przyszła koléj, on puginału dobył i spokojnie rzekł:— *Il mio scudo!* Pamięć mi się wróciła dwóletniego żartu: musiałem mu dać skuda, a on przed wyjściem zmusił mnie, abym od niego bajoka odebrał, mówiąc:— Kwita za moje.

Chciał Fiszer widzieć Neapol, lecz bezpieczeństwa w podróży nie było; dawna w pospólstwie niechęć nie była stłumioną, o paszport niełatwo. Udaliśmy się do duka Al... który się nami szczérze opiekował. On przedstawił nam korzystną porę: wracali podtenczas zabrani w niewolę oficerowie neapolitańscy, a papież im dozwolił widzieć się z sobą i przyjąć jego błogosławieństwo, na to im wyznaczywszy godzinę. Al... korzystał z tego i o nas także papieżowi wspomniał. Chętnie ojciec Ś. dozwolił nam widzieć się, ale dodał:— Mięszać ich z sobą nie wypada, bo może oficerowie ci francuzcy formy zwykłe uznaliby za przesadzone, lub starsi za złoby im mieli, żeby się im poddali. Umieść ich w przyległym pokoju, jak piérwsi odejdą, zobaczę ich rad. Stanęliśmy na naznaczoną godzinę w wyznaczonym pokoju, kiedy liczni oficerowie neapolitańscy hołd swój składali i do ucałowania nóg papiezkich przypuszczeni byli; każdy z nich poświęcony różaniec w podarunku odbiérał. Gdy się to przyjęcie ukończyło, wszedł papież; pytał nas o naszéj podróży i czy armia odebrała już rozkazy, bo jego uwiadomiono, że jenerał Miolis miał się nanowo ku Rzymowi posunąć; a gdyśmy upewnili, że do naszego wyjazdu odgłosu nawet o tém nie słyszeliśmy, rzekł ojciec Ś.

— Może też wzięli to na uwagę, że dośćby było tych napadów na bezstronne państwo, którego krzywda odbija się w całéj Europie, w sercu każdego dobrego chrześcijanina.

Dodał potém, że mu duk Al... mówił, iż o paszport mieć możemy trudność,— ale ja, rzekł, poślę prosić kardynała Ruffo, ministra neapolitańskiego, aby wam go wydał i osóbną kartą bezpieczeństwa upewnił. My sobie nie jesteśmy obcy, powiedział, obracając się do mnie: WPan mi byłeś dodany w Imola, widziałem jego dla mnie przychylność, i miło mi to przypomnieć sobie.

Odszedł pożegnawszy nas ojciec Ś., a nasz paszport nie doznał trudności; otrzymał go dla nas opiekun, i weturynem do Neapolu śmy się puścili. W drodze, na błotach Pontyńskich, wstrzymał się na popas weturyn około oberży przy gruntach Braschi'ego, sy-

nowca przeszłego papieża położonéj. Tuśmy zastali kilkunastu ludzi po myśliwsku uzbrojonych, obiadujących za stołem. Gdyśmy się do niego zbliżyli, bystro poczęli poglądać na nas i ciszéj coś z sobą rozmawiali. Jeden z nich był intendentem majątku Braschi'ego i zbliżył się do nas, zapytując dokąd jedziemy. Powiedzieliśmy mu, że do Neapolu.

—Tam wszelkie bezpieczeństwo, ale podróż, rzekł, nie zawsze równie bezpieczną bywa. Pytał, czyśmy za paszportem francuzkim, a że nam wprzódy powiedziano kto był, myśleliśmy, że pytanie ma policyjną siłę, i pokazaliśmy mu nasze umocowania. On je przejrzał i pochwalił ostróżność naszę.— I ja, dodał, mógłbym wam dać także przychylne świadectwo, boście mi oba znajomi. Mam barki co zawijają do portów, i w Liwurnie bywałem; piérwszy to był komendant placu, (obrócił się do Fiszera), co nas nie odziérał, nie napastował nas nawet. A WPana, rzekł do mnie, w Orbitello widywałem, gdziem często zawijał w nadmorskich podróżach; widziałem cię nawet w Siennie, gdzie byłeś komendantem placu, i moi znajomi dobrze mi o nim mówili. Jednak różne były moje z wami stosunki, rzekł daléj, dobywając papierów i ukazując nam arkusz z godłami i podpisem Dąbrowskiego.

Ciekawość naszę podbudził, i spytaliśmy się co to, i do kogo było pisane.

—To, rzekł, zdobycz wojenna! I podrożywszy się trochę, dał nam do przeczytania; był to rozkaz dany panu półkownikowi Chaman, prowadzenia legii piérwszéj.

—Ależ choć Chaman zabity, spytaliśmy, jakże się

wam ta zdobycz dostała, boć nasze wojsko spędzoném nie było?

—Służyłem w gerylasach, odpowiedział, w dniu tym nawet śniadałem z nim razem, hojnie uczęstowanym w podróży od damy, u któréj nocował. Trochę wcześniéj z ochotnikami byłem już na jego przechodzie, spodziewając się, że kogoś pojedyńczo sprzątniemy. Zasiedliśmy za jedną z oberży naddrożnych. Chaman znacznie się przed swoich wysunął, tak dalece, że nie tylko był czas strzelić, ale i obedrzéć zabitego. Nie bardzośmy się obłowili, bo mówiono, że to był niezamożny człowiek, ale na dowód, żem komendanta sprzątnął, uniosłem jego pugilares, i ten mi dobrą sławę między mojemi ustalił.

Z tego towarzystwa niewiele dobrego mogliśmy rokować sobie, i z trwogą opuściliśmy oberżę dążąc do Terracino, lecz się tylko na téj rozmowie i strachu skończyło. Wjeżdżając do Neapolu, udaliśmy się do ministra francuzkiego pana Alque, aby opiekę jego pozyskać. Spytał nas o cel podróży, mówiliśmy żeśmy przybyli dla widzenia Neapolu i okolic jego. Ofiarował nam przyjemne towarzystwo jenerała Dampièrre, który był wtenczas u niego, w celu artystycznym i naukowym podróżując. Radził nam mieszkać w téj co on oberży, i z nim razem mniejszym nakładem na kilka osób podzielonym, wycieczki nasze odbywać. Zresztą nie tylko opiekę swoję, ale uprzejmie i dóm swój i towarzystwo nam ofiarował.

Piérwszym naszym celem było, dostać się na wierzchołek Wezuwiuszu, który natenczas spokojny, wszelką sposobność szczegółowego obejrzenia ułatwiał.

Dampièrre miał przed sobą wszystkie wyciągi z podróży, uwagi naturalistów i najmocniejszą wolę odkrycia czego nowego, jeśliby się udało. W dniu do tego sposobnym, ruszyliśmy nocą księżycową, jasną, aby za brzaskiem być na wierzchołku góry. W czasie méj piérwszéj w Neapolu bytności, widzieliśmy tylko wrażenia, jakie ta góra pałająca, na mieszkańcach i podróżnych sprawia; kiedyśmy do Neapolu dochodzili, widziałem tylko obszérną łunę, którą w niewiadomości braliśmy za jakieś stanowisko wojskowe. Lecz się wstrzęsła ziemia niespodzianie, a mieszkańcy, co byli w obozie stronnikami Francuzów, cieszyli się niezmiernie z błyśnienia piérwszego światła, i mówili:— Bóg Neapol od klęski ocala, Wezuwiusz ognie zewnątrz rzuca; nie uwierzycie jak nas mieszkańcy przyjmą, gdyż wołać będziemy: Bóg się rzecząpospolitą chce opiekować i lud ocalić. Jakoż to było hasło wejścia naszego. Nie była wtedy pora odwiedzać okolice w czasie ogólnego wzburzenia, ani być na górze, którą rozpalone wyrzuty okrywały. Byłem uszczęśliwiony, że ten cel podróży przedsiębraliśmy.

Lekki blask wydziérającego się gazu okrywał otwór krateru, lecz to było światło tylko, a żadnego śladu ognia i wybuchu. Zorza błyskała z nad morza, oświecając ruch jego; słabo przeglądało miasto, a tysiące rybaków w żaglami opatrzonych łodziach, na brzegu morza za połowem ryb płynąć się gotowali. Później okrył się niezrównany dla oka widok, o którym w zapale neapolitanin i ledwie nie każdy włoch powtarza: *Vedi Napoli e mori.* Między dwiema wyspami, co noszą nazwanie *Isole dei Capri*, zaczęło

wschodzić to potężne słońce, którego obwód tam się być większym zdaje, niż kiedy na nie w naszéj patrzymy krainie; jego promienie ślizgały się po bałwanach morza, światło padało na gmachy miasta, i równie oświecało historyczną wulkanów krainę. Tu widać górę z jednonocnego wysypu *Montagna-nuova* zwaną, tu białą Solfaterę, na któréj pastérz spotyka drobne płomyki i przy nich gotuje swą strawę; tu przebitą grotę Sybilli przed tunnellem Londyńskim, uważaną za niezmierzone arcydzieło; tu Herkulanum wulkanu lawą zalane i Pompeję zasypaną popiołami. Ciekawość w nich grzebie i odkopuje ulice, teatra, świątynie, ówczesnéj cywilizacyi materyalnych dotykając dowodów. Wszystko się to przed twém okiem z obu stron przesuwa, a przed tobą obraz nieskończoności, morze, najpiękniejsze morze, w środku niego słońce w ramie z dwóch wysep utworzonéj, gdzie ludzie i wytworna roślinność obrały sobie schronienie. Jest to czarujący widok, témbardziéj dla mieszkańca kraju płaskiego, co do niego nie przywykł. Nie jedno przecie uczucie wynagradza nam odjęte przez opatrzność dary.....

Tu nasz usposobiony jenerał rozwinął pasmo zdobytych w historyi naturalnéj postrzeżeń i dziejowych wiadomości o téj krainie; byliśmy wszyscy tém oczarowani, a Dampièrre gorąco jeszcze pragnął widzieć głębię krateru. Żadnego nie było ruchu w powietrzu, coby mógł wzruszyć przepalone okruchy; szło jedynie o znalezienie brzegu, któryby nie miał gwałtownego spadu. Natychmiast obiéra go naturalista, przewodnikom płaci, złoto zwycięża u nich wszystkie tru-

dności, usuwa się z brzegu, a przewodnik za nim; chciał los, że szczęśliwą sobie otworzyli drogę, po miękkiéj warstwie gruzu. Dampièrre wkrótce stanął nad brzegiem dwóch otworów, któremi przed kilką laty wylatywał ogień, jeszcze stopień wyższy ciepła świadczył o jego przejściu. Już i reszcie podróżnych z bezpieczeństwem potém puścić się nie było trudno. Jeden to był z rzadszych wypadków i znamionująca wycieczkę naszę cecha, mieliśmy potrzebne do doświadczeń narzędzia, które zniesiono i jenerał zapisał rezultata. Dzień spokojny zabezpieczył nam wyjście ztamtąd, a tak choć utrudzeni ale szczęśliwi, wsiedliśmy na nasze muły i przed skwarem letniego słońca uciekli.

W tym dniu był wielki obiad u Alque'go-Borozdin; komendant wojsk Rossyjskich, kilku urzędników wyższego rządu, kilku znakomitych uczonych składali to zgromadzenie. Jenerał Dampièrre świetniał wyprawą swoją dzisiejszą, rozprawiał o wnętrzu wulkanu, czynił przypuszczenia jakieby korzyści z rozwalenia krateru dla uczonych postrzegaczy odkryć się mogły. Dowodzono, że kilkanaście bomb lub silna mina prochu, ułatwiłaby następne badania. Zapalili się uczeni, zaprzeczali spostrzeżeniom jenerała, zostawując je do następnego sprawdzenia; urzędnicy zaś miejscowi mówili, że trudności są do pokonania i odwoływali się do miejscowego ludu, który się nie lękał wzruszenia wulkanu i byłby na takie usiłowanie obojętnym. Jenerał uczonym się bronił i wzywał ich do drugiéj wyprawy nazajutrz, ofiarując się spuścić z niemi, i to o czém zapewnia ich własném sprawdzić doświadczeniem.

Trzy dni późniéj naznaczono podróż drugą, do któréj Alque z niejaką dumą narodową wzywał, chcąc by przy Francuzach została wygrana zwyciężonych trudności. Nazajutrz jenerał umieścił w gazecie swe postrzeżenia, nadając im nowych odkryć ważność, i budząc powszechną ciekawość. Był właśnie w Neapolu podróżujący anglik, który z Sycylii wracał, i korzystając z uspokojenia wulkanu Etny, robił postrzeżenia także. Ma tu znana być skała blizka otworu, korzystał z niéj, usposobił liny, przymocował je do niéj i po nich spuściwszy się, we wnętrzu góry plądrował. Jakże go zabolało, że nie był piérwszym co się spuścił w Wezuwiusz! Chciał jednak poprawić francuza, i dowieść lekkości w postrzeżeniach jego. Stanęliśmy na górze, gdzie już nas uprzedził otoczony gromadą przewodników, którzy jego liny i narzędzia nieśli. Biegał do koła krateru, a na przyjście nasze cały był gniewem przejęty. Lecz poprzedni wicher wzruszył popioły pomexu, i te się za każdém poruszeniem osypywały massami, któreby spuszczającego się łatwo zagrzebać mogły. Porobiły się też załomy, w których sposobu przytwierdzenia liny nie było; a samo jéj rzucenie dowodziło niepodobieństwo dalszego usiłowania. Jenerał opowiadał tymczasem bytność swą poprzedzającą, która mu do uczynienia tak ważnych postrzeżeń drogę usłała, tém śmieléj, że ich już sprawdzić nie było podobna. Co do nas, myśmy się cieszyli spozierając na ten zadziwiający widnokrąg, jaki nas otaczał.

W Neapolu, stała gwardya cesarza Pawła, półk Sybirski grenadyerów, który przed laty na Wołyniu konsystował, mundury i kaski gwardyi miały formy

odmienne i wyłączne. Neapolitanie naśladowali je tak dalece, że po ubiorze od Rossyan ich rozeznać nie było łatwo; ruchy nawet żołnierza północnego przejąć umieli. Przechadzając się w blizkości królewskiego pałacu, spytałem po włosku rossyanina, czyby nie wiedział jak się blizka ulica nazywa; on się poważnie zatrzymał, a gdym mu powtórzył pytanie, odpowiedział nareszcie.

— Non capisco— *paszou* avanti. Dopiérom się przekonał, żem się omylił.

Ciężko nam się oderwać było od tak pięknéj krainy— Byliśmy w Pompei, znanéj z opisów tylu, zwiedziliśmy Casertę, Herkulanum, brzeg morza— o tém wszystkiém cóżby się jeszcze nowego powiedzieć dało? Wkońcu, do odwrótu zmusiły nas finanse nasze i tąż samą nazad puściliśmy się drogą. Stanąwszy w Siennie, zastałem w szpitalu mnóstwo grenadyerów z batalionu, którym komenderowałem; ich pąsowe kity zdobiły łoża boleści, przy których smutnie zawieszone były. Przywieziono ich z Orbitello, gdzie gorączki różne im zostawiły choroby; smutno mi było ostatni raz się z niémi pożegnać! Była to jedna z największych boleści, jakich w długiém mém życiu doświadczyłem, a które ten tylko ocenić może, kto w wojenném życiu nawykł kochać żołnierza i był pewnym przywiązania jego. Jakiś ponury smutek zdawał się nam źle rokować o przyszłym losie legii naszéj, którą też wkrótce do S. Domingo wysłać miano.

Usunęliśmy się do Florencyi, gdzie wielu zebranych oficerów naszych, rozwiązania losu swojego czekało. Czas ten zostawił mi także po sobie drobne

wspomnienia, które w pamięci utkwiły. Wróciła mi się bardzo niespodzianie szkoda, jeszcze w czasie naszego do Włoch powrótu poniesiona, gdym się do Florencyi z batalionem gotował i w tym celu żołnierz się oczyszczał, a ja w nowy mundur się przystrajałem. Miałem właśnie przy sobie jedyny zasób, jedyną materyalnéj wartości najlepszą rzecz, trzy pierścienie kamieniami ozdobione i drobne brylanciki w obwodzie mające; nosiłem je zawsze w zanadrzu, bo w ostatniéj potrzebie zastawić je można było. Miałem je w odzieniu, które zrzucałem; oszust być musiał żołnierz co je zdejmował, bo z pod spodu wyjął najkosztowniejszy, a dwa wierzchnie zostawił. Obejrzawszy pudełko, daléj je przy sobie wedle zwyczaju nosiłem; w Siennie dopiéro chciałem się w moje ubrać pierścienie, i postrzegłem, że najdroższego z nich nie było. Ciężko było odgadnąć kiedy mi go wyjęto, trudno poszukiwać nie mając śladu wspierającego podejrzenia, trzeba było zapomnieć o szkodzie.

Gdyśmy się do dymissyi podawali, każdy w miarę możności chciał jadąc do kraju przywieść choć drobną pamiątkę swego we Włoszech pobytu; w mniemaniu, że to lepiéj uskutecznić potrafię, żądali po mnie abym im do takiego kupna towarzyszył. Najlżejszy a najrzadszy w Polsce był upominek kamea, kamienie artystycznie rznięte: pragniono ich nabycia, poszliśmy do największego handlu. Jubiler pokazywał je żądającym, gdy wszedł porządnie ubrany człowiek, który od niego pragnął, aby go oświecił o rzetelnéj wartości pierścienia przyniesionego. Rzuciłem okiem na ten pierścień i pomyślałem— że bardzo do mego podobny,

właśnie jak gdyby mój. Ale cóż dziwnego, może się takie wyrabiają! Jeden z kupujących co go widział u mnie, zawołał:— To twój pierścień! Odpowiedziałem— alboż być podobny nie może? Lecz ten niecierpliwy wyraził swe podejrzenie pokazującemu.—„Być to może, odpowiedział podróżny z podziwieniem mojém, trzeba jednak rzecz sprawdzić, niżeli ją za pewną uznamy. Sądziłem, że to był żart tylko, lecz przybyły nas ściśle wyexaminował, kiedy we Florencyi byłem, porównywał daty i sprawdziwszy dokładnie, rzekł:— Jeśli WPan tak ze mną szlachetnie postąpisz, jak ja z nim chcę postąpić, najłatwiéj dójdziemy prawdy. Ja za ten pierścień nie więcéj dałem jak dziesięć dukatów, wiém, że on jest znacznie większéj wartości, ja go panu za to co dałem zwrócę, i dowiodę, że do niego należy. Przyjąłem tę propozycyę od słowa, alem dodał, że pieniędzy przy sobie nie mam.— Wszelka ufność z méj strony, odparł przybyły, ja tylko chciałem ocalić dzieło sztuki, żeby zmarnowaném nie było. Szedłem właśnie w dniu waszego przez Florencyę przechodu, mostem Świętéj Trójcy, kiedy wasz żołnierz kramarzowi ten pierścień przedawał; pomyślałem, może się o właścicielu dowiem i odkupiłem od niego. Spotykałem późniéj oficerów pytając, czyby nie wiedzieli o takiéj szkodzie, ale nikt mnie oświecić nie mógł.— Wierzę bardzo, odpowiedziałem, bo i ja czas długi o niéj nie wiedziałem, a przekonawszy się, nie skarżyłem nikomu, będąc sam w podróży długiéj, z któréj dopiéro dni kilka jak wracam.— Weźże go WPan jak swoję własność, a jeśli uznasz słusznėm, powróć mi moję stratę. Kolega, który miał przy sobie pieniądze,

dopomógł mi, i rzecz się uczciwie dla obu stron skończyła.

Pierścienie te były mi dane przez rzymiankę, która się dla mnie obawiała niedostatku i chciała mnie od niego uchronić; wiozłem je na powrót do Włoch, bo mi ona do Paryża przysłała, i cieszyłem się, że nie nadużyję jéj wsparcia. Dwa drugie jużem był jéj odwiózł do Rzymu, szczérze tém strapiony, że nie oddałem trzeciego; przykro mi było, że pomyśleć może, iż go użyłem w potrzebie. Jakaż to była dla mnie pociecha w odzyskaniu go, tém bardziéj, że ona do Florencyi dla widzenia się ze mną przybyć miała. W czasie mego przejazdu przez Rzym, odwiedziłem ją i odnowiłem znajomość osoby, która w czasie naszéj na garnizonie bytności, tyle zajęcia się mojém dobrém dowiodła. Żywiła nas w wojnie przez posłanników swoich, czuwała nad naszém bezpieczeństwem, ocaliła mnie gdyśmy w nocy przez Rzym przechodząc, na placu Navenna od rozhukanego ludu napastowani byli. Tu podobno każdy spyta, jak się nasze skończyły stosunki? przeczytajcież cierpliwie, co o tém powiém.

Jadąc do Neapolu, byłem z dobrocią przyjęty, chciała nawet tam być w czasie gdy i my będziemy; oddałem jéj dwa pierścienie i szczérzem cierpiał nad stratą trzeciego. Ona je przyjęła jedynie mając wzgląd na bezinteresowność moję. Krótki nasz pobyt w ulubioném jéj mieście, wstrzymał ją od téj podróży. Napomknąłem jéj, że się zmienia nasze położenie, i że służbę opuścić myślę; mówiła mi, że to się odmienić może. Powracając, wspomniałem obszerniéj o potrzebie powrótu do kraju i rodziny; odpowiedziała mi, że

za nami do Florencyi przyjedzie, i tam się rozmówimy ostatecznie. Przybyła w istocie, właśnie kiedym jéj pierścień odzyskał, pośpieszyłem aby go jéj zwrócić. Uczuła to, że się pozbywam jéj darów; może dla tego, że kosztowny przyjąć go nie chcesz, a miałżebyś zostać bez pamiątki odemnie? Przywiozłam ci przynajmniéj pomnik artystyczny domu mojego, jest to relikwiarz ręką Berniniego wypracowany na kości słoniowéj. Straciłem ostróżność mi zwykłą nieprzyjmowania darów; zdawało mi się, że miłą przywiozę do domu pamiątkę.— Przytém mówiła, pragnę ociągnąć twój powrót do kraju i dwa na to mam sposoby. Przyjechałam tu wezwana jako dama honorowa królowéj Etruryi i zamieszkać tu możemy; a jeśli mi tego odmówisz, mam z sobą dostateczny fundusz, pragnę Francyą poznać, nie zechcesz porzucić przyjaciela bez opieki w tak długiéj podróży. Jedźmy razem; Francyą i Anglię objedziemy, któż wié? może ja się puszczę za tobą w twoję zimną krainę i sama się przekonam, czy miałeś za czém tęsknić, że mnie dla niéj opuścić pragniesz.

Propozycya ta spokojność moję zmięszała. Chce abym z nią jechał, a ja tak tęsknię za krajem: zdaje mi się, że to właśnie pora, osobistego nie narażając bezpieczeństwa, połączyć się z wiekiem przygniecioną matką i rodziną, i na jéj łonie czekać dalszych wypadków, które dziś mniéj od nas, więcéj od naszego zawisły przeznaczenia. Przyjadęż jak najemnik kobiéty, czy przywiozę żonę z pod włoskiego nieba, matkę co tu drobne zostawia dzieci, która kiedyś ochłonąwszy z pragnienia nowości, zatęskni za krajem wła-

snym? ja zaś zostanę, przeciąwszy w pół życie awanturniczym jakimś węzłem? Nie— tego dla niéj i dla siebie uczynić mi nie należy. O jéj losie pomyślę, dogodzę jéj żądaniom, nie dopuszczę by ją ktoś posiadał, obdarł i porzucił daleko od domu: to wszystko co dla niéj uczynić mogę.

Wtém gdy tak myślę, przychodzi do mnie kapitan batalionu mojego Edler, rodem z Wilna, syn zegarmistrza. Był on wysłany od ojca, aby się w Genewie w domu Melli wydoskonalił; na widok rodaków, porzucił rzemiosło, a wyższe usposobienia łatwy mu uczyniły przystęp w wojsku do przyzwoitego umieszczenia; lecz przewidując jaki miał nas spotkać koniec, i on się oddalić pragnął.

—Wiész kapitanie rzekłem, rzucam służbę i wracam do domu ojczysty zagon uprawiać.

—I jabym to uczynił, gdybym miał zagon; alem odebrał wiadomość, że ojciec mój umarł, mająteczek nasz rozsypał się, i piszą mi żebym sam myślał o sobie.

—Pozwól mi żebym i ja myślał o tobie odpowiedziałem; a on się rzucił w moje objęcia, mówiąc, że mnie nie opuści.

—To za mało dla ciebie rzekłem, twe usposobienia większą ci mogą utorować drogę. Ja cię do Florencyi i Anglii wyprawię na kilkoletni pobyt zapewne, a gdy się wzniesiesz jako artysta, Wilno czy Warszawa dadzą ci byt przyzwoity. Lecz ty za to spełnisz za mnie obowiązki sumienia, pojedziesz z kobiétą możną, która chce namiętnie podróży, choć drobne dziatki w domu zostawia; ty masz być jéj opiekunem, nie dasz się jéj zrujnować, nie dopuścisz aby ją jaki łotr

opanował i nazad odprowadzisz do Rzymu. Z korzyścią dla ciebie będzie poznanie tak ciekawych krajów i osobiste ukształcenie będziesz miał w zysku; ona zastąpi koszta podróży i odeszle cię nazad do kraju.

—Złoty projekt, zawołał Edler, ja ci się zupełnie powierzam. Na tém rozeszliśmy się, bo godzina była spóźniona.

Nazajutrz pośpieszyłem do domu rzymianki, i powitany zostałem:— Cóż namyśliłeśże się nad tém, o czémeśmy wczoraj mówili.

—Myślałem noc całą i cóś mądrzejszego wydumałem, odpowiedziałem jéj.

—Mówże mi tę mądrość twoję, przerwała wdowa.

—Ty masz drobne dziatki.

—Tak jest, zostawiłam je w jednym z folwarków, późniéj pójdą na wychowanie do klasztoru, bo to są córki, mamże się nudzić dla nich.

—U was, mówiłem daléj, kobiéty nie pojmują obowiązków matek, lecz że to jest krajową wadą, walczyć się o to nie odważam, u nasby to ze zgrozą widziano. Każde z nas ma byt niepodległy, i gdy ciebie wszystko do rozrywki nęci, mnie wszystko do kraju pociąga i do rodziny wzywa; wynajdę przeto środek.

—Mówże mi o tym środku, który tak mądrym być mniemasz.

—Mam przyjaciela, człowieka wyższych zdolności, ze znajomością języków i świata, którego ci za towarzysza podróży przydam; on nie jest możny, ale cię wiele kosztować nie będzie, podróżą twoją pokieruje i sumiennie do Rzymu odprowadzi, gdy się wojażami

nasycisz. Sumienia jego jak mego własnego jestem pewien, i do przyjęcia téj propozycyi jużem go skłonił.

—A więc się ziści moje marzenie! zawołała, Paryż i Londyn widzieć będę, o Józefie jakiż jesteś mądry! I kiedyż mi go przyprowadzisz?

—Dziś, jeśli chcesz. A ona mi się w objęcia rzuciła wołając:— Jadę do Paryża! jadę do Paryża!

Korzystałem z tego zapału i po Edlera posłałem. Edler miał lat dwadzieścia kilka, mówił pięknie kilku językami i w towarzystwach genewskich dosyć się był ukształcił; przyszliśmy z nim razem, a chęć podróżowania była dla obojga tak ognistą namiętnością, że się natychmiast porozumieli. Gdy się już o plany do podróży układali, wyznaję, że ta smutna łatwość włoskiéj kobiéty, trochę moję miłość własną kosztowała.

Wysunąłem się z domu; głuchy sługa powiernik żegnał mnie z czułością, jakby odprawionego przyjaciela swego, odpowiedziałem mu:— Do zobaczenia, tylko. Spytał czy mnie jeszcze zobaczy, czy bywać będę?

Nie wiém, czy to był gniew, czy jakieś upokorzenie wewnętrzne głęboko uczute, ale do domu wróciłem rozdrażniony, resztę dnia w niespokojności przebyłem i noc snu na powieki sprowadzić nie mogła. Rano, o zwykłéj godzinie poszedłem do wdowy; dzwonię u drzwi zewnętrznych, nikt mi nie otwiera— dzwonię ciągle, mój głuchy wychodzi i ostrzega, że z panią widzieć się nie mogę. Odtrąciłem go z gniewem, a wchodząc siłą do pokoju, zastałem wygodnie spoczywającego kapitana. Ona wybiegła do mnie, a gdym

ze zgrozą poglądał na nią, powiedziała mi:— Widzisz, spełniłam święcie twój rozkaz, przyjęłam go i dziękuję ci za troskliwość twoję....

Tak się tedy ukończyły stosunki nasze, a w roku dziewiątym pisał do mnie Edler, że w służbie rossyjskiéj został majorem, i list mi wdowy odesłał świadczący, jak szlachetnie z nią postąpił. Ona go kosztem swoim do kraju odprawiła.

Już też dostaliśmy i uwolnienie od służby; rada administracyjna legii, wydała nam piękne świadectwo służby naszéj, na mocy zezwolenia ministra wojny. Pożegnaliśmy ze smutkiem towarzyszów broni. Chciałem mieć jeszcze świadectwo ze służby w legii piérwszéj, która natenczas stała w Medyolanie. Między Florencyą a Bolonią, banda łotrów napadła podróżnych; nasi oficerowie zostali napaści ofiarą, mimo że gęsto umieszczone posterunki oczyszczały drogę patrolami. Kapitan Wodzyński z kilku towarzyszami jechał Veturynem, łotry z za krzaków strzelili do nich, on jeden mocno raniony został; odarto ich i obrano, Veturyn uciekł jak mówił z przestrachu. Z posterunków zbiegły się patrole, lecz rozbojników już nie zastały i odszukać nie mogły. To nas zmusiło prosić o konwoj, i dano na to stosowne polecenie, któremu spokojny przejazd winniśmy byli.

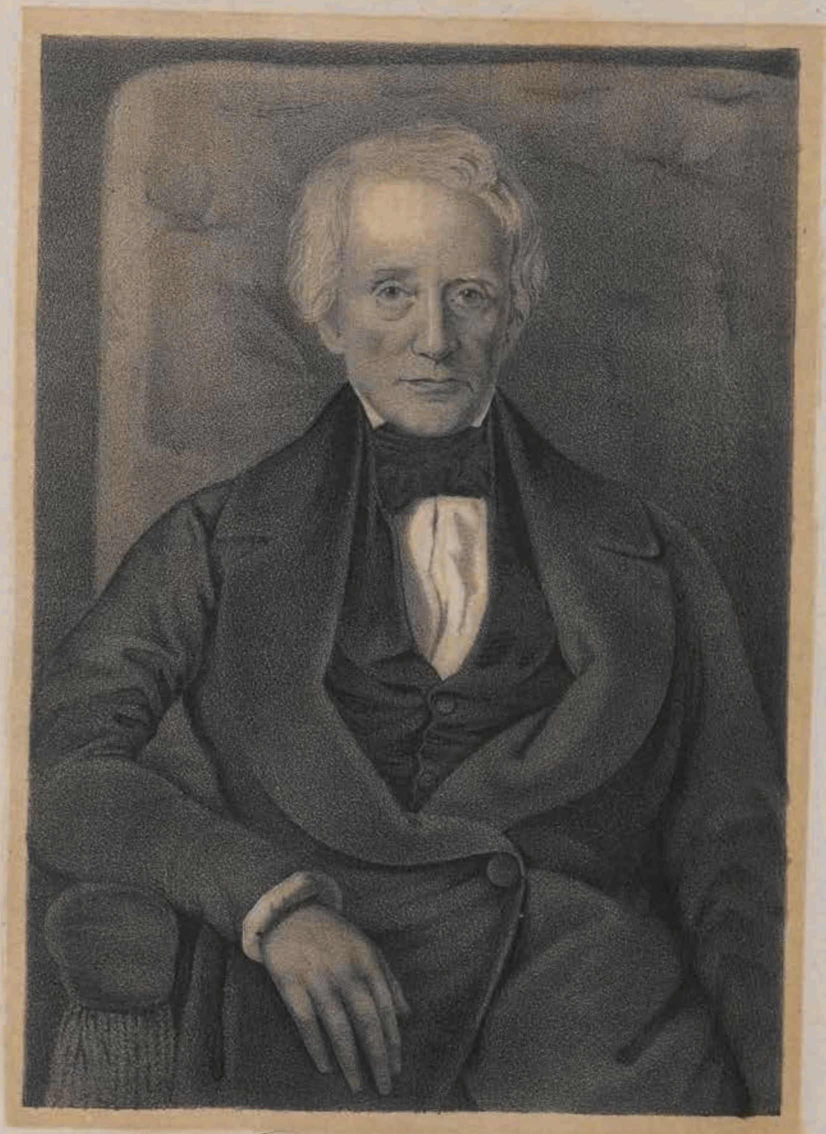
Już podtenczas wychodziła wyprawa do San Domingo przeznaczona: francuzkie pół-brygady i nasze legie zebrane były do Liworno. Jabłonowski, jenerał wychowany we Francyi, co się chlubił, że w jednéj szkole z Bonapartym poczynał, został komendan-

tem naszych; kapitan Bolesta na mojém miejscu komenderował. Wielu oficerów uwolnili się, wielu w służbę nowych państw włoskich przeszli, a imię legii auxyliarnych, wraz z tą wyprawą znikło.

Francuzka pół-brygada, którą ambarkować miano, miała znaczny żołd zaległy i w odzyskaniu jego widziała trudność. Użyła więc właściwego sposobu, aby i karności i swemu interesowi zadość uczynić; umówili się, że nie pójdą, póki im nie zapłacą, lecz bez najmniejszego zamięszania. Murat im się na placu uformować kazał i sam niémi komenderował; gdyby tylko z bram miasta byli wyszli, byliby się znaleźli między okrętami portu, a postawioną bateryą, coby ich spełnić rozkaz zmusiła. Murat marsz zakomenderowawszy puścił się ku portowi; pół-brygada do bramy doszedłszy, cała prawo w tył zrobiwszy, wróciła na plac i tam w linii stanęła; oficerowie tylko pozostali. Murat ich odprowadził, i na swoje miejsca wstąpić kazał, nanowo brygadę zakomenderował i sam już przy kompanii grenadyerskiéj szedł na jéj skrzydle.

Przy bramie ten sam manewr: wojsko robi odwrót, on grenadyera za szlifę chwyta, ten jego nawzajem, już niekarność gorsząca. Grenadyer pod sąd wojenny oddany i rozstrzelany być miał; brygadę odesłano do koszar. Z tego zrobiono tylko miastu sprawę, że ich mieszkańcy pobuntowali, i kazano im zapłacić kontrybucyą wyrównywającą zaległości, a kara, na rozstrzelaniu zuchwałego ukończyć się miała. Zapłacono ich, poszli spokojnie, grenadyera na plac

wyprowadzono, a po wystrzeleniu zarzucono płaszczami i uniesiono; broń nie musiała być ostro nabita, bo grenadyer z pod płaszczów wysadziwszy głowę zawołał.— Czy ze mnie żartujesz jenerale, czy z sądu pod któryś mnie poddał, czy z prawa, co niekarnego rozstrzelać każe?? Zarzucono go płaszczem żeby milczał, i mówiono, że na służbę w głąb Francyi odesłano.



Pan Józef w starości

RESZTY PAMIĘTNIKA

Józefa Drzewieckiego

Z PAPIERÓW PO NIM POZOSTAŁYCH

ZEBRANE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(1806—1851).

Et haec olim meminisse juvabit.

PANU KAROLOWI DRZEWIECKIEMU

w dowód szacunku i przyjaźni

ofiaruje

J. I. KRASZEWSKI.

Pamiętniki szefa Drzewieckiego urwane przedwcześnie, kończą się na jego wojskowych wspomnieniach— resztę życia, nie mniéj pełnego zasługi i godnego pamiątki zostało tylko w pamięci rodziny, tych co go znali i cenili; i prowincyi, w któréj czynnie spełniał obowiązki obywatela. Zapatrując się na tę drugą część żywota zacnego wojaka, za prawdę wyznać potrzeba, że dobrą szkołą były lata młode spędzone pod bronią w bohaterskich pielgrzymkach nadziei. Takich ludzi dziś już niewidać, nie mamy pono i materyału, z którychby ich wykuć można. Ze wstydem i żalem powiedzmy sobie żeśmy obok tych ojców maluczcy, żeśmy chłodni i próżniacy. Jak to oni pojmowali obowiązki ojców rodziny, synów kraju, powinności braterskie względem ludzi— jak gorąco obchodziło ich wszystko i nigdy im sił do poświęcenia nie brakło!! Może jednym z najciekawszych typów pod tym względem jest właśnie Józef Drzewiecki. Od powrótu do kraju rozpoczyna się druga nie mniéj zaj-

mująca epoka żywota rodzinnego i obywatelskiego, zastanawiająca niezmordowaną pracą, i do ostatniéj chwili nie tylko surowém, ale jakiémś serdeczném młodzieńczém wylaniem się dla obowiązków obywatela, ojca przyjaciela.

Z pozostałych papierów z których pamiętnik jego przerwany dopełnim kilką rysami jakie się z nich pochwycić dadzą, zdumiewający przedstawia się wizerunek tego człowieka pracującego bez wytchnienia, do ostatniéj godziny, i umiejącego podołać wszystkiemu.

Urzędowanie, interesa publiczne, opieki, własne majątkowe kłopoty, posiłkowanie przyjaciołóm, zajmują go nie ustannie; nie ma faktu w prowincyi, w któryinby udziału jakiegoś nie miał, nie ma czynności, w któréjby nie uczęstniczył, nie ma poświęcenia, do któregoby się nie napraszał. Serce zacnego człowieka bije zgodnie z sercami wybranych, i w szlachetnym popędzie ku dobremu, nie daje się nikomu wyprzedzić. Każda rzecz go obchodzi gorąco, cieszy się, smuci, zajmuje, nie tem co jego obchodzi, ale co ma znaczenie dla ogółu, co rokuje dla przyszłości. Dziś wcale inni jesteśmy, i przebiegając oczyma te martwe, na pół zbutwiałe papiery, pozostałość lat niedawnych, czujemy żeśmy już od nich daléj daleko, niż w istocie wskazują daty. Świat inny, inni ludzie, inne usposobienia, a czy lepsze? nie wiem.

Wyglądamy wprawdzie rozumnie jakoś, poważnie, ale chłodno, sceptycznie, a co najgorzéj nieruchomo i z założonemi rękami. Uśmiechamy się ze złudzeń lat przeszłych i naiwnéj ich wiary i krzątaniny ogromnéj, któréj dziś bezskuteczność tylko bije w oczy, ale nieumiémy ocenić ile w tém wszystkiem było wielkości, prostoty, zapału, poświęcenia, których nam, niestety! brakuje!

To co w tamtéj epoce było ogólnym duchem, dziś stało się wyjątkiem, na który ramionami ruszamy, z którego się śmiejemy potroszę.— Ale powtarzam, czyśmy więcéj warci od ojców? wielkie pytanie, a raczéj zagadka, którą wnukowie rozwiążą.

My przy całéj naiwności téj epoki, mamy cześć dla niéj, jako dla chwili ostatniéj, w któréj jeszcze wyraz *dobro ogólne— pożytek powszechny* coś znaczył. Dziś i teorye inne i pojęcia odmienne, i serca nie biją do niczego większego, oduczyliśmy się i o poczciwą starać sławę, i w siebie wierzyć, i siebie szanować i czuć się do czegoś zdatnemi, robim pieniądze, nic więcéj; sztandar się zmienił w szyld, a wielkości godła w firmę handlową. Wprawdzie i tu prześladują nas stare wady, nieopatrzność, porywczość, brak wytrwania i ciągu w pracy, bankrutujemy co chwila, ale *usus plura docebit*, a co dzień chłodniejąc, jest nadzieja, że wyjdziemy na ludzi porządnych, gdy ostatnią wiarę i ostatnią iskierkę zapału stracimy.

Ta wielka różnica epok, niewątpliwie sprawi, że lat ubiegłych, których tu ułamkowo przedstawim obraz pobieżny, trudno nam będzie zrozumieć, nie łatwo je przyjdzie ocenić. Zdawać się nam może, żeśmy nieskończenie rozumniejsi i lepsi od poprzedników— nie zawadziłoby jednak czegoś się od nich nauczyć.

Przebieżym więc lata obywatelskiego i familijnego życia pana szefa, opierając się na pozostałych szczę-

ściem listach i notatach, które do nas doszły ułamkowo, ale w liczbie takiéj, że jakąś całość składają. Skupim tu rysy rozpierzchłe, o ile podołamy, a nie chcąc marzenia własnego za obraz podawać, słowy wiernemi powtórzym tylko, to co o sobie sami powiedzieli umarli. Jeżeli ta klejanka żadnéj z resztą mieć nie będzie wartości, może choć tę zasługę jéj przyznają, że zachowała kilka szacownych pamiątek, z czasów najmniéj znanych, a niesłychanie zajmujących.

Najstarszemi listy, jakie tu naprzód spotykamy, są dwa pisma Hugona Kołłątaja z 1806 roku, nie tyle zajmujące przedmiotem, bo tu chodzi o posiadanie majątku, i radę prawniczą, jak raczéj charakterystycznością swoją; malują nam bowiem Kołłątaja człowieka prywatnego, jako biegłego prawoznawcę i praktycznego jurystę. Z jaką on drobnostkowością rozbiera sprawę, podaje rady, i jak jasno widzi rzeczy! Choćby dla biografii Kołłątaja, i jako rys do wizerunku tego człowieka, dwa te listy w całości tu zamieścić czujemy się obowiązani.

—«Dopełnię czego JW. pan dobrodziéj żądasz, i wygotuję mu memoryał do Imperatora JMci, lecz gdy expedycyą jego dziś dopiéro odbieram o godzinie jedénastéj przed południem, a JW. pan dobrodziéj życzysz sobie jutro odjechać do Galicyi, do napisania zaś takowego memoryału trzeba wprzód przeczytać nadesłane papiery, i namyślić się, jakby go najkrócéj, a razem najczuléj napisać: przeto darujesz, że tak prędko wygotowany być nie może; lecz ułatwiwszy się z pocztą Galicyjską, zaraz się wezmę do téj ro-

boty, i jak tylko wygotowana będzie, odeszlę ją przez umyślnego do Antoniego Jarkowskiego, przy którym obstaluj JW. pan dobrodziéj umyślnego, aby mu moją expedycyą natychmiast odwiózł, tam gdzie się znajdować będziesz.

Mam pewną wiadomość, że będącemu w Krupcu Gubernatorowi Wojennemu Essenowi, nagadał wiele skarg na JW. pana dobrodzieja, oraz na Kazienną Pałatę jenerał Stryk; donoszę o tém JW. panu dobrodziejowi, abyś się miał na ostróżności i myślał wcześnie o obronach, bo będziesz zapewne o późne oddanie Tetylkowiec sekowany. Ufam jego przyjaźni i dyskrecyi, że mnie przed nikim cytować nie będziesz, w tém co mu z powodu przywiązania donoszę.

Do JP. Śrzednickiego piszę, aby się z JW. panem po przyjacielsku obchodził, póki tylko w Tetylkowcach zostawać będziesz miał potrzebę,— oddaję się jego łasce z winném uszanowaniem, zostając JW. pana dobrodzieja najniższym sługą.

Ks. H. Kołłątaj.

Stołpiec d. 30 stycznia 1806.

W kilka dni późniéj gotowy już przesyłając memoryał, taką doń dodaje informacyą.

d. 4 februaryi 1806 Stołpiec.

«W poleconéj mi robocie starałem się dopełnić najścislejszych przyjaciela obowiązków. Przełożyłem naprzód JW. panu dobrodziejowi moje uwagi, chcąc i sam poznać najlepiéj interes, o który idzie, i zastanowić JW. pana dobrodzieja jeżeli nie nad niepewnością, tedy przynajmniéj nad trudnością dobrego wy-

padku. Jakoż z odpowiedzi jego przekonałem się, że chociaż prawo ś. p. ojca JW. pana dobrodzieja jest najlepszém, wszelako dla niezachowania istotnych warunków, nie może być uważane jako zaczynające się w roku 1793, lecz w roku 1804. Konsens Augusta III dozwala cessyi Tetylkowiec na Felicyana i Annę z Błędowskich Drzewieckich, oboje więc mieli prawo dożywocia. Konstytucya 1775 roku nadaje prawem emfiteutyczném też wieś ojcu JW. pana dobrodzieja i jego sukcessorom *Salve jure advitalitio* uprzywilejowanych possesorów. Nie mogło się więc zacząć prawo emfiteutyczne w głowie sukcessorów Felicyana Drzewieckiego, aż po wygasłem prawie tegoż Felicyana i Anny jego żony, a że ona umarła dopiéro w r. 1804 przeto sukcessor Felicyana nie mógł zaczynać swego prawa emfiteutycznego w roku 1793, lecz w r. 1804 to jest po zgasłém dożywociu obójga rodziców, bo tak konstytucya zawarowała. Ani tu zarzut służyć może za kordyał, który JW. pan dobrodziéj w liście swoim wypisujesz, że emfiteusis nadaną była Felicyanowi Drzewieckiemu i jego sukcessorom nie ich matce; bo ona posiadała wieś Tetylkowce za prawem dożywotniém nie emfiteutycznėm; bo konstytucya 1775 roku zawarowała jéj dożywocie, po zgaśnięciu którego sukcessorowie Felicyana Drzewieckiego, wchodzić dopiero byli powinni w prawo emfiteutyczne. Było to w saméj rzeczy dobrodziejstwo dla całéj familii, kiedy prawo emfiteutyczne dopiero zaczynać się miało po zgaśnięciu prawa dożywotniego w dwóch głowach. Lecz gdy Ukaz Imperatorski przepisał: «że ci wszyscy, którzy przed rokiem 1798 nie przyszli do possesyi

prawa emfiteutycznego, prawo takowe tracą,» przeto i JW. pan dobrodziéj w takim przypadku znajdujesz się, gdy dopiero w roku 1804 do possesyi Tetylkowiec przyszedłeś. Jest to przypadek, którego aż do roku 1798 nikt przewidzieć nie mógł, ani JW. pan dobrodziéj do niego się przygotować nie mogłeś; późniéj zaś zaradzić onemu stało się nie podobna ordynaryjną prawa drogą. Emfiteusis nie zasadza się jedynie na konstytucyi 1775 roku, lecz na jéj dopełnieniu, dopełnienie zaś zależało od następujących warunków: 1. Ustanie prawa dożywotniego przez śmierć matki lub jéj zrzeczenie się takowego prawa. 2. Objęcie urzędowe possesyi emfiteutycznéj jak mieć chce prawo. 3. Opłacanie cztérech kwart, bez czego dobry nawet i prawny possesor od prawa emfiteutycznego odpadać musiał. Jeżeli zatém te trzy warunki istotne przed rokiem 1798 nie były dokonane, nie ma czém dowieść possesyi emfiteutycznéj Tetylkowiec przed rokiem rzeczonym. Ani ten argument wesprzeć JW. pana dobrodzieja potrafi, że jego ojciec umarł 1793 roku jeszcze przed zaborem reszty powiatu Krzemienieckiego, bo od tego roku nie zaczynała się emfiteusis, lecz prawo dożywotnie matki, do którego stosownie opłacały się kwarty aż do czasu jéj śmierci. Jeżeli więc JW. pan dobrodziéj zrobiłeś jaki krok o tę possesyą, zrobiłeś go pewno jako mający *jus ad rem* nie zaś *jus in re*, bo opłata cztérech kwart, stanowi najrzetelniejszą possesyą prawa emfiteutycznego. Przekładam JW. panu dobrodziejowi te smutne prawdy, jak przynależy na przyjaciela, który nieszczęśliwego nie powinien łudzić fałszywemi

nadziejami. Ostrzegam go więc, abyś się nie expensował na kosztowne popieranie tego interessu, tém bardziéj, gdy w jego popieraniu, nie może się obejść bez obwinienia Kaziennéj Pałaty, bądź w najdyskretniejszych wyrazach. Jeżeli wszelako masz silną protekcyą księcia Czartoryskiego, jak mi się tego zwierzasz, jeżeli ta protekcya do tego punktu przynajmniéj jest pewna, iż gdybyś nie zyskał nagrody, tedy za nadciągane narracye nie popadniesz w kłopot, gdy Kazienna Pałata przymuszona będzie tłómaczyć się ze swego doniesienia, w takowym przypadku radzę szczęścia sprobować.

«I na ten koniec posyłam JW. panu dobrodziejowi memoryał napisany w tym sposobie jak formalność wymaga. Każ go JW. pan dobrodziéj na złamanym arkuszu holenderskim przepisać, podług téj formy jak jest przepisany na kopii i każ go tym sposobem złożyć jak jest złożona kopia, i zapisać na wierzchu taki adress, jaki się na kopii znajduje; trzeba tylko dobrać charakteru czytelnego i zwięzłego, żeby memoryał wydawał się jak najkrótszy; może nawet przepisujący cokolwiek wyżéj zacząć, żeby na dwóch stronach skończył, coby było lepiéj, lecz aby miejsce na etykietalne ukończenie i podpis nie było ciasne. Jeżeli JW. pan dobrodziéj masz pewną drogę przesłania tego memoryału na ręce księcia Czartoryskiego, i ufasz, że on zrobi wszystko, tedy napisz list do księcia i przyłącz memoryał; jeżeli nie bardzo ufasz, tedy lepiéj napisać list osóbny do księcia po polsku przekładając mu interes, a memoryał posłać na ręce jakiego przyjaciela, któryby go pokazał księciu, a

potém oddał grafowi Murawjewowi, który jest *maître des requêttes*. Jeżelibyś zaś JW. pan dobrodziéj żadnego w Peterzburgu przyjaciela nie miał, któremubyś ten interes śmiało mógł powierzyć; tedy napisawszy polski list do grafa Murawjewa z prośbą, aby ten memoryał Imperatorowi podał, list ten posłać prosto na pocztę za rewersem, a kopiją memoryału przyłączyć do listu księcia Czartoryjskiego, aby wiedział o co idzie, donosząc oraz, że memoryał posłany jest na ręce grafa Murawjewa. Książe Czartoryjski jest bardzo zatrudniony, graf Murawjew jest zarzucany niezmierną liczbą memoryałów. Aby więc memoryał JW. pana dobrodzieja prędko doszedł rąk Monarchy, i z dobrym dokładem, trzebaby mieć jakiegoś ważnego przyjaciela, któryby obydwóm interes ten przypomniał; ale przyjaciela nie za pieniądze, bobyś JW. pan dobrodziéj wystawił się na wielki expens, w interessie zwłaszcza, którego skutek jest wątpliwy. Starałem się ten memoryał ułożyć ze strony najdogodniejszéj interessowi, wszelako, abyś JW. pan dobrodziéj wiedział co się w nim znajduje, przyłączam polską jego kopiją, ażebyś go mógł dać komu poprawić, izaliby we wszystkiém nie odpowiadał życzeniu JW. pana dobrodzieja. Trzeba do niego dołożyć extrakt autentyczny konstytucyi 1775 roku i metryki pogrzebu ś. p. ojca JW. pana dobrodzieja, a to w języku rossyjskim. Nie nadmieniam w tym memoryale o dożywociu matki JW. pana dobrodzieja; jéj possesyą aż do czasu śmierci, uważam za układ familii, bo bez tych dwóch ostróżności nie możnaby i jednego pozornego słowa na stronę JW. pana dobrodzieja napisać. Kazienną Pałatę najbardziéj menażuję i JW. pan do-

brodziéj starać się powinieneś téż Pałatę, jak najbardziéj dla siebie ująć, bo jéj explikacya, ten interess zupełnie zgubi; a jeżeli nie będziesz miał mocnéj protekcyi, możesz się jeszcze kłopotu nabawić, za niesprawiedliwe jéj oskarżenie; bo Kazienna Pałata musi mieć w regestrach swoich, pod jaką rubryką znajdowały się Tetylkowce, z przyczyny saméj kwart opłaty. Nie posyłaj także JW. pan dobrodziéj konsensu Augusta III, ani cessyi swego dziada, bo te dokumenta są wyraźnie przeciw niemu.

«Uczyniłem zadość dwoistéj powinności: wyraziłem JW. panu dobrodziejowi sumiennie, co o tém interessie myślę, mimo czego, zrobiłem czegoś odemnie żądał, abym przekonał jak z rzetelném poważaniem na zawsze być pragnę JW. pana dobrodzieja najniższym sługą. *Ks. H. Kołłątaj.*"

Drzewiecki w poufałych zostawał stosunkach z wszystkiemi znakomitszemi ludźmi téj epoki, liczne ślady ich pozostały w jego korespondencyi. Tak pod tym rokiem znowu natrafiamy na list T. Czackiego, pisany doń z Peterzburga, a malujący założyciela Krzemienieckiéj szkoły równie dobrze, jak pismo poprzednie Ks. H. Kołłątaja.

d. 8 kwietnia 1806. Peterzburg.

«Kochany przyjacielu!

«Bądź spokojnym, żaden wołynianin nie może podlegać niebezpieczeństwu, bo gubernator jest człowiek równego rozsądku jak uczciwości. Zaręczył Monarsze za roztropność Wołyniaków. Pankratjow gubernator Kijowski, nie będzie na tém miejscu. Rozumiem, że

niebawnie przybędę, przynajmniéj to jest moja szczera chęć, wypada mi nagła potrzeba oddać Radziwiłłowi pożyczony dług na moją uczciwość. Proszę daj co możesz na mój rachunek Gołębiowskiemu, a resztę zostanie do kontraktów. Gdybym nie był pilnie potrzebny, nie śmiałbym cię trudzić moją prośbą. Bibliotekę księżnéj przypominam. Sciskam cię serdecznie, dobry i wierny przyjaciel. *Czacki....»*

Czacki o wszystkiem pamiętał, jak widzimy, o Wołyniu, o bibliotece księżnéj Sapieżynéj w Teofilpolu, z którą szef zostawał w ścisłych przyjaźni stosunkach, o drzewkach orzechów włoskich, o które się doprasza w przypisku, o obrazach, które były do nabycia w Tereszkach i t. p.

«Są to (pisze mi syn zmarłego szefa) bilety, świsteczki raczéj; już to że w jedném miasteczku w tych latach żyjąc, mało było okazyj do korespondencyi, już to, że ciągłéj nie zniosłaby może żywa, elektryczna, roztargniona natura Czackiego. Dziwna też to była natura, pełna najdziwniejszych sprzeczności, i przejęta czystą wiarą przodków i filozofią swego czasu w tém co w niéj szlachetnego było— kochająca,— i pańska Stanisławowskich czasów o najmonarchiczniejszych wyobrażeniach, i najliberalniejszy w pożyciu człowiek, przesiękły obywatelstwem dawnéj rzeczypospolitéj,— i passyami w nauce zamiłowany, głęboko uczony, nawet często w wyrażeniu nadęty, i dziwnéj prostoty razem, zbyt naiwny w wierze swéj w ludzi, dobry jak dziecko, swawolny i roztrzepany jak dziecię;— rozerwany na wszystkie strony w in-

teresach i przedsięwzięciach prywatnych, a jednak w życiu publicznem, jedna go ciągle myśl trzyma, wykształcenie młodzieży i przyszłość kraju, nasza to właśnie natura w swym najpiękniejszym wyrazie; i dla tego to dla nas taki pociąg miała, że i dotąd w umyśle z nas każdego, Czacki znaczy to co cnota, poświęcenie, obywatelstwo. Ja w niemowlęctwie tylko go najrzałem, a dotąd jak najwybitniéj pamiętam ten profil rzymskiego modelu, te mimo siwego włosa młodociane ruchy, i tę wibracyą głosu, który tak miło było kilkadziesiąt lat póżniéj, słyszeć od genialnego wnuka siostry Czackiego.»

Otoż dwie kartki, o których mowa.

7 października 1806. Poryck.

«Już podług twego rozkazu na pocztę pod kopertą... posłałem list. Cieszę się, że twoje Apostolstwo tak szczęśliwy ma skutek. Pracujmy, bo jeden mamy cel, pożytek kraju.

«Nasz jenerał (Kniaziewicz) uczuł na miłość. Ta nagradza jego nadzieje i trudy. Błogosławię wiadomemu momentowi, że ośmieliłem się mieć ten projekt, który ile mi się zdaje, pewnie nastąpi. Winienem ci zawsze dzięki, żeś mnie z nim zbliżył. Bibliotekę księżnéj, twojéj łasce przypominam.

«Twojéj szanownéj żony ręce całuję, już zapewne mogę winszować, że jesteś ojcem.»

1806 d. 30 Grudnia.

«Nikt więcéj nie może być delikatnym jak jesteś.— Ty umiesz uprzedzać przyjaciół, wiesz, że tobie być podobnym staram się. Nie przyjm tedy ten list za

natręctwo, ale za środek uspokojenia twéj troskliwości. Prawda, że diabelnie dukatów potrzebuję, że nikt nie chce mi czekać, bo kapitalista chce widzieć teraźniejszy rok, jak epokę, w któréj każdy dukat ma być dziesięcią. Lecz i to wiem, że ci co tobie winni tłómaczyć się będą niedostatkiem. Co tedy możesz mi dać zrobisz mi łaskę. Będę drugiego na noc, lub trzeciego w Krzemieńcu. Napisz co i kiedy w tym czasie dasz, myśląc o mnie nie zapomnij o sobie. Przyjaźń nasza warta znoszenia niedogodności. Jeśli być może: daj choć połowę.

«Nic i nic nowego nie mamy: gadają o bitwach, jedni naszym, drudzy Francuzom przyswajają zwycięztwo,— ja rozumiem, że ważnéj bitwy nie było. Sciskam pana serdecznie.

«Interes biblioteki przypominam.»

Z następnego roku, mamy list księżnéj Teofili Sapieżynéj z Teofilpola 30 września, dowodzący ścisłéj przyjaźni.— Pamiętam (pisze mi syn pana szefa) jak w latach niemowlęcych przepędziłem z matką kilka miesięcy w Teofilpolu.— Stary pałac, ogromne puste salony, w nich papugę sławną w swoim czasie, mnóstwo piesków różnego gatunku, co miały swoje pokoje i usługę, a mianowicie mopsiki białe, których odtąd nigdzie nie spotkałem, mnóstwo ptastwa rozmaitego, dwornia liczna, a sama pani dużego wzrostu, prawie po męzku ubrana w amazonce i fraku, krótko ucięte upudrowane włosy z harbajtlem, na nich męzki kapelusz. Dziwnym naówczas obyczajem, dziś wróconym, około południa dopiero się budziła, a nadedniem spać kładła. Mawiał mi późniéj ojciec, że to była

dama wysoce ukształcona, czynna w konfederacyi Barskiéj, świetna na dworze Ludwika XV, z domu Jabłonowska córka Jabłonowskiego, co założył naukową instytucyę w Lipsku, siostra Jabłonowskiego kozaka bezpotomnie zmarłego,— wniosła w dóm Sapieżyński obszerne dobra Lachowieckie.

Oprócz tego jest list z Zieleniec datowany jenerała Kniaziewicza najserdeczniejszego przyjaciela, o którym pisze syn zmarłego pana szefa— «Jak lew potykał się pod Boruszkowicami, Włodzimierzem, Chełmem, Dubienką, Gołkowem, w oblężeniu Warszawy, pod Maciejowicami, pod Falari, Calci, Gaetą, Neapolem, w oblężeniu Filipsburga, pod Bornhejm, Bergem, Hohenlinden, przy Smoleńsku, Możajsku, Moskwie, pod Jarosławcem, Czerykowem i nad Berezyną.»— (Kopijuję napis z pałasza dozgonnemu przyjacielowi ofiarowanego).

Oto wzmiankowane pismo jenerała:

d. 8 października 1807 roku z Zieleniec.

«*Cher ami!*

«Dnia onegdajszego oddał mi podkomorzy Sierakowski list twój i Czackiego wraz z paszportem z trudnością wyjednanym. Czaccy oboje rozumieją, że interes mój w Krakowie dobrze idzie, i że bez ich pomocy rzecz daleko posunięta, nie wiedząc, żem dla tego tylko paszportu żądał, abym moją matkę odwiedził, która nie doczekawszy się mnie, do wieczności się wybrała.

«Do Galicyi za tém już nie pojadę, chyba żebym mógł za tym paszportem wyjechać do Warszawy, to-

bym rad,— bo czuję, że mnie koniecznie trzeba szukać roztargnienia, humor mi się codziennie robi smutniejszy, i w polowaniu rozrywki nie znajduję.

«Proszę bardzo mi donieść, jak się ma Karolka i troskliwa matka, która wiele cierpiéć musi nad jéj chorobą.

«Słyszałem żeś był u księżnéj kasztelanowéj, tam nowin można było naczerpać, i jeżeli masz jakie, to mnie tu udziel, bo ja tu żyję między ludźmi, co tylko o psach i koniach gadają.

«Niesłusznie ciebie paszport mój zasmucił, sądząc, że nas na zawsze rozłączy, mnie nic gorszegoby spotkać nie mogło jak żebym był przymuszonym rozłączyć się z tobą, godny przyjacielu, który sercu mojemu te wszystkie osoby zastępujesz, do których człowieka pokrewieństwo, przyjaźń, szacunek, i wdzięczność przywiązują.

«Żonki dobrodziejki rączki całuję.»

Przy tym liście zawarty następujący dobrze po żołniersku napisany, téj saméj ręki.

«Bardzo panią dobrodziejkę przepraszam żem list do pani Mniszchowéj tak spóźnił. Dusza żołnierska z trudnością to wyrazić umie co czuje, przyzwyczajony zawsze tylko łajać, rozumie, że kiedy komu winny hołd oddaje, za pochlebstwo to wezmą, a tak listy tego gatunku zawsze mi z trudnością pisać przychodzi. Przyłączony posyłam nie zapieczętowany, z prośbą jeżeli go pani nie znajdzie w stylu wielkiego świata, ażebyś go JW. pani dobrodzika spaliła. Z niecierpliwością wyglądać będę obietnicy, gdy domek mój bytno-

ścią swoją państwo uszczęśliwią. Łasce i statecznéj przyjaźni polecając się obójga państwa, zostaję i t. d.

Kniaziewicz.»

Szacowne te listy są jedynemi prawie w ciągu lat, z których innych śladów czynności i stosunków pana szefa nam braknie. Następny pisze tenże przyjaciel z Zieliniec jeszcze dnia 2 kwietnia 1808 roku.

«*Cher ami!*

«Odebrałem bilet twój pod dniem 22 marca, lecz nie wiem dla czego z Juskowiec datowany. Za takie omyłki jeżeli w raportach przytrafiają, to bez względu na przyjaźń, do aresztu zasadzą.

«Od dwóch niedziel już też w domu bawię, jechałem umyślnie na Jampol sądząc, że państwa jeszcze w Juskowcach zastanę. Z Warszawym prawie dezerterował, tak mnie żadnym sposobem puścić nie chcieli i kto wie czy na wiosnę tam nie powrócę, lecz pod kondycyami niepłonnemi, a na ten czas dama, co się tak stanem wojskowym brzydzi na rekruta przystanie, (jest to alluzya do pani szefowéj, a wiosna następująca była wiosną 1809 roku), lecz to są wszystko dotąd zamki na powietrzu. Moje ożenienie także między zamki na powietrzu liczę, bo to ma dopiero nastąpić po świętym Janie, jeżeli znowu w téj porze śmierć jakiego krewnego starego, temu nie przeszkodzi. To mnie tylko cieszy, że już marzec przebyli.

«Srébra twoje z dwóch przyczyn przywieźć nie mogłem, raz żem nie miał najmniejszego miejsca, powtórnie, że to są takie antyki, które wiek Abrahama i Izaaka przypominają, które koniecznie przerobić tam trzeba.

«Cieszy mnie to niezmiernie, że żonka dobrodziejka w ciąży, ale sobie wymawiam, żeby był koniecznie syn, i to zaraz zdatny na adjutanta, żeby mógł ojca miejsce zastąpić. (W rzeczy saméj urodził się syn, od Kniaziewicza Karolem nazwany, ale mu Bóg nie dał doczekać tego szczęścia).

Nikogom prawie z naszych nie widział. Wybicki, Dąbrowski, Zajączek, dobra swoje urządzają, Fiszer wojska lustruje, Kossecki jest szefem sztabu jenerała Zajączka, biedny książe Poniatowski męczy się ministerstwem, któreby może rad złożyć, żeby go kto chciał wyręczyć.

«Marszałek Davoust i inni francuzi mnie bardzo grzecznie przyjęli, i o tém więcéj ustnie opowiem.

«Twój szczery przyjaciel. *Kniaziewicz.«*

Następny list już pisany tą wiosną 1809, o któréj w poprzedzającym wspomniał Kniaziewicz.

«Posyłam ci kopije listów pani Steckiéj do księżnéj kasztelanowéj, zgadnij i domyślaj się czego ona chce, *car c'est du grec pour moi.* Do niedzieli czekam wiadomości od Czackiéj, która wraz z mężem już z Peterzburga wyjechała, a potém przyjeżdżam w poniedziałek na noc do ciebie, a ztamtąd w dalszą drogę do Warszawy. Ty paszportu mieć nie będziesz prędzéj jak za sześć niedziel, bo gubernatorowie nie mają mocy dawać paszportu tylko kupcom.— Dziś jadę na obiad do Krzywina, może się tam z żonką pańską zjadę; nie źle to będzie, że ja cokolwiek prędzéj do Warszawy przyjadę, to jeżeli zobaczę, że woły tam nie sworne, to my tu swojemi, dawnym zwyczajem

orać będziemy, a tymczasem się i kobyłka da ugłaskać, która dotąd i rży i fuka.

«Do zgonu życia przyjaciel. *Kniaziewicz.*»

W 1810 nareszcie żeni się jenerał Kniaziewicz, i tak o zbliżającém się weselu swojém donosi przyjacielowi.

z Porycka 11 augusta 1810 roku.

«*Cher ami!*

«Musiałem tu wstrzymać twego posłańca do tego momentu, ażebym ci mógł dać finalną wiadomość o moim losie. Nieba wszystko szczęśliwie zrządziły, dzień dziewiąty septembra jest dzień mego ślubu, ale potrzeba żeby mój najdroższy przyjaciel, był świadkiem mego szczęścia wraz z żoną dobrodziejką, bo inaczéj miałbym szczęście moje za niekompletnie doskonałe.

«W Porycku będzie nasze wesele, lecz tak partykularnie, że prócz ciebie i kochanéj i szanownéj twojéj żonki tu nikt nie będzie; nikt nawet o dniu naszego ślubu wiedzieć nie powinien.

«Stecki chorąży, nie tylko że pozwolił na nasze zamęźcie, ale tak mnie polubił, że powiada, iż mnie jak własnego syna uważa.

«Jutro albo najdaléj po jutrze będę w Łucku u biskupa po indult, a ztamtąd jadę prosto do siebie, gdzie do dnia trzeciego septembra zabawię. Ztamtąd jadąc do Porycka wstąpić muszę jeszcze po błogosławieństwo do Międzyrzecza. Państwa czekać będę z niecierpliwością siódmego w Porycku.

«O koniach dasz mi wiedzieć przez umyślnego,

żebym się mógł starać o inne, jeżeli te nie są zdatne, a o karetę, lubo mi Czacki mówił, że mi nie jest potrzebną, prosić jednak będę i po nią przyszlę za parę niedziel. Lokaja jednego przyjąłem i więcéj już potrzebować nie będę, lecz jeśli gdzie furmana i forysia znajdziesz, to mi tych z łaski swojéj przyszlij do Zieleniec.

«Zaklinam cię jeszcze raz na wszystkie świętości, ażebyś wraz z żonką był świadkiem mego szczęścia. Adieu. *Kniaziewicz.*

«Do mojéj łaskawéj pani najżywsze zanoszę prośby, żeby chciała być na ślubie moim. Nieba wysłuchały moje modlitwy, bo mi dają żonkę podobną W. pani dobrodziejce; za dywan mocno dziękuję, bo bardzo ładny i nie drogi.

«List Czackiego przyłączam, przepraszam, że tak brzydko piszę.»

Jeszcze jeden list pełen tych przygotowań weselnych, po których na lat parę, stracimy z oczów wojaka, powołanego znowu pod sztandary.

«*Cher ami!*

«Czytając list twój nie można powątpiewać, że jesteś szczęśliwym w stanie małżeńskim, bo tylko szczęśliwy tak pięknemi kolorami przyszłe moje szczęście odmalować zdolnym, jakieś go ty odmalował. Twój list biorę za szczęśliwą wróżbę dla siebie i rozumiem, że my odtąd na wyścigi o naszem szczęściu mówić będziemy.

«Furmankę sobie dziś kupiłem, tę wyprawiam w niedzielę do Juśkowiec po karetę, a ztamtąd sobie

prosto pojadą wolnym marszem tak, ażeby mogli stanąć na szóstego w Porycku, sam zaś wyjeżdżam w niedzielę po ostatnie błogosławieństwo do chorążego Steckiego, a po fałszywe komplimenta do syna jego; piątego, chcę być u nóg méj bogini. Ciebie z niecierpliwością oczekiwać będę siódmego w Porycku, ażeby poprzednio wziąć niektóre nauki i przestrogi potrzebne do przyszłego stanu, które mnie jako kawalerowi, może nie są wiadome. Twój szczery przyjaciel.

Kniaziewicz.»

«Daruj, że krótko piszę, bo mam tyle na głowie, że sobie rady dać nie mogę. Jak tylko się ożenię to zaraz żonę moją do Juśkowiec zawiozę, ażeby się od pani tego domu nauczyła, jak męża szczęśliwym zrobić można, a jeżeli w tém potrafi wyrównać pani, to powiem, że i bogom nieba nie zazdroszczę.»

Na tém się przerywa korespondencya Kniaziewicza na czas jakiś, i o nim równie jak o zajęciach szefa mało wiemy w téj epoce.

Znajdujemy tylko pod 1811 rokiem list krótki księcia jenerała Ziem podolskich.

d. 31 marca 1811 roku.

«Winszuję JM. panu Karolowi (Mniszchowi), że choć krótką przejażdżkę odbędzie w społeczeństwie WMM. pana, jeszczebym bardziéj mu winszował, gdyby długi przeciąg czasu mógł strawić w towarzystwie męża słusznie szanownego z przymiotów serca i umysłu. Miałby wtedy obok siebie naukę i przykład. Szczerąby dla mnie było pociechą, gdybyś stanąwszy nad granicą chciał posunąć daléj, i użyczyć Puławom ukontentowania powitania go w nich.

«Zostawam z poważeniem WMP. szczérze życzliwym bratem i sługą uniżonym. *A. Ks. Czartoryjski.»*

W 1812 nie było czasu listów pisać: parę ich tylko od przyjaciela Bystrego znajdujemy, uskarżającego się na dociskającą biedę i zbliżające się burze, potém dnia 12 marca jeszcze niewiele przyszłości przewidujący liścik Kniaziewicza.

z Warszawy $\frac{1}{24}$ marca 1812 roku.

«*Cher ami!*

«List ten jest trzeci, który ztąd do ciebie piszę, od ciebie dwa listy odebrałem. O sobie donoszę żem zdrów, równie i żona moja zdrowa— Warszawa była przez czas karnawału dość wesoła, chociaż cały świat na niedostatek pieniędzy narzeka, przytém taka drożyżna, że skromnie żyjąc do pięciu set dukatów miesięcznie expensujemy. Dla wzmocnienia żony, żeby mi mogła choć jednego syna urodzić, do wód się w maju wybieramy, lecz nie wiém czy ten projekt do skutku przyjdzie, gdyż się znowu horyzont polityczny zachmurza i zgadnąć nie można, gdzie piorun uderzy.»

W parę miesięcy potém, inny kolega i przyjaciel szefa, Fiszer, który miał zginąć pod Jarosławcem, tak doń pisze z Warszawy.

w Warszawie 30 maja 1812 roku.

«Kochany przyjacielu!

«Nigdy w lepszym momencie i stosowniejszéj nie mogłeś mi wyświadczyć przysługi, jak przysyłając mi konia w tym właśnie czasie, gdzie co moment spodziewając się marszu, w największym o niego byłem

ambarassie. Najżywsze ci składam podziękowanie za tę śliczną klaczkę, którą mi pan Błędowski w najlepszym odesłał stanie, i która dwojako u mnie będzie faworytką, bo i piękna i upominek mojego najlepszego przyjaciela.

«Znając twój szlachetny sposób myślenia, ale razem twoją czułość, wchodzę aż nadto w boleśne uczucia, któremi strata, o któréj mi donosisz (śmierć żony) przejąć cię musiała, lecz przekonany także jestem, że Opatrzność umie pocieszyć innym sposobem ludzi, którzy tak jak ty myślą.

«Moja żona najserdeczniejsze ci zasyła ukłony i podziękowania, bo ona jeszcze bardziéj niż ja gryzła się o konia dla mnie. Z nowin nic ci nie donoszę, gdyż to jest pora gdzie z żadnéj strony o nich gadać nie wypada. Kończę zatém, na bardzo stałéj lecz do powtórzenia bardzo dla mnie miłéj rzeczy, że w pewnéj nadziei twojéj nigdy nie odmiennéj dla mnie przyjaźni, najszczęśliwszym się osądzę ile razy ci potrafię okazać, że najwyższy mój szacunek dla twojéj osoby i najszczersza moja przyjaźń dla ciebie, chyba z życiem się skończą.

Fiszer.»

W sierpniu taki jak zawsze urywany liścik pisze do niego Czacki z Krzemieńca donosząc, że go od kandydacyi na prezesa Izby Kryminalnéj uwolnił.

11 augusta Krzemieniec (1812 r.)

«Łaskawy i szanowny przyjacielu!

«Sztuką wykręciłem pana za pomocą księcia Czetwertyńskiego od kandydacyi na kryminalne prezesostwo. Podstawili Eustachego, bronili go, a tymcza-

sem ciebie wymazałem. Bystrego od kandydacyi wyłączyć nie mogłem; lecz kłanialiśmy się— i upadł.

«Dla pani ananas, brzoskwinie i śliwki posyłam, fundusz Lerneta przyłączam.

«Naryszkinowę jeszcze zostawiłem, czuję swoją wielkość w grzecznym sposobie. Dubinę Imperator skasował za dawanie blankietów na świadectwa kupcom i śledztwo przysłane.

«Ściskam pana serdecznie, przyjaciel prawdziwy.

Czacki.»

Jeszcze z tegoż roku kilka mamy takich pism starosty nowogrodzkiego.

«Kochany panie Józefie!

«Zaufany w twojéj dobroci, w sobotę zjadę się z żoną, dziećmi, Platerem, i Sciborskim w twoim domu. Używam téj wolności, którą mi udzieliłeś. List twój do Felicyana jest razem do Rzewuskiego, musiałeś omyłkę zrobić. Rzewuski jutro ma przyjechać. Pieniądze leżą i list do niego podpisany. Gazeta Londyńska donosi o wzięciu Madrytu. Proszę Platera, aby nieodwłócznie pojechał do Dubna, abyśmy z téj niepewności wyszli. Kirgiza płaczą inne konie, Rzewuski jak przyjedzie, będzie miał mowę pogrzebową. Felicyan z Józiem, Felixem, i Witwickim repetują arytmetykę, a potém dalsze części matematyczne. Ściskam cię serdecznie— wszyscy najpiękniéj kłaniają. Jędrzejowski miał posła od apoplexyi lecz zdrów. JW. Skibickiéj i Helenki ręce całuję, pana Franciszka i Karolka uściskaj.»

«Kochany i cnotliwy przyjacielu!

«W domu twoim oddałem się przyjemnéj samotno-

ści, wspomniałem jakie nieszczęście padały na ciebie i rzekłem: On nieszczęśliwy, czemuż i moja cnota nie ma cierpieć przygód.

«W sumieniu pociecha i téj żadna władza nie odbierze. Twój Karwowski z mojéj prośby jedzie. Poradź poczciwemu Platerowi w téj części, którą znasz z doświadczenia i z nabytéj chwały. Róbcie, odmienicie co wypada. Racz pilnować, aby moja żona wcześnie do Galicyi uszła. Idzie jeden twój wóz, aby jeszcze co przywieźć, a ztąd do Tarnorudy niech idzie. Bądź zdrów, kochaj mnie.»

«Kochany przyjacielu!

«Pan Felicyan dla widzenia matki, pojechania do Ks. Maxymilijana i repetycyi matematyki, chciał jechać. Nie godzi mi się wstrzymywać tego zacnego młodziana, skromność towarzyszy rozsądkowi. Jest to w teraźniejszych okolicznościach pociecha mieć takie dziécię.

«My tu nic nie wiemy. Czekamy z niecierpliwością uwiadomienia kto był prowadzony, czy jeńcy są oddawani obywatelom na kaucyą, czy admirał awansuje, gdzie jest, co macie od wielkiego wojska z jednéj i drugiéj strony. Doniesienie twoje oddzielone od zboczeń wystawi prawdę: zgoła uwiadom mnie, ściskam cię serdecznie. Rzewuski niebawnie do Wiednia posyła Hübnera, dójdą tedy twoje pieniądze. Ściskam cię serdecznie. Proszę Karolowi choć w oktawę powinszować, Helenki ręce całuję.»

Po długiém milczeniu, ten co ostatni swój list, piorunu przeczuciem zakończył, Kniaziewicz ranny pod

Berezyną, odzywa się do szefa, dnia 25 marca 1813 roku z Krakowa, temi przeszywającemi słowy:

—«Zlituj się nademną i daj mi wiedzieć o sobie czy ty żyjesz (?), bo blizko półtora roku jak od ciebie litery jednéj nie miałem; dla dopełnienia miary moich nieszczęść, tego tylko potrzeba, żebym od ciebie więcéj już nigdy wiadomości nie miał. O sobie tylko tyle donoszę, że jak na złość fizyczne siły tak mocne, że moralne cierpienia tego dokazać nie mogą, ażeby się dni życia mego skończyły, które mi dziś jest ciężarem. *Kniaziewicz.*»

Szczęściem bilecik ten doszedł Drzewieckiego, a prawie równocześnie, list szefa niespokojnego o przyjaciela, był w jego rękach: wiedzieli o sobie i spokojniejsi już byli o przyszłość, którą złożyli w ręce Boga; a Kniaziewicz tak pisał ze Lwowa 28 kwietnia (1813 r.)

—«List twój wraz z listem pani Czackiéj w Krakowie odebrałem, rozumiem, że i ciebie doszedł mój list w marcu pisany. Dla poratowania zdrowia, które mocno skołatane, do kąpieli do Lubienia za trzy dni wyjeżdżam, tam zabawiwszy niedziel kilka, do Krakowa, albo Ratysbony wyjadę.

«Pasierbicę moją wysłałem na Wołyń do jéj dziada, moment rozłączenia się z nią był dla mnie okrutny.

«Jeżeli zechcesz mnie dać wiedzieć o sobie, to proszę pisać przez Lwów, Gródek, w Lubieniu. Przyjaźni się statecznéj polecam i niczego tak nie pragnę jak to, żebym ciebie mógł w życiu raz jeszcze uściskać. *Kniaziewicz.*»

Mamy ślad tylko, że jenerał pisał w lipcu z Lubienia do szefa, ale dopiero listopadowy list jego umieścić tu możemy, z Tarnowa (5 listopada 1813 r.)

«Szanowny przyjacielu!

—«Znając ciebie, godny przyjacielu, pewny byłem, że żadnéj okazyi nie opuścisz, gdzie tylko piękna twoja dusza dowody prawdziwéj przyjaźni dać może. List twój z 30 września datowany odebrałem. Olesia (pasierbica) mi pisze żeś był w Międzyrzeczu, że się jéj losem trudnisz; że tam jesteś bożkiem pokoju, i że ciebie i pan chorąży i syn jego adorują.

«Idąc za twoją radą pisałem już o paszport na Wołyń; rozumiem, że go teraz z łatwością pozyskam, po zupełnem zwycięztwie nad Francuzami i pokój w Pradze zapewne nastąpi.

«Zajmując się losem mojéj pasierbicy, zdawać mi się będzie, że na tym świecie nie wszystko jeszcze umarło. Pani starościnéj Czackiéj uwagi i t. d. Pewny jestem, że i ty szanowny przyjacielu radą swoją wspierać będziesz moją pasierbicę, w momencie, gdzie najbardziéj rady prawdziwego przyjaciela potrzebować będzie.

«Ja dość zdrów jestem i co wieczór się tém cieszę, że się termin zbliżył do téj podróży, któréj uniknąć nie można, a któréj z upragnieniem wyglądam.

«Moje rekolekcye tu przyjemnie przepędzam, bo mieszkam pod jednym dachem z Badenim, rzadkich cnot i rozsądku mężem, który się tobie bardzo kłania. Rozumiem, że za niedziel sześć najdaléj ciebie kochany przyjacielu uściskam, a teraz twojéj się przyjaźni polecam. *Kniaziewicz.»*

Proszę oświadczyć moje uszanowanie księżnie krajczynie i księżnie Aleksandrowéj dobrodziejce.

Następny pisany w grudniu przez Kniaziewicza z Warszawy; (28 grudnia 1813 r.)

—«Szanowny przyjacielu!

—«List twój $\frac{26}{14}$ listopada datowany dziś przez Skibickiego odebrałem. Kawaler ten młody wyjeżdżając z Wołynia był pewnym, że tu nadzwyczajne zastanie odmiany tyczące się losu kraju naszego, a tymczasem wszystko zastał w niepewności i w najgorszéj biedzie. Ja, który na nieszczęście przyszłość czarno sobie maluję, mniéj na tém tracę, przysposobiony umysł mój do złego, które nastąpić ma.

«Zdaje się, że listy moje ciebie szanowny przyjacielu nie dochodzą, lubo zawsze przez pewną okazyę pisuję.

«Do Olesi pisałem przez księcia Radziwiłła, który ztąd przed tygodniem wyjechał, i zapewne szanownemu przyjacielowi opowiedział w jakich ja tu obrotach jestem.

«Czekam z niecierpliwością na powrót kuryera z Wiednia, który zdecyduje czy będę mógł wkrótce wyjechać na Wołyń. Mam nadzieję, że ciebie szanowny przyjacielu za trzy tygodnie uściskam.

Kniaziewicz.»

Z tegoż 1813 roku pozostała notatka przesłana Drzewieckiemu wezwanemu, aby w Komitecie Cenzury Krzemienieckim wyrobił pozwolenie na wydanie tłómaczenia *Ducha chrześcijaństwa (le Genie du christianisme)*. Pan szef, którego wszelkie podobne przedsięwzięcie obchodziło, który pomagał jako mógł do

każdéj roboty poczciwéj, miał się i tu postarać o *Imprimatur*. Polecano mu tak wszystko: Fischer kupienie klaczki, Czacki bibliotekę księżnéj i szczepki orzechowe, Giżycki wyjednanie pozwolenia w Cenzurze, Bystry wyszukanie pieniędzy. Nie wiem czy to tłómaczenie *Ducha chrześcijaństwa* wydaném zostało, ale przedsięwzięcie zasługuje na pamięć, bo było w celu i myśli prawdziwie obywatelskiéj i religijnéj osnute. Szkoda tylko, że tłómacze nie chcący się na pracy swéj podpisać, wybrali nie oryginał Chateaubriand'a, ale przerobienie jego dla młodzieży, nie wiem czyje, które wyszło w 1808 roku u Herhan'a w Paryżu. Księgę II. i V. piérwszego tomu tłómaczył Iwanowski, kawaler maltański, księgę I. III. IV. i VI. Giżycki, tom drugi i część nót G. Bielawski professor w szkole Pijarskiéj. Druk kosztem i pod okiem pana Giżyckiego w jednéj z Typografii Wołynia lub Podola, miał się rozpocząć w 1814 roku, a skończyć w marcu. Do bibliografów należy wskazać nam czy przekład ten przyszedł do skutku.

Idziemy daléj po tym cmentarzu zbutwiałych papierów, na którym co krok spotykamy pamiątkę; oto ułamek listu bezimiennego.

«Co się tycze wiadomości publicznych, nic pewnego dotąd nie mamy. Jankowski, bywszy szef szwadronu w półku gwardyi, co został w Paryżu dla obrachunków z rządem francuzkim, powrócił dnia onegdajszego z Wiednia, gdzie jeszcze Imperatora zostawił, który mu kazał powiedzieć wszystkim współrodakóm wiadomości następujące, które oficyalnie przywieźć ma pan Ożarowski w następującéj treści.— *Dites à vos*

cempatriotes, que je mets toute ma confiance en eux. J'ai fait ce que j'ai pu pour leur bonheur; si je n'ai pu les reunir sous un même sceptre, j'ai assuré leur nationalité, et un gouvernement libre separé pour chaque partie. Quoique les Polonais ont combattu contre moi, j'ai su distinguer leur vrai patriotisme qui les y à engagè de la legereté et de l'inconstance des Français. Ils auront un royaume, un roi, une constitution et une armée— c'est ce qu'ils ont desiré, je ne leurs demande que d'être bons Polonais. Voila les nouvelles du jour, które ci komunikuję. Zresztą cicho, tylko ogromne przechody wojska, które nasze okolice do reszty niszczą, bo nawet magazyny do wyżywienia nie starczą. Adieu, kochany przyjacielu, czekam z największą niecierpliwością listu od ciebie. Kniaziewicz za kilka dni tam jedzie. Łaskawym osobóm będącym jeszcze w Krzemieńcu, które raczą mnie przypomnieć sobie, proszę złożyć winne me ukłony.»

Adieu encore une fois. *S. R.*

Synowie wiem, że są zdrowi, lecz są na wsi w garnizonie.

Następny list z tegoż czasu, lepiéj nam jeszcze i nadzieje i trwogi ówczesne maluje.

«Kochany, szanowny panie Józefie dobrodzieju! Ostatni twój list, który odebrałem tak mi zrobił pochlebną nadzieję uściskania i oglądania cię tutaj, iż spóźniłem się dotąd z moją na niego odpowiedzią; ale gdy ani skutek obietnicy nie następuje, a po zastanowieniu się sądzę, iż ani potrzeby, ani interesu nie masz tak wczesnego tu przybycia, postanowiłem te parę słów ci przesłać jako dowód mojéj pamięci i

szczerego zawsze przywiązania do tak szanownego przyjaciela, jak ty nim jesteś i jakim być umiesz. Lubo w krótkości wyraziłeś mi myśl swoją, ale znając twoje serce, wiém i zdaje mi się, że rozumiem czego chcesz, co jako przyjaciel radzę i życzę, aby ci się odechciało. Dziękuję przyjaciołom, którzy ci odradzili, żeś nie poszedł na kompanią roku 12go. Jako nie będący w wojsku, nie uchybiłeś twojéj powinności; jako polak, skutek okazał, żebyś jéj dopełnić nie był w stanie jak my wszyscy; jako ojciec, byłbyś przewinił. Tem bardziéj teraz zostaw czasowi, aby nam odsłonił przyszłość, nie wierz łatwo wszystkiemu, trudno rzeczy idą, wiele obietnic, mało skutku. Kongress Wiedeński, rzecz dopiero wyjaśni, nie bez uprzątnienia wielu zawad, mniejszą daleko, ale wszelako zatrzyma i Austrya i Prussy, część jakąś Polski. Może prawo, może administracyą zostawią nam samym sobie do urządzenia; ale policyą, ale konstytucyą krajową, ale reprezentacyą narodową, czy będziem mieć mogli? wątpię. Wszyscy Polacy życzą sobie z serca i duszy, by tak dobry Monarcha jak Alexander mógł być królem naszym, ale czy mu na to pozwolą, czy zechcę dla tego toczyć wojny z ościennemi? Kłócić się ze swojemi? wątpię bardzo. Będzież mógł kraje dawniéj przyłączone wcielać do nowego królestwa? trudno. Zostanie zatém kraj mniejszy jak było księstwo, w niém utrzymane 50,000 wojska, do którego jest oficerów więcéj jak na sto tysięcy; prócz 18tu jenerałów dywizyj, 38 brygad, 95 półkowników, 200 przeszło podpółkowników, jest przeszło 800 kapitanów. Połowa zasłużonych, którym sposobu

do życia odmówić nie podobna; kiedy z drugiéj strony dobroć serca Monarchy, widząc kraj tak wyniszczony chce koniecznie sprawiedliwie, ażaby podatki do połowy zmniejszonemi były. Widoki zapewne polityczne nie pozwalają także usunąć wojska z księstwa. Kraj ten zatém już i tak wyniszczony, żadnéj dotąd nie doznaje ulgi. W tém położeniu rzeczy, zaciemnioną przyszłością, szczęśliwy *qui procul negotiis*, do niczego się nie wdaje w zaciszu domowém, oczekiwać może dalszych wypadków.

«Tak radzę i sam odżałować nie mogę wcześniejszego przybycia tutaj, dość było czasu dla mnie przyjechać na koniec października. Ale listy Dąbrowskiego i Zajączka znagliły wyjazd. Z ukontentowaniem nawet odsunąłbym się od wszystkiego, gdyby nie potrzeba służenia, nie mając dotąd innego sposobu utrzymania się.

«Jutro wchodzi wojsko nasze powracając z Francyi, pojutrze ciało księcia Poniatowskiego przywożą w paradzie, nazajutrz exekwije, smutny obrządek. W niedzielę obchodzimy imieniny Imperatora, wojsko nasze przez te dni cztéry będzie obozowało, gdyż żadnéj części miasta Rossyanie im ustąpić nie chcieli, mimo od tygodnia padających ciągle deszczów. Kniaziewicz siedzi sobie na wsi o sześć mil od Warszawy; dziatwę uściskaj serdecznie, powiedz im żeby ciebie nie puszczali, skoro będą widoki lepsze sam cię o nich ostrzegę. *Vale et me ama.*

Xawery Kniaziewicz.»

Sam Kniaziewicz taką o sobie w kilka dni późniéj daje Drzewieckiemu wiadomość.

z Warszawy dnia 21 września 1814 r.

«Szanowny przyjacielu!

«Profituję z okazyi, która mi się podaje, ażebym doniósł o mojém powodzeniu. Do dnia dzisiejszego bawiłem na wsi, ażeby być dalekim od kabał i intryg, których teraz pełno. Teraz kiedy los ojczyzny naszéj rozstrzygniętym być ma w Wiedniu, i kiedy się wielkiego księcia za trzy dni tu spodziewamy, w Warszawie bawić będę póki rzecz się cała nie wyjaśni. Jeżeli się iskierka jaka pomyślna dla nas okaże, to natychmiast tobie przyjacielu dam wiedzieć, żebyś do nas mógł przyjechać, a że ja się nadzieją łudzić nie umiém, przeto ciebie póty nie zapraszam póki cóś pewnego wiedzieć nie będę.

Warszawa, która zawsze pełna bajek, teraz się znowu panną Alexandrą zatrudnia i t. d.»

Prawie współcześnie powracający z Peterzburga Bartłomiéj Giżycki, jeden z ludzi podówczas najczynniejszych na Wołyniu, tak w swym liście pisze do pana szefa.

«Powróciwszy z Peterzburga mam za słodką powinność przypomnieć się przyjaźni JW. pana dobrodzieja, a razem uwiadomić go o wielkich nadziejach dla dobrze myślących, z protekcyi i szczególniejszych względów naszego Monarchy, dla wszystkich jeneralnie Polaków. To jest nie tajno z jaką energią i silném postanowieniem wyjechał Najjaśniejszy Pan do Wiednia, wkrótce zapewne będą wiadomości pocieszające nas zupełnie. W tém oczekiwaniu winszujemy sobie, że nam Opatrzność tak mocnego i wspaniałego dała protektora;» (dnia 12 września).

Nareszcie natrafiamy na list samego Drzewieckiego, czwartego grudnia pisany z Krzemieńca do Fr. Skibickiego, z którego, o samém życiu ówczesném miasteczka wyjmiemy słów kilka.

«U nas wyludnione miasteczko wyjazdem tylu osób, stoi jedynie dobrocią pozostałych i skupionemi umysły mieszkańców. Obchodziliśmy tu Xawerego, tańczono, grano, śpiéwano, publiczność wcieliła się w tę dobrą familiją, a życzenia były tu szczére jak ich własnych dzieci. Wieczór nie ogromny, ale bardzo był świetny; mamy tu rossyjskich oficerów dobrze wychowanych, którzy się na nas znają, i my ich nie zapominamy, i bardzo są tu szczęśliwi.

«Ledóchowski stoi u mnie teraz, ranek jestem w jego towarzystwie, które jest bardzo interesowne. Dnie życia naszego są krótkie, a częściéj skrócone nawet, każdy z nich sobie i przyjaciołom ocalony, jest prawdziwą towarzyskiego długu wypłatą. Jeżeli ten odmęt, w którym się teraz znajdujesz, jest jednym z tych nieszczęśliwych momentów jakich już wiele przebyli polacy, gdzie samo omamienie chodziło tylko w płaszczu nadziei,— przypatrz się temu, korzystaj z epoki, nad którą zastanawiać się jest to zyskać lata doświadczenia, a kiedy rzecz w swojéj już postaci widzieć będziesz, rzucaj prędko, przybywaj do nas; tu matka, tu przyjaźń da ci zatrzeć smutek jakiego tam nabędziesz zapewne, zostanie ci się sposobniejsze serce dla uczuć przyjemnych domowego pobytu, na którym niestety, podobno zaprzestać należy.

Napisz mi jak zastałeś panią starościnę naszą. (Czackę?) Tutaj każdy węgielny kamień przypomina za-

łożyciela, każda ukształcona dusza wyznaje wiele mu winna, i czuje brak tak znakomitego domu. Zazdroszczę ci przyjacielskich godzin z panem Sedelmejerem, przypominaj mnie pamięci jego, mnie się zdaje, że widzę twarz tego cnotliwego człowieka wypogodzoną za przybyciem twojém. Sobański Michał tylko co nie umarł, ma się jednak lepiéj i przyjeżdżają do nas.

«Ja cię się o Nowym Roku spodziewam, bo i G. Kniaziewicz pewnym jest wtenczas powrótu do nas, a zatém normalny czas jużby upłynąć powinien. Zresztą, grzech opuścić karnawał tutaj, jeżeli tamtejszy smutkiem powleczony będzie.

«Jenerałowi Kosseckiemu złóż mój respekt, panu Kickiemu powiedz, że mi zrobił epokę swoją bytnością tutaj, niech nas nie zapomina i szacunek nasz niech przyjmie jako winny mu i utrwalony do grobu.

«Jenerałowi Wasilewskiemu, półkownikowi Chłusowiczowi (*), jenerałowi Sieradzkiemu przypomnij dawnego ich przyjaciela i kolegę; panu jenerałowi Stanisławowi Potockiemu, jeżeli go już znasz dobrze, przypomnij i zaręcz, iż dobroć jego dla mnie jest mi zawsze pamiętną.»

Rok następny już jest bogatszy niż poprzedzające w listy i notatki. Jak zawsze, im mniéj było do

(*) Szczególnym trafem ten półkownik Chłusowicz, był przyjacielem rodziny naszéj, widziałem go razy kilka w mojéj młodości, ale mało pamiętam. Ożenił się z hiszpanką, dziedziczką krwi i pamiątek po Krzysztofie Kolumbie; przypominam sobie łańcuch Kolumba, który po niéj do niego się dostał. *J. I. Kraszewski.*

czynienia, tém więcéj się w ogólności rozprawiało i pisało, rozumowało i zdawało sprawę z nadziéj i marzeń.

W styczniu, dnia 9, 1815, tak pisze szef do ulubionego sobie krewnego Franciszka Skibickiego.

—«Krzemieniec się bawi, tańcują wiele, a co najlepiéj, że gdy tańcują jedni, nie płaczą drudzy, co podobno w reszcie świata doświadczać można. Pozostawszy z nami, miałeś wprawdzie obok siebie serce matki, uczucia przywiązanéj do ciebie familii, i to co domowém nazywamy szczęściem; lecz tam obok ludzi cnotą i klęskami znamienitych, aktorów na wielkiéj świata scenie, masz czas uczyć się od nich co są ludzie, co narody, co jest honor, co są obowiązki dla ojczyzny, wynieść się nad poziom naszego bytu, na to może, abyś go kiedyś z większą mógł ulubić spokojnością; bo się przecie wszystko na tym kończy świecie.»

W lutym frasował się szef bardzo przypadkiem, który spotkał synowca jego Felicyana Drzewieckiego z bratem wyprawionego przezeń do Warszawy, do szkoły Inżenierów, któremu pod Gniewoszowem walizę skradziono, i tak pisze do Skibickiego:

«Tu się dowiaduję po zmartwieniach jakie mają z niedojścia (listu pisanego przez Drzewieckiego do pani Mniszchowéj), że oni są zdrowi w Warszawie, lecz mają ukradzioną walizę pod Gniewoszowem; walizę z sani, na których cztérech ludzi się znajdowało, a z tych dwóch ma całe życie umieć myśleć przecie o sobie!— Jest to przypadek, którego sam jeden Francyą, Włochy, Szwajcaryą, Niemcy, Prusy, przede-

ptawszy, mimo wady niedbalstwa przecież nigdy nie doznałem.»

Cały tu list pełen niepokoju o krewniaków, serca jego najlepszego dowodzi.

Oto inny jenerała Kropińskiego pisany d. 29 marca 1815 z Worończyna, malujący dobrze jakiem uczuciem przyjęto wówczas ogłoszenie Królestwa.

—«W ten moment odebrałem sztafetę od księżnéj jenerałowéj (Czartoryjskiéj). 4 kwietnia Cesarz ogłosił się królem polskim przez list do wielkiego księcia. Książe Adam jedzie z aktem już podpisanym. Radość jaka z téj okazyi była w Warszawie jest nie do wyrażenia, śpieszę się donieść o tém przyjacielowi. Bądź łaskaw powiedzieć Januszewskiemu, że ja wyjeżdżam za dni pięć, więc mnie nie zastanie. Jeżeliby potrzebował na drogę, chciéj mu dać dukatów trzydzieści, które ja natychmiast powrócę. Bądź zdrów przyjacielu, radujmy się bo jest czego. Księstwu Czetwertyńskim złóż odemnie ukłony i wszystkim łaskawym. *Kropiński.*

dnia 24 marca 1815 r. Worończyn.»

Z kilku listów Bartłomieja Giżyckiego ówczesnego gubernatora Wołyńskiego, widać niezmierną jego czynność, żywy umysł i temperament, i najlepsze dla kraju chęci, z tą wiarą w skuteczność czynów gorącą, jakiéj już dziś nikt nie ma. Trudno odmalować jak się ten niezmordowany urzędnik krzątał, zabiegał, pracował, kłócił, zaklinał, aby sobie i drugim dać rady, i do jakiegoś ładu doprowadzić nieuregulowane jeszcze stosunki. Tu znowu ciekawy choć krótki bilet jenerała Chłopickiego.

dnia 4 septembra 1815 r.

«Wieki jakeśmy się nie widzieli, tyleż czasu jak nie pisałem; proszę darować żem dotąd nie napisał, a nie szukając kłamstwa na exkuzę, szukam bardziéj przebaczenia. Plater oddawca listu, powie co się z nami dzieje, i jak wiele jesteśmy zatrudnieni chociaż nic nie robimy; wszelako uczymy się. Jeżeli pan pamiętny na starania moje o jego przyjaźń, zapewne nie odrzuci też same, które mu zaręczam.

B. Chłopicki.»

Następna odezwa bez podpisu, przekonywa jaki wpływ i udział miał Drzewiecki we wszystkich czynnościach prowincyi:

«Przyjaźń, która W. pana dobrodzieja tak ściśle łączyła, ze ś. p. Tadeuszem Czackim, i którą tak wiernie pamięci jego dochowujesz, daje mi powód, że się do niego w niniejszéj czynności udaję. Wkrótce po śmierci tego zacnego męża, obywatele gubernii Wołyńskiéj, Podolskiéj i Kijowskiéj, wywiązując się z wdzięczności, którą szczególniéj mu byli obowiązani, ofiarowali na rzecz pozostałéj po nim massy majątku części pewne summ, które się im ze skarbu Imperatorskiego, za dostawione wojsku prowianty należały. Wielu jednak z obywateli w zwyż wymienionych gubernijach, wcale się do téj składki nie przyczynili, a ci nawet, którzy się na nią pisali, po większéj części całkowitą należytość za prowijanty ze skarbu opłaconą sobie mieli, dla tego, iż w czasie spłacenia, nikt ze strony sukcessorów ś. p. Czackiego z przyzwoitą do odebrania ustąpionéj im części plenipotencyą, w Peterzburgu się nie znajdował. Gdy teraz ci sukcesso-

rowie znajdą się w potrzebie korzystania z téj dla obu stron chlubnéj ofiary, potrzeba, aby kto z pomiędzy przyjaciół zmarłego mający u tamecznych obywateli wziętość, starał się u jednych o ustąpioną przez nich kwotę skutecznie upomnieć, u drugich przyłożenie się w proporcyonalnéj ilości wyjednać.

«Związki W. pana dobrodzieja z nieboszczykiem, sposób jego myślenia, i sposobność, w któréj się znajdujesz uczynienia téj przyjacielskiéj posługi sukcessorom, do któréj go jako przyjaciel i opiekun dzieci zmarłego wzywam, każą mi się spodziewać, iż się jéj chętnie podejmiesz; w tém zaufaniu łączę tu papiery niektóre, interes ten objaśnić mogące. Z mojéj strony nie zaniedbam starać się, aby niezapłacone jeszcze, a sukcessorom ś. p. Czackiego ustąpione pretensye, plenipotentowi ich w Peterzburgu bez trudności wypłaconemi być mogły. Przyjm JW. pan dobrodziéj i t. d.

w Warszawie d. 3 października 1815 r.»

Tak wszystko niemal, co kto przedsięweźmie, co chce dokonać, o czém pomyśli, opiera się o niezmordowanego szefa: interessa pieniężne, literackie, sprawy obywatelskie, najmniejsze nawet zachcenia przyjaciół, ma czas spełnić. List następny Felińskiego świadczy, jak mu pomagał do rozdawania prenumeraty— biedny pan szef! jest-li co okropniejszego?

d. 18 października Wojutyn 1815 roku.

«Mój szanowny i dawny łaskawco! Z pisma (sic), które mi oddał w ręce przed wyjazdem swoim Giżycki, dowiaduję się, że do wielu już dowodów swo-

jéj łaskawéj dla mnie przyjaźni, przydałeś jeszcze nowe. Raczyłeś zatrudniać się rozdawaniem biletów na prenumeratę pism moich.

«Za dziesięć, które Platerowi dałeś, doszły mię pieniądze; resztę racz oddać łaskawie w ręce Rudzkiego, który mi je przeszle będącemu już na wyjezdzie do Warszawy. Jeżeli jakie bilety pozostały, przyjmę je, a blankiet na kwit całkowity posyłam.

Francuz, o którym panu mówiłem, ożenił się przed miesiącem i nie może opuszczać miejsca. Ten projekt więc upadł, ale możemy jaki inny zrobić jeżeli się panu podoba.

Szczęśliwym będę, jeżeli mi raczysz jakie dać rozkazy i pisywać do mnie do Warszawy. Zawsze z najczulszém i najprawdziwszém uszanowaniem, przywiązany pański sługa. *Feliński.»*

Z następnego listu do Skibickiego, musimy choć cząstkę umieścić, bo tych słów kilka, całego nam człowieka i myśl życia jego malują.

—«Proszę cię Franiu o długi list do mnie z Wojończyna, oświeć mnie trochę, co się dzieje na świecie. Zdaje się, że księżna nie wyjedzie ztąd mimo usiłowań Warszawy . . . . Błędowskiemu, ojcu młodości mojéj, zaręcz mój respekt, panu jenerałowi Kropińskiemu moje uszanowanie, i *prośbę niech mnie tam wezmą na stróża, byleby w polskim palić można piecu.*

«Będę ci od czasu do czasu przysyłał bazgraninę, w któréj więcéj szukaj serca niż zdatności, a jak się tego nazbiera, każ oddać restauratorowi pod ciasteczka,

które zjadając, raz jeszcze przypomnij sobie przyjaciela twego do grobu. *Józef Drzewiecki.*

Teofipol d. 7 października 1815 r.»

Obszerniejszy i więcéj wypracowany jest inny list do tejże należący epoki, który tu miejsce znaleźć powinien.

—«Już tedy, kochany panie Franciszku D. opuściwszy Wołyń, gdzie cię matka czuła i przyjaźń wypieściła, stanąłeś zapewne w nowéj Polsce, a w dawnéj jéj stolicy; tysiąc poważnych myśli zastępuje ci miejsce powtarzań jednostajnych naszego przywiązania, z któremi od dzieciństwa oswojony byłeś; uczucia prywatnego człowieka zastępują teraz uniesienia obywatela i polaka, a dumny z odrodzenia swego, myślisz zapewne jak się stać godnym tak wielkiego przeznaczenia. Witam cię tedy młody obywatelu dawnéj ojczyzny mojéj; patrzyłem na te ostatnie boje, któremi ona swój zdobiła upadek i niedołężną jeszcze ręką bronić jéj chciałem, lecz wtenczas walczyły siéroty z potężnemi i silnemi, i z własną niedołężnością swoją: opor podnosił upadek, ale od niego ochronić nie mógł.

«Zrozpaczeni, unieśliśmy bronie nasze daleko od własnéj ziemi, aby je od powszechnéj ochronić straty, a nawykli do swobody, szukaliśmy jéj tam, gdzie ją zaledwie wymawiać byli godni. Jednak Opatrzność chciała, aby ten sam Eneasz, co ojczyste unosił bogi, wprowadzał uzbrojone rodaki do ich ojczystéj ziemi, i odrodzenia jéj piérwszą przyniosł wieszczbę. Odtąd skończył się romans Polaków: okupując błędy

przodków krwawili z chlubą potomkowie tę ojczystą ziemię, którą nierząd oddał zagładzie, i własne przewyższywszy siły, wprzód mieli udział w zemście niżeli ocalenia swego przez nią pewnémi być mogli. Wielkie natężenia od upadku cieńka tylko nić dzielić zwykła, lecz historya napróżno co moment tę powtarza prawdę, bo miłość własna nigdy jéj zupełnie nie uwierzy: należeliśmy do błędu drugich i upadliśmy z niemi. Tu dopiero należy epoka, która z trudnością znalazłaby w historyi przykład: wielkość ofiar, czystość pobudek, miłość kraju godna wieków piérwotnych, mało znana w ukształconych, zarabia Polakom szacunek wtedy, gdy sprawa, w któréj swe poświęcili życie, na nienawiść świata zarabiać się zdawała. Wnuk ukochany Katarzyny, staje się opiekuńczym bóstwem zaledwie już wierzącego swéj nadziei polaka, a polityka narodu ustępuje cnocie monarchy. To czegoście nie zarobili Polacy bijąc się za krańcami Europy, pod tym, któremu świat i on sobie uwierzył, że panem świata ma zostać, wymawiacie czarowne ojczyzny imie, upoważnieni cnotą zdobywcy waszego. Takowa zmiana nie może być daleką od świetniejszych jeszcze widoków, jeżeli tylko dość jest uprawną ta rola, na którą tak dobroczynne padło nasienie. Dotąd Polacy jak męczennicy religii zwyciężali mnogością cierpień swoich, teraz, choć w drobnym przyszłego bytu zarodzie, mają swéj wielkości położyć zasady. Po zaburzeniach jakie nowa wprowadziła opinija, stały porządek rzeczy jest jeszcze daleki; jest to niejaki spoczynek pośród którego naród ludzki rozważa, czyli nieszczęścia należały do liberalnéj zmiany czy do ludzi,

którym nietrafnie powierzyło ją przeznaczenie. Zmieniać się będą miejsca na kuli ziemskiéj, lecz człek ciągle usiłować będzie dążyć do postępu, i to zmieniać musi stosunki teraźniejsze narodów, a z niemi i Europy postać. Na ten nowy zarodek patrzeć będą rodacy w jakiekolwiek przebrani imie; wasze cnoty, lub zepsucie będą ogniskiem opinij o sprawie podźwignienia się naszego, do was trudności, do was należeć będzie chluba pomyślnego dla kraju skutku,— orężem waszym *wytrwanie* i *praca*. Jeżeli świat oswoicie z powinnością myślenia o podniesieniu walecznego i cnotliwego narodu, tak jak teraz męztwem waszém upartém każecie znosić imie, które zniknąć już miało, wszystkiego natenczas i wkrótce spodziewać się należy; lecz jeśli kraj tak mały skazi łakomstwo, jeżeli broń w najemne przejdzie ręce i nie będzie jeno środkiem do ogłaszania tego zapału, które ubiegłe okoliczności podnieciły, a który tłumić nagle było niebezpieczno,— jeżeli puścić się godzi wodze marzeniom człeku, co do nich nie ma prawa, jeżeli mówiąc do krewnego, do przyjaciela co wchodząc w tak znakomitą szkołę ludzi i okoliczności, nie utraci zapewne należącego do swéj pięknéj duszy pobłażenia pomyłkom niepoprawnego pióra i niedoświadczonego piszącego, myślałbym, że wziąwszy tęgą ręką wojsko i wychowanie, reszta okoliczności przygotować mogą. Wylękła się słusznie Europa militarnego wychowania w narodzie zdobyczami uzuchwalonym, lecz w drobnéj krainie, która cnotą i karnością jedynie na litość świata zarobić może, potrzebą być się zdaje— ręce te dobroczyńcy naszemu poświęcone zostaną. Niech one

przejdą zdatnością i zarobią na Jego szacunek, czy on nam pod swą opieką każe przywołać pozostałych braci za granicami państw jego, aby go wraz z nami za swego poczytały wybawcę, a wszystko duchowi temu winni będziemy— czy nakoniec on nas uważać zechce jako kraj co ma środkowe zasłonić prowincye piersiami swojemi, duch militarny zapowiadać będzie zdobywcy na co się narażać może. Lecz z militarnym porządkiem, niech się nie wciska barbarzyństwo; sposób wojowania nie pogorsza się oświeceniem, a massa narodowego światła zdaje mi się, że była z celniejszych przyczyn pierwiastkowych zwycięztw francuzów; i dla tego myślałbym, że szkoły przyjmując militarny duch i policyą, mają prawo, aby wojsko gust do nauk od nich, przynieść do siebie chciało. Korpusa wojskowe niech będą przejściem tylko do przystosować się mającéj teoryi do obrony ojczyzny swojéj; one mają wytrawiać passye, a niepogardzając wszelkiemi wiadomościami, oddawać w karności i honorze wyćwiczonego obywatela. Dobrze dobrane biblioteki, korpusowe ćwiczenie się oficerów w czasie pokoju za powinność położone, czytanie i pisanie za regułę dla każdego żołnierza, garnizony stałe i koszary, któreby takiemu sprzyjały ustanowieniu, nie odejmą brawury żołnierzowi, nadając mu zdatnego obywatela postać. Wtenczas to syn ojczyzny chlubnemi za nią okryty ranami, przejdzie do cywilnego stanu niosąc mu za przykład swoją dla kraju miłość, a przecież brak oświecenia nie zrobi go niezdatnym do sprawowania swych obowiązków urzędnikiem. Legie miały militarne szkoły pod dowództwem szefów korpusu, to nie

umniejszyło odwagi zdobywców Neapolu, mężnych pod Trebią, ważących los bitwy pod Hohenlinden.— Przebacz tak nudnéj i śmiałéj bawardzie, która może nie jest zgodna z waszym duchem, ani godna uwagi waszéj; powiem ci dla czego ci tyle piszę— przyjechałem do Dubna widzieć jenerała Giżyckiego, któremu oddam te listy, on spóźnił swój przyjazd, chęć pisania do ciebie nie ma we mnie granic, nie dawnoś nas opuścił, abym cię domowemi ubawił nowościami, co wcisnęło się pod pióro, przebacz żem ci to bazgrać się ośmielił (30 8bra).

Malutki bilet jenerała Kniaziewicza kończy korespondencyą z tego roku, z któréj te dajemy wyjątki.

«Szanowny przyjacielu!

«Posyłam przez okazyą list Koseckiego i paczkę podobno z książkami. O sobie nie wiele dobrego donieść mogę, jak tylko tyle, że pracą obciążony jestem, która sam nie wiem na co się tu przyda, i że wystawiony jestem na próbę czy się sposób myślenia z wiekiem nie odmienia; lecz spodziewam się, że się mój przyjaciel za mnie wstydzić nie będzie. Spodziewam się, że na Nowy Rok będę mógł być na Wołyniu, chyba żeby mnie gdzie daléj jechać kazano. Daruj, że krótko piszę, bo mnie niezmiernie oczy bolą.— Do zgonu życia szczéry przyjaciel. *Kniaziewicz.*

(z Warszawy 5 grudnia 1815 roku).»

Następujący list gubernatora Giżyckiego, da poniekąd wyobrażenie gorliwości i temperamentu, z jakiemi ten obywatel-urzędnik zajmował się wszystkiém co go obchodziło; inne nam go późniéj dobitniéj jeszcze od-

malują, a typ to i piękny i bardzo godzien uwagi, swojego czasu.

«Panie dobrodzieju!

«Officyalny papier odprawiony po przeszłéj poczcie, uwiadomił już pana o przybyciu niezawodném Monarchy, do Starego Konstantynowa na 5 apryla. Półki schodzić się mają, a Najjaśniejszy Pan około 20, sam przybędzie. Rewija ma trwać dni 6, tymczasem odbiéram partykularne wiadomości, że Monarcha sam *incognito* przejeżdżać będzie w marcu do Warszawy, i to pod imieniem jakiegoś jenerała. Natenczas trzeba koniecznie przestrzedz sodierżatelów poczt wszystkich i pisarzów, aby trzymali koni po dwanaście na każdéj stacyi, nie używali tych koni na gonki, tylko pilnie uważali przejeżdżających jenerałów, aby im służyli jak najlepiéj. Tę przestrogę trzeba tak zrobić, aby nie skompromitować nikogo, to jest kiedy Monarcha pytać będzie czy wiedzieli, że on przejeżdżać będzie, żeby odpowiadali żeśmy nic nie wiedzieli. Konie te dwanaście, to jest dla Cesarza i kamerdynera oddzieliwszy z dobremi jamszczykami, i wybrawszy jak najpiękniejsze i najlepsze, niech karmią dobrze, przez ten czas żeby nie były chude, bo Monarcha tego nie lubi. Niech na pocztach pisarze i pocztylioni proszą, aby teraz przejeżdżający nie bardzo pędzili, by konie zakonserwować wszystkie; kiedy słuchać nie zechcą można nastraszyć podaniem prośby. Panu trzeba być zawsze na przesmyku, nie w mundurze, a we fraku, pilnować, kazać jak będzie jenerał jaki jechał, wnijść niby z przypadku na stacyą dla opatrzenia porządku, a poznawszy Monarchę nic się nie zdekoncertować, powiedzieć mu komplement, że

tak wielkie szczęście i niespodziewane spotkanie zbawcy ludów, a szczególniéj polaków, jest najcelniejszą epoką życia. Już to będziesz umiał— przestrzegam tylko, aby nie mówić *nie wiem*, *(ne znaju)*, bo tego nie lubi. A mieć w gotowości co zjeść i wypić, i zaraz posłać człeka, aby jak najśpieszniéj na stacyą przynosili, kiedy nie zechce iść lub jechać do pana. Śmiało o to prosić można. Może zajść zechce do JW. Czackiéj, o któréj bytności zaraz powiedz. To wszystko stać się powinno tak naturalnie, z otwartém sercem i śmiałością, żeby był pewnym, że to jedynie z przywiązania do Niego pochodzi. Gadając do niego po francuzku, jak najmniéj mówić *Votre Majesté* a *Sire*, po rusku zaś *Gosudar*. Trzeba żeby pan codzień na stacyi był choć na minutę, aby było czysto, ochędóżnie, a tym sposobem, gdy *incognito* jechać będzie i pan wpadnie, nie będzie widno żeś pan umyślnie na ten czas przybiegł. To jest rada moja na przejazd *incognito*. Gdy zaś będzie jechał z Warszawy, postępować tak jak było roku przeszłego: na każdych stacyach po 150 koni, niech będzie, albo frysztyk albo obiad gotowy, reszta w instrukcyi drukowanéj.»

Cały dość długi list Giżyckiego, zawiera najbardziéj drobnostkowe przepisy na wypadek przejazdu Monarchy, przestrogi i szczegółowe przepisy postępowania.

W tym roku poczynał już pan szef myśléć o wychowaniu syna Karola. Mieszkając i marszałkując w Krzemieńcu, pisze o tém do Skibickiego: «Karolowi uformowałem pensyą, dałem na nią dom większy, gdzie stali Czetwertyńscy, na jéj czele jest Lisiecki,

wchodzą w nią Gotard Sobański, Czaplic od Maxymilijana, Sapieha syn Janusza, syn Pauszy, Gołębiowski syn przyjaciela Czackiego i Delarbre młody, dzieci wszystkie z wielkiemi zdatnościami. Pozwoliliśmy sobie wszystkich środków i nakładów, jakie wymaga najściślejsze połączenie pożytków publicznego i prywatnego wychowania, od Opatrzności oczekujemy reszty. Staranność potrzebna do nabycia języków zachowana, emulacya utrzymana, dzieci dobrze dobrane, wybrani nauczyciele, służebni cudzoziemcy, ludzie z konduitą znaną, dzieci ani na moment losowi nie zostawione, examina publiczne i porządek szkolny zapewniony, spodziewamy się najpochlebniejszych skutków.

Plater zastąpiony jest przez trzęsącego się, lecz niegłupiego literata. Malewski, którego znałeś, jest rocznym wizytatorem; trwoga, że ta szkoła wyjęta jest z pod pieczy obywatelskiéj jest tak wielka, że trzeba znacznych usiłowań, aby zatrzymać powszechną ufność. Z jéj umniejszeniem potrzeba będzie czasu, aby ją wrócić— proś, błagaj skromnemi ustami ucznia téj szkoły, niech zaradzą starsi potrzebie związku między ojcami familij a nauczycialami, niech nam powrócą urzędnika obywatela, tu nie o osobę, ale o rzecz idzie. Szkoła co was wydała, i coby ciągle obywateli wydawać mogła, bez takiego związku, straci powagę, straci energią swoją; nauczyciele zejdą na bakałarzy, w oczach obywateli pedantyzm szkolny zajmie miejsce panującego ducha obywatelskiego, a młodzi nawykną myśléć, że nauki ich, nauczycielom nie zarobiły nawet średniego w towarzystwie uważenia, i mniéj im szacowne się wydadzą. Mam jeszcze w o-

czach ostatnie examina, a tę prawdę już w skutku przed oczyma miałem. Zeszła ta świetność, ta pociecha rodziców, te łzy, co je szczęśliwe wychowanie dzieci z ócz rodziców wyciskały— na zimną obojętność, na suche rozprawy. Nie wiém co później będzie, ale teraz przytomnych wpychałem do sali, aby wejść chcieli. Możesz sobie wyobrazić ile smutnych porównań, ile uwag zakrwawiło serce moje.— Dziecko moje jeszcze młode, szkoła ukochana, gdzie go wychować, wołała na mnie, nim on dorośnie, może i jéj nie stanie; bo co lepszego tu jest opuści ją nie widząc tego szacunku, do którego nawykli.

Gubernator stał u mnie, i był na dni ostatnie; czynił co mógł ze swéj strony, chce brukować miasto, czynnie bardzo w tém postępuje, już się wznoszą stosy kamienia wszędzie, jest podobieństwo, że ta dla wygody publicznéj część tak ważna, złatwioną zostanie.»

W tym liście 1 lipca széroko się rozpisawszy o zmianach jakie w Krzemieńcu po śmierci Czackiego zaraz uczuć się dały, a nad któremi bolał serdecznie Drzewiecki, nie zapomniał dodać poczciwy starzec wzmianki o rycinach do panowania Zygmunta III, o które u różnych się starał.

—«Panu Niemcewiczowi donieś, że *Maryna i Dymitr* ślicznie odrysowane wyjeżdżają do Wiednia, dziś je właśnie do Mniszchów odeszlę.»

Kniaziewicz przyjaciel serdeczny szefa, tego roku bawił u wód w Baden; dowiadujemy się o tém z innego listu: «Kniaziewicz przyjechał tutaj (pisze zdaje się księżna Sapieżyna) i nie więcéj ma wiadomości

o Wpanu jak i ja, tak jest zdrów i wesoły, że trzeba życzyć, aby wody żadnéj mu odmiany nie sprawiły. Powiadał mi, że Radziwiłłowie chcą osiąść na wsi w Czarkowie, zdaje się, że i on sam nie bardzo się od nich oddali; będziesz teraz Wpan miał najlepszych przyjaciół swoich w Krakowskiem, serce jego dzielić się będzie między Krzemieńcem, a Rzecząpospolitą Krakowską. Nasze królestwo nie nabierze prawa do niego tylko w przypadku, gdy zawojuje Wołyń. Pan Jabłonowski, który od dwóch dni przyjechał tutaj, mówił mi, że WP. byłeś na Ukrainie podczas wyjazdu jego, bardzo chwalę to poświęcenie się interessom i życzę, aby było nagrodzono spokojnością.»

Oto jeszcze kilka zajmujących słów, z drugiego listu wkrótce potém pisanego z Baden.

—«Bawi tutaj pan Kniaziewicz pełen zdrowia, zdaje się, że dla zabawy tylko bierze kąpiele, za dwa tygodni jedzie do Karlsbadu, a ztamtąd sam jeszcze nie wie, gdzie ma swe kroki skierować. Codzień jeżdżę po nowych i prześlicznych spacerach, staram się widzieć okolice tutejsze, które są nadzwyczajnéj piękności, chcę oglądać niektóre fabryki i trochę rozpoznać gospodarstwo tutejsze; wiadomości te są zawsze użyteczne, i mogą utworzyć niektóre myśli stosowne do naszego w kraju gospodarstwa. Kniaziewicz i Jabłonowski mają też same widoki, jak się zgromadzamy, rozmowy nasze są dla nas bardzo przyjemnemi. Miałem dawniéj zamiar wydoskonalenia u siebie rolniczego gospodarstwa, lecz nadto wielki ogrom majątku i interessów nie pozwala mi się zatrudniać tym przedmiotem, któryby siedzenie na wsi, bardzo mi zrobiło

przyjemném. Teraz przysłuchuję się tylko rozmaitym projektom osób lepiéj znających odemnie gospodarstwo.»

We wrześniu, Bartłomiéj Giżycki znowu oczekując przybycia Monarchy, i przewidując, że może zechce zwiedzić Krzemieniec, oznajmił o tém Drzewieckiemu, zapraszając zarazem do Żytomierza panią Swiejkowskę i Rzyszczewskę. Już po balu i przejezdzie Cesarza, którym i Giżycki i Drzewiecki się zajmowali, pozostawało mnóstwo rachunków do załatwienia, o których znowu Giżycki odnosił się do szefa właściwym sobie stylem.— Kilka słów tylko z téj missywy wyjmiemy:

—«Odebrawszy dziś dwa listy od JWW. panów Krzemieńczanów kochanych, to jest od grafa Platera i JW. Drzewieckiego, nie piszę osóbnych listów, a w jednym umieszczam co następuje. A naprzód do JW. Platera zanoszę prośbę, aby pisząc do mnie większe litery stawiał, bo on młody śznureczkiem napisane pismo wyczytać może, a ja stary ledwo decyfruję litery jak wołowe oka. *Tandem à force* przypatrywania się zdecyfrowałem, że mi pisze o Cyrjakusie, który na tych dniach pożegnawszy się z Giżyckim wyjeżdża. Lecz cyrkumfibulacya nieznaczna sznureczków, napisana, że jakiś dług winienem Gimnazyum, w roku 1815 i że od tego długu jakiś procent się należy, bardzo mnie zastanawia, bo ja nie pamiętam, cobym był winien, i choć kocham bardzo to Gimnazyum, ale na prośby Czackiego nic dać nie mogłem, bo nie bardzo wiele sam mam. Proszę więc mnie te cyrkumfibulacye objaśnić.»

Księżna Sapieżyna powracająca z Baden, zatrzymała się w Warszawie i pisząc do Drzewieckiego, ten ciekawy kreśli ówczesnych usposobień umysłowych obrazek.

—«W umysłach panuje powszechną chęć podniesienia kraju naszego, i zrównania go z obcemi cywilizowanemi krajami: zatrudniają się rolnictwem, zakładem fabryk, podniesieniem handlu— w tém i ja zasadzam nadzieję moję, dla ulepszenia losu naszego. Uważam, iż nieszczęścia nie były bez dobrego skutku, bo płoche pretensye próżności obróciły się do celu użytecznego; dzisiaj w Warszawie elegantka nie śmie wystąpić z nadto przepysznym ubiorem, ani się sadzić na wykwintne meble, pojazdy, fety, bale; szydzenia publiczności ukarałyby ją za ten nierozsądny przepych; lecz czyta książki, rozprawy literackie i ekonomiją polityczną, w kompanijach sądzi o komedyach, o nowych romansach, rozprawia o rolnictwie, o handlu, administracyi. Będziesz się Wpan śmiał z mego opisania, ale ja zawsze utrzymuję, że lepiéj żeby próżność była obróconą do rzeczy użytecznych, niż do płochych i szkodliwych.»

Oto jeszcze jeden ciekawy listu urywek z Warszawy, w grudniu tegoż roku pisany.

Warszawa d. 6 grudnia 1816 roku.

—«Listy twoje szanowny przyjacielu regularnie mnie dochodzą. Wierz temu, że ja wysoko cenić umiem ten dowód twego przywiązania, lecz chciéj i temu wierzyć, że chociaż nie tak często do ciebie pisuję, równie ciebie jak ty mnie, kocham i szacuję.

«Oddawca listu tego ustnie opowie, co w Warszawie widział i słyszał, ja tylko o sobie wiadomość udzielę. Nikomu się nie prezentowałem....... Ażem sobie powiedział, że wolę być spektatorem jak aktorem, więc to mnie w takiém postawiło położeniu, że się może zupełnie z tego kraju wyprowadzę. Przykre to wprawdzie przedsięwzięcie oddalić się na zawsze od osób, które równie jak życie kochamy, lecz równie jest przykro być wystawionym na prześladowanie tych osób, których stałość moja, pomimo ich wysokich dostojeństw upokarza. O Imperatorze wiem pewno, że powiedział, iż ma dla mnie szacunek, ale to mnie nie obroni od jego zastępców.

«Z listów księżnéj Michałowéj widać, że jest zupełnie szczęśliwa, listy księcia Michała są niezmiernie czułe. Do księżnéj tą razą nie piszę, bo rozumiem, że już musieli wyjechać tu do familii. W Warszawie lub w Radziejowicach na nich czekać będę, żeby się z niémi obrachować i z opieki być zakwitowanym. Gdzie moje siedlisko na starość założę, sam jeszcze nie wiém. O synowcach twoich Kossecki i Koszarski mają czułe staranie i t. d.»

Do historyi Wołynia należy ciakawa postać Bartłomieja, albo jak on sam siebie i drudzy go nazywali, Bartka Giżyckiego. W tym roku już poczęło się sławne jego z hrabią Platerem nieporozumienie, które przeszło w otwartą kłótnię i bój zajadły,— oto list, w którym łatwo poznać i gubernatora i zarody tego sporu:

«Nie ma nieszczęśliwszego człowieka nademnie mimo najszczerszych chęci usłużenia prowincyi, sam jeden nie dam rady, nie podobna, aby w którym zakącie świata więcéj było egoizmu jak na téj ziemi, nikt nie chce nic robić, proszę, łaję, tartassuję, a nareszcie i karzę, wszyscy przyjmują to z flegmą i mówią: a! Polak gubernator, nie ma się czego obawiać.— Między innemi pan Plater wielką gra rolę, od dwóch miesięcy nominowany vice-gubernatorem, nie tylko nie przyjeżdża, ale jeszcze kpi sobie. *D'abord il a commencé à faire le precieux, et la petite bouche,* potém słaby pojechał do Krzemieńca chorować i ztamtąd mi pisze, że się mnie nie boi. Ja nie potrzebuję, aby się mnie bano, ale gdzie idzie o służbę, o dobro publiczne, tam nie wypada facecyj pisać, i dawać racyi, że słaby. Bo kto przejęty jest prawdziwą cnotą, charakterem i nareszcie uczciwością, tem swoje najżywsze skłonności poświęci, dla dobra kraju; a nakoniec i przyjaźńby zagadać powinna w poczciwém sercu. Ja sam jeden rzucony na to morze, już tak jestem skołatany, że mi ani sił, ani zdrowia nie staje, takem się przemienił, że mnie ludzie nie poznają. Od dwóch miesięcy słaby jestem, jednak pracuję i orzeźwiam się jak mogę. Spodziewałem się znaleźć w panu Platerze przyjaciela i pomocnika— próżna nadzieja. Dobre to jest przysłowie: *gardez Vous bien d'un homme qui n'a qu'une seule affaire dans la tête.*

«Kiedy Gimnazyum jak fura siana zajechała w głowę, tam ratunku nie ma, wszystko za nic pójdzie. Krzemieniec, Krzemieniec, i więcéj nic. Bardzo i ja kocham ten Krzemieniec, i gdybym nie był publicznym urzędnikiem zapewnebym się do niego przywiązał, bo

bardzo jest powabny i miły, ale i w Krzemieńcu, o poczciwym człowieku nie zapominają, a przynajmniéj zapomnieć nie powinni. Tam jest miła societa, a tu publiczna usługa.

«Tam proszą— a zostań jeszcze kilka dni, a wieczór jeszcze tam, a ówdzie balik.— Pamiętaj o nas, partykularnych komissów nadają, listów, rekomendacyj, wstawienia się, pasportów, podorożnych. A tymczasem zapominają, że człowiek, który się poświęcił diabli wiedzą za co, wysycha od pracy. Upadam do nóg państwa, nie wiele takich durniów znajdziecie, a ten któregoście najniewinniéj złapali, jak drapnie, to go i piernikiem toruńskim nie zwabicie.

«O egoiści! egoiści! Boh z wami!!

«Czemu Józio poczciwy, który to czuje, i który przewiduje zdaleka, że ja nie wiele będę miał pociechy z tego pana Platera, który podobno jest król wszystkich egoistów— nie przestrzegł mnie piérwéj?— Oj widzę ja, że mnie czeka wielka bieda, ale cóż robić— człowiek jestem i chybiam więcéj może jak drudzy.

d. 2 Stycznia 1817 roku.»

Z poufałych listów księżnéj Sapieżyny we wszystkiém, nawet w projektach dla postanowienia córki radzącéj się przyjaciela, widać jak ściśle dom ten z szefem łączyły stosunki. Z jednego z nich dowiadujemy się, że był projekt wydania księżniczki za księcia Eustachego Sanguszkę... Księżna zapytywała o niego pana Drzewieckiego. W tym samym czasie znać udawał się pan szef do jenerała Kropińskiego w inte-

ressach Krzemienieckich, bo mu ten odpisuje z Worończyna dnia 28 lutego.

—«Co chcesz panie to dopełnię; o wszystkiém, jak chcesz, będę mówił z księciem (Czartoryjskim), bo i przyjacielskie rozkazy wypełnić, i instytut, ale raczéj głowy naczelne instytutu sprostować radbym.»

W czerwcu Drzewiecki tam był w Radzyniu, gdzie się chciał widzić osobiście z księciem Adamem i podać mu memoryał o szkole Krzemienieckiéj, która go tak obchodziła. Zdaje się, że tego dopełnił, w papierach bowiem jest kopija noty jaką miał podać, datowana w Radzyniu 7 czerwca.

Nie możemy pominąć tak zajmującego materyału do historyi téj szkoły.

—«*Środki jakich użył Tadeusz Czacki do przywiązania obywateli Wołynia, Podola i Ukrainy do Instytutu Krzemienieckiego, i co ten Instytut podnieść może.*

—«Wtenczas, gdy Alexander zażądał najpiękniejszéj dla panującego chwały oświecenia kraju swojego, a J. O. W. Ks. mość obróciłeś cnotliwe usiłowania ku podniesieniu zatartéj prawie oświaty w prowincyach dawniéj polskich do rossyjskiego przyłączonych berła, z twego książe natchnienia, szkoła Krzemieniecka założoną została przez znakomitego obywatela, co wprzódy niż do téj był wezwanym posługi, poświęcał się prywatnym pracom spokojność zwracającym jego współobywatelóm, zapomniał o sobie żyjąc dla kraju, a kochał dzieci utworzonéj przez siebie szkoły. jak własną familiją. Korzystał on natenczas prawie z rozpa-

czy rodaków swoich, bo ciągłe nieszczęść krajowych pasmo, zdawało się grozić zagładą, dla najważniejszéj dla każdego obywatela potrzeby, wychowania dziecięcia swojego.

«Zaczynał od prośby, a przy prośbie przekonywał każdego o potrzebie, przerażał okropnością skutków, jeżeli ten cel dopiętym nie będzie. Ofiarujący najmniejszą cząstkę na to ważne założenie, czuł się być stwórcą Instytutu, którego pożytek, chwała nawet, na niego niejako i na potomków spadać się zdawała.

«Oto są przyczyny przywiązania się szczególnego obywateli do téj szkoły, to zostało źródłem wzrastających funduszów, i téj obrony opinii, która w roku 1812 dopomogła Tadeuszowi Czackiemu oprzeć się przeciw złemu tłómaczeniu woli Monarszéj, i ocalenia przeciw usiłowaniom tak silnym miejscowego rządu, i sławy téj szkoły, i tak ważnych miejscowych zakładów, i to jest nakoniec źródło przywiązania, jakie w jéj uczniach panuje dla ulubionego miejsca wychowania swojego.

«Utrzymać te tak ważne zarody przyszłéj dla téj szkoły nadziei, zostawić obywateli w mniemaniu, że to dziecię powszechnéj woli i usiłowań tych prowincyj zarabia na szczególną rządu opiekę, a dać może szlachetnéj emulacyi powód między ustanowieniami, które podniesienie światła, jak i upowszechnienie jego mają na celu. Jest dzieło godne tych znakomitych usiłowań, którym Polska winną będzie swoje z ucywilizowanemi narodami zrównanie, winna jest piérwsze w sercu Aleksandra dla siebie uczucie, a tym przyczynom winna być może następną swoją wielkość.

Te to szczęśliwe marzenia obywatela kochającego ojczyznę swoją, ośmielają mnie myśléć, coby jeszcze było potrzeba, aby szkoła Krzemieniecka została tyle pożyteczną dla naszych prowincyj, ileby nią być powinna, aby wielkim celom J. O. W. Ks. M. odpowiedzić mogła. Zdaje mi się, że zatrzymać ten związek opinij między nią a obywatelami, jest rzecz bardzo dla niéj ważną; może być, że do otrzymania tego byłoby dobrze uformować dozorczą komissyą wybraną z pomiędzy najgodniejszych obywateli tych prowincyj, któréj celem byłoby utrzymanie w całości i urządzanie dóbr i funduszów, wyzyskiwanie wspaniałości obywatelów, nowych onych powiększeń i urządzeniem onych stosownie do woli fundatorów. Administracya bowiem funduszów zostawiona w ręku uczonych, odrywa ich od najważniejszych dla nich celów, zapala żądzę zbiorów, a w oczach mieszkańców, osłabia winne poszanowanie téj tak ważnéj obywatelów klassie, która się dobru współczesnych i następnych pokoleń poświęcając, otrzymywać powinna od wdzięcznego jéj narodu respekt i należyte swych potrzeb opatrzenie.

2. Od lat dziesięciu słyszę o dwóch funduszach, piérwszy JW. Olizara podczaszego koronnego, drugi od JW. hrabiny Platerowéj z domu Rzewuskiéj ofiarowanych na szpital przy szkole Chirurgicznéj wybudować się mający, lecz procent od tych summ płacić się ma od czasu założenia takowego szpitalu. Lat dziesięć procent od kilkukroć sto tysięcy gdyby był pobierany i użyty na budowę szpitalu, byłby już do ukończenia jego dostateczny, szłoby tylko o prawo do rzeczy, to jest, o jakiś mały fundusz do zaczęcia szpi-

talu, z jakiegokolwiek innego funduszu; ten piérwszy uczyniwszy początek, pieniądze się zwrócą, a budowa daléj postępować może.

3. Ufundowanie szkoły chirurgów i Weterynaryi stało się tak ogólném obywateli marzeniem i tak ważną potrzebą, że nie ma najmniejszego zebranego zjazdu, żeby nieuważając nawet jakim porządkiem iść trzeba, aby otrzymać skutek, niepodawano próśb do każdego kto ich chce słuchać— w tym dla nich ulubionym przedmiocie. Mówią ciż obywatele, że Krzemieniec dostarcza katedr na uformowanie umysłów i posunięcie narodowego oświecenia do najwyższego stopnia, a piérwsza społeczności potrzeba mająca codzienny związek ze szczęściem mieszkańców, za którą woła cierpiąca ludzkość, która ma związek z podniesieniem się bytu kraju, przy obmyśleniu ratunku ginącemu co roku dobytkowi rolnika, zapomnianą została.

4. Nauki matematyczne są najważniejszą częścią w jakiéj się wydoskonalić w Krzemieńcu można; zdaje się, że przystosowanie onych ku codziennéj mieszkańców potrzebie i ozdobie kraju, zaświadczyłoby ten wpływ szczęśliwy, jaki ta nauka na cywilizacyi tych prowincyj otrzymać może. JW. Plater z funduszów uzbieranych założył katedrę architektury; dla czego ona upadła, badać nie moją było rzeczą, lecz nie ma mieszkańca tych prowincyj, któryby w tém nie zostawał spodziéwaniu, że Akademia Wileńska nie zniosła téj katedry w innym celu, jak aby uporządkowawszy rzecz stosownie do pożytków kraju i celów tak ważnego zgromadzenia, nazad ją Krzemieńcowi

powróciła. Ale do rysunków topograficznych, te dotąd tak źle idą, że młodzież udająca się w służbę do wojennych polskich Instytutów, tę część nauki w Krzemieńcu odbytą za żadne ma sobie policzoną. W tym roku JW. Olizar i JW. Mniszech dali do dyspozycyi JW. Platera kapitału siedémdziesiąt tysięcy, spodziewam się, że onby go użył na téj katedry ustanowienie.

5. Dotąd największa część młodzieży uczącéj się w Krzemieńcu, są z możniejszych kraju obywateli; korzystają oni z pracy znamienitych nauczycieli i z talentów, które przez niepospolitych ludzi są dawane; przez wychowanie takowéj młodzieży kraj zyskuje na oświacie, lecz idźmy do prawdziwego pożytku. Takowa młodzież wraca do dawnych siedlisk nie znaglona potrzebą użycia talentów, a często nawet i umysłowych nabytków, zostaje ona najczęściéj nieczynną w téj sferze, w któréj ją opinija i majątek pozostawia; tymczasem kraj na próżno oczekuje pożytecznych artystów, oczekuje ludzi, którychby byt osobisty był związany z ciągłą krajową usługą, którzyby się rozradzali niosąc światło w professyą rzemieślników, przystosowując je do kunsztów i ułatwiając przedmiot najważniejszy cywilizacyi narodu. Nie między możnemi znajdziemy nauczyciela, co oświeci wieśniaka, chirurga co go ocali, mechanika co jego rolnicze złatwi prace, architekta co kraj upiększy i wygody jego zwiększy, malarza i snycerza co zagrzebane u nas podniesie kunszta. Klasa ubogich ludzi zarabia, aby dla niéj najwięcéj ciągnąć pożytków z tych tak ważnych uczonych zakładów od tych znakomitych nauczy-

cieli i artystów, których dobroczynna J. O. Ks. Mości opieka sprowadziła do Krzemieńca.

6. Licznéj i dobrze opatrzonéj Bursy dla ludzi ubogich, oczekują prowincye nasze za największe dobrodziejstwo jakie nam książę uczynić możesz; w niéj to zebrana massa młodzieży, którą ubóstwo rzuca na łono narodowéj wspaniałości, od żadnych domowych nie zależąca stosunków, użyta do różnych przedmiotów w miarę postrzeżonych w nich celniejszych przymiotów, jedynie raz przyjętemu poświęcona przedsięwzięciu, przypomni ojczyznie ową sławną krakowską Bursę i odpowie celom takiego jak JO. W. Ks. D. założyciela. Przechodzi mą możność i doświadczenie, abym mówił o urządzeniu onéj, lecz jeżeli Krzemieniec jest najlepszą w naszych prowincyach szkołą, przy najlepszéj zapewne szkole te dzieci kraju wychowane na Jego usługę byćby powinni.

7. Idzie zatém o fundusze. Nie jest zamkniętą zapewne i hojność obywateli tych prowincyj ku tak świętemu przeznaczeniu. Daleki jestem od ducha prowincyonalizmu, lecz radbym porównał powinności obywatela z uczuciami poczciwego człowieka: naprzód trzeba być sprawiedliwym dla swoich, niżli szlachetnym być przystoi. Te prowincye niosąc z ukontentowaniem fundusze swoje powszechnemu oświeceniu narodu, widziałyby z pociechą ułatwione te tak ważne miejscowe zakłady, któreby nas postawiły w stanie stać się krajowi użytecznemi. A kiedy jest losem tych prowincyj, że wspaniałość współczesnych i przodków daje im do tego potrzebne środki w massie ogólnéj ich funduszów, nie czułyżby się być opuszczone od opieki

dobroczynnéj W. Ks. mości, gdybyś pożyteczne dla nich widoki tak z dobrem publiczném zgodne, nie wziął za cel uwagi i usiłowań swoich. Są to myśli prywatnego człowieka, oparte jednak na mniemaniu wielu obywatelów tych prowincyj, przynoszę je JO. W. Ks. M. z respektem jakim każdy mieszkaniec prowincyj naszych jest przejęty dla tego, któremu oświecenie dziatek naszych winniśmy, i gdy je odrzucisz nie przestanę być równie szczęśliwy, dziękując Opatrzności, że nas Twoim powierzyła staraniom, powiem sobie. Obok dobroczynnych jego dla krajów ogólnych widoków, żądania te upaść musiały.

JO. W. Ks. dobrodzieja najobowiązańszy i najniższy sługa, obywatel powiatu Krzemienieckiego.

Józef Drzewiecki.

Radzyń d. 7 czerwca 1817 roku.«

Nie potrzeba się rozwodzić nad dobremi chęciami człowieka, który taką notę jedynie przez gorliwość swą, nie będąc ku temu obowiązany niczem prócz niéj podawał. Szlachetne jego chęci, z każdego widne są słowa, uczucie potrzeb szkoły niezmiernie trafne, uwagi sprawiedliwe, umiarkowanie wielkie, budzą ku niemu szacunek. Ciągle to wreszcie niespokojne, niemal gorączkowe zajęcie się dobrem pospolitém, wybitne w każdéj czynności, czyni Drzewieckiego jednym z najznakomitszych typów swojego czasu. Dziś już takich ludzi nie znaleźć, każdy myśli o sobie tylko, a na Opatrzność zdaje resztę, bo z tém najwygodniéj.

Z tejże daty jest list do Skibickiego pisany:

—»Rozszerzać światło, powiada w nim, to duch

panujący tutaj, a hasło i cel usiłowań poczciwych Krzemienczanów.— Proszę cię— powiadał mi książę, iż jest wyborny sztycharz w Warszawie, co sztychuje na kamieniu w miejscu blachy, i że ten kamień jest krajowy; zmiłuj się tego kamienia przyszlij płyt z parę, będziesz ojcem Krzemienieckiego sztycharstwa.

Były to początki litografii, którą już chciał u siebie mieć zaprowadzoną Drzewiecki i starał się zaraz gorliwie o to. Około 10 czerwca opuścił Radzyn, a pełne mając i tu serce, i głowę swego ukochanego Krzemieńca, tak pisze jeszcze do pana Skibickiego: «Przeznaczony jestem do uporządkowania i wybrukowania Krzemieńca, chciałbym w téj drobnéj posłudze dać dowód jak się chcę przyłożyć do dobra miejsca tego. Bruk położyć, to skutek możności i czasu, lecz radbym powprowadzać różne ustanowienia, któreby prawdziwie ku podniesieniu miasta tego służyć mogły i dały mu miasteczka rządnego postać. Uważam, że po tak dużym przepływie cudzoziemców i pożytecznéj dla krajowców ich wędrowce, wszystkie ustanowienia w Królestwie Polskiém są zasadzone na doświadczeniu własnem i zręcznem urządzeń zagranicznych przystosowaniu. Warszawa oprócz tego przeszła przez rząd pruski znamienity dobrém miast urządzeniem. Chciałbym się w niéj nauczyć najlepiéj, jakie należałoby wziąć miary porządkowe do podniesienia miasta potrzebne. Proszę twéj łaski dopomóż mi w tém, i każ skopiować rozporządzenia. 1. Co się tycze urządzenia cechów, gdzie i jakie prawidła są do nich i ich Statuta. 2. Jakie są prawidła utrzymania bruku. 3. Jakie są środki dla umiarkowania wartości mięsa

i chleba, i jaką do tego przystępują drogą. 4. Jakich zachęt i jakich prawideł używają dla sprowadzenia i utrzymania zagranicznych rzemieślników.... Całą moją usługę ofiaruję temu miejscu jako hołd mu winny za wychowanie tylu godnych osób naszéj familij, a dla mnie tak drogiego jak ty przyjaciela.

—«Co do Towarzystwa dobroczynności i zachęceń tośmy zawiązali w czasie Wielkonocnym; nie posyłam ci statutu, bo jego exystencya zacznie się od potwierdzenia Monarchy.— Plater go w Petersburgu prezentować będzie....

—«Położenie nasze i Warszawy jest różne. Warszawa potrzebowała oczyścić się z ubóstwa, u nas w kraju rolniczym ubóstwo w małem miasteczku, próżniactwa tylko jest świadectwem. Gubernija w ogólności powiedziała sobie, że odpowiada każdy obywatel jeśli ubogi jego żebrze nie w swojéj wsi jedynie, od któréj żywiony być powinien, a ludność tak mała, jak Krzemieńca nie powinna się wyłamywać z tak ważnego ustanowienia. Wzięliśmy zatém za przedmiot fundowanie i uposażenie szpitalów, fundowanie Burs dla nauki uczniów ubogich, podnoszenie przez wysyłanie w miejsca do wydoskonalenia się sposobne, osób, coby odkryły jakiś celniejszy talent w kunsztach, lub sposobności do nauk okazały.

«Ksiądz Cieciszewski i pani Branicka wezwani za prezydentów, a wszystko co nasze prowincye mają najdostojniejszego i najbogatszego za członków, reszta organizacyi zostawiona zebraniu się piérwszemu po zatwierdzeniu Monarchy, a tymczasem Plater i Drzewiecki nominowani sekretarzami, do utrzymania ko-

respondencyi i przygotowania projektów do następnego zgromadzenia.— Miejsce zgromadzenia się piérwszy raz Łuck zapewne będzie dla słabości biskupa, aby go nie trudzić; następnie Krzemieniec stałym siedliskiem.»

Daléj obszerniéj o tem jeszcze, co się podobno powierzone Platerowi rozchwiało, a w końcu. «Jest tu (w Radzyniu) od dni dwóch książę Czartoryjski, dzisiaj był minister Matusewicz, z księciem wiele o Krzemieńcu mówiłem, nie śmiałem sam mówić o tobie, nie wiedząc o co mu mówić mogę, lecz prosiłem księżnéj, aby mu nagadała i t. d.... Książe po jutrze ma wyjechać, ja wyjadę dnia tego samego.... ma się widzić z Kropińskim za Brześciem i t. d.»

Widać, że i księżnéj Sapieżynie powierzył pan szef starania o różne dla Krzemieńca pożyteczne wypisy, bo i ona mu o zebraniu ich donosi z Warszawy (28 czerwca). «Wyszukałam dla pana dzieła o szkołach naszego królestwa, i dzieła praw. Pan Franciszek kazał przepisać rozmaite rozrządzenia administracyjne— powiesz mi pan czy jesteś kontent z naszych zbiorów i czy jeszcze czego więcéj żądasz, bardzo mi będzie miło, uskutecznić jego życzenia.»

22 lipca z Puław odebrał szef wiadomość o urodzeniu księcia Witolda, (w d. 6 t. m.),— a zaledwie z powrótem do domu, w sierpniu, już go Giżycki wzywał na przejazd W. księcia i przyjęcie go z Ledóchowskim w Dubnie, «a zarazem polecał mu księgę ofiar Siostr Miłosierdzia Żytomiérskich, bo wszystko musiało się opierać o niego.

Tymczasem z Radzynia za nim gonił list donoszący mu jak tam czas przepędzano:— «Krzemieniec już

się szczyci mieć go za marszałka; nie wiem czyli nie więcéj trzeba winszować Krzemieńcowi niżeli Wpanu samemu— Powinszowanie moje JW. panu zatrzymuję do czasu skończenia urzędu; wtenczas dopiéro, gdy się praca kończy i kiedy się widzi użytek z niéj dla drugich, serce używa przyjemnéj rozkoszy.

Od dni kilku bawi u mnie w Radzyniu pan Kropiński: jakże jego towarzystwo jest miłe! jego wesołość słodka nieznacznie ujmuje, zdaje się, że udziela swego dowcipu tym, którzy z nim rozmawiają, i każdy nabiéra z nim rozumu. W dzień rozmawiamy, a wieczór czyta nam niektóre wiersze swoje, pełne smaku, dowcipu, wesołości i czułości. Bardzoby było przyjemnie pana Kropińskiego mieć za sąsiada— wiele z nim rozmawialiśmy o Wpanu, życzeniemby było dla mnie odebrać Wpaństwa obudwóch Wołyniowi i umieścić niedaleko Radzynia.»

Już z Drezna dokąd się wyniósł, w sierpniu zgłasza się do Drzewieckiego listem jenerał Kniaziewicz.

«Szanowny przyjacielu!

«List twój przez pana Sobańskiego wręczony, z ukontentowaniem odebrałem; na każdy list poprzedzający odpisałem przez różne osoby przejeżdżające przez Drezno, a teraźniejszy odbierzesz przez panią Swiejkowskę, która mnie zaręcza, że go tobie sama w ręce odda.

«Z ukontentowaniem się dowiaduję, że się tobie szanowny przyjacielu dobrze powodzi, że Karolek i Helenka zdrowi, i że już zaczynasz używać téj pociechy, która szczęście domowe stanowi, na starość, kiedy komu nieba dobre dzieci dają. Nie dziwuję się by-

najmniéj temu, że dusza twoja czynna z energiją się brukiem Krzemienieckim zajmuje, któżby nie chciał należeć do téj budowli, któréj sławny Czacki fundamenta założył?

«Darujesz szanowny przyjacielu, żem komiss twój nie wypełnił, tyczący się artykułu do gazet zagranicznych; wstrzymała mnie od tego następująca uwaga. Ofiara pana Lernet'a jest wprawdzie znakomita, lecz za to wynagrodzony, jeśli w tem chluby szuka, gdyż czyn ten narodowi polskiemu przez polskie gazety znany, a i order dowodzi, że Imperator jego ofiarę ocenić umiał. Chciawszy zaś podać artykuł cały do zagranicznych gazet, którym nie jest wiadomo jakim sposobem ten tak piękny instytut Krzemieniecki swój wziął początek; które nie wiedzą, że większa część obywateli prowincyi tamtejszéj, w miarę każdego możności, ogromne fundusze na ten instytut złożyła— Lernetowi całą chwałę przypisałyby. Mnie się zdaje, że mówiąc w papierach zagranicznych o Krzemieńcu, imie tylko Czackiego wspominać się godzi, jako jedynego twórcy Krzemienieckiego Gimnazyum i chętne poświęcenie Polaków w ogólności.

«O sobie donoszę, że zdrowie moje jest teraz tak dobre jak dawno nie pamiętam, a to skutkiem jest wód Karlsbadzkich. Miasto Drezno ma codziennie więcéj powabu dla mnie; tu zapewne resztę dni życia zakończę. Za dni kilka wyjeżdżam, żeby część Niemiec między Elbą i Renem zwiedzić, w téj podróży zabawię do końca oktobra, zimę w Dreźnie. Księżna Michałowa jest teraz w Poznaniu, zimę ma przepędzać w Berlinie, gdzie ją za parę niedziel odwiedzę.

«Żałuję księżnę,.... a szczególniéj księżniczkę,.... że się dały wplątać w taki pasztet i t. d.

Kolonija Polaków w Dreznie codziennie się pomnaża: z Wołynia i Podola mamy państwa Jałowieckich, państwa Raciborowskich, księcia Ludwika Czetwertyńskiego i księcia Dymitra z żoną i córkami. Każdy kto tylko tu przyjeżdża naukom się oddaje i t. d.

«Do wód Karlsbadzkich każdego roku coraz więcéj Polaków przybywa, prawie wszyscy kontenci z kuracyi powracają, rozumiem, że i tobie szanowny przyjacielu wody te bardzoby posłużyły. Jeżeli się na tę podróż zdecydujesz, to mnie dwojaką pociechę przyniesie, ciebie tamże uściskać i widzieć przyjaciela zdrowym, którego jak własne życie kocham.

Kniaziewicz.

z Drezna 24 sierpnia 1817 roku.»

W październiku z Worończyna zgłasza się do szefa Kropiński, kilką słowami:— «skarżę ci się, żem słaby na bok od kilku niedziel: jak się wy tam macie? co robisz? co zrobiłeś? napisz kiedy?» Później nieco w listopadzie (28) znowu pisze do Drzewieckiego: «Stokrotne ci dzięki panie za wiadomość tak dobrą tak pomyślną? (?)....

«Słyszę, że formujesz towarzystwo muzyczne, chętnie do niego należeć pragnę. Jeśli cokolwiek bok mi ulży i śnieg ziemię przysypie, przylecę do Krzemieńca dla uściskania przyjaciela i podziękowania wszystkim, co się tyle interessowali księciem Adamem i mną łaskawie.»

Historya, o któréj tu tak pomyślną sztafetą przy-

słano wiadomość, była między księciem Adamem a Pacem,.... którzy skutkiem dawniejszego zajścia, pojedynkować się z sobą mieli. Wiele ona naówczas robiła hałasu.

—«Miałem już, dodaje Kropiński w innym liście, dniem przed twoją sztafetą wiadomość o aresztowaniu Paca, i że obie strony na odpowiedź z Peterzburga czekają, ale o zgodzie ani wzmianki, boby o téj książę Adam sztafetą mnie uwiadomił; milczenie jego nawet jest skutkiem, że nie masz zgody, a może i jéj nadziei. Ja ufam w Bogu i w przewłoce, która może upamięta Paca.»

Tymczasem w Krzemieńcu zabierano się do uroczystego obchodu żałobnego za Kościuszkę. Drzewiecki naturalnie przewodniczył temu, piérwszą myśl podał, i układał jéj wykonanie. Wzywał on jenerała Kropińskiego do uczestniczenia w obrzędzie i mienia mowy, na co mu w lutym odpisuje, autor Adolfa i Julii.

—«Tak jak jestem poczciwym, tak szczérze chciałem i mojemu sercu dogodzić i przyjaciela żądaniu mówiąc na exekwijach za Kościuszkę o jego cnotach, miłości kraju, i całkowitem dla niego o sobie zapomnieniu. Już miałem napisaną mowę, ale czas krótki, który mi nie wystarczyłby nawet do przyjechania na ten akt i tysiączne inne moje i cudze interessa pozbawiły mnie prawdziwego ukontentowania. Czemuż przez Skibickę nie odpowiedziałeś na podany ci mój projekt! czemuś mnie wprzód nie wezwał? Ale stało się.— Jak tylko ułatwię się z Puchalskim, który do Warszawy jedzie, a którego co godzina się tu spodziewam, tak natychmiast przyjadę do was, przyjadę do przyjaciela, któremu i za przyjaźń i za przyjazne wyrazy listu jego wdzięcznym zawsze będę, i któremu w wzajemnéj przyjaźni zawsze dotrwam. Nie uwierzysz z jaką niecierpliwością oczekuję listów z Warszawy; z jaką ciekawością wyglądam tego Sejmu, który, ile mnie się zdaje, będzie miał wielki wpływ (może na poźniéj) do wielu odmian u nas i w Europie i t. d.

«Jak się ten smutny akt odbył? a tu co się w Żytomierzu porobiło? czy będziesz ciągle w Krzemieńcu? czy zabawi jeszcze Wielhorska? wszystko jabym to rad wiedział. Biletu na członka muzycznego nie przyjąłem, bo nie wiem czy się wam zdam do tego, ani też jaki jest cel towarzystwa. Odkładam to do widzenia się z tobą.

«Pisałem najgoręcéj do księcia Adama prosząc go, aby mógł być wtedy na Wołyniu, gdy Cesarz będzie. Ze wszech miar dobrzeby to było, ale wątpię, aby on wtedy mógł być....»

Jak się obchód żałobny odbył, po części nas uwiadomi list Drzewieckiego do Skibickiego pisany, w którym wszakże opisu szczegółowego braknie.

—«Posyłam ci opisanie dnia obchodu Kościuszki, który tu był dopełniony dnia 28 lutego, prosząc cię, abyś zalecił umieścić w gazecie Warszawskiéj, jeżeli jeszcze umieszczonem nie było. Nie uwierzysz z jaką się to odbyło wspaniałością, z jak znamienitych osób publiczność złożoną była, jak czysty duch miłości cnoty skromnéj, a krajowi pożytecznéj zdawał się zstępować od cieniów bohatera do serc zebranych współobywateli jego, jak szła jałmużna z ochotą, jak jéj użycie nastąpiło przystojne, jak to dobrze zakończyło

dni rozrywki. Z pociechą donoszę ci o tém i każdemu Krzemieńczaninowi, bo to był najlepszy świadek dobrego ducha jaki zajmuje prowincye nasze, a w naszém miasteczku zdaje się mieć ognisko. Teatr towarzyski dwie dał nam reprezentacye, a bardziéj dwie próby dobrego gustu i znajomości osoby grające okazały. Jak też grała Swiejkowska w francuzkim, jak Julka Czacka spełniła swą rolę, jak Anusia Karwicka okrasiła pięknością. W polskim Czarnecka zdawała się zapewniać scenę polską, żeby ją wzniosła, gdyby to jéj zostało przeznaczeniem. Jak grali Olizar, Zbijewski i Czaccy, jakie narodowość sceny na publiczności uczyniła wrażenie, a ta publiczność złożona prawie cała z osób którym najlepsze Europejskie sceny obcemi już nie były— przecież zupełnie odchodziła kontenta. Piérwszą reprezentacyą dano *gratis*, druga służyła na wsparcie nieszczęśliwych i sto trzydzieści dukatów uczyniła biednym, a jak dobrze była użytą! Chciałbym mieć cię świadkiem, a do pociechy jakąbyśmy mieli z przytomności twojéj, dołączyć i tę, jakąby na twéj poczciwéj widać było twarzy. W ten moment pan Rzyszczewski był u mnie, kazał mi cię upewnić, że ukończy w tych dniach zupełnie organizacyą Towarzystwa, i przeszle ci, abyś ją księciu przedstawił, ponieważ w wyborze osób staramy się być trudni, dotąd nie idzie to z wielkim popędem, ale idzie jednak dobrze....»

Dochód z tych przedstawień przesłany został księciu biskupowi Cieciszewskiemu, który następnym listem Drzewieckiemu podziękował.

«Z niewymówną pociechą miałem honor odebrać

razem dwa listy JW. pana dobrodzieja, w których czytałem najprzyjemniejsze i najmilsze doniesienie, iż szanowni obywatele z wielu gubernij, na obchód żałobny wielkiego w dziejach świata bohatera Tadeusza Kościuszki, za przewodnictwem jego w Krzemieńcu zebrani, oddając cześć prawdziwéj zasłudze i dowodząc ducha narodowego, który ożywia cnotliwe serca i zajmuje ich umysły, zrobili znaczną jałmużnę dla wsparcia i pocieszenia cierpiącéj ludzkości. Część znaczna rzeczonéj jałmużny na moje ręce przesłana, a na dniu wczorajszym odebrana, użyta będzie podług najświątobliwszych chęci tego zacnego obywatelstwa.

«Jakoż JW. panna starościanka Polanowska odebrała już przeznaczone dla ubogich sierot pod opieką jéj będących cz. zł. 20 i równie kwota cz. zł. 50 rozdaną zostanie na dobroczynne uczynki i opatrzenia miejscowego ubóstwa, a szczególniéj wdów nieszczęśliwych i sierot potrzebujących wsparcią. Szczęśliwy powiat Krzemieniecki, że w osobie JW. pana dobrodzieja ma tak szanownego urzędnika, który dni swojego urzędowania uświetniasz rzadkiemi cnotami odnawiającemi pamięć miłą przodków naszych, pełnych wspaniałości i dobroczynności.

«Przyjmij JW. pan dobrodziéj hołd ten należny cnotom swoim, i racz być tłómaczem wdzięczności i uszanowania mojego dla czcigodnych obywatelów naszych, zaszczycających mnie łaską i ufnością swoją: to zaś oboje mam honor szczególniéj oświadczyć JW. panu dobrodziejowi, przy złożeniu mu najczulszego podziękowania za przysłane mi programa dnia tak pamiętnego, w którym tak łaskawie wspomniany zostałem. Winienem

to wspomnienie JW. pana dobrodzieja łaskawéj dla mnie przyjaźni, któréj mnie na zawsze oddając, mam honor być z wysokiém upoważeniem JW. pana dobrodzieja najniższym sługą. *K. Cieciszewski B. Ł. Z.*
dnia 16 marca 1818 r. Łuck.»

Sprawa pojedynkowa z panem Pacem nie była jeszcze ukończona; osoba, którą to z blizka obchodziło, tak o niéj panu Drzewieckiemu donosi w lutym 1818 roku. «Nie wiem co los zdarzy z nami, bo żadnych rozsądnych mniemań nie można czynić. Wszystkie prawa honoru, wszystkie prawidła rozsądku są obalone przed tworem dziwacznym, który łączy w sobie dumę, głupstwo, złość, upor, i niestałość.

«I cel tego człowieka i działania jego wszystko jest zagadką, chce się bić, a kiedy mu ofiarują się bić, nie przyjmuje; chce się zgodzić, a kiedy mu ofiarują pośrednictwo najznakomitszych wojskowych, krewnych i przyjaciół jego, odrzuca wszelkie układy, bawi się tylko ciemném i skrytém szkalowaniem, rozsiewaniem bajek, pisaniem listów. Powszechném mniemaniem militarnych, którzy znają ten spór, jest, że nie ma żadnéj przyczyny honorowéj, przymuszającéj do pojedynku, i że z honorem całą rzecz można ugodzić dla obódwóch stron. Jenerałowie Grabowski, Staś Potocki, i Mokronowski, najznakomitsze teraz osoby w Warszawie i wojskowości, chcieli ułożyć ten interess, lecz dziwoląg odrzucił pośrednictwo słusznych ludzi, wyjechał i tylko szkalujące listy pisze... Takie dziwaczne postępowanie wzbudza zadziwienie i pogardę. Sądzę, że dla dogodzenia głupiéj dumie, będzie czekał,

żeby aż N. pan godził go. Nie można wiedzieć, jaki wystrzał wyleci z takiego serca i z takiéj głowy.

«Ja mniemam, że osoby nieprzyjazne zięciowi memu, zręcznie pod ręką podburzają tego człowieka, który sam nie wie, że się stał instrumentem tych, którzy chcą wytępić co jest cnotliwego....

«Bardzo będę Wpanu wdzięczną za przysłanie mi książeczki o magnetyzmie, mamy i tu jedną śpiącą-widzącą, lecz nie wiele rzeczy ciekawych wyjawia. Żal czuję, kiedy mi Wpan wspominasz o Krzemieńcu żeśmy tego roku nie byli tam, przedsięwzięcie było stałe, wszystkie przygotowania zrobione do podróży, nieszczęśliwe zatargi z panem Pacem wstrzymały nas. Zięć mój bardzo żałuje, że nie był w Krzemieńcu, dla jego serca byłoby bardzo przyjemnie, gdyby widział, że go kochają i sprawiedliwość mu oddają. (27 Lutego 1818 r. w Warszawie).— W marcu jakoś chorował tego roku Drzewiecki, może ze znużenia, gdyż go jako urzędnika wysłano z przykrą missyą do śledzenia jakichś nadużyć w Radziwiłłowie— w czerwcu spodziewano się księcia Czartoryjskiego, i Giżycki wezwany, tak odpisywał szefowi, swoim stylem i zwyczajem.:

—«Trzy listy odebrawszy o przybyciu księcia, nie wiem jak się decydować: od Kropińskiego 30 maja, że za 10 dni książę do Worończyna spodziewany, gdzie kilka dni zabawi, a potém w Krzemieńcu będzie; od ciebie, że na 8go oczekujecie, a od Niemcewicza 10 czerwca, także z Worończyna, w którym mi nic o księciu nie donosi. A że nie raz już ta bytność obie-

cywana chybiła, więcem ja się wstrzymał, czy nie będę miał lepszéj pewności, i dla tego chyba 18 junii do was przyjadę.

«Boję się mocno, żebym Katyliny, (tak nazywał Giżycki hrabiego Platera) nie zastał, i nie był molestowany, tak jak w Żytomiérzu, abym się z tym prałatem godził. Naprzód ja się z nim nie kłócę, cierpię biedę tyle ile mi natura pozwoliła, sam się gryzę, co nikomu nie szkodzi, lecz wyżéj z przedstawieniem nie wchodzę, boby już dotąd inny był skutek, jak ten, co z donosów czyli z delacyi pochodzi, i jegomość dawnoby już był pod sądem, gdybym tylko w piórko dmuchnął. Kiedym dotąd tego nie zrobił, kiedy wszystkie dolegliwości, które mi P. Plater naniosł, z największą cierpliwością znoszę, robię największą ofiarę z siebie, zostawcież mnie przynajmniéj w wolności przyciskania do serca tego, kogo ja szanować mogę, i niewymagajcie odemnie tego, co jest przeciwko naturze mojéj. Do ciebie się uciekam godny i szanowny przyjacielu, żebyś mógł tak to zręcznie ułożyć, żebym ja się na obiedzie, albo gdzie na schadzce z tym człowiekiem nie zdybał, a tymczasem broń mnie od inpetycyj wszelkich przed księciem. Ja nic nie chcę, nie żądam, i o nic nie dbam tylko o dobrą opiniją osób cnotliwych, dam tego wkrótce dowody niezawodne. Umartwienia, które ponoszę, wskróś mnie przeszywają, najnieszczęśliwszy człowiek jestem, i tém więcéj nad tém boleję, że najniewinniéj cierpię. Nowe umartwienie pokażę ci i sam osądzisz czy już ja daléj wytrzymać mogę.

(Żytomiérz dnia 12 czerwca).»

W lipcu tegoż roku książę Adam i Niemcewicz odwiedzili Krzemieniec, jak się z innego listu Drzewieckiego dowiadujemy.

Giżycki zawsze unikał Katyliny, który we wrześniu przebywał w Dąbrowicy, spór ich co raz się rozjątrzał, a zgoda stawała niepodobieństwem.

Z grudnia mamy jeszcze kilka słów jenerała Kropińskiego (12 xbra 1818): «Przez jadącego Chodakowskiego muszę choć kilka słów napisać do milczącego przyjaciela. Czy się nie gniewasz na wzór twoich sąsiadek, żem się nie zatrzymał w Krzemieńcu? choć tyle miałem powodów największego pośpiechu. Nie spodziewam się jednak, abyś z podobnych przyczyn o zmianę lub oziębłość przyjaźni mnie posądzał. Nie wiem, kiedy się zobaczymy, bo przyznaję ci się, że tracę ochotę do Krzemieńca.

«Co masz o Cesarzu? czy będzie w Krzemieńcu donieś, ja myślę, że się moment wielkich odmian zbliża...... Ściskam szanownego przyjaciela i opiekuna czynnego Krzemieńca. Vale et ama. *Kropiński.*»

Nie zmordowany w pracy Drzewiecki ciągnął daléj w 1819 uporządkowania ukochanego Krzemieńca. «W ten moment, (pisze w maju) walą sklepiki Krzemienieckie, które ogniem groziły Lyceum; wypracowawszy tę ruinę, na pociechę skłopotanéj myśli zamknąłem się, aby długi list do ciebie napisać. My tu jak dzieci natury walczymy z chatami i szałaszami, a co gorzéj z nieszczerą od nich wiadomością mieszkańców i opowiadamy pożytki, których oni nie rozumieją, bez którychby się obeszli, a dla mieszkańców, którzy być

mają, kłócimy się z temi, którzy są teraz. Oni tu na mnie patrzą, jak na zdobywcę co niszczy, i któremu uledz trzeba, gdy go pokonać nie można, lecz spodziewam się, że choć mnie przeklinają teraz, oswoją się z porządkiem i późniéj mi złorzeczyć nie będą. Słuchajmy cierpliwie, cieszmy się nadzieją, a powinność wzywa, róbmy zło byle dla dobrego. Po dwóch latach walki z okupującemi się żydami, wygnałem nakoniec ich brudne jurty i walą ich dziś bez litości. Oczyszczę zatém część niższą rynku i brukuję natychmiast, lecz oto mniejsza. Brukujemy i rozszérzamy ulice, budują się niezmiernie, choć jeszcze nie bardzo dobrze. Oczekujemy zatwierdzenia planu Krzemieńca, w lat kilka już będzie miastem, a teraz jest wołyńskiém lyceum. To słowo jak elektryczna iskra ożywiło publicznego ducha; wychowywać troskliwie dzieci jest hasłem powszechném obywateli, a mieszkać w Krzemieńcu chęcią wielkiéj ilości familij Wołynia i Podola. Więc pod stopami suchéj i skalistéj góry, na miejscu, na które handel poglądałby ze wstrętem, w którém rzemiosła w pierwiastkowym zostały stanie, dane schronienie naukom czarodziejską siłą wznosi miasto, sprowadza najcelniejszych obywateli, a handlowi i rzemiosłom otwiera obszerne pole, i to w biegu tak krótkim lat, bez prostego wpływu rządu......» Wiesz, że szkółki parafialne są pod bezpośrednim wpływem marszałków, ja chciałbym w tym powiecie, obrócić je w szkółki lankastra, rzucę się na wszystkie strony, aby można to dobrze zrobić. Lecz Warszawa jest nasza matka, radbym wiedzieć na jakiéj stopie jest u was ten tak szczęśliwy nauczania

środek? czy Rząd już pracuje nad jego rozszerzeniem? doświadczenie czy już usprawiedliwiło łożone starania! Jakby można dostać kogo, coby u nas podobne urządzić był w stanie? Zacząłbym od zrobienia piérwszéj w Krzemieńcu, coby było najłatwiéj.........

Pisałeś mi mój drogi, że nam wyrobić możesz do sali zebrania się szlacheckiego, portrety księcia Namiestnika i jenerała Kościuszki, wykonaj obietnicę twoją, pan Glücksberg przyrzekł mi je wykupić i dostawić.....

«Cóż to za massa osób dobrego towarzystwa napełniała Krzemieniec w ubiegłym karnawale! lecz świetniejsze jeszcze obietnice na przyszłą zimę czynić sobie możemy, może też i ty nas odwiedzić zechcesz?.. Na lato nas opuszczają wszyscy prawie, pani Czacka, księżna Sapieżyna wyjeżdżają do wód. Malczewscy do domu dla córki przybycia, Pius do wód za granicę.»

W sierpniu tegoż roku B. Giżycki nakłaniał obywateli, aby podrady dla wojska sami na siebie wzięli, co podobno niefortunnemi skończyło się późniéj stratami.

Drzewiecki dnia 1 września wprowadzał na dyrektorstwo Lyceum, Aloizego Felińskiego. «Dnia 1 7bra, wprowadzenia autora Barbary na dyrektora naszego (pisze), chciałbym cię mieć świadkiem— niżeli się ten dzień zaczął, przyjaciel twój w trwodze noc przepędził. Ledwo strudzony przygotowaniem świetności dniowi temu, wróciłem do domu, kiedy wszedł Feliński i Wyleżyński z rozkazem, abym nazajutrz mówił. Mówić obok Osińskiego, obok Felińskiego, mówić mnie, com się nigdy na to publicznie nie odwa-

żał, był to przestrach dla mnie.» Z pokorą ci posyłam com tam mówił: Osiński przemawiał czule i logicznie z pamięci i zachwycał myśli doborem. Feliński bał się być poetą: w zwięzłych peryodach z surowością urzędnika karcił wady, opowiadał cnoty, i złożył porękę w ręku Boga u ołtarza tym na siebie włożonym obowiązkiem, które obejmował. Między te dwa ognie wzięto mnie z obywatelskiem przymówieniem się, bez wprawy i czasu dość długiego, aby przemyć to można com powiedzieć zamyślał. Opowiadał Wyleżyński zwięzle, logicznie i dokładnie historyą Krzemieńca pod względem wychowania, Podhorodeński celebrował. Był u mnie mnogi obiad, bo do dwóchset osób; był na nim Bogusławski chodząca historya przywiązania do kraju w sercach naszych. W ciągu obiadu przypadkiem muzyka zagrała aryą: *Nie ci mnie dają, którzy są etc.* Przeczuto autora, oklaski i łzy towarzyszyły publicznemu toastowi. Łza czułości widziana była w oku ojca polskiéj sceny i tak dobrego obywatela, który nas dni parę jak opuścił, ma jednak powrócić tutaj. Potém był bal równie ludny, jak wesoły, a współobywatele wołynianie pięknym transparentem uwieńczyli dzień poświęcony autorowi Barbary i otwarcia nauk Lyceum Wołyńskiego. Teraz pracujemy wszyscy, każdy w swojéj części: ja brukuję, wydobywam domy, odkopuję żyły marmuru wielu kolorów, pięknego gatunku, który zdawał się leżeć w głębi gór naszych, aby się doczekać znakomitych ludzi, dla którychby go poświęcić można.... Zdawałoby się, że jesteś za czasów Czackiego, tak się wszystko podnosi i pragnie wydoskonalenia!

«Wpływ dobroczynny i opieka kuratora otrzymują najświetniejsze skutki, a ta opieka jest prawdziwie ojcowska, prawdziwie obywatelska dla nas, niech Bóg strzeże szczęścia i zdrowia jego i domu całego.»

«W ostatnim liście z tego roku jeszcze kilka wiadomości o Krzemieńcu. «Nasze życie idzie tu zawsze jednym biegiem, tak, że oprócz powiększającéj się budowy, zdaje się, że nasz pobyt w każdym roku na jedną formę jest odlany. Byt Felińskiego ożywił część naukową, a tém bardziéj literaturę— widoczny jest postęp, nie ma posiedzenia, żebyśmy tu ciebie nie wspominali.»

Ale nie długo cieszono się Felińskim· z jednego, z mnogich 1820 roku listów B. Giżyckiego, z urzędu i potrzeby serca znoszącego się z Drzewieckim, w lutym dowiadujemy się o jego nagłéj prawie śmierci.

«Płacz i łzy moje nie pozwalają mi opisać smutku, jaki ponoszę z odebranéj nieszczęśliwéj wiadomości o śmierci kochanego Felińskiego naszego. Jest to nieszczęście dla Krzemieńca, nieszczęście i dla całéj prowincyi, które żałobą nas wszystkich okrywa.»

«Jedzie pan Michałowski, dodaje w następnym liście Giżycki, od nieszczęśliwéj wdowy kochanego Felińskiego do Krzemieńca, z plenipotencyą do zabrania nie rzeczy, ale papierów, a najszczególniéj manuskryptów, do których wieleby się amatorów znalazło, żeby się cudzym rozumem chwalić. Dopomóż mu tam silnie i nie daj krzywdy zrobić.»

Drzewiecki pełen zawsze czci dla zasługi, przy spisywaniu pozostałości po Felińskim, prosił o po-

zwolenie wzięcia siedmiu piór na pamiątkę po autorze Barbary, dla rozesłania ich znakomitszym zmarłego przyjaciołom. Zrobiono to uroczyście, a akt podpisał pan Edmund Michałowski zięć Felińskiego, prefekt A. Jarkowski, dawny nauczyciel zmarłego X. Julijan Antonowicz, Tomasz Feliński syn Aloizego, Ignacy Jankowski i Kruczkowski.

Na pociechę po téj stracie, Pan Bóg przyniosł chciwym wrażeń i dźwignienia Krzemieńca, sławną naówczas śpiewaczkę Catalani, którą przyjęcie swe tutaj, całkiem winną była Drzewieckiemu. Jenerał Czyż (Jan) naprzód ze Lwowa dnia 27 lutego zgłosił się do pana szefa, proponując przybycie śpiewaczki, jeśliby jéj z koncertów około tysiąca czerwonych złotych zapewniono. Summę tę znać marszałek zaręczył, gdyż jak wiemy, pani Catalani przybyła do Krzemieńca, gdzie (około 10 marca) z entuzyazmem przyjętą była. Tradycya do dziś dnia pozostała o uniesieniu z jakim nasz legionista, wysiadającéj śpiewaczce z powozu, dla suchego przejścia, własny płaszcz rzucił pod nogi.

Jedną z ulic urządzającego się naówczas miasteczka, nazwano na pamiątkę— ulicą Catalani.

Dziś już i tych nie ma entuzyazmów: Schulhoff, Thalberg nawet dopłacają z kieszeni do kosztów koncertu w Berlinie.

Razem prawie wezwani zostali marszałkowie do Żytomiérza na przybycie senatora Baranowa. W tym roku urząd swój marszałkowski złożywszy, mając już dorastającą córkę, to swemi, to cudzemi interessami, to wychowaniem dzieci zajęty ciągle, szef podróżo-

wał i pracował w inny sposób, bo odpocząć nie umiał.

Oto ułamek z listu dnia 10 sierpnia do córki pisanego. «Wczoraj przejeżdżał przez tę okolicę (Sieniawa) Cesarz, któregoście jadącego przez Zaborol (Czarneckich) widzieli zapewne; z jego tu przejazdu nic nie donoszę, bo nic nie słyszałem. Wczoraj miałem okropną wiadomość z Antonin księcia Eustachego Sanguszki. Była tam pani Alfredowa Potocka i pani Rzyszczewska: ułożono przejażdżkę batami na wodzie, dla muzyki nie było batu, zbito zatém dwa czółna, w środku stawu czółno jedno osiadło, siedmiu ludzi zatonęło w oczach tych dam. Byli to Czechy, pięciu muzykę składających, dwóch domowych froterów. Kapelmejster miał trzech braci, którzy wszyscy w oczach jego utonęli, rozpacz tego człowieka, okropną tę scenę jeszcze powiększała.»

List ten do córki jak wszystkie pełen jest najgruntowniejszych przestrog i uwag z troskliwością ojcowską nieustannie powtarzanych. W sierpniu posłał po córkę u babki przebywającą Drzewiecki, panią de L'arbre,... ale nim się z nią połączył, ciągle za każdą zręcznością pisał nieustannie, to muzykę, to rysunek, to nauki jéj przypominając... nie zapominając nawet przepisów zdrowia. Są w tych listach rodzicielskich, pełne głębokiéj prawdy natchnienia.

—«Od czasu, pisze w jednym z nich, jak się poświęcono wyłączniéj odkryciu tajemnic natury nas otaczających, postąpiono w naukach, stracono w tęgości duszy i zacności obyczajów. Zdaje mi się, że

nauki w ogólności nie powinny służyć tylko za narzędzie, do podniesienia wyżéj nauki serca i umysłu człowieka, i jeżeli nas nie uczynią lepszemi, szkodliwym społeczności mogą zostać podarkiem. Piérwsze i naturalne poruszenie nasze jest obawiać się cierpień, i żądać szczęścia. Szkoła zatém dobrego życia, i środki otrzymania szczęścia ile tylko to nabyć się daje, jest najważniejszą zdaje mi się nauką. Przeszedłem różne życia koleje, niczyją od dzieciństwa nie prowadzony ręką, nie znałem co to jest przyjaźna rada, aż w wieku, gdym już zarobić sobie mógł przyjaciela.... Wypiłem nie jeden goryczy kielich, ślizgałem się nie raz między występkiem i cnotą, i kiedy ze drżeniem wspominam o przeszłości, o! jakże radbym, aby wasze takie nie było położenie; żebyście wprzód opatrzone być mogły, kochane dzieci, w paszport rozsądku i doświadczenia, iżbyście od tego zaczynać mogły punktu, na którym ja zapóźno stanąłem....»

W końcu roku jeździł z Sieniawy Drzewiecki na Ukrainę, i w listopadzie powrócił tam nazad, z powozem całym ostawionym krzewami i szczepami do Jużkowieckiego ogródka.

Do historyi Wołynia doprawdy ciekawe są te impetyczne listy Bartka Giżyckiego, który gorąco czuje, i nie umie też chłodno wrażać, kiedy go co dojmie: «Mój Drzewiecki, pisze w maju 1821 roku, nie trzeba cię prosić za Worcellami, bo wiem żeś ich przyjaciel, więc tylko do serca twego dobrego zakołacę i zapukam, abyś ich dusze uwolnił z czysca czyli z kommissyi, (chodziło o summę jakąś lycealną). Opowie

ci JW. Worcelowa, co tu Leduchowski wyrabia: mając domy dworzańskie, żadnym sposobem do nich przenieść się nie chciał, osobliwie do tego, który po wyjezdzie pana Platera stoi próżny, a że cały korpus staje w Żytomiérzu, kwaternicza kommissya naznaczyła dóm Andrejowa, który on najmuje. Już kwatermistrze przyjechali, i dla jenerała Rotta ten dom przeznaczyli. Pisma, hałasy wielkie powstały: w niebytności mojéj Pruszyński podpisał żurnał (dziennik) w gubernskim rządzie, aby Le..... oczyścił dom dla jenerała. Opozycya wielka następuje. Le..... pisze do mnie głupstwa, że ja nie słaby jestem, że w Prykazie nie bywam, że po ulicach chodzę, obiady daję, i na wesele Ochockiego jeżdżę. Ja zbieram szlachtę znajdującą się w Żytomiérzu, odkrywam działanie nieforemne Le..... wszyscy idą w liczbie czterdziestu osób, na czele ich obydwa prezesowie i marszałek Morzkowski, gromią jego postępki, piszą adress do niego, aby poprzestał tak nieprzyzwoitych czynności. Le..... przyrzeka, że mnie przeprosi, że papiery odbierze, że więcéj pisać nie będzie, póty, póki się ze mną nie objaśni, zdawało się że wszystko skończono. Karwicki na obiad na dzień drugi prosi, a wieczor widzimy się z Le..... u Karwickiego. Aliści na drugi dzień rano, Le..... podaje papier do Rządu, że się nie wyniesie z domu Andrejowa, na co rezolucyę odbiera już za moim podpisem że ten dom już naznaczony dla jenerała, uwolnionym być nie może, a policyi potwierdzenie, aby spełniła ukaz. Dworzaństwo znowu do niego idzie, perswaduje, a nareszcie smutne prawdy o jego uporze i nieprzyzwoitości wymawia. Pruszyński swój dom odstę-

puje, kiedy nie chce w dworzańskim stać, nic nie pomaga; oświadcza, że chyba go na ręku wyniosą. Karwicki odprasza go od obiadu, i całe dworzaństwo oświadcza nieukontentowanie za moją flegmę. Tymczasem policya przystępuje do oczyszczenia domu, Le..... znowu do mnie pisze, ja odpisuję, nakoniec zjeżdża już półkownik kwatermistrz i oświadcza, że jenerał, co moment spodziewany, a kwatery nie ma, idzie do Le..... i powróciwszy znajduje go bez edukacyi grubijaninem. Stawią mu karauł z bębnami, jak wprowadził barabany, Le..... wsiadł do karety i wyjechał, na wyjezdnem oddaje klucz od domu półkownikowi, który mu odpowiada, że nie jest jego szambelanem, a może oddać komu innemu. Le..... przejeżdża do jakiegoś domu, w którym także postój naznaczony, a zatém ztamtąd ruszać znów potrzeba. Takie to ja nieprzyjemności znosić muszę, piękna zabawka.»

We wrześniu Kropiński powróciwszy z Puław, pisze jeszcze do Drzewieckiego o sobie mu donosząc.

—«Wszystko się zmienia na świecie, kiedy i Drzewiecki o swoich przyjaciołach zapomniał. Musieliśmy na tę karę zasłużyć, wszak tak? Dopełniając szanownych kolegów poleceń, byłem w Puławach dla widzenia się z księciem i polecenia mu funduszów tutejszych prowincyj i Krzemieńca. O tém wszystkiem będzie pamiętał i zrobi zapewne co tylko w tém będzie do zrobienia. Musisz wiedzieć, że byłem bardzo słaby na oczy, a w Puławach najgorzéj zapadłem. Sprowadziłem okulistę sławnego pana Angel, który mi wcale pomógł, i bez którego za kilka tygodni byłbym stracił wzrok. Kuracyę kontynuję, zresztą Puchalski

ci powie, co już nie dopiszę. Jakieście komplet ułożyli donieś mi, kończę pisać, bo mi nie wolno, a muszę jeszcze.....

(29 septembra 1821 roku).»

Ciekawym być tu może nekrolog jenerała Zakrzewskiego, który w papierach szefa pod tą datą znajdujemy.

—«W swym dziedzicznym mieście Staréj-Sieniawie, w gubernij Podolskiéj, powiecie Lityńskim, umarł JW. Stanisław Eustachy Zakrzewski jenerał-adjutant, w roku 98 życia swego. W pracowitéj i czynnéj młodości nosił broń na obronę kraju, w czasie koronacyi Stanisława Augusta już krajowi znany, zarobił, że go znamienity autor dzieła o Anarchii— swoim zaszczycił wspomnieniem. W roku 1763 dnia 3 nowembra pojął za żonę Maryannę Pietruszewską P. M. w cnotliwém z nią pożyciu dwie tylko dorosłe oglądał córki. Annę księciu Mateuszowi Radziwiłłowi i Różę, Gostyńskiemu marszałkowi gubernskiemu zaszlubioną, a w wieku młodym, bezpotomnie zmarłą. Nominowany jenerał-adjutantem królewskim w roku 1767 dnia 31 marca, a buńczucznym przy hetmanie koronnym 1775 roku dnia 15 stycznia, był zawsze czynnym i znamienitym obywatelem, gorliwością dla kraju, sprawiedliwością w towarzyskiém życiu, hojnością dla nieszczęśliwych, a przykładną bogobojnością zyskał powszechny szacunek, i liczne błogosławieństwa otaczały cnotliwe dni jego. Fundator wielu ubogich klasztorów, aż do grobu poniósł uczucia ludzkości przychylne, wzywając testamentem swoim sukcessorkę

do wystawienia i opatrzenia jednego klasztoru Siostr Miłosierdzia, a nowe i znakomite ofiary dla wielu klasztorów ubogich zapisał. Błogosławiła Opatrzność prawym jego zabiegom, hojna jałmużna nie przeszkodziła mu do uczynienia przy cnotliwém życiu znamienitych zbiorów, które go w rzędzie możnych obywateli postawiły. Oddawszy w zamężcie córkę swoję księciu Mateuszowi Radziwiłłowi, cieszył się wnukiem, co w kwiecie młodości, kiedy mógł zostać kraju nadzieją, umarł na łonie dziada, co w nim całe swe szczęście położył. Bronił się jak chrześcijanin Eustachy Zakrzewski żalowi jaki go ucisnął, lecz serce téj obrony nie przyjęło..... Odtąd cierpienia same z religijną uległością woli Najwyższego znoszone, cechowały ostatnie dni jego etc. etc. Księżna Anna Radziwiłłowa, wzorowy miłości przykład, zagrzebawszy świetną młodość w usługach jego, co tylko serce dziecięcia, ofiara przyjaciela i uniesienia szlachetnéj duszy uczynić są zdolne, wykonała w ciągu jego późnéj starości. I stuletniego ojca z rozpaczą zamknęła powieki..... Świadek najpamiętniejszych w kraju zdarzeń, schodził poważny starzec z przytomną sercu swemu przeszłością..... przyjaciel i towarzysz młodości księcia Zajączka i przyjaciel do grobu.... etc.

«Tak w dniu 21 lutego w roku 1822 umierał ten, co okres wieku za swoje życie policzył, a jeden z niewielu co ostatniego z obieralnych królów, obierał.»

Szef dopełniając ostatniéj powinności, ciało jenerała Zakrzewskiego odprowadził do grobów w Horodyszczu pod Zasławiem, u karmelitów, gdzie i zwłoki księdza Marka spoczęły. Po powrócie, długi czas jeszcze dla

interessów księżnéj Radziwiłłowéj bawił w Sieniawie. W marcu niezmordowany już pojechał do Wilna, gdzie daleko od rodziny przepędził święta Wielkanocne. Publiczny go i tam zapędził interess, interess szkoły Krzemienieckiéj. Tę podróż swoją do Wilna tak w liście opisuje: «Książę (Czartoryjski) jest w téj chwili w Nowogródku mil siedm od Lidy, z któréj ja do was piszę, a Lida wiorst ośmdziesiąt od Wilna. Teraz wam moją opowiém podróż. Minąwszy Łuck, z którego pisał, byłem w Worończynie. Uprzejme przyjęcie i ta pewność, że księcia wyprzedzimy jeszcze, zatrzymały nas całą dobę u Kropińskich, gdzieśmy wiele mówili o was. Z Worończyna nocowaliśmy w Niesuchowiczach majątku pana Ignacego Czarnieckiego, tameśmy się dowiedzieli, że pan krajczy z upewnienia pani Ostrowskiéj przyjechał raz jeszcze, udał się do Laszek, gdzie ma odebrać darowiznę majątku pana Ignacego. Przebyliśmy nakoniec Wołyńskie Polesie, a przebywając Kowel znajdowaliśmy, że Maćkowa dolina jest tylko miejsce skropione rosą, w proporcyą błota jakeśmy przebrnęli w téj krainie. Brzeski powiat jak oddzielony dał nam najlepsze o sobie wyobrażenie, poczty przy domach właścicieli przystojnie utrzymane, grzecznymi ludźmi osadzone, położenie piękne. Sam Brześć między dwóma spławnemi rzekami Muchawcem i Bugiem obciążonym statkami, a okolice coś dają pogodnego umysłowi. W ciągu téj całéj podróży, kraj, aż do Rożanéj brzydki i ubogi.

«Z Rożanéj mil siedm drogi zboczyliśmy do Dereczyna, gdzie list drogiej naszéj księżnéj nas powołał. Radbym żebyś widziała jak się ksiądz Franciszek

zdziwił, co tu robić możemy i jak czule był wdzięczny za atencyą naszę. U niegośmy nocowali. Miasteczko wybrukowane, przyjazd do domu obwieszcza możnego człowieka pobyt, mało kto ma tyle drogich sprzętów jak on.... Statua Kanowy, wiele marmurów, wiele brązów, mnóstwo obrazów, naczyń Etruskich porcellany, jest czem nasycać oko, a dusza poddać się musi grzeczności gospodarza. Tak uprzejme przyjęcie i nocleg wspaniały, nie zatrzymały nas przecie.... w Słonimie byliśmy wczoraj....»

—«Gościnność Krzemieniecka, pisze do córki Heleny, odpłaca mi się w Wilnie. Jakeśmy tylko wysiedli, przeniesiono nas zaraz do jednego z domów uniwersyteckich, tenże sam wieczór przebyliśmy u rektora Akademii, który wczoraj sam mnie cały dzień oprowadzał po różnych zakładach. Obszerność gmachów, do Uniwersytetu należących, jest bardzo wielka, niektóre zakłady bardzo piękne, książę dał polecenie, aby nas w uniwersyteckich domach umieszczono. Wczoraj obiadowałem u Walickiego, gdzie widziałem mnóstwo obrazów i sprzętów bogatych. Poznałem Jana Śniadeckiego, który jest z wielką dobrocią dla mnie, a uczynił na mnie wrażenie, jakie niepospolici ludzie czynić zwykli. Byłem na sessyi tutejszéj kommissyi, skład onéj jest poważny. Pan Becu, co ma córkę Januszewskiego osobę bardzo grzeczną i pan Mianowski professorowie Uniwersytetu, są mojego mieszkania sąsiady, i resztę wolnego czasu jestem z niemi, jak na dwa dni dosyć tego. Obiaduję u sąsiada Mianowskiego, a jeśli książę przyjedzie, resztę dnia zapewne zabierze nam obowiązek— jestem zakatarzony z drogi, ale zdrów....»

Oto jeszcze wyjątki z kilku Wileńskich listów:

—«Wilno jest duże miasto, są piękne zabytki malarstwa krajowego; Czechowicz i Smuglewicz wsławili się tutaj. Zakłady Akademii są niektóre znamienite, lecz budowle bez gustu rozporządzone. Zostawiono krzemieńczaninowi w téj mierze uczynić zmianę. Podczaszyński co tylko w budowlach publicznych restauruje, wszędzie widno gust i znajomość sztuki, któréj się na znamienitych wyuczył wzorach. Krzemieńczanie tu celują, taka jest opinija uniwersytetu, że z pod cieplejszego klimatu mają władze bardziéj uzdolnione; my wołamy żeśmy to winni dobréj szkole, a najwięcéj duchowi założyciela, który wlał w młodzież zapał jakiego tu nie ma, i wołamy za potrzebą tak dobroczynnego wpływu, a i twarde żmudziny uczują iskierkę ognia jaki nas ożywia. Znalazłem tu dawnego przyjaciela jenerała Kossakowskiego, który mi tu pobyt osładza. Książę nas tu stara się utrzymywać na świeczniku i wiele szczególnych grzeczności czyni, do których nie jest hojny. Nie nadużywam dobroci jego, skupić bym ją rad całą dla Krzemieńca. Książę pracuje ciągle, ale jeszcze nie koło nas, bo mu litewska komissya nie oddała projektu swojego. Jak tu długo zabawimy nie wiem, ale że i księcia woła potrzeba powrotu, nie sądzę, aby tu długo zabawił.»

5 Kwietnia ieszcze z Wilna: «Książę dziś ma wrócić z Mołodeczny od pana Ogińskiego, liczę, że się już niecierpliwi do żony i zabrawszy materyały wyjedzie pracować w Warszawie. Wilno jest bardzo piękne osobliwie co do okolic, które rząd najpiękniejszemi przechadzkami i bulwarami ozdobił. Co to tu za pamiątki

domu Sapiehów, za które rózgą by dać potrzeba księciu Franciszkowi, jakie pomniki znaczenia i chwały dziś na łazareta obrócone. Wiele poważnych starożytności, lecz tu więcéj, jak gdzieindziéj zrujnowano je...»

«Co do mnie, dodaje w innym liście, jestem zdrów; trudność mojéj missyi nie odraża mnie od pracy, ale mały skutek jéj byłby mi nieprzyjemny. Opór powiększa żądzę otrzymania i to mnie męczy niezmiernie. Jużbym rad spoczął, to jest opuścił Wilno; sądzę, że 1 maja jużbym być w drodze powinien, z jakąż radością ujrzę nasze góry, i z jaką pociechą was uściskam! Kontrakty tutejsze nie podobne do Kijowskich, przenoszą jednak teraźniejsze Dubieńskie; a że jest zwyczaj, że na święty Jerzy wszyscy lokatorowie, co domy opuszczają przenoszą się w tym dniu, to robi zgiełk wielki, ludzi mnóstwo, i jakby opuszczone miasto. Wszyscy są na wozach ze swemi sprzętami do nowo najętych dążąc domów. Przyjechała w ten moment z Paryża pani Choiseul z domu Tyzenhauzówna, spodziewany W. Ks. Mikołaj z Peterzburga. Wilno ma teraz postać wielkiego miasta pod każdym względem oprócz balów, których dla ubóstwa nikt nie daje. Pani Sulistrowska znana w Warszawie pod nazwiskiem panny Przyłuskiéj, dom tu trzyma, lecz dla słabéj córki wyjeżdża do Odessy podobno na Krzemieniec. Jest też tu osoba jasnowidząca w domu księcia Lubeckiego, lecz już hałasu nie robi z swego przepowiadania... Kuruje prussyanem i błękitną farbą i upewnia, że jeszcze lat cztérdzieści żyć będzie, kurując się tak mocnemi truciznami; jeżeli przeżyje, warta będzie uwagi; fakultet medyczny zdaje się na nią

nie zwracać najmniejszéj uwagi. Doktorowie od gwardyi i jeden miejscowy assystują jéj w paroxyzmach; a pan Lachnicki, który się téj części poświęcił, pisze o niéj uwagi swoje. Byłem też tu świadkiem zaszczepienia nowego nosa, operacya poszła szczęśliwie, i nos nowiuteńki wczoraj widziałem już fasonowany przez sztukatora aby był zupełnie foremny, a biedny chory jak go w ten nowy nos ukłuto, dobrze krzyknął z bolu.»

W innym liście jeszcze 19 kwietnia pisze z Wilna. «Czas tu najpiękniejszy w kwietniu, używamy go dosyć, okolice są tak piękne, że niektóre z Krakowskiemi równać się mogą. Spodziewają się tu Cesarza na 15 maja. Obóz gwardyi będzie pod Wilnem. Wczoraj było zebranie wszystkich jenerałów u W. Ks. Michała, w jego kwaterze, gdzie mieli odebrać rozporządzenia. Mówią, że gwardye zaraz z obozu wrócą do Peterzburga, co tu oficerów wielką pociechą napełnia. Pan Zamojski ztąd jedzie wprost do Krzemieńca; jest to człek młody bardzo pięknych przymiotów; jedzie z nim krzemieńczanin Sieńkiewicz, ztąd dla widzenia zakładów gospodarskich w Dąbrowicy, gospodarstwa Taera w Szpanowie, i na Krzemieńcu skończy swą podróż.— Przyjedzie także i pan Twardowski, przyszły, jak tu twierdzą rektor uniwersytetu; jest on teraz marszałkiem pińskim, człek przyjemny równie jak uczony. Niech się Karol gotuje przy takich świadkach zdać examin, bo tu na niego mają oko, i będzie w większych jak drudzy obrótach.

«Pensye kobiét tu idą wybornie, bywam na ich examinach z pociechą, często z podziwieniem nawet,

radbym żeby u nas przy tak zachwalonéj energii w Krzemieńcu panującéj, nie znaleźli zawiedzionéj nadziei swojéj. Znajduję tu wiele śladów dawniéj exystujących kunsztów, malarstwo była tu w bardzo świetnym stanie; uczeń Karola Maratta Czechowicz zostawił wiele pomników, o których mniéj mówiono niż są warte, choć o Smuglewiczu uczniu jego gadano więcéj niż był godzien.

W maju już powrócić musiał do Krzemieńca, bo pod tą datą, znajdujemy ciekawy list Bartka Giżyckiego, w sposobie królewskiego pisany, a na kopercie mający *Mgn. Vir sincere nobis dilectus Drzewiecki.* «Jaśnie wielmożny nam zwłaszcza miły. Na samém jechaniu do grodu naszego Żytomiérza zastało mnie miłości twojéj pisanie. A iż *ista faemina est indecisa, temporisatur*,— *idque Ea habet tantum dolorem ab amore maritali* alić ja *spem habeo*, że to przeminie; a przytém wiele innych przyczyn, które *sine magno dolore commemorari non possunt...* ją ku temu przywiodły. Wszakoż udajcie się *ad Castrum* Miedzyboż *et per se veretur*, a my *nostram provinciam in bono statu* postawiwszy, i na odpoczynek schroniwszy się, widzenie nasze mieć będziemy. *Et reliqua quae privatim inter nos dicta actaque sunt, paucis accipias*, a zatém, przytém od Pana Boga dobrze być zdrowym żądamy.

18 maja 1822 r. Moloczki.»

Humor to dobry dowodzi, łaciny nie koniecznie, ależ lepszy humor od łaciny, zaprawdę. Dziś obójga już szukać ze świecą.

Na święta pan szef nie był w domu, znajdował się w Sieniawie; w lutym zdaje mi się w Krzemieńcu musiał pomagać pięknéj koncertance znowu, pani Szymanowskiéj, która wedle słów Bartłomieja Gizyckiego, jak anioł grała na fortepianie. Nieco późniéj przysłał mu pod opiekę jego Giżycki swojego synowca, mającego kursa w Krzemieńcu rozpocząć. Projekt ożenienia z panią Jaroszyńską przychodzący do skutku, oderwał pana szefa na chwilę od sporów publicznych, i do interessów własnych odwrócił. Odświeżono dóm w Kunce, około którego krzątał się pan Kożuchowski, robiono pierścionki ślubne; pan Drzewiecki niezmordowany przejeżdżał się ciągle.

—«Chciałbym ci pisać, dodaje w liście 22 8bra z Tywrowa, co tu słyszę o piękności militarnéj fety danéj Cesarzowi pod Klebanią w blizkości Tulczyna, było to cóś czarodziejnego; to wiem tylko, że jechałem drogą i wsiami w okolicy, tak upiększonemi, że sobie wyobrazić ciężko, jak to na całéj okolicy dla oka szczęśliwą uczyniło zmianę, zdaje się, że się jedzie drogami do ogrodu wiodącemi... Cesarz kraj tutejszy miał nazwać rajem, a drogi najpiękniejszemi w imperyi. Moszyński i wąsy ogolił i polski strój zrzucił, o czém późniéj doniosę obszerniéj.»

W listopadzie widział się z księciem Czartoryjskim, który tą razą do Krzemieńca nie zajechał.

«Książę nie będzie, pisze do córki, w Krzemieńcu; z ruskiéj Klementyny ze Sławuty ruszy już w drogę. Bardzo mnie łaskawie przyjął, lecz go nie długo widziałem, bom go spotkał wyjechawszy z Konstantynowa, jak jechał do pani Rzewuskiéj, ale wrócił od

niéj około piątéj wieczorem i tu nocuje, przetrawiłem wieczór najmiléj w towarzystwie tego zacnego i niepospolitego człowieka.»

Sam pan szef w tym roku nowe i szczęśliwe zawarł śluby w dniu 25 listopada 1823 roku, z panną Konstancyą Jaroszyńską, która drugą matką dla dzieci jego być miała. Wazon rozmarynu z tegu ślubu przywieziony przez panią Orłowskę, zachowany został na wesele córki. Projekt kupna majątku (Czarnéj Kamionki), lub innego jakiego, zajął przy szczęściu domowém, resztę tego roku, oddalając go od dzieci, do których jednak nieustannie i najczuléj pisywał.

W roku 1824 interessa nie ułożone, jeszcze go w oddaleniu od dzieci trzymały, a przyjaciele, Kropiński szczególniéj, stali się niecierpliwi dowiadując się, kiedy do nich powróci... Cały ten rok niemal przeszedł na urządzaniu się i staraniach o uregulowanie bytu dzieci i własnego...

Jakie życie prowadzono w Kunce, może dać wyobrażenie obrazek, z listu pana szefa, do córki pisanego w roku 1824 d. 9 maja: «Cichość Kunki, piękność miejsca i potrzeba spokojności dla duszy mojéj, czynią pobyt tu miłym i zdrowiu dogodnym, że bym ztąd na krok nie wylazł. Rano wstaję, pracuję w ogrodzie, śniadamy o ósméj, i czytamy w gorąco dzieło pani de Stael o literaturze, obiad o piérwszéj, przechadzka, potém herbata o piątéj, w wieczór koncert z tysiąca ptastwa, a czasem i żabki solo w nim mają. Teraz mam jeszcze wierzchowego konia, krówki Jużkowieckie zdają mi się znajomemi, co mnie przyjechali odwiedzić w ustroniu. Salonik ubrany ślicznie

choć bez żadnéj przesady, gabinecik przemienia się na biblioteczkę, lecz nie wprzódy aż bióro i szafa na suknie dla ciebie skończone nie zostaną, i bióro dla Xawerki.»

Strata brata, zachmurzyła na chwilę to szczęśliwe i spokojne życie, którego przyszłość jeszcze się uśmiechała postanowieniem córki, mającéj wyjść za krewnego i przyjaciela drogiego sercu pana szefa, P. Franciszka Skibickiego.

W lutym winszował mu tego wyboru przyjaciel Kropiński. «Józef tedy o losie córki postanowił, pisze— jak na rozumnego i dobrego ojca przystało. Od tylu lat, a co więcéj od niezmiernéj liczby godzin znam Franciszka we wszystkich sytuacyach moralnych, znam go w publiczném, znam go w prywatném życiu, znam go nawet z kamerdynerami i lokajami.— Słowem winszuję ci, bo szczęście codzienne twéj córki jest zapewnione. Winszuję ci jeszcze, że nie jest wojewodą, książęciem, nawet królem, bo ci teraz wszyscy nie są szczęśliwi. Udało się więc w tém postanowieniu i Franciszkowi i Helenie twojéj, a teraz i naszéj.»

Jakie to było serce tego człowieka, domyślić się łatwo nawet tym co go nie znali z listów pełnych uczuć najtkliwszych dla dzieci i rodziny. Dla słabości blizkiéj żony odbiegłszy do Kunki, tak naprzykład do córki swéj pisze (dnia 30 maja 1825 roku).

—«Ogródek służy mi za miłą przechadzkę, w którym najczęściéj myślą błąkając się w pośród osób drogich sercu mojemu jestem i z wami w Werbie. Z po-

cząlku myśl moja was tam nie zastała, ruch jakiś domowników oczekujących waszego przybycia, ogrodnik troskliwie polewający kwiatki przed oknami pokoju twego, froter co woskował posadzki, oczyszczał szafy, gdzie twe masz składać sukienki, były to korzyści kilko dziennego błąkania się, wszędzie was ścigającéj myśli. Teraz wy tam już jesteście, ty układasz muzyczne papiery i te książki co ci Franciszek darował, położyłaś w szafie, pokryły je bukiety kwiatów na jéj zamknięciu umieszczone.... Już się przechadzsz przypatrując się ogrodowi, szukaliście razem miejsca, gdzieby umieścić krówki, piliście z mamą herbatę w dawnéj części ogródka, słuchaliście mszy w kaplicy, w ciągu któréj niech się pan Franciszek przyzna do grzechu, że roztargniony więcéj marzył o instrumencie i połączeniu z nim głosów i o rodzaju muzyki jakiby tam rad zaprowadził.... ja widziałem, że nie mówił pacierza, ty klęczałaś po lewéj stronie, mama siedziała po prawéj, a widzisz, że ja tam byłem,.... ale nie przeszkadzałem roztargnieniu, nawet waszemu domowemu szczęściu, i po krótkim wojażu wróciłem do Kunki.»

Tu odnawiał się świeżo kościołek, śpiewały słowiki, rósł lasek Helenki.... a choć w Rosochowatéj grad wielkie zrobił szkody, pan szef nie bardzo się takiemi martwił rzeczami. Boleśniejszą była strata dziecięcia, które na świat przyszło bez życia, szczęściem nie nadwerężywszy zdrowia matki. W tych latach listy całe są zajęte rodziną i kłopotami gospodarskiemi, życiem domowém, którego odsłaniać nikt nie ma prawa, jakkolwiek piękny stanowi obraz, le-

dwie gdzieniegdzie ustęp jakiś się trafi, o wypadkach ogólniéj zajmować mogących. Tak w liście dnia 9 lipca 1825: «Było tu okazałe zbiegowisko w Humaniu w dzień świętego Piotra, opłacali po kilkadziesiąt rubli chatkę do przenocowania. Sofijówka zdatna jest na upiększenie téj ludności. Bobrowa, która wróciła ztamtąd, mówi, że przyjezdni myśleli o balach, Potocki o gościnności tylko: sprzeczność toalet, przesada nie w miejscu były widocznym znakiem nieporozumienia się; Sofijówka bez kwiatów nie tyle była piękną ile być mogła. W grocie był obiad dla osób familii i kilku proszonych, dla tychże wieczór u pana Potockiego, reszta publiczności służyła do dekoracyi ogrodu.»

Listy pana szefa do dzieci z téj epoki tak częste i liczne, a pełne nauk, przestrog, rad prawdziwie ojcowskich, są obrazem poczciwéj téj duszy, która tak pojmowała życie i jego obowiązki, jak mało je ludzi pojmować umié. Gospodarstwo w Werbie, apteczka córki, ogródek, krówki, wszystko go obchodziło żywo, o każdą rzecz dopytywał, napominał córkę, żeby grała i malowała, zięcia by się brał do interessów, tłómaczył się im ze swoich, cieszył medalem pana Karola....

Jakoż ku końcowi roku w październiku szef z żoną Werbę odwiedził, i odjechawszy tęsknym listem dzieci pożegnał jeszcze.

Nie możemy się tu powstrzymać od wyjęcia poufnego kawałka z listu do Werby w grudniu z Kunki pisanego: «Jak wam zazdroszczę, że nigdzie nie wyjeżdżacie, ja choć tylko dwa dni sam byłem, pędziłem życie monarsze. Rano podziękowawszy Bogu za

dziatki moje, mówił mi Massylion mszą, a po nim Skarga miał kazanie; po przechadzce, w któréj mnie nikt nie nudził, rozmawiałem z Fouchetem o pamiętnikach jego, łajałem go za złą wiarę, a on milczał. Zjadłszy bez pochlebców skromny obiad, układałem biblioteczkę, i na azard spotkałem się z Cyceronem, który i lepiéj mówi jak Jełowicki w Hruzce. W wieczór miałem teatr, Rasyn i Moljer pracowali, aby roztargnąć samotność moją, a wracając na przemiany do waszych listów, zadrżałem, gdym usłyszał kogoś, by mi szczęśliwéj nie odebrał illuzyi....»

Rozmaite przykrości, processa, kłopoty nie potrafiły odjąć umysłowi jego swobody, sercu pokoju, na jaki sumienie zapracowało całem życiem.... Nowy Rok przyniosł trochę pociechy wygraną w Senacie sprawą, która przyszłości zagroziła.... Szef gospodarował usilnie, co tydzień do córki pisał, syna wyglądał w Kunce, i w chwilach wolnych czytywał. Interessa tylko nie dawały mu użyć spokoju i szczęścia, jakie miał w domu, ale z tych pracą i rozumem wychodził. W mnogich listach do córki, zajętych życzeniem dla niéj i zięcia, ledwie gdzie— coś ogólniéj zajmować mogącego.

d. 16 Kwietnia 1826 roku. «Tutaj tak się pogłoska rozeszła o zaczynającéj się chłopskiéj czerni, że o niéj policye ostrzegły obywateli, uciekało wiele z domów, lecz ani nic się okrutnego nie spełniło dotąd, oprócz, że jednego possessora i z parę podstarościch, wytrzepały w skórę zapalone chłopy; kilka wsi w Humańszczyznie podniósł sołdat, a resztę kończy się na wyśledzeniach zuchwałych przegróżek; wreszcie poruszenia licznego wojska więcéj są niż dostateczne na

lud zwiedziony, ale łagodny, i nic się do obawy nie pozostaje.... Piszę do was o tem, bo w Humańszczyznie tak tu wiele zastałem bajek, iż jeżeli te powiększają się w równéj proporcyi u was, olbrzymie być by powinny... Chcę tedy was upewnić, że z powziętych już przez rząd miar, rzecz ta najmniejszych następstw mieć nie może.»

Wyprawianie syna do Warszawy, słabość jenerała Kropińskiego, i inne kłopoty nieodłączne od życia trapiły w tym roku pana szefa wszystko biorącego mocno do serca. P. Skibicka także nie bardzo była zdrową, i potrzebowała rady lekarzy, ale pan Orzechowicz zaręczał, że nie widział niebezpieczeństwa; myśl podróży do wód za granicę, już rzuconą została...

Jubileusz obchodzony po całym kraju, wiemy jak uczucie religijne obudził— oto kilka słów o nim z listu z Kunki: «U nas Jubileusze z równym w proporcyą ludności naciskiem odbywane, mają także swych choć nie tak poważnych przewodników. W Winnicy pan Chołoniewski młody, przyszedłszy na czele processyi z Janowa pieszo, ofiarował gody wszystkim zgromadzonym kapłanom. Kapłani nasi biorą na siebie surowość dawnych wieków, upokarzają i gromią grzeszników; ksiądz Falkowski z Wilna, ostrością skarg swych i napomnień się odznacza. Oczekujemy przybycia ich na piérwszy sierpnia do Kunki i poddamy z pokorą winne głowy. Wiele bardzo osób dla blizkości miejsca w Kunce bawić będzie, aby mogli co dzień dojeżdżać na ten obchód tak ważny, a tak daj Boże, skuteczny... poprawiony przyjadę z Jubileuszu do was.»

Obrzęd ten uroczysty odbył się w istocie w Kunce

z wielką gorliwością i zapałem. «Była to epoka dla każdego, pisze Drzewiecki do córki— dusza wzruszona czuła się sposobną ku poprawie, kapłani nie szczędzili ze swéj strony pracy i gorliwości, z powstającym słońcem gorące modły towarzyszyły wschodowi jego, po zachodzie dopiéro opuszczano kościół. Biskup codzień asystował, codzień się modlił z trzodką swoją, codzień po dwa razy sam nauczał, dwa kazania i dwie nauki missyonarzów i t. d. Człowiek nie pospolitéj gorliwości to Falkowski przeor Dominikański z Wilna, wzbudził on zapał powszechny i ściągnął uwagę wszystkich na siebie...»

Zamieszkawszy w Kunce, zajęty gospodarstwem u Rosochowatéj, sprawami o majątek dzieci, familiją otaczającą go na Ukrainie,— pan szef regularnie co tydzień pisywał do córki, do syna, bawiącego w Warszawie, nudzącego się tam trochę i wybierającego do Karpat... Zresztą gospodarzył troskliwie.. «i używał szczęścia, na które sobie tylą poświęceń zapracował, a bawił się książkami i kwiatami, i ogrodem, który bardzo lubił. Córka przysyłała mu piękne rysunki, któremi pokój swój ozdobił.

Ale znużony już chorzał na nogi, i romatyzmy, siarczanemi kąpielami starał się opędzać.

Nowa to od ożenienia w życiu Drzewieckiego epoka, w któréj się zamyka w domu, zasklepia w swém szczęściu i używa dopiero po znojach spoczynku, pielęgnując żonę i kwiaty. Interessa tylko i troskliwość o dzieci z tego zacisznego wyrywają go zakątka; korespondencya z Kropińskim, z córką, z krewnémi próżne zajmują godziny, a w niéj dawna się jeszcze żywość odzywa... Wypadków prawie nie ma w tych latach, gorzelnia, urodzaje, słabość którego członka gromadki, oczekiwany przyjazd... niepokój gdy list zalega, to ważniejsze epoki. «Czas nasz podzielony, pisze do córki d. 11 grudnia 1827, na małe umysłowe prace, czyni domowy pobyt przyjemnym, a teraz nawet wyglądając przez okno na tak nieprzyjaźną zdrowiu porę, kominek domowy i książka są wielkiemi skarbami... Wkrótce oczekujemy nowego szczęścia, listu od was.»

—«Czas u nas był najpiękniejszy; sadziliśmy drzewa, żałowaliśmy właśnie, że was wcześniéj piękna jesień opuściła... ale w nocy 13 listopada burza ogromna z nią śniegi i mrozy, ciągle się dotąd utrzymujące... Sanna wyborna na wielkiéj drodze, małe szlaki zawiane, moje zdrowie dobre, lenistwo tylko się przywiązuje do mnie i rzadko nos na zimno wystawiam, jednak w końcu tego tygodnia odbywszy bogobojnie rocznicę naszego ślubu, i podziękowawszy Najwyższemu za dobro jakiem mnie opatrzył, wyjadę do Rosochowatéj. W przeszłym tygodniu widziałem list z Odessy, że okręta uciekają bez transportów z Konstantynopola i kupcy są w pomieszaniu o swój handel, chociaż piszący detalów nie wiedział. Czytając historyą starożytną spoglądamy na Arax na miejsca zwycięztwa Alexandra, Antiocha i tylu rzymian potyczki, i dziwujemy się kolei rzeczy, która wojska nasze w te zawiodła okolice, ale kto przeżył ubiegłe nie dawno lata, wszystko podobném być uzna.»

Piérwszych dni stycznia Drzewiecki tak od spokojnego ogniska pisał do dzieci: «Wszystko wyjeżdża na kontrakty,

bogaci wiozą kapitały, aby powiększyć, potrzebni jadą, aby tymczasowe kłopoty ułatwiając, pomnożyć ich sobie na potém, my bardzo szczęśliwi choć do piérwszych należeć nie mamy honoru, ale i z drugiemi fałszywego nie dzielimy położenia, i na mrozy okropne jakie tu panują, pilnujemy ogniska żałując podróżujących...»

W kilka dni późniéj: «Baltazar K.... umarł w szpitalu w Petersburgu, dziwne igrzysko losu. Chęć lepszego zawsze niszczy dobre, nie ma jak spokój duszy i poprzestanie na swojem, którego jak źrenicy w oku pilnować należy, aby ze smutkiem nie utracić niepodległości. Mnie teraz zatrudnia tłómaczenie dziełka Louis de Blois, *Przewodnik duchowny*, w sposobie naśladowania Jezusa Chrystusa pisany, które mi pani Jarosławowa do wytłómaczenia dała: «Oto trochę wiadomostek z Kontraktów Kijowskich, które do spokojnéj Kunki doleciały— kontrakty były dosyć pieniężne, procenta spadły do sześciu, w kassach którym wierzą, bo mało znalazło się biorących, którymby dawać chciano. Sob... Alex.... sprzedał dobra ojczyste Hieronymowi, a nabyty od Czartoryskich Iwangród podobno sprzeda Antoniemu Jaroszyńskiemu, robotę tę odłożono do domu. Żurowski kupił tysiąc dwieście dusz od pana Kisielowa w Targowicy... Była Szymanowska, dawała jeden koncert, liczna na nim była publiczność; mówią, że Wittgentstein ma się żenić ze Stefaniją Radziwiłłówną, oto nowiny Kijowskie.» Pan Bóg pocieszył go narodzeniem córki Ewy Eleonory, krótką radością, ale wielką: «Dziś, pisze d. 1 marca 1828, gdy Kostusię wyprowadzono z łóżka, padła naprzód na ko-

lana przy kolebce dziecka, błagając Boga tak czule o zachowanie go, żeby nie wiem kto najtwardszy od łzów się nie wstrzymał; ale zaraz zrobiła votum, aby rok cały nie pocałować... przestrach strat przeszłych cięży na niéj wielki.» Wśród pociech domowych, stary żołnierz gorąco się i wojną Turecką zajmował interessowała granica perska i wojna z Persyą... wszystko... Tak nadchodzi wiosna. «Zdrowie moje dobre, pisze znów do dzieci, używam wiosny, która u nas wydała dnie gorące bardzo i chłodnawe na przemian, co dla zdrowia nie najlepiéj, pracuję około ogródka, bo mi robicie nadzieję, że dzieci moje po nim chodzić będą— lecz czémże się on wyda po Werbie? Tam się do was uśmiechają kwiaty, tu dąb z uschłemi konary i potrzaskane od piorunów wiązy, ponurą są ozdobą...»

10 Maja. «Dziewiątego o południu byliśmy w Semenkach, był to przejazd Cesarzowéj naszéj, z jéj okazałym dworem; miejscowość tak dozwalała, że siedząc w zagrodzie domu nad traktem leżącego i nad przykrą górą, gdzie pod ciężkiemi powozami konie wolno iść musiały, widzieliśmy wygodnie, i mieliśmy sposobność ugiąć czoła przed monarchinią tak rozległéj części świata, i odebrać z dobrocią zwykłą z jéj strony uprzejme pozdrowienie. Dziewięć karet landau wiozły damy: zielone ze srebrzonym bronzem należały do domu, z złoconym było dla Monarchini, kuczer ze złotym na piersiach medalem, co mógłby służyć za obraz Jowisza... Ponieważ blizko Sitkowiec przejeżdżały powozy, wyniesiono massę bukietów najpiękniejszych, któremi ozdobiły się otwarte karety... W. księ-

żniczka z żywością wiekowi właściwą obok pięknéj matki, i poważna osoba na prawéj stronie... zajmowały powóz monarszy. Piękna dolina Semenek, Boh i jego skały tak żywo zajmowały podróżnych, przez cały czas przejazdu, że mężczyzni się podnosili, a damy w całym ciągu drogi nie spuściły z oka pięknéj okolicy. Miała N. pani obiadać w Tulezynie, i tam odbyć nocleg. W ogóle dwadzieścia powozów wiozło dostojnych podróżnych. Na promie malutka księżniczka po rusku i po polsku mówiła do otaczających, między któremi jak zazwyczaj u nas żydek, co próm trzyma, najwięcéj miał zapytań, o nazwisko właściciela, wsi, familii, czy nie było kiedy nieszczęścia na promie i wiele takich pytań. Dwa promy przewoziły...»

W czerwcu PP. Skibiccy odwiedzili Kunkę i ożywili ojca choć na krótko.

Ku jesieni też same życie spokojne, tylko nowiny elektryzujące z teatru wojny, przerywały: «(15 października 1828) «Cesarz przejechał, pisze pan szef— jego reskrypt jako mściciela śmierci Władysława Warneńczyka i dwanaście armat odesłanych do Warszawy, na pomnik dla tego monarchy, zapewne wam już gazeta Odesska oznajmiła. Pan Jarosław spodziewa się co moment Matuszewicza, i wielu powracających z pod Warszawy, już kampanija tegoroczną ukończoną się być zdaje. Zimowe kwatery między Warną a Brahiłowem, jeżeli Sylistrya wziąć się nie da, gwardye w Tulczynie zimują, może czas jakiś i książe Michał z niemi. Część wojska wejdzie na Wołoszczyznę i do nas...»

Ja (dodaje 28 października) przy piecu siedzę, a

czytając Tryumf Ewangelii, czasem pamiętniki Segura, albo Spektatora, przypominam sobie cośmy o nich mówili z wami, a wszystka myśl wraca się ku wam.»

«Do wczoraj— (9 listopada) dodaje— w ogródku pracowałem, zasadziłem resztę ziemi na tamtéj stronie stawu szczepami, mam tedy sześć morgów w jednym sadzie, w tym przecież roku, ani na własną potrzebę nie mam owoców— trzeba jednak pracować dla nadziei.»

I tak przechodziły lata po latach w spokoju... Ale nie brakło i smutków przypominających nam dolę znikomą jakiéj podlegamy. W marcu zmarł pan Brunon Jaroszyński, brat żony pana szefa... i śmierć ta poruszyła boleśnie serca rodziny całéj. Drzewiecki pochował go w Tywrowie. Jak zawsze tak i teraz pocieszały starego książki, których pragnął, i w tym liście, którym donosi o pogrzebie pana Brunona, dodaje: «Ja czytam z pociechą *Mały post* Massiljona, a zwiodłem i siebie i Franusia, że mam Fenelona o wychowaniu, bo go nie mam, zapiszcie mi z Warszawy przez Karola i proście go odemnie, aby kupił Górnickiego, bo ten co mnie przeznaczony był, dostał się panu Janowi; zapłaćcie mu za mnie, niech mi przyszle, bo do biblioteki potrzebny, i dla mnie do czytania byłby miły.» Drugi ogród go obchodzi równie.— «Wyjeżdżając do Hruzki, pisze dnia 5 maja 1829 roku, zostawiłem z tysiąc drzew kwitnących; ponieważ lat kilka koło nich tupczę, cieszyłem się, że przynajmniéj widzieć będę, koło których warto łożyć starania, bo dobry wydają owoc... powróciłem i zastałem je bez liścia i kwiatu. Kwiat wypiła jakaś czarna muszka,

a liście gąsiennica objadła, ten bicz boży w téj okolicy podobno nas bez owoców pozostawi, gruszki jedne utrzymują się dotąd, nie wiém czyli ich jeszcze nie objedzą. Wiszeń i czereszeń po trochu zostało... Oto macie obraz mego życia, zabiegów i straconych nadziei, w drobnéj są one sferze, a zatém wyćwiczą jedynie cierpliwość. Dzięki Bogu, że wyście zdrowi, to o resztę mniejsza; koło ogródka czyszczę i pracuję, sądzę, że chwasty nie obsiądą mnie tak łatwo, bo ogrodnik pilny. Kwitnie bez purpurowy z Werby, całuję listki jego, nie mogąc rączek siostry, któréj go winien jestem.»

Koronacya odbywająca się w Warszawie, na któréj znajdował się właśnie zięć pana szefa, Skibicki, i kampanija turecka przerywały ciszę wioski wiadomościami, które z Warszawy i z placu boju nadchodziły. Mocno ich zawsze spragnionym był Drzewiecki, domagał się u zięcia opisów, broszur, wiadomości, a w liście 7 czerwca sam mu piérwszy donosił o zwycięztwie Dybicza nad Wezyrem pod wsią Kukszty.

Znać zięć namawiać już musiał w téj porze pana szefa do pisania historyi legionów, z czego się on tak w liście 12 lipca wymawia. «To co mi o historyi legijów piszesz, przyszło tylko z twojego dobrego serca dla mnie, które nie chce widzieć nieudolności mojéj. Do tego przedsięwzięcia trzeba talentu historyka, pomocy żywéj imaginacyi, godnéj malować czyny owéj epoki, mierność nie podoła tak pięknym pamiątkom, tak wysoko umieszczonym czynom najwyższéj cnoty, o które słabe roztrąci się pióro... Sekret legiów byćby powinien w zostawionych Dąbrowskiego papierach,

ich rozwinięcie w pamiętnikach Kniaziewicza, kto na tych materyałach nie oprze się, próżno z pamięci marzenia swe za prawdy przedawać zechce, lecz ja sądzę, że gdy przejdzie pokolenie zbliżone do téj epoki, znajdzie prawda pisarza i legia historyka, a ten potrzebne materyały.»

Syn Karol podróżował właśnie, i stary cieszył się, że w Dreznie mógł zastać jenerała Kniaziewicza rachując na przyjacielską pomoc synowi dawnego przyjaciela i kolegi. Zastraszające wieści o grasującém powietrzu uspokoiły się już: «mówią (pisze szef 10 sierpnia), że Odessa, co do powietrza spokojna, że wojska ominąwszy Adryanopol poszły pod Stambuł: z piérwszéj nowiny cieszy się ludzkość i bezpieczeństwo nasze zyskuje, drugie zbliżać się zdaje pożądany pokój, a z nim handel na zboże choć drobne, ale obficie w tym roku zrodzone.»

O podróży Karola, o wojnie tureckiéj, o zawartych traktatach, zresztą o domowych sprawach, co tydzień regularnie pisze pan szef do dzieci... maluje się w tych listach cały spokój życia tego zajętego jednak i czynnego; najmniejszy wypadek nie przechodzi bez wzmianki. «W tym tygodniu mieliśmy w niedzielę obchód drugich prymicyj księdza Obertyńskiego, który lat pięćdziesiąt spełnił w kapłańskim stanie. Bardzo to było interessujące, osobliwie dla nas, bo życie jego jako kapłana przeszło w Kunce, i przechodził tu twarde próby i ucierpiał wiele, a i teraz codziennie usługuje w kaplicy domowéj. W pośrodku nabożeństwa i licznego ludzi zbioru, otwarto całe drzwi kościoła, jak w czasie Jubileuszu, a kapłani na cmentarzu w u-

biorach zebrani, śpiewali hymny wprowadzając oblubieńca do Domu Bożego! nieśli przed nim koronę z kwiatów uwitą i wieńce z kwiatów mieli na ręku assystujący, i on sam, też listki rozmarynu i mirtu, co zdobią czoła oblubieńców, obwijały rękę kapłana.— Po licznym poczcie księży, wchodził on z krzyżem w ręku, z pogodą na czole, siwy włos zdawał się ożywiać twarz jego i uczucie pociechy malowało się na twarzy. Śpiewał mszą świętą tak, jakby po raz piérwszy do téj świętéj ofiary był przypuszczany. Stosowne do obrzędu kazanie, processya okwieconego kapłana, mówiły do serca i imaginacyi.»

W następnym liście jest wzmianka o śmierci pana Morzkowskiego, ojca pani Bobrowéj, którego pogrzeb odbył się w Chodorkowie dnia 14 października. Państwo Skibiccy powracali z Puław, a te odwiedziny do których nakłonił ich pan szef, wielce go interessowały, bo był do domu książąt szczerze przywiązany; Karol u Kniaziewicza w Dreznie już się znajdował... Serce ojcowskie radowało się, że go tam ludzie nie poznawali, tak wyrósł i zmężniał.

Przestraszały tylko wieści zawsze trwające o powietrzu.

—«Ostróżności od niego, pisze dnia 15 listopada, wprawdzie skuteczne, nie przeszkadzają zupełnie, aby się przedzierać nie mogło do Odessy po Wołoszczyznie, a nawet z jeżdżącemi jenerałami. Mówią, że przy Wicie ludzie pomarli, że powróciwszy Dunin odgrodzić się musiał, może to są i bajki. Dobre mrozy, co dawniéj koniec kładły pomorom sztuką i ostróżnością źle

strzeżonym, teraz zapewne położą koniec, tem prędzéj, że się na wielką zanosi zimę...»

«Pisze mi Karol z wojażu (dodaje w piśmie z dnia 9 grudnia) i wycieczki do Teplic,— skarży się, że od was i Felicyana nic nie miał, a w liście swym żąda, abym podziękował jenerałowi Kniaziewiczowi, który go tam jak syna swego przyjął... Przesłał mi zresztą sam opis podróży po Saxonii, więcéj do przeszłości należących wspomnień jak szczegółów teraźniejszych podróży— lecz dzięki Bogu zdrów... byle się w powrócie nie przeziębił.»

Życzeniami przesłanemi z Nowego Konstantynowa ukończył się rok stary, a nowy rozpoczął. W Kunce wesoło obchodzono zapusty i S. Konstancyą, było dwadzieścia siedm kobiét, między niemi panien czternaście, siedémnastu tańcujących, a pięćdziesiąt i kilka osób składały kilkodniowe zgromadzenie. «Przyjechali sobie, pisze pan szef, na stu dwudziestu koniach, trzydziestu kilku furmanów, tyleż lokajów... o wszystkich trzeba było pamiętać, oto są rozkosze wiejskiéj fety. Lecz tak dobrze Kostusi główka wystarczyła w potrzebie, że wszyscy zadowolnieni wczoraj rano wyjechali, ale nas opuściły i nogi i siły. Potrzeba, matka wynalazków: wszyscy stali w salonie, nie było ciasno, dobra muzyka feldmarszałka Gudowicza grała huczno, tańczyli wybornie, opisywać detalow nie warto, trzeba to zostawić na familijną pogadankę do Werby.»

«Odebrałem, pisze dnia 23 marca— list od jenerała Kniaziewicza, cały maluje miłe wrażenia jakie na nim Karol uczynił; moja nadzieja widzenia go w tym roku spełza zupełnie, bo pszenicę wypadnie podóbno

posyłać na swój rachunek, nie ma dotąd pretendenta, coby ją na miejscu kupił. A nakłady gruntowe wielkie, na kupno bydła dla ludzi, aby ich w należytym postawić stanie, i to z trwogą daremnego kosztu, bo bydło ginąć nie przestaje.»

W marcu już były chwilki dozwalające pracować w ogródku, szef ich nie zaniedbywał, a gdy się pora popsuła, wracał do Salvandego historyi Jana III, i historyi powszechnéj Müllera. «Obdarzają nas sąsiedzi książkami, które nam zimą wiele chwil dobrych dały.»

«Wojska są w ruchu, jadą, idą na kordon zdrowia, drugie z za Dniestru wracają.»

W maju Karol wreszcie oczekiwany powrócił z podróży, a stary odżył słuchając opowiadań i wrażeń syna, zajmowała także wiadomość o obozie formującym się pod Żytomierzem i przejezdzie N. Pana.

Dnia 26 maja: «W Białéj Cerkwi spotkał Karol ambassadę Turecką wracającą z Peterzburga... Przez Kunkę onegdaj przejeżdżał monarcha, a wilją przed nim jenerał Rożniecki, który mnie odwiózł i parę godzin zabawił. Poseł turecki w Białéj Cerkwi otrzymał nominacyą na kapitana baszę. Postać jego bardzo się Karolowi podobała, powiada, że mówi dobrze po francuzku, a ma ruchy kozaków lub czerkiesów.»

W pazdzierniku znowu się z synem rozdzielić przyszło, odjeżdżającym do Warszawy. «Twarda to dla mnie godzina, pisze stary— niech Bóg czuwa nad nim... zabawiało się książką, myślą i ogródkiem w tęsknocie.» W ogródku się robi pisze dnia 2 listopada, skała się kuje, miejsce na kapliczkę lub krzyż, pyszne planty z Werby choć ucierpiały w drodze, ale starannie posadzone. «Są to drogie dla mnie pamiątki... dumam ze łzą w oku, zkąd to one przyszły.»

Tymczasem ruch wojsk w kraju był wielki, chociaż nie wiedziano, gdzie się posuwały, suponując tylko, że na Austryą. «W tym tygodniu pisze pan szef, którego wojsko zajmuje zawsze, dnia 16 listopada, był w Kunce pułk Archangielski, był Ukraiński ułański; Nowogródzki kirysyerski księcia Alberta, i forsztadzki batalion. Mają jeszcze przechodzić, i każdy przestać dzień jeden, Starodubski kirysierski, Ordyński kirysierski, brygada dziewiąta artylleryi, i dziesiąta konna brygada artylleryi... Obok nas przesuwa się armii wołoskiéj część znaczna, idąca w środek kraju, tak, że wsie wsiom do podwód pomagać nie mogą... Co do cholery, ponieważ ona już do przestrachu panicznego należy, każda śmierć nagła obudza bojaźń, a ta się po dniach kilku powszechnie uspokaja. Rząd czujnie w to wgląda, już oswoiliśmy się z nią jak z tyfusem lat przeszłych, onegdaj zamknięto Tulczyn, przerwano nabor. «Póki taki stan trwać będzie, nie ma jak prosić Boga, strzedz siebie i swoich i spokojnym umysłem oczekiwać wyroku. Roztropność radzi unikać komunikacyi z miastami, bo niechybnie żydowstwo najprędzéj złapie tą biedę, zobaczym jeszcze, niechno się ona spotka z naszym mrozem... ujdziemy biedy.»

—«W Czeczelniku, dodaje dnia 23 listopada, w Tulczynie i w Bałcie— cholera trochę więcéj narobiła rejwachu... w Ładyżynie było kilka osób chorych, ale

wszyscy ocaleni. Sądzę, że zima dopomogła w tém lekarzowi... Mówią, że i Warszawa przelękniona chorobą...»

Cholera opanowywała strachem umysły wszystkich, oprócz starego wojaka, który potroszę w jéj zaraźliwość nie wierzył, a trochę przywykły do niebezpieczeństwa lekce je sobie ważył. Jadącemu do N. Konstantynowa na święta, słabość furmana napędziła obawy, ale się pokazało, że napad ów nie był wcale choleryczny... Trzeba było już jednak w Kunce świętkować.

Interessa kontraktowe się zbyły. «Już tedy jestem spokojniejszy, pisze Drzewiecki, i wrócę na resztę zimy do dawnego życia, ruch mi nic nie zaszkodził, chociem się zwijał, jak mucha w ukropie, teraz mi pozostaną dnie pocztowe na pociechę...»

Ale cholera straszyła zawsze jeszcze... i zima ją nawet nie bardzo pokonała. Skibiccy mieli się wybierać do Karlsbadu, co im silnie doradzał ojciec, który już się z Kunki coraz mniéj ruszał, pochylając powoli pod ciężarem wieku.

—«Jakkolwiek mało jest materyałów na wsi do pisania, mówi dnia 7 marca w dzień swoich urodzin do córki, mało odmian, o którychby zawiadomić można, jest przecież źródełko myśli, co z serca płynie, które wyobraźnia zwiększa, jest wspomnień zakład snujących się koleją, i od piérwszego dzieciństwa waszego, znaczny obieg mojego życia zajęty— z temi teraz przepędzam godziny odtrącając smutne myśli gromadzące się natłokiem, z temi żyję w samotności mojéj— słowem, jedną przeszłością jeszcze.»

Smutniejsze coraz są listy z téj epoki: «A! jakżem ja pobielał, pisze w jednym dnia 23 maja— w tych kilku niedzielach; ale zdrowie zresztą zdaje się dobre i oprócz starości nic mi nie dokucza fizycznie,» wczoraj nawet po odebraniu listu waszego odżyłem całą duszą... «Teraz (dodaje 30 maja), nie czytam de Geranda, ale Tomasza a Kempis z rąk nie wypuszczam: filozofija za mało, nie zaspokoi duszy, jedna religija ulgę choć tymczasową przynieść jéj może, a! bo i ta zda się nie wystarczać jeszcze.»

Świętowano Wielkanoc w Tywrowie, powrócił Drzewiecki do Kunki, ale słaby. «Nasz ogródek poprawił się znacznie, donosi dnia 15 czerwca, przepadają deszcze, wegetacya piękna, a liść obfity barwi drzewa, zwyczajnie tępo w Kunce wegetujące; zresztą bez ogródka ciężkoby czas przechodził. Głucha cisza wzywa do rozmyślania, a myśl szuka odległych, a sercu memu ukochanych.»

Jedénastego lipca już były piérwsze żniwa na chleb,... ale razem z niemi i cholera nielitościwa, w saméj Kunce. «Nie trwożyłem was, pisze dnia 16 sierpnia, ale cholera przed waszym z Tywrowa powrótem nielitościwie w Kunce ubijała, na ten moment nie ma już jéj zupełnie. Dzięki Najwyższemu, że tak wiele złego razem zniszczyło wszelkie uczucie bojaźni, wszystko się widzi bez trwogi, i łatwo pojmujemy tę obojętność, jaką mieszkańcy Wschodu okazują na zarazy, które ich niszczą. Siedmdziesiąt osób przez różne téj słabości napady utraciliśmy tutaj. Chleba mamy dosyć, pszenicy szczególniéj... dészcze nam dokuczają i duży procent oddamy zgniliźnie...»

W jesieni dostawszy paszport do Galicyi dla poratowania zdrowia, a może i odwiedzenia syna, wyruszył pan szef, dosyć złą porą, bo w początku grudnia, wszakże ta podróż ciężka, nie uszkodziła mu wcale. «Co za massę zdrowia odkryłem w sobie, pisze dnia 29 grudnia, zwróćcie pamięć na datę listu, co za mrozy, co za gruda na wozie lub gnojowych saniach, dni kilka w zawieruchach. Zdrówszym już wyjechałem ztąd (Kamieniec) pocztą i w dobrze opatrzonych saniach, sądzę, że powrócę bez uszczerbku zdrowia do domowego zacisza, oczekując wiosny, która nas może zbliży...»

I znowu w Kunce i ogródku jesteśmy,— dnia 25 stycznia, szef pisze do dzieci. «Już się wiosna zbliża, będziemy sadzić planty i drzewa. Sprowadziłem krzyż cztéry łokcie wysoki z białego kamienia, piedestał mieć będzie łokci cztéry, a dwa w każdéj ścienie obwodu swego. Stawię go na skale, uplotę gałązkami wina i cieszę się naprzód z jego widoku; dorobić chcę skałę, aż do jego podstawy i napiszę na nim.»

—«*Przyjdźcie do mnie wszyscy, co w ucisku i utrapieniu żyjecie, a ja pocieszę was.*»

«Gdyby się też na nas ziściła ta przepowiednia, żebyśmy kiedyś razem poszli po nad brzeg téj skały, a czytając powtarzali sobie razem. Już zebrani jesteśmy, pod opieką Jego, już pocieszeni z woli Najwyższego,— jakież to miłe marzenie!!»

«Nadchodzi wiosna, czy też mama już w ogródku pracuje, pyta pan szef dnia 25 marca niespokojny, żeby się prędzéj sam jął pracy; ja nie śmiem czynić żadnego nakładu, nie wiedząc jeszcze dla kogo, i tak

wiosna przejdzie bez wielkiego postępu krzyż tylko przybędzie, w tym roku krzyżów, i na tém podobno staniemy. Moja żona chce oranżeryjki, a nowy rządca chce stodoły na zaczęcie wielkorządztwa... wielkim ideom małe ustępować muszą, chociaż zwykliśmy do tego, że się to kończy na niczem już przez lat tyle, a w latach kłopotów większe antreprysy zrobić się nie dają, ale jak mówi Kropiński, puszczaj deresza póki się rwie,... a zatém my pozwalamy na wykonanie.»

«Wczoraj pisze dnia 4 kwietnia— była Kwietnia niedziela; na samą wielką mszą przyszła smutna nowina, że z soboty na niedzielę, o jedénastéj w wieczór ukończył życie Michał Sobański, cóż to za przykre było wrażenie, gdy nam to niespodzianie ogłoszono. Właśnie przed kilką dniami pisał swą ręką list do Jana, w interessach Ładyżyna, wyciąg z odległéj i silnéj pamięci czasu, dat i praw mu służących, a Chmielnickiego i bitwę pod Batowem uprzedzających.— Tak ukończył prawy człowiek, założyciel rodu swojego, syty dostatków, niezmordowany w swych usiłowaniach, który przecież przeżył swe zabiegi, widział ruinę familii własnéj, i pod jéj ciosem umiérał, nie mogąc nawet, ani jednemu z swych dzieci, które uszczęśliwił, dać błogosławieństwa swego. Zmiana losów, trzydziestoletnia przyjaźń, tyle stosunków miłych, tyle uczuć wspólnych, przyjaciół tych samych, zostawiły czarny smutek w skołatanéj méj duszy. Boże zlituj się nad nami! Nie dawno go widziałem i zdawało mi się, że łódka, co go przewieźć miała jeszcze nie była u brzegu, a on już w wieczności.»

«Przy smutkach i kłopotach spowodowanych przeciągnionym w Galicyi pobytem Karola, zkąd go rad był starzec z powrótem oglądać, zawsze ten ogródek i ustrojenie go, zajmowały legionistę.»

—«Stawię krzyż w ogrodzie na skale z ciosu... przed nim idąca ścieżka potrzebuje baryery dla bezpieczeństwa przechodzących, przypominam sobie, żem widział w pugilaresie... rysunków u Frania, deseń Ittara, na którym na żelaznych trójnogach, znajdują się naczynia do palenia w nich gałek smolnych w guście starożytnych zrobione,— przychodzi mi na myśl, że połączywszy takowe trójnogi łancuchem, byłaby baryera, a trójnogi piękną formą byłyby ozdobą i przystałyby do oświécenia krzyża w nocy... przyszlijcie mi rysunek.»

Karol nareszcie powrócił, a z nim pokój do domu... i równocześnie prawie jakby na podziękę Bogu postawiono krzyż ów na skale dnia 15 czerwca. Zaledwie tém nieco uspokojony, pan szef już myślał o dobru ogólnem i wołał wielkim głosem o założenie szkół w Niemirowie. Sam z synem, bo żona wyjechała była do Odessy, lato w Kunce przepędził. «W tym roku mokrym, pisze, podrósł ogródek Kunczański,— był ciągle zielony i kwiecisty, pomału już liść opada (18 sierpnia)— i ta pociecha się kończy, kończy się wszystko na świecie. Myśmy tu w szczególniejszém położeniu, bez gospodyni, cząstka domowników, a przecież znosimy ruch gościnny, i codzień się mienią aktorowie, a teatr zawsze ludny.«

We wrześniu były wybory w Kamieńcu, na które pojechał pan szef, i taką nam z nich zdaje sprawę.

«Mnie tu okryto także względami, ofiarowano mi po kolei wszystkie stopnie wczoraj, których przyjąć nie mogłem dla wieku mojego, lecz chcąc choć w cząstce wypłacić się z długu tak wielkiéj i szczeréj łaski, dziś przyjąłem obowiązek gubernialnego kuratora, abym razem z Franciszkiem pracował w jednym zawodzie. Dziś wielki bal dla jenerał gubernatora, który jak mi się zdaje nie przyjedzie, poświęcony zostanie gubernatorowi i rozjeżdżamy się do domów.

«Pan Rakowski upadł na głowę z Sulatyckim, bo drugi trzy części krések, on zaledwie miał czwartą, tenże los miał z Przeździeckim, który 238 miał za sobą, a przeciw sobie 19. Dozórca honorowy dawniejszy nie chciał się kréskować ze mną, a Starzyński podawać się nie chciał, co mnie mocno bolało, *bo byłby zdatniejszym odemnie.* Posunięto nawet do tego stopnia łaskę, że nikt się nie podał, i dano mi za współ ubiegającego się Lipińskiego, prezesa departamentu piérwszego. R.... o Kamieniecki powiat oparty, bronił się żwawo i zwaleniem wyborów zagrażał, niezrównana roztropność gubernatora temu położyła tamę. Wczoraj powiat Krzemieniecki wotować nie chciał, gubernator odpowiedział, że każdy panem swéj woli, na kogo żąda wotuje, lecz wstrzymywać wyborów nikt nie może... Tak tedy się wszystko skończyło i jutro adres podpisują... Sposób w jaki mnie wybrano, siłę usunięcia się mi odjął, chciałbym teraz tylko umieć czuwać nad dobrem dziatek każdego podolanina.» Wybrany urzędnikiem, nim rozpoczął urzędowanie swoje, w domu niepokój przenieść musiał, z powodu niebezpiecznéj słabości córeczki, pocieszał

go tylko pobyt syna, z którym razem krzątali się około ogródka w Kunce. «My się, pisze dnia 5 października, w ogródku krzątamy, porządkujemy owczarnią, to bawi Karola, mnie rozrywa. On z pochyloną głową biega po polach i lasach, ja zagłębiony w smutku uciekam się do tego, którego litości ufam. Tak przechodzą dni nasze, tak przechodzą na świecie dni wszystkich, z większą żądzą szukających w illuzyi szczęścia, a znajdujących troski i utrapienia. Kończymy oranżeryjkę murowaną, i zdaje się, że w tym roku użytkować z niéj będziemy mogli... Karol misternie urządza pokoik dla siebie.»

Kłopoty gospodarskie wesoło jakoś znosić umiał. «Jeszcze nas nieurodzaj trapi, pisze w październiku, zasieliśmy ludziom i żywić ich trzeba; w roku teraźniejszym posłaliśmy 1700 korcy pszenicy do Odessy i odrwiono nas okropnie na niéj, teraz ledwo 600 mieć będziemy z obu folwarków. Trzeba panu wrócić do żydków, bo z francuzami taka sprawa jak i z niemi, a nawet nie ma pociechy, tak wyłajać jak żyda.»

W ogródku listopad zamknął roboty, choć tam późno jeszcze przywiezione z nad Dniestru Skompie *(Rhus cotinus)* sadzono i w gruncie i w wazonach. Drzewiecki syna wyprawiwszy do Werby, sam na otwarcie szkół się wybierał. Jaką wagę starzec przywiązywał do korespondencyi utrzymywanéj tak starannie, pokazuje się z listu 2 grudnia, po wyjeździe pana Karola. «Daję ci Karola na wychowanie Helenko, pisze, abyś go wprawiła listy pisywać, dni pocztowe

pamiętać— wszak to są nasze domowe memoryały, a każda familija ma swoją historyą...»

Piérwszych tedy dni grudnia pojechał nowy kurator do Winnicy, zaproszony na otwarcie Gymnazyum. Chociaż dodaje, nie będąc urzędnikiem jeszcze, byłem tylko spektatorem tego obrzędu, chcę ci z niego zdać sprawę jako koledze... Nie było miejscowych obywateli, kilka tylko osób interessownych, aby się przypatrzéć, lub miejscowi urzędnicy znajdowali się. Znalazłem dwóch dyrektorów, Kamienieckiego i Winnickiego, piérwszy rozsądny i zdaje mi się pojmuje ważność swego stanowiska... Nie zastałem go o jedynastéj, na którą mnie listem swym zaprosił, bo wszystkich do cerkwi uprzedził, a nauczycieli chodzących po ulicach bez wiadomości, co czynić z sobą mają. Udałem się i ja do cerkwi, gdzie było wedle zwyczaju nabożeństwo, jako w dzień świąteczny, wojsko zacisnęło bardzo szczupłą cerkiew... Kazanie stosowne do okoliczności dnia... Nie dostrzegłszy mundurów edukacyjnych myślałem czy nie w parafialnym są kościele i tam się udałem... Zastałem kilku dawnych nauczycieli, którzy mnie między siebie zaprosili, a że kapelan Gymnazyalny nie był w mieście, zaśpiewaliśmy *Veni Creator* z księżami kapucynami i poszliśmy na sessyą. Tam w klassie zgromadzeni greccy kapłani przy świetle dwóch świec odbyli nabożeństwo dość długie; w przytomności jenerała Samojłowa pięknéj postaci człowieka,... po którem ukończonem czytał dyrektor Gymnazyum Winnickiego, wszystkie papiery tyczące się szkoły, co dosyć czasu zabrało, potém miał mowę do okoliczności stosowną. Za nim mówił pre-

fekt lepiéj od nich, potém ksiądz grecki kapelan dawnego Gymnazyum, a po nich łacińską miał mowę Jagiełło, professor dawniejszy łacińskiego języka, który bieg nauk i nowe dla nich przepisy zapowiadał... Po ukończeniu tego zaczęli kapłani śpiewy duchowne.— Po nich szli błogosławić i poświęcać klassy, a ja się oddaliłem. U marszałka powiatowego byli dyrektorowie, poznałem się z nimi, mówiłem jako reprezentant ojców familij, może pochlebiam sobie, alem się im powinien był podobać z mojéj szczérości niedrażliwéj. Mówiliśmy lekko o pensyach jak nazywają, niechcąc dawać opinii mojéj, nie będąc urzędnikiem i zachowując sobie jak nim będę. Teleszów, podolski, zdaje się, że mnie zrozumiał i dobrze widział me chęci, drugi jakoś bojaźliwszy. Będziemy czynić, co będziemy mogli, aby sumieniu zadość się stało, Boże nam dopomóż...»

Na tém się tedy rok skończył.

Ze zwykłą gorliwością swoją, pan szef, wyczekawszy potwierdzenia na urzędzie, czynnie się zajął spełnieniem obowiązku obywatelskiego, do którego był powołany. Mniéj mamy listów z tego roku, ale w nich są ślady nieustannéj jego pracy. Współcześnie zięć Skibicki był kuratorem Wołyńskiego Gymnazyum, oba więc znosili się z sobą, wśpiérali i w jednym działali kierunku, dla dobra powszechnego. Pan szef odwoływał się do zięcia dodając mu energii, oświecając się jego myślami i niespoczywając na chwilę. W samym zaraz początku kuratorstwa przykra sprawa księdza Kujawskiego kapelana winnickiego, zajęła go mocno i zmusiła odwołać się do Kijowskiego kuratora

hrabiego Ilińskiego, co z wielką energiją wykonał Drzewiecki. W tymże przedmiocie dnia 28 października pisze do zięcia. «Błogosławię twym szlachetnym usiłowaniom, radbym, żeby wszelkie dobro pod godłem imienia twego wychodziło. Winszuję ci powiększenia szkółek parafialnych, zapewne, że prace W. Myckiewicza i Zbytniewa już w gubernii Wołyńskiéj ukończone być muszą, chciejże mnie uwiadomić o środkach, jakie przedsiębierzesz, abym z nich korzystał. Tu są jedynie fundusze duchowieństwa rzymskiego. Mówił mi pan Bokszczanin, że mają być zmassowane na użytek powszechny. Ja do tego wpływać bym nie chciał, jeżeli jak mi zapewniał, przy kościołach szkółek nie będzie. Co do katedr języka polskiego udam się do Kamieńca, będę szukał u marszałka gubernskiego i powiatowych obmyślenia wprzód środków na opłatę professorów i radbym ich skłonić, aby o to wraz ze mną prosili, bo się obawiam brać na azard ich utrzymanie, osobliwie nie wiedząc czy wybrane osoby będą zachęcające, aby je rodzice opłacać chcieli, i mam na uwadze, że prawie tylko sama uboga młodzież składa ludność gymnazyum, a szkoły powiatowe są tylko w perspektywie. Co do W. Krzyżanowskiego, prosiłem go, aby mnie raczył uwiadomić dla jakiego objektu przedstawionym być pragnie, ażebym cię uwiadomił, o interessie szkoły Niemirowskiéj... Oto był wczoraj u mnie Opacki, może być, że to będzie Gymnazyum, przynajmniéj minister na prośbę Potockiego, kazał sobie przedstawić wiadomość o ilości funduszów. Ja prosiłem do téj szkoły za Godlewskim i Gązalem dawnemi nauczycielami, Opacki

prosił za panem Ferronem do języka francuzkiego, za Naruszewiczem do historyi i geografii, za Grudzińskim do niemieckiego, Korsakiem do łacińskiego, języka.».

Pod koniec roku podał pan Drzewiecki wraz z marszałkiem gubernskim prośbę o zachowanie w szkołach języka polskiego i kłopotał się o załatwienie nieporozumień zaszłych między naczelnikami szkoły, ale zdrowie jego wymagać poczynało kuracyi i spoczynku, i dla tego począł się starać o paszport za granicę...

Rok następny smutnie się począł, bo w marcu dnia 25, ukochane dziecię państwo Drzewieckich, Ewelinka, chorująca ciągle, w nocy życie skończyła... boleść matki i ojca na długo po niéj została,... a było to ich dziecię jedyne; to też donosząc o tém w kilku słowach, starzec pisze. «Wejdźcie w rozpacz matki... Cała jéj przyszłość jest w grobie, moja jeszcze w dzieciach moich, to mi łatwiéj znieść to nieszczęście.» Matka musiała oddalić się z Kunki i miejsc przypominających jéj stratę boleśną, a że i pani Skibickiéj podróż do wód była potrzebną, razem udały się w drogę, i do 15 października w Karlsbad bawiły. Starzec przez ten czas jeździł do Werby; zawadził o Krzemieniec, tylu dla niego pamiątkami drogi... i tęsknił sam, bo syna przy sobie nie miał także, na zimę udał się do Tywrowa... i do Kunki... Rok ten jakoś smutno mu przeszedł cały... zdrowie córki, żony, strata dziecięcia boleśnie go przybiły, widać to w listach. Ze wszech stron, pisze w grudniu, dotyka nas

krzyż Pański... Nowy Rok się zbliża, a choć ubiegły przeszedł w smutku, może się następny poprawić raczy.»

Podróżni zimę mieli przepędzać w Dreznie, a starzec cieszył się tylko ich listami, bo i Karol tam był z niemi i troskliwie czuwał nad macochą, która umiała być matką i siostrą. «Gotują tam siurpryzę, pisze Drzewiecki dnia 24 lutego, Helence na jéj święto, portret Karolci od Kostusi, a Kostusi Karol wnętrze ich salonu z osobami na S. Konstancyą, przywiązanie naszéj drogiéj trójki, wzajemna jéj o siebie troskliwość, zgoda w myślach, w skinieniach nawet, jest to, co mnie po ludzku najwięcéj cieszy.»

Ciągniono i jego tam, ale mu się trudno było wybrać i dla urzędowania i dla interessów własnych i cudzych. «Kostusia tęskni do powrótu pisze 7 marca, albo z pewnością chce, żebym przyjeżdżał;... lecz łatwiéj chcieć jak módz wykonać, po wyborach nawet czy zechcą to dla mnie zrobić??.. Pamiętam, że mnie zatwierdzono w styczniu, to paszport chybabym miał na przyszłą wiosnę; na przyszłą wiosnę— to rok czasu jeszcze... Widząc reszty śniegu, widzę, że rok czekać mi trzeba jeszcze, niż druga nastąpi wiosna, a moje siły, a mój wiek! może nowa jaka niedołężność!» Pomimo tych utyskiwań na starość, Drzewiecki spełniał swój obowiązek kuratora gorliwie, w maju wyjechał na objazd gubernii, spotkał się w Kamieńcu z kuratorem okręgu Von Bratke, i z nim razem wizytował szkoły w Międzyborzu, Winnicy i Niemirowie. Przyjmował później pana Von Bratke u siebie, w Kunce. W maju

spodziewał się powrótu żony i córki z zagranicy, oczekując na uwolnienie od urzędowania. «Potém się zakopię (piszę), aż póki nie zagrzebią. Starość bierze possesyą i wysiaduje ją żywo. W środku siódmego krzyża, rachuby przebieżonego już wieku, nie można się sumiennie już podejmować niczego, bo i ciało i dusza słabieją, a ledwie małym familijnym usługom wystarczają.»

Nic mi nie pozostaje tylko was błogosławić... Pamiętam dziadunia, jak oparty na kiju mnie maleńkiego błogosławił tak samo, dobry był staruszek i kochał nas bardzo. Oto los każdego, co ma wiek memu równy, i ja się nań piszę ze spokojnością. Nareszcie podróżni do Kunki wrócili, a z niemi pociecha, ale, kiedyż to nie ma kłopotów, jedne odeszły, przyszły inne!

W kwietniu tego roku do starego przyjaciela Kropińskiego dłuższym listem odezwał się Drzewiecki: damy tu z niego wyjątki. «Co do mnie, pisze, od straty dziecka, straciłem i pokój w duszy i możność władania czasem moim, a od roku jestem jak Wawrzyniec ciągle na ruszcie pod coraz świeżym ogniem. To nieszczęście odebrało zdrowie i spokojność żonie. Myślałem, że się pogodzi dobrze jéj podróż z potrzebą biednéj Helenki i tu się nie omyliłem. Lecz jéj powrót, nieostróżności jakie mu towarzyszyły, co na-

robiły; to już się świat dosyć nagadał, żebym to miał powtarzać...... Nowa bieda! Biedny ojciec syna nie może przytulić do łona— godzien litości. Z położenia mego, ja mu służę z sercem syna i wiele czasu, a prawie oddalić mi się trudno, bo zawsze cóś nowego ma do znoszenia. Pamiętam jak się w Warszawie O...ska w ubiorze Dianny pokazała na scenie, napisano: *Tere bzdere kuku, strzela baba z łuku*, a tu panie jenerale matka żony Metternicha, w stroju Bogini miłości, w 60 roku życia, ściga swego Adonisa, a nie tak syna jak ojca, i nie serce, ale worek chwyta. A choć znakomity minister tę rzecz za niegodną swéj opieki uważa, ale radby się pozbył ciężkiéj i dla niego babuli, radby, żeby sobie odmieniła imie i nie jego już kosztem żyła, a tak baba nie jest bez skrytéj opieki i w Kijowie siedzi. Wołają, żeby ją godzić, a baba dwakroć pięćdziesiąt tysięcy rubli assygnacyjnych za zwiędłe wdzięki pretenduje, a tak się i natura wzdryga i worek ściska na samo o tém wspomnienie, że go tak wypróżnić pragną. W takim rzeczy stanie oddalać mi się nie podobna, póki się rzeczy nie rozwiążą. Inaczéj biegłbym na Wołyń, ucałować ręce łaskawców moich, i widzieć luby Worończyn, gdzie muzy, przyjaźń i wdzięki przebywają. Żona moja korzystając z trochę czasu nim o bracie ostateczną odbierze wiadomość, wyjechała szukać roztargnienia u pani Bobrowéj, a może i sprawunków

w Krzemieńcu. Jestem zatém sam jeden, lecz mam miłą przyjemność oświadczyć, za nią uszanowanie obójgu państwu i t. d.» Pani Lejkam, matka księżnéj Metternichowéj, o któréj tu mowa, miała się za żonę pana Henryka Jaroszyńskiego, z czego się wykupywać trzeba było. Gdy się tu w Kunce tak dzieje, syn szefa jeździł do Nikolska w Wołogodzkiéj gubernii odwiedzić przyjaciela i w grudniu miał nazad powrócić dosyć szczęśliwie tę podróż odbywszy; szef oczekiwał go niespokojnie, osamotniony, i jakoś zapadł na zdrowiu. Rok 1837 zastał go w łóżku: «kilka niedziel, pisze do córki pani Skibickiéj, niewychodząc z łóżka, piérwszy raz dziś (28 stycznia) pióro do ręki wziąć mogę... uderzony silnym katarem, a późniéj dwóma wrzodami w uchu opatrzony, musiałem się położyć i staraniom poczciwéj żony winienem, że dopiéro teraz z téj biédy wyłażę po trochu i jakiekolwiek zajęcie i możność bazgrania odzyskuję...

«Karol (dodaje) swą podróż Nikolską odchorował.»

I w marcu jeszcze skarży się na zimowe cierpienia (26 marca). «Moje zdrowie pochyliło się znacznie téj zimy, nie opuszczałem ciepłéj chaty, aby przetrwać nie tylko dolegliwość ale i obawę być na większe narażonym, nie wiem, jak prędko Eskulapy dom mi opuszczać dozwolą.»

W kwietniu pisany bilecik Ludwika Kropińskiego już nawet nie jego ręką, podpis na nim tylko położył. «Kochany panie Józefie, nie wierzysz jak się u-

cieszyłem zobaczywszy twojego Karola, szczęśliwyś ojciec! obaśmy już ku zachodowi, z tą tylko różnicą, że ty jeszcze widzisz całe zachodzące słońce, a ja tylko brzeżek mały, tém przynajmniéj pocieszony, że w postanowieniu mojéj jedynaczki widzę jéj szczęście.

Twojéj żonie do nóżek upadam, a ciebie stary przyjacielu najserdeczniéj ściskam. *Lud. Kropiński.*

Dnia 26 kwietnia 1837 r. Woronczyn.»

Pociechą dla starca było zbliżające się postanowienie syna, któremu wybrana dozgonna towarzyszka, a siostra rodzona żony pana szefa, obiecywała zapewnić to spokojne szczęście domowe, familijne, które Drzewieccy oceniać jak warto jest umieli, i kładli przed wszystkiém za czém inni się ubiegają... Na Nowy Rok 1838 taki list z Pizy, córka Helena pisała do siwowłosego ojca, który za nią tęsknił serdecznie...

«Zapadł rok— dniem jasnym, pełnym słońca i ciepła... rozstał się wdzięcznie ze światem, składając panowanie krótkie, lecz pełne małych osobistych zasług. Ileż to na ten bieg czasu narzeka, a ileż mu błogosławi! Ten mu jest obojętnym, tamten go żałuje, a on od Boga popchnięty, niczém w biegu nie wstrzymany, spokojnie wyliczał dzień po dniu, tym co go rozmaicie rozrywać chcieli. Nie on to przynosił te biedy, którémi te kraje zasępione widział, gdyż zaszedł z czystem jakby sumieniem, z twarzą tak pogodną, że trudno było nie pożegnać go westchnieniem żalu. Chciał wyraźnie, ażeby go pożałowano i musiał się o to ułożyć z następcą, gdyż ten zajechał posępnie, dżdżysto,

i niwecząc wiele projektów, moich nawet, choć ich tak mało wymyślam, a dla niepogody dni przeszłych w ten dzień właśnie zabierałam się do przejażdżki. Z tych skarg, nie wnoście, ażeby to takiem złem było. Dumając nad przeznaczeniem nadeszłego roku, gdy garniecie się do ogniska, lub wpatrujecie się na białę naturę przez podwójnie zaklejone szyby, o które mroźny uderza wicher, wystawcie sobie pochmurny lub dżdżysty dzień późnéj naszéj jesieni, kiedy powietrze jeszcze nie ostygło, kiedy z parasolem lub w przerwach deszczu można wygodnie i przejść się po ogródku, i owieczki odwiedzić. Oto dni straszne dla Pizy i styczniowa jéj zima. Niech tylko słońce zabłyśnie, już mój mąż ucieka z Lung-Arno, ażeby głowy nie przepalić, Karolcia wychodzi z parasolikiem, a ja od rana do zachodu słońca mam go tyle w pokojach, że w tym gdzie siadam okiennice przymykać muszę.

«Błogosławiona kraino, czemużeś tak od naszéj odległa! Wracając do Nowego Roku, zaofiarowawszy go Bogu przy rannéj modlitwie, podziękowawszy za przeszły, szybko ubiegły, zasiedliśmy do listów, jakby na kolędę przyniesionych; z niemi przeszła część ranku, między uczuciami, to pociechy z osób, to niesmaku z interessów, to ciesząc się, to turbując, umysł wreszcie powrócił do spokojności, dziękując za dobre, a złe poruczając Opatrzności. Zasiadłszy potém przed oknem (choć nie zaklejoném, i źle zamkniętém) rysowałam ładny porcik z drugiego brzegu Arno, ratusz i pocztę otoczoną czekającemi. Ale jakże oddać tę massę uczuć, co pod postacią tego czarnego kłębka, garnie się i ciśnie do kraty listowéj? Kilka wizyt

przyjemnych przeciągnęły się do czwartéj obiadowéj godziny, na obiad zabrali mi męża Boccellowie, z drugiego piętra, ażeby go zapoznać z człowiekiem rozumnym, którego mu wymienili po wstaniu od stołu. Był to syn Lüchesiniego, ostatniego przy Stanisławie Auguście posła pruskiego, prusakiem też pozostał, i zjechał tylko odwiedzieć Lukkę, dawną swą ojczyznę... Nie długo trwało poobiedzie, gdyż Franuś potrzebował wcześnie przebrać się na bal dworski, który białą tylko chustką różni się od partykularnych wieczorów. Wyfryzowaliśmy go i wyświeżyli, jak się należy. Jak gwiazda zaświeciła mi pani Boccella, dla pokazania mi dawno już niewidzianego balowego stroju, a jéj elegancya jest z piérwszéj ręki, w guście wybornym, i na ślicznéj osobie. Wrócili wcześnie, bo dwór tutejszy po sasku swe godziny urządza, zaczyna bale o ósméj, a zwyczajne wieczory kończy o dziewiątéj. Ja zostałam z dobrym kanonikiem, co nas często odwiedza, i z panem Coster, którego córeczka i Exnerów synek, wesoło z Karolcią wieczor spędzili, a tak krzyczeli, że aż pochrypli nazajutrz. My zaś rozmawialiśmy o pizańskich komerażach, kto na bal zaproszony? a kto nie, kto rad, a kto niekontent? i o sąsiadach z Lukki, gdzie teraz bawiła zakłopotana matka króla Neapolitańskiego. Jak na królowę, ma kłopot wcale niepospolity. Po owdowieniu jéj maggiordoma, radaby węzłem małżeńskim zakończyć z nim stosunek, który się bez tego upoważnienia długo obchodził. Chciwy niemiec, którego dla przystojnéj postaci ta pani obdarzyła dostojeństwy i bogactwami, targuje się teraz z poruszoném niby jéj sumieniem i nie daje się

zaprządz w jarzmo małżeńskie, jak pod zapewnieniem mu rocznego dochodu 150 tysięcy neapolitańskich dukatów. Baba nie chce czy nie może dać tyle, nie wie co począć, i dobrze jéj tak. Dość już banialuk, któremi rozrywać mnie chciano na Nowy Rok. Rok ten płynie już z rozpiętym żaglem, gdzież z nim popłyniemy? Oby w zdrowiu i pokoju, na łono kochanéj rodziny, i oby po wspólnych dziś życzeniach, do wspólnych powinszowań.

W ostatnim liście papy, widzę radość dla familii; daj Boże, ażeby różane nadzieje Karola, różanym, a raczéj myrtowym wieńcem uwieńczone zostały... Biedna Karolcia od dni kilku siedzi w domu, bo się zakatarzyła, piérwszy to raz zdarza się jéj, od naszego trzechletniego pobytu we Włoszech, gdzie nie słychać o tych porach katarowych, co kaszlami i kichaniem brzmią w domach naszych zgromadzeń. W pizańskiéj katedrze raz tylko, i to w przerwach kazania, za wspólnem prawie wszystkich chrząknieniem, dobyte chustki od nosa, zlekka przypomniały nam te chóry przeraźliwe, które każdéj wiosny i jesieni, towarzyszą u nas obrządkom kościelnym. Dla Karolcinego kataru, odłożyliśmy także na oktawę Trzech Króli, ulubioną jéj i wszystkim dzieciom *besanę*, ażeby się z niemi lepiéj ubawiła. Dziecinna ta uroczystość, świetniejsza w Rzymie, jest tu trochę dziwaczną, przez wystawienie w oknach rozmaitych figlów, masek i czupiradeł czasem nieprzystojnych. Mój mąż przechodząc wczoraj przez ulicę mocno był intrygowany czerwoną i wystrojoną damą, która nieruchomie przez okno wyglądała, a była to duża lalka.

Dawniéj w wigiliję Bożego Narodzenia, uczniowie uniwersytetu szczególny tu mieli przywiléj. Gdy całą massą z nauczycielami z rannego wracali nabożeństwa, piérwszego spotkanego żyda porywali, stawili na wielkiéj sklepowéj szali, i ile zaważył, tylą funtami łakotek wykupywać się musiał z rąk napastników. Za panowania przeszłego, dziwny ten zwyczaj nie od razu dał się uchylić, a na śmielszych, bo prawem niby obezpieczonych żydów, nacierała jeszcze szkolna młodzież, wybierając nawet samych otylszych, których ledwo donoszono do wagi, a siła zbrojna oswobodzała, odpędzając starszych gniewnych, płaczących młódszych, wszystkich połykających ślinkę. Teraz już o tém nie słychać, tylko ze świéżéj tradycyi.

Ja z domu nie wychodzę, piję mleko ośle, i zażywam pigułki, czuję się też lepiéj, a to lepiéj, pielęgnuję jak mogę, Franuś zdrów, Karolcia wykichuje swój katar. Czas przechodzi spokojnie, ale tak prędko, że obrachować go trudno, a jednak czas to tęsknoty za najdroższemi dla najprzywiązańszych... etc.»

Śliczny ten list, jest jednym z wielu zapewne, któremi się pan szef pocieszał, on co tak kochał tę córkę, którą miał przeżyć.

Pamiętne jest w tym roku Wołyniowi trzęsienie ziemi, które się w naszych prowincyach oddawna nienawiedzanych tym fenomenem, uczuć dało; szef wspomina o niém w liście z lutego 1838. «Jedénastego tego miesiąca (stycznia) po ósméj wieczornéj, wstrzęsła się z nami ziemia, i to mocno nawet... Myśleliśmy o Werbie,— powiedźcie czy ten fenomen, i w któréj godzinie i z jaką mocą się wam objawił.

«Nas tu, dodaje— zadziwiają osobliwością z powiatu Włodzimierskiego— mówią, że jakaś panienka wewnętrznym zapalona ogniem spłonęła, że na jéj zwęgloném ciele został różowy krzyż na piersiach i trochę włosów w formie korony niedogorzałych. Bogobojni cieszą się z tych powierzchownych oznak błogosławieństwa.» Wypadek, o którym mowa nie we Włodzimierskim powiecie, ale w miasteczku Łuckiego powiatu Włodzimiércu, hrabiów Krasickich, miał istotnie miejsce, tylko dziéweczka spłonęła od kominowego ognia, a krzyże wypalone istotnie na ciele jéj były widoczne...

Wśród roku, córka jenerała Kropińskiego, księżna Zofija Czetwertyńska, odwiedziła Kunkę; pan szef pisał o tém do starego przyjaciela z właściwém sobie uczuciem. «Błysnęło słońce w wieku obleczonym chmurami i był to jeszcze dzień Anieli... Kunka nowe przybrała życie, a ja zapomniałem starości mojéj. Tak panie jenerale, twe jedyne i tak drogie dziecię odwiedzić nas raczyło. Wieleż to wspomnień błogiéj przeszłości przyniósł z sobą ten anioł; wiele pamiątek dobroci waszéj przedstawiły się duszy wdzięcznością i uszanowaniem dla was przeniknionéj. Czemuż ta odległość, coby dawniéj znikła przed żądzą widzenia tak drogiéj rodziny w wieku i zdrowiu moim, wszystko czyni niedostępném, dla czegożbym orzeźwiony jak dziś jestem nie miał jeszcze widzieć Worończyna. Myśl, nieraz w jego rozkosznych gajach szuka nie tylko mojego łaskawcy, ale nawet na klassycznéj ziemi śladów Julii i Ludgardy twórcy. Za cóż siły duszy tak są wyższe od możności późnego już wieku? Lecz żądza wiele przezwyciężyć zdoła, tymczasem może Bóg wkrótce zbogaci rodzinę moją, wyszlę syna w dniach piérwszych jego szczęścia, aby się wzmocnił błogosławieństwem waszém, a teraz przyjmcie dzięki za te godziny szczęśliwe jakie miałem patrząc na potomstwo wasze.»

W sierpniu odebrano w Kunce wiadomość, że się PP. Skibiccy z Włoch ruszyli, byli już w Ems, gdzie jeszcze panna Helena wody piła, spodziewano się ich z powrótem, a pan szef z utęsknieniem oczekiwał córki.

We wrześniu opisuje w jedném z listów swych fety, jakie miały miejsce w Kijowie, a których był świadkiem. «Oboz korpusu Rüdigera miał szczęście mieć świadkiem i sędzią swych wojskowych obrótów księcia Paszkiewicza. Cztéry dni jego bytności, były ciągłą fetą, Kijów ożywiony więcéj niż zwykle. Wojsko wybrawszy śliczną posadę na swój oboz, wystawiło salę letnią nakształt Hrehorowieckiéj, lecz od niéj obszerniejszą, bo sześćdziesiąt kroków długą i znacznie széroką, w broń kunsztownie ułożoną ubraną; kolumny z błyszczących w stali rur karabinowych, miały kapitele z pistoletów, sztuczki drobne broni ozdabiały kornisze, z najdrobniejszych ułożono nazwiska miejsc wsławionych zwycięztwy wodza. Orzeł państwa miał błyszczące skrzydła z pałaszów. Tak to wreszcie było misternie i kształtnie urządzono, że nic do świetności nie zabrakło. Tu książę obiadował pośród wojska, tu się odbył bal świetny, i ochotne ognie ściągnęły całą ludność Kijowa, choć do miejsca o wiorst osiem odległego. Świetność była wiel-

ka, mało mieszkańców naszych gubernij przyjechało. Leńkiewicz i Rottermund z Wołynia byli przytomni, z Podola ci, co się w mieście znajdowali. Zdobycie Erzerum reprezentowano w illuminacyi, cyfra Monarchy najświetniéj błyszczała, rozlegały się narodowe pieśni, skoki gymnastyczne i młynki przez żołnierzy odbywane ruch powiększały. Książę uprzejmie dzielił tę ochotę towarzyszów oręża, zaszczytne klejnoty błyszczały na piersiach jego, tańczył wiele, gospodarze byli uprzejmi, feta zakończyła się po północy. Trzy dni manewra wojskowe 30,000 ludzi utrzymywały na nogach.

Tak był obchodzony dzień koronacyjny; w dzień imienia Następcy tronu, był bal u jenerał gubernatora. Ze znajomych, z Wołynia był książę Lubomirski, co ma córkę księcia Maxymilijana (Marcelli) i wiele innych dam. W dniach piérwszych balów odbywał się w Białocerkwi pogrzeb hrabinéj Branickiéj, okazały mnóstwem greckiego duchowieństwa i świetny zebraniem dostojnéj rodziny, obcych nie było.»

Zbliżało się wesele pana Karola, rok schylał ku końcowi, czekano dyspens, aby przenieść się do Tywrowa. «U nas już jest sanna, pisze pan szef w listopadzie, choć na nieumarzłéj ziemi; jeżeli tylko mróz jéj towarzyszyć będzie, młodzi znajdą łatwość dostania się do Werby, czego im szczerze zazdroszczę, lecz nie śmiem towarzyszyć, aby zdrowia wiekiem do odmiany skłonnego nie narazić, i wam kłopotu nie przyczynić. Rozsądek bierze tu nad sercem górę.»

Dnia 26 listopada, wreszcie, nie jak projektowano 25 w rocznicę ślubu ojca, bo piątek przeszkadzał, w sobotę, odbył się ślub syna Karola, a dawał go ksiądz Józef z Brusiłowa kapucyn. List, którym donosi o tém ojciec córce, wesoły i młody, choć krótki. «Podczas wesela, co jest roztargnienia (dodaje w kilka dni późniéj) wyście już zapomnieli przez dziesiątek drugi lat, który już zbiegł od wesela waszego; więc ja wam powiem, bo odnawiam już po raz czwarty, to moim, to waszym przytomny ślubom. Jest to u młodych zawrót serca, u starych zawrót głowy, bez tego się nie obeszło i na weselu Karola... a w przejazdce od zwykłéj poczty oddaleni, możeśmy jaką uchybili.» Piérwszych dni stycznia (3) pan Karol wyjechał do Werby na krótko; pana szefa marszałek Przezdziecki ciągnął znowu do służby publicznéj, od któréj starym obyczajem, choć się wymawiał, czuć, że do niéj zawsze i do ostatka był gotów.

«U nas, (donosi późniéj niezmordowany korrespondent) córce— chociaż jesteśmy w środku polskiego marca, gdzie niegdyś przodkowie nasi kwiaty polne zbierali, lody mogłyby formować głazy, a śnieg wystarczyłby na opatrzenie lodowni Rzymu i Neapolu, a z niemi możeby jeszcze na jakie południowe miasto wystarczyło. Mówię to jedynie o okolicy Kunki. Wczoraj i ja odbyłem wojaż, wyniesiony o sążeń przynajmniéj nad poziom ziemi ślizgając się po wyniosłym naboju patrzałem z trwogą, na prawo i lewo, gdzie spaść mogłem, kiedy co chwila opadające sanki, zsuwały się z drobnemi koniętami w przepaście. Przypominało to barkę bujającą po falach morza....

Ten wczorajszy wojaż był do Zjadkowiec. Hrabia Jędrzéj Chołoniewski, który w swych obiegach w Kunce po kilka razy spoczywać raczył i obdarzał mnie książkami, przysyłając po nie raczył się wyrazić, że jeżeli dbam o utrzymanie z nim stosunków przyjadę zapewnie do Zjadkowiec. Że ludzkie życie krótkie, a sanna już niepewna, korzystałem z wezwania i jechałem; o dwie wersty, mijając mnie silniejszy podróżny złamał mi dyszel, i piechotą powróciłem, ale że już byłem w świetnéj toalecie, co mi się rzadko zdarza, puściłem się na nowo w podróż, i prawem odwetu wywróciłem furę z sianem słabszemu odemnie kmiotkowi i z obciążoném sumieniem odbyłem moją wizytę. Hrabiego nie zastałem, sama po latach kilku niewidzenia była tak dobrą, że mnie przyjęła. Rozmowa jéj wielce zajmująca, jedzie mieszkać w Kijowie wychowywać syna, który zaczął w Wiedniu nauki, a że je tu kończyć mu potrzeba, rozpoczyna je na nowo w Kijowie, z nim matka na lat trzy osiada.»

—«Myśmy jeszcze pod lodem i śniegiem, (pisze późniéj), choć jesteśmy o $^{3}/_{15}$ kwietnia, spoźni się zasiew wiośniany, a co z jesiennego będzie jeszcze niewiadomo, chociaż najgorzéj o nim wróżą, ale bez zasady. Tak to życie idzie między troskami, a nadzieją.» «Doskonale w tymże liście opowiada o gospodarstwie Karola w Rosochowatéj, którą on od pani Drzewieckiéj dzierżawił.» Karol puszcza się na rolnika z całą siłą imaginacyi i woli, jakie go cechują; jest tedy od świętego Jana possessorem Rosochowatéj i wiośnianych dla siebie zasiewów dogląda. Matematycznie wyrachowuje nakazując każdemu ziarnu pożytki, jakie

mu przynieść powinno, odprawia nieszlachetne, używa te, których przyjaźń obiecuje mu korzyści. Jakiś tu pokazał się gość w rolnictwie, jakaś pszenica jara, któréj w tym roku potrzebowano w Odessie, ale, że jest jeszcze rzadką, trudno się nawet zaopatrzyć w nasienie. Wszystko jest w ruchu, aby dostać hyrki, jest to szlachetne imie nowonarodzonego produktu, rzodkwi jakiejś, co oléj daje. W tę już nowy rolnik zaopatrzony, mierzy na całe miejsce dla każdego ziarna, co mu ma dać obfite oświecenie z mnóstwa oleju, jakie otrzyma. Zresztą len łanami siany zabezpiecza pożytki, a gdyby się i nieudało, to po żyżności ziemi, w sercu dziedziczki pewność najlepsza niezawodnych korzyści; a energija w tę stronę zwrócona, gdyby tylko sama zwiększyła doświadczenie i czasowi zatrudnienie obmyśliła, to już wielką dla nowego gospodarza zostanie korzyścią. Sądzę zatém, że się będzie śpieszyć do obsiewów i ścisłego nowych planów wykonania. Oto jest jedyna gawęda z osamotnionéj Kunki, którą ci przysłać mogę; ale w tych gospodarskich zmianach ucywilizowanego rolnictwa, w cóż się obrócą nasi dawni znajomi? Zkąd będzie kasza przyjaźna grzybom i młodą słoninką omaszczona, gdy jéj matkę hreczkę wymażą z posiewów: zkąd perłowy krupniczek? nie wspominam o pierogach i tylu przysmaczkach lubych w młodości mojéj. O czasy! o obyczaje!— a ja dodam: O! rolnictwo! wszystko podległo zmianie. Czy się to da usprawiedliwić doświadczeniem, o tém wkrótce powie Ukraina, gdzie młodzi właściciele wiele podobnych przedsięwzięć rozpoczęli...»

Wybierał się później z wiosną pan szef do córki i sądził, że mu zdrowie do téj podróży nie przeszkodzi. «Téj zimy, pisze 12 kwietnia, miałem serce pełne nadziei, że cię widzieć będę i ciągle gotowałem się do tego, dnia każdego uchodziłem werst kilka i zawsze parę godzin przechadzki odbywałem; odbywam ją po raz drugi ze zbliżoną wiosną, tak, że będąc wiele na powietrzu, zbywałem zmiany katarem i zdaje mi się, że się nie mam czego obawiać zmian powietrza w przyjaźniejszéj porze roku. Od dwóch dni dopiero widzimy wiośniane słońce, zeszły z pola zamrozie, nawet ją wiatry osuszyły i siejba się zaczyna, gdy wielka droga jeszcze jest bardzo komicznym widokiem, bo na niéj wielki nabój nie daje się dotąd promieniom słońca i na deszcz oczekuje, do którego jednak przygotowania nie widzimy na niebie. Zdaje się, że pszenica nie jest tą zimą uszkodzona i wyszła dobrze z pod śniegów, kiedy żyta po troszę ucierpiały, a co wiosna uczyni, z pokorą oczekujemy, bo w téj krainie wiosna dopiero stanowi pewność urodzajów, i często najświeższa zieloność nie zapewnia trwałości, jeśli łatwą do stwardnienia rolę ciągłe deszcze nie odwilżają. Jeszcze żadne bydle, owcę nawet listka nowéj paszy do dnia dzisiejszego ku pożywieniu nie znalazły, i kto nie miał zapasu paszy, o co tu mało dbają, bez szkody nie pozostanie. Nas dwoje w Kunce pędzimy pustelnicze życie, które jedynie czas podzielony między zatrudnieniem i przechadzką znośnym czyni, a czasem, a bardziéj często jakiś zbiedzony kozaczek przywiezie listy z Tywrowa, albo poczta obdarzy niemi; jednak mimo takich śnie-

gów i lodów skalistych, tak to powolnie niknie żeśmy wezbrania wód nie mieli wcale, a nawet lody na Bohu nie łamały się, lecz w lekką pianę obrócone zostały; ale aż do tego momentu zatrzymało się ich rozpuszczenie, oto jest historya czasu...»

Tak to spokojnie poczciwe starca płynęło życie: dzieci, gospodarstwo, listy, trochę książki, zajmowały go tylko jeszcze, zdrowie słabło jednak,... a podróż do Werby z powodu paszportu odwlekała się od dnia do dnia.

Zdaje się, że w tym czasie, obawiał się pan szef być znowu powołanym do marszałkowania, bo w liście jego znajdujemy o tém wzmiankę...

Paszport nadszedł, szef usiadł do powozu i oto, co pisze z Werby dnia 13 czerwca. «Wróciła mi się młodość, jak dali pozwolenie jechać do Helenki we czwartek, wsiadłem na wózek w piątek i zrobiłem mil trzydzieści w jednéj dobie...»

Tak to się dawniéj kochało i żyło!..

A cóż to za śliczna odpowiedź synowi odradzającemu, ażeby kłopotu urzędowania w późnym wieku nie brał na siebie; posłuchajmy, bo to nauczające poświęcenie takie. «Co do mojego urzędowania, pisze z Werby dnia 27 czerwca, które twój gniew synowski obudza, wspomnij, że masz ojca i przyjaciela w starowiercu, co w długiém życiu nic nie pragnął dla siebie, schodził i wchodził w obowiązki jak wymagano po nim, i zajmując posadę nie targował się z powinnościami, jakie nań wkładała. Kto ma takie dzieci, ten ocenia spoczynek domowego życia, bo mu do-

brze na świecie, i lepiéj w Werbie jak w piérwszéj świata stolicy; ale mnie szukano w ostatniéj potrzebie, aby nie brakło szlachcie jakiegoś naczelnika reprezentacyi... nie potrzeba się wyłamywać, aby po burzy cóś wyratować z pożaru. To ci wytłómaczy dla czegom się nie wymawiał, i dla czego ani na chwilę nie przekroczę urlopu, choć wejść w urzędowanie w moim wieku i położeniu nie ma już powabów...»

Dnia 30 czerwca wyjechał pan szef z Werby na powrót do domu, pożegnawszy czułym listem nieprzytomnego zięcia, na Łuck i Płoskę udając się do Kunki, a podróż mu wcale nie szkodziła, choć ją szarabanikiem po żołniersku odbywał. «Ja tyle życia nabrałem w Werbie, pisze z Tywrowa już, i tak mi posłużyła podróż, że mi winszują mojéj dobréj miny. Szarabanik przesuwał się między ulewami, wciskał się na moment między chmury, uciekał od nich śpiesznie, tak, że ledwie pokropić mnie zdołały, i to tak lekko, że w dniu jednym spotykałem błoto i kurzawę po wiele razy, a chłód tak był miernym, żem uniknął gorąca i wszystko poszło należycie. Dumałem o was i często nie wiedziałem, jak mnie na inną zawieziono okolicę, byłem sercem i myślą w Werbie: nic się nie psuło w powrócie, błota nie czuły konie, poczty nieuczęszczane dawały mi wypoczęte. Słowem Bóg czuwał i wasze życzenia towarzyszyły méj dobréj doli. Powiadam ci, że pragnę, abyś szarabanikiem jechać mogła, i jak twój ojciec przelatywać przestrzeń tylu mil z równym mojemu pośpiechem... i mieć twój wiek młody, a moje stare zdrowie...»

Ledwie wróciwszy, pan szef stawił się do przysięgi

i objęcia urzędu marszałka hajsynskiego. Śmiejemy się zwykle z tego tytułu i urzędu; ale zaprawdę, ciężki to kamień u szyi to sponiewierane marszałkowstwo, na którém się za wiele odpowiadać musi, a nic prawie zrobić nie może, i wielka ofiara kto czując niedogodność takiego stanowiska, ochotném sercem na powolne i zapomniane, często wyśmiane ofiaruje się męczeństwo. Weźmyż teraz ile wysłużył Drzewiecki, jak i gdzie, i uczyńmy go sobie w myśli maluczkim marszałkiem jakimś hajsyńskim, a ocenim poczciwą serca jego obywatelskiego ofiarę. Ale na pociechę szef przywiózł sobie z Werby jakieś osobliwsze piwonije, które pod oknem posadził, a jak dziecię jeszcze naiwny staruszek, bawił się niemi...

Nie zmartwił się bardzo, ani gradem, co mu Kunkę trochę przetrzepał, ani ciężarem gospodarstwa na Kunce i Rosochowatéj razem, bo pan Karol dezerterował do Krymu i Odessy z paniami, trochę dla zdrowia, a trochę dla żyłki podróżowania. Jednak gderze pan szef w liście trochę... «Możeby Karol był zyskał na tém, żeby się do Krymu nie oddalał, a zostawiwszy żonę swoją i moją w Odessie, dojrzał swojego zbioru, bo nie myślę, żeby w Krymie dostał żeńców, a ludność Rosochowatéj zaszczupła na tak wielkie i szczęśliwe plony...»

A daléj jeszcze: (dnia 18 lipca) «doczekaliśmy się listu od Karolowstwa, widno nieład w tym modnym wojażu. Wyjechali dnia 13 lipca pyroskafem do Krymu, wziął Karol pieniądze i zdaje się morską wodą kwit na nie napisał, tak się domyślam, bo go prze-

czytać nie można... W dodatku, gdy im człek zachorował w Odessie, wzięli kogoś z szynku i puścili się tak z nim bezpiecznie jakby brzegami Renu, gdzie są miasta i oberże, do kraju pustego... Bóg to wie czy pójdzie dobrze, a przynajmniéj wygodnie...« Byle praca i zajęcie, nie opuści wesele, i tak pisze do córki. «Wyjeżdżam do Hajsyna, co za rozkosz! spekulatory prawniki, sędzie, czynowniki, wkrótce nawet gubernator ma odwiedzić, trzeba, aby zastał czynnego marszałka powiatowego. A w Opiece nie ma ładu, siedź marszałku bez obiadu, wlazłeś w kosz, bądźże grzybem... wszak tak? czy inaczéj; ale wszystko jedno, a to wszystko dla otrzymania tych biednych 28 dni, aby widzić Helunię. Na ciebie spadają tedy moje kłopoty.» Nic to, że urząd wymagał podróży, staruszek umiał temu podołać, do Winnicy, do Kamieńca, do Brahiłowa, jeździł niczem się nie turbując, tylko tém, że listów w porę od swych podróżnych nie odbierał. I tak o podróży donosi dnia 13 sierpnia. «Gorąca były wyżéj stopni czterdziestu na tamtych skałach (w Kamieńcu); lecz dziesiątego w nocy burza z gradem tak była mocna, że zmieniła temperaturą i z jedénastego na dwunasty, gdybym był przypadkiem nie miał Sławuckiéj opończy, którą do flanelowego płaszcza dodać musiałem, aby nie drżeć od zimna, możebym ucierpiał na zdrowiu. Bytność jenerał-gubernatora, późniéj wizyta powiatów i uregulowanie przez lat kilka czynionych opuszczeń, które mi polecono, odjęły mi wszelką nadzieję pozyskania uwolnienia nawet na dni 28; więc nie pochlebiam sobie, abym miał szczęście być u was— służba swobodę

traci... Myśmy w Kamieńcu smutną musieli wyznać prawdę o powszechnym nieurodzaju, i prosiliśmy o rozebranie połowy zsypki w oziminie na zasiew, a drugiéj połowy na wyżywienie... prosiliśmy także o niepłacenie w tym roku podatków z rozłożeniem ich na lat trzy bez sztrafów...

«Oczekuję z upragnieniem trzech książek, które mi Helunia wskazała, potrzeba rzucić się w stronę przeszłości tak blizkiéj po obiegu dość długiego życia. Kruszcie się i módlcie, powiedziano wszystkim, a nie dopieroż temu, co siódmy krzyżyk ma na ukończeniu...»

Przypadek złamania ręki ukochanéj krewnéj, matki zięcia pana Skibickiego mocno przejął starca, o wypadku tym dowiedział się we wrześniu, i w liście do córki wyraził całą boleść, jaką uczuł po téj stracie.

«Za wiele, za wiele przykrych uczuć myśl moją tłoczą, przecież jest Bóg, wyście zarobili na jego opiekę, to jest tylko hurza, co poprzedza nowy wschód słońca— nie wierzę nieszczęściu, nawet kiedy to piszę. «Dziś jest ósmy, dodaje— Narodzenie Matki Najświętszéj, byłem w kościele i lżéj mi na sercu... był ksiądz Józef kapucyn dawniéj prowincyał, co chrzcił Karola... oddałem Bogu nadzieje moje i jestem spokojniejszy... Bóg nas nie opuści, wytrzymaliśmy tyle prób cierpliwości, mamy jednę więcéj, czas zmiłowania nastąpi po niéj...»

W Odessie panie podróżne miały wypadek z końmi, które je ponosiły i powóz pogruchotały, a stary legionista także cóś podobnego w Hajsynie doznał.

«Przyjechałem do Hajsyna z Przezdzieckim, pisze w tymże liście, który moim powozem pojechał na ogląd owiec księcia Anhalt-Ketten; ja potrzebując kogoś widzieć daléj mieszkającego, wziąłem wózek za interessem do mnie przybyłego obywatela... mnie konie uniosły za miasto po pięknéj równinie ku Hrużce... Gdy się konie wstrzymać dały, nie chciałem ich więcéj probować i wróciłem piechotą... Rozpieczętowuję list, który mi tylko co z poczty oddano, a piérwsze słowa, jakie w nim znalazłem, były o przypadku z ponoszenia koni... Czytałem je, tylko co sam doznawszy podobnéj przygody... Alboż nie dziwny wypadek? Materyał do pamiętników, gdybyśmy je pisali, ale my czytać stare wolimy,... bo i pisać mi nie wesoło, jak i żyć.»

Szał urzędowania, jak go w liście jednym zowie Drzewiecki, chwytał go ilekroć miał co do spełnienia i nie opuszczał aż w spokojnéj Kunce, do któréj z Hajsyna powracał oddychać w najlepszém zdrowiu, póki trwała pogoda. Ale mu tu długo odpoczywać nie dawano. «Byłem na granicy powiatu, pisze 1 listopada, rozstrzygać sprzeczki między przewrotnémi; każdy chce widzieć sprawiedliwość po swojemu, a ten najmniéj stęka którego odarli, oto cała korzyść z téj podróży...: Niebo było w takim stanie w jakim mi go malujesz, droga niewygodna... ale niemiłą podróż osłodziły po drodze odwiedziny domów gościnnych. Dziś w Winnicy pańskiéj, zaczyna się winobranie, to jest nabor rekrutów... przykry obowiązek dla biorącego, nie malarska postać obrzędu, a jeśli się wzdrygną artyści i matki zapłaczą, wąsate kapitany spójrzą łakomie pragnąc szerokich łopatek... Dni 24 odbędę w Hajsynie mieście więcéj do Łokacz niż do Włodzimiérza podobnym, a jeśli Bóg za grzechy nie policzy, to czas gorzko stracony...»

Nabór trwał dłużéj podobno niż czas zamierzony i siedmset ludzi przyjąć na nim było potrzeba; zmęczył się dobrze staruszek, ale i to wesoło przeniósł, jak wszystkie najcięższe życia obowiązki. Początek roku nowego zasmuciła wiadomość o zgonie jedynéj córki jenerała Kropińskiego. Serce szefa uczuło ją tak żywo, jakby własną stratę. «Powróciłem do Kunki, pisze dnia 8 stycznia— i znalazłem list księcia Kalixta wzywającego mnie, abym zapłakał z nim— czułem, że mi to miejsce wybrać należało, alem przyjechał do Kunki nazajutrz po dniu smutnemu obrządkowi poświęconym i spełnić tego nie mogłem, tak tylko w oczach Boga zapłakałem na nędzę człowieka i prosiłem o litość nad resztą téj rodziny, co może nie prosi za sobą. Zresztą nic to wprawdzie nowego, ale sercu zawsze się nowém wydawać nie przestanie...»

Oto kilka słów o kontraktach. «U nas jest to chwila sztucznych kłopotów przed wyjazdem do Kijowa: ci co się pysznili kredytem gniewają się na natarczywe żądania zwrotu, jakby pożyczać tylko umieli... ci co cóś zebrali, filtrują każdego, żeby późniéj nie cierpieć za wiarę... Obmowa majątkowa, albo odgłosy fałszywéj możności są w ustach każdego... u jednych co krok to *magnat*, u drugich każdy prawie *bankrutem*. Biedne ludziska, których podstęp nieuczciwy w znacznéj liczbie chleba pozbawił, nie wi-

dzą jeno samych szachrajów... My dzięki Bogu spokojnie spełniwszy, co od nas zależało, spokojnie poglądając na to siedzimy.»

«U nas odelgi, czas lekki, nawet ciepły, (donosi regularnie raport zdając córce ze wszystkiego szef... dnia 19 stycznia) dla tego, co lat cztérdzieści, jak widział Włochy. Wszyscy się turbują utratą sannéj, stękają na brak mrozów w czasie kontraktów i samych transportów. Dogodźże tu ludziom... My właśnie w samotności czytamy wojaż do Szpicbergu, jako lekarstwo przeciw zimowym tęsknotom, w domu, gdzie mrozy przesiękają ściany, kiedy drudzy używają powrótu czasu tak dla nas nieznośnego...»

Rok to był istotnie nadzwyczajny, w styczniu rozpoczynać się zdawała wiosna. «Nadzwyczajna zmiana w powietrzu, deszcze, ciepło, wczoraj (26) ulewa z błyskawicą... taki stan atmosfery i wniosek, co się z drogami zrobić musiało mocno nas niepokoi. Ta noc powiększyła przykre wrażenie, ulewa przed północą, po niéj wezbranie wody, tak, że w zwyż grobel na łokieć wyniesiona pędem kaskady zdawała się, że zabierze i zmiecie wszystko na swéj drodze... lecz zamarzła grobla spuściła po lodzie wody... i tylko na mniejszych grobelkach porobiła szkody...»

«Ksiądz Brudzyński przypomina o przepowiedniach na rok cztérdziesty, że go Francya uważa za największy w historyi, Hiszpania za rok ostatecznego sądu, Grecya za rok nowy wielkości swojéj, Niemcy za rok powszechnéj klęski... ja uważam go za nadzwyczajny, sprzeczny kalendarzowi, a dla podróży pani Karolowéj nieznośny... Wczoraj u nas błyskało potężnie, dziś posyłałem do Hajsyna, przejechać ciężko dla wód w okolicy wezbranych, i dla tego poczty nie doszły jeszcze...»

Te nadzwyczajności powietrzne z nieprzyjemną dla marszałka połączyły się klęską niedostatku powszechnego. «Ja pokaszluję pisze dnia 6 lutego— jest to zegar, który starość donosi, że już przyszła... nie daje mi to złego humoru... ale co mnie smuci, że nieurodzaj roku przeszłego w powiecie czuć się daje, a gdy się kto do policyi skarży, że nie ma co jeść, ta go do marszałka odsyła. Noszę wprawdzie imie Józefa, ale męża Maryi, a byłoby wygodniéj pochodzić od tego, co był dozorcą śpichlerzy w Egipcie... Lecz tamten siedém lat zbierał czegom ja nie umiał. W powiecie na polu nie wiele było, kiedym nastał...»

W lutym przecie przyszło znowu wszystko do porządku, sanna wróciła, a państwa Karolowstwa oczekiwano na powrót w Kunce z podróży wołyńskiéj... Marszałek około ogłodzonéj części powiatu się kręcił, obmyślając mu zarobkowanie i przeżywienie do nowych zbiorów. W marcu wybory na deputata do nowéj kommissyi legitymacyjnéj na 26 naznaczone, po mimo przykréj pory, wywołałyby z domu staruszka, który nic opuścić nie chciał— ale drogi okazały się nie do przebycia, bo do Kunki na S. Józef przybywających gości, wołami wyciągano. Wylanie rzeki Sobu, przedzielającéj Kunkę od Hajsyna, nawet z tem miasteczkiem komunikacyą przerwało... W kwietniu jakoś przecie oschło, stary wyszedł do ogródka oglądać wychodzące z ziemi piwonije z Werby przysłane i niemi się bawił. «Dziś, dnia 26 kwietnia oglądałem ogródek— pisze... pochwalmy się naszém staraniem, wszyst-

kie bowiem piwonije wyszły już z ziemi, gdy te, co później przywieziono z Tulczyna, jeszcze znaku życia nie dały... Bzy się rozwijają, sądzę, że ukwiecę nadejść mającego wnuka... będę mu ich kwiaty sypał na kolebkę, aby z otwarciem oczów Werbę znać się nauczył.»

«W ten moment, dodaje, u nas piękniejsze niebo niż ziemia, zima wymroziła wszystkie późniejsze zasiewy, mniéj od Hajsyna ku Podolowi, a więcéj ku stepom, tak, że tam nawet połowy ozimych zasiewów nie pozostało ocalonych... A że to już rok czwarty jak niebo tak skąpe dla téj okolicy, cała nadzieja na jarzynie....» Lud co powszechnie później sieje, w ogólności wszędzie ucierpieć musi i na jarzynie pozostanie, daj Boże by dopisały, bo inaczéj bieda będzie.»

Dnia 12 maja starzec powitał wnukę i dał jéj imie ukochanéj córki— Heleny... donosząc jéj o tem listem drżącą od radości pisanym ręką. Chrzcił dziecię ten sam O. Józef kapucyn, który ojcu jéj chrzest i ślub dawał... Starzec wyraźnie odżył, ogródek, o którym oddawna nie pisał, w tym roku znowu zaczął go mocniéj obchodzić, a ta siwa głowa wśród zieleni i kwiatów szczególniejszéj piękności jest dla nas obrazem... dla tego ilekroć się rozpisze o swoich zielonych wychowańcach, powtarzamy jego wyrazy... Ogródek, daje nam zasmak piękności Werby w pokoleniu rozmnożonych krzewów, których w wielkiéj części ona była matką i dobrodziejką. Spoźniona wegetacya bzów spotkała się ze spireami, włoską kaliną i piwonijami i coś miała czarodziejskiego w miej-

scu szczupłém, i tak do domu ciasno zbliżoném. Akacye teraz jéj miejsce zastąpić przyszły, a rok wilgotny przeciągając kwietnienie, ciągłe ich następstwo utrzymuje... Nawet szkody zimowe w polu dotąd nie każą rozpocząć, bo się oziminy poprawiły, a jarzyny rosną szczęśliwie. Mnie się zdaje, że ten rok jest obrazem naszych zatrwożonych nadziei, które dobry skutek uwieńczy przecie, byle tylko tak wytrwało do końca, nie jak w roku przeszłym, gdzie grad wymłocił, gdyśmy najlepszą przyszłość rokowali... Ale to tylko o téj części kraju gdzie Kunka, mówić można, bo za Hajsynem ku Humaniowi i ujściu Bohu, i na Pobereżu mocno chybiło, ku Kamieńcowi urodzaj wyśmienity...»

Jakiż piękny znów ustęp, pełen spokoju w tym liście z dnia 26 czerwca... «W ogólności więcéj smutku niż przyjemności, myśleć o téj społeczności, którąśmy w tak świetném położeniu widzieli w czasie młodości waszéj, i jak mu dziękować należy, że nasz byt mierny ocalił i spokojności domowéj używać jeszcze dozwala, a mnie na ten wiek czuć, myśleć i raźno włóczyć się po téj ziemi, patrzeć na was i błagać sobie o szczęście wasze. Takie myśli są w ustronném życiu jedyném zajęciem, po przerywających się stosunkach ze społecznością, która co moment usuwa się w przeszłość przedemną. Często widzę ludzi podeszłych, co mnie doganiają siwizną i naprożno pytam o tych, których znałem, gdy dziećmi byli, a wnuki ich nie wiedzą już, żem był przyjacielem dziadów... Za to młoda domowa społeczność zdaje się mnie zatrzymywać na ziemi.»

W liście z 18 października jest opis okolicy jednéj i zamku nowo wystawionego, który pan szef prawdziwie *con amore* wykonał. Jeździł on na ślub pana Oktawa Jaroszyńskiego, i tak tą podróż swą córce opowiada. «Szóstego października opuściliśmy Kunkę, jechaliśmy na Ładyżyn, jakby izraelita przez zniszczony Sion, wieleż to drogich sercu wspomnień snuło się w myśli! Tam Boh przebywszy i zamknąwszy oczy wyjechaliśmy daléj— trzeba nocować w Wierzchówce, noclegi w naszym kraju nie należą do rzeczy najlepszych... Ztamtąd siódmego dojeżdżaliśmy do zupełnie obcéj krainy hajdamacką zwanéj. Szpak jeden, z osadczych łotrów zebrał gromadę, lecz nie utworzył Rzymu. Szlak wielki hajdamackich napadów nosi dotąd jego imie. W kraju górzystym i lesnym po długim ubiegu czasu, nastał nowy właściciel i zawstydził się nazwiska Rozbójnéj, w któréj zamieszkał, nazwał ją Czatnominem, ale nadzwyczaj ozdobił. Trzeba było wytrwałości, aby łożyć lat szesnaście nakłady w jednéj stałéj myśli i planie, i doprowadzić ją do tego stopnia na jakim zabłysły przy ślubie córki. Na wysokiéj górze panującéj okolicy, w miejscu zkąd łotry śledzili kraj sąsiedni, stanęła budowa w guście włoskim czworoboczna, kolumnami koryncknemi ze wszech stron ozdobiona, spadek góry stał się przystępny, widoki obszerne ze cztérech balkonów na rozległe okolice. Wielki las przecięto aleją, która na prost do zamku prowadzi przez piękny zalew wody, okazując jedną jego stronę w ramie ozdobnego lasu... daléj dwie szerokie doliny, niegdyś hajdamackie łożyska, dziś warte zdobić okolice stolicy... W odległości zabudowana wieś więcéj niż porządna, któréj ogrody spadają ku wodzie i razem śliczny robią widok. Zajazd przed dom obszerną ze starożytnych drzew aleją, a w okolicy wierzchówki letnie dęby koronują wzgórza i są zostawione tak trafnie z wyciętéj puszczy, jakby ją ludzka ręka sadziła za czasów Ludwika cztérnastego, bo w tym smaku właśnie urządzono okolicę. Nowoczesny dom zdaje się podrzeźniać z dawnego Szpaka pomieszkania, i należećby powinien do Lubomirskich dawnych i możnych Pobereża właścicieli... Dwa salony włoskie zdaje się, że przypłynęły morzem Czarném wzięte gdzieś z za Apeninu...»

Uwolniwszy się od nowego naboru rekrutów, na jesień siadł w domu troszcząc się tylko gospodarstwem i dziećmi swemi. Na święta wybrali się wszyscy do Tywrowa.

Cóś jednak zdrowie szwankować poczynało, a starzec i na to poglądał z pogodą sobie właściwą. «Moje zdrowie pisze w lutym, tem bezpieczniejsze, że wraca powoli, naprzód uczę się chodzić, i choć z pomocą dla ostróżności, ale codzień po pokoju cztéry werstwy uchodzę... Dziś piérwszy raz jeździłem na spacer, czas był piękny, sądzę, że każda przejażdżka będzie coraz korzystniejszą, i jak się na powrót oswoję z powietrzem, wygrana przy mnie zostanie, bo wewnątrz czuję zdrowie w sobie... U nas dotąd czas śliczny, pogoda, choć śnieg taje, ale drogi nie psuje.»

Wszystko go zajmowało i zdrowo umiał sądzić, była to chwila, w któréj się literatura żywo rozwijać zaczynała w prowincyach naszych... oto co o niéj po-

wiada (13 luty 1841). «Z kontraktów napłynęło książek polskich bez końca w okolicę naszą, i byle oczy starczyły, możnaby rok cały opędzić czytając je; może z nich wiele nie przetrwa próby czasu, ale jak zadziwiającą ta literacka gorączka, w któréj każdy nie tylko pragnie pisać, ale pisze wiele; przechodziło oświecenie i talenta koleją po ziemskiéj kuli, zdaje się, że teraz wzięły drogę przez ziemię naszą, dążąc zapewne daléj z pośpiechem jak po żelaznéj kolei, ale najdziwniejsza, że to nastąpiło w czasie, gdy właśnie język najmniéj miał do rozwinienia pomocy.»

Pomimo tak czerstwo i w pełni przechowanego życia, znać jednak wiek coraz więcéj ciężący na starcu...

—«Ja przetrwałem dwie części zimy jak stary dąb Kunczańskiego lasku, a choć na marzec drży starzec, ja się nie boję, bo moja dobra rodzina uchowa mnie od złego. Codzień przecież chodzę połykając powietrze, jakiém Bóg darzy, i to mnie wybornie służy; jestem sobie przygłuchy i to w czas właśnie, kiedy słuchać nie ma czego... Jak się zjadę z wami, głos wnucząt przebije zawady...»

Oto kilka myśli o wychowaniu, które w liście lipcowym z powodu projektów PP. Skibickich kreśli.

—«Im więcéj wymagamy, tém się większe przedstawiają trudności, tu mi się przecie połączać zdają; zastanowienie się przy wychowaniu nad ogólnym postępem świata i nad potrzebą niestracenia rodzinnych uczuć, związanych ze szczęściem i spokojnością domowego życia, tu się jedynie połączyćby mogły te dwa warunki. Cnotliwy przyjaciel matki nie da zapomnieć kraju, jego obyczajów, zastosuje i skieruje uczucia

do potrzeby i nie zrobi dziecięcia cudzoziemcem chociaż go oswoi z europejską oświatą... zastosowując ją do przyszłych jego przeznaczeń.»

«Posyłają dzieci za granicę, aby wiadomości nabyć mogły, lecz w ręku obcych nabywają razem wstrętu do swoich i przynoszą z sobą zaród niesmaków, które się w domowém życiu odbiją... Lecz (kończy z delikatnością najwyższą) chcę szanować nawet przeczucia tak dobrego ojca.»

W tym roku skończyło się marszałkowskie urzędowanie pana szefa. Oto jak opisuje wybory nowych urzędników, które miały miejsce we wrześniu. «Piękna jesień u nas, a ja nie w drodze, zazdrościłbym Karolostwa przyjemności, gdybym im czego mógł zazdrościć. Kamieniec był ożywiony, wielu artystów muzyków, chcąc z przeszłego czasu korzystać, dzień i noc bawili publiczność, zdaje mi się obojętną na te przyjemności. Trzeba było narzucać bilety, wymagać ich przyjęcia... Śpiewaczki śpiewały o południu, konne sztuki, po nich teatr, po sztukach koncerta, w wieczór tańce... ani chwili spoczynku... Pobożne śpiewy greckiego kościoła przed zaczęciem wyborów, mowy biskupie przy przysiędze; wszystko to jedno po drugiém bez wytchnienia... znużyło nas tak, że każdy uchodził potém szukając spoczynku przedewszystkiem... Może być, że to ja moje tylko opisuję uczucia, zatem przepraszam was, za tak chłodną relacyą. Mieliśmy wielką rzecz pod ręką. Przysłany z Peterzburga, a mieszkaniec Kurska, niegdyś wychowaniec Krzemieńca Studziński, jeśli mnie pamięć nie zwodzi, proponował

w imieniu domów handlowych i assocyacyi we Francyi zakupno krociów czetwertni pszenicy w guberniach morzu Czarnemu przyległych, na lat dziesięć, po cenie rubli assyg. piętnastu za czetwert w Odessie. Brał na siebie spławnym uczynić Dniestr, rzucić do niego drogę żelazną od Tyraspola do Odessy, słowem porobić cuda... Zdawał się mieć nadzieję protekcyi rządowéj, okazywał listy hrabiego Czernyszewa do pryncypałów swoich i pragnął, żeby gubernia prosiła Cesarza o pozwolenie wejścia w podobne układy... Lecz, że na lat dziesięć zbiorową taką propozycyę uskutecznić byłoby trudno, uformowano szkic takiéj umowy, do któréj pojedyńczo każdy przystępowałby w miarę chęci i sposobności. Gubernator podolski zjechał w dniu ukończonych wyborów, tylko samą przysięgę nowych urzędników przyjąć. Były przygotowania do wielu pojedyńczych szarmyclów, ojcem mnogich był Stanisław D......, z interessu jeszcze przeszłéj zimy... R.... miał mieć rozprawę z Ko..., Da.... z De..., więcéj nie pamiętam. Supremacya wyborowa została przy Przezdzieckim, stronnictwo niechętne upadło.... B.... sprowadzili na postrach, ale się w czas wysunął. Ru... starassowano... to nowiny dla Karola, który zna osoby i rzeczy. Bobr i Dębowski z Przezdzieckim delegowani do Peterzburga z prośbą podług zwyczaju, żądano rozciągnienia prerogatyw rossyjskich na te gubernije, i wybór urzędników zastąpiony w nich przysyłanemi od korony...»

W jesieni choć wiele chodził i jak mógł się trzymał, przybolał jednak staruszek, ale wesoło o tém pisze jakby nie o sobie, a starając się dzieci zabawić,

w listach obok wiadomostek z domu o przyjętym na nowo starym słudze Bazylim, mieści wiejskie przygody, i co tylko schwycić może. Jużciż ten pan Bazyli wart wspomnienia...

—«Przybyła w Kunce, pisze, malownicza figura, a tą jest pan Bazyli— siostra go zapewne pamięta, wzrost pół-olbrzymi choć dawniéj odemnie żyje na świecie, starość go ozdabia choć mu sił i czerstwości nie odebrała. Był on niegdyś ozdobą ekwipażów ślubnych, zaczynał od pana Xawerego, był u Swiejkowskich, u Izydora Sobańskiego, zatrzymał ręką jedną powozy z Krzemienieckiéj góry, z wiekiem usunął się do starych, przeżył państwo Antoniostwo w Hruzce, panią Jałowiecką w Horpaczce, a rozległe koło życia obiegając, wrócił zkąd służbę zaczął u brata mojego, i jest u nas murgrabią i powiernikiem...»

Zima zawsze była trudną do przebycia, ale ta zdaje się nie uszkodziła jego zdrowiu. «Byłbym doskonałą machiną człowieka, pisze w styczniu, gdyby mi się kolana nie zginały bez potrzeby, a choć to lekarze za rzecz przechodnią uważają, mnie co radbym nie zależeć od drugich i jak najmniéj potrzebować usługi czeladzi, robi to nadto zawisłym od niéj, a jak nie są pod ręką, brakuje mi wiele...

Chodząc potrzebuję pomocnika przeciw zginaniu się nóg, na schodku każdym już sam nie wydołam... Niepoczciwe kolana więcéj od wszystkich komór stają na zawadzie do podróży; bo nieoglądając się nawet na wypadki z zimna, coby to ludzisków potrzeba, aby

nie upadać... przyjechałbym z ludnością pojedyńczego domu, jakiegoś dawnego magnata... przypominam sobie Gruję na Wołyniu, kiedy do Warszawy wjeżdżał, a uliczne chłopcy zdziwione taborem, ulicami go prowadziły.»

Wstrzymany niemocą w domu, listami się pocieszał, a jak go każda sprawa obchodziła z nich widać najlepiéj: śmierć biskupa, wybór nowego, którym wszyscy mieć pragnęli hrabiego Stanisława Chołoniewskiego... zajmowały gorąco staruszka...

«Myśmy utracili biskupa pisze 4 lutego— Boże świeć nad duszą jego; mówią, że go zastąpi hrabia Chołoniewski, zasoby umysłowe ma większe, majątkowe byłyby ku wsparciu, sądzę, że i gorliwościby nie brakło, a téj właśnie potrzeba połączonéj z rozwagą. U nas polemika literacka trochę do kłótni podobna, obudza z letargu czytających. *Mieszaniny...* sciągnęły krytykę *pomięszanie...* Blask dowcipu i stylu R... jest wyższy, krytykę mówią pisał G. Olizar... ale co mnie zabawiło, żem siebie znalazł między Bardami... pomyślałem, że musiał piszący obawiać się być pokąsanym, kiedy taki kół ze starego płotu wyłamał, aby się nim oganiać.»

W notatkach tych, których zaprawdę bez wzruszenia i czci dla charakteru człowieka w rękę wziąć nie podobna, jest na dzień 18 lutego 1842 wiersz, który zachować chcemy... pełen rozczulenia i nie bez wdzięku,— który szef przejęty wdzięcznością, pisał drżącą ręką do żony:

W dniu 18 lutego 1842 r.

«Powiedz jak dawno, powiedz mi dni wiele,
Jakoś mi miłość przysięgła wzajemną.
Jak cię ślub święty, żono, złączył ze mną?
Jak w dom nasz wniosłaś wesele?

Powiedz, bo odtąd dni tak szybko płyną,
I tak się mile chwila z chwilą splata,
Że te, com obok ciebie przeżył lata,
Zdaje się jedną godziną.

Znane mi czucia lotne jak motyle,
Uciech światowych ułuda nie trwała,
Znałem rozkoszy wonią tchnące chwile,
Tyś szczęście poznać mi dała.

Bo z tobą weszły za mój próg domowy,
Pokój, swoboda, przyjaźń bez odmiany,
Tyś to na czoło osiwiałéj głowy
Włożyła wieniec różany.

Zeszła nakoniec jak zorza na niebie,
Godło nadziei, i przyszłość w pogodzie,
Helenka kwitnie w rodzinnym ogrodzie,
My z nią szczęśliwi— przez ciebie.»

Ile to tam było życia w téj piersi siedmdziesiątletniego starca! ha! ha! my się tak do siódmego nie dobijemy krzyżyka, téj siły, tego spokoju, tych uczuć nie ma w piersi naszéj podobno...

«Dziś Józefa... pisze w marcu, prosiłem Karola, żeby odciągnął 1842 od 1772, ale taki leniwy, że tego nie zrobił, jeśli się nie mylę, to siedemdziesiąt kończę... dosyć się nażyło...» Zabroniono mu na chłód się narażać, zamknięto w domu, co mu przykrość

wielką zrobiło, ale i to wesoło i żartując sobie znosił, patrząc przez okno na śnieg w kwietniu padający... i wyglądając ciepła, aby wyjść do ogródka. Niespodziewany i srogi cios dotknął go, jako ojca; ukochane dziecię, Helena Skibicka, któréj zdrowie oddawna groziło tą katastrofą, skończyło dni swoje... Piérwszy list starca po téj stracie, pełen najgłębszego żalu. «Od zaczęcia dni opłakanych, piérwszy raz odrętwiały umysł i serce pozwalają mi pisać do was... wy to pojmiecie, co się działo w sercu ojca nieszczęśliwego, wy coście ją oceniać umieli... Podobało się Najwyższemu dać nam krzyż do zniesienia. Dziś dopiero pozwolono mi odczytać list, w którym opisana klęska językiem żalu, i drugi, który wczorajsza poczta przyniosła...» Ta śmierć pochyliła go, znać w pismach osmucenie, zobojętnienie, jakby przeczucie niedługiego już życia... wspomina, że stoi nad grobem, pisze króciéj, znać mu to przychodzi ciężéj. «Zdrowie moje ladajakie, mówi w liście z dnia 24 czerwca, nie poprawiła go wiosna, zdaje się, że i lato go nie powróci, wiek sprawił rumacyą, na którą widzę, że wiele stracić przyjdzie. Nie ma nóg, co tyle ziemi przedeptały, ani zdrowia, co tyle przygód wytrwawszy przebyło, dziś wszystko trudne, umysł przybity, siły wątłe, ale żem się tego spodziewał, przygotowany wstąpiłem w starość, a i zgrzybiałość z pokorą znosić pragnę... Nie masz już tych, co ze mnie wzięli życie... żyłem w pracy lat siedemdziesiąt, dosyć na jednego, dobrego i złego...»

Mało tu już wypadków, mało nowości w listach, które są tylko przypomnieniem się rodzinie, i wylaniem poczciwego serca... wszakże obchodzi go powodzenie przyjaciół, gospodarstwo, interessa cudze, kłopocze się i chwilami jeszcze powraca mu swoboda umysłu dawniejsza; najwięcéj go męczyło, że w jesieni już, a tém bardziéj w zimie całkiem z domu wychodzić nie mógł. Więc powoli dni samotne płynęły...

Listy nie tak już często chodziły do osieroconéj Werby, ale stary znajdował w nich pociechę i pisał jeszcze... «My tu, pisze w styczniu, co do towarzyskiego życia, na dzień Trzech Króli hulaliśmy w domu naszéj okolicznéj królowéj w Wasylowie, dni trzy balowano, a cztéry tańczono jeszcze, myśmy dla stanu zdrowia ledwie się na dwa dni przydać mogli, trzeciego wróciliśmy do domu. Dostatek świadczył o możności, a uprzejmość była gospodyni obrazem, hulano z całego serca, było do cztérdziestu i więcéj mężczyzn, a dwadzieścia tancerek... Zmarł w okolicy książe Godfried Czetwertyński... oto są i wesołe i smutne nowiny, jakieśmy tylko mieć mogli... Tych nowin jednak już w listach coraz rzadziéj, a listy krótsze, często tylko przypisek... Na dopełnienie żalu i strapienia, nowa przyszła klęska, ze śmiercią krewnéj, siostry, przyjaciółki, pani Skibickiéj matki... Starzec pisał do osieroconego zięcia chcąc znaleźć słowa pociechy, ale mu ich już brakło, wyczerpywało się męztwo... «Po kolei czasu, wszyscy tam pójdziemy, woła smutnie— korzystajmy póki użytecznemi być możemy, a resztę zostawmy Opatrzności.» Ta myśl być *użytecznym* do końca, jak widzimy trwa najdłużéj w nim i przeżywa wszystkie inne, ona go trzyma...

«U nas, pisze ku końcowi tego roku, jednostajność jest życiem, a wspomnienie szczęściem...

I tak samo daléj, i zawsze tak samo: modlitwa, westchnienie ku swoim, przywiązanie do przyjaciół starych...»

—«Zdrowie moje, poprawia się codziennie, donosi w marcu... lecz z ostróżności nie wychodzę z pokoju na marcowe chwile... tu podobno mało jest rzeczy, o których pisaćby nam warto, bo mało kogo widzę. Zima chce nas rzucać, ale wiosna na jéj miejsce nieśmiało wstępuje, i jeździmy w bezdroży...»

Wybierał się pan szef do Odessy, i ta myśl go bawiła, bo choć wiek przykuwał do ulubionéj Kunki, zajęcia i nowości pragnęła niezmordowana dusza. «Lekarze każą Kostusi morskie kąpiele, donosi dnia 27 maja, i kładną je za warunek zdrowia, a mnie przyrzekają sił wzmocnienie, wreszcie i miło mi być razem, gdy jéj tam kilka niedziel być wypada. Lat już trzydzieści, jak się tam nie znajdowałem, zobaczę zatém ile Odessa urosła, bom znał dobrze jéj niemowlęctwo, powinna mi się okazać jak rzecz nowa całkiem, tak być musi od dawnéj różna. Może też znajdę tam jakiego starca, co go w średnim wieku znałem, albo jakie dziecię com je na ręku nosił, dziś już poważnym negocyantem.»

Znać z odpowiedzi, że pan Skibicki zapytywać go musiał o jakiegoś legionistę pana Zagórskiego, na co dobrze pamiętający wszystkich towarzyszów braci, pan szef odpowiada. «Pamiętamy z Tomaszewskim pana Zagórskiego, on z nim nawet razem do legiów wstąpił, znał jego brata, który w domu Zaleskich pod Skwirą przebywał, będąc ich domu przyjacielem, najgodniejszy człowiek, najzdolniejszy oficer, lecz od czasu wyprawy do S. Domingo nasze stosunki się przerwały, bośmy oba od niéj uciekli do domu, a Tomaszewski przeniósł się z okolic, w których brata jego widywał i czy żyje nie wiadomo.»

Projekt wyjazdu do Odessy był się zachwiał, jednakże przyszedł do skutku i taki nam daje obrazek z podróży Drzewiecki. «Dojechałem zdrów, lecz mi się kraj wydał nowym, lat trzydzieści i kilka jak go przejeżdżałem, miał wtedy postać tylko co opuszczonego od Turków, zaledwie poczynającego osiedlać ludem, który i u siebie nie wielkie miał porządku pojęcie, któremu brakło zasobów, ani ich mieli ci, co go osiedlali, co w krainę idąc nadmorską żadnego industryjnego nie przynosił usposobienia. Był to mało, co więcéj jak lud koczujący, co przeszedł z kopanek na nędzne chaty i brudnemi karczmami powiększył osady swoje.

«Odessę późniéj już odemnie widziałeś, myślę żebyś jéj teraz nie poznał, cóż dopiero było ze mną com ją widział w początkach jéj osiedlenia? Zdaje mi się, żem przedpotopowy, któremu po kilku wiekach dozwolono powrócić na dawniéj znajomą mu ziemię, takie było moje podziwienie. Nie powiem żem równego doświadczył w podróży. Step przypomina się w wielu miejscach, że się nie wiele odmienił, w niektórych błyszczą okazalsze cerkwie lub rządowe gmachy, obok śladów koczującego dawniéj ludu. Niezasobni właściciele mało gdzie wznieśli nawet własne pomieszkanie, któreby o postępie kraju zaświadczyć

mogło, chociaż nic nie jest bez wyjątku. Zastaliśmy handel zbożowy niekorzystny na ten moment, napływ zboża wielki zdaje się być przyczyną zniżenia cen, nieumiarkowanie nawet, ale to z potrzebowaniem ożywić się może. Miasto ożywione napływem z Podola— dotąd ze znajomych są Ignacy Plater, Xawery Sabatyn, Jałowicki Eustachy, zresztą obcych osób wiele. Oglądając obszerne, ozdobne mieszkanie, w które nas opatrzono, myślę, czemu nie przewidziałem i nie ubłagałem sobie szczęśliwych godzin... czemu my tu wszyscy nie jesteśmy razem? a czegoby nie dokazały wody morza, szczęście domoweby dokonało. Stoimy w bardzo strojnym i obszernym domu księcia Kantakuzena, gotycki, cały z ciosu, wewnątrz olbrzymie żwierciadła, marmury, widok z balkonów na morze, wewnątrz zbytkowe nawet urządzenia. Ogródek z plant kosztownych i rzadkich, tkanki jedwabne, meble najświeższe... Aleśmy tu tak sami... żyjemy odludnie w pośród zgiełku, którego się obawiamy, prócz do morza nie wychylamy się z domu... Lecz po spoczynku ruszę między ludzi, z których znajomi mnie odwiedzają, wtedy będę w stanie dać ci słabe wyobrażenie towarzystwa i tego postępu miasta, co mnie dotąd zadziwia uroczą wielkością, do której w oczach mych poczęte dójść mogło.»

Żal nam bardzo, że więcéj listów z Odessy nie znajdujemy. Wrócili już PP. Drzewieccy w lipcu do Kunki i kąpiele obójgu im posłużyły, a staruszek znacznie orzeźwiał. W jesieni nawet objeżdżał sąsiedztwo i mógł się z domu ruszać, bo czas był bardzo pogodny i piękny... Ku końcowi tego roku rozpoczął pan szef pisać powoli pamiętniki swoje, i w grudniowym liście o nich wspomina. «Na naleganie Karola piszę okruchy z przeszłości mojéj, lecz nie przygotowawszy do tego materyałów, trzeba wyciskać z pamięci, dałby Bóg, żeby nie było trudniéj jak dusić cukier z buraków. Namazałem arkuszy wiele, co najpewniéj że posłużą na podpałkę cygarów dla uczonych gości, lecz kilka godzin czasu przechodzi w pracy, a to zajęcie nie dokucza mi wiele, a że miłość własna już zastygła we mnie, cenię to jako zabicie czasu. Kiedyś widziałem małą broszurę listów Kniaziewicza do Wybickiego; jeżeli ją dostać można, tobyś mi łaskę zrobił, bo nikogo się nie radząc mogę wpaść w omyłki, na pamięć się spuściwszy.»

Na S. Józef 1845, dosyć z rodziny i przyjaciół Drzewieckiego przybyło mu powinszować starym zwyczajem, mimo zwykłéj w tę porę bezdroży. Zachęcany przez wszystkich, aby pisał historyą swoich czasów, starzec skromnie się z tego wymawiał...

«Zabijam tylko czas, powiada w liście 23 marca, gdy co drobnego piszę, ale porwać się na historyą nie mogę, nawet od was bałbym się surowego sądu. Lecz wy, co słusznie pragniecie ocalić niknące pamiątki, wołajcie na jenerała Chłopickiego, wzywajcie jenerała Kosseckiego, oni byli zaszczytem epoki, oni przetrwali olbrzyma nowych czasów, oni widzą z blizka dążność dzisiejszą, i osądzić ją mogą z wyższego niż ja stanowiska... Legie są wprawdzie ważną epoką pod względem ducha narodowego, biegł do nich każdy będąc reprezentantem przekonania, które go na ziemi oj-

czystéj owionęło, niosł ofiarę z siebie i czuł, że dopełniał powinności, rzucał kraj, krewnych i ciszę, najczęściéj szedł nie umiejąc języka między obce mu ludy, i to jest prawdziwą legionistów zasługą.»

Śmierć biskupa Piwnickiego, zmiany powietrza, familijne wiadomostki, stanowią treść dalszych tego roku listów, coraz krótszych... pamiętniki nieco się wstrzymały, ale szef wspomina o nich w sierpniu. «Co do pamiętników, są to rzeczy, które zwykłem bazgrać w jesieni, bo latem otwieram oczy przypatrując się ozdobnéj przyrodzie świata, z którą się pono wkrótce pożegnać przyjdzie. Niegdy dzielny, dziś upadł umysł przyciśniony wiekiem, imaginacyę zastępuje wielomówstwo, a doświadczenie wskazuje, aby się nie porywać za granicę zdolnością każdego oznaczone.... Co piszesz o pamiętnikach bardzo mi drogie— jest to piękne ziarno rzucone na płonną niwę. Kiedy każecie pisać, będę, tylko nie teraz, w jesieni znowu, gdy mi ruchu i powietrza zabronią. Teraz jak egoista żyję dla siebie, chwytam oddech i wygrzewam się na słońcu póki jeszcze dla mnie świeci... Krzemieniec świadek mych dobrych czasów, tylu miłych wspomnień, z całym swym obrazem mam sobie przytomnym, wyście w nim przeskakali młodość, ja dni szczęścia przebyłem. Od jego wyjścia na scenę użyteczności, aż do spełnionych ruin... byłem uczestnikiem jego życia; źle robią ci, co go obmawiają, nic nie wzniósłszy lepszego. Krytyka łatwa, zawsze jest bronią zazdrośnéj mierności; wydał on jednak wielu ludzi uczciwych i pożytecznych, daj nam Boże wszystkim postępu, ja go w ustroniu siedząc nie widzę

zwłaszcza w duchu. Widzę garderobę umysłową przystrojoną w kwiatki, ale materyał zda mi się gorszy, a choć niby nowy, wytrwałości nie obiecuje....

«Do przemysłu wdawać się nie życzę, twój wiek niech się dorabia spokojnéj starości, żeby dzieci miały za co ręce zaczepić. Nasz byt zależy na zbiorze odjemnym, to jest mniéj wydać niż przychodzi; byłem i ja w młodości w żądzy tego zawodu, ale w naszym kraju kończy się na tém, że zręczniejszy filut zabawi się kosztem tych, co już coś mają, i ich z sobą do utraty przywiedzie. Karol probuje.»

Wyjmiemy tu jeszcze opis wesela (d. 24 października). «Od Krzemieńca nie widziałem balowego zebrania, jak u Kołyski: sto trzydzieści osób w salonie, trzech marszałków gubernskich, i obywateli z trzech gubernij, mnóstwo osób młodych płci obojéj. Starożytne zwyczaje przy ślubie, po przenosinach bal u Tyszkiewicza z fejerwerkiem, a ztamtąd kulig po państwa młodych do Kunki. Tu myślałbyś, że jest użyte kuglarstwo, zajeżdżają psiarnie, myśliwi, gdzie o nich nigdy nie słyszano, milę sąsiedzkiego lasowego obwodu otaczają sieci, błąkają się po polach rogate daniele, ścigają je damy, a sto jezdców broni, aby z pomiędzy myśliwych wyśliznąć się nie mogły. Biją wilki i chytre lisy, które tylko wskazaną drogą iść były zmuszone, bo je głos ogarów i silne obławy w samowładnym rzędzie do posłuszeństwa zmuszały. Tańczą potém na zabój, młodzież upada na siłach, w starych się one wracają, a Tomaszewski i gospodarz za nich tańczyć muszą. Sześć dni takiéj hulanki

po którój Karol rusza na Wołyń... ponura cichość, w domu pustynia, w lesie wilki po szubienicach, daniele na pokarm dla podróżnych, a traktem psiarnie do domów wracające, zdumiewają i wyrywają pytanie, co to tam było za widowisko w Kunce, gdzie ledwie pies stróżliwy przeczuwając wilka wył pod owczą oborą?.. Może to jak przy końcu balów silny taniec, tak i przy końcu życia tak świetne odbywam gody?...»

Śmierć przyjaciela pana Modzelewskiego, znowu przyszła zachmurzyć ostatnie lata poczciwego człowieka, który więcéj żył w drugich niż w sobie. «Smutną nowinę o śmierci Modzelewskiego (pisze w grudniu), tajono przedemną, żeby mi oszczędzić wrażenia, Modzelewski zdawało się, że się chciał pożegnać z nami, całą okolicę tyloletniego swego pobytu objeżdżał, umysł jego zdawał się uspokojonym, po tak dotkliwéj stracie żony— twarz nawet powrót do zdrowia obiecywać mogła. Opuścił z domu naszego tę okolicę, Karol go do Płoski odprowadził, ale już w Lubarze był cierpiącym mocno, i spoczywać musiał... Złe przeniosło się w serce, to serce co w nim tyle szlachetnych uczuć rozwijało, piérwsze przyjęło zaród śmierci, mówią mi, że się zatrzymał krótko u córek, w domu rodziców żony, a do Kisielina nie dojechał... Oto mniéj jednym sprawiedliwym na ziemi.»

Taką znowu boleścią skończył się rok 1845 począł 1846, bo te lata ostatnie, stratami się liczą już dla starca osiwiałego, a przenoszącego mężnie życie, jak na żołnierza chrześcijańskiego przystało.

Ponurą zimą, znowu doń kołatali swoi, aby pisał pamiętniki, na co odpisywał, dnia 9 stycznia.

«Gdérasz, abym pisał pamiętniki, czułem twój duch w zachęceniach, które mi przyniósł Tygodnik... lecz cię skuteczniéj odeprę za twoim do nas przyjazdem, a jeżeli lekarstwo będzie nudne, bo takie jedynie skutecznėm być może— rzucę ci paperasy... a będę mówił o czém tylko każesz i jak długo zechcesz. Przekonasz się, jak to mało z tego wyciągnąć można, jak to już znajome, a nawet spowszedniałe dla tych, co tak wielkie wypadki wieku mieli przed oczyma... jak ty je miałeś i współcześnie z równém twojemu usposobieniu wpatrujący się w społeczność, tak niewielą laty od siebie odległą. Nareszcie wielcy pisarze dzisiejsi opanowali już opiniją, i wątpię żeby któś mając odmienne przekonania, mógł je za sobą pozyskać. *Dawniéj, gdy mniéj pisano, gdy wiele brakło, każda myśl nowa zapełniająca dający się czuć niedostatek, chętnie była witaną; dziś inaczéj....* Dziś mnóstwo nowych pamiętników są wymarzone jedynie, aby dziwacznemi wypadkami obudzić ciekawość i wyjednać trochę sławy na czas krótki dla piszącego... Oto jedyna korzyść jaką mam z tego, żem się poddał myśli, do któréj mnie od dwóch lat skłoniliście, alem porzucił pisanie i wolę gotowe czytać teraz, choćby się z niego i rozśmiać przyszło... Mam tę korzyść, żem się cofając miłość własną od śmieszności osłonił. Oto szczére wyznanie, Karola już wyleczyłem z nalegania, a jak przyjedziesz dam ci taką prezerwatywę, że i ty uleczony zostaniesz.»

W istocie pamiętniki przerwane zostały, nakłonić się już nie dał starzec, aby je daléj pisał... Miał-li słuszność? nie sądzę... Cóż z tego, żeby był sądził,

ze swego punktu widzenia o epoce swojéj i następującéj, to właśnie pamiętniki jego uczyniłoby zajmującemi. A że żywo malować umiał, to i z piérwszéj części notat i z listów dowodnie widzimy. Z każdym starcem ile to nam rzeczy, ile tajemnic niepowrótnie umiera! dobrze choć odrobinę ich ocalić.

Dla mnie i to ciekawe, gdy starzec wspomni jakie na nim wrażenie robi literatura i to życie umysłowe, w którem on żywem współczuciem brał udział do końca... Tak w marcu wspomina w liście o chorobie Tytusa Szczeniowskiego, o utarczkach w Tygodniku, który się zabierał umrzéć i konwulsyjnemi ruchy dogorywał. Smuciły go kłótnie, spory, zaczepki i obrony... obawiał się wszystkiego.

A straty szły koleją jedna po drugiéj... zwykła koléj starości, która się przedłuża ofiarą wszystkich, do których przywykła, i osamotnieniem... Umarł pan Jaroszyński (10 września 1846), zachorowała niebezpiecznie jego żona, a matka pań Drzewieckich... Każdy z tych ciosów był do starego pnia dębu przyłożoną siekierą... Stracili panią Jaroszyńskę i śmierć tą razą w domu taić było potrzeba.

A tu dzieci chorują, a tu pracy tyle i zajęcia... a siły tak wyczerpane. Trzeba było widzieć, jak starzec wszystkiemu sercem wystarczał!

Rok ten w sąsiedztwie poczynał się wesoło, weselem wspaniałem panny Lipkowskiéj, chrzcinami w Andruszówce u Kołysków, balem w Wasylowie, ale z Kunki dla pory nikt być nie mógł... Pan szef tylko dopytywał ciekawie o ostatnię fetę, i nawet w liście

o niéj zięciowi donosił. «Bal Trzy Królewski godzien był tego nazwiska, pisze.— Nie wątpię, że tak być musiał wnosząc z gościnności pani Sobańskiéj, która sama pisze, że się udał zupełnie. Wierzę fantastycznym; opowiadaniom wróconego S.... co tam był do usługi wezwany... Sto kilkadziesiąt osób pomieścić zimą na wsi z końmi i ludźmi, z okazałością i wygodą wszystkich do najmniejszego, przez kilka dni ciągle, to rzecz nie łatwa... Pan S... opowiada— służyłem po możnych domach i znam się na balach, ale tak porządnego nie widziałem... Co za ozdobne tualety dam, jaka rzeźka młodzież... Jedénastu kucharzy gotowało, dziesięć pudów cukierków zjedli! sto pięćdziesiąt szampana butelek wypili, sto pięćdziesiąt par kuropatew skonsumowali, a cietrzewi, pulard, dzików i jeleni nie brakło... Z antała romu nic nie zostało... Stary węgrzyn nie był pod moim dozorem, mówi S... ale secina butelek pewnie się wypróżniła. To dla panów; dla ludzi także przez cały dzień stały bufety otworem, a pobliżsi żony i dzieci poprzywozili, by pańskiego poprobowali chleba. «Dwudziestu cztérech muzykantów z nóg się walili grając ciągle, usługujący ostatniego dnia ledwie się już włóczyli. Władysław Br... zachęcał i dokazywał, Potoccy popierali sprawę, młodzież skakała nieźmiernie. Co do osób byli Potoccy z Tomaszpola z rodziną, z Peczarskich mężczyzni, Działyński i Bierzyński z Wołynia, Sulatycki z Kamieńca, domy Lipkowskich, Kołysków, Tyszkiewiczów; Szembeków dom cały, pani Sobańska z Dziuryna, pani Brzozowska z domu Zamojska i wielu tego imienia, Jaroszyńscy; w ogólności młodzież z Ki-

jowskiego, Podola i Wołynia. To wszystko, co mógł S... spamiętać, i ja dopytać się mogłem... Pan S... admirował żałobny taniec, któremu 13 r... przewodniczył, część instrumentów muzycznych złożona w kupę było znakiem pogrzebu taniec chmurny, łzy z szampana... A panie? jakie śliczne mówił S.... Tak tedy dawna polska gościnność i uprzejmość znowu się okazała na szlacheckiéj Ukrainie, i to z postępem i udoskonaleniami...

W tym roku, gdy ucywilizowane ludy błagają chleba, rolnicza Ukraina, co im go dostarcza, bierze ich kosztem postać nawet ozdobną.

Lecz, że bez przypadku obejść się nie może... otoż, jechał na to zebranie pięknemi końmi nasz Józef Jaroszyński, i prawie u wrót, bo w Bohdanowie, żydki, co za nim jechali, tak się zręcznie uwinęli, że mu pięć koni skradli ze stajni brata... i nie ma dotąd śladu.

Widzicie, że muszę być sam jeden, kiedy mam czas opisywać te fraszki.»

W marcu niepospolicie pamiętnym, przyjechał ściągniony powszechnemi entuzyazmy Liszt, i grał w Niemirowie... «Czasy Catalani, pisze staruszek, przeniosły się nad brzegi Bohu...» Trzysta przeszło osób zjechały się słuchać europejskiéj sławy artystę... Dnia 8 marca stanął Liszt z Ks. Witgenstejnami w Niemirowie, dziewiątego grał, a 10 miał do Kamieńca daléj wyruszyć, ztamtąd do Lwowa, z wiosną do Odessy, Konstantynopola i Ameryki!!. Ale podobno ta podróż zmieniła projekta innych... z Kunki wszyscy byli w Nie-

mirowie prócz szefa, który się na taką porę ze swém zdrowiem ważyć nie mógł.

Po tym szale chwilowym, znowu cisza wiejska. W kwietniu się wybierano do Odessy, pod Winnicą stał obóz, przyjechał Cesarz, który zajął Strzyżawkę. W. książę Pietniczany, feldmarszałek Woronowicę majątki Grocholskich. Wojska ściągały się na ten wielki przegląd.

Znać, że niezrażony odmowami zięć nalegać musiał na pana szefa, aby daléj ciągnął pamiętniki, bo znowu o nich w listach jest mowa, a mimochodem i o pamiętnikach Wierzbickiego, o których szef mówi: «Czytałem przytoczone pamiętniki Wierzbickiego, a w nich nie natrafiłem na charaktery osób téj sceny. Z rodaków naszych był tam batalion Ilgi, był Bolesta, co go wziął po mnie, znałem pojedyńczo każdego, i gdyby to istotnie pamiętniki być miały znalazłbym w nich osoby z ich wartością, położeniem, błędami, a tu znajduję tylko popisującego się pisarza... Wolę zatém historyą, a odmawiam Anioł Pański za dusze znajomych i przyjaciół, którzy tam poginęli.

«Karol uciskał Tomaszewskiego (innego legionistę, z którego wspomnień był w Athenaeum Fra-Diavolo) zdało mi się nawet, że cóś zeń dramatycznego wyciągnie; biedny mój kolega uległ pod przemocą, ale zaledwie zwycięzca ustąpił, on okruchy wrzucił w kufer, w którym stare przechowuje sprzęty...

O Czackim, jako uczonym, wiele i dobrze powiedziano, a o jego obywatelskich pracach, które czas i powodzenie zdradziły, możeby było sądzić zawcześnie...

Nasze literaty powoli biorą materyalniejszą postać pospolitych ludzi; wczoraj widziałem T. S..., który mi więcéj o cukrze niż o filozofii mówił. Wszystko teraz w spekulacyą bije...

Jakieś tu przyszło pismo peryodyczne ze Lwowa z opisem tragicznéj jakoby śmierci Liszta, w czasie koncertu, którego od huku tonów sala na głowy słuchaczów i artysty upaść miała... Druk wiadomości był wielki i wyraźny, nik nie dostrzegł drobniuchno na boku umieszczonego doniesienia, że to był puf tylko. Każdy czytał i opowiadał tę smutną nowinę, która na pięknych i oczarowanych jego wielbicielkach z zapałem o nim mówiących, smutne czyniła wrażenie... dopóki ktoś dopisku nie dostrzegł...»

W sierpniu znów ruszono do Odessy, gdzie wkrótce przyszło do skutku nabycie znacznéj przestrzeni ziemi nad brzegiem morza, dla umieszczenia na niéj magazynów i mieszkalnych domów. Odessa była w tym roku bardzo ożywiona: Liszt, opera, nadawały jéj życie nowe. Starzec widocznie tém wszystkiem także odmłodniał... Nawet projektowana podróż syna, który z żoną na Wschód się udawał, nie wywołała w nim egoizmu, nie wstrzymywał ich... cieszył się tem, że oni byli szczęśliwi.

«Żal mi odjeżdżających pisze, ale póki służą lata, używajmyż świata, i niech im Pan Bóg w podróży błogosławi!»

«Wyjechali ztąd, pisze, 24 września, w przeszłą niedzielę z południa do Odessy, zkąd piérwszego października do Konstantynopola wypłynąć mają... z brze-

gu morza, za powrótem księżnéj Czetwertyńskiéj, mieć od nich będziemy wiadomość.»

Z innego listu dowiadujemy się, że ci, z któremi teraz myśl ojcowska w kraj daleki płynęła, istotnie piérwszego odpłynęli, w czas przyjaźny i pogodę...

Staruszek trochę sobie z téj podróży podżartowywał... «Ma Karol, pisze, w pomoc polecające listy od Liszta, do Lamartina, od B...... do Jerozolimy i przybocznych papieża, bodajby tylko w drodze nie pogubił, troszkę się wstrzymawszy byłby cóś zapewne i od Balzaca wyjednał sobie, bo się koło Kijowa znajduje. Byle Bóg dał zdrowie jemu i żonie, to się przewietrzą doskonale, a na zaletę pary i żelaza oddadzą świadectwo, jak to prędko uskutecznić można... Myślę, że w tak nagłéj podróży najwięcéj z powietrza korzystać się daje, bo reszta więcéjby czasu potrzebowała, a mają za sześć miesięcy powrócić do domu.

«Liszt, dodaje, po odwiedzeniu obozu pod Elisawetgrodem przyjeżdżał już do Woroniniec do księcia Wittgenstejna, gdzie kilka miesięcy ma spocząć na laurach... Był w Peczarze w przejeździe, o czém nam ztamtąd donoszono...

«Powracający z Rzymu przez Odessę darowali mnie chustkę z portretem papieża; myśl, że na chustce ten wizerunek się znajdował oburzyła mnie, ale świetna osłona jego głowy w promienie ubranéj, miała drukowany akt ogólnéj amnestyi i to mnie z portretem i chustką pogodziło... Wyście odbywali Jubileusz, u nas o nim nie słychać; byłem świadkiem pomyślnego

skutku i wrażenia jakie w tych okolicach sprawił poprzedzający, będę żałował jeśli nas ten ominie. »U was wystawa kwiatów i cnotliwe użycie przychodu z niéj, nasze wiejskie, już przymrozki zwarzyły, a choć w ten moment czas mamy najpiękniejszy, ale kwiatu ani jednego...»

Tymczasem podróżni nasi 5 z Odessy w Konstantynopolu stanęli, i piérwszy list od nich z Oberży w Pera Angielskiéj na wysiadaném napisany do Kunki... pełen był zachwytu, z gór okrytych cyprysami z morza, ze stolicy. Z widoku Sułtana, który jakby na spotkanie ich wyjechał, dążąc do meczetu w Scutari... Ztąd mieli się zabrać do Beyruthu, ale statek na który rachowali wyszedł był przed kilką dniami, a drugi miał dopiero za miesiąc wyruszyć.

Temi listami swoich ukochanych na nowo żył starzec. «Spokojny jestem, pisze, póki im siły i zdrowie służą... wynagrodzony trud zadziwiającemi widokami natury, bo ciepło jak u nas w czerwcu... Opisują z żywością wspaniałości i ozdoby kościoła dawnego S. Zofii, gust maurytański pałacu sułtanów, błękit morza i kanałów, grobowce przy domach cyprysami ozdobione, gdzie przodkowie opuszczają rodzin i potomków swoich... Widok Azyi i Europy, dwóch mórz pod okiem podróżujących, nawet z okien domu ich widocznych, rzuca urok nieopisany... na nich i na mnie... Karol dodaje, że Stambuł jest to patrząc nań, skład drogich kamieni, złota i błota. Zdaje się, że do Egiptu popłyną i przez Kair Nilem, a daléj do Ziemi Świętéj....

Jakoż istotnie wprost ze Stambułu podróżni udali się do Alexandryi, nie do Smyrny jak zrazu projektowano, i listy, które wprzód do Beyruth skierowano, z niemi się rozminęły. W Kunce podróżowano za niemi... oczyma po mappie, sercem w przestrzeniach...

«Nakoniec, pisze ojciec, odebraliśmy list Karolowstwa, niespokój ustąpił miejsca pociesze, a głucha cichość Kunki ożywiła się... Zdrowi stanęli w Alexandryi.

I daléj już w listach tylko o téj podróży... W styczniu przyszło pismo drugie z Alexandryi, o zmianie projektów podróży, gdyż nie do Ziemi Świętéj z Kairu ruszyli podróżni, ale oglądać wodospady Nilu puścili się, co miało im zabrać dni około czterdziestu, a dopiéro potém udać się mieli do Jerozolimy...

A gdy dzieci pod ciepłem wygrzewały się słonkiem nad-Nilowém, ojciec nie wyjeżdżał z domu, nie chcąc walczyć (pisze), z tak silnym panem jak tegoroczna zima... U mnie (kończy) wszystko zamiéra powoli, tak jak się od wieku mojego spodziewać należy...»

«Pisze do nas Gołuchowski, wzmiankuje w liście z lutego, że we Lwowie wybijają okna i rzucają paszkwile domom bawiącym się, cóż to za zły duch musi przewodniczyć takim postępkom?

«U nas jest teraz czas przemiany Inwentarzów, które jak każda tak ogólna nowość pozawracały głowy, i każdy myśli jakby ją przystosować do swoich potrzeb i korzyści; cała okolica bawi się tylko tym przedmiotem; Niemirów nie tańcuje.... W.... także, H.... cicha, w Wasylowie tylko chrzest wspaniały obiecują.

Przyszły listy z Kairu, gotował się karnawał w okolicy, a S. Konstancya w Kunce, ale nagłe roztopy, puszczające na Bohu i Sobie lody, gości nie przepuściły... każdy musiał zostać gdzie był.

«Mówią, że kontrakty mało czynne były w Kijowie, pisze w lutym, sprzedający żądali po dawnemu ceny wysokiéj, kupujący oglądali się na inwentarze, trochę z potrzebujących kupna wyższym cenom uledz musieli. W ogólności cała massa przybyłych trudniła się przyszłym tylko losom swoich własności i sposobami zaradzenia niewygodom...

«Moje zdrowie, jak na tę zimę, trzyma się ostróżnością, nie wyjeżdżam, nie wychodzę, a w rozbracie zupełnym z atmosferą, czekam jéj zmiany nagradzając sobie ruchem w pokoju, po części spoczynkiem przeplatanym... ale w ogóle na dzień dwie mile polskie wynoszącym... Kaszlam, kicham, bez gorączki, ale sen i apetyt zapewniają mnie, że się zdrowie nie rozkołatało zupełnie, a jak się przebędzie marzec, to jakoś na ten raz ujdę obawy...»

Długi czas nie było żadnéj wiadomości od podróżnych, nareszcie w marcu nadszedł list upragniony.

«Dzień odebrania był dla nas dniem wielkim, bośmy przez trzy miesiące od nich żadnéj wiadomości nie mieli, a jeżeli oni ucierpieli na naszém milczeniu, tośmy także natroskali o nich... Pojechali w styczniu do Jerozolimy i muszą już być w drodze do Rzymu...»

W istocie odebrano wkrótce potém listy znowu donoszące o pobycie w Malcie i skierowaniu się do Rzymu... Piękna wiosna, która nie uszkodziła posiewom, wypuściła z niewoli między cztérma ścianami i rozweseliła starca..., choć w maju znowu wczesne ciepło płacąc, zimna powróciły... Częstsze już wiadomości od syna uspakajały, a powrót jego pocieszał zbliżony...

«Karolostwo, pisze w maju— przyjechali z Neapolu z panią Giżycką, która ich wzięła do domu swego, i cała ta rodzina ugościła ich serdecznie; nie mówi szczegółowo o czasie swego wyjazdu, jadą do Genui, są tak zdrowi, że sama była na kraterze Wezuwijusza w Neapolu, a mało nie potonęli odwiedzając wyspy Capri z panią Grocholską z domu Giżycką... Już tedy wracają do domu! woła wkońcu uradowany, a wam wprzódy się ich niż nam widzieć dostanie... zazdroszczę...»

Inny list z Genui oznajmił o wyjeździe do Turynu, a pani Grocholska wstąpiwszy do Kunki uspokoiła opowiadaniem o dzieciach troskliwego i niepokojącego się o nich ojca..., który mimo cierpliwości powtarzał w listach: «wracają— jest to, co mogą zrobić najlepszego.»

W okolicy zjawiła się cholera znowu, ale tą razą już takiego nie wywołała strachu jak wprzódy; staruszek zachorował na dyaryę i pięć tygodni przeleżał ciężko chory... Piérwszy list po wstaniu z łóżka ręką cale zmienioną i trzęsącą pisany... dnia 21 sierpnia— krótki, i tylko dla uspokojenia dzieci...

We wrześniu dopiero cholera ustała, ale podróżnych z powrótem jeszcze nie było, a starzec się o nich turbował, i listy jakoś nawet opóźniały się, gdy wreszcie w październiku do Kunki zawitali pielgrzymi!

«Budząc się dnia 18 w niedzielę w nocy, dowiedzieliśmy się — pisze ojciec, że już śpią w Kunce... Odtąd w lubym zgiełku, rodzina się zbiega, dziatki wyskakują, pogoda starła chmury z mego czoła... ich przygody, opowiadania, zbogaca jeszcze tęsknota jakąśmy czuli za niemi. Wyobraź sobie ich pociechę w objęciu dziatek i rodziny, najżywszą rozkosz w opowiadaniu postępów Karolci... zapomnieliśmy o cholerze, o śmierci, ja część dawnéj czerstwości odzyskałem.

Oto obraz Kunki i jéj mieszkańców...»

Wesoło jakoś mimo ostréj zimy, skończył się ten rok 1848, który tylą strachami nakarmił...

Następny mniéj obfity w wypadki i listy... na lato wybierano się do Odessy, gdzie kupiona ziemia zagospodarowania wymagała...; szef bawił się jak przed laty ogródkiem, który mimo skał i suchéj wyżyny troskliwie pielęgnowany zakwitał.

W pismach jego powoli, powoli, ale znać brzemię starości, nie zobojętnieniem, bo serce gorące, ale tém coraz większém uspokojeniem, jakie daje zapracowany w pocie czoła włos siwy... Młodzi ruszyli do Odessy na swoją nadmorską posiadłość, a starzy wedle wyrazu ojca, zostali dwoje sami, jak ptaszęta pod strzechą... Zakwitły mu oczekiwane dalje karmazynowe z białym, których sam doglądał, bo je miał od wnuczki Karoliny....

Coraz częściéj jednak uskarża się na ciężar wieku... i tak w sierpniu pisze do zięcia. «Mnie zdrowie moje przypomina, że to jest właśnie rocznica, kiedym się z wami miał rozstawać na zawsze. Bronię się

wszakże od tak nieprzyjemnego wrażenia, krzepię się nadzieją, że jak piérwsza tak i teraźniejsza pora nie zbiorą mnie jeszcze ze świata, ale sił mi braknie oczywiście, i ostatnia pora życia jest jak jesień, kiedy się do zimy gotować należy. U nas kanikuła, gorąca doszły do najwyższego stopnia, a ja mocno je czuję, będąc przez to osłabionym... Oczy, słuch, chcą wziąć abszyt, i zdaje mi się mówić, że się już dosyć odsłużyły... Nogi brzękną, alboż się nie nanosiły dosyć, że im tego za złe poczytać nie mogę. Oczekuję powrótu zupełnego z Odessy, a może mi to sił dodać niezawodnie, życie familijne miało na mnie zawsze wpływ dobroczynny.»

Jeszcze urywek z wrześniowego listu... «My tu bawimy się z dziećmi, pomnożono im zabawek, uczą się geografii świata, mają powycinane w kawałki karty geograficzne dla oswojenia się z ogólnym krajów obrazem. Jakże mi to przypomina dwa ostatnie lata! starsze dzieci chcą z kawałków składać całość z pewnym rodzajem zarozumienia, młódsze się tém tylko bawią, porywają kawałki i rozrzucają zabawki... a ja dumam, otoż i nasz obraz teraźniejszego świata. A stojąc nad grobem myślę, że wkrótce opuszczę gwar téj oberży, a może do wygodniejszéj w podróży życia schronić mi się dostanie.»

«Mamy czas piękny i ciepły, na nowo pola zielenieją, wywożą produkta do Odessy i gospodarstwo zwykłym idzie trybem.»

Zdaje się, że Bóg w długiém życiu przeznaczył mu i kielich szczęścia ziemskiego i kielich cierpienia

wychylić do dna, przez wszystkie przejść proby na wszystko przeboleć.

Zagrożone zdrowie Karoliny Skibickiéj, wnuczki szefa, jednéj z tych istot wybranych, jakich mało jest na świecie, zmusiło jéj ojca do wyjazdu za granicę... trwoga była nieopisana; w kwietniu dopraszał się o wiadomość starzec... otrzymywał je zrazu... potém ustały... Karolcia nie żyła, uwiędła jak kwiatek... We wrześniu dopiero powiedziano o tém starcowi, a piérwszy list jego zdradza głęboki żal jakiego doznał od tego ciosu.

—«W Odessie powiedziano mi o stracie naszéj, troska moja dorównała zapewne twojéj... Gdy nowym ciosem podobało się Opatrzności ucisnąć serce starca przy grobie, na który oczekuje... niech się spełni wola Boga!»

Zarazem prawie zachorowała wierna towarzyszka życia, żona pana szefa, a postrach tą chorobą wywołany, przygniotł jeszcze i tak już uciśnionego...

«Już też się odbył pogrzeb Karolci, pisze do jéj ojca— w imieniu własnych cierpień wzywam cię do zgadzania się z wolą Najwyższego... kogo Bóg kocha tego najwięcéj nawiedza, a w cierpliwości do nowéj zasługi otwiera pole.»

Do tego listu przyłączony drugi z radami dla wnuka, Karolci brata, który za granicę wysłany właśnie został przez ojca, w części tu przepisujemy!

«Jeśli co— (odzywa się dziad do tego Jasia, który miał także zgasnąć zawcześnie)— jeśli co w Europie wzbudza starożytnością uczucie poszanowania i podziwu, to pewnie nic bardziéj nad Rzym. Jeszcze ląd Europy koczującemi ludami napełniony, żadnéj nie obiecywał przyszłości, kiedy cała wojenna sława, cały blask sztuk, wszelkie umiejętności skupiały się w stolicy tych panów świata. Oni już rozwinęli wielkie pomysły, wydali znamienitych ludzi, i groźni orężem równie jak znamienici sławą, dawali prawa i obyczaje światu. Z tego uważany stanowiska Rzym, w każdym, że tak powiem kamieniu zamyka pomniki wieków, i do wyobraźni zarówno jak do rozwagi namawia— późniéj zostawszy stolicą Chrześcijaństwa, jakiż dobroczynny wpływ na ułagodzenie obyczajów, a upowszechnieniem języka, na upowszechnienie światła wywarł, wieleż znamienitych w naszym języku pisarzy, albo wychowaniem w téj krainie wziętém albo wpływem rzymskich, doszli do téj znakomitości, że u nas przez wiele wieków zatrzymali piérwszeństwo. Takie to są resztki z osłabionéj wiekiem pamięci... którem obudził w sobie przy tym liście pisanym pod uczuciem przywiązania mojego, jakie miałem od twego dzieciństwa, a które pozostanie we mnie, już zbliżającym się do grobu. Odpłać mi wzajemnością, niech uczuję wpływ dobroczynny na tak drogim dla mnie wnuku, tejże saméj krainy, która mnie ożywiła. Nie będę ci mówił o znajomych, bo już ich zapewne nie ma na świecie, lecz ci przeszlę nie zadługo pamiętniki niéj włóczęgi i wrażeń moich, bodajby się zachowały w twém zacném sercu i uczuciu wrażenia mego do was przywiązania: to jest ostatni grosz sierocy, który pragnę otrzymać, jako stojący nad grobem.»

W tym czasie najdotkliwszy cios dotknął starca na schyłku i ten był dlań śmiertelnym... wierna towarzyszka jego życia, matka prawdziwa dzieci jego, najczulsza przyjaciółka, Konstancya z Jaroszyńskich, druga żona pana szefa, umarła po ciężkiéj słabości... Reszta listów przesiękła tą żałością serdeczną i przeczuciami zgonu, prosi o modlitwę dla niéj, o pamięć dla niéj... liczy godziny życia i nie rachuje ich już wiele dla siebie.

Jeszcze się zebrał na kilka pism do zięcia, jak zawsze pamiętając o wszystkich mu nie tylko drogich, ale nawet znajomych, zasyłając im życzenia, dzieląc ich dolęgliwości, polecając ich pamięci... Dziewiętnastego grudnia posłał do Warszawy życzenia panu Franciszkowi... i tęsknem przeczuciem blizkiéj śmierci wszędzie zawiewa list każdy.

Jeszcze z tego 1851 roku, który miał być ostatnim długiego żywota, uzbierała się kupka listów staruszka, znacznie zmienioną już pisanych ręką.

To już ostatnie po nim pamiątki.

W jednym z nich tak mówi do zięcia dziękując mu za przysłany wizerunek zgasłéj wnuczki. «W skromnéj dawniéj kapliczce domowéj, dziś w sypialni dogorywającego starca, zawiesiłem obraz, jako pobudkę do modlitwy, jak dar Opatrzności, jako przypomnienie, abyśmy przyjmowali z pokorą wyroki Najwyższego.»

Jeszcze nań strapionego nalegano znać dla rozrywki własnéj, aby dalszy ciąg pamiętników, właśnie się podówczas drukujących w Athenaeum, przerwanych bez przyczyny, pisał znowu, ale już ciężko go

było na to nakłonić. W liście dnia 13 lutego rzucił o tém parę myśli.

«Gdy przyjdą dni dłuższe, będę łożył usiłowania do wydobycia ze zmartwiałéj pamięci wspomnień ubiegłego życia, wątpię, żeby się po utracie spokojności, po ucisku w roku przeszłym doświadczonym, co godnego pobłażania wysnuć dało... Jest jeszcze druga przyczyna... ale o téj zamilczę...

Możeby cóś powiedzieć można o stosunkach handlowych, i w tym celu o myśli zawiązania Towarzystwa Spółki, po co mnie z Francyi gorliwie wyprawiano— może Towarzystwo przyjaciół Nauk zwrócićby powinno uwagę, może umorzona teraz dobra chęć i cel Czackiego związania władzy edukacyjnéj z wpływem rodzicielskim, usunięcia szkoły z pod wpływu wielkiego miasta, i ukształcenia społeczności wyjętéj z pod wrażeń różnych mniemań towarzyskich, a uformowanie własnego ogniska opinii i ducha— daléj, wlazłszy w tą biédną wtedy, a dziś świetną Odessę, cóśby się mogło powiedzieć o przyczynach jéj wzrostu— późniéj zmiany jakich byliśmy świadkami, jako kuratorowie... ale na to już sił i pamięci nie staje. Może żeby serce z prywatnego życia wydobyło jakiś obraz cnót domowych, ich wpływu na te rodziny, ale to na wiek dziewiętnasty nie dosyć żywe i ciekawe może. Lepiéj czytać co napiszą drudzy, z pokorą.»

W tym roku, jak sam pisze, skończył pan szef osiemdziesiąt lat życia, osamotniony, osierocony... myśląc jedynie o oddaniu ostatniéj posługi żonie i sprowadzeniu jéj ciała do familijnego grobu w Kunce.

«Już od dni kilku, pisze, marzec wdział na siebie odmienną szatę, zdaje się, że prędko opadną wody, osuszą się drogi, jeżeli takie ciepło potrwa, jak w dniu, w którym to piszę. Zapewne i kapłani z łatwością spełnią naszą żałobnę posługę, i ci dobroczyńcy nasi, co chcą dzielić smutek i pobożną modlitwę, w pomoc naszą zjechać się łatwo potrafią... Zapewne kartę następnego listu osmucę naszym obrzędem.»

«Z jaką pociechą czytałem w liście P. M... obraz przyjacielskiego przyjęcia jakiego od familii Wiszniewskich (Michała) doświadczyli podróżni nasi w Genui, doświadczył go i Karol w Medyolanie w czasie swoich podróży. Jest to współczucie wywiezione ze skromnego domku mojego w Krzemieńcu, w którym Lesieccy wychowywali młodzież, i tylu zacnych ludzi garneli w pomoc wychowaniu. Bogdajby poczciwi ludzie garnęli się tak zawsze w pomoc wychowaniu publicznemu.»

Z jednéj z tych ostatnich kartek dowiadujemy się, że osiemdziesiąt-letni ów starzec, zawsze żyjący myślą pracy jakiejś użytecznéj, i teraz cóś zamyślał i wykonywał.»

—«Założyłem tu pisze w ostatkach lutego—szkółkę czytania i pisania dla ubogiéj dziatwy, jéj to jest próba w przepisaniu listu mojego.»

A daléj. «Wczoraj właśnie (d. 25 luty) wyszedł do Odessy karawan ozdobiony wszystkiem, co się w domu kosztowniejszego znalazło, otoczony czeladzią, co jéj usługiwała, prowadzony przez pasierba, dla którego pokazała się matką najprzywiązańszą, towarzyszony

przez miejscowego kapłana, co przez lat wiele jéj pobożności i cnotliwego życia był świadkiem, dla zabrania zwłok Konstancyi i przewiezienia na ziemię, własnością rodziców, a dziś jéj brata i serdecznego przyjaciela będącą. Tu na jéj granicach, czekać będzie starzec, którego chroniła w późnym wieku, a w średnim uszczęśliwiała, z jéj siostrą i drobnemi wnukami, aby po raz ostatni obmyć łzami martwe zwłoki przyjaciela, żony i dobrodziejki swojéj.

«Na wiosnę stanie kaplica... u nóg jéj niezadługo może złożę zwłoki wdzięcznego starca, który do zgonu wołać będzie: *Miserere mei, saltem vos amici mei, saltem vos proximi mei, miserere mei....*»

Dnia 21 marca, po pogrzebie, złamany, kreśli te słowa do zięcia: «Ostatnia potrzeba serca, przy obchodzie pogrzebu ciała żony i dobrodziejki naszéj, wstrzęsła tak zdrowiem, żem nie był w sile wziąć pióra w rękę, Odszedłszy trochę i siły odzyskawszy biorę się dziś do napisania tych słów kilku.

«Piękna pora przez dni kilka tak nas uwiodła i całą okolicę, chcącą oddać ostatnią usługę przyjacielowi od wszystkich szacowanemu, żem już się zatrwożył czy pogrzeb nie będzie miał miny bankietu...

Lecz się inaczéj stało: w wigiliją właśnie, kiedy już kilkanaście osób w Kunce się zebrało, zawierucha z burzą taka się wzniosła, że wyruszyć damom było niepodobna, i mężczyźni znieść téj niepogody nie mogli. Tak przepadł ten dzień, którego pamięć i na zdrowie działała i w sercu poniosę ją do grobu... zdrowie jednak utrzymuję się dotąd.»

Nieco późniéj te słowa jeszcze pisze do książąt Czetwertyńskich, pełne najgłębszego uczucia. «Mamy już zwłoki Kostusi w Kunce, na ziemi rodzinnéj je złożyła, a duch, co ją ożywiał i cnotom jéj przewodniczył, już zapewne u swego Najwyższego błaga Boga i prosi o szczęście i błogosławieństwo dla rodziny swojéj.

Macie do jéj modlitwy prawo, w jéj sercu i przywiązaniu, jakie dla was dochowała do grobu, a jeżeli sieroce prośby moje na jakikolwiek wzgląd zasługiwać mogą, ja je w codzienne obrócę, pomny na tyle drogich momentów życia, które wsparte sercem i dobrocią waszą przeżyłem... a patrząc na drogą spuściznę, jaką mi w synowéj i ich dziatkach zostawuje, na waszą dobroć i całéj rodziny, dla któréj wdzięczność i uszanowanie dochowam do grobu, spokojny w sumieniu z wypłaconéj ku wam méj powinności, wołać będę z pokorą... Panie puszczaj sługę Twego w pokoju— i niech się nademną spełni wola Twoja...»

To przedostatnie pismo, po nim jedno jeszcze i głucha poważna cisza grobowa... spokój wiekuisty... Przyszła i ta chwila ostatnia, po długim i poczciwym żywocie, taką na jaką starzec zasłużył: zgasł we śnie, bez przestrachu śmierci, bez męki, cicho, lekko... z modlitwą i błogosławieństwem na ustach...

Ale jaka po nim próżnia w domowem kółku została, jak zabrakło ojca-przyjaciela, ojca-towarzysza, téj siwizną posrébrzonéj głowy... tego nikt nie wypowie... Jemu czas było pójść spocząć po gwarze i znoju, bez niego ciężko było pozostać... tacy ludzie, jak on dłu-

go żywi i przytomni czuć się dają choć z między nas zniknął.

Nie myśleliśmy wcale, przedstawując ciąg tego tak zacnie użytego żywota, oceniać Drzewieckiego jako pisarza; myliłby się ktoby tę chęć widział w nas, i w wyjątkach, jakieśmy tu ze ślicznéj korespondencyi jego umieścili: był to człowiek czynu przedewszystkiem, i jako taki, zasługuje na bliższe poznanie, jest dla nas wzorem nienaśladowanym, a swéj epoki reprezentantem. Cokolwiekbądźby powiedzieć można o tych latach piérwszych XIX wieku, na których się dziś nie chcemy poznać, były to jeszcze dni poświęceń i pracy, gdy dziś... to dni niepewności, sądów, westchnień, programów, projektów i chorobliwéj krzątaniny. Od tamtych lat wieje ku nam jeszcze duch obywatelstwa, pojęcie często aż do przesady posunięte obowiązków publicznych, chętnéj ofiary i przeznaczeń człowieka dla dobra ogółu;— dziś każdy sobie! każdy sobie!

Z tego względu, jako przedstawiciel okresu czasu, który przeżył, pan szef godzien był szczegółowéj téj biografii... za młodu żołnierz waleczny i pełen zapału, w średnich latach urzędnik i obywatel, do końca najlepszy mąż, ojciec, krewny, z sercem młodém w osiemdziesięciu leciech, ani na chwilę nie przestaje być sobą i czynnym. Przedewszystkiem to człowiek czynu, nie bezmyślny, zdający sobie sprawę z pracy, ale wyżéj ceniący uczynek od słowa.

Może się komuś wydać to studyum obojętném, za długiém, zbyt rozwlekłém i szczegółowém, ale ci co je uznają mniéj zajmującém, na siebie samych sąd wydadzą. Nieocenioném ono materyałem dla życia

naszego, życia jak było i jak się samo maluje: nic tu rozwlekłego i obojętnego nie ma, każdy szczegół i drobnostka droga... to zdobycz na śmierci schwycona... Jeśli dziś nawet nie poznamy się na niéj, jutro za nią będziemy wdzięczni.

Staraliśmy się w tym obrazku jak najmniéj mówić sami, jak najwięcéj dać mówić przeszłości, to może jego zasługą... łatwo było dotaczać, ale nie wiem czy się to godzi...

I sądu tu nie potrzeba, lub raczéj zawczesnyby był może— wytryska on z rzeczy, z aktów sprawy, i na chwilę wątpliwym być nie może...

Jest to prosta karta z powszedniego życia, ale nie powszedniego człowieka... Dla ludzi myślących znajdą się w niéj wielkie nasiona... reszta czytelników, szukająca zabawki i podrażnienia ciekawości, może ją obojętnie odrzucić, nie dla niéj też pisaną była.

Dnia 3 listopada 1857 w Żytomiérzu.

KONIEC.

103 ↗
326 – [illegible]
361 – [illegible]
414 [illegible]